

ROBYN SISMAN

Po prostu
przyjaciele



Przełomski i Suka

Jack i Freya są tylko przyjaciółmi. Spotkali się ponad dziesięć lat temu, a teraz, już po trzydziestce, znają się wzajemnie aż za dobrze. I wечно mają do siebie pretensje, choć ogromnie się lubią.

Freya nie akceptuje upodobania Jacka do młodzieńkich laleczek z planety Guma do Żucia. On natomiast ma za złe swojej przyjaciółce, że absolutnie nie rozumie męskich słabości. Zwłaszcza jego słabości.

Kiedy więc Freya, porzucona przez aktualnego partnera, wprowadza się na krótko do mieszkania Jacka, napięcie pomiędzy nimi gwałtownie rośnie. Do kryzysu dochodzi, gdy Jack ma udawać zakochanego we Frei podczas ślubu jej siostry. Dlaczego nagle przestało się między nimi układać?

Ale czy w ogóle możliwa jest przyjaźń między kobietą i mężczyzną?

A czy świnię mogą fruwać?

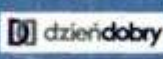
Wibrujące dowcipem i romantycznością...

„The Times”

Nie można się oderwać... czytasz do rana, a nawet dłużej.

„Daily Telegraph”

Patronat medialny



Cena 29 zł



Informacje
o naszych książkach
można znaleźć
w witrynie internetowej
www.proszynski.pl

ISBN 83-7337-63-X



9 788373 371637 >



ROBYN SISMAN
Po prostu przyjaciele

ROBYN SISMAN

Po prostu przyjaciele

Przełożyła Alina Siewior-Kuś

Prószyński i *S-ka*

Tytuł oryginału: JUST FRIENDS

Copyright © 2000 by Robyn Sisman All rights reserved

Projekt okładki:

Maciej Sadowski

Redakcja:

Ewa Witan

Redakcja techniczna:

Jolanta Trzcińska

Łamanie:

Elżbieta Rosińska

Korekta:

Jadwiga Przeczek Grażyna Nawrocka

ISBN 83-7337-163-X

Warszawa 2002

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa:

OPOLGRAF Spółka Akcyjna

45-085 Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

Rozdział pierwszy

Freya zdjęła skórzane spodnie i stała w bieliźnie, przyglądając się własnemu odbiciu. Dziś wieczorem pragnęła wyglądać pięknie - dla Michaela. Nie miała czasu wrócić do domu, żeby się przebrać; musi porządzić sobie w tej niewielkiej łazience w suterenie biura, gdzie światło było niedobre i panował wilgotny piwniczny zaduch. Nowa sukienka wisiała na drzwiach toalety: nie klasyczna mała czarna, nie tygrysia skóra wampa, ale blad różowa, naszywana opalizującymi perełkami kreacja za tysiąc dolarów - słodka sukienka Kopciuszka, którą wybrała, by wyglądać delikatnie i kobieco niczym porcelanowa laleczka. Zależało jej na wyglądzie nie tyle *femme fatale*, ile po prostu *femme*.

„Chodźmy gdzieś - zaproponował Michael w poniedziałek przy śniadaniu - do jakiejś wyjątkowej restauracji, gdzie będziemy mogli porozmawiać”. W głowie Frey eksplodowały pytania, niczym kukurydza na rozgrzanej patelni. Porozmawiać o czym? Dlaczego nie w domu? Wtedy jednak słumiała je wszystkie i zamiast szukać odpowiedzi, poszła na zakupy.

Cały tydzień wszakże miała jego słowa w pamięci, tę bombę zegarową w żołądku, tykającą coraz głośniej wraz z kolejnymi upływającymi dniami. Czyżby to było To? Czy wkrótce zostanie panią Normalną, zamartwiającą się szkołami i stanem trawnika przed domem na przedmieściu?

Dłonią nie całkiem spokojną Freya odkręciła kran i ochlapała twarz zimną wodą. Teraz kolej na barwy wojenne. Przyciemniła ołówkiem blade łuki brwi, tuszem podkreśliła jasnoniebieskie oczy. Którą wybrać szminkę? „Szkarłatna Kobieta” oczywiście nie wchodzi w grę. Podobnie, szczerze mówiąc, jak „Dziewica Westalka”, pozostałość po zauroczeniu malarzem, który porzucił ją dla siedemnastolatki. Ale, ale, „Purpurowy

Pocałunek” może by pasował. Przesunęła szminką po ustach, później odsłoniła zęby, usatysfakcjonowana kontrastem bieli i czerwieni. Ja błyszczę, ty błyszczysz, wszyscy błyszczymy... Niech Bóg błogosławi osiągnięcia amerykańskiej stomatologii.

Jeśli jednak się myli? Może Michael chce po prostu podyskutować o nowym podziale czynszu albo ustalić szczegóły dotyczące ich wyjazdu do Anglii? Freya przekrzywiła głowę, by wpiąć kolczyk w ucho, i zastanowiła się nad tymi możliwościami. Nie, nie o to chodzi. Michael jest prawnikiem i mężczyzną, a jego drugie imię brzmi Nawyk. Zawsze w styczniu kupował sobie garnitury na wyprzedazy, zawsze dwa, zawsze od Armaniego, granatowe albo grafitowe. W niedzielne wieczory zawsze dzwonił do matki (bo o tej porze jest zniżka na telefony do Minneapolis), zaraz po Dniu Świstaka zapadał na katar sienny i nieodmiennie dawał dziesięcioprocentowe napiwki. Dzięki Bogu, Michael w żadnym razie nie jest nieprzewidywalny. Jeśli chce „porozmawiać”, to musi mieć coś ważnego do powiedzenia.

Balansując chwiejnie najpierw na jednej, a potem na drugiej smukłej nodze, Freya wciągnęła jedwabne pończochy, później ostrożnie włożyła kosztowną kreację, drżąc przy dotyku jedwabistej opalizującej tkaniny. Ukryty z boku zamek błyskawiczny napiął zręcznie suknię wokół jej małych piersi, ukazując cudowny dyskretny rowek. Wsunęła stopy w pantofle na płaskim obcasie, z westchnieniem żalu wspominając te cieniutkie dziesięciocentymetrowe szpilki, które widziała w sklepie na Piątej Alei. Jaka szkoda, że Michael nie jest wyższy. Zaraz jednak napomniała się stanowczo, że udane związki oparte są na kompromisie.

Kilka poprawek, kropelka perfum i była gotowa. Czy wygląda na dobrą partię? Freya złapała się na tym, że ma w głowie pełno słów, których dotąd jakoś ze sobą nie łączyła: narzeczony, zaręczyny, miesiąc miodowy, pan i pani... Tata i mama. Obiema rękami chwyciła brzeg umywalki i przyjrzała się sobie uważniej. Wąska twarz, cera jasna jak maślanka, skóra na obojczykach tak sprężysta i napięta, że można na niej grać jak na bębnie, długie ręce i nogi - za długie? Wzrostem dorównywała mężczyznom, w szkole przezywano ją „żyrafą”. Czy ktoś może naprawdę kochać taką kobietę, na zawsze, do samej śmierci, amen? Uniosła pasmo swych świeżo obciętych włosów (kolejna setka poleciała), które w tym świetle wydawały się tak jasne, że niemal bezbarwne. „Piękna Freya”, tak mówiła do niej mama. Nadała jej imię po północnej bogini o gorącym sercu, uwielbianej przez wszystkich mężczyzn. Jednakże Freya miała

wtedy sześć lat. Niemożliwością było odgadnąć, co matka myślałaby o niej teraz.

Odwracając się to w tę, to w tamtą stronę, by ocenić swój niezwykle wygląd, przypominała tancerkę, która zaczyna wirować na jednej nodze po otwarciu pozytywki. Spróbowała tak się zakreścić. Rozbawiona, gdy nogi jej się zaplątały, o mało nie straciła równowagi. Przy tym ruchu fryzura trochę się potargała, Freya poprawiła więc włosy, widząc w lustrze odbicie swej lewej dłoni z palcem bez pierścionka. Spowaźniała. Przyjemna jest świadomość, że ktoś nas pragnie, powiedziała do lustra. Cudownie jest być kochaną. Nie miała już dwudziestu dziewięciu lat. Czy nie byłoby wspaniale móc mówić „my” po tylu latach „ja”?

Tak, Michael to ten jedyny, Freya była tego prawie pewna.

Restauracja, którą wybrał Michael, była nowym i bardzo drogim lokalem, usytuowanym na skraju Village i tak pewnym swego statusu miejsca, które każdy musi odwiedzić, że Freya przeszła obok dwukrotnie, nim zauważyła maleńki grawerowany szyld przy domofonie. Pochyliła się i nacisnęła guzik, natychmiast też drzwi otworzył jej młody mężczyzna przypominający anioła z tlenionymi włosami. Freya znalazła się w holu umeblowanym zgodnie z najnowszym stylem, nakazującym wystrój „jak u ciebie w domu” - pod warunkiem że jesteś milionerem. Ogromne sofy stały po obu stronach sztucznego kominka, którego gzymsy zdobiły wazy w stylu króla Jerzego. Na niskich stolikach leżały magazyny, „prawdziwe” książki, a nawet szachownica, najwyraźniej porzucona w połowie partii. Płaskie stopnie prowadziły do jadalni. Dochodziły z niej modne aromaty oraz nieskrępowane głosy ludzi, którzy czują się najzupełniej swobodnie na myśl o swym ogromnym sukcesie. Restauracja, jak przypomniała sobie Freya, nosiła nazwę Phood.

Podczas gdy anielski młodzieniec prowadził ją na miejsce, Freya omiatała wzrokiem zatłoczone stoliki. Przy jednym, na miękkim krześle z zielonymi oparciami siedział cokolwiek sztywno Michael. Ubrany w ciemny garnitur, poważny, ze zmarszczonym czołem i piórem w dłoni sprawdzał jakiś dokument - znając Michaela, Freya przypuszczała, że może to być zestawienie współgrających ze sobą cech ich obojga. Wydawał się tak nie na miejscu pomiędzy modnymi bufonami z mediów i nierobami z Wall Street, że twarz Frei rozjaśniła się w czułym, lekko kpiącym uśmiechu. Jej niepokój zniknął bez śladu. Uświadomiła sobie, że wybór restauracji był ze strony Michaela komplementem dla niej, przysięgła więc zachować wszelkie sardoniczne uwagi dla siebie. Będzie

zabawna, czarująca, uważna - po prostu idealna partnerka. Schodząc po stopniach, czekała, aż ją dostrzeże. A kiedy wreszcie ją zobaczył, sprawiał wrażenie niemal wstrząśniętego, co było bardzo przyjemne. Wepchnął papiery do wewnętrznej kieszeni, poderwał się z krzesła, by powitać Freyę, i pocałował ją w oba policzki.

- Freyo, wyglądasz cudownie!

- Wiem. - Położyła dłonie na jego ramionach i roześmiała się, a później zrobiła krok w tył, tak by mógł całą ją podziwiać. - To nowa ja. Nie mów mi tylko, iż myślałeś, że urodziłam się w spodniach.

- Ależ nie. - Jej wylewność najwyraźniej wprawiła go w zakłopotanie. - Chciałem powiedzieć, że zawsze wyglądasz wspaniale.

Odsunął stolik, by mogła usiąść naprzeciwko, a potem sam zajął miejsce. Wzbudzał podziw swym prawniczym wyglądem, kwadratową przystojną twarzą, poważnymi piwnymi oczyma i krótko obciętymi falującymi włosami. W Anglii by go uwielbiano. Ciekawe, czy już kupił jej pierścionek, a jeśli tak, to gdzie go ukrywa.

Kelner podał kartę i wyjął butelkę z wiaderka przy stoliku.

- Szampana?

- Proszę. - Freya obdarzyła Michaela promiennym uśmiechem. - Mamy coś uczcić?

- No cóż... - odrzekł z zażenowaniem. - W końcu to piątkowy wieczór.

Ugryzła się w język. Po pięciu miesiącach wspólnego mieszkania doskonale się orientowała, że ulubionym sposobem Michaela na spędzenie piątkowego wieczoru jest jedzenie na wynos, wideo i wczesne pójście spać. Ale z drugiej strony naprawdę ciężko pracował.

Kiedy kelner napełniał kieliszki, Freya ze zdziwieniem zobaczyła, że butelka jest w połowie opróżniona. Michael nigdy nie pił sam. Pewnie zbierał się na odwagę.

- Jak minął ci dzień? - usłyszała własny głos. A niech to, już się zmienia w idealną żonkę!

- Dobrze. W przyszłym miesiącu odbędzie się zebranie, na którym zostaną wybrani nowi starsi wspólnicy. Fred uważa, że mam spore szanse.

- Fred zawsze tak mówi. - Freya włożyła do ust garść prażonych piastki. Widząc jednak, że Michael zaciska wargi, dodała pośpiesznie: - Ale jestem pewna, że to prawda. Król spraw rozwodowych to ty. Hej, spójrz tylko na to! - Wskazała pozycję w menu, by oderwać uwagę Michaela od nietaktu. - „Sakiewka żebraka” za siedemdziesiąt dolarów. Co to może być? Roztopione deutschmarki?

- Rodzaj naleśników faszerowanych kawiozem, jak mi się wydaje. To spora suma za rybą ikrę, prawda?

- Nie, jeśli to białuga. Ojciec zabrał mnie do Sankt Petersburga, gdy pracowałem w Ermitażu, i poszliśmy na specjalną kolację. Miałam wtedy dwanaście lat i po raz pierwszy jadłam kawior, ale nigdy nie zapomnę tego smaku. Niebo w gębie. No, spróbuj.

- Wiesz, że źle reaguję na ryby. Chyba zdecyduję się na zupę. - Michael zawsze zamawiał zupę.

- Dobry wybór.

Nastąpiła chwila niezręcznego milczenia. Nagle Freya poczuła się sztucznie w swojej kosztownej sukni, w tym absurdalnie modnym miejscu, uśmiechając się do mężczyzny, który uśmiechał się do niej. Było tak, jakby oboje grali w sztuce i nagle zapomnieli swoich kwestii. Aby scena nabrała życia, Freya odegrała dziewczęcą pantomimę nad kartą dań. Czy to nie będzie zbyt tuczące? (Naturalnie że nie, ona nigdy nie będzie grubą!). A może za dużo czosnku? (To bez znaczenia, on naprawdę lubi czosnek). Komentowała wykrzyknikami wystrój restauracji. Jak mu się udało zdobyć tu stolik? Czy to nie oryginalne, że w wazonach są pióra zamiast kwiatów? Michael odpowiadał z roztargnieniem i wydmuchiwał nos, mówiąc, że chyba jest uczulony na pierze. Freya opanowała irytację. Zawsze był nieśmiały, musi pozwolić mu iść własnym tempem.

Właśnie ta jego nieśmiałość zwróciła uwagę Frei owego wieczoru w galerii. Michael przyszedł na wernisaż w towarzystwie swego szefa i jego upiornej żony, jednej z tych wypieszczonych Królowych Śniegu z Manhattanu, które lubią myśleć o sobie jako o patronkach sztuki w chwilach, kiedy nie są u manikiurzystki. Freya miała tam obejrzeć działalność konkurencji, lecz wszystko, na co umiała się zdobyć, to utrzymanie się na nogach. Wciąż dochodziła do siebie po nieudanym związku z tym diabelskim Toddem, była napięta i roztrzęsiona. Nikt się do niej nie odzywał i zdawała sobie sprawę, że emanują z niej nieszczęście i poczucie klęski. Ze swego miejsca w kącie, mając za plecami oparcie w postaci zimnej betonowej ściany, ze szklanką w dłoni dla zachowania pozorów, obserwowała superuprzejme zachowanie Michaela, którego na zmianę traktowano protekcjonalnie i niegrzecznie, wysyłano po wino albo po futro. Wielkie wrażenie zrobił na niej jego dobry humor. Podobał jej się sposób, w jaki Michael pochylał się, by starannie odczytać tytuły i opisy pod każdym obrazem, a potem, wyprostowany, przyglądał im się z powagą i lekkim zdziwieniem. Romans był ostatnią rzeczą, o jakiej wtedy

myślała; skończyła z tymi sprawami. Patrząc jednak na tę otwartą, wolną od cynizmu twarz, zadawała sobie pytanie: czemu nie mogę zakochać się w takim miłym mężczyźnie jak ten?

Później Michael wyznał, że ośmielił się podejść do niej z jednego tylko powodu: wyglądała na tak zagubioną i samotną, jak on się czuł. Galerie to nie był jego teren, nie miał talentu do towarzyskich pogawędek. Kiedy okazało się, że gościnność szefa nie obejmuje obiadu, Michael zaprosił Freyę. Nie umiała sobie przypomnieć, co odpowiedziała - chyba nic. On jednak znalazł ich płaszcze i poprowadził ją na zaśnieżoną ulicę, a stamtąd do rozgrzanej restauracji. Stwierdził, że jest za chuda, i zmusił, by zjadła makaron i wypila czerwone wino, aż wreszcie na jej policzki wróciły kolory. Nie zadawał żadnych pytań, zamiast tego opowiadał o swoim domu, rodzinie i pracy - kojące, miłe historyjki o normalnych ludziach i normalnym życiu. Po posiłku odwiózł Freyę do domu taksówką, której opony z sykiem pokonywały rozjeżdżony śnieg, i kazał kierowcy zaczekać. Odprowadził ją do drzwi przez ten żalony zaułek przy Lexington Avenue. Nie rzucił się na nią, nawet nie próbował się wprosić, upewnił się tylko, że ma klucz, a potem życzył dobrej nocy.

To były powolne, staroświeckie zaloty, zwłaszcza w porównaniu ze standardami obowiązującymi na Manhattanie - kwiaty, wystawy, spacer po parku, herbata i muffiny u Bendelsa. Michael traktował ją niemal jak rekonwalescentkę, a jej to się podobało. Piętnaście lat w Nowym Jorku nauczyło Freyę sztuki separacji: od pijaków i wariatów, od brudu i hałasu, od samotności, która odzywała się nad ranem, od mężczyzn, którzy obiecywali, że zatelefonują, ale nigdy nie dzwonili. Miło było czuć się z kimś związaną. Mieszkanie Michaela w West Side było rozkosznie ciepłe i wygodne i Freya spędzała tam coraz więcej czasu, aż pewnego dnia - ze wstydem musiała przyznać, że nie pamięta szczegółów - zostali kochankami. Wkrótce potem Michael przekonał ją, by zamieszkali razem. To także jej się spodobało. Proste domowe przyjemności związane z robieniem zakupów i gotowaniem oraz owe spokojne momenty pod koniec dnia, kiedy opowiadali sobie o tym, co porabiali, odkąd rozstali się rano, sprawiały, że Freya czuła, iż wreszcie jest to dojrzały, normalny związek. Przyjemnie było mieć kogoś, kto chciał słuchać o codziennych drobiazgach, a jego zaufanie, nawet jeśli zwierzenia nie należały do przesadnie zajmujących, dawało jej poczucie wyjątkowości. Michael był cierpliwy i uprzejmy, a ona w odpowiednim czasie zawsze reagowała. Oczywiście, zdarzały się sprzeczki - kiedyś

oskarżyła go, że woli tę żalną ruinę, którą poderwał w galerii - ale kłótnie to przecież normalna sprawa. Teraz byli prawie jak małżeństwo. Właściwie to całkiem jak małżeństwo, uświadomiła sobie Freya, bo Michael mówił już od jakiegoś czasu, a do niej nie dotarło ani jedno słowo.

- ...więc powiedziałem: „Okay, zamknijemy cię”. I to go zamknęło.

Na jego twarzy odmalował się wyraz triumfu; Freya zapragnęła potargać mu włosy. Był taki słodki i prostoliniorny. Będzie z niego wspaniały ojciec. Nie żeby od razu chciała mieć dzieci. Ale kobietę napawa otuchą świadomość, że ma do dyspozycji spermę dobrej jakości.

- Dość o mnie. Co u ciebie? Jak się miewa Lola?

- Jest w Mediolanie, dzięki Bogu. A z powodu różnicy czasu telefony kończą się po południu.

Lola Preiss była szefową Frei. Pochodziła z jakiegoś nieokreślonego państwa w Europie Środkowej i cieszyła się legendarną wręcz reputacją, a jej galeria przy Pięćdziesiątej Siódmej przyciągała graczy giełdowych, gotowych od ręki wydać fortunę na najmodniejszych malarzy w rodzaju Howarda Hodgkina i Franka Stellę. Trzy lata temu, po długim okresie harówki w połowie nowojorskich muzeów i galerii, gdzie Freya uczyła się wszystkiego, od rodzajów ram i oświetlenia poczynając, na technikach drukarskich, reklamie i przepisach celnych skończywszy - a jednocześnie wyrabiając sobie własne „oko” - została nagrodzona propozycją, by rozkręcić Lola Preiss Downtown - nową galerię w pięknym miejscu w SoHo. Obowiązki Frei polegały na wyszukiwaniu i promocji młodych artystów, którzy pewnego dnia być może staną się trybikiem maszyny zarabiającej miliony dla pani Preiss. Freya uwielbiała swoją pracę; byłaby ona spełnieniem marzeń dziewczyny, gdyby nie monstrualnie rozbudowane ego Loli, które kazało jej sprawdzać każdą podjętą przez pracownicę decyzję, ganić za porażki i publicznie uznawać jej sukcesy za własne. Na szczęście Lola zbliżała się do siedemdziesiątki i coraz więcej czasu spędzała, odwiedzając domy swych najbogatszych klientów - wszyscy znani byli jako „koo-chanie” - położone na wybrzeżach Ameryki i w europejskich metropoliach. Jednakże jej wpływ wciąż był bardzo silny.

- Więc tydzień był dobry? - nalegał Michael. - Sprzedałaś coś wielkiego?

Freya uniosła oczy do nieba.

- Michael, sztuki nie mierzy się w metrach.

- Wiem, już mi to mówiłaś. Chciałem okazać zainteresowanie.

- Przepraszam. - Freya przygryzła wargi.

Kelner przyniósł wino i jedzenie. Przy sałatce z trufli Freya opowiedziała Michaelowi o spotkaniu z klientem przysłanym przez Lolę - jednym z „moich drogich starych przyjaciół” - który przyszedł godzinę spóźniony i okazał się kompletną stratą czasu.

- Przez cały czas robił mi wykłady o wewnętrznym znaczeniu każdego płótna; po prostu powtarzał bzdury z katalogu. W końcu musiałam go wyrzucić, bo nie zdążyłabym się przebrać i przysłałabym tu ubrana jak kopciuszek na rockowe.. - Przerwała, na wypadek gdyby Michael chciał powiedzieć jej komplement. Nie zrobił tego jednak. - Nie cierpię takich typów, a ty? - paplała dalej. - Te rolexy, snobistyczne europejskie akcenty i pożądlive łypanie, kiedy rozwodzą się o roli sztuki w przełamywaniu seksualnych tabu.

- Obawiam się, że u Reinertsona i Klanga mało kto łypie na mnie pożądliwie.

- Bardzo się z tego cieszę! Nie chciałabym, żebyś uciekł z panią Ingwerson.

- Pani Ingwerson ma pięćdziesiąt pięć lat - odparł zimno Michael. - I jest najlepszą sekretarką, jaką w życiu miałem.

- To był żart! - Freya machnęła lekko widelcem. Dziś wieczorem jakoś wolno chwytął dowcipy.

- Och, przepraszam.

- Tak czy owak - ciągnęła wesoło, próbując załagodzić sytuację - nie będziemy chyba rozmawiać o pracy, prawda?

- Chyba nie - odrzekł niepewnie. - Proszę, poczęstuj się chlebem. - Złapał stojący przed nim koszyk i podał jej pieczywo. - Zawsze jesz za mało.

Żeby go zadowolić, Freya wzięła kromkę i pokruszyła na talerzu. Ponad ramieniem Michaela dostrzegła przytuloną do siebie parę. Ich twarze oświetlały płomienie świec, nogi spletały się pod stołem. Czyż nie tak to powinno wyglądać? Ogarnął ją niepokój. Dlaczego Michael zwleka z przejściem do sedna sprawy? Zaczynała się już denerwować.

Kelner sprzątnął nakrycia i podał główne danie. Michael tymczasem wdał się w dość rozwlekłe streszczenie artykułu z „Timesa” o kontrowersyjnej polityce burmistrza wobec przestępstw nieletnich. Freya kiwała głową w stosownych momentach, ale jej myśli biegły własnym torem. Romans to nie wszystko, mówiła sobie. W poniedziałek rano tamta para nawet nie będzie ze sobą rozmawiać. Albo też on powie, że zadzwoni, lecz tego nie robi, a ona trochę powaruje przy telefonie, potem zaś kupi sobie nową sukienkę i zacznie od nowa. Freya знаła to aż

za dobrze. To dziecinne spodziewać się, że namiętność zwali nas z nóg. Dojrzałe związki oparte są na przyjaźni i wzajemnym szacunku, nie wspominając już o stałym dopływie gotówki i miłym mieszkaniu. Trzeba patrzeć na życie perspektywicznie.

Michael mówił dalej. To było niemal tak, jakby oznaczał czas przed... przed czym? Freya nerwowo przesuwiała rybę po talerzu. Jeden mężczyzna - ten mężczyzna - do końca życia, „póki śmierć nas nie rozłączy” - przerażający pomysł! Powiedziała sobie, że taka możliwość to szczęście, zwłaszcza tu, w tym mieście, gdzie samotna kobieta ma dziesięć razy większą szansę na telefon od zbrojeńca niż na propozycję małżeństwa. Poza tym ludzie zmieniają się po ślubie... prawda?

Kiedy wszakże Michael skończył stek i starannie odłożył sztucce, serce Frei zaczęło walić jak młotem. Odchrząknął. Oho, czyżby już? Co ona mu odpowie?

Ponownie odchrząknął.

- Freyo, zaprosiłem cię tu dzisiaj ze szczególnego powodu. Mam ci coś do powiedzenia i chcę ci dać.

- Naprawdę? - zachichotała sztucznie.

- Proszę, nie śmieć się, mówię poważnie i pragnę, żebyś mnie wysłuchała.

- Dobrze, dobrze. - Freya miała wrażenie, że trzepocze się bez nadziejnie jak ryba w sieci. - Ale wiesz co, dalej jestem głodna. Dziwne, czyż nie? - trajkotała. - Muszę zjeść jedno z tych czekoladowych ciastek, którym nie można się oprzeć.

- Okay - zgodził się sucho i kiwnął głową na kelnera.

- A ty? Ciasto z jagodami, to brzmi zachęcająco. Albo sorbet. Zawsze uważałam, że sorbet jest...

- Nie chcę jeść. Chcę rozmawiać.

- Dobrze. - Freya złapała kieliszek z winem i osuszyła go do dna.

Michael wygładził krawat.

- Miesiące, które spędziliśmy razem, to jeden z najlepszych okresów mojego życia - zaczął. - Otworzyłaś mi oczy na tak wiele nowych rzeczy: na sztukę, wyszukane potrawy, a nawet dzielnice miasta, o których istnieniu wcześniej nie miałem pojęcia. Chcę, żebyś wiedziała, że jesteś wyjątkową kobietą.

- Ty też jesteś wyjątkowy - odrzekła wesoło.

Michael sprawiał wrażenie, jakby w ogóle jej nie słyszał. Uświadomiła sobie, że całą tę przemowę przygotował wcześniej.

- Myślę o przyszłości. Mam trzydzieści sześć lat i wiem, czego chcę.

Jestem gotowy, żeby wkrótce się ustatkować. Jeśli zostanę współnikiem, będę mógł się przeprowadzić. Dom poza miastem, w Connecticut albo gdzieś na przedmieściach. Kto wie, może nawet zacząć grać w golfa.

- W golfa? - pisała Freya, z wolna wpadając w panikę.

- I chcę, by ktoś to życie ze mną dzielił.

Nagle zobaczyła siebie uwięziona za drewnianym białym ogrodzeniem i przepasaną fartuszkami ozdobionym falbankami.

- Rodzina, stabilizacja, wspólne zainteresowania... - ciągnął Michael.

- A pewnego dnia dzieci.

Za drewnianym ogrodzeniem były się wrzeszczące maluchy z buziami usmarowanymi dżemem i majtkami wypchanymi pieluchami. Freya wręcz czuła, jak jej biologiczny zegar zaczyna się cofać. Kelner postawił przed nią deser, czekoladowy tort polany był obficie śmietaną. Poczowała mdłości.

- To przyszłość, jaką widzę, na jaką czekam, przyszłość, którą pragnę z kimś dzielić. - Wpatrywał się w nią uważnie, niemal dzikim wzrokiem.

Szybko! Trzeba wykorzystać tę przerwę.

- Czy możemy zamówić kawę? - wykrztusiła. - Jestem trochę zmęczona.

- Za chwilę. Próbuje ci powiedzieć... - przerwał zdesperowany, kiedy ziewnęła szeroko. - Boże, ależ ty to utrudniasz. Chcę ci coś dać.

Poklepał się po kieszeni. Zaraz wyjmie pierścioneł!

- Niczego mi nie trzeba. Naprawdę. To nie są moje urodziny.

- Proszę, nie przerywaj. Mam ci do powiedzenia coś bardzo ważnego.

- Nie ma pośpiechu. Przelóżmy to na jutro. - Freya niedbale gładziła się po włosach i uśmiechała niczym disneyowska wiewiórka.

- Widzisz, uważam, że jesteś cudowna - ciągnął Michael.

- Ja też o sobie tak myślę. Więc czemu nie mielibyśmy... - Rozejrzała się wokół, szukając jakiejś inspiracji, i wzrok jej padł na czulącą się parę. Pochyliła się nisko nad stołem i przycisnęła łokcie do boków, by rowek między pierściami zmienił się w Wielki Kanion. - Czemu nie pójdziemy do domu - zapytała melodyjnym tonem - i nie zaczniemy się kochać, namiętnie i dziko?

- Ty nic nie rozumiesz. - Michael wyjmował coś z kieszeni. Trzymał to w obu dłoniach i patrzył z powagą jak mały chłopiec, który zaraz pokaże wszystkim swojego ulubionego zółwia.

Freya spróbowała innej drogi.

- Jest za wcześnie. - Jej głos ociekał niewypowiedzianą tragedią.

Szarpnęła go za rękę. - Proszę, odłóż to.

Michael jednak wcisnął jej ów przedmiot w dłoń - było to małe, kwadratowe pudełko.

Freya się zawahała. Równie dobrze można by zobaczyć, co wybrał. Czy zdecydował się na brylanty? Albo ewentualnie szafiry, „żeby pasowały do twoich oczu”?

Otworzyła pudełko. W środku znajdował się złoty sygnet z wygrawerowanymi literami MJP - Michael Josiah Petersen. Wiedziała, co owe inicjały oznaczają, bo sama mu ten sygnet kupiła. Amerykanie lubili takie rzeczy. A ona chciała w ten sposób wyrazić wdzięczność za to, że ją przygarnął.

- Ojej. - Była kompletnie zagubiona. W amerykańskich liceach chłopcy i dziewczęta wymieniali się „klasowymi pierścionkami”. Może to wersja dla dorosłych? - Nie wiem, co powiedzieć. - Wyjęła sygnet i zaczęła obracać go w palcach, a potem spojrzała w twarz Michaela, szukając jakiejś wskazówki.

- Wspaniale się razem bawiliśmy. - Głos Michaela drżał z emocji.

- Tak... - Zwiesiła głowę.

- Tak bardzo chcę, żebyś była szczęśliwa.

- Wiem.

- Ale...

Ale? Freya poderwała głowę. Ale co? Zgubiła wątek scenariusza. Co tu właściwie się dzieje?

- ..ale sądzę, że będzie lepiej, jeśli...

- Jeśli co?

- Cóż, sama wiesz...

- Nie, Michaelu, nie wiem.

- Gdybyśmy mogli...

- Tak?

- Sądzę, że byłoby lepiej, gdybyśmy mogli być... po prostu przyjaciółmi.

- Przyjaciółmi? - powtórzyła. - Przyjaciółmi? - Tym razem podniosła głos.

Rozległ się głuchy plusk. To sygnet wypadł z jej bezwładnych palców prosto w czekoladowy tort.

Rozdział drugi

Isć. Stać. Światła migaly. Reflektory oślepialy. Samochody warczały ogłuszająco. Dała się słyszeć syrena policyjna, z któregoś auta dobiegało dudnienie rapowej muzyki. Freya szła Broadwayem, stukając obcasami. Długie nogi w skórzanych spodniach przecinały powietrze niczym nożyce. W zaciśniętej dłoni trzymała różową suknię, od czasu do czasu wymachując nią gniewnie jak poskramiacz lwów swoim batem. Ludzie schodzili jej z drogi.

Drań! Jak mógł ją tak zostawić? Poprowadził ją ukwieconą ścieżką, a potem wepchnął w kupę kompostu. „Uważam, że jesteś wspaniała” - wykrzywiła się, gwałtownie potrząsając głową. Tak wspaniała, że przyczynił się, by wydała tysiąc dolarów, i to tylko po to, aby zaproponować jej przyjaźń! Tak wspaniała, że zabrał ją do najmodniejszej restauracji w mieście, by mieć przyjemność zerwania z nią w miejscu publicznym. Oczy przesłoniła jej mgła; Freya weszła na ulicę, nie zauważywszy zmiany światła.

Ryk klaksonów sprawił, że nagle podskoczyła. Nie zwalniając kroku, odpowiedziała kierowcom ordynarnym gestem. Pociągnęła nosem i poklepała się po policzkach. Nie będzie płakać. W myślach zaczęła śpiewać, by zagłuszyć głos, który mówił jej, że jest samotna, i zawsze będzie samotna, bo nikt z nią nie zostanie, o ile tylko będzie mógł tego uniknąć; że była próżna i kompletnie głupia, myśląc, iż Michael mógłby chcieć się z nią ożenić. Melodia była zawsze ta sama, choć Freya nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Nawet nie znała słów.

Kraju nadziei i wzniosłości

Kolebko wolności

la la la la...

la la la la...

Jak zwykle, kiedy Freya maszerowała tak ulicą w rytm muzyki, jej duża na nowo okrywała się pancierzem. Bądź twarda, twarda, twarda, mówiła sobie. Nie płakała w obecności innych ludzi, odkąd skończyła piętnaście lat; wtedy to jej wścibska mała siostra przyrodnia przyłożyła oko do dziurki od klucza, a potem pobiegła, by całemu domowi ogłosić, że Freya to beksa. Cóż, nigdy więcej. Freya wybrała Nowy Jork, ponieważ to najtwardsze miasto na świecie. Manhattan w niczym nie przypominał europejskich miast, gdzie ludzie spacerują, trzymając się za ręce, a na środku chodnika albo mostu przystają, by się całować, i zabierają dzieci oraz babcię do restauracji. Tutaj chodzisz szybko i unikasz kontaktu wzrokowego z innymi przechodniami, tu dostajesz choinkę na Boże Narodzenie już ozdobioną świecidelkami, a wyrzucasz ją pierwszego dnia świąt po południu; tu mówisz taksówkarzowi, że jest popieprzonym kretyńcem, i wyrabiasz sobie ów błysk w oku, który uprzedza: „nie próbuj ze mną zadzierać”. Frei to odpowiadało.

Dobra, więc znowu jest sama. I co z tego? Bywała już sama. Zdążyła się do tego przyzwyczaić. Lepsze to niż być z facetem, który jej nie kocha. Nie robi tego, nawet na jedną noc.

Wyliczając powody, dla których nie jest dlań odpowiednia - psychologiczne bzdury o wzajemnym zaufaniu i wspólnych celach życiowych - Michael okazał tak wielką gruboskórność, że zaproponował, by została w jego mieszkaniu, dopóki nie znajdzie sobie nowego lokum, a kiedy odmówiła, oskarżył ją o „uleganie emocjom”. To wtedy wstała i wyszła z restauracji, nie czekając, aż on skończy zdanie. Pod żadnym pozorem nie zamierzała pozwolić, by ktokolwiek widział, jak ulegała emocjom. A poza tym nie potrzebowała łaski Michaela. Istnieją inne wyjścia, nie musi okazywać mu wdzięczności i nieśmiało podawać mleka przy śniadaniu. „Mam mnóstwo innych przyjaciół” - odrzekła znacząco.

Problem jednak polegał na tym, że nie było ich w domu. Do kilkorga zadzwoniła z galerii, kiedy tam wróciła, by zdjęć tę głupią sukienkę i przebrać się w ubranie do pracy. Była dopiero dziesiąta w piątek wieczorem i większość normalnych ludzi wyszła, by się zabawić, nawet Cat, jej najlepsza przyjaciółka, która parę dni temu narzekała, że od miesięcy nie była na randce. Więc gdzie się teraz podziewa? Freya wzruszyła ramionami. Nie ma sprawy, spróbuje później z telefonu komórkowego. Jeśli dojdzie do najgorszego, zawsze może przenocować w jakimś tanim hoteliku. Wyobrazila sobie pożądlive spojrzenie recepcjonisty, którym mężczyzna obrzucają, samotną kobietę bez bagażu, w jakimś obskurnym, źle oświetlonym foyer. Nagle wypadła z rytmu. Gdzie właściwie jest?

Przed nią otwierał się Union Square. Automatycznie przecięła Czternastą, by oddalić się od ruchu, zeszła po stopniach na plac i zaczęła bezcelowo po nim krążyć. Był ciepły wieczór pierwszego czerwca, zapowiedź prawdziwego lata, i wokół kipiało życie. Ludzie płynęli strumieniem z metra, niektórzy przystawali przy nowych kioskach, inni kierowali się ku modnym lokalom, otaczającym plac pierścieniem. Na jednej z ławek grupa nastolatków kiwała się w przód i w tył, śmiejąc się do rozpuku, podczas gdy dwaj chłopcy popisywali się przed nimi skomplikowanymi układami na deskorolkach. Jakiś staruszek prowadził od drzewka do drzewka wielkiego collie i łagodnie namawiał, by zwierzak wreszcie się załatwił. Koło fontanny na środku skweru grał skompletowany ad hoc zespół, składający się z saksofonu, kontrabas, gitary i solisty w znoszonym kapeluszu; przed nimi na trawie leżało kartonowe pudło z marnymi datkami. Miasto w tle wznosiło się ku gwiazdom, błyszcząc kolorowymi światłami niczym fajerwerki. Schrypnięty głos śpiewał: „...a ja mam złamane serce, bo mi z tobą nie wychodzi...”.

Freya zatrzymała się i skrzyżowała ramiona na piersiach. W zaciśniętych palcach wyczuwała delikatne perełki różowej sukni. Nowy Jork może wyglądać jak najbardziej romantyczne miasto świata, pomyślała, ale nie oczekuj, że znajdziesz tu miłość.

Odwróciła się plecami do muzyki i światła. Jej wzrok padł na wielki metalowy kontener na śmieci, na którym ktoś niestarannie wymalował farbą napis: „Jezus cię kocha”. Podeszła do pojemnika i nagłym, gwałtownym gestem wepchnęła do środka suknię, pomiędzy gazety, pokruszone styropianowe kubki i niedopałki papierosów. Tak mocno naciskała, aż delikatny szyfon zaczął pękać, a czerwona maź z kartonów po pizzy pokryła smugą wyrafinowany wzór z perełek. To tyle, jeśli chodzi o jej głupie kobiece mrzonki. Wytarła palce i ruszyła dalej. Przyszło jej do głowy, że niektórzy znani jej marszandzi przetransportowaliby ten pojemnik wprost do galerii i wystawili z pięciocyfrową ceną jako „Studium z kartonem po pizzy nr 25”. Hmm, pizza. Z czym jej się to kojarzy?...

Dwadzieścia minut później była w Chelsea, przed drzwiami oficyny jednej z gorszych kamienic w mieście. Pod pachą trzymała papierową torbę. Okno wychodzące na wąskie frontowe podwórko było zamknięte, zasłony zaciągnięte, lecz w środku paliło się światło i Frei wydawało się, że słyszy gwar głosów. Był przecież pierwszy piątek miesiąca, no nie? Niektórzy ludzie wcale się nie zmieniają. Nacisnęła guzik dzwonka.

Rozległ się trzask otwieranych w mieszkaniu drzwi, jakiś męski głos coś zawołał, podeszwy zaszurały po podłodze. Później przed drzwiami zapaliło się światło i padło wprost na jej twarz. W progu stał wysoki, barczysty mężczyzna z bujną jasną czupryną i szklaneczką w dłoni.

Freya przystawiła do jego piersi dwa palce.

- Ręce do góry - powiedziała. - To napad.

Mężczyzna uniósł brwi, zaskoczony. Czyżby popełniła błąd? A jeśli ma u siebie jakąś laleczkę? On jednak wykrzyknął:

- Freya! Nie wierzę własnym oczom!

Zaraz też objął ją przyjacielskim uściskiem. Pachniał burbonem.

- Witaj, Jack. - Uwolniła się z jego ramion. - Dalej prowadzisz tę ja-skinię hazardu, co?

- Jasne. Właż. - Uśmiechnął się do niej. - Zawsze przyda nam się kolejny naiwniak.

- Sam jesteś naiwniak. - Poszła za nim po wyłożonej kafelkami podłodze, przeciskając się koło roweru ustawionego przy ścianie. - A kto ostatnim razem załatwił twojego fula nędzną parą dziewiątek?

Ale Jack kopnięciem otwierał już drzwi.

- Hej, patrzcie, kogo tu mamy!

Widok był tak znajomy, że nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Na środku stał wielki stół nakryty poplamionym obrusem i zastawiony butelkami z piwem, pudełkami papierosów, preclami, kolorowymi żetonami do pokera, banknotami, pełnymi po brzegi popielniczkami i -tak! - pudełkami po pizzy, w których wały się zeschnięte pomidory i zastygły ser. Pod okrągłą lampą wisiała chmura dymu. I wszyscy tu byli, cała stara paczka: Al siedział okrakiem na krześle i robił sobie skręta, Gus zręcznie tasował karty, a Larry liczył żetony i sumował je na kieszonkowym kalkulatorze. Był jeszcze ktoś, nieznamy w czarnej koszuli, z ciemnymi brwiami i wyzywającym spojrzeniem. Przez ułamek sekundy wszyscy zamarli w bezruchu, później zaś ożywili się nagle, jakby jej wejście zdjęło z nich urok.

Rozległy się słowa powitania. Ktoś poszedł do kuchni po lód, Frei wciśnięto w dłoń szklanekę. Larry objął przybyłą niedźwiedzim uściskiem, a jego kręcone włosy połaskotały ją w brodę.

- Ojej, ależ ty urosłaś - zażartował.

Wszyscy pytali, co u niej i gdzie tak długo się podziewała, aż poczuła nową urazę do Michaela. Jak śmiał zamknąć ją w tych swoich pedantycznych zwyczajach i domowych rygorach! Tutaj są jej prawdziwi przyjaciele.

- Nie wiedziałem, że pozwalacie grać kobietom. - Przez gwar przebił się sardoniczny głos. To mówił nieznamy, który dalej siedział przy stole i strzepywał popiół z papierosa.

Jack roześmiał się tubalnie i objął Freyę ciężkim ramieniem.

- Kobietom nie pozwalamy, ale Frei tak. To moja stara przyjaciółka, Leo. Freya należy do paczki.

- Na litość boską, to ona nauczyła nas Cincinnati Spin - dodał Gus. - Jak nie będziesz uważał, załatwi cię na szaro.

- Ja zawsze uważam. - Mężczyzna wstał i podał jej rękę. Nazywał się Leo Brannigan. - Więc ty jesteś tą sławną Freyą? - Przyglądał jej się z zaciekawieniem.

- Tak mi się wydaje - odparła wesoło.

- Jack wiele o tobie opowiadał. Jesteś Angielką, prawda?

- Tak.

- Ale mieszkasz w Nowym Jorku?

- Tak. - Co to, śledztwo?

Leo dalej trzymał ją za rękę.

- Jesteś zamężna?

- Nie. - Rozgniewana Freya cofnęła dłoń. - A ty?

- Jasne, że nie. - Na jego twarzy pojawił się rozbawiony półuśmiech. Freya nie była pewna, czy ocenił ją negatywnie, czy też niezwykle niezręcznie próbuje poderwać. - I grałaś wcześniej w pokera?

- Odkąd skończyłam osiem lat.

- No, no. - Znowu uniósł brwi. - Niech wygra najlepszy.

- Okay, Al, ty rozdajesz. - Głos Jacka nabrał energii. - Freya, znasz zasady. - Przyniósł jej krzesło i odliczył żetony. - Najmniejsza stawka jeden dolar, największa pięćdziesiąt, otwiera rozdający.

Freya знаła zasady: pierwsza brzmiała - żadnych pogaduszek. Wspaniale. Szybkim ruchem wyjęła z papierowej torby butelkę Southern Comfort i postawiła na stole. Później rzuciła żakiet i torebkę na wielką sofę, wsunęła kciuki za ramięczka trykotu, jakby to były szelki, i usiadła.

- Dawajcie - powiedziała.

Zaczęli od pokera odkrywano. Gdy tylko ujęła karty w dłonie, poczuła się skoncentrowana, pełna werwy i pewna siebie. Uwielbiała chwilę, kiedy świat kurczył się do kręgu światła nad stołem i nie było widać nic poza stosem żetonów, szelestem kart i szcękaniem, z jakim szklanka objęła się o butelkę. Na zewnątrz życie toczyło się swoim nurtem, tutaj wszystko zależało od szczęścia i skupienia. Jej ojciec mawiał: „Poker to nie jest gra, ale grecka tragedia: człowiek przeciwko Przeznaczeniu.

Nigdy nie triumfuj ani nie narzekaj”. Ha, niech tak będzie. Nalała sobie drinka na trzy palce, upiła wielki łyk i wymazała z myśli Michaela oraz cały ten nieszczęsny wieczór.

Fortuna jej sprzyjała i Freya grała jak z nut, wyczarowując karty z powietrza i podstępami zaskakując przeciwników. Za każdym razem, kiedy przypominała sobie współczujące oczy Michaela lub to, że nie ma gdzie spać, a całe jej życie legło w gruzach, po prostu łykała kolejną porcję alkoholu. Okazało się to niezwykle skuteczne.

Nad jej głową przepływała męska rozmowa - przyjacielska, znajoma i odprężająca. Najszczęśliwsze lata Freya spędziła właśnie w męskim towarzystwie. Z facetami nie musiała obawiać się groźnych zawsze ze strony kobiet podstępnych insynuacji, wścibskich pytań i rywalizacji - były tylko żarty, nowe historyjki, plotki o mediach, rozmowy o sporcie i seksie. W pewnym momencie ożywiona dyskusja o tym, czy pewna pani, która prowadzi talk show, jest seksowna czy też nie, zmieniła się w generalną debatę o typie kobiet, jaki preferuje każdy z obecnych. Byle było ich dużo, powiedział Jack. Wielkie cycki, zażyczył sobie Al, gestykulując przy tym szeroko. Duża masa, dodał Leo. Larry'emu było wszystko jedno, pod warunkiem że nie przewyższały go wzrostem.

- Racja, Larry - zgodziła się Freya. - Każdy wie, że idealna kobieta ma poniżej półtora metra wysokości i płaską głowę, żeby było na czym postawić kieliszek.

- No to ty odpadasz - roześmiał się Jack. - Powiedz nam, wasza wysokość, jaki jest twój idealny mężczyzna?

- Nie boi się pajaków. Twoje pięć - wyspała żetony do miski - podnośzę do... dwudziestu.

Gus z niesmakiem rzucił karty.

- Pasuję.

- Ja też - westchnął Al.

- Ona blefuje! - zaprotestował Jack. - Spójrzcie na jej twarz.

Freya uniosła brwi. Ależ z niego dzieciak.

- No, Freya - ponaglił ją Larry. - Zmasakruj go.

- Zaraz to zrobię.

- Założę się, że nie - rzucił wyzywająco Jack.

- Założę się, że tak. - Freya wytrzymała jego spojrzenie.

Oboje doskonale się bawili.

Jack wyciągnął ku niej palec.

- Jeśli wygrasz tę partię, to ja...

- Co? Zaprosisz mnie na Karaiby? Podarujesz mi swoją książkę z autografem?

- Postawię ci kolację w Valhalli w twoje urodziny.

- Ale ja mam urodziny za kilka miesięcy!

- No to co?

- Zapomnisz.

- Na pewno nie. Siódmego listopada, tak?

- Pomyłka. Ósmego.

- Jeszcze lepiej. Ósmego o ósmej, kto by zapomniał? To będzie wyjątkowe rendez-vous, jak w tym filmie...

- Wiem, wiem. Bogart i Bacali w „Key Largo”.

- To nie ten film - wtrącił Leo.

- A nie grali w nim przypadkiem Cary Grant i ta, jak jej tam? - podsunął Gus.

- Nieważne - odezwała się zniecierpliwiona Freya. W palcach czuła mrowienie. Szło jej dobrze i chciała już skończyć tę partię. Skinęła głową Jackowi. - Przyjmuję zakład.

- Jak przegrasz, to płacisz - ostrzegł ją.

- Jasne.

- Okay. Chcę, żebyście wszyscy byli świadkami. - Jack odliczył żetony i ceremonialnym gestem przesunął je na środek stołu. - Sprawdzam - zwrócił się do Frei.

Położyła karty, strzelając każdą elegancko.

- Trójka dam.

- Cholera! - Jack położył się na stole w geście udanej rozpaczki, po czym rzucił swoje karty. Miał pary w treflach.

Z okrzykiem triumfu Freya wyciągnęła ręce i przysunęła do siebie śliczny stosik żetonów. To była wspaniała partia. Czuła się cudownie.

- Zamówię homara - powiedziała - i risotto z trufkami. A także, naturalnie, szampana.

Teraz przyszła jej kolej na rozdawanie.

- Missisipi Hi-lo - oznajmiła. - Dwójki, asy, figury jednakowo. Leo z pogardą zaciągnął się papierosem.

- To babska gra.

Wyjęła mu papierosa z ust i zgmiotła go w popielniczce.

- Ale nie w moim wykonaniu.

Koło północy zrobili sobie przerwę na kawę. Freya stwierdziła, że zgromadziła ponad sto dolarów. Była w doskonałym nastroju, upojona adrenaliną i alkoholem.

- To nie w porządku. Przegrywam - narzekał Larry, obliczając coś na kalkulatorze.

- Nie rozklejaj się. Lepiej weź sobie precelka - poradziła mu Freya.

Wstała, przeciągnęła się, po czym śladem pozostałych poszła do kuchni. Nic się tu nie zmieniło: odrapane szafki z lat pięćdziesiątych, zasypyany okruchami toster, pożółkłe gazety, oprawiony rysunek z „New Yorkera”, który Jack uwielbiał, a który przedstawiał nobliwego wydawcę, mówiącego do załęcznionego pisarza: „To Dostojewski, to Tołstoj, a to Fitzgerald, tyle tylko, że nie tańczy”. Nie znalazła nigdzie czystej filiżanki, umyła więc jedną z bogatej kolekcji brudnych naczyń zalegających w zlewozmywaku. Jack stał koło kuchenki, z uwagą przysłuchując się Leonowi. Tworzyli dziwaczny duet, jeden sympatycznie niechlujny, drugi zaś zadbany, czujny i skupiony niczym kot. Ciekawa była, o czym tak rozprawiają. Kiedy kawa się zaparzyła, Jack z dzbankiem w ręku obszedł gości, z każdym żartując. Miał na sobie niebieską koszulę wyrzuconą na postrzępione i spłowiałe dzinsy, płócienne buty na gołych stopach i zatkniętego za ucho skręta. Jak mu to się udało? Freya nie umiała powstrzymać uśmiechu. Cudownie było znowu go widzieć, aczkolwiek nie mogła Jackowi tego powiedzieć. I tak zadzierał nosa.

Kiedy doszedł do niej, oparła się o stół i wyciągnęła ku niemu filiżankę.

- Świnia jesteś - powiedziała, gestem wskazując kuchnię.

- Mam inne sprawy - oświadczył. - Mój umysł zajęty jest ważniejszymi rzeczami.

- Czy to znaczy, że powieść dobrze ci idzie?

- Wielkiemu dziełu sztuki nie służy pośpiech.

- Trzy lata nie nazwałabym pośpiechem. Ile przekoczonych terminów masz na koncie? - Spojrzała mu w oczy. - Dobra, nic już nie powiem. Lepiej opowiedz mi o Leonie. Nigdy wcześniej go nie widziałam.

- Bo nigdy tu nie był. Wpadłem na niego kilka tygodni temu i zaproponowałem partyjkę, jeśli będzie miał chęć.

Jack sprawiał wrażenie nieco zdenerwowanego. Freya zastanawiała się, co też szykuje.

- A co ten Leo robi?

- Założył magazyn „Word”, pamiętasz? Opublikowali moje opowiadanie o chłopcu w burzy.

Freya skinęła głową.

- Dostałeś pięćdziesiąt dolarów i kupiłeś sobie rower.

- Tak. A teraz jest agentem literackim i świetnie mu się powodzi, załatwia milionowe umowy. - Jack przesunął dłonią po włosach. - Uważa, że mam talent.

- Oczywiście, że masz, powtarzam ci to od lat. Masz też agenta. Czyba nie chcesz zrezygnować z Elli po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiła?

- Nie... - odrzekł Jack z wahaniem, ale minę miał nietęgą. Odstawił dzbanek i wsunął dłonie głęboko w kieszenie. - A co u Marca?

- Michaela.

- Nieważne. Mam rozumieć, że pozwolił ci dzisiaj przyjść tu na pokera?

- A cóż to znowu za pytanie?

- No wiesz, odkąd jesteście razem, rzadko cię widzujemy.

Freya skrzyżowała ramiona na piersiach obronnym gestem i w milczeniu spojrzała mu w oczy. Upokorzenia, które stały się jej udziałem tego wieczora, wróciły wielką falą. Ależ była głupia! Nie zamierzała jednak się załamać i szlochać jak byle mazgaj - zwłaszcza w obecności Jacka.

- Wszystko jest po prostu „super”, tak czy nie? - dopytywał się z leniwym uśmiechem.

Freya zacisnęła palce na łokciach.

- Nie wiesz, że w Anglii nikt nie mówi „super” od 1969 roku?

- Z wiekiem robisz się okrutnie uszczypliwa. Ten biedny stary Martin chyba musiał cię dzisiaj wyrzucić z domu, żeby w spokoju zająć się jakimiś miłymi dokumentami.

- Michael! - powtórzyła ze złością Freya. - Przynajmniej ma prawdziwą pracę. Wiesz, niektórzy ludzie muszą zarabiać na życie.

Jack się uśmiechnął.

- Ostrożnie, wydymasz nozdrza. Wyglądasz jak niezwykle władcza wielbłądzica.

- Och, zamknij się. - Odepchnęła go i wróciła do stołu. Nie miała najmniejszej ochoty na docinki.

Kiedy znowu zaczęli grać, szczęście zupełnie ją opuściło. Może z powodu alkoholu, może skrętów, a może po prostu brutalnej samczej żądz wygranej za wszelką cenę, mężczyźni stali się bardziej agresywni. Freyę ogarnęło wrażenie, że została wyrzucona na margines, a stosik jej żetonów stopniał do zera. Dobrała kilka kart i wypisała pokwitowanie na pożyczkę. Szybko spasowała, po czym z telefonem komórkowym wyszła do przedpokoju, żeby zadzwonić do Cat, która teraz na pewno powinna być już w domu.

- Tu mieszkanie Cateriny da Fillipo. Proszę zostawić swój numer i nazwisko, a ja oddzwonię.

Freya jęknęła.

- To ja - oznajmiła, gdy przebrzmiał sygnał. - Jesteś mi potrzebna. Zadzwoń na moją komórkę zaraz po wysłuchaniu tej wiadomości. Bardzo cię o to proszę.

Kiedy wróciła do stolika, mężczyźni rozmawiali o kimś, kogo nie znała, facecie z Wall Street, który odniósł wprost bajeczny sukces. Nazywał się Waverly Lions.

- Cóż za idiotyczne nazwisko - odezwała się, by przypomnieć im o swojej obecności.

Żaden nie zwrócił na nią uwagi. Dalej gadali o mieszkaniu z trzema sypialniami niedaleko Central Parku, domu w East Hampton - z widokiem na morze, oczywiście - robionych na zamówienie butach i lamborghini Waverly'ego Lionsa.

- Nie mam pojęcia, kiedy on w ogóle pracuje - powiedział Al z podziwem - bo ciągle wysiaduje w barze Wine and Cigar, pije szampana albo wysyła kurierów po dragi. A wiecie, co robi, żeby uczcić szczególnie dobrą umowę? Bierze sobie „Czerwoną Wiedźmę”. - Al konspiracyjnie skinął głową. - Wiecie, o kogo chodzi?

- Co? Co? - Larry nie krył podniecenia.

Al ostrożnie zerknął na Freyę i zniżonym głosem wyjaśnił:

- Rosyjska prostytutka. Naprawdę z klasą, pięćset dolarów za godzinę. Waverly mówi, że musi być Rosjanką, bo inaczej on nie daje rady, no wiecie...

- Gówno kapitalistycznych macho - mruknęła Freya. Odchyliła się, balansując na krześle, żeby okazać swój dystans wobec tych trywialnych sensacji, którymi tamci przerzucali się niczym piłeczką tenisową.

- Pięćset dolarów za godzinę! - W głosie Gusa brzmiała zazdrość.

- Dla Waverly'ego to jak kupno batonika. Jego roczny dochód ma co najmniej pół kilometra zer.

- Chryste...

- A do tego wszystkiego ma gigantyczny penis.

Krzesło Frei opadło z trzaskiem na cztery nogi. Ci faceci są nie do zniesienia!

- Jak gigantyczny? - zapytała ostro.

- Wręcz obscenicznie.

- Największy w historii firmy, tak mi mówił.

- Wymienianie dokładnych cyfr byłoby wulgarne.

- W to nie wątpię - prychnęła. Mężczyźni przechwalają się jak dzieci. Zwróciła się do Ala: - Więc skąd to wiesz?

- Powiedział mi to w rozmowie w cztery oczy.

- Och, on ci powiedział? - Freya roześmiała się ze współczuciem. - Ale sam tego nie widziałeś?

Spojrzeli na nią, jakby postradała zmysły. Może istotnie jej ciekawość była cokolwiek lubieżna, skoro jednak zaczęła, musiała sprawę wyjaśnić do końca.

- No jak, widziałeś?

- Jasne, że nie. Nie bądź głupia.

- Dlaczego nie? I nie mów tak do mnie.

- Przecież nie może mi pokazać.

- A to czemu?

- Bo jest w banku, idiotko.

- Trzyma penis w banku?!!! - Freya uniosła brwi.

Pięć sekund absolutnej ciszy. Pięć par męskich oczu wpatrzonych w nią ze współczuciem i niesmakiem. Jack odchrząknął.

- Al nie mówił o penisie, tylko o bonusie.

- Och.

Rumieniec, nad którym panowała w trakcie tej rozmowy, teraz oblał ją całą niczym płomień. Nagle znowu znalazła się w szkole, wyższa o głowę od wszystkich dziewcząt, i zaśpiewała pełnym głosem kolędę o nutę za wcześniej. Zobaczyła, że Leo rzuca Jackowi spojrzenie mówiące: „Gdzie znalazłeś taką kretynekę?”, i zmartwiła, gdy przyjaciel w odpowiedzi machnął ręką: „Wiem, ale daj temu spokój”. Freya zmusiła się do śmiechu:

- To dobrze, że nie jestem sekretarką Freuda, co?

Rozbawiła ich, ale czuła się jak ostatnia idiotka. Od tej chwili trzymała usta zamknięte, otwierając je tylko do picia. Southern Comfort jednak zamącił jej w głowie. Pomyliła szóstkę z dziewiątką, a potem narzekała, kiedy przegrała. Stwierdziła, że znowu nie ma żetonów, i poprosiła o następną pożyczkę. Oczy szczypały ją od dymu, skóra paliła.

Po kolejnym katastrofalnym rozdaniu położyła głowę na stole i zamknęła oczy. Czuła się strasznie. Po co tu przyszła? Straciła wszystkie pieniądze i wystawiła się na pośmiewisko. Wszyscy uważają, że jest głupia. Nikt jej nie kocha. Nikt nigdy jej nie pokocha. Chce się położyć.

Łóżko!

- Poczekaście chwilę! - powiedziała ochrypłym głosem, prostując się i usiłując zebrać myśli. Ktoś rozdawał karty. - Muszę zadzwonić.

Złapała telefon i zaczęła naciskać guziki. Nic to nie dało. Walnęła telefonem o stół i spróbowała raz jeszcze.

- Ta głupia komórka nie działa.

- Może dlatego, że próbujesz dzwonić z kalkulatora. - Głos Leona był suchy jak Sahara.

Pozostali uznali to za doskonały dowcip i Freya usłyszała, jak rechoczą ze śmiechu. Dostrzegła, że z drugiej strony stołu Jack szczyrzy do niej te swoje idealne zęby bogatego chłopca. Rozpalona alkoholem i gniewem, rzuciła w niego kalkulatorem. Trafił prosto w szklankę, rozchlapując naokoło alkohol.

- Freya! Co ty wyprawiasz?

- Odwal się, Jack. Nawet cię nie musnęło.

- Ona jest pijana.

- Odwal się, Al. Nie jestem pijana.

- Wezwijmy dla niej taksówkę.

- Odwal się, Gus. Nie trzeba mi taksówki.

Coś dziwnego działo się z tym pokojem. Ściany trzepotały jak wydymane wiatrem żagle, podłoga się kołysała. Ktoś się nad nią nachylił.

- Dobrze się czujesz, kochanie?

- Odwal się, Larry. Nic mi nie jest - wymamrotała, po czym straciła przytomność.

Rozdział trzeci

Pościel była gorąca i wilgotna, przez cienkie zasłony wpadały ostre promienie słońca. Gdzieś bzyczała mucha. Jack jęknął. Wargi miał splekane, smak w ustach przywodził na myśl jaskinię z nietoperzami. Odwrócił się na brzuch i schował twarz w poduszkę.

Znowu rozległo się bzyczenie; nie była to jednak mucha, tylko dzwonek do drzwi. Jack z trudem odkleił powiekę i zerknął na zegar. Dochodziło południe. Nie było wyjścia - zmusił ciało do przyjęcia pozycji siedzącej. Po bolesnej przerwie jego mózg podjął pracę. Hemingway prawdopodobnie czuł się tak przez większość swojego życia, powiedział sobie Jack, a ta dodająca otuchy myśl umożliwiła mu podniesienie nóg i wciągnięcie dżinsów. Uzupełnił strój czystym podkoszulkiem, po czym powlókł się do drzwi. W korytarzu coś boleśnie zraniło go w bosą stopę. Z przekleństwem oderwał kapsel od pięty i rzucił go za siebie. Przypomnił sobie, że Hemingway w końcu się zastrzelił.

Na progu stała śliczna młoda kobieta i uśmiechała się promiennie. Jack automatycznie odpowiedział jej tym samym. Wystarczyła chwila, by rozpoznał w niej jedną ze swoich studentek z seminarium kreatywnego pisarstwa, które prowadził we wtorkowe wieczory. Nazywała się Candace Jakośtam. W zeszłym tygodniu poszli razem na drinka. Jej umiejętność słuchania zrobiła na nim wielkie wrażenie.

- Mam nadzieję, że moja wizyta nie sprawia kłopotu - zaczęła nieśmiało. - Powiedziałeś, że jeśli będę w okolicy... to popracujemy nad moim konspektem, pamiętasz? - Wskazała na swoje piersi, pełne i cudnie zaokrąglone. Dopiero po jakimś czasie Jack dostrzegł, że przyciskała do biustu plik papierów i jakieś książki. - Ale jeśli pora jest nieodpowiednia...?

- Nie, nie, skądże - zdobył się w końcu na odpowiedź. Ciemne włosy spadały jej na ramiona połyskliwą falą. Cerę miała gładką i promienną. - Pora jest idealna. Wejdz, proszę.

Usunął się, by zrobić jej przejście. Kiedy go mijala, poczuł świeży zapach mydła, co przeniosło go w czasy szkolne.

- Piękne szkło - powiedziała Candace, podziwiając drzwi. - Uwielbiam te stare domy. Pełno w nich...

- Cholera! - Jack aż się wzdrygnął, gdy otworzył drzwi do salonu i w nozdrza uderzył go odór pozostały po ostatniej nocy. Skąpiana w przyziemnym świetle scena, którą ujrzał, była jakby żywcem wyjęta z filmu Quentina Tarantino.

- Zapomniałem. - Potarł się w zarośnięty policzek. - Poczekaj chwilę, dobrze?

Candace posłusznie zatrzymała się w progu, a Jack pośpiesznie odsunął zasłony. Później obszedł pokój, zbierając butelki, szklanki, popielniczki, zgniecione opakowania po chipsach i inne śmieci, które złożył w nieporządkny stos na środku stołu. Ruchem świadczącym o wielkim doświadczeniu w takich sprawach związał obrus w wielki toboł i wyniósł grzechoczący ciężar do kuchni. Po powrocie otworzył okno, sprawdził, czy pod poduchami na sofie nie zostały jakieś resztki wczorajszych szaleństw, wreszcie poklepał jedną zapraszająco.

- Siadaj, proszę. Zaparzę kawę.

Candace, oparta o futrynę, przyglądała mu się ze szczerym rozbawieniem. Koniuszek jej różowego języka dotykał górnej wargi.

- Co cię tak śmieszy?

Uśmiech dziewczyny zrobił się jeszcze szerszy, odsłaniając proste perłowe zęby.

- Ty.

Jack doszedł do wniosku, że to dobry moment, by wcisnąć podkoszułek w spodnie.

- Wieczorem było przyjęcie - jęknął znacząco.

- Domyśliłam się. - Usiadła na sofie i założyła jedną gołą nogę na drugą. Westchnęła marzycielsko. - Uwielbiam przyjęcia.

- Ale nie takie - wyprowadził ją z błędu Jack. - To był męski wieczór. Karty, alkohol i inne rzeczy. Jesteś na to o wiele za młoda i za niewinna.

- Mam dwadzieścia dwa lata! - zaprotestowała oburzona.

- No właśnie.

Jack poszedł do kuchni, uśmiechając się pod nosem. Młode dziewczyny są takie słodkie. Próbował sobie przypomnieć, nad jakim to

opowiadaniem Candace pracuje. Monolog nastolatki o skłonnościach samobójczych czy historia o wilku? Chyba czas już ograniczyć picie.

Gdy kawa się parzyła, Jack znalazł w łazience pastylki od bólu głowy i połknął kilka, popijając tabletki całą szklanką wody. Później wycisnął na palec trochę pasty i rozprowadził ją na zębach językiem. Od razu zrobiło mu się lepiej. Kiedy poczuł się już czysty, pamięć zaskoczyła i teraz przypomniał sobie, że Candace podeszła do niego po seminarium i zapytała o jakiś problem dotyczący „Wściekłości i wrzasku”. Tak, William Faulkner był jej idolem: południowiec, geniusz, amator whisky. Fakt, że ta młoda kobieta o świeżej twarzyczce odważyła się przekroczyć kordon sanitarny otaczający Sycylię Plath, Toni Morrison i resztę politycznie poprawnych pisarzy, był doprawdy inspirujący, i Jack zapragnął lepiej ją poznać. Po trzech piwach wciąż opowiadał dziewczynie o Faulknerze, południu, literaturze i sobie samym, zachęcony jej pochlebnią mu uwagą oraz pragnieniem uniknięcia niezręcznych pytań dotyczących „modalności” i „semiotyki”. Oto główny problem z owymi samoukami i niedokształconymi studentami: niekiedy lepiej znali żargon krytyków literackich niż on sam. Wkrótce okazało się, że minęła północ; nie udało im się porozmawiać o Candace, aczkolwiek Jackowi majaczyły w pamięci jej słowa, że jest sekretarką i pochodzi z jakiegoś ponurego przemysłowego miasta w rodzaju Pittsburgha. Zapewne na pożegnanie dał jej swój adres z niezobowiązującym zaproszeniem, chociaż tego w ogóle nie pamiętał. Naprawdę musi przestać pić.

Kiedy wrócił do pokoju z kawą, dziewczyna sprawdzała zawartość półek.

- Tyle książek! - wykrzyknęła z podziwem. - Aż trudno uwierzyć, że wszystkie je przeczytałaś.

Jack całkowicie się z nią zgadzał.

- Wydawcy przysyłają mi egzemplarze okazowe. Poza tym zajmuję się recenzowaniem nowości. - Wzruszył skromnie ramionami, wychlapując przy tym kawę.

- Pozwól, że ja się tym zajmę. - Candace odebrała od niego tacę, sprawnie rozlała kawę do filiżanek i dodała mleka z kartonu. Jack rozsiadł się w fotelu. - Więc to jest dom Jacka Madisonsa - powiedziała, zajmując miejsce na sofie. - Nie wyobrażasz sobie, jakie to dla mnie fascynujące - zobaczyć mieszkanie prawdziwego pisarza.

Jack rozejrzał się po pokoju. Na podłodze wznosiły się stosy gazet, klosz od lampy zwisał z metalowej ramy, bo ostatniej nocy ktoś na niego wpadł, a w powietrzu nadal unosił się zapach trawki.

- Chyba trochę tu nieporządnie.
- Bo takie jest tworzenie. Pisanie strasznie człowieka angażuje, właśnie zaczynam przekonywać się o tym na własnej skórze. Jeśli moja współlokatorka mówi coś do mnie, mam ochotę jej odpowiedzieć, żeby zostawiła mnie w spokoju. - Przerwała na chwilę. - Czy tobie też się to zdarza?
- Naturalnie. - Jack poczuł znajome ukłucie paniki. Nigdy nie doświadczył tego rodzaju pisarskiej blokady; pozwalał, by powieść dojrzała w jego wyobraźni.
- Ale może nie masz współlokatora, który by ci przeszkadzał? - Candace z ciekawością przekrzywiła głowę.
- Co? Och, nie. Nie cierpię mieszkać z kimś innym.
- Nawet... z kobietami?
- Zwłaszcza z kobietami. Wszystkie te kłótnie o wynoszenie śmieci albo o wypite mleko. Kogo to obchodzi? Lubię robić to, co mi się podoba. Skinęła głową ze zrozumieniem.
- Samotność jest niezbędnym warunkiem pisania.
- Jasne. Racja. - Była niezwykle wygadana jak na dwudziestodwulatkę.
- Więc powiedz mi, Jack, kim jesteś?
- Tym pytaniem zbiła go z tropu.
- Chyba pisarzem.
- Nie, chodzi mi o znak zodiaku - sprostowała Candace, rozbawiona jego ignorancją. - Zaraz, niech zgadnę. - Ze zmarszczonym czołem rozważała poszczególne możliwości. - Sprawdźmy. Jesteś twórczy, wrażliwy, inteligentny...
- Mów dalej.
- ...i cokolwiek egoistyczny. Hmm. Wodnik? Tak?
- Nie mam zielonego pojęcia. Urodziłem się pierwszego lutego, o ile to ci pomoże.
- Wiedziała! - Podniecona Candace klasnęła w dłonie, a jej piwne oczy otworzyły się szeroko. - Niesamowite! Powodem jest pewnie to, że urodziłam się pod znakiem Strzelca, wiesz, chodzi o intuicję i te rzeczy. Jestem na granicy Skorpiona.
- Jack nie miał pojęcia, o czym ona mówi, ale wyglądała tak słodko i zuchwale, że uśmiechnął się tylko.
- Chciałam cię prosić o przysługę. - Dziewczyna wyjęła z torebki pióro, po czym sięgnęła do swego stosu papierów.

Jack poczuł, jak wszystko się w nim wywraca. Nie miał ochoty spędzać soboty na analizie czyjejs marnej prozy. Podała mu książkę.

- Wiem, że to niezręczne, ale czy...?

Z zadowoleniem rozpoznał własną książkę: zbiór opowiadań, który przyniósł mu strumień pochwalnych recenzji. Wydano ją także w twardej oprawie.

- Och, nie powinnaś była marnować pieniędzy.

- Znalazłam tę książkę na wyprzedazy, przecenioną o połowę. Miałam szczęście, czyż nie?

Jack zmarszczył czoło. Z pewnością takich stwierdzeń pisarze nie słuchają z przyjemnością. Otworzył książkę na stronie tytułowej, wziął pióro i przez chwilę się namyślał. Potem nabazgrał „Candy jest słodka” i podpisał się z zakreślasem. Zamknął książkę i oddał dziewczynie.

Candace pogładziła z szacunkiem obwolotę.

- Chybabym umarła, gdybym zobaczyła własne nazwisko na prawdziwej książce.

- Miałabyś okropnie krótką karierę.

Roześmiała się i mocno przytuliła książkę do okrągłych piersi, które wypiętrzyły się nad dekoltem obcisłej bluzeczki. Jack był ciekaw, czy to właśnie kobiety nazywają „topem”. A może biusthalterem albo baskinką? Cokolwiek to było, z przyjemnością uściskałby rękę projektantowi rewelacyjnego stroju.

- Posłuchaj - rzucił niedbale - co robisz wieczorem?

- Ja? - Candace uniosła brwi w wyrazie zdziwienia. - Nic takiego.

Dlaczego pytasz?

- Pomyślałem sobie, że zostawisz mi swoją pracę, ja ją przeczytam i przy kolacji o niej porozmawiamy.

- Tylko ty i ja?

- Tylko ty i ja.

- Ale jest sobota. - Uwodzicielsko wygięła usta. - Na pewno coś zaplanowałaś. Nie ma nikogo...?

- Nikogo - odparł zdecydowanie Jack. - I nic. Żadnych planów, żadnych zobowiązań, żadnych...

W przedpokoju nieoczekiwanie zapanował harmider; dał się słyszeć okrzyk bólu, głośny trzask, a po nim niewyraźne przekleństwa. Do pokoju wpadła blada jak ściana postać, ubrana jedynie w koszulę w paski. Jackowi ów strój wydał się dziwnie znajomy. Rozpoznał swoją koszulę. A kobietą była Freya. Całkiem o niej zapomniał.

- Przepraszam - wychrypiała. - Och!

Skrzywiła się, gdy ostre promienie słońca padły na jej twarz, i zasłoniła oczy dłonią. Później po omacku poczłapała przez pokój, po drodze kładąc kapsel na stole. Jack, niezdolny wykrztusić słowo, patrzył, jak Freya kieruje się do łazienki. Trzasnęły drzwi, a potem rozległy się charakterystyczne odgłosy towarzyszące wymiotom.

- Muszę już iść. - Candace wstała, poważna i surowa.

- Przecież dopiero przyszedłaś! - Jack poderwał się z fotela i zagroził jej drogę. Miał ochotę udusić Freyę. - Nawet nie dopiłaś kawy. Usiądź, proszę.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Muszę zrobić zakupy. A ty jesteś zajęty.

- Wcale nie. Och, chodzi ci o nią? - W głosie Jacka dźwięczało niedowierzanie. - Przyszła wczoraj na karty i upiła się. Nic jej nie będzie.

- Mówiłeś, że to był męski wieczór.

- Freya to nie dziewczyna - zachichotał, rozbawiony taką możliwością. - To stara znajoma. Bardzo stara. Dosłownie. - Przełknął głośno. - Niedługo stuknie jej czterdziestka.

Candace spojrzała mu w oczy. Sprawiała wrażenie wstrząśniętej.

- Osobiście - dodał Jack, zniżając głos - uważam, że to smutne, kiedy ktoś w tym wieku traci nad sobą kontrolę i trzeba go położyć do łóżka w gościnnym pokoju, nieprawdaż?

Wzruszyła ramionami.

- W tym wypadku był to mój gabinet. To takie irytujące. Przez całe rano nie mogłem pracować. Im szybciej jej się pozbędę i wyślę do narzeczonego, tym lepiej.

- Jak uważasz. - Dziewczyna potrząsnęła głową. - To nie moja sprawa.

- Świetnie. Więc jesteśmy umówieni na wieczór?

- No, nie wiem...

- Daj spokój - zaczął ją przekonywać Jack. - Jak skończę powieść, jeśli nie powiesz mi wszystkiego o semantyce?

- Semiotyce. - Czyżby na jej ustach pojawił się cień uśmiechu?

- Widzisz, nawet nie umiem poprawnie tego wymówić. Może zapiszesz mi swój numer telefonu? Kiedy pozbędę się Frei, zadzwonię do ciebie.

- Nie wiem - powtórzyła, bawiąc się pasmem włosów. - Być może jednak będę zajęta.

- Ale i tak napisz. Na wszelki wypadek.

Kilka minut później stał na chodniku i patrzył, jak Candace odchodzi, kołysząc biodrami. Słońce oświetlało jej gładkie zaokrąglone łydki, odbijając się od złotego łańcuszka na kostce. Całą sobą sygnalizowała, że jest wolna. Ha, czemu nie? - pomyślał. O ile oczywiście Freya wszystkiego nie zepsuła. Jack wepchnął dłonie głęboko w kieszenie i mruknął: „Dzięki, Freya, prawdziwy kumpel z ciebie”.

Wróciwszy do domu, rozejrzał się za nią. Przynajmniej pomoże mu posprzątać bałagan po wieczornej imprezie. Wszystko jednak wskazywało na to, że kac gigant kazał jej się położyć. Myśl, że Freya śpi w jego mieszkaniu, w dziwny sposób go zaniepokoiła. Potarł dłonią po piersi, zastanawiając się, co dalej robić. Było mu przykro, że biedaczka nie czuje się dobrze, z drugiej zaś strony przysporzyła mu potężnego kłopotu, a przecież nie jest jego dziewczyną. O, nie! Michael może się nią zająć, jest w tym dobry. Jack ruszył w stronę telefonu. Podświadomie ściągnął usta i zaczął drobić nogami, wyobrażając sobie tego faceta, jak niesie dzbanek herbaty lub poprawia poduszki. A zaraz potem otrzeźwiał. Co właściwie mówią zasady etykiety o dzwonieniu do innego mężczyzny z informacją, że jego dziewczyna spędziła u ciebie noc?

Rozważając ten problem, Jack opadł na fotel koło telefonu i zaczął leniwie kartkować swój notes z adresami. Zniszczone stronicie miały ośle uszy, na każdej pełno było nazwisk i numerów wpisywanych, przekreślanych, poprawianych lub ozdabianych tajemniczymi gwiazdkami, które nadawały im pozory skomplikowanego szyfru. „Barbie (siostra C)” - a ktoś to taki? „Angelo's Bar (automat)” - gdzie to było? Jack dobrze pamiętał, gdy kartki notesu były sztywne i puste, a skórzana oprawa błyszcząca i ozdobiona jego inicjałami; notatnik był pożegnalnym prezentem od Lauren, jego macochy, „z myślą o wszystkich tych cudownych przyjaciółach, których spotkasz na swej drodze”. Już wpisała dane na pierwszej stronie. Nazwisko: James Randolph Caldwell Madison III. Adres: Nowy Jork. Zawód: pisarz. Jack nie zapomniał, jak przed laty jego młodzieńcze ego puchło z dumy na widok owych informacji, aczkolwiek po kilku tygodniach spędzonych w wyrafinowanym miejskim otoczeniu usunął tę kartkę.

Obecnie notatnik stanowił przyjemnie obszerne kompendium wiedzy o wydawcach, kinach, dziewczynach, ulubionych barach, redaktorach naczelnych magazynów, bibliotekach, klubach bilardowych, restauracjach, księgarniach, punktach ksero - i naturalnie o przyjaciółach. Dane Frei pieniały się pod literą „F” niczym osty na łące. Jack nie znał żadnej innej osoby, która równie często by się przeprowadzała.

Pierwszy zapis, obecnie wykreślony, podawał adres w tamtej przeciekającej starej kamienicy w Brooklynie, do której poszedł, szukając taniego pokoju podczas pierwszego tygodnia pobytu w Nowym Jorku. Przed oczyma mignął mu obraz długich blond włosów okalających odwróconą do góry nogami twarz, gdy przechylona przez poręcz dziewczyna wołała do niego z górnego piętra.

W tamtych czasach Freya, wyrafinowana dwudziestopięcioletka, wydawała mu się istotą wyższą - sam ledwo skończył dwadzieścia dwa lata. Wiedziała, gdzie za pięć dolarów można się najeść zupy i bułek, na którym pchlim targu mają najtańsze meble, jak wślizgnąć się na wernisaż i rozkoszować darmowymi kanapkami i szampanem i w których kinach pozwalają dwukrotnie oglądać ten sam film, dzięki czemu człowiek może porządnie się ogrzać. Wprowadziła go do „bandy”, luźnej grupy przyszyłych artystów, aktorów i pisarzy, która marzła w zimie, a latem wywlekała materace na dachy i schody przeciwpożarowe, plotkowała u Ambrosia nad kawą i pączkami, pożyczala sobie pieniądze i ubrania i wzajemnie się zapewniała, że każdy z nich to geniusz. Freya była sławna ze spaghetti, którym czcili swe niewielkie sukcesy; po nim nieodmiennie podawała niesmaczny angielski deser zwany puddingiem chlebowo-maślanym. Jack odkrył jednak, że pudding można zjeść, jeśli dodać do niego lody. Od samego początku podziwiał jej błyskotliwość, ostry dowcip, niezależność umysłu - nawet zimną ironię, która tak się różniła od zalotnych docinków dziewcząt w jego rodzinnym mieście. Chociaż była taka chwila, pewna noc wiele lat temu, kiedy pomyślał...

Zmarszczył brwi. Nie miał najmniejszej ochoty wracać do tamtej upokarzającej sytuacji. Oboje byli wtedy innymi ludźmi. Zajął się na nowo notatnikiem, pośpiesznie przesuwał wzrokiem po kolejnych zapisach dotyczących Frei: w centrum, na przedmieściach, ten chłopak, tamten chłopak, ta praca, tamta praca. Tak, dziesięć lat to kawał czasu. Wciąż się przyjaźnili i na pewno nigdy nie przestaną się przyjaźnić, ale on ma swoje życie, a ona swoje. Odnalazł i wybrał numer Michaela.

Rozdział czwarty

...Tarczę księżycą otaczała przeźroczysta świetlista smuga, zawieszona w atramentowej studni nocy. Patrząc na nią, Garth poczuł, jak w jego łędźwiach budzi się coś mrocznego i prymitywnego. Jęknął ogarnięty tęsknotą, jego głos przypominał wołanie samotnej gęsi. Miał wrażenie, że spada w dół wprost w otchłań rozpacz. Czy na tym okrutnym świecie nie ma dla niego miłości tylko dlatego, że jego skóra jest czarna?

Jack wyjął zza ucha ołówek i zawahał się, zatrzymując dłoń nad stronicą. Od czego zacząć? W końcu zadowolił się poprawieniem pisowni wyrazu „przezroczysty”, wstawił przecinek i kilkakrotnie wgryzł się z pasją w ołówek, nim znowu zatknął go za ucho.

Było wczesne popołudnie. W ciągu ostatnich kilku godzin pozmywał naczynia, postawił filiżankę herbaty przy łóżku pozostającej w śpiączce Frei, posprzątał salon i wyniósł śmieci. Teraz, ze stosem kartek na pierśsiach, leżał na kanapie pod wielkim oknem, opierając wygodnie o poręcz stopy w tenisówkach.

Sprawdził, ile jeszcze zostało mu do końca, i westchnął. Z tego, co mógł na razie wywnioskować, dzieło „Zakazane”, copyright by Candace Twink, było osadzoną w czasach wojny secesyjnej opowieścią o przekletej miłości pomiędzy feministyczną wersją Scarlett O'Hara i czarnym niewolnikiem, któremu najwyraźniej nieobcy był egzystencjalizm. Doświadczenie mówiło mu, że to nie pastisz.

Co jej powiedzieć? Na pewno nie prawdę. Całość wprawdzie była nędzna, ale trafiały się w niej niezłe fragmenty. Osobiście Jack powątpiewał, czy w ogóle można kogoś nauczyć kreatywnego pisarstwa. Przeklinał słowo „kreatywne”, kojarzyło mu się z tańczącymi boso kobietami

w zwiewnych szatach i nikomu niepotrzebnymi wyrobami z muszelek. Dobre pisarstwo jest rzemiosłem, wielkie pisarstwo sztuką, twórcze pisarstwo zaś najczęściej nie bywa ani jednym, ani drugim. Jack potrzebował jednak pieniędzy. Z tego też powodu pisywał recenzje i opowiadania do magazynów. Pensja wyznaczona przez ojca przestała mu wystarczać. Z niechęcią pomyślał o tacie z jego domami w górach i na plaży, posiadłością w Madison, drogimi cygarami i jeszcze droższymi żonami. Staruszek nie miał zielonego pojęcia, ile kosztuje życie na Manhattanie. Ustalona przez niego kwota ledwo pokrywała czynsz, kiedy wszakże syn poprosił o więcej, w odpowiedzi zobaczył słynny uśmiezek i usłyszał radę, aby poszukał sobie „prawdziwej” pracy. Nic dziwnego, że Jack wciąż nie mógł skończyć swej powieści. Pisarz powinien oddychać czystym olimpijskim powietrzem wyobraźni, nie troszcząc się o przyziemne potrzeby i nie zatruwając talentu poniżającą harówką.

Choć i ta sytuacja nie była pozbawiona plusów. Jack przekartkował maszynopis Candace, by się przekonać, czy nie ma tam jakichś seksualnych kawałków, z których mógłby wyciągnąć wnioski na wieczór - zakładając naturalnie, że uda mu się ją przekonać. Ku jego rozczerowaniu autorka wyraźnie preferowała metafory, aczkolwiek otuchy dodała mu wzmianka o „dumnej męskości”. Odchylił głowę o poręcz kanapy i zaczął wyobrażać sobie przebieg spotkania. Najpierw zabrałby Candace na drinka do baru Z, gdzie mogliby popijać koktajle na dachu i wypatrywać, czy nie pojawią się jakieś sławy; dziewczyny to lubią. Ważne jest, by załatwić sprawę na samym początku, tak więc im szybciej odda maszynopis i wygłosi uwagi krytyczne, tym lepiej. Ułożył sobie kilka fraz i sprawdził, jak brzmią: oryginalny pomysł... wnikliwe obserwacje... interesujące - nie, przykuwające uwagę zastosowanie porównań. Doskonała interpunkcja. A później, przy drugim koktajlu, mógłby zaproponować jakąś drastyczną zmianę, na przykład wykreślenie drugiego wątku z kaleką, dzięki czemu dałaby upust swoim emocjom. Pokłóciliby się, niewykluczone, że popłynęłyby łzy, on by przeprosił, później by się pogodzili i zmienili lokal na jakąś mroczną jazzową restaurację. Wieczór zakończyłby u niej.

Usatysfakcjonowany tym planem, Jack włożył z powrotem maszynopis Candace do teczki. Zgłodniał, w końcu odwalił kawał roboty. Postanowił zrobić sobie kanapkę i odświeżyć umysł lekturą „New York Review of Books” - albo lepiej meczem w telewizji, o ile grają Jankesi. Wstał z kanapy, rozpostarł szeroko ramiona i ziewnął, wciągając przy tym

powietrze z takim zapachem, że z jego gardła dobiegł dziwaczny odgłos. Cholera! Czy to przypadkiem nie było wołanie samotnej gęsi? Wsadził pięści pod pachy i w ramach eksperymentu pomachał łokciami.

- Wybierasz się dokądś? - usłyszał z tyłu.

Odwrócił się na pięcie.

- Och, Freya, witaj - rzucił, usiłując zamienić machanie w energiczny masaż żeber. - Czujesz się lepiej?

- Dzięki, dobrze. - Była kompletnie ubrana w strój z poprzedniego wieczora, przez ramię miała przewieszoną torebkę. - Chciałam się tylko pożegnać i podziękować. Przykro mi, że sprawiłam ci kłopot.

- Nie ma sprawy.

Oficjalne zachowanie Frei zbiło Jacka z tropu. Przyjrzał się jej uważnie. Była bardzo blada.

- Chcesz może kawy? Albo aspirynę?

Potrząsnęła głową.

- Lepiej już pójde.

- Dobra. - Jack zawałał się, niepewny, czy może zaryzykować szczegółowe pytania. Freya zawsze zachowywała się tak, jakby jej życie prywatne było tajemnicą wagi państwowej. - A dokąd? - ośmielił się w końcu.

- Do domu, naturalnie.

I właśnie to „naturalnie”, wypowiedziane z taką pewnością, spowodowało go do pytania:

- Czemu nie zadzwonisz do Michaela? Na pewno martwi się o ciebie.

Natychmiast tego pożałował. Twarz Frei zamknęła się niczym kruche morskie stworzenie podrażnione patykiem.

- Och... no wiesz... niech dojdzie. Nie jestem psem, którego gwizdnięciem sprowadzasz do domu. - Rzuciła mu jedno z tych swoich spojrzeń. - A ty umiesz gwizdać, prawda?

- Ściągasz usta i dmuchasz - automatycznie dokończył powiedzonko.

Była to ich stara zabawa, tylko że teraz nie miał na nią ochoty.

Freya otworzyła torebkę.

- Zapewne jestem wszystkim winna pieniądze.

- Niestety, ale nie martw się, zapłaciłem za ciebie, bo ty...

- Spałam. - Wyjęła portfel.

- Nieważne. W sumie to całkiem sporo, dwieście pięćdziesiąt dolarów.

Jej dłoń zastygła.

- Obawiam się, że nie mam przy sobie książeczki czekowej. Zgodzisz się, żebym ci oddała w przyszłym tygodniu?

- Ależ oczywiście! - Co się z nią dzieje? - Nie musisz się śpieszyć.
- Dzięki, Jack. - Jej twarz złagodniała, choć tylko na chwilkę. - A przy okazji, przepraszam za rane. Mam nadzieję, że w niczym ci nie przeszkodziłam.

Jack odniósł wrażenie, że jej brwi uniosły się znacząco, lecz postanowił pominąć milczeniem tę insynuację.

- To była jedna z moich studentek - oświadczył z godnością.

- Doprawdy? I uczysz ją abecadła?

Spojrzał groźnie na Freyę.

- Wyjdę i pomogę ci złapać taksówkę.

- Nie! To znaczy dziękuję, ale chyba pojedę autobusem. - Odwróciła się, zawahała, a później podeszła do niego tym swoim długim, zdecydowanym krokiem i ucałowali się w policzki. - Dziękuję za pokera i nocleg. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia - odrzekł Jack, odprowadzając ją do wyjścia.

Zadawał sobie pytanie, dokąd ona właściwie pójdzie. Do przyjaciółki? A może ma już innego faceta? Nie ulegało wątpliwości, że nie chce mu powiedzieć, a on dobrze wiedział, że lepiej nie pytać. Doskonale. Zamknął drzwi.

Ser i masło orzechowe, pomyślał, na to pasta z pikli, chipsy kukurydziane i lodowate piwo. Pychota. Do ust napłynęła mu ślina. Poszedł do kuchni, otworzył drzwi lodówki i zaczął wyciągać jedzenie. Kobiety to jednak dziwne stworzenia. Znał Freyę od dziesięciu lat, a mimo to słówkiem nie napomknęła, że zerwała z chłopakiem, tymczasem Michael, którego Jack spotkał ze dwa razy i wcale go nie lubił, od razu wszystko mu powiedział. Mężczyźni są tacy bezpośredni. Jack wciąż nie znał powodów zerwania, jasne jednak było, że Michael nie spodziewa się powrotu dziewczyny. Kiedy Jack oznajmił, że Freya jest chora i musi gdzieś wydobrzeć, tamten odparł: „Ty jesteś jej przyjacielem, więc się nią opiekuj”.

Naturalnie było to niemożliwe. Jack pisał przecież powieść. Włożył teraz palec do słoika z masłem orzechowym, przesunął wkoło i polizał: wspaniałe. Tak czy owak, można by równie dobrze próbować opieki nad szablozębnym tygrysem - Freya robi to, co jej się podoba, i zawsze tak było. Z własnej winy nie miała swojego mieszkania, twierdziła bowiem, że chce być „wolna”. Jack rozsmarował pastę na serze, przykrył go kromką tylko trochę spleśniałego chleba i ugryzł potężny kęs. W gruncie rzeczy prawdziwą tajemnicą był sam związek Frei z Michaeliem. Cóż takiego widziała w prawniku pracującym od dziewiątej do piętej, który

pochodził z jednego z tych zarozumiałych stanów na środkowym zachodzie? A w dodatku facet nie miał klasy. Poskarżył się Jackowi, że rachunek w Phood wyniósł trzysta sześćdziesiąt pięć dolarów, „nie licząc napiwków”! Jack zachichotał, wypluwając przy tym okruszki. To było świetne, cały charakter Michaela dało się podsumować w tych trzech słowach. Właściwie owo stwierdzenie było tak dobre, że powinien je zapisać. Z kanapką w ręku poszedł do gabinetu, by zanotować zdanie na karteczce i dołączyć do teczki „Pomysły”, gdzie gromadził obserwacje, powiedzonka i fragmenty podsłuchanych rozmów. Teczka zrobiła się już obszerniejsza niż maszynopis nowej powieści.

Kiedy otworzył drzwi, jego wzrok padł na długi tapczan. Zwykle pełno na nim było papierów, brudnego prania, zepsutych urządzeń elektrycznych i innych przedmiotów, lecz teraz stanowił przykład ładu i porządku. Narzuta leżała płasko i absolutnie symetrycznie, w samym środku wznosił się schludny stosik pościeli, obok którego zobaczył swoją koszulę w paski i dziesięciodolarowy banknot. Na banknocie znajdowała się informacja: „Na pralnię - F”. Jack podniósł liścik i uśmiechnął się na widok znajomego, krótkiego podpisu. Śmieszna z niej dziewczyna, mimo całego zadzierania nosa. Pamiętał tamte wszystkie zwariowane, napędzane kofeiną dyskusje, jakie wiodli u Ambrosia, przyjęcie niespodziankę dla Larry'ego, kiedy dostał pierwszą pracę w telewizji, stare filmy, które oglądali we dwójkę, opierając stopy na fotelach w rzędzie przed nimi i dzieląc się kukurydzą z podwójnym masłem. Poczucie winy, które od samego rana usiłował stłumić, eksplodowało w coś znacznie silniejszego: troskę? przywiązanie? wstyd? Kiedy ją zapytał, dokąd idzie, odpowiedziała: „Do domu, naturalnie”. Tylko że Freya nie miała domu. Jej rodzina mieszkała tysiące kilometrów stąd, w Anglii, a Michael ją wyrzucił. Została sama w najbardziej samotnym mieście świata. A Jack podobno jest jej przyjacielem.

Rzucił resztki kanapki na biurko. Głupia! Dlaczego musi być aż tak dumna? Pośpiesznie złapał klucze i pobiegł ku frontowym drzwiom. Zaraz, zaraz - a czemu nie rowerem? Wyprowadził go przed dom, przeklinając swoje potłuszczone dłonie, które wcale nie ułatwiały mu sprawy. Pognał niezgrabnie podjazdem, skręcił na ulicę i wskoczył na siodelko, kierując się w stronę, w którą odeszła Freya. Rozległy się klaksony, a czyjś głos zawołał:

- Hej, wariacie, to ulica jednokierunkowa!

Tak, tak. Nie zważając na nic, Jack pedałowal ile sił w nogach. Nigdzie nie dostrzegł Frei.

Na skrzyżowaniu musiał gwałtownie się zatrzymać. Ku przystankowi na rogu zbliżał się autobus. Jack zająknął do jego wnętrza, ale szyby pokrywała warstwa brudu, a on nie miał przy sobie okularów. Tak czy owak, jeśli Freya nie wracała do Michaela, to nie powinna jechać na przedmieścia, prawda? Doskonale, Watsonie. Więc w którą stronę się udała?

Jack brawurowo lawirował pośród samochodów, ignorując światła. Kierował się ku Siódmej Alei i przystankowi autobusów do centrum. To szaleństwo, powiedział sobie, słysząc, jak jego stary rower skrzypiał i podskakiwał, Freya przecież mogła iść gdziekolwiek. Może w tej chwili siedzi w kawiarni. Może jednak złapała taksówkę... No nie, to raczej nie wchodzi w grę, nie miała przy sobie pieniędzy. Drań jesteś, powiedział do siebie Jack, przerzucając zardzewiałą przerzutkę na jedynkę.

Kiedy miał cztery lata, jego rodzice się rozwiedli i matka zabrała ich obu, Jacka oraz jego małego brata Lane'a, ze sobą do Atlanty. Pierwszym domem, który zapamiętał, był ten przy Benning Street: łóżko z białego orzecha, służącą imieniem Abigail, jak siedziała, łuskając orzechy na tylnym ganku, i koleżanki ze szkoły, które lubił ciągnąć za warkocze. Obraz matki nie utrwalił się wyraźnie w jego pamięci - często przebywała poza domem - lecz pamiętał, że czuł się wówczas szczęśliwy. A potem pewnego dnia wszystko uległo zmianie. Dowiedział się, że matka zamierza ponownie wyjść za mąż i wyjeżdża gdzieś daleko. Nie chciała rozstać się z Jackiem, naturalnie, że nie, lecz ojciec na to nie pozwolił: nadeszła pora, by „chłopiec” przejął dziedzictwo i nauczył się być Madisonem. Jack przypominał sobie kłótnie, trwające długo w noc konferencje i listy, których nadejście wprawiało matkę w zły humor. A potem, wkrótce po jego siódmym urodzinach, przed domem zatrzymał się wielki lśniący samochód. Do bagażnika powędrowały walizki z rzeczami Jacka, Abigail płakała w fartuch, a ojciec, wysoki i jasny niczym bóg, lecz nieznajomy, położył ciężką dłoń na ramieniu chłopca i oświadczył: „Synu, przyjechałem zabrać cię do domu”.

Czy to ona? Jack zmrużył oczy, wpatrując się w wysoką, na czarno ubraną postać, która zdecydowanym krokiem szła chodnikiem.

- Freya! - zawołał. Kiedy jednak znalazł się bliżej, stwierdził, że to młody Indianin z umalowanymi ustami i oczyma, gej szukający okazji.

Na Siódmej skręcił w lewo i włączył się do ruchu. Cholera, z autobusu na przystanku już wysiadali pasażerowie. Dostrzegł parę z workami gimnastycznymi na plecach. Przed drzwiami w kolejce stali ludzie. Jack wjechał na chodnik, wymijając przechodniów.

- Przepraszam pana, przepraszam panią.

Wydawało mu się, że pomiędzy oczekującymi stoi ciemna postać z jasnymi włosami. Czy to Freya? Postanowił zwrócić jej uwagę dzwonkiem rowerowym.

Kiedy w końcu znalazł się przy autobusie, wchodziła już na stopnie.

- Freya! Poczekaj! - zawołał.

Obejrzała się i zamrugła oczami, jak gdyby obudzono ją ze snu. Gdyby nie wiedział, że Freya nigdy nie płacze, powiedziałby, że właśnie to robiła.

- Jack? Co się stało?

Nie było czasu na subtelność i takt.

- Wiem o Michaelu - rzucił. - Dzwoniłem do niego rano. Nie masz dokąd pójść, prawda?

Usta Frei otworzyły się i zamknęły. Zaraz potem odpowiedziała:

- Mam.

- Czyżby? A gdzie się wybierasz?

Chryste, ależ z niej uparciuch. Przesunął rower do przodu, balansując na czubkach palców.

Stała dalej, z jedną nogą na stopniu, a drugą na chodniku. Obok niej przepychali się inni pasażerowie - kilku starszych mężczyzn w czapeczkach, gospodynie domowe z wypchanymi zakupami torbami, tłusta Murzynka z bukietem przywędłych kwiatów.

- Zamieszkaż u mnie. Na trochę, dopóki czegoś sobie nie znajdziesz.

- Nie, Jack. Masz swoją powieść i swoje... studentki. Zepsują ci układ.

- Wcale nie.

- Ależ naturalnie, że tak będzie!

- Ja się zgadzam, skoro ona nie chce - zachichotała Murzynka, a jej potężne ciało zatrzęsło się jak galareta.

- Hej, Romeo, spadaj! - warknął kierowca w okularach przeciwsłonecznych i z ramionami koloru słoniny, które wypychały krótkie rękawy koszuli. Obnażył zęby w lubieżnym uśmiechu. - Niech pani wsiada i spędzi ze mną dzień.

Freya wyskoczyła na chodnik. Drzwi zamknęły się za nią ze świstem i autobus odjechał.

- Wszystko w porządku, Jack, naprawdę.

- Masz gdzie mieszkać? - zapytał.

- Jeszcze nie, ale...

- Więc chodź ze mną. - Miał ochotę ją objąć, ale się nie ośmielił.

Freya spuściła wzrok i zacisnęła usta.

- Ubrudziłeś džinsy smarem - zauważyła w końcu.

Jack uśmiechnął się - jak zwykle stosowała uniki. Zakręcił rowerem, dając im obojgu czas na zastanowienie. Nagle do głowy wpadł mu pewien pomysł.

- Mówiąc szczerze, Freya, potrzebuję na czynsz.

To do niej dotarło.

- Ty? Nie rozśmieszaj mnie... Boże, nie mówisz poważnie, co?

- Bardziej poważnie nie mogę. - Wolno, jakby była narowistym rumakiem, zdjął jej z ramienia torbę i włożył do koszyka na rowerze. Chyba nawet tego nie zauważyła. - Dwadzieścia dolarów na dzień, najwyżej na dwa tygodnie. - Wyciągnął dłoń. - Umowa stoi?

Zastanawiała się jakieś pięć sekund, później zdecydowanym ruchem przybiła.

- Ostrzegam, piekielnie trudna ze mnie współlokatorka.

Jack skinął głową. W to akurat wierzył.

Rozdział piąty

Faceci to takie świnię. - W ciemnych oczach Cat płonęło pełne współczucia oburzenie. - I co się stało potem?

- No więc jak już wyciągnął ten sygnę i poprosił kelnera o czystą wodę, żeby go umyć, oświadczył, że nigdy nie traktowałem go poważnie. Możesz w to uwierzyć? Ten drań mnie rzuca, a potem odwraca kota ogonem i udowadnia, że to moja wina!

- Typowa męska logika. Pamiętam, jak chodziłem z Perfidnym Peterem...

- Powiedział, że nie „pasuję” do niego, że nie słucham go dostatecznie uważnie, że zawsze go krytykowałem. Narzekał, że w towarzystwie go poprawiam.

- A robiłaś tak?

- Tylko wtedy, kiedy się mylił.

- Mężczyźni nigdy się nie mylą.

- Ach, zapomniałam.

Freya i Cat wymieniły uśmiechy kobiecej solidarności. Siedziały naprzeciw siebie przy stoliku z marmurowym blatem w zatłoczonej restauracji w Chinatown. Z czajnika i jasnoniebieskich filiżanek ozdobionych różowymi smokami unosiła się para. Był poniedziałek, pora lunchu. Tuż za rogiem znajdowała się dzielnica sądowa, tak więc w lokalu pełno było rozmawiających na cały głos dziennikarzy, prawników, policjantów i korpulentnych urzędników z magistratu, a także chińskich robotników i łagodnie wyglądających wyznawców Buddy z pobliskiej świątyni, z ogolonymi na zero głowami. Cat, będąca adwokatem od spraw rodzinnych, spędzała tu wiele czasu i restauracja należała do jej ulubionych. Freya

spotykała się z nią tu już wcześniej; szczerze mówiąc, nie podzielała entuzjazmu przyjaciółki, aczkolwiek nie zamierzała narzekać. Formalnie rzecz biorąc, Cat powinna teraz pracować, ale jako prawdziwa przyjaciółka odwołała spotkanie, by wysłuchać tragicznej opowieści Frei.

- Jak sobie pomyślę o wszystkich tych poświęceniach, na które dla niego się zdobyłam! - ciągnęła Freya. - Piłam odtłuszczone mleko, bo on miał podwyższony cholesterol, nie widywałam się z moimi znajomymi, żebyśmy mogli „być razem”, udawałam, że lubię te straszne koncerty, na które mnie zabierał. - Jej twarz na moment pojaśniała. - Choć jest i dobra rzecz: przynajmniej nie muszę wysłuchiwać całego cholernego cyklu o Pierścieniu Nibelungów.

- W Metropolitan? Freya, bilety na te koncerty są jak sen złoty. Poza tym przecież jesteś właściwie Niemką, więc jak możesz nie lubić Wagnera?

- Wszystkie te pienia i zawodzenia - wstrząsnęła się Freya. - Moja matka była Szwedką, to zupełnie coś innego. Pochodzę ze strefy całkiem wolnej od kapusty.

- No, ja jestem Włoszką i uwielbiam Wagnera. Jest taki romantyczny.

- Bardzo proszę, bez tego słowa na R! - Freya przycisnęła dłoń do czoła.

- Jasne, przepraszam.

Chinka w schodzonych pantoflach przystanęła koło ich stolika i krótkim kiwnięciem głowy dała do zrozumienia, że jest gotowa przyjąć zamówienie.

- Proszę numer piąty - odezwała się Cat. - A ty, Freya?

- Nie jestem w stanie nic jeść.

- Bzdura. Pośpiesz się i zdecyduj.

Freya utkwiała wzrok w nieczytelnym menu. Miała ochotę na Krwawą Mary z dodatkową porcją tabasco, tylko że tutaj nie podawali alkoholu. Lokal specjalizował się w *tong shui*, zdrowym chińskim jedzeniu, które było smaczne, ale jakoś przywodziło na myśl oko traszki i udko żaby, tak więc uważnie sprawdzała każdy kęs, nim włożyła go do ust.

- Wybierz za mnie - powiedziała w końcu. - Ale nic, co ma więcej niż cztery nogi.

Po odejściu kelnerki zakończyła swoją opowieść, a później oparła podbródek na dłoniach i spojrzała na Cat żałośnie.

- Powiedz szczerze, Cat, dlaczego Michael nie chce się ze mną ożenić? Co ze mną nie tak?

- Ależ nic! - Przyjaciółka emanowała współczuciem. - Jesteś piękna,

mądra, zabawna. Pytanie brzmi, co z nim jest nie tak. Gdybym dostała tego łotra w ręce, przepuściłabym go przez maszynkę mojego przywiązania. Hmm,.. Mielony Michael, śmiało mogłabym to dołączyć do mojej kolekcji.

Cat zawsze wymyślała przezwiska dla swoich mężczyzn. Był Simon Małpa, Rod Larwa i Łupieżowy Dylan. Ratowała się w ten sposób, gdy następował rozpad związku. Teraz jednak nie rozmawiały o partnerach Cat. Freya na powrót skierowała rozmowę na swój temat.

- Znajduję jedyne go faceta w Nowym Jorku, który w ogóle ma ochotę na trwały związek, ale nie chce związać się ze mną. Dlaczego?

Cat chwilę się zastanawiała.

- Nie myślisz, że...?

- Że co?

- Że sobie znalazł inną?

- Michael? Nie bądź śmieszna.

- W takim razie chyba się przestraszył. Osobiście winię za to media. Gdy tylko otwierasz jakiś tygodnik, widzisz kolejny artykuł o zdesperowanych kobietach, które gotowe są na wszystko, byle tylko wyjść za mąż. Nic dziwnego, że facetów ogarnia przerażenie. Prosisz ich, żeby podali ci masło, a oni już się wzdygają. Dziesięć lat temu był HIV, teraz nową plagą stały się samotne kobiety. Uciekajcie, jeśli wam życie miłe!

Freya zachichotała, na chwilę zapominając, jak bardzo jest nieszczęśliwa. Przyjaciółka zawsze umiała ją rozśmieszyć. Poznały się wiele lat temu, i to na lekcjach tańca - kto by pomyślał! - gdzie Cat zwichnęła sobie kostkę, próbując stepować. Freya, czasowo bezdomna, zaopiekowała się kaleką, dzięki czemu mogła spać na rozkładanym łóżku. Ich przyjaźń umacniała się przy schłodzonym wermucie, palącej *penne a l'arabiatta*, starych nagraniach Bruce'a Springsteena i zażartych partiach backgammona. Freya odkryła, że pod włoskim temperamentem, kształconym w Columbia University umysłem i postawą rodowitej mieszkanki Nowego Jorku „chcę tego i chcę tego natychmiast” kryje się najbardziej otwarte i hojne serce, jakie spotkała. Cat uwielbiała swoją rodzinę, rozgałęzione włosko-amerykańskie plemię osiadłe na Staten Island. W swoim bloku znała wszystkich sąsiadów z nazwiska. Odznaczała się wrażliwym społecznym sumieniem i często udzielała porad prawnych za darmo tym, których nie stać było na opłaty. Pomimo feministycznych poglądów można było doprowadzić ją do łez zdaniem, że Rhett i Scarlet nigdy już się nie zejdą. Ich znajomość może i rozpoczęła się od tego, że Freya

opiekowała się Cat, obecnie jednak było odwrotnie i obie dobrze o tym wiedziały. To Cat gotowała dla Frei, gdy ta była w dołku, wysłuchiwała jej narzekań na temat Loli, kupowała kwiatek w doniczce, gdy Freya się przeprowadzała (roślina nieodmiennie usychała), i pomagała się pozbiierać, gdy kolejny partner ją zawodził. Freya miała w mieście wielu bliskich znajomych - kolegów ze świata sztuki, kilkoro ze starej brooklińskiej bandy, kumpli, którzy zapraszali ją na przyjęcia i zawsze na powitanie cmokali w policzek - ale tylko Cat była prawdziwą przyjaciółką. Freya ufała jej bezgranicznie.

Potrawy pojawiły się na stole z nieprzyzwoitą wręcz szybkością, rozwiewającą wszelkie złudzenia, że jedzenie jest świeżo przygotowane. Wyobrażając sobie sagany czarownic, stojące rzędem w kuchni jak z koszmarów pracownika sanepidu, Freya ostrożnie wsunęła w usta pierwszy kęs.

- A może błędem było wyjście z restauracji? - rozmyślała na głos Cat.
- Wiesz, może Michael cię sprawdzał, żeby się przekonać, czy nie zareagujesz lepiej? Gdybyś została przy stole i przedyskutowała całą sytuację, to być może zmieniłby zdanie. - Spojrzała na przyjaciółkę z namysłem. - Nawet teraz jeszcze jest szansa. Może on się zastanawia.

- Co takiego? - Freya zakrztusiła się makaronem.

- Tylko pomyśl. Wszystko wciąż może być twoje: dom, dzieci, Connecticut.

- Ale...

- Samochód combi. Country Club.

- Przestań!

- Wielki owczarek w stylu Lassie, który bawi się z dziećmi.

- Nie torturuj mnie, proszę.

- Aha! Tak właśnie myślałam. Przyznaj, że spodobał ci się pomysł małżeństwa, jak tym smutnym kobietom, co to snują fantazje nad żurnalami ze ślubną modą.

Freya obrzuciła swoje zdrowe jedzenie wściekłym spojrzeniem. Nie miała ochoty niczego takiego przyznawać. Michael ją rzucił. A to bolało.

- Ale ja jednak widziałabym cię w różowym - zaśmiała się perliście Cat. - W różowym!

- Och, lepiej się zamknij.

- Przepraszam, słoneczko. - Cat impulsywnie sięgnęła po dłoń przyjaciółki. - Przykro mi, że ci nie wyszło z Michaielem. Choć strasznie lekceważąco o nim mówiłaś, wiesz. Nawet nie pozwoliłaś mi go poznać.

- Wiem - odparła z zakłopotaniem Freya. Z jakichś przyczyn zawsze podchodziła z wielką dyskrecją do swego życia uczuciowego. A może powodem było wrażenie, że Cat za dobrze ją zna i zbyt surowo osądzi jej wybór? Tak czy owak, Cat śmiertelnie wystraszyłaby Michaela. Freya wzruszyła ramionami. - Nie polubiłabyś go. Jest taki mało skomplikowany.

- Mimo to chciałaś za niego wyjść?

Freya skurczyła się pod badawczym spojrzeniem przyjaciółki. Chyba istotnie chciała kogoś poślubić, w odpowiednim czasie. To, że związek z Michaeliem mógł skończyć się z jej woli, nie miało znaczenia; drań nie dał Frei nawet takiej szansy.

- No, chyba tak - mruknęła, bawiąc się butelką z sosem chili. - Ale wiesz, w sypialni to on nigdy nie był King Kongiem.

- Naprawdę? - Cat aż się poderwała. - Jakież... techniczne problemy?

- Nie, sprzęt był sprawny. Powiedzmy, że według mnie musiał gdzieś przeczytać o znaczeniu gry wstępnej.

- Ale gra wstępna to moja druga ulubiona część.

- Zależy, jak się ją wykonuje. - Freya przysunęła krzesło bliżej i nachyliła się nad stołem. - Załóżmy, że postanawiacie urządzić sobie wspa-
niały obiad, przy stole, w domu, tylko że nago. I nie możecie się dotknąć aż do deseru. To dopiero jest zabawa.

- Jasne.

- Z Michaelem to było trochę jak wizyta u dentysty. No wiesz, naj-
pierw musisz się umówić, potem siedzisz w poczekalni i czytasz gazety,
potem pielęgniarka czyści ci zęby i opowiada o wakacjach na Florydzie,
potem płuczesz i wypluwasz, i myślisz: na litość boską, niech wreszcie
wyjmie to cholerne wiertło!

Cat zaniósła się śmiechem tak głośno, że wszyscy w restauracji od-
wrócili się ku nim.

- Jesteś okrutna.

- A tak przy okazji, co to za kruche kawałeczki? - Freya melancholij-
nie dziobała widelcem jedzenie. - Genitalia ropuchy?

- Chyba orzechy ginkgo albo nasiona lotosu. Każda potrawa ma ide-
alną równowagę *jin* i *jang*. Odkąd zaczęłam tu przychodzić, nie złapałam
nawet przeziębienia.

- Może na tym polega problem z Michaelem: za dużo albo za mało
jin. Zawsze wyciera nos albo prosi mnie o chusteczkę. Doprowadza mnie
tym do szaleństwa. Doprowadzał - poprawiła się zaraz.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Wiesz, Freya, czasem człowiek rzeczywiście potrzebuje chusteczki, a akurat jej nie ma przy sobie. To jeszcze nie znaczy, że jest nieciekawym.

Freya uderzyła w stół.

- Dla mnie to po prostu nie jest seksowne. Koniec kropka. - Spojrzała gniewnie na przyjaciółkę. - Jesteś zbyt miła. Przrzeknij mi, że nigdy nie wyjdiesz za faceta tylko dlatego, że ci go będzie żal.

Cat wyprostowała się i spojrzała na nią zdecydowanie.

- Nie zamierzam za nikogo wychodzić - oznajmiła. - Uznaj to za ostateczne stwierdzenie.

- O co ci chodzi?

Cat starannie wytarła usta w serwetkę.

- Podjęłam życiową decyzję. Nie będę z nikim się spotykać, nie będę się „pokazywać”. Przestaję szukać, nawet podświadomie, tego jedyne. Mam dość strojenia się i zastanawiania, czy dość ładnie pachnę, interesowania się jego pracą, wyczekiwania na telefony. Nie potrzebuję mężczyzny, koniec kropka. - Mówiła z takim żarem, że oszołomiona Freya zdobyła się jedynie na kiwnięcie głową. - Mam dobrą pracę, dosyć pieniędzy, własne mieszkanie. Mąż tylko by to wszystko skomplikował. Szczerze mówiąc, nie jestem wcale pewna, czy małżeństwo i feminizm mają w ogóle jakieś punkty stykowe. Nie. Zamierzam spędzić życie jako kobieta samotna.

Freya nie mogła się powstrzymać od sceptycyzmu. Każdy widział, że Cat urodziła się po to, by mieć męża, dom i gromadkę dzieci.

- A co z miłością? - zapytała.

- Czysta bujda. Codziennie w pracy widuję mężów i żony, którzy wzajemnie się nienawidzą. Mężczyźni biją żony, okradają je i zdradzają. Właśnie teraz mam sprawę kobiety po siedemdziesiątce, która wystąpiła o rozwód, jako powód podając niewierność małżonka - westchnęła Cat.

- Czasami jednak potrzebujesz mężczyzny, choćby jako towarzystwa. Powiedzmy, że dostałaś z pracy zaproszenie na kolację i poproszono, byś przyszła z partnerem. Co wtedy?

- Wynajmujesz sobie kogoś.

- Co takiego?

- Wynajmujesz, z agencji. Moja przyjaciółka Rose zawsze tak robi. Mówi, że można im wyraźnie powiedzieć, jak mają się ubrać i zachowywać. Nie upijają się ani nie opowiadają o tobie głupich anegdotek. A potem, zamiast wysłuchiwać narzekań, jak okropnie się wynudzili, płacisz im i do widzenia - zakończyła Cat z triumfem w głosie.

- A dzieci? Przecież kochasz dzieci.

- Sztuczne zapłodnienie.
- Cat!
- Nie żartuję. W budynku, gdzie pracuję, jest klinika. Wystarczy, że pewnego dnia wysiądę z windy na piątym piętrze zamiast na dziewiątym i mogę być w ciąży.

- Hmm. - Freya próbowała zobaczyć siebie w charakterze dumnej, wolnej i samotnej Amazonki, która z góry spogląda na ludzi miotających się w walce płci.

- A co z seksem?

- Do tego akurat mąż ci nie jest potrzebny ~ prychnęła Cat. - Wcale nie. Problem polega na tym, że kobietom zależy na romantyczności, uczuciu, wierności, dzieciach i dojrzałym partnerze, z którym można poważnie się związać. Mężczyźni zaś pragną seksu, bezwarunkowego podziwu, kompletnego braku odpowiedzialności i regularnych wytrysków. Nie ma mowy o wspólnych punktach. - Zadarła podbródek gniewnym ruchem. - Nie umiem ci powiedzieć, jaką ulgę przyniosło mi podjęcie tej decyzji. Szczerze mówiąc, jestem zdziwiona, że nie skomentowałaś mojej nowej aury wewnętrzznego spokoju. Teraz zjemy trochę owoców, a potem muszę biec.

Podczas gdy Cat usiłowała zwrócić na siebie uwagę kelnerki, Freya z namysłem przyglądała się przyjaciółce - jej żywej, pełnej ekspresji twarzy i krągłej figurze, rzucającej wyzwanie kultowi szkieleatów - i nagle poczuła, że ogarnia ją wściekłość na tępgłową męską populację Nowego Jorku. Mężczyźni powinni bić się o Cat.

- Skoro przestałaś chodzić na randki, to gdzie byłaś w piątek, kiedy cię potrzebowałam? - zapytała.

- U mojej siostry, opiekowałam się jej dzieckiem. Dałam Tonito butelkę, zaśpiewałam mu kołysankę, potem wypiliśmy dwa martini z wódką, odgrzałam sobie *spaghetti alla matriciana*, obejrzałam „Kiedy Harry spotkał Sally” po raz tysięczny i zasnęłam na kanapie.

- Cudowny wieczór.

- Nie narzekam. - Cat wydawała się zadowolona. - Teraz posłuchaj, słoneczko. Przykro mi, że w piątek nie zastałaś mnie w domu, ale w każdej chwili możesz się wprowadzić i spać na kanapie tak długo, jak będziesz chciała.

- Dzięki, Cat, ale chyba równie dobrze mogę zostać u Jacka, skoro już tam jestem.

- Czy to ten wysoki blondyn, który w zeszłym roku był na przyjęciu na plaży?

- Jeśli miał ze sobą sześciopak nimfetek, to tak.
- No, no. - Cat cmoknęła ustami w wulgarny włoski sposób. - Może pewnego dnia powinnaś mi go porządnie przedstawić.
- Przecież mówiłaś, że skończyłaś z facetami - odrzekła zdziwiona Freya.
- Powiedziałam tylko, że małżeństwo to dla feministki instytucja nie do przyjęcia. Zawsze sprawdzam w praktyce swoje teorie. - W oczach Cat zapaliły się ogniki.
- Cóż... dobrze, o ile zdajesz sobie sprawę z tego, że Jack nie jest materiałem na męża. - Freya uznała za swój obowiązek ostrzec przyjaciółkę.
- Jeśli chcesz pójść na plażę, obejrzeć stary film albo pojeździć na łyżwach w Rockefeller Center, Jack jest idealnym towarzyszem. Pod każdym innym względem to dzieciak.
- Ale ty go lubisz - zauważyła tamta.
- Ja to co innego. Jestem odporna.
- Rozumiem. No to mieszkaj u niego, skoro chcesz, ale bądź ostrożna.
- Z jakiego powodu, na litość boską? Jesteśmy przyjaciółmi, nic więcej.
- Faceci są dziwni. Widzą, jak kręcisz się po mieszkaniu owinięta w ręcznik kąpielowy albo wieszasz bieliznę, i nagle ogarnia ich ochota, by się na ciebie rzucić. To sprawa instynktu.
- Rzucić się? Jack? - zakrzuszyła się Freya. Wyobraziła sobie jasnowłosego goryla, który spogląda na nią lubieżnie z gęstych zarośli.
- Możesz się śmiać, ale bliskość jest pierwszą zasadą seksualnej atrakcyjności. Mężczyźni są leniwi i łapią to, co mają pod ręką. To dlatego wszyscy szefowie uciekają ze swoimi sekretarkami. Otoczenie sądzi, że powodem jest to, iż dziewczyny są piękne, młode i uległe, ale tak naprawdę chodzi o to, że znajdują się pod ręką. Gdyby mężczyźni mogli zamawiać partnerki, nie ruszając się od biurka, na pewno by to robili. - Cat przycisnęła wyimaginowany telefon do ucha i o oktawę zniżyła głos.
- „Jedna kobieta, średnio wysmażona, chętna, całkowicie powstrzymująca się od zrzędzenia”.
- Przestań! - Freya złapała się za gardło. - O mało nie połknęłam pestki.
- Cat zerknęła na zegarek.
- Słoneczko, przykro mi, ale naprawdę muszę już iść.
- Odprowadzę cię. I ja płacę. Żadnych sprzeciwów.
- Kiedy wyszły z restauracji, Freya chwyciła przyjaciółkę pod rękę. Może Cat ma rację? Oto one, dwie samotne kobiety i absolutnie szczęśliwe.

Bez mężów, którzy by je irytowali. Bez dzieci czekających w domu. Przyjaciółki. Nagle znowu ogarnął ją optymizm. Tego dnia wzięła wolne popołudnie, by spokojnie pójść do mieszkania Michaela i zabrać ubrania, gdy on będzie w pracy. Później zacznie szukać sobie własnego miejsca, zastanowi się też, czy nie wrócić do Anglii, skoro Michael ją zawiódł. Przyszłość na pewno sama się jakoś ułoży.

Uniosła głowę i rozejrzała się wokół. Poranny deszcz ustał, powietrze było teraz świeże i o dobre dziesięć stopni chłodniejsze niż poprzedniego dnia. Promienie słońca przedzierały się przez srebrne niebo, rzucając tęcze refleksy na widoczny w oddali World Trade Center. Ludzie zapomnieli, że Nowy Jork to miasto nadmorskie, charakteryzujące się tym specyficznym rodzajem światła. Czasami widać fantastyczne efekty o świcie lub o zachodzie, kiedy niebo przybiera barwę zieloną lub różową. Dobrze jest dostrzegać takie rzeczy, zamiast zawsze się śpieszyć z pochyloną głową, jak to nudne stado urzędasów, śpieszących do biur w swych nudnych garniturach i...

Freya głośno sapnęła.

- Szybko! - wrzasnęła, szarpiąc Cat do tyłu i kryjąc się w najbliższej bramie. Przed sobą zobaczyły drzwi, chyba do jakiegoś sklepu. Freya otworzyła je i wciągnęła przyjaciółkę do środka.

- Co się dzieje? - zapytała Cat, uwalniając się z uścisku. Freya zerknęła przez okno wystawowe.

- To on! - szepnęła.

- Kto? - rzuciła także szeptem Cat.

- Michael! Chyba nie myślisz, że mnie śledził?

- Który to?

- Ciemna aktówka, niebieska koszula, przechodzi przez ulicę. O mój Boże, patrzy w naszą stronę!

- Hmm. Ładny garnitur.

- Pieprzyć garnitur. Co on tu robi?

- Jest prawnikiem, tutaj jest sąd, a ja jestem Einstein - prychnęła Cat.

Freya patrzyła na ciemną oddalającą się postać, jeden biznesmen w tłumie sobie podobnych. Nadal przyciskała dłoń do serca, uświadomiła sobie jednak zaszokowana, że poza pragnieniem, by pozostać niewidoczną, nie czuje nic. To surrealistyczne. Żyła przecież z tym człowiekiem przez pięć miesięcy, a trzy dni temu zastanawiała się, czy nie wyjść za niego za mąż. Kiedyś odrzucony kochanek powiedział jej, że nie ma serca, tylko bryłę lodu. Może miał rację?

- Czy mogę paniom w czymś pomóc?

Zachrypnięty głos za plecami sprawił, że podskoczyła. Odwróciła się i zobaczyła bardzo wysoką, dobrze zbudowaną tlenioną blondynkę, która uśmiechała się słodko umalowanymi na różowo ustami.

- Tylko się rozglądamy, dziękuję.

- Dwie samotne panie. Czego mogą szukać? Może czegoś takiego?

Kobieta wyciągnęła spod kontuaru szufladę i podsunęła im pod nosy jakiś przedmiot. Freya wytrzeszczyła oczy. A po co niby miałyby potrzebować latarki, zwłaszcza różowej, z wypustkami na czubku?

- A może wolicie modele sławnych ludzi? - ciągnęła ekspedientka. - Rock Hudson, Errol Flynn...

Zupełnie zbita z tropu Freya rozejrzała się wokół w poszukiwaniu jakiejś wskazówki i nagle pojęła znaczenie tego, co zobaczyła - skórzane uprząże, kajdanki, lalka naturalnej wielkości, która mówi: „Och”. Są w seks shopie! Poszukała wzrokiem Cat, by ją ostrzec, przyjaciółka jednak stała przy kontuarze i wyjmując coś z pudełka, pytała:

- A co ten wielki czarny robi?

Freya zdecydowanym krokiem podeszła do Cat i złapała ją za ramię tak mocno, że ta krzyknęła, po czym poprowadziła przyjaciółkę ku drzwiom.

- Mamy spotkanie - wyjaśniła blondynce z szaloną uprzejmością.

- Fatalnie. Życzę miłego dnia.

Opuścili sklep w pełnym szacunku milczeniu. Jak tylko drzwi zamknęły się za nimi z głośnym trzaskiem, wybuchnęły histerycznym śmiechem, podtrzymując się wzajemnie jak pijane.

- Ha - odezwała się wreszcie Cat, ocierając oczy - oto i odpowiedź na nasze problemy z facetami.

- Mieści się w torebce - zauważyła Freya. - Za każdym razem trafia prosto w punkt G. Żadnych idiotycznych pozycji. Żadnych pytań w rodzaju: „Jak ci było?”. I ten rozmiar!

Umilkły. Kiedy mijaly chińskie sklepiki, Freya odwróciła wzrok, by nie patrzeć na stopy warzyw o dziwacznych kształtach, które wznosiły się na ladach. Życzyła przyjaciółce, by spotkała prawdziwego mężczyznę na stałe. Ale nie za szybko: otuchy dodawała jej świadomość, że Cat zawsze jest wolna, że ma u niej miejsce na rozkładanym łóżku, jeśli sytuacja naprawdę stanie się rozpaczliwa, i może liczyć na jej uczucie i lojalność. Bo jeśli Cat się zakocha, co wtedy pocznie Freya?

- Jedno ci powiem. - Głos przyjaciółki wdarł się w jej myśli. - Te gadzety sprawiają, że Olbrzymi Dave może się schować.

Rozdział szósty

Zasadnicze pytanie - mówił Leo - brzmi następująco: gdzie chcesz siedzieć?

- Na tym stołku barowym jest całkiem dobrze - uśmiechnął się Jack i przyłożył butelkę piwa do ust.

Tak naprawdę było mu piekielnie niewygodnie na wymodelowanym plastikowym siedzeniu, wyniesionym na wątej chromowej łądydze tak wysoko, że musiał ciągle szukać oparcia na podnóżku lub podłodze. Te meble może i świetnie wyglądają, ale zrobiono je z myślą o Włochach, a nie mierzącym ponad metr dziewięćdziesiąt Amerykaninie ze skłonnością do tycia. Nie zamierzał jednak narzekać. Kiedy chodziło o darmowy lunch, ze stoickim spokojem gotów był znieść każdą niewygodę.

Siedzieli przy połyskliwym barze w kształcie końskiej podkowy, który sięgał w głąb sali, otaczając dwóch niesamowicie przystojnych barmanów, białego i czarnego, wspaniale współgrających z wystrojem: fotele i kanapy obite były czarną lub beżową skórą i rozstawione swobodnie na pasiastych jak zebra dywanach. Barwne kontrapunkty stanowiły obrazy na ścianach i stalowe koszyki z cytrusami na barze. Z głośników płynęła muzyka U2. W powietrzu unosił się gwar rozmów prowadzonych przy lunchu, ubiory gości stanowiły mieszankę modnych garniturów, skórzanych kurtek i niezwykle krótkich spódnic.

Był to klub So-Ho, nowy lokal z obowiązującym członkostwem dla ludzi z mediów, urządony w ładnym starym budynku, który zdobiły włoskie w charakterze kolumny i żeliwne kraty, przypominający *palazzo* z Nowego Świata. Jack czytał o sławnych bywalcach klubu: scenarzystach, aktorach, agentach i producentach, ale dzisiaj pierwszy raz był w środku. Bardzo mu się tu podobało. Panowała swobodna atmosfera, bezklasowa,

antypurytańska i tak odległa, jak to tylko możliwe, od tych staroświeckich lokali dla absolwentów college'ów, gdzie zwykle jest straszna akustyka, przerażająca obsługa i przychodzą snobistyczni goście. Wprawdzie nad drzwiami nie dostrzegł napisu: „Zakaz wstępu dla ludzi powyżej czterdziestego piątego roku życia”, lecz takie nastawienie wyczuwało się w powietrzu: nie dostrzegłeś tu członków korporacji, stałych bywalców od lat siedemdziesiątych i starych pieniędzy. Jeśli już tu wszedłeś, sam ustalałeś reguły. Fakt, że Leo palił i nikt go za to nie zlinczował, świadczył sam za siebie.

- Mówię poważnie - upierał się Leo. - Ludzie nie mają czasu, żeby zastanawiać się nad różnymi kwestiami i wyciągać wnioski. Musisz im powiedzieć, co mają myśleć. Niech płyną soki. Łącz się z nimi.

- „Tylko się łącz” - mruknął Jack. - Kto to napisał?

Jego towarzysz pstryknął w swój węzowy krawat, który agresywnie komponował się z czerwoną koszulą.

- Nie mam pojęcia - odrzekł. - Nie chodziłem do college'u.

Było to niezwykle śmiałe wyznanie jak na człowieka ze świata literackiego. Jack nie krył ciekawości.

- Jak to się stało?

- Brak czasu i pieniędzy.

- A twoi rodzice...?

- Tata był nieudanym bokserem, a matka irlandzką katoliczką, która naukę skończyła w wieku czternastu lat. Oboje tego popijali i już nie żyją. Książkami zająłem się dość późno, ale nadrabiam zaległości. - Leo uśmiechnął się chytrze, gasząc papierosa. - Chodźmy coś zjeść.

Jack ruszył za nim po schodach, usiłując dopasować te interesujące informacje do układanki, jaką stanowił Leo. Poznali się przed kilku laty; wówczas obaj krążyli wokół literackiego stawu w oczekiwaniu na okazję, by z pluskiem do niego wskoczyć, lecz nie łączyła ich zażyłość. Leo stanowił komiczną niemal figurę, był pracoholikiem i potrafił cytować z pamięci honoraria każdego ważnego pisarza, wysokość sprzedaży i nazwiska laureatów wszystkich nagród literackich z ostatnich dwudziestu lat. Żartowano sobie, że owe fakty i liczby zastępują mu w łóżku kochankę. Po bardzo długiej przerwie Jack spotkał go na jakimś przyjęciu i w trakcie ożywionej rozmowy pod wpływem impulsu zaprosił na partyjkę pokera. Doskonale zdawał sobie sprawę z jego rosnącej sławy. Pomimo nie całkiem czystych metod działania Leo miał na koncie wiele poważnych sukcesów, a skończył dopiero trzydzieści jeden lat. Nie wszyscy pochwalali sposoby, jakimi zdobywał pisarzy - często „uprowadzał” ich z o wiele spokojniejszych działek innych agentów - nie można było jednak

zaprzeczyć, że kiedy znalazł talent, świetnie wiedział, jak wyciągnąć z tego korzyści. Jack zadawał sobie pytanie, czy Leo jego także zamierza uwieść, i poczuł podniecenie.

Sala jadalna znajdowała się na pierwszym piętrze. Była urządzona prosto acz stylowo, światła dostarczały trzy wysokie lukowe okna wychodzące na ulicę. Goście widzieli fragment kuchni, gdzie opalany drewnem piec w kształcie gigantycznego ula zajmował większą część ściany. Otwarte żelazne drzwiczki ukazywały płonące polana, w powietrzu unosił się pełen dymu i apetyczny zapach pieczonych potraw. W drodze do stolika Leo przystanął, by przywitać się ze znajomym; był to Carson McGuire, chociaż w niczym nie przypominał fotografii zdobiącej jego książkę. Pierwsza powieść McGuire'a, zatytułowana „Kciuk Vanderbilta”, od tygodni znajdowała się na liście bestsellerów i wszyscy twierdzili, że to arcydzieło. Jack jeszcze powieści nie czytał, na wypadek gdyby rzeczywiście okazało się to prawdą.

W naturze McGuire nie robił wielkiego wrażenia: krępy, dochodzący czterdziestki, z włosami obciętymi à la Bruce Willis. Mimo to otaczała go aura sukcesu. Policzki miał pulchne i gładkie, marynarkę niewygniecioną, a język jego ciała świadczył o pewności siebie. Towarzyszyła mu uwodzicielska młoda kobieta o skośnych kocich oczach i wstrząsającym obszarze gołego ciała. Jack wiercił się koło Leona z niepewnym uśmiechem, podczas gdy tamci rozprawiali o jakimś przyjęciu, wesoło przerzucając się nazwiskami. Zaczynał już odczuwać dotkliwe zakłopotanie z powodu swoich dżinsów i wyświechtanej marynarki, kiedy wreszcie Leo odwrócił się ku niemu.

- Carson, znasz Jacka Madisonsa? Jest autorem wspaniałego zbioru opowiadań „Wielkie niebo”, wydanego kilka lat temu.

- Jasne. - McGuire profesjonalnie uściślił Jackowi dłoń i spojrzał mu prosto w oczy. - Rewelacyjna książka. Miło mi pana spotkać, Jake.

- Tak, dziękuję. Och, cudownie.

Cóż za dowcip! Jaka błyskotliwość! Carson McGuire bez wątplenia będzie go pamiętał przy następnej okazji. Jack powłókł się za Leonem do stolika; miał wrażenie, że jest równie dziwaczny i nie na miejscu jak tańczący niedźwiedź. Było jasne, że McGuire w ogóle nie czytał „Wielkiego nieba” i chyba nawet nie słyszał tego tytułu.

- Carson to wspaniały facet - odezwał się Leo, gdy już usiedli. - Jeden z moich ulubionych klientów. Wygląda na to, że już niedługo załatwię mu umowę z Hollywood. Tyle na niej zer, że chyba dostanie zezna, ale nie mów mu o tym, dobra? - Mrugnął porozumiewawczo.

- Jak miałbym mu powiedzieć? Przecież nie obracamy się w tych samych kręgach.

- Ale będziecie, Jack, będziecie.

W głosie Brannigana brzmiała taka pewność siebie, że Jack zawstydział się swego ponuractwa. Dołożył starań, by się wzniesć ponad niską zawiść.

- Umowa na film, to cudowne, Leo. Carson ma szczęście, że trafił na ciebie. I ma też niezły gust, jeśli chodzi o kobiety. - Spojrzał ponownie na ciemnoskórą kusicielkę.

- To Mercedes, modelka z Wenezueli czy skądś tam. Carson jest oczywiście żonaty. Planuje przenieść się z rodziną do Nowego Jorku, ale ciągle są jakieś przeszkody. Kłopoty ze sprzedażą domu albo też matka jego żony umiera, nie pamiętam. W każdym razie kiedy kota nie ma... - uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Tak - zachichotał Jack. - Myszy harcują.

- A przy okazji, co się stało z tamtą biedulką?

- Z jaką biedulką?

- Twoją angielską przyjaciółką, która rzuciła w ciebie kalkulatorem. Była taka zabawna!

- Wszystko u niej w porządku.

- Pozbądź się jej, dobrze? Kiedyś pewnej pani też urwał się film w moim mieszkaniu. O piątej rano chciała mi wskoczyć do łóżka. Powiedziałem jej: „Jeśli na tyle wytrzeźwiałaś, że sama zeszałaś z kanapy, to możesz już wracać do domu”. Wsadziłem ją do taksówki, i to piorunem, zanim zaczęły jej wpadać do głowy różne pomysły.

- Freya taka nie jest.

- Daj spokój, Jack, wszystkie stają się takie same, jak tylko stuknie im trzydziestka. Hormony szaleją, ciało lekko obwisa, kariera zaczyna się chwiać. Kładą na ciebie te miękkie kocie łapki i nagle jesteś w ich szponach!

Jack roześmiał się słabo. W tej właśnie chwili Freya przypuszczalnie wprowadzała się do niego.

- Starsze kobiety są takie wymagające. Mów do mnie, słuchaj mnie, nie tak, tylko tak. Zachowują się, jakby miały jakieś cholerne prawo, żeby krytykować twój wygląd, twoje upodobania, nawet to, co robisz w łóżku.

- Freya to tylko przyjaciółka.

- Takie są najgorsze. Myślą, że cię „rozumieją” - skrzywił się Leo. - Torują sobie drogę, gotując ci obiad, kupując jedzenie albo zanosząc do

naprawy zepsute urzadzenia. W jednej chwili mówią ci, że zawsze mozesz na nie liczyć, w nastepnej zaś już się od ciebie na krok nie ruszają.

- Cha, cha! - Jack bardzo chciał, żeby Leo zamówił więcej alkoholu.

- Oczywiście na dnie duszy starsze kobiety nienawidzą mężczyzn. Wiedzą, że my możemy odkładać w nieskończoność małżeństwo i posiadanie dzieci, podczas gdy one muszą załatwić sprawę przed czterdziestką, i nie mogą tego znieść. To rozbija całą ideę równości płci w puch. Ja osobiście wolę zadawać się z dziewczynami, które nie mają dwudziestu pięciu lat. Zależy im tylko na zabawie.

- I uważają nas za Boga, co? - uśmiechnął się Jack, wspominając Candace. - Obecnie spotykam się z uroczą dwudziestodwulatką.

- Doskonale. - Leo z aprobatą poklepał go w ramię. - Teraz powiedz, czego chcesz się napić?

Ładna kelnerka przyjęła od nich zamówienie i przyniosła butelkę wina. Na szczęście Leo zmienił temat i zaczął mówić o branży wydawniczej. Jack obserwował jego ostrą, inteligentną twarz i wyraziste gesty dłoni, mimo uszu puszczając energiczne komentarze o łączeniu się firm, targach książki, ostatniej podróży Leona do Los Angeles, sześciocyfrowych umowach, siedmiocyfrowych honorariach. Od czasu do czasu mądrze pomrukiwał. Odpręż się, powiedział sobie. Leo nie wie, że utknąłeś ze swoją powieścią. Nie wie, że budzisz się w nocy i brak ci tchu z przerażenia, że być może nigdy nie napiszesz następnego słowa -bo nie jesteś dość dobry i nigdy nie byłeś. Leonowi podobało się „Wielkie niebo”, powiedział, że książka jest wspaniała.

- Ale ma tupet, przychodząc tutaj. - Brannigan porzucił rozważania o sprzedaży przez internet. - Widzisz tę kobietę, blondynkę o zrozpaczonym wyrazie twarzy? Wyrzucono ją od Barnes'a i Noble'a, bo codziennie rano przychodziła do księgarni i kładła stos swojej książki na „Kciuku Vanderbilta”. Miała nadzieję, że ludzie kupią jej powieść. - Złośliwie zachichotał. - Jak ostatnio sprawdzałem, była dziewięćdziesiąta piąta na liście.

- To znaczy, że książka nie jest dobra?

Leo uznał pytanie za tak zabawne, że zakrzuszył się jedzeniem.

- To, czy książka jest dobra, nie ma najmniejszego znaczenia. - Otarł okruszki z twarzy. - Problem polega na tym, że nigdy jej nie zaszufladkowano. Nikt nie wie, czy to dziewczęce swawole, deklaracja feministyczna, czy też talerz ciasteczek. Nikomu nie powiedziano, że jest dobra.

Jack nie krył zdziwienia.

- Ale przecież na pewno by się sprzedała, gdyby...

- Jack, Jack, Jack. - Leo ze smutkiem potrząsnął głową. - Ludzie myślą, że jeśli napiszesz wielką powieść, świat ją rozpozna. Ale to nie tak. Nikt nie ma czasu, żeby przeczytać książkę, tak więc sprzedajesz samą ideę, najlepiej w mniej niż dziesięciu słowach. Zobaczmy... „Wykorzystywana kobieta odnajduje miłość - i psychicznie chorą na strychu!”. Wiesz, co to?

- „Jane Eyre”?

- Trafieś. „Bogata kobieta, która zdradziła męża, popełnia samobójstwo na torach kolejowych w Moskwie”.

- „Anna Karenina”.

- „Dylemat studenta: ożenić się z narzeczoną czy pomścić morderstwo ojca”.

- „Hamlet”.

- Widzisz, jakie proste. To samo możesz zrobić z pisarzami. „Człowiek w białym garniturze”.

- Tom Wolfe. - Jackowi bardzo się spodobała ta gra. Miał wrażenie, że bierze udział w telewizyjnym quizie.

- „Prowincjonalny adwokat broni zwyczajnego człowieka”.

- John Grisham.

- „Kokainista z Manhattanu sypia z blondynkami”. Cholera! Nie odpowiadaj. On tam jest.

Jack wsunął w usta spory kęs perliczki, a potem ostrożnie odwrócił głowę. Zobaczył najnowsze *enfant terrible* literatury. To miejsce faktycznie jest super.

- Widzisz, w dawnych czasach wydawcy polegali na dobrych recenzjach, i to one decydowały o sprzedaży książki, ale kogo dziś obchodzą recenzje? W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych reklamowano tytuły na tablicach, tylko że to okazało się zbyt kosztowne. Dzisiaj musisz być sprytniejszy. To jak z filmami: reklama jest najważniejsza. Musisz tak zrobić, aby książka wydawała się gorąca, wspaniała, by każdy czuł, że musi ją mieć. - Leo odsunął talerz z do połowy zjedzonym daniem. - No, Jack, opowiedz mi o swojej nowej powieści.

- Och, cóż, wszystko w porządku. Idzie nieźle. Wolno, ale.

- Jaki ma tytuł?

- „Długie lato”. - Wypowiedzenie tego na głos okazało się bolesne. - Na razie.

- Dobry tytuł, nie zmieniaj go. Obszerna?

- Dość... Chyba.

- Współczesna?
- Tak, choć są w niej wypadki w przeszłość, no wiesz, w rodziną... hm... historię.
- Brzmi fascynująco.
- Nie chodzi o prawdziwą historię, daty i wydarzenia, ale... no wiesz...
- Przeszłość?
- No właśnie. Przeszłość. - Jack z wdzięcznością przyjął podpowiedź.
- I jest tam też jakby historia miłosna, ale nie romans... tak czy owak, jest wątek miłosny. Niezbyt dobrze mi idzie reklamowanie swoich powieści.

Niedopowiedzenie roku! Dlaczego sobie tego nie przygotował? Złapał kieliszek z winem i opróżnił do dna.

- Akcja dzieje się na Południu?
- Tak.
- Jest mowa o niewolnikach?
- Nie.
- Cudownie. Już się nie mogę doczekać, żeby ją przeczytać. - Na szczęście po tym stwierdzeniu Leo zmienił temat. - I jak ci się podoba klub?

- Wspaniałe miejsce. Łatwo uzyskać członkostwo?
- To prawie niemożliwe, ale znam właściciela. Chyba mógłbym załatwić ci kartę. Tylko się pośpiesz, zanim znowu podniosą wpisowe.
- Ile wynosi teraz?
- Cztery tysiące dolarów.
- Fiu! Będę musiał poczekać na spadek.
- Z twoim talentem? Mógłbym jutro załatwić ci zaliczkę tak wielką, że nie musiałbyś się o nic martwić.

Jack nie mógł oderwać od niego oczu. Naprawdę mógłby to zrobić?

- Ale naturalnie już masz agenta - dodał Leo.
- No...
- To Ella Fogarty, tak?
- Ona... ja... współpracujemy od dawna.
- Bardzo miła kobieta, bez dwóch zdań. Podziwiam twoją lojalność, Jack. A co na deser? Polecam *tarte tatin*.

Jack kiwnął głową na zgodę i pogрузzył się w milczeniu. Był zdruzgotany. Wyglądało na to, że tamten jednak wcale się nim nie interesuje.

Po lunchu Leo zaproponował, żeby zeszli na dół i zagraли w bilard. W korytarzu Jack przystanął przed portretem Trumana Capote'a

wykonanym przez Annie Leibowitz. Kiedy potem doganiał Leona, wpadł na męczycznę w koszuli w pawich barwach, którą nosiła obsługa klubu.

- Przepraszam.

- Nie ma za co.

Przez chwilę obaj patrzyli na siebie. Jack już wiedział, że go zna, za-
kłopotanie jednak sprawiło, że się zawahał. Zanim zdążył się przywitać,
tamten gwałtownie się odwrócił i odszedł.

- Znajomy? - zapytał Leo, unosząc brew i przytrzymując dla Jacka
drzwi.

- Właściwie nie.

Kiedy jednak zajęli się ustawianiem bil w drewnianym trójkącie, za-
czął rozmyślać o swoim drobnym kłamstwie. Mężczyzna nazywał się
Howard Gurnard - Howie - i Jack spotkał go wiele lat temu, zaraz po
przyjeździe do Nowego Jorku. Obaj wówczas aspirowali do zawodu pisa-
rza. Tylko że Howie jakoś niczego nie opublikował. Kiedy Jack sprzedał
swoje pierwsze opowiadanie, Howie okazywał mu wielki podziw, co było
miłe i schlebiające, tak więc Jack chętnie, wręcz z wdzięcznością odpo-
wiedzał na niezliczone pytania dotyczące wydawców, agentów i metod
pisarskich. Później Howie zmienił się w pasożyta. Dowiedział się o „ban-
dzie” i barze Ambrosio, gdzie przychodził tak często, że Freya nazwała go
Natrętnym Dudkiem. Przynosił odmowne listy i tak długo dręczył
wszystkimi opowieściami o śmierci literatury, aż czuli się zobowiązani
zapłacić za jego kawę i jedzenie. Z obawą czekali na pojawienie się natrę-
ta - był biedny, w potrzebie, zgorzkniały z rozpacz. Jack unikał go i
stopniowo, z poczuciem winy, całkiem zerwał z nim kontakty. I oto jest
tutaj, jako kelner albo inny pracownik w So-Ho - prawdopodobnie bliżej
sukcesu i sławy już nie zdoła dotrzeć.

Leo rzucił monetą, by ustalić pierwszeństwo. Wygrał Jack. Wciąż
zdenerwowany, uderzył zbyt silnie, bile rozbiegły się we wszystkich kie-
runkach i żadna nie wpadła do luzu.

- Hmm - mruknął jego partner.

Potarł czubek kija kredą, a później obszedł stół dookoła, dokładnie
planując swój ruch. Wycelował kij w wybraną bilę, sprawdził kąt z punk-
tu widzenia luzu, następnie wrócił na pierwotną pozycję i znowu ustawił
kij. Rozległ się ostry dźwięk i czerwona bila z białym kółkiem wpadła do
luzu w rogu stołu.

- Sam widzisz, pozycja jest najważniejsza - uśmiechnął się Leo. - Pa-
ski dla mnie, kropki dla ciebie.

Jack dalej myślał o Howiem.

- Powiedz mi, Leo, co według ciebie musi mieć pisarz, by odnieść sukces? - zapytał.

- Cztery elementy. - Brannigan zaliczył kolejną bilę. - Po pierwsze: młodość. Młodość jest dobra, wspaniała. Jeśli uda się wydać książkę, nim autor skończy dwadzieścia pięć lat, jesteś w domu. Co więcej, w tym wieku najpewniej jest jeszcze samotny, co oznacza, że można publikować zdjęcia z modelkami, aktorami, ludźmi ze świata mediów i żadna żona ani mąż nie będą sprawiać kłopotów. Cholera! - Następna bila obiegła krawędź luzy i odbiła się od bandy. - Choć oczywiście problemem może być dobra jakość zdjęć.

Przyszła kolej Jacka. Wbił łatwą bilę, podczas gdy jego przeciwnik, oparty o kij niczym wojownik o włócznię, ciągnął wykład.

- Po drugie: wygląd. Naturalny dobry wygląd jest najlepszy, ale wiele można zdziałać za pomocą różnych akcesoriów i ustawienia kamery. Och, fatalnie!... Jeśli pisarzem jest kobieta i namówisz ją na pozowanie nago - to bomba. Oczywiście chodzi o fotografie artystyczne. - Znowu zajął pozycję przy stole i wbił kolejną bilę. - Po trzecie: kontakty. Zasadniczo to wszyscy bogaci, sławni lub wpływowi znajomi autora. W gruncie rzeczy lepiej, jeśli żadne z tych określeń nie stosuje się do niego samego. Nikt nie lubi bogatych dupków. - Zaryzykował skomplikowany strzał rykoszetowy, ale nie trafił i o mało nie wrzucił do luzy białej bili. Jack okrążył stół, szukając jakiejś możliwości, był jednak rozkojarzony i nie grał dobrze. - I w końcu odpowiednia historyjka - mówił dalej Leo. - Może być cokolwiek, choć zazwyczaj jest to coś smutnego lub złego. Narkomania, z której się wyszło, zwariowane religie, wykorzystywanie seksualne, chociaż to już trochę niemodne. Homoseksualizm w wypadku kobiet czasami działa, w przypadku mężczyzn jest okay, pod warunkiem że nieprzesadnie eksponowany. Choroby mogą sprawić cuda, o ile nie są zakaźne albo... jakże to się mówi? - Strzelił palcami.

- Śmiertelne?

- Oszpecające. To śmieszne, ale śmiertelna choroba może przyczynić się do sukcesu, jeśli śmierć autora zbiega się w czasie z publikacją książki. Naturalnie jest to chwyt jednorazowy. - Leo obserwował krytycznie Jacka, który tak mocno nachylił się nad stołem, że praktycznie na nim leżał. - Jeśli masz na myśli niebieską, potrzebujesz tego. - Zdjął odpowiedni kij z haka na ścianie i podał mu, a później mówił dalej: - Dla kobiety wyznanie, że była potwornie gruba, stanowi absolutną gwarancję sukcesu, pod warunkiem jednak, że teraz jest chuda jak szczapa, a

podczas promocji pokazuje zdjęcia z tamtego okresu. Tak, to najważniejsze elementy, moja złota czwórka: młodość, wygląd, kontakty, historia. Ułożyłem sobie akronim, żeby mi o tym przypominał: „My wolimy kolosalne honoraria” - zachichotał Leo. - Oho, myślę, że już po tobie.

„A co z talentem? Ze stylem? Co z pasją, rozumem i humanistycznym podejściem?”. Jack zachował te pytania dla siebie. Nie chciał, by uznano go za głupca. Zamiast tego powiedział:

- Założmy, że pisarz jest nudnawy, skończył już dwadzieścia pięć lat, wygląda zwyczajnie i nie ma kontaktów ani skandalu w zanadru?

- Zawsze jest jakieś wyjście. - Leo celnym strzałem wyprowadził bilę z kłopotliwego położenia. - Dam ci przykład: „Prosty farmer z Kentucky pisze powieść o miłości i zdradzie i zostaje nominowany do nagrody Pulitzerza”.

- Chodzi o McGuire'a, tak?

- I tak, i nie. W rzeczywistości Carson ma dobre wykształcenie, konie należą do niego i nie jest pracownikiem najemnym. Brał udział w niezliczonych kursach kreatywnego pisarstwa, tak właśnie go znalazłem. Dostrzegłem, że rynek literatury pięknej zaczyna się nudzić miejskim wyrafinowaniem, wiesz, narkotykami, modelkami, wynaturzeniami, tak więc szukałem jakiegoś swojskiego męskiego realizmu. Carson był idealny, choć trochę czasu zabrało mi wykombinowanie, jak go sprzedać. Było sporo negatywów. Nie jest już młody, do Adonisa mu daleko, a jego prawdziwe nazwisko brzmi Carson Blossom.

- Blossom? - Jack nie potrafił powstrzymać się od pogardliwego śmiechu.

- Wiem, to brzmi zabójczo. Z takim nazwiskiem biedaczek nie miał szans na wygranie niczego poza konkursem krów mlecznych. Ale wtedy dowiedziałem się, że po matce nazywa się McGuire, i bingo! Popatrz tylko na wszystkich pisarzy, którzy niedawno odnieśli sukces: Cormac McCarthy, Tom McGuane, Jay McInerney, Frank McCourt. Więc zrezygnowaliśmy z Blossoma, dogrzebaliśmy się do starej babci Carsona (szalony charakter prosto z Kentucky, wspaniała kobieta), posłaliśmy tam najlepszego fotografa i prasa rzuciła się na zdjęcia. Nigdy nie twierdziliśmy, że Carson wynajmował się do pracy u farmerów, ludzie sami to wydedukowali z kowbojskiego kapelusza, aczkolwiek użyliśmy go tylko po to, by ukryć łysinę. Czysty przypadek.

- No myślę. - Jackowi zakręciło się w głowie od tych rewelacji. - Czy to jednak nie jest nieuczciwe?

- No jasne! Ale taki jest świat. Musisz korzystać z brudnych środków, by osiągnąć czysty cel.

Nawet kłamać?

- Kłamstwo to po prostu inny sposób powiedzenia prawdy. - Leo uśmiechnął się chytrze. - A przy okazji, wygrałem.

To była prawda.

- Oczywiście musisz mieć właściwy produkt. A ty - Brannigan kijem wskazał na Jacka - jesteś rewelacyjnym produktem.

- Tak? - Jack nic nie mógł na to poradzić, że wypłynął mu na usta uśmiech zadowolenia.

- Jasne. Bo jesteś prawdziwy. W gruncie rzeczy nawet lepszy niż Carson.

- Sam nie wiem...

- Ale ja wiem. - Agent odłożył kij na brzeg stołu i spojrzał na Jacka. Był pewny siebie i opanowany. - Posłuchaj mnie, stary. Masz talent. Będziesz gwiazdą. Potrzebujesz tylko niewielkiej pomocy. Jeśli chcesz, jestem do twojej dyspozycji. Rozumiesz?

Jack spojrzał w bystre oczy Leona i skinął głową z powagą.

- Dzięki. Ja... ja się nad tym zastanowię.

- Zrób to. A teraz, co powiesz na następną partię?

Było po trzeciej, gdy Jack chwiejnym krokiem wyszedł wreszcie na światło dzienne. Szedł ulicą z głupim uśmiechem na twarzy, kompletnie nie zwracając uwagi na przechodniów. Z dumą wysunął do przodu pierś. Będzie gwiazdą! - nie przegrany, jak Howie. Będzie bogaty! - na własną rękę, nie dzięki tacie. Będzie podpisywał książki i jeździł od wybrzeża do wybrzeża, promując swoje nowe dzieła. Będzie udzielał wywiadów w telewizji i dostawał listy od fanów. („Drogi panie Madison, nie umiem powiedzieć, jak bardzo...”) - Ludzie przestaną go pytać, co robi - bo wszyscy będą to wiedzieć. Jack wyobraził sobie, jak wpada do klubu So-Ho - jego klubu. Barmani go znają, na powitanie krzyczą: „Hej, Jack!” (on naturalnie nie protestuje przeciwko takiemu spoufalaniu), i od razu nalewają mu ulubionego drinka, gdy on przeciska się przez oklaskujący go tłum. Czekaając na swą olśniewającą partnerkę, narzeka z innymi pisarzami na piekielne trudy twórczych zmagania. A może będzie zbyt wielki, by zniżyć się do innych? „Lepszy niż Carson... .. Carson Blossom! Roześmiał się głośno. Idąca naprzeciw kobieta spojrzała podejrzliwie i ominęła go wielkim łukiem, jak gdyby był szaleńcem.

Co ona tam wie. On jest artystą; artystom wolno zachowywać się dzwacznie i po pańsku. Jack z entuzjazmem uśmiechnął się ku niebiosom

i nie zauważył drzewka na drodze. Kiedy się z nim zderzył, jego myśli wróciły na ziemię. Przecież nigdy nie opuściłby Elli, naturalnie że nie. Skończy powieść i da Elli, by sprzedała książkę według jej wartości. Ale ile naprawdę jest warta? Ile on sam jest wart bez Leona, umożliwiającego mu odniesienie sukcesu? „Reklama jest wszystkim” - czy to może być prawda? Jack skrzywił się: na pewno nie.

Kiedy wszakże wędrował ulicami, wdychając zapach wiosny, oszołomiony alkoholem i pochlebstwami, w głowie kołatało mu zdanie: „Zdobycą nagrody Pulitzera w tym roku jest... Jack McMadison”.

Rozdział siódmy

Freya przekręciła klucz w znajomym zamku i otworzyła drzwi mieszkania 12B. Ostrożnie weszła do środka. W nozdrzach poczuła stęchły zapach pochwyconego w pułapkę powietrza, usłyszała słabe mruczenie lodówki - i to wszystko.

- Jest tu kto? - zawołała.

Odpowiedzi naturalnie nie było. Michael jest w pracy. Miała dom tylko dla siebie.

Zamknąwszy ciężkie drzwi, spokojnie weszła do pokoju i rozejrzała się wokół. Miała wrażenie, że stała się tu intruzem. W otwartej kuchni kubek i miska na płatki (muesli z dodatkowymi otrębami) ustawiono odwrócone dnem do góry na suszarce. Poduszki na sofie w salonie były pomięte i zgniecione tam, gdzie siedział na nich wieczorem. Na niskim stole leżał otwarty egzemplarz „The Harvard Law Review”. Wstrząśnięta stwierdziła, że wszystkie magazyny dotyczące sztuki zniknęły. Czyżby już spakował jej rzeczy, może nawet wyrzucił?

Pośpiesznie otworzyła drzwi sypialni, ale nie, tu wszystko było na miejscu: kolekcja buteleczek i tubek z kosmetykami na jej komodzie, kimono wiszące na drzwiach, pojedyncza czarna pończocha - skąd się tu wzięła? - porzucona na krześle. Łóżko nie było pościelone. Freya poczuła dziwne wzruszenie, gdy zobaczyła, że Michael dalej śpi po „swojej” stronie. Podeszła do okna i przycisnęła czoło do szyby. Zawsze najbardziej lubiła w tym mieszkaniu rozległy, uspokajający widok na Riverside Park, rzekę Hudson i ciągnące się za nią kominy New Jersey. To było upajające przeżycie, unosić się nad zatłoczonymi ulicami, wysoko ponad labiryntem przytłaczających budynków, które zasłaniają niebo. Czasami nocą Michael znajdował ją, gdy stała w ciszy i mroku przy oknie, i zawsze

krzyczał przerażony, a potem zapalał światła, jakby jej zachowanie uważał za nienormalne.

Michael. Freya westchnęła. Kolejny etap dobiegł końca. Właściwie nie miała złamanego serca, czuła się tylko... zmęczona. Dlaczego jej życie utknęło w miejscu? Kiedy patrzyła na ostatnich kilka lat, nie dostrzegała żadnego postępu, tylko ciągle to samo: kolejny mężczyzna, kolejna praca, kolejne mieszkanie. Coś musi być z nią nie tak.

Michael był jednym z nielicznych samotnych mężczyzn w Nowym Jorku, który faktycznie szukał partnerki na dłuższy czas - no dobrze, szukał żony - a mimo to odrzucił jej ewentualną kandydaturę. Dlaczego? Jest za wysoka? Za chuda? Ma za małe piersi? Zbyt kościste kolana? Za często żartowała sobie z jego śmiesznych drobnych przyzwyczajzeń? A może po prostu jest za stara - nie tylko, by zdobyć czyjeś serce, lecz także, aby oddać własne? W restauracji skierował na nią swoje smutne piwne oczy i ze smutkiem powiedział wprost: „Ty mnie nie kochasz”. I to była prawda.

Inni ludzie z przekonaniem stwierdzają, że są zakochani. Skąd to wiedzą? Sama przyjaźń oraz sympatia to za mało, Freya już się tego nauczyła. A mimo to w miłości musi być coś więcej niż tylko kokieteria towarzysząca każdemu nowemu związkowi, uśpione podniecenie, które może zmienić się w namiętność dzięki jednemu spojrzeniu czy muśnięciu palca. Namiętność pięknie wybucha płomieniem, ale wcześniej czy później ogień gaśnie - lub pozostawia bliznę.

Życie uczuciowe prowadziło Freyę mrocznymi bocznymi drogami. Kilka lat temu w najciemniejszej, najgorszej alejce znalazła Todda. Wysoki, przystojny i czarujący, jedyny prawie handlarz dziełami sztuki o zdecydowanie heteroseksualnych skłonnościach, dosłownie rzucił na nią urok. W ciągu paru minut od ich poznania - spotkali się na jakimś nudnym przyjęciu - przyłapał jej głodne spojrzenie. Powiedział jej wtedy: „Nawet o tym nie myśl, jestem dla ciebie zbyt niebezpieczny”, jednak go nie posłuchała. Oczy miał gorące i ciemne, a patrzył na nią w szczególny sposób; została jego niewolnicą, zanim jeszcze wziął ją do łóżka. Wreszcie była to prawdziwa miłość.

Freya wyrzuciła za okno wszystkie zasady. Wychodziła w środku przyjęcia, jeśli akurat jej chciał, odwoływała spotkania, bo mógł zadzwonić, natychmiast mu wybaczała, jeśli się nie pojawiał. Mówiła mu, że go kocha, i dwadzieścia razy na dzień pytała bezwstydnie, czy on także kocha ją. („Naturalnie że tak”). Uwielbiała jego wystające kości policzkowe, wyrzeźbione gładko jak kamienie na płązy, długie muskularne nogi

splatające się z jej nogami, zapach potu. Sama była tak podniecona, że z początku nawet nie uznała za dziwne tego, że on nie ma orgazmu; powiedział, że to jej wina, bo jest zbyt napalona. Zaczęła więc stosować nowe sztuczki, robiła też rzeczy, których nie lubiła, on jednak zachowywał dystans. Skłonił ją, by ujawniła swoje fantazje i obawy, ale nigdy nie mówił o sobie. Czasami, kiedy się kochali, przyciskał przedramię do jej gardła, aż zaczynała się dusić, mimo to nie narzekała. Mówił, że szuka idealnej kobiety. Przez pół roku Freya naprawdę sądziła, że może nią być. Każdy ślad na jej ciele był wojenną blizną, znakiem ich wzajemnego pożądania. Byli jak Antoniusz i Kleopatra, Troilus i Kressyda, Heathcliff i Cathy.

Im bardziej się poniżała, tym częściej ją krytykował. Martwiła się więc, że jest za gruba, za mało seksowna, że brzydko pachnie. Stosowała diety, zmieniała fryzury, szukała pewności siebie w alkoholu. Nie przychodziła na spotkania, odrzucała zaproszenia. Przyjaciele i znajomi pytali, czy wszystko u niej w porządku, odpowiadała, że nigdy nie była tak szczęśliwa. Pewnej nocy Todd posunął się jednak za daleko i Freya straciła przytomność. Obudziła się następnego dnia, sama, w kałuży zimnych wymiocin i z bolącym strasznie gardłem. Jakoś dowlokła się do domu, wyłączyła telefon i poszła do łóżka, biorąc ze sobą butelkę whisky i garść aspiryn - nie, nie aż tyle, by się zabić, taka głupia nie była, choć Cat po powrocie przeraziła się na jej widok i wezwała lekarza. W końcu Freya pojęła, że Todd nie szukał idealnej kobiety do miłości, lecz do nienawiści. Nigdy nie byli jak Antoniusz i Kleopatra, nie byli nawet parą, tylko współnikami od brudnego sekretu. Przez wiele miesięcy czuła niesmak do siebie, była posiniaczona i rozdygotana. A później spotkała Michaela. Zastanawiała się, co on w niej zobaczył. Cokolwiek to było, najwyraźniej nie zamierzał bliżej się przyglądać.

Freya mrugnęła kilka razy i wróciła do terażniejszości. Jej oddech utworzył kółko z pary na szybie. Wytarła je rękawem bluzy. Dwukrotnie z rzędu padła ofiarą własnych fantazji: o Toddzie - namiętym kochanku, i Michaelu - partnerze w domu. Następnym razem będzie ostrożniejsza - o ile ten następny raz w ogóle nastąpi.

Odwróciła się od okna. Przestań się mazać i zacznij pakować! Przysunęła krzesło do szafy i z górnej półki zdjęła dwie walizki, swoje stare przyjaciółki. Kiedy je szarpnęła, kurz i jakieś śmieci spadły jej na włosy i podłogę. Cholera. Poszła po miotłę i szufelkę, żeby posprzątać, włożyła długi fartuch, by osłonić ubranie, a później otrzepała włosy z kurzu i wzorem dawnych praczek zawiązała na głowie stary bawełniany szal.

Zabawne, ale w latach osiemdziesiątych była to niby-feministyczna moda. Freya zastanowiła się przelotnie, czy wygląda jak Simone de Beauvoir.

Była jak pościeliła łóżko i położyła na nim otwarte walizki. Dobłą stroną braku stałego adresu jest to, że człowiek nie ma zbyt wielu rzeczy. Nie dla niej stopy starych listów, zdjęć, programów teatralnych, książek z ozdobnym podpisem właścicielki na pierwszej stronie, nie dla niej wyłysiały królik z dzieciństwa, bibeloty i miłosne podarki, wazy, misy, oprawne w ramki reprodukcje i inne sentymentalne bzdury, bez których większość ludzi najwyraźniej nie umie żyć. Naprawdę niezależna kobieta, powiedziała sobie Freya, powinna umieć spakować własne życie w ciągu najwyżej godziny. Poza tym, kiedy masz blisko metr osiemdziesiąt wzrostu, nikt nie proponuje ci pomocy w niesieniu bagażu.

Najpierw rzeczy najważniejsze: paszport, bielizna, buty. Paszport powędrował do torebki, za to jej rozległa kolekcja wyrafinowanej bielizny i obuwia wymagała całej walizki. Freya usiadła na wieku i tak długo podskakiwała, aż się zamknęło. Zappełniła drugą walizkę, a później zawlokła obie do windy. Zjechawszy na parter, zostawiła je w pokoiku dozorczy, by tam na nią czekały, aż wezwie taksówkę. Za drugim razem zwiozła wypchaną torbę z sukniami. Teraz była już zmęczona i nieco brudna, a z głodu burczało jej w brzuchu. *Może jin i jang* pozostawały u niej w cudownej równowadze, ale umierała z głodu. W kuchni na szybko pożarła osiem krakersów, sama je kupiła, więc nie była to kradzież. Rozejrzała się po schludnym, znajomym pomieszczeniu. Wyobraziła sobie Michaela, jak w pasiastym fartuchu, z podwiniętymi rękawami koszuli starannie sieka i odważa produkty, marszcząc czoło nad książką kucharską niczym mały chłopiec odrabiający lekcje. Był dobrym kucharzem i na początku jego umiejętności robiły na niej przyjemne wrażenie. Sama w kuchni do niczego się nie nadawała, nikt jej tego nie nauczył. Ostatnio jednak ciężarem stawały się skomplikowane dania, które musiała wychwalać pod niebiosa, kiedy pragnęła jedynie grzanki z serem i dobrej książki przed zaśnięciem.

Przełykając pośpiesznie resztki krakersów, złapała kilka reklamówek i po raz ostatni obeszła mieszkanie, zbierając drobiazgi - butelkę z balsamem z łazienki, biografię Matisse'a, którą ostatnio czytała, ulubione płyty ze stojaka koło wieży: Billie Holiday, Elgar, Blondie, „Requiem” Verdiego, Cesar Franek, Bruce Springsteen, Commitments, Cole Porter - hej, cudowna Samotna Wyspa!

Na końcu odszukała torebkę i dwa przedmioty przygotowane na pustej już komodzie. Pierwszym była mała oprawiona w ramkę fotografia,

na której jej matka, w wysokich butach i rosyjskiej czapce, śmiała się otoczona chmurą gołębi: plac Vendôme, rok 1972 - wówczas chyba Freya widziała ją ostatni raz. Przez chwilę wpatrywała się w zdjęcie: Dlaczego nie ma cię ze mną? Beztrudnie oczy odpowiedziały jej uśmiechem. Jej matka miała zaledwie trzydzieści jeden lat, kiedy umarła, była o cztery lata młodsza, niż Freya jest teraz. Poglądziła zimne szkło, a potem ostrożnie wsunęła zdjęcie do wewnętrznej kieszeni torebki.

Drugim przedmiotem był folder z dwoma biletami lotniczymi do Anglii, dla niej i dla... - no właśnie, dla kogo? Ślub miał się odbyć za niecałe trzy tygodnie. Freya poczuła przypływ gniewu na Michaela. Mógł trochę poczekać z tym zerwaniem. W żadnym razie nie pojedzie sama, to wykluczone. Jej wyobraźnia wybiegła w przyszłość, kreując sceny upokorzenia i zakłopotania - i wtedy przypominała sobie o kapeluszu. Kupiła go specjalnie na tę okazję. Gdzież on jest? Ponownie weszła na krzesło i zaczęła grzebać w stosach śpiworów, pojemników na piłeczki tenisowe, zwiniętych plakatów i hantli. Wreszcie dostrzegła zreżnięte przewiązane wstążką pudełko. Zadrżała na myśl o dodaniu kolejnej rzeczy do swego i tak obszernego bagażu, ale bez kapelusza nie mogła przecież...

Cóż to jest? Freya zastygła z ręką uniesioną w powietrzu. Usłyszała stłumiony metaliczny szcęk, przerażająco podobny do dźwięku, jaki wydaje klucz obracany w zamku. Instynktownie skuliła się i zeskoczyła z krzesła. To niemożliwe!

A jednak to była prawda. Poczowała lekki powiew powietrza, gdy drzwi do mieszkania się otworzyły. Rozległy się kroki, szelest ubrania albo toreb z zakupami, a później drzwi trzasnęły tak głośno, że Freya podskoczyła. Zerknęła na zegarek: dopiero piąta, o wiele za wcześnie na Michaela. Poza tym wyczuła perfumy. Przypominała sobie teorię Cat, że Michael ma inną kobietę, i własne pogardliwe zaprzeczenie. A może to włamywacz? Żadne prawo nie mówi, że wszyscy włamywacze to mężczyźni. Złapała miotłę i szufelkę, po czym, zasłoniwszy się nimi niczym tarczą i mieczem, ostrożnie przekradła się na korytarz.

Starsza kobieta wieszła coś w garderobie. Miała na sobie schludny, staromodny kostium barwy selera: układana spódnica opadała skromnie do połowy łydek, głowę damy otaczały kręcone jak u merynosa białe włosy. Freya musiała wydać z siebie jakiś odgłos, bo kobieta odwróciła się nagle i widząc ją, zacisnęła dłoń na kokardzie pod szyją.

- Dobry Boże! Przestraszyłaś mnie na śmierć!

Freya patrzyła na nią bez słowa. A któż to może być?

Kimkolwiek była nieznajoma, nie sprawiała wrażenia zakłopotanej.

- Myślałam, że przychodzisz we wtorki - odezwała się, zdecydowanie zamykając garderobę. Z głową wysoko uniesioną podeszła bliżej, jak caryca zbliżająca się do sługi. - Mówisz po angielsku?

Freya otworzyła usta, lecz nie zdołała wykrztusić słowa. Kobieta palcem wskazała na siebie.

- Nazywam się - mówiła wolno i wyraźnie - Petersen. Jestem matką pana Petersena. - Chwilę się zastanawiała, a potem dodała: - *La madre de Signor Petersen. Comprendo?*

Freya poczuła zamęt w głowie. A cóż tu robi matka Michaela? I dlaczego zwraca się do niej łamanym hiszpańskim? O pani Petersen wiedziała tylko tyle, że jest rozwiedziona, uwielbia syna i pracuje jako administratorka w jakiejś snobistycznej szkole dla dziewcząt w Minnesocie. Matka Michaela uparcie odmawiała przyjęcia do wiadomości istnienia Frei. Przy kilku okazjach, kiedy to jej zdarzyło się odebrać telefon, pani Petersen uciniała wszelkie próby nawiązania pogawędki ostrym: „Czy mogę prosić mojego syna?”, zawsze tonem wysoce podejrzliwym, jakby sądziła, że Freya włamała się do mieszkania i właśnie trzyma Michaela na muszce.

- Och, nic nie szkodzi. Chodź ze mną. - Pani Petersen władczo kiwnęła na nią i żwawo ruszyła do kuchni.

Freya się zawahała. Czy naprawdę wygląda na służącą? Na meksykańską służącą? W lustrze dostrzegła swoje odbicie: miotła, fartuch, szal na głowie. Nie tyle madame Simone de Beauvoir, ile pani Sprzątaczką. Pozwoliła, by niczym zombi poprowadzono ją do kuchni, gdzie pani Petersen wyraźnie zademonstrowała, że czeka na odmrożenie lodówki, opróżnienie i umycie szafek oraz wypolerowanie czajnika. Pocmokała nad okrągłym wypalonym śladem na jednym z drewnianych blatów, gdzie Michael postawił bulgoczący wok, w okresie gdy namiętnie przyrządzał dania na parze. Freya nie wątpiła, że pani Petersen ją oskarżyła o to przestępstwo. Następnie przeszły do łazienki. Tam cudzoziemska siła robocza została poinstruowana, by zdezynfekować kafelki i wyszorować sedes.

- Si, si - pokiwała ulegle głową.

W sypialni pani Petersen z satysfakcją zlustrowała otwartą szafę z pustymi wieszakami. Sprawdziła, że szuflady w komodzie Frei są puste, przesunęła palcem po blacie i skrzywiła się z niesmakiem. Freya z przerażeniem zauważyła, że jej torebka leży sobie spokojnie na krześle obok komody, widoczna jak słoń. Z teatralnym westchnieniem przebiegła

przez pokój, by ją zasłonić, po czym z otwartymi ustami wskazała pustą szafę.

- Dzie panna Freya?

- Nie ma. - Pani Petersen wykonała gest jak przy przeganianiu gęsi. - *Vamoose.*

Freya się przeżegnała.

- Nie, nie, Juanita, czy jak tam masz na imię, to bardzo dobrze. *No bueno muchacha. Artista.* - Pani Petersen zmarszczyła czoło. - *Inglesi.*

- Aha - westchnęła „Juanita” ze współczuciem.

Pani Petersen tymczasem przeglądała ubrania syna. Wyjęła wszystkie garnitury i położyła na łóżku.

- To wszystko ma być oddane do pralni, rozumiesz? *Launderio.*

- Si. - Czy ta kobieta myśli, że Freya roznosiła Czarną Śmierć?

- Więc się zabieraj. Ja muszę zadzwonić. *Telephonio.*

Freya słuchała oddalających się kroków pani Petersen. Później zdjęła fartuch, poskładała go i położyła na środku łóżka razem z kluczami od mieszkania. Zastanawiała się, czy nie zostawić listu, ale właściwie nie miała nic do przekazania. Szybko pozbierała swoje rzeczy: torebkę, reklamówki i pudło z kapeluszem, rozważając przy tym, jak wyslizgnąć się z mieszkania. Z salonu dobiegał dziewczęcy śmiech pani Petersen. Najwyraźniej rozmawiała ze starą przyjaciółką. Freya, czając się koło drzwi, nadstawiła uszu. Czekwała na okazję do ucieczki.

- ...nie jest źle. Zastałam służącą i kazałam jej zrobić porządki. Chyba zmienię też układ mebli. Dla Mikeya to bardzo ważne, żeby zaczął od początku, bez jakichkolwiek śladów przeszłości.

Mikey? Freya uniosła oczy do nieba.

- ...naturalnie, że to była jego decyzja, Myro. Przecież wiesz, że nigdy się nie wtrącam.

Ha!

- W głębi serca sam zdawał sobie sprawę, że to nie jest kobieta dla niego. Kiedy dzwoniłam, zawsze wydawała się taka bezceremonialna, sama wiesz, jakie teraz są te miejskie dziewczęta. Cóż, mówię „dziewczy-na”, choć z tego, co usłyszałam od Michaela, wywnioskowałam, że jest całkiem „doświadczona”, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Drań!

- ...Owszem, wiem, że czasy się zmieniły. Może nie jestem liberałem ze wschodniego wybrzeża, ale to jeszcze nie znaczy, że nie orientuję się w świecie. Widuję te magazyny u fryzjera, gdzie wszystkie artykuły są wyłącznie o es-e-ka-es-i-e. W tych naszych Stanach Zjednoczonych do głosu

dochodzą szkodliwe siły. Musimy walczyć, by chronić tych, których kochamy. Mój Michael zawsze był takim słodkim i niewinnym chłopcem. Czy mówiłam ci już, co to słoneczko powiedziało kiedyś w szkółce niedzielnej?

Tylko miliard razy, Freya mogłaby się założyć.

- ...Och. No cóż, tak czy owak wiem, co będzie dobre dla mojego syna: miła amerykańska dziewczyna, młoda i świeża, która stworzy mu uroczy dom, a nie jakaś Mata Hari.

Freya zgrzytnęła zębami.

- ...nie jest właściwie Holenderką, nie. Zrozumiałam, że to Brytyjka. Ale wszystkie cudzoziemki są takie same. Powiedział mi, że nigdy nie przygotowała porządnego śniadania, ani razu. Nawet nie przyszyła mu guzika, chociaż miesiącami żyła na jego koszt.

Teraz już Freya płonęła z oburzenia. Jak Michael mógł się okazać tak nielojalny? Nie do zniesienia była myśl, że przez cały ten czas, kiedy próbowała dopasować się do jego stylu życia, ten słodki chłopiec składał matce cotygodniowe biuletyny na temat jej zachowania. Z gniewem rozejrzała się po pokoju, miejscu ich rzekomej bliskości. Wzrok jej padł na stos ubrań, które pani Petersen kazała zanieść do pralni, i przyszedł jej do głowy wspomniały pomysł.

- ...Wyobrażam sobie, że chodziło tu, no wiesz, o pociąg fizyczny. Ale to zawsze mija. Co mi przypomina, jak miewa się Harold? Dalej bawi się swoją krótkofalówką? A ty niby dokąd się wybierasz?

Te ostatnie słowa skierowane były do Frei, która śmiało kroczyła przez pokój do drzwi wejściowych. Podbródkiem przytrzymała naręczce garniturów Michaela, pod którymi ukryła swoje rzeczy. Pani Petersen zeszytniała z gniewu.

Freya głową wskazała ubrania.

- *Si si por favor y viva espana hasta la vista* - wymamrotała gorączkowo, próbując otworzyć drzwi małym palcem. Stawiały jednak doprowadzający do szaleństwa opór. - *Enchinada Lope de Vega agua minerala la cucaracha*.

W końcu drzwi z rozmachem się otworzyły, o mało nie zwalając jej z nóg. Pobiegła ku windzie i nacisnęła guzik. Szybko! - modliła się w duchu, spoglądając na drzwi mieszkania 12B, które na razie jeszcze były zamknięte. Gdy tylko winda nadjechała, Freya wskoczyła do środka, rzucała wszystko na podłogę i nacisnęła „P”. Raz jeszcze sprawdziła, czy jest bezpieczna, i ku swemu przerażeniu, zobaczyła białą głowę pani Petersen wyglądającą z mieszkania.

- „Być albo nie być, oto jest pytanie” - wyrecytowała Freya swym najlepszym brytyjskim akcentem, po czym się cofnęła. Drzwi windy zamknęły się o centymetry od jej nosa.

Pięć minut później wtoczyła się do pralni Joe's Dri-Kleen i zwała garnitury Michaela na ladę. Ramiona ją bolały, czuła się spocona, brudna, nieatrakcyjna i niezwykle wściekła.

- Nazwisko?

- Petersen. - Freya przeliterowała nazwisko z rosnącym zniecierpliwieniem.

- Zwykle czy ekspres?

- Najdroższe, proszę.

Podczas gdy Joe wypełniał kwity, Freya oparła się łokciami o kontuar, z irytacją wpatrując się w napis: „Dokonujemy reperacji na miejscu. Tylko poproś!”. Co ona tu robi? Jaka kobieta znosi do pralni rzeczy byłego kochanka na polecenie jego matki, która sądzi, że ma przed sobą służącą? Idiotka, ot co. Jak Michael śmiał narzekać na nią przed matką! I co właściwie rozumiał pod słowem „doświadczona”?

- Zapomniałam powiedzieć! - zawołała. - Trzeba skrócić wszystkie spodnie.

- Nie ma sprawy. - Joe znowu wziął ołówek do ręki.

Posłusznie zanotował polecenie, a potem wręczył Freii kwity. Wepchnęła je do kieszeni. Michael nie jest głupi, no nie? W końcu odnajdzie swoje garnitury. Jaka szkoda, że ona nie będzie przy tym, gdy któryś włoży. Pchnęła wahadłowe drzwi.

- Hej, proszę poczekać! Chodzi o spodnie, powiedziała pani: piętnaście centymetrów?

Freya przystanąła z dłonią na klamce, a potem odwróciła się i obdarzyła Joego olśniewającym uśmiechem.

- Nie słyszał pan? To najnowsza moda.

Rozdział ósmy

Jack otworzył drzwi do sypialni. Miał na sobie wygnieciony po nocy podkoszulek i spłowiałe spodnie z całuskiem na prawym pośladku. Na progu wyprostował się, po czym ruszył trajektorią, która przy odrobinie szczęścia miała go poprowadzić przez północną część salonu do łazienki, idąc na autopilocie, z oczyma sklejonymi od snu, z powodzeniem pokonał zakręt i wnętrzem dłoni walnął w drzwi łazienki, jak miał w zwyczaju. Zwykle otwierały się na oścież z przyjemnym szumem. Dzisiaj o mało nie złamał sobie ręki. Były zamknięte na klucz! Cofnął się i przytulił do piersi pulsującą bólem dłoni.

- Wychodzę za sekundę! - zaświergotał wesolutki głos. Kobięcy głos. Freya. Ciągłe zapominał o jej obecności.

Zaraz potem połała się woda, co oznaczało, że dopiero weszła pod prysznic. Kobietom zawsze zabiera to wieczność. Mrucząc do siebie, Jack powlókł się do kuchni. Tam otworzył drzwi wychodzące na tylne podwórko, ugór porośnięty zielskiem i zasypany gnijącymi kartonowymi pudłami. Zrobił kilka kroków po betonowym chodniku, po czym z wigorem wysiusiał się na kępkę mleczy. Kiedy jego zmysły odzyskały zwykłą ostrość, dotarło do niego irytujące pogwizdywanie. W końcu na ścianie wypatrzył brązowego ptaszka. Ćwir ćwir, hop hop. Głupi ptak. Jack nie nawidził radosnych poranków.

Kątem oka zauważył jakiś ruch. Odwrócił się i aż dech mu zapało. Ktoś przeciągnął nad rogim podwórka prowizoryczny sznur do bielizny i powiesił na nim różne uprane części niewątpliwie damskiej garderoby, w tym także skąpą bieliznę. To straszne. Co sobie pomyśla sąsiedzi? Zwłaszcza Harry Pantoflarz z piętra, który praktycznie przykuty był do

żony i polegął na Jacku w kwestiach brutalnego i nieudomowionego męskiego życia. Jack przedarł się przez kłujące zielska, ściągnął pranie i zaniósł do domu.

Planował zająć miejsce na fotelu, koło którego Freya musi przejść w drodze do swego pokoju, tak by mógł okazać zniecierpliwienie, szeleszcząc gazetą, kiedy jego współlokatorka skończy wreszcie poranną toaletę. Ku swemu zdumieniu stwierdził jednak, że już wyszła, a w łazience unosi się ciepła perfumowana para. Zmarszczył nos. A jeśli to dostanie się do rur? Nie zamierzał pachnieć jak dziewczyna.

Zamknął się w łazience i dopiero wtedy uświadomił sobie, że wciąż trzyma w ramionach ubrania Frei. Rzucił je na zamknięty sedes, nalał wody do umywalki i pokrył twarz pianką do golenia. Zanurzony żyłkę w ciepłej wodzie, przesunął ostrzem po policzku. Uch! Pojękując cicho, Jack obmył piekącą skórę zimną wodą, a później spojrzął w lustro, by ocenić szkody. Zobaczył mnóstwo małych czerwonych punkcików, z których już zaczynała płynąć krew. Co się stało z jego żyłką? Choć właściwie znał odpowiedź. Pchnął drzwi łazienki.

- Freya! - wrzasnął.

- Dzień dobry, Jack - odezwała się z głębi mieszkania. - Właśnie miałam zaparzyć kawę. Chcesz także? - Stała w progu kuchni, nieskazitelna i obojętna, ubrana już w zapinany na zamek kostium kobiety sukcesu.

Jack machnął w powietrzu maszynką, jakby miał zamiar rzucić lassem.

- Czy ogoliłaś tym nogi?

- Chyba tak. No dobra, ogoliłam. Przepraszam, zostawiłam swoją u Michaela.

- Więc kup sobie nową. Popatrz na moją twarz! Przez cały dzień będę musiał chodzić z plastrami na twarzy jak jakiś nieopierzony nastolatek.

- Przepraszam - powtórzyła, lecz w jej głosie nie było skruchy.

- I zamknęłaś drzwi łazienki. O mało nie złamałem sobie ręki.

- Ojej.

- Przez ciebie na wiele miesięcy mogłem stracić możliwość pisania. Ręce są mi potrzebne. Pisarz jest jak pianista.

Uśmiechnęła się w sposób, który wcale mu się nie spodobał.

- A która, panie Toscanini?

- Co?

- Która ręka została narazona na to prawie fatalne w skutkach obrażenie? Ta, którą wywijasz maszynką, czy ta, którą zwykle opierasz się o ścianę?

Jack spojrzął na nią z wściekłością.

- Pocałuj mnie w dupę - rzucił nieprzyjemnym tonem, po czym się odwrócił.

- Ha, ktoś to już zrobił - zawołała za nim. - Rewelacyjne spodenki!

Jack trzasnął drzwiami, nastawił prysznic na najmocniejsze bicze i ustawił się pod strumieniem. To tylko czasowy układ, powtarzał sobie, próbując uspokoić walące serce. Powiedział jej: „Dwa tygodnie, najwyżej dwa tygodnie”. Jeśli dzisiaj jest wtorek, to znaczy, że pozostało jeszcze tylko dziewięć dni wspólnego mieszkania. *Tylko* dziewięć dni? Tylko *dziewięć* dni? Tylko *dziewięć dni*? Zamknął oczy i odchylił głowę, jakby błagał któreś z bóstw o współczucie. Woda płynęła mu po twarzy niczym lzy.

Najlepszą taktyką jest nie wchodzić sobie nawzajem w drogę. Na razie istotnie była to skuteczna metoda. Nastrój mu się poprawił, kiedy przypomniał sobie, jak swoim urokiem ściągnął Candace z wysokiego konia i przekonał, by spotkała się z nim w sobotę wieczorem. Od razu wiedział, że się zgodzi, chociaż zwlekał z telefonem aż do wpół do siódmej, chciał bowiem potrzymać ją w niepewności. Kiedy odebrała po pierwszym dzwonku, nie miał już cienia wątpliwości, że wygrał. Dziewczyny! Wieczór przebiegł w większej części zgodnie z jego planem, aczkolwiek dyskusja o pisarstwie Candace okazała się gorętsza, niż oczekiwał: kto by pomyślał, że przywiązywała taką wagę do swoich przysłówków? Sama Candace w skąpej czarnej sukni wyglądała jeszcze bardziej uroczo niż przy poprzednich spotkaniach, a bez sukni - po prostu olśniewająco. Na zakończenie wieczoru odprowadził ją do domu, jak przystało na południowego dżentelmena, którym był. Powiedziała mu, że jej współlokatorka szczęśliwym zbiegiem okoliczności wyjechała (tym także się zdradziła), a on postanowił zostać.

Jack wyszedł spod prysznica i złapał ręcznik. Candace była naprawdę słodka. Kiedy wreszcie wstali z łóżka, uparła się, że na śniadanie zrobi mu wafle z syropem klonowym. Co prawda nie przepadał za waflami, ale z przyjemnością patrzył, jak się dla niego stara. A później, szczerze mówiąc, zaczął się niepokoić. Mieszkanie Candace było małe, okna wychodziły wprost na inne okna albo puste brudne ściany - przypuszczalnie na więcej nie mogła sobie pozwolić - i Jacka ogarniała klaustrofobia. Dziewczyna zaproponowała spacer po parku (po co?), udało mu się jednak od tego wykręcić. Oznajmił, że jest umówiony na squasha, co stało się prawdą, z chwilą gdy zadzwonił do Gusa i ustalił porę.

Myśli Jacka powróciły do Frei. Skoro bez większych trudności przebrnęli przez te pierwsze trzy dni, nie było podstaw do przypuszczeń, że pozostałe dziewięć przyniesie jakieś problemy, o ile oboje będą zachowywać się uprzejmie i szanować przestrzeń prywatną drugiej osoby. Byli w końcu dojrzałymi ludźmi. Jedno tylko trochę go uwierało, a mianowicie fakt, że jakoś nie znalazł okazji, by powiedzieć Candace o wprowadzeniu się Frei. Ale był zajęty. Człowiek nie może robić wszystkiego.

Owinięty w pasie ręcznikiem poszedł do sypialni. Wkładając dżinsy i wygodną koszulę, z przyjemnością wciągał w nozdrza zapach kawy i grzanek. Obecność kobiety w domu ma też dobre strony. Wszedł do kuchni, zdecydowany okazać dobry humor, i rozejrzał się za kubkiem pełnym kawy oraz talerzem grzanek. Nic takiego jednak nie zobaczył.

- Nie zrobiłaś mi grzanek?

- Co? - Freya zajmowała jedyny taboret - jego taboret, i pogrążona była w lekturze gazety - jego gazety.

Jack odchrząknął znacząco. Kiedy nie zareagowała, zaczął sam sobie przygotowywać śniadanie, szeleszcząc opakowaniami i trzaskając tosterem na tyle głośno, by wreszcie się zawstydziła i przeprosiła.

Jak było do przewidzenia, uniosła głowę.

- Posłuchaj: Bliss i Ricky się rozeszli!

Jack odczekał kilka sekund.

- A kim są, jeśli wolno spytać, Bliss i Ricky?

- Bliss Bogardo to supermodelka, kretynie, a Ricky Radical jest gwiazdą rocka. Przyłapała go z perkusistką i podpaliła mu marakasy. Ale afera! - Freya wróciła do lektury, rozrzucając po kuchni tłuste okruszki.

- Idiotypyczne nazwiska - stwierdził Jack. - Na pewno nie są prawdziwe.

- Jasne że nie. Co ty, mieszkałeś dotąd na pustyni?

- Wolę nie zaśmiecać sobie umysłu takimi bzdurami. A teraz, czy mogę cię prosić o dział sportowy?

Spojrzała na niego, a później podała mu odpowiednie strony. Jackowi wpadł w oko tytuł: „Strained Pinky zagraża szansom Jankesów”. Serce mu się ścisnęło. To była katastrofalnie zła wiadomość.

- A niech to, napięty różowy* - mruknęła Freya. - I to nie jest bzdurne!

* *Strained Pinky* - w dosłownym tłumaczeniu: „napięty różowy” (przyp. red.).

Po tych słowach nastąpiła cisza. Jack nalał sobie kawę, postawił na stole talerz z grzankami, obok ułożył gazetę. Otworzył lodówkę, ale zaraz ją zamknął.

- Gdzie włożyłaś mleko?

- Mleka nie ma. W kartonie został tylko łyk.

Czarna kawa. Jack nie znosił czarnej kawy. Wylałby ją do zlewu, gdyby nie był ponad takie dziecinne gesty. Zamiast tego przywłókł z salonu fotel, głośno sapiąc z wysiłku, i usiadł przy chwiejnym stole. Sięgnął po masło - przynajmniej masła nie wykończyła - i szcudrze posmarował stygnącą grzankę, świadomy krytycznego spojrzenia Freii.

- Niewątpliwie lubisz masło.

- To prawda - odrzekł spokojnie.

- Strasznie tuczące.

- Próbujesz mi coś powiedzieć?

- Nie. - Wgryzła się w drugą - a może trzecią? - grzankę. - Choć przytyłeś, odkąd cię poznałam.

Jack instynktownie wciągnął brzuch.

- To są mięśnie. Często grywam w squasha.

- Mięśnie! - roześmiała się Freya radośnie.

Jack podniósł gazetę. Wiadomości nie były aż tak złe, jak się obawiał. Słynny łapacz jest dobry, ale...

- Zastanawiałam się... - Zza gazety dobiegł jej głos. - Jeśli mam tu na trochę zostać, powinniśmy ustalić pewne zasady.

Jack strzepnął gazetę, nie przerywając lektury.

- No wiesz, ludzie, którzy mieszkają razem, zwykle dzielą się obowiązkami... Hej! Jesteś tam?

- Co?

- Nie chcesz pogadać o śmieciach, praniu, zmywaniu i gotowaniu?

- Nie.

- A sprzątanie? Ta łazienka stanowi zagrożenie dla zdrowia.

- Sprzątanie nie leży w kręgu moich zainteresowań.

- A co, jeśli przyjdą goście?

- Zwykle to ja chodzę do nich. - A potem wszystkie konsekwencje jej pytania dotarły do niego. Położył gazetę na stole. - Chodzi o ciebie?

- Nie, o Rudolfa, renifera z czerwonym nosem.

- No cóż... - Jack był zakłopotany. Czy Freya naprawdę zamierza przyprowadzić innego mężczyznę tutaj, do jego mieszkania, jego gabinetu, jego świątyni i... i... zabawiać się z tamtym? Przecież dopiero co zerwała z Michaelem. Co się stało z jej zasadami? - Chyba najlepiej

będzie, jeśli wcześniej uprzedzimy o zamiarze... - odkaszlnął ochryple. - Wtedy druga osoba będzie mogła się usunąć, żebyśmy mieli trochę...

- Pływalności? - Wymówiła słowo z wyraźnym brytyjskim akcentem.

Jack poprawił ją, wymawiając je po amerykańsku.

- Dobra, dobra. Jeszcze jedno: chciałabym mieć jakiś wkład w gospodarstwo. Pomyślałam, że zrobię dzisiaj zakupy i uzupełnię zapasy w lodówce. Czy jest coś, co szczególnie lubisz?

- Masło orze...

Jack ugryzł się w język. „Uzupełnię zapasy w lodówce”. Czyż nie przed tym ostrzegał go Leo? Starsza kobieta, rzekoma „przyjaciółka”, która podstępem toruje sobie drogę do twego życia, a potem zostaje na zawsze.

- Nie! Nie chodź na zakupy.

Spojrzała na niego zdziwiona, później zaś wzruszyła ramionami.

- Okay. Ty idź. Nie cierpię kupować jedzenia.

Jack także tego nie cierpiał. Jakim sposobem wpędził się w tę idiotyczną sytuację? Niechętnie patrzył, jak Freya wstaje i wkłada do zlewu talerz i kubek, wcale ich nie zmywając. Ale przynajmniej wychodzi. Wreszcie będzie miał spokój.

Ona jednak otworzyła drzwi na podwórko i zaraz krzyknęła:

- Ktoś ukradł moje pranie!

- To ja przyniosłem je do domu.

- Ty przyniosłeś moją bieliznę? A po co?

- Bo... bo była już sucha!

- Więc gdzie jest teraz?

- Nie wiem. - Jak można myśleć o cudzej bieliznie, kiedy Jankesi mają kłopoty? Zmusił się do koncentracji. - Ja... eee... chyba zostawiłem wszystko w łazience.

- A możesz mi powiedzieć, dlaczego musiałeś zabrać moją bieliznę do łazienki? - Głos Frei nieoczekiwanie przybrał stalowy ton.

Jack walnął gazetą w stół.

- Nie musiałem. Zapomniałem o tym. Chryste, Freya, przestań patrzeć na mnie jak na zbrojeńca.

- Nie patrzę!

- Patrzysz!

- Nie.

- Tak.

- Nie.

- Tak.
- Nie.
- Tak.
- Nie.
- Na litość boską, czy ty w ogóle pójdziesz do pracy?
- Zaraz idę. Nie musisz być taki drażliwy.
- Nie jestem.
- Jesteś.
- Nie.
- Tak, tak, tak.

Najwyraźniej uważała to za świetną zabawę.

Jack zacisnął wargi, by znowu go na czymś nie przyłapała. Wyszła do holu, za minutę lub dwie nie będzie jej w domu.

Pomylił się. Najpierw wyczyściła zęby, później zniknęła w swoim pokoju na czas, który wydał mu się wiecznością, wyszła, wróciła, wyszła, po kobiecemu jęknęła, jakby o czymś zapomniała, wróciła, wyszła. Jej kroki stukwały po podłodze. Wreszcie pojawiła się w kuchennych drzwiach, z aktówką w ręce. Stała sztywno i prosto, jakby przylutowano ją do tego akurat miejsca.

- Chciałam tylko powiedzieć, jaka jestem ci wdzięczna, że mnie przygarnąłeś - powiedziała z wesołą spontanicznością greckiego posłańca, który przynosi wieść o masakrze w Sparcie.

Jack mruknął coś niezrozumiałe.

- Może odwdzięczę się, przygotowując ci kolację dzisiaj wieczorem?

O nie, tak łatwo na pewno go nie złapie.

- Dzisiaj wychodzę.

- No to mam inną propozycję. W moim pokoju zauważyłam sporo zepsutych urządzeń elektrycznych. Jeśli mogłabym zanieść je do repara-cji...

- Nie. - Te kobiety są podstępne jak sam diabeł. - Lubię je w takim stanie.

- Podoba ci się zepsute żelazko?

- Bardzo.

- I zepsute budziki?

- Niezwykłe.

- I zepsute...

- Lubię wszystko poza zepsutymi płytami. Przestań zrzedzić, Freya. Gdybym chciał mieć żonę, już bym się ożenił.

- Jedną żonę? Chyba się przejęczyłeś, Jack.

- Nie musisz gdzieś iść, na przykład na publiczne biczowanie?

Ha! To do niej dotarło. Potrząsnęła włosami, w każdym razie tym, co jej zostało na głowie, i okręciła się na pięcie. Wychodzi! Stuk-stuk-stuk, stukły jej pantofle - jedna z pięciu tysięcy par, które uznała za konieczne zmagazynować w jego gabinecie. Usłyszał trzask otwieranych drzwi wejściowych, hałas ruchu ulicznego, a potem... nic. Czas mijał, a on na próżno czekał na błogosławiony odgłos zamykanych drzwi. Nie doczekał się jednak. Ciśnienie w jego głowie tak wzrosło, że zaczął się obawiać, iż uszy mu odlecą. Co ona zamyśla? Nie mógł dłużej znieść tego napięcia, wstał więc od stołu i poszedł sprawdzić, co się dzieje.

Stała na progu, ze zwieszoną głową i podwinętą nogą, którą podtrzymywała dużą torebkę. Grzebała w niej jak wiewiórka szukająca w zimie orzechów. Dlaczego kobiety kupują sobie torebki takich rozmiarów, że potem nic nie potrafią w niej znaleźć?

- Och, Jack - zwróciła się do niego obojętnym, doprowadzającym do szaleństwa głosem - nie masz przypadkiem dwudziestki piątki na autobus?

- Nie, nie mam żadnych pieprzonych dwudziestek piątek na pieprzony autobus!

Podniosła ku niemu twarz, na której malował się dziwny wyraz. Freya najwidoczniej była wstrząśnięta. Już miał zadać sobie pytanie, czy przypadkiem jej nie uraził, ale zarzuciła torbę na ramię i wyszła z mieszkania. Odwróciła się i obdarzyła go sztucznym uśmiechem.

- Pa, kochanie - zaświergotała. - Miłego dnia w biurze. Nie pocałujesz mnie na do widzenia?

Jack zatrzasnął drzwi.

Rozdział dziewiąty

Kiedy Freya wróciła z pracy, stwierdziła z ulgą, że mieszkanie jest puste. Po godnym ubolewania wybuchu złego humoru, jaki zaprezentował rano Jack, uświadomiła sobie, że Cat miała rację: mężczyźni i kobiety po prostu nie są stworzeni do tego, być żyć razem w harmonii. A poza tym jego nieobecność dała jej szansę, by dokonać pewnych niezbędnych ulepszeń w domu. Zaniosiła do kuchni wielką papierową torbę i położyła na stole. Wyjęła z niej puszkę proszku do czyszczenia, butelkę wybielacza do toalet, ścierki, szczotkę ryżową oraz gumowe rękawiczki. Bałagan to jedno, ale czymś zupełnie innym jest brodzik, w którym w brudzie można wydrapać swoje imię.

Przebrała się pośpiesznie, myśląc tylko o tym, by Jack nie przyłapał jej w samym środku tak poniżającej pracy; mógłby wyciągnąć fałszywe wnioski na temat ról przypisanych płciom. Wygląd gabinetu doprowadził ją do rozpacz. Po pierwsze, pokój był mały; w jednym kącie stało łóżko, w drugim, pod oknem, znajdowało się biurko Jacka, a teraz całość wydawała się wręcz groteskowo zatłoczona. Prawie całą wolną przestrzeń zajmowały stosy pudeł z butami i walizki, których używała w charakterze komody. Ubrania wisiały nad łóżkiem na rurze od ogrzewania. Równie dobrze Freya mogła mieć znowu dziewiętnaście lat. No ale był to układ czasowy. Jutro wyjdzie wcześniej, żeby kupić gorące jeszcze „The Village Voice” i przejrzeć ogłoszenia o mieszkaniach do wynajęcia. Przy odrobinie szczęścia może uda jej się znaleźć dostępny wkrótce tani lokal.

W kilka minut sprzątnęła ubranie, w którym była w pracy, włożyła koszulkę, stare spodnie do joggingu i tenisówki. Teraz stała w obłoku śnieżnobiałego proszku do czyszczenia. Złapała wielką szczotkę i zabrała

się do pracy, która ku jej zdziwieniu okazała się nadspodziewanie satysfakcjonująca. Zwykle sprzątanie to nuda, widoczny brud natomiast to wyzwanie. Po półgodzinie wyteżonej pracy bure i ciemnoszare płytki okazały się białe i czarne, w toalecie pienił się na niebiesko środek dezynfekujący, a na wolnej od kożucha umywalce odczytać można było nazwę producenta. A ponieważ teraz łazienka była czysta, Freya zaś brudna, niezłym pomysłem wydawało się sprawdzić rezultaty pracy, wchodząc pod prysznic. Właśnie skończyła płukać włosy, kiedy zadzwonił dzwonek przy drzwiach. To prawie na pewno Jack, zbyt leniwy, żeby zdobyć się na wysiłek wyjęcia kluczy z kieszeni. Freya zignorowała ów dźwięk. W końcu nie jest niczym kamerdynerem. Wyszła spod prysznicca, osuszyła się i włożyła kimono. Zawiązywała ręcznik na głowie, gdy dzwonek rozległ się ponownie. Jęknęła z rozpaczy. Ten idiota pewnie zapomniał kluczy. Ruszyła ku drzwiom, zostawiając na podłodze ślady mokrych stóp.

- Już idę, panie Madison - zawołała z akcentem, który jej zdaniem naśladował południowy. - Już idę.

To jednak nie był Jack, tylko młoda kobieta. Jej precyzyjnie umalowane oczy odzwierciedlały zaskoczenie Frei. Poprawiła turban i zapytała:

- Słucham?
- Czy Jack jest w domu?
- Nie.
- Och... powiedział, żebym tu się z nim spotkała.
- A po co?
- Dzisiaj są zajęcia z kreatywnego pisarstwa. Idziemy razem.
- Jak miło. Proszę wejść.

Freya usunęła się i szeroko otworzyła drzwi. Poznała dziewczynę. Mała panna ABC, „studentka” Jacka. Z tymi krągłymi policzkami i zalotną spódnicą wyglądała na siedemnaście lat. Kiedy mijala Freyę, stukając wysokimi obcasami sandałów, bez trudu można było zajrzeć jej za dekollet. To tłumaczyło wzmianki Jacka o inteligencji dziewczyny. Freya mocniej związała kimono i podążyła za nią do salonu. Dostrzegła, że dziewczyna rozgląda się wokół wzrokiem posiadaczki, jakby chciała sprawdzić, czy Jack istotnie wyszedł. W końcu odwróciła się do Frei z zuchwałym uśmiechem na błyszczących ustach.

- Jestem Candace - oznajmiła.
- Idealne imię. Założę się, że Jack czasami nazywa panią Candy, mam rację?

Panna ABC się zarumieniła.

- Czasami - odrzekła, marszcząc nosek. - Co to za zapach?

- Zapach czystości. Cudowny, prawda? I zanim pani zapyta, od razu wyjaśniam, że nie jestem służącą.

- A kto tak mówił? - Candace sprawiała wrażenie zmieszanej. - Widziałam tu panią w sobotę. Jack wyjaśnił mi, że jest pani starą przyjaciółką.

- Cóż z niego za pochlebca! - roześmiała się Freya.

- Ale nie powiedział, że pani tu mieszka.

- Ci mężczyźni! - Freya uniosła oczy ku niebu. - Są tacy zapominalscy. A teraz pani wybaczy, ale muszę wracać do moich robótek. Proszę częstować się w kuchni wszystkim, na co przyjdzie pani ochota: jest co-ca, lemoniada, mleko i ciasteczka...

Po tych słowach Freya uciekła do swego pokoju. Policzki miała czerwone, usta zaciśnięte z irytacji. Nie lubiła, kiedy przyłapywano ją w niekorzystnej sytuacji. Dlaczego Jack jej nie uprzedził? Odbicie w lustrze pokazało nieatrakcyjnie czystą twarz, przekrzywiony turban, postrzępiony jedwab przy dekolcie kimona. Wyobraźnia zaś ukazała jej idealny obraz zadbanej i wyperfumowanej Candace. Dziewczyna była niewysoka i drobnej kości, za to z obfitymi krągłościami akurat tam, gdzie trzeba. Freya wykrzywiła się do lustra. Musi przy niej wyglądać jak zwykły dachowiec przy puszystym perskim kocie.

Zrzuciła kimono i pośpiesznie wciągnęła ulubione džinsy i obcisły czarny top. Dlaczego Jack zawsze musi wybierać te głupiutkie lealeczki? Freya ledwo umiała sobie przypomnieć jego ostatnią dziewczynę, którą nawet polubiła. Założyła wilgotne włosy za uszy i zaczęła się malować. Czy on nie zdaje sobie sprawy, jakie to egoistyczne - jak trudne dla Larry'ego, Gusa i reszty bandy są kontakty z osobą, dla której kultura zaczyna się od „Gwiazdnych wojen”? Wiele spotkań starych przyjaciół zepsuła jakaś Candy, Mandy, Bonnie albo Connie, która czuliła się do Jacka, podczas gdy oni chcieli się odprężyć i powspominać. Najwyższy czas, by ten facet wreszcie dorósł.

Kiedy wróciła do salonu, zastała Candace w uroczej pozie na sofie, z głową pochyloną nad „Poetyką” Arystotelesa.

- To tylko ja - odezwała się Freya.

Przynajmniej ta dziewczyna trzyma książkę we właściwym kierunku. Freya przygotowała sobie burbona z lodem i przysiadła na poręczu chwiejnego fotela, machając długą nogą. Candace obserwowała ją czujnym wzrokiem.

- Pani jest Frieda, prawda? - zapytała.

- Prawie, osiem punktów na dziesięć. Nazywam się Freya.
- Jack mówił, że mieszka pani z partnerem.
- Mieszkałam. - Uśmiech Frei stwardniał.
- I co się stało?

Freya się zawahała. Nie musi przecież spowiadać się tej laleczce.

- Skoro chcesz wiedzieć, zaproponował mi małżeństwo, a ja odmówiłam.

- Naprawdę?
- Tak, naprawdę. Czy tak trudno w to uwierzyć?
- Nie. Podziwiam cię... za podjęcie takiej odważnej decyzji.

Freya spojrzała na nią podejrzliwie.

- A cóż w tym odważnego?
- No... w twoim wieku... - Candace spuściła oczy, wzruszając ramionami.

Przy każdym ruchu górne części jej ciała zdawały się kołysać i zmieniać kształt jak balony wypełnione wodą. Freya zastanawiała się, co czuje kobieta tak szczerze wyposażona przez naturę; to musi być tak, jakby ktoś przyłożył ci dwie gigantyczne świnki morskie do klatki piersiowej. Candace chyba nie widzi własnych stóp, kiedy stoi.

Freya skrzyżowała ramiona na własnym, znacznie mniej wybuchowym biuście.

- I sugerujesz, że na kolejne oświadczyzny nie mam co liczyć?

- Tego nie powiedziałam. Moja ciotka Rochelle wyszła za mąż dopiero w wieku czterdziestu dwóch lat. Oczywiście nie miała dzieci. A teraz jest po rozwodzie.

- Cóż za pocieszająca historia. Dziękuję, Candace.

Zapadła cisza. Dziewczyna spojrzała na zegarek.

- Spóźnia się - zauważyła.
- Jack zawsze się spóźnia.
- Od jak dawna go znasz?
- Od dziesięciu lat. A ty?

Na twarzy Candace pojawił się uduchowiony wyraz.

- Nie można mierzyć związku czasem. W każdym razie nie chronologicznym czasem.

- No cóż, skoro nie w czasie chronologicznym...
- Chodzi mi o to, że ze mną i Jackiem to było... coop de food.
- Słucham?

- Coop de food. To po francusku. Oznacza miłość od pierwszego spojrzenia.

- Rozumiem. Mądrze postąpiłaś, nie próbując się zmierzyć z akcentem.

Tamta nie słuchała jednak. Jej pełne usta rozchyliły się w tajemniczym uśmiechu, odsłaniając błyszczące białe ząbki.

- Kiedy pierwszy raz przyszedł na zajęcia, o mało nie umarłam - wyznała.

- O mało? Cóż za ulga.

- Czy on nie jest najprzystojniejszym mężczyzną na całym świecie? Te niebieskie oczy... - Candace zadrżała z ekstazy. - Poza tym tak bardzo podziwiam jego talent.

Freya zgrzyła kostkę lodu.

- Na początku nie byłam w ogóle pewna, czy mnie zauważył, to znaczy jako kobietę. Ale potem wpadłam na niego po zajęciach i poczułam niesamowitą łączność...

- Ojej. Mam nadzieję, że nie było to bolesne?

- ...choć on w tylu sprawach nade mną góruje, jest mądrzejszy, głębszy i...

- Starszy?

- Wiek to tylko liczba lat, które spędziłaś na tej planecie - odparła surowo dziewczyna. - Nie ma wpływu na emocjonalne zachowanie ludzi.

- Ileż w tym prawdy.

Rozległ się szcęk klucza w zamku. Oczy obu kobiet pobiegły ku drzwiom salonu. Czekwały w milczeniu, podczas gdy Jack wprowadzał rower do przedpokoju. Candace, przygotowując się na wejście swego idola, zwilżyła wargi i potrząsnęła włosami.

Wreszcie do pokoju wkroczył Jack, poprawiając na nosie okulary w drucianej oprawie. Przez ułamek sekundy Freya zobaczyła go oczyma Candace: fajny, męski, pociągająco niechlujny, taki typ mężczyzny, na widok którego kobiety same się oszukują, że mogą go „uratować”. A potem prawie roześmiała się na głos, bo Jack, widząc je obie, nagle się zatrzymał, tak zdumiony, jakby zastał w swoim salonie Hitlera i Stalina.

- No, no, no! - zawołał z jowialnością Świętego Mikołaja. - Moje dwie ulubione kobiety, i to razem! Wspaniale!

- Wiem. Czyż to nie jest cudowne? - Freya sparodiowała jego rubaszny ton.

Jack spojrzał na nią koso, pocierając gorączkowo dłonie.

- Ha! - zawołał entuzjastycznie. - Rozumiem, że się poznałyście!

- Tak, poznałyśmy się już.

Candace nie potrafiła dłużej mu się opierać. Z okrzykiem zerwała się z kanapy i szybko, prawie biegiem rzuciła się ku Jackowi i objęła go w pasie.

Freya patrzyła, jak tamta unosi z uwielbieniem oczy, niczym śliczna stokrotka zwracająca swe płatki ku słońcu. Gdyby zawołała: „tatusiu!”, Freya wcale by się nie zdziwiła.

Jack z roztargnieniem pogładził dziewczynę po włosach, a potem uwolnił się z uścisku.

- Dobrze! - zawołał, wciąż niezmiernie rozradowany. - Wezmę tylko moje papiery i idziemy!

- Wszy... wszyscy? - zająknęła się Candace, spoglądając na Freyę z paniką w oczach.

- Nie. - Machnęła ręką Freya. - Wy, młodzi, biegnijcie i dobrze się bawcie. Ja wolę zostać w domu i porządnie wymoczyć swoją sztuczną szczękę.

Jack i Candace pośpiesznie wyszli. Freya słyszała, jak idą w stronę ulicy - niskiemu, gardłowemu głosowi Jacka odpowiadał uszczęśliwiony chichot dziewczyny. Dźwięki oddaliły się i zapadła cisza. Freya miała przed sobą długi wieczór.

Uzupełniła drinka, włączyła wieżę i opadła na kanapę, obok której na podłodze wznosił się chwiejny stos magazynów, głównie „The New Yorker Review of Books”. Położyła sobie na brzuchu kilka egzemplarzy i zaczęła bez większego zainteresowania kartkować, podczas gdy Billie Holiday napelniała pokój swą czułą melancholią. „Nie wiem, czemu jestem taka smutna...”. Wzrok Frei przyciągały nazwiska na okładkach magazynów: Updike, Roth, Isaiah Berlin, Niżyński, William James, Velasquez. Jak człowiek, który upaja się intelektualnymi fajerwerkami z artykułów w poważnym piśmie literackim, może spędzać wolny czas z dziewczynami pokroju Candace?

Freya podejrzewała, że powodem jest czyste lenistwo. Jack miał w sobie coś, co sprawiało, że kobiety wpadały mu w ręce jak dojrzałe owoce z drzewa i nie musiał nawet po nie się schylać. Pamiętała ich pierwsze spotkanie, gdy Jack właśnie wysiadł z samolotu z Karoliny Północnej. Był sierpień: oczy szczypały od upału i smogu, w powietrzu unosił się ohydny zapach przypiekanych słońcem śmieci. W tamtych czasach Freya obracała się pośród cyganerii i często żyła na krawędzi głodu. Trzeba było wystrzegać się ćpunów i wariatów na ulicy. Mężczyźni, których wówczas znała, jakkolwiek sympatyczni, a nawet godni miłości, mieli tendencję do nazbyt obfitego zarostu i nie grzeszyli czystością. Jack pojawił się na ponurej scenie ich egzystencji ze swymi eleganckimi skórzanymi walizkami i starą maszyną do pisania, z której był taki dumny; wyglądał jak Robert Redford w „Boso w parku”. Był taki młody, pełen

entuzjazmu. Taki czysty. Uprzejmy! Jedna z dziewczyn wynajmujących pokój w ich kamienicy przysięgała, że pachnie świeżą trawą. Oznajmił, że będzie pisarzem.

Szybko się do nich dopasował. Wszyscy okropnie sobie z niego żartowali: z pięknych koszul, bogatego tatusia, melodyjnego akcentu i kosztownego wydania „W poszukiwaniu straconego czasu” Prousta (którego nie przeczytał), ale przyjmował to bez urazy. Odpowiadał, że jego rodzina jest bogata, ale on nie; między nim a ojcem doszło do potwornej awantury i przynajmniej na razie tak jak oni jest bez grosza. Freya wzięła go pod swoje skrzydła. Jack był zabawny, dzielił się tym, co miał, nie wstydził się entuzjazmu i poważnie traktował własną pracę. Freya bardzo go lubiła, on lubił ją, lecz na tym koniec. Był dla niej za młody. I już stała do niego długa kolejka. Bez słów zawarli porozumienie, że zostaną przyjaciółmi.

I dalej nimi byli. Freya wróciła do magazynów. Cieszyła się, że nigdy między nią a Jackiem do niczego nie doszło. Okazał się świetnym i zabawnym kompanem, ale jego związki z inteligentnymi kobietami - tymi nielicznymi, które pamiętała - zawsze dość szybko się kończyły, przypuszczalnie dlatego, że nie umiał znieść rywalizacji. Opowiadał o Fayette, studentce Uniwersytetu Karoliny Północnej, która była ideałem pod każdym względem i rzekomo złamała mu serce, Freya jednak podejrzewała, że wykorzystywał ją jako pretekst, by się nie angażować. O wiele łatwiej było dryfować, reagując na seks tylko kawałeczkiem umysłu. Mężczyźni lubią intelektualne wyzwania i lubią atrakcyjne kobiety - ale nie znoszą obu tych rzeczy razem.

A może jednak? Freya ożywiła się, gdy na ostatnich stronach „Review” odkryła ogłoszenia osobiste.

„Absolwent Yale (KŁ) poszukuje atrakcyjnej, kulturalnej towarzyszkii na wyprawy do teatru, na wystawy i na wieś, a także - kto wie? - w bardziej intymne miejsca”.

No, no.

„Bogart (MS) szuka Bergman. Zagrajmy to jeszcze raz”.

Freya rozejrzała się za ołówkiem. To może rozwiązać jej problem. „Kochanku, och, gdzie jesteś?” - lamentowała Billie. Freya w gruncie rzeczy nie potrzebowała kochanka, lecz rozpaczliwie musiała znaleźć jakiegoś mężczyznę - i to do następnej środy. Każdy będzie dobry, byle można go pokazać publicznie. Czytelnicy „New Yorker Review of Books” na pewno znajdują się o stopień wyżej niż zwykle samotne serca; ci mężczyźni są bez wątpienia godni szacunku, wykształceni, wyrafinowani.

„Niedawno owdowiałem, nie wyglądam na swoje lata i często biorą mnie za Einsteina”.

„Mądra Sowa z gniazdkiem, dobrze opierzona, szuka gołąbeczki na okazjonalne wędrówki”.

Albo do łóżka.

Mimo to warto zaryzykować. Freya zaznaczyła trzy ostatnie numery i zaczęła wypisywać oferty. Skróty były dość sporym kłopotem. Czy KŁ może oznaczać karła? A co z MS - miły i sympatyczny? Morduje szpadlem? Majętny szczur? Z namysłem gryzła koniec ołówka.

Najpierw wyeliminowała tych, którzy nie podali e-maili; nie miała czasu na kontakt przez skrytkę pocztową, a telefonowanie wydawało jej się niebezpiecznie bezpośrednie. Następnie skreśliła wszystkich, którzy przyznawali się do brody, choroby, przekroczenia czterdziestego piątego roku życia i posiadania żony albo też używali słów w rodzaju „intymność”, „zabawa” czy „troje”. Został jej niewielki wybór, lecz potrzebowała tylko łutu szczęścia. Na jej ustach pojawił się słaby uśmiech, gdy zaczęła układać w głowie wstępną wersję listu. To było zabawne, przypominało zamawianie towarów pocztą.

Freya zebrała stos magazynów i energicznie ruszyła przez salon. Komputer znajdował się w pokoju, który wynajmowała. Jeśli wykorzysta go do wysłania kilku krótkich wiadomości, to Jack chyba nie będzie miał pretensji. A może jednak?

Rozdział dziesiąty

Statek wpłynął do portu,

Hmm.

Statek zawinął do portu.

Lepiej, choć...

Zawijając do portu, statek...

Jack nerwowo bębnił w klawiaturę komputera, z niesmakiem oglądając marne rezultaty dotychczasowych wysiłków.

Statek sapał? - ślizgał się? - żeglował? - pędził? - płynął?

Nie. Myśl, chłopie. Statek, o który mu chodziło, był wielki i stary, mierzalnie przedzierał się przez burzliwe morze. Więc może tak?

Statek wdarł się do portu.

O tak, to błyskotliwe. Brzmi, jakby statek demolował port. Jack położył palec na klawiszu kasowania i mocno przycisnął.

Teraz mrugał do niego tylko biały kursor niczym gorączkowy promień światła z latarni morskiej na płaskim błękitnie ekranu. Jack zamknął oczy, próbując w wyobraźni zobaczyć opisywaną scenę.

W mglistą lutową noc statek ociężale wpłynął do portu, zardzewiały metal zgrzytał na mrozie.

Tak było lepiej. Czytelnik już wie, że noc była zimna, a statek stary i ciężki. Jackowi podobał się zwrot „zgrzytał na mrozie”. Przeczytał zdanie na głos, by sprawdzić jego rytm. Nieźle. Jednakże styl nie nosił śladu indywidualnych cech i nie dało się stwierdzić, czy autorem jest Jack Madison, Somerset Maugham albo Irving Nikt. Czy będzie lepiej, jeśli zmieni szyk?

Statek ociężale wpłynął do portu w mglistą lutową noc...

A może brzmi to jak kiepska poezja?

Mglisty luty. Zimny zgrzyt zardzewiałego metalu.

...rdzewiejącego? Zardzewiałego?

Jack podrapał się po nosie. Czy metal zgrzyta, kiedy jest zimny? Czy to ma być statek, czy też raczej wielka łódź? Postanowił przejrzeć hasło „statki” w encyklopedii. Może znajdzie inspirację w opisie czy obrazku. W pół godziny później był o wiele lepiej poinformowany w kwestii Saskatchewan (zimno), Adwentystów Siódmego Dnia (dziwaczne) i dynastii Seleucydów (Syria, ok. 312-64 p.n.e.). Po intensywnych studiach zyskał też pewność, że „statek” to „jednostka pływająca o napędzie spalinowym, parowym, elektrycznym, atomowym, mogąca się poruszać na wodzie, pod wodą lub ponad powierzchnią wody”, podczas gdy „łódź” to „mały statek wodny o płytkim zanurzeniu, poruszany wiosłami, żaglem lub za pomocą silnika, służy do celów rybackich, sportowych lub komunikacji wodnej”. Czyli statek. Dobra, statek był w porcie. Co dalej? Spojrzał na zegarek. Hej, czas na kawę!

W kuchni panował okropny bałagan. To tyle w sprawie posiadania kobiety w charakterze współlokatorki. Podczas gdy kawa się parzyła, Jack doszedł do wniosku, że najwyższa pora, żeby wreszcie ktoś tu posprzątał. Napełnił zlew gorącą wodą z płynem i przetarł kilka talerzy gąbką, uznał jednak, że lepszym wyjściem będzie zostawić naczynia, żeby porządnie się wymoczyły. Wziął gazetę i przejrzał; chciał się upewnić, czy nie przeoczył jakiejś istotnej wiadomości. W Rijadzie temperatura wynosiła w słońcu ponad plus pięćdziesiąt stopni Celsjusza, w Anchorage tylko zero, a Nowy Jork z trzydziestoma pięcioma plasował się nieco powyżej środka skali: zadziwiająco. Nalał kawy do kubka i już miał wrócić do biurka, kiedy przypomniał sobie o zepsutych zawiasach w szafce, które od tygodni zamierzał naprawić. Westchnął z rozpaczą: kolejna zwłoka. A przecież zrób dziś, co masz zrobić jutro. Gdzież to on posiał śrubokręty?

Dwadzieścia minut później był w tym samym miejscu, w którym zaczął rankiem, czyli wpatrywał się w pusty ekran, tylko że teraz jeden kciuk spowijał mu różowy bandaż. Zamyślony skubał gazę, czekając na przyływ natchnienia. Miał wrażenie, jakby głowę wypełniała mu owsianka. Z jękiem oparł czoło na dłoniach. Dlaczego nie potrafi pisać tak jak wcześniej? Co się stało? Dawniej słowa płynęły strumieniem, kiedyś w jeden dzień napisał opowiadanie. Tak bardzo zależało mu na publikacji czegokolwiek, że nie marnował czasu na zastanawianie się nad każdym słowem ani na rozmyślania o swoim miejscu w panteonie literatury. A mimo to trafił w dziesiątkę za pierwszym strzałem. W owym

czasie przyjął swój sukces jako pełne i cudowne szczęście. Wszystko było dla niego nowością - szczotka do korekty (jego słowa tak pięknie wyglądały w druku, że nie dostrzegał literówek); propozycje okładek do wyboru (wszystkie były rewelacyjne); pisanie notek reklamowych (pompatyczne jak diabli, uświadomił sobie później). I recenzje, spadające mu do stóp obficie i cudownie niczym płatki kwiatów brzoskwini na wiosnę.

Jack otworzył głęboką dolną szufladę biurka. Gorączkowym ruchem, jak ktoś sięgający po stos świerszczyków, wyjął z samego tyłu grubą teczkę. Położył ją sobie na kolanach, odsunął się od biurka i zaczął przeglądać zawartość. W trakcie lektury na jego twarzy rozlał się uśmiech samozadowolenia. To było dobre: „Madison otwiera narracyjne pułapki z bezlitosną wprawą profesjonalisty, ani na chwilę nie tracąc współczucia dla swoich ofiar” („New York Times”). I druga faworytka: „Diabelnie inteligentne... napisane z rodzajem wdzięku, o jakim wielu starszych pisarzy może tylko marzyć” („Washington Post”). „Błyskotliwe” - a to z czego? Aha, to tylko „Little Rock Post”, ale w Arkansas nie mieszkają sami idioci. Poza niejakim H. Hirschbergiem, który narzekał, że pisarz „nie w pełni objął postmodernizm” (cokolwiek miało to znaczyć) i o którego pierwszą powieść do recenzji modlił się Jack, każdy krytyk podkreślał to samo: autor był dobry.

Był. Czas przeszły. Jack westchnął, dostrzegając datę na jednej z recenzji, i zamknął teczkę. Już dawno minął termin oddania do wydawnictwa pierwszej powieści. Musi się pośpieszyć! Znowu wpatrzył się w pusty ekran, a w głowie kołatały mu luźne fragmenty myśli. Pragnął połączyć w jedno zalety „Wielkich nadziei”, „Wielkiego Gatsby'ego”, „Buszującego w zbożu” i „Wściekłości i wrzasku”. Całą historię miał w głowie, gdzieś tam głęboko, doskonałą i kompletną. Tylko słowa nie chciały przychodzić.

Spojrzał na zegarek. Dałby wszystko za telefon od kogoś z zaproszeniem na długi, dający zapomnienie lunch. Wypocił dwa następne zdania, sprawdził ortografię tego, co dzisiaj napisał, porównał różne typy czcionek, by się przekonać, która robi większe wrażenie, w końcu zapytał komputer, ile słów tego dnia napisał (sto sześćdziesiąt trzy). Może jego intelekt lepiej by pracował po jedzeniu.

Przygotowując w kuchni kanapkę - szynka, ser, konserwowy koper, musztarda, kilka kropel tabasco - przeprowadzał w głowie skomplikowane obliczenia. Załóżmy, że pisze dwieście słów na dzień: oznacza to tysiąc tygodniowo, a to z kolei oznacza, że biorąc pod uwagę wakacje i

innego rodzaju przerwy, dokończenie powieści zabierze mu - Chryste! - kolejne dwa lata. Będzie wtedy trzydziestoczerolatkiem, dokładnie w połowie życia. I czy w ogóle mu się to uda? Szczerze mówiąc, jego produktywność w ciągu ostatnich dwóch lat nie była zbyt wielka: opowiadanie, sporo błyskotliwych, lecz łatwych do zapomnienia artykułów prasowych oraz kilkadziesiąt recenzji. („Ale kogo dzisiaj obchodzą recenzje?” - zabrzmiał mu w głowie sardoniczny głos Leona).

Jack z kanapką w ręku poszedł do salonu, otworzył puszkę napoju cytrynowego i włączył telewizor. To ważne, by dotrzymywać kroku kulturze popularnej. Przecież nie może pracować, kiedy je, prawda? Przez pięć fascynujących minut oglądał młodą otyłą kobietę w kowbojskich butach, która zwierzała się z uzależnienia od seksu. Mężczyzna z tupecikiem, ubrany tak, jakby wybierał się na pole golfowe, wydierał z niej jeden soczysty szczegół po drugim, aż wreszcie dziewczyna załamała się i wybuchnęła płaczem, co skłoniło ociężałą umysłowo publiczność w studiu do oklasków. Publiczne egzekucje musiały być podobne, pomyślał Jack, przeskakując z kanału na kanał - wszędzie natrafiał na tę samą mieszanekę pochlebstw, nudy i bezmyślnego okrucieństwa. Zaczął formułować teorię dojrzałości kulturowej, według której współczesna Ameryka osiągnęła wiek umysłowy średniowiecznej Europy, ale jego uwagę rozproszył teleturniej. Tu z kolei młodożeńcy z opaskami na oczach biedzili się nad pytaniami o codzienne i seksualne upodobania partnerów. Jack ze smutkiem potrząsnął głową, po czym przeskoczył na kolejny kanał. Czasami się zastanawiał, po co w ogóle zadaje sobie trud zajmowania się literaturą. Jeśli masy chcą tego, co oferuje telewizja, lepiej by wyszedł w Hollywood, prostytuując swój talent jako marny scenarzysta. Ojej! - „Buffy postrach wampirów”. Jack z zadowoleniem rozsiadł się na kanapie.

W połowie odcinka, kiedy kończył już kanapkę, zadzwonił telefon. Jack rozżłoszczony, że mu przeszkadzają, wstał, wyłączył dźwięk i nie odrywając wzroku od ekranu, podniósł słuchawkę.

- Tak? - Oho, Buffy zagrażał jakiś przerażający facet z czerwonymi oczami.

- Cześć! Czy zastałem Freyę? - zapytał męski głos.

- Nie - odrzekł Jack, wciąż jeszcze przeżuwiając.

- Będzie wieczorem w domu?

- Chyba tak.

- W takim razie spróbuję później. Proszę jej powiedzieć, że dzwonił Maks.

Po tych słowach mężczyzna przerwał połączenie.

W pięć minut później sytuacja się powtórzyła, tyle tylko, że tym razem był to Norman. Jack poczuł irytację. W końcu nie jest sekretarzem Frei i ma swoją pracę. Gdy tylko się dowie, co z Buffy, zaraz...

A niech to! Znowu telefon. Czy tym ludziom aż tak brakuje dobrych manier, że nie mogą poczekać do przerwy na reklamy? Mężczyzna imieniem Lucas oznajmił, że dzwoni ze swojej limuzyny. Freya bez wątplenia miała kilku wiernych przyjaciół.

- A kim pan jest, jeśli wolno spytać? - zaciekawił się Lucas. - Chyba nie jej mężem, cha, cha?

- Ja... ja tutaj mieszkam - odparł Jack z oburzeniem.

- Och. - W głosie Lucasa aż kipiało od podtekstów. - To pan jest tym gejem?

- Nie!

Jack trzasnął słuchawką. Jak człowiek może pracować, skoro ciągle mu przeszkadzają? Spojrzał na ekran telewizora, gdzie ujęcie nadmierne uradowanej kobiety w nieskazitelnie białym stroju do tenisa zostało zastąpione zbliżeniem opakowania tamponów. Wspaniale. W dodatku jeszcze nie zobaczył końca odcinka.

Wyłączył telewizor i w kwaśnym humorze wrócił do gabinetu. Rzeczy Frei walały się dosłownie wszędzie - pod sufitem wisały sukienki, opakowania z kosmetykami tłoczyły się na krawędzi półek, a zapach perfum pozostał w powietrzu. Postawiła nawet na parapecie jakieś idiotyczne kwiaty - czy to irysy? Mieczyki? Tak czy owak, były wysokie i czerwone, takie jakie widuje się na cukierkowych akwarelach. Mężczyzna potrzebuje porządku, żeby efektywnie pracować, jego otoczenie musi być proste i pozbawione ozdóbek; gabinet to nie salon kosmetyczny. Nagle pod łóżkiem dostrzegł rozrzucone magazyny i aż świsnął ze złości: ukradła jego „New York Reviews”! Skąd wiedziała, że nie będzie potrzebował któregoś numeru? Mógł zmarnować wiele godzin swego cennego czasu na bezskuteczne poszukiwanie. W dodatku połowa z nich była złożona w środku. Jack szarpnął je z gniewem, zauważając przy tym, że niektóre stronicy zostały oszpecone kółeczkami i gryzmołami. Na podłogę sfrunęła jakaś luźna kartka, przypuszczalnie jedna z tych denerwujących wkładek reklamowych. Podniósł ją i położył na biurku.

Był to brudnopis listu. Kiedy zaczął czytać, uśmiechnął się z satysfakcją. Wyglądało na to, że Freya usiłuje znaleźć sobie za wszelką cenę partnera.

Do:—

Od: Freya clo jackmad@aol.com

Temat: Randka.

Przeczytałam Twoje ogłoszenie w „New Yorker Review of Books”. Jeśli w tym tygodniu masz ochotę na kolację w towarzystwie wysokiej [atrakcyjnej - przekreślone, szczupłej - przekreślone] blondynki, pracującej, wiek [35 - przekreślone, 33 - przekreślone, 29 - przekreślone] po trzydziestce, skontaktuj się ze mną i przekonaj, dlaczego powinniśmy się spotkać. Dzwonić tylko wieczorami, e-maile tylko od północy do 7 rano.

PS Jeśli telefon odbierze mężczyzna, to będzie nim mój współlokator. [Tylko się przyjaźnimy - przekreślone. Jest moim bratem - przekreślone]. Jest gejem.

Jack walnął pięścią w biurko. Chwycił jej idiotyczne kwiaty i ukreślił im główki niczym kurczakom, a zwłoki wrzucił do kosza na śmieci. Jak śmiała dać jego adres tej bandzie samotnych nieudaczników? Jak mogła splugawić jego komputer, uświęconą skarbnicę jego najcenniejszych myśli i ambicji, swymi trywialnymi liścikami miłosnymi? I kogo nazywa gejem? Krążył po niewielkim pokoju, kopniakami odsuwając z drogi pudła z butami. Podała nawet jego numer, co nie tylko było okropnie niebezpieczne, ale oznaczało też, że będzie odbierał kretyńskie telefony długo po jej wyprowadzce. Dokąd ta kobieta się posunie w swoim egoizmie?

Kiedy znowu zadzwonił telefon, Jack wpadł z rykiem do salonu jak szarżujący byk. Złapał słuchawkę i wrzasnął:

- Jej tu nie ma!

- Jack? Czy to ty? - zapytał męski głos. - Tu Michael Petersen. Dobrze się czujesz?

- Dobrze. - Zmusił się do śmiechu. - Chyba przebywałem w innym świecie. Pisanie jest tak absorbujące.

- Wybacz, że przeszkadzam ci w pracy, ale chciałbym prosić o twój adres. Zebrało się trochę korespondencji, którą muszę przesłać Frei.

Jack podyktował adres zmęczonym, oschłym tonem. Tylko dlatego, że jesteś w środku dnia w domu, ludzie zakładają, że nic nie robisz i można ci przeszkadzać trywialnymi drobiazgami. Dlaczego ten tu nie może zadzwonić do Frei i jej przeszkodzić w pracy?

- Freya zazwyczaj wieczorami bywa w domu - odrzekł z naciskiem - jeśli potrzebne by ci były dalsze informacje.

- Dziękuję - odpowiedział równie oficjalnie Michael. Później tonem, w którym zdaniem Jacka brzmiało rozżalenie, dodał: - Przypuszczam, że oboje cieszyście się swoim towarzystwem?

- Cieszymy? - wypluł z siebie Jack.

Już miał wygłosić dziką diatribę o Frei, kiedy spadło na niego olśnienie. Czyste piękno tego pomysłu sprawiło, że poczuł mrowienie we włosach. Przekona Michaela, by wziął ją do siebie! Bez Frei będzie mógł brać prysznic, kiedy zechce, w spokoju czytać dział sportowy, sprowadzać piękne dziewczęta i zabawiać się z nimi. Ledwo powstrzymał okrzyk histerycznej radości. Z wysiłkiem nadał swemu głosowi przekonujące, słodkie jak melasa brzmienie.

- Kto by się nie cieszył z towarzystwa Frei? Jest taka sympatyczna, zabawna, taka... chętna do pomocy i życzliwa. Ale to chyba wiesz? - Teraz jego ton stał się poważny. - Martwię się o nią.

- Tak?

- Nie jest sobą. Wygląda na smutną i samotną. Myślę, że tęskni za tobą.

- Czyżby? - W głosie Michaela zabrzmiał niestosowny w tej sytuacji chłód.

- Och, udaje i uśmiecha się, ale pod tymi pozorami - Jack przerwał, by zwiększyć wrażenie - wiem, że ma złamane serce.

- To dobrze - odparł Michael.

Dobrze? Ojej. Kto pisze ten scenariusz?

- Jeśli pozwolisz, opowiem ci o tym, co w poniedziałek zdarzyło się w moim mieszkaniu. - Michael precyzyjnie artykułował słowa jak prokurator w akcji.

Jack słuchał w pełnym grozy milczeniu. Wyglądało na to, że matka Michaela przeżyła załamanie nerwowe w rezultacie dziwnego spotkania z Freyą w mieszkaniu syna. Po tym incydencie pani Petersen wprowadziła się do hotelu Plaza i pocieszała na koszt Michaela zakupami oraz posiłkami zamawianymi do pokoju. Ale najgorsze miało dopiero nadejść.

- Piętnaście centymetrów? - powtórzył Jack, gdy Michael opisał finałową katastrofę. - To... to straszne. - Na nieszczęście jednak nie udało mu się powściągnąć chichotu, gdy wyobraził sobie tamtego w garniturze, który odsłaniał skarpetki i owłosione łydki.

- Najwyraźniej w przeciwieństwie do mnie uważasz Freyę za zabawną - odrzekł Michael. - Niektóre z tych garniturów kosztowały tysiąc dolarów. Rozważam wytoczenie jej sprawy.

- Dobry pomysł - pochwalił Jack stanowczo. - Wiesz, uwielbiam Freyę, ale przyznaję, że potrafi być nieznośna. Z kobietami zawsze tak jest: to cudowne istoty, dopóki z nimi nie zamieszkasz.

- Nie wiem, co się stało Frei - powiedział Michael żałośnie. - Na początku była taka słodka.

Słodka?

- A potem nagle okazało się, że wszystko, co robię, robię głupio albo źle. Jeśli Freya traci panowanie nad sytuacją, zaczyna zachowywać się aspołecznie. Tak powiedział terapeuta zajmujący się związkami.

Terapeuta od związków! Jack nie mógł się doczekać, żeby sobie pożartować z Frei.

- Więc sądzisz, że to... no, skrócenie spodni było symbolicznym aktem kastracji? - Z trudem zachowywał powagę. - A może to wołanie o pomoc?

Okazało się jednak, że Michael nie jest taki tępy, jak sobie Jack wyobrażał.

- Niech ci się nie wydaje, że możesz traktować mnie protekcyjnie tylko dlatego, że masz prywatne dochody i sam siebie nazywasz pisarzem. Mówię ci, Freya jest nieźrównoważona. Ma poważne problemy ze związkami. Powinieneś być ostrożny. - I odłożył słuchawkę.

Jack wrócił do biurka, zirytowany uwagami Michaela. Czemu wszystkie te kauzyperdy uważają się za dar od Boga? Jack włączył komputer i wywołał plik z powieścią. Nazywa siebie pisarzem, ponieważ pisze. Gdyby nie te wieczne przeszkody - wszystkie z winy Frei - mógł już napisać cały rozdział. A nawet dwa. A teraz zobaczymy: statek był w porcie.

Wzrok Jacka powędrował jednak ku liścikowi Frei. „Przekonaj mnie, że powinniśmy się spotkać” - jakże to typowe dla jej arogancji. Współczuł biedakowi, który da się nabrać na to zdanie. I nagle do głowy wpadł mu pomysł. Co najmniej trzech mężczyzn zignorowało polecenie Frei, by dzwonić wieczorami: a jeśli ci od e-maili zrobili to samo? Jack czuł już zapach zemsty. Energicznie uderzył w klawisze, a potem kliknął myszą.

Eureka!

Do: Freya clo jackmad@aol.com

Od: Tomcat

Temat: Randka.

Cześć, laleczko! Nie mogłem doczekać się północy. Skąd wiedziałaś,

że blond to mój ulubiony kolor!!! Mam ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, jestem dość szorstki, koło czterdziestki, posiadam zakład pogrzebowy. Uwielbiam futra, długie nogi, ostrygi i trupy (tylko żartuję!!!). Mogę spotkać się z Tobą w weekend o dowolnej porze i w dowolnym miejscu. Niech gra muzyka!

Tom

Zafascynowany Jack przeskokczył do następnego listu.

Droga pani Penrose, wiadomość od Pani uratowała mi życie, byłem na krawędzi samobójstwa. W ostatnie Boże Narodzenie opuściła mnie żona. Zabrała mi mieszkanie i wszystkie pieniądze, zwróciła dzieci przeciwko mnie (Lois 7 lat, Elijah 6, Tiffany 5, Clinton 4). Z powodu głębokiej depresji i skłonności do alkoholu straciłem pracę, choć nie stosuję przemocy. Potrzebuję miłości dobrej kobiety. Proszę o spotkanie.

Lenny

PS Czy moglibyśmy spotkać się w parku i pójść na spacer z moim psem Burtonem, bo nie stać mnie na restaurację?

Biedny facet. Jack raz jeszcze kliknął.

Droga Freyo, obawiam się, że moje ogłoszenie wprowadziło Cię w błąd. Jestem gejem, który potrzebuje damskiego towarzystwa na przyjęcia w firmie trzy, cztery razy w roku. Jestem kulturalny, wykształcony, przystojny, a moja oferta nie zawiera żadnych podstępów. Wydałaś mi się idealną kandydatką. Pokryję wszystkie Twoje wydatki. Jeśli potrzebowałabyś sukni na konkretną okazję, kupię Ci ją - albo pożyczę jedną z moich!

Christopher

Ostatni list ozdobiony był maleńką ikoną, w której Jack rozpoznał sławny portret Szekspira zerkającego znad wielkiej kryzy. Tuż pod nią znajdował się nagłówek. „Bernard S. Parkenrider (prof, dr hab.)”. Jack prychnął. Tekst był następujący:

Droga Freyo.

La table est reserve! Z niecierpliwością czekam na spotkanie z Tobą jutro (i jutro, i jutro, jak powiedziałby wielki Bard!).

Twój żywiący nadzieję Bernard

Ho, ho. Więc Freya sądzi, że znalazła ideał. Jack jednak w to powątpiewał. Raz jeszcze przebiegł wzrokiem listy, próbując połączyć je z zakreślonymi przez Freyę ogłoszeniami. Jeśli Bernard był „profesorem uniwersytetu”, to zdaniem Jacka Freyę czekała niespodzianka. Ale z niej niemądra dziewczyna. Mimo to zasługuje na nauczkę. Nadużyła jego gościnności, wprawiała w zakłopotanie uroczą Candace. Przez nią pani Petersen przeżyła załamanie nerwowe, a Michael pokazuje wszystkim swoje kostki.

Jack siedział chwilę w skupieniu, a później zaczął pisać. Zapelniał ekran słowami z biegłością, której nie osiągnął od miesiący. Najpierw w imieniu Bernarda wysłał do Frei wiersz:

*Moja słodka: to jasne, że powinniśmy się spotkać,
nie jak nieznajomi na ulicy,
ale gdzieś w miłym ustroniu,
z dala od wścibskich przyjaciół i sąsiadów.
Tak się cieszę, że się umówiliśmy
w ten piątek około ósmej.
Jeśli ja lub mój wiersz nie przypadł ci do gustu,
Zawsze możesz iść do domu!*

Później ułożył odpowiedź Frei.

Drogi Bernardzie.

Tak się cieszę, że spotkam prawdziwego uczonego! Chcę dowiedzieć się absolutnie WSZYSTKIEGO o Twojej pracy. Może, nim się spotkamy, udzielę Ci kilku informacji o sobie. Poza tym, że mam artystyczne skłonności, uważam się za intelektualistkę - chociaż naturalnie nie Stronię od zabawy. Interesuję się między innymi terapią małżeńską, modą męską i niemiecką operą, a także obuwiami. Przyjaciele żartują, że jestem dość władcza i zawsze lubię trzymać w ręce bat (!), ale uważam, że z tym dasz sobie radę.

PS Uwielbiam owłosione nogi!

Jack zatarł ręce. To na pewno doda pieprzu ich romantycznej randce. Sięgnął po mysz i nacisnął „Wyślij”.

Rozdział jedenasty

Freya skręciła z Piątej Alei ku Madison, stukając głośno wysokimi obcasami. Był ciepły piątkowy wieczór; cieszyła się, że ma przed sobą spotkanie, że nie siedzi w domu. Poza jednym wieczorem u Cat, kiedy to pomagała przygotowywać polentę na jeszcze jedną uroczystość rodzinną klanu da Fillipo, cały tydzień nigdzie nie wychodziła, znosząc złe nastroje i wątpliwe dowcipy Jacka, aż wreszcie chciało jej się wyć. Tego wieczoru i tak zapowiedział jej, że ma się usunąć: Candace będzie mu gotować obiad, ho, ho. Tak więc z nieukrywaną satysfakcją Freya oznajmiła, że jest umówiona.

- Czyżby? - Pełen niedowierzania uśmiešek Jacka był niezwykle irytujący.

- Tak. Prawdę mówiąc, spotykam się z bardzo interesującym profesorem literatury angielskiej. Przyjemnie będzie mieć dla odmiany trochę stymulacji intelektualnej.

To najwyraźniej było tak zabawne, że Jack w odpowiedzi mógł tylko unieść sceptycznie brwi, jak gdyby przeżycia Frei nie dorastały nawet do pięt rodzajowi „stymulacji”, jakiej spodziewał się po Candace. Mężczyźni są tacy trywialni. Tylko własne zwierzęce żądze zaprzatają im myśli i nie pojmują wagi, jaką kobiety przywiązują do życia intelektualnego.

Na szczęście są wyjątki. Freya powtórzyła w duchu słowa ogłoszenia, które od pierwszego rzutu oka zwróciło jej uwagę. „RBM, profesor uniwersytetu, 39 lat, kulturalny, z poczuciem humoru, doświadczony przez życie, acz niepokonany przez nie, poszukuje inteligentnej kobiety w celu pobudzających intelektualnie spotkań”. RBM, jak odkryła, oznacza rozwiedzionego białego mężczyznę, i od razu oczyma duszy zobaczyła

sympatyczną postać w wygniecionym sztruksie, z rozbawieniem w oczach i ironicznym uśmiechem. Rozmawiali już przez telefon i Freyę uderzyły jego uprzejme, niemal dworskie maniery, a także schlebiali jej, że pragnie, by jak najszybciej się poznali. W rozmowie wtrącił cytat z Szekspira, tematu jego ostatniego „magnum opus”, jak się wyraził. Freya miała nadzieję, że nie będzie używał zbyt wielu łacińskich słów.

Jego imię, Bernard, wymawiało się po amerykańsku z akcentem na drugą sylabę - co brzmiało o wiele szykowniej niż zwykły brytyjski Bernard akcentowany na początku. Nieświadomie uniosła podbródek, gratulując sobie wyboru. Bernard był człowiekiem wykształconym, dojrzałym, lecz nie starym, zahartowanym w ognistym piecu życia, lecz niewypalonym. Miał skłonność do „inteligentnych” kobiet, a nie do piersiastych małolat z planety Guma do Życia. Nie trzeba się wstydzić takiej randki w ciemno. Jeśli Bernard nie okaże się odpowiedni do jej celów, przynajmniej spędzą miły wieczór na inteligentnej rozmowie.

Oto i restauracja. Freya pchnęła drzwi i wkroczyła w stylowy półmrok. Podczas gdy kierownik sprawdzał w rezerwacjach, czy profesor Parkenrider już się pojawił, ona przystanęła koło akwarium, unikając wzroku pływających tam istot wyposażonych w szczypce i wąsy. Japońska kuchnia nie należała do jej ulubionych, ale da sobie radę, o ile tylko nie będzie musiała jeść czegoś surowego.

- Tędy, proszę. Pan Parkenrider czeka.

Minęli bar z sushi, gdzie odziany w biel mężczyzna jedną ręką szatkował warzywa na paski, po czym skierowali się ku hebanowemu stolikom w głębi. Na jej powitanie podniósł się siedzący samotnie człowiek - wysoki, lekko przygarbiony i uśmiechający się tak, jakby nie wierzył własnym oczom.

- Bernard? - Freya wyciągnęła ku niemu rękę.

Zamiast nią potrząsnąć, zamknął jej dłoń w swojej i uniosł ku ustom w geście radosnej galanterii; Freya przekonywała samą siebie, że to uroczę.

- Ach, Freyo, wreszcie się spotykamy.

- Tak... Witaj. - Uwolniła swą dłoń. - Może usiądziemy?

Kiedy zajęli miejsca, szybkie spojrzenie potwierdziło jej pierwsze wrażenie. Uroda Bernarda nie zwałała z nóg. Miał jasne, podpuchnięte oczy i rzadkie brązowe włosy z rudawym odcieniem, które wiły mu się za uszami. Do białej nylonowej koszuli okrywającej z lekka zapadniętą klatkę piersiową włożył jaskrawy krawat i - tak - sztruksową marynarkę barwy czekolady, usianą tu i tam łupieżem. Jeśli on miał trzydzieści

dziewięć lat, to ona jest Pollyanną: bliższa prawdy byłaby pięćdziesiątka. Mimo to powinna powściągnąć swój krytycyzm. Wygląd to nie wszystko. Równie ważne są inteligencja i poczucie humoru. Pomyśl o Cyranie de Bergerac*. Albo o Quasimodo**.

* Inteligentny i odważny bohater sztuki pod tym samym tytułem autorstwa Edmon-da Rostanda (1868-1918) (przyp. red.).

** Znany poeta włoski (1901-1968), laureat Nagrody Nobla (przyp. red.).

Bernard sięgnął po dzbanek i nalał do małych czarek sake.

- Niechaj zabawa się rozpoczyna!

Freya upiła trochę wódki, ignorując jego próby stuknięcia się naczyniami. Przypomniała sobie wszystkie artykuły, które czytała u fryzjera: okazuj zainteresowanie, bądź zajmująca, idź na spotkanie z zamiarem, by druga osoba miło spędziła czas, nie czekaj, aż ktoś ci to zapewni.

- Powiedz mi więc, Bernardzie - spytała lekkim i ożywionym tonem - gdzie dokładnie uczysz?

Jej rozmówca z pewną starannością oczyścił gardło, nim sformułował odpowiedź:

- Obecnie - zaczął - jestem związany z małą, acz elitarną szkołą dla chłopców w południowym New Jersey. W istocie moje obowiązki są natury bibliograficznej, należy do nich katalogowanie książek, zakupy, wydawanie i przyjmowanie różnorodnych materiałów piśmiennych.

- Chcesz powiedzieć, że pracujesz w bibliotece?

- To nie ulega wątpliwości. - Bernard skinął głową. - To mój zawód. Moja praca zaś polega na lukubracji zupełnie odmiennego rodzaju.

- Luku-co? - roześmiała się perliście Freya, próbując nadać lekkość atmosferze. Bernard jednak wydawał się poważny.

- Od łacińskiego *lucubro*, *lucubrare*, *lucubravi*, *lucubratum*, oznacza pracę przy świetle lampy. W skrócie rzecz ujmując, mówię o naukowym studium o Szekspirze, które właśnie rozpocząłem. Rzecz niewielka, lecz w całości moja.

- Szekspir! To fascynujące. Musisz mi dokładnie o wszystkim opowiedzieć.

W pół godziny później Freya musiała przyznać, że skazała się na kolację w towarzystwie absolutnego, dwudziestoczerokaratowego nudziarza. Wodorosty i krewetki pojawiały się na stole i znikaly z dręczącą powolnością; Bernard otwierał usta nie po to, by jeść, lecz by wygłaszać kazanie. Teraz pomiędzy nimi znajdowała się taca z surowymi rybami i ryżem. (Jak jej wyjaśnił, wybrał japoński lokal, ponieważ orientuje się, że

„dziewczyny” muszą pilnować wagi, jeśli nie chcą zmienić się w tłuste świnię). Słuchając niekończącego się wykładu na temat wykorzystania przez Szekspira symboliki fallicznej, Freya zaczynała się obawiać, że umrze z nudów, nim taca opustoszeje. Zazdrośnie zerknęła na sąsiednie stoliki. Nawet pulchny facet o wyglądzie prezesa, któremu towarzyszyły jedynie aktówka i telefon komórkowy, wydawał się o niebo bardziej zajmującym kompanem.

- ...A oto następny przykład. „Gdy z dachów wiszą zimowe *sople*/ I kiedy w palce pacholek *dmucha*/ I ogień z wszystkich *kominów* bucha...”
- Przy każdym słowie-kluczu Bernard zawieszał głos i znacząco spoglądał na Freyę. - To oczywiście ze „Straconych zachodów miłości”^{*}.

^{*} W. Szekspir, „Stracone zachody miłości”, przełożył Leon Ulrich [w:] „Dzieła dramatyczne”, t. 1. Warszawa PIW 1958.

Grzecznie stłumiła ziewnięcie.

- Rozważam nadanie mej pracy następującego tytułu: „Kupiec wenu-sjański: Freudowskie analogie i odniesienia w dziełach Williama Szekspira”.

- Robi wrażenie.

- Myślę też, aczkolwiek trochę się obawiam, że nie pojmą tego niewyrobieni czytelnicy - zadowolony z siebie uśmieszek na twarzy Bernarda zwiastował kolejną mądrość - zatytułować ją „Kanon Kanady”. Wiesz, to...

- Gra słów, tak. Bardzo pomysłowo. - Freya wbiła pałeczki w ryż.

- Jak mówiłem, jest to gra znaczeń dwóch słów podobnych pod względem fonetycznym, acz semantycznie i konotacyjnie zupełnie odmiennych. „Kanon” oznacza dzieła wszystkie danego autora, „kanonada” zaś to...

- Ogień z armat! Bum! Bum! Jesteś martwy! - Freya wybuchnęła histerycznym śmiechem.

Przestraszony prezes podniósł głowę, przerywając telefoniczną dyskusję na temat rozkładu lotów, ona zaś z wysiłkiem próbowała się opamiętać. Każdy nerw w jej ciele drgał od tłumionych emocji. Miała ochotę unieść ręce i z krzykiem pobiec przez salę.

- W dodatku, co także ważne, jak bez wątpienia przyznasz, jest to cytat z samego Łabędzia z Avonu. „Żołnierz... leci w gardzieli armat szukać sławy”, „Jak wam się podoba”, akt drugi, scena szósta... a może siódma?^{**}

^{**} W. Szekspir, „Jak wam się podoba”, przełożył Leon Ulrich [w:] „Dzieła dramatyczne”, t. 2. Warszawa PIW 1973.

Bernard z namysłem pogłodził pieprzyk na policzku. Freya zobaczyła, że paznokieć małego palca miał długi, starannie wypolerowany i opłowany do celów, których nie śmiała sobie wyobrazić.

Gwałtownie wstała.

- Wybacz, muszę na chwilę wyjść.

W damskiej toalecie tak długo robiła grymasy do lustra, aż poczuła się prawie normalnie. Cichutko wyszła na korytarz i poczekała na jakiegoś kelnera.

- Pssst!

Zbliżył się do niej, uprzejmy, acz podejrzliwy.

- Potrzebuję taksówki - powiedziała, wciskając mu do ręki banknot dziesięciodolarowy. - Pilnie. W gruncie rzeczy natychmiast.

Poprawiła włosy, przybrała niewinną minę i wróciła do stolika, czując na sobie łakomy wzrok Bernarda.

- Piękne buty - skomentował, gdy usiadła. - Są takie męczące, na jakie wyglądają?

- Nie. - Wzruszyła ramionami. - Lubię wysokie obcasy.

- Chodzi mi o to, czy są bolesne dla tych, których nimi depczesz.

Freya wytrzeszczyła oczy. Jego usta rozchyliły się w sprośnym uśmiechu. Miała nadzieję, że nie myślał o tym, co zdawały się sugerować jego słowa.

- A czemu miałabym kogokolwiek deptać?

Bernard mrugnął do niej porozumiewawczo.

- I przestań do mnie mrugać! - syknęła.

- Dobrze, dobrze. Łaski, szanowna pani. - Uniósł ręce do góry w geście udanego poddania się. - Podoba mi się ta gra - dodał, oblizując usta.

Freya bębniła palcami po stole. Jak mogła wybrać takiego psychola? Nic dziwnego, że żona go opuściła.

- Jesteś rozwiedziony, prawda? - zapytała po chwili milczenia.

Bernard westchnął.

- To prawda, że szkoda; i szkoda, że to prawda.

- Co się stało? Prosto i jasno.

- Prosto i jasno to Lucretia była suką i z satysfakcją jej się pozbyłem. Była moją asystentką. Nauczyłem ją wszystkiego, pozwalałem, by przepisywała na maszynie moje prace i zbierała materiały w bibliotekach. Potem odkryłem, że za moimi plecami robi doktorat, i to z Szekspira, mojego tematu! Ta zdrada bardzo mną wstrząsnęła.

- Hmm - mruknęła Freya. Gdzie ta taksówka?

- Wiele czasu mi zabrało, nim od nowa spróbowałem zaufać komukolwiek. - Oczy Bernarda zamglily się z żalu nad sobą. - Ale czuję, że przy tobie mogę mieć nadzieję.

Sięgnął nad stołem, by jej dłoń przykryć swoją spoconą łapą.

- Nie sądzę. - Freya pośpiesznie cofnęła rękę. - W tej chwili nie zależy mi na długotrwałych związkach.

- Nie? - Pomyliła się, wcale nie wyglądał na rozczarowanego. - Krótkoterminowy też może być - odrzekł lubieżnie. Później ze złowieszcym kasznięciem wystawił spod stolika nogę i podciągnął spodnie, odsłaniając spory fragment gołej łydki. - Przepraszam, jeśli spodnie są za krótkie albo skarpetki za długie. - I znacząco uniósł brwi.

- Co? - Freya patrzyła z niesmakiem na chropowatą skórę pokrytą rudawymi włoskami.

- Muszę wyznać, że czuję się całkiem jak Malvolio w jego „skrzyżowanych podwiązkach”. Cha, cha! Pamiętasz, oczywiście, „Wieczór Trzech Króli”?

- Przykro mi, ale nie mam pojęcia, o czym mówisz - rzuciła ostro Freya. - I schowaj tę okropną nogę. Ludzie się gapią.

Bernard spojrział na nią żartobliwie.

- Szanowna pani za bardzo protestuje, rzec muszę.

W tej właśnie chwili Freya usłyszała słowa, o których marzyła.

- Pani taksówka nadjechała.

Na nieszczęście usłyszał je też Bernard.

- Wracamy do twojego legowiska? - Zatarł dłonie. - Zgoda.

- My nigdzie się nie wybieramy. - Freya rzuciła na stolik kilka banknotów. - Ja wracam do domu. Sama. Masz jakieś pokręcone wyobrażenia na mój temat. Nie wiem, skąd je wzięłeś, ale...

- Ależ od ciebie! - odparł z głośnym oburzeniem Bernard. - Z twojego e-mailu.

- Mów ciszej. Napisałam tylko, że jestem wysoka i...

- Nie, chodzi o ten drugi. Owłosione nogi... bat w dłoni... artystyczne upodobania...

Przy sąsiednim stoliku pan Telefon Komórkowy wpatrywał się w przestrzeń z nieruchomą twarzą człowieka skupionego na podsłuchiwanu.

- Mylisz mnie z kimś innym - warknęła. A więc to rozumiał przez „pobudzające intelektualnie spotkania”. Wstała i obrzuciła Bernarda gniewnym spojrzeniem. - Nie wysyłałam do ciebie drugiego e-mailu i w żadnym razie nie interesują mnie zboczone praktyki seksualne. Ani cholerny William Szekspir, skoro o tym mowa.

- Na Boga! Jakaś ty piękna w gniewie! Czy to część kary? Obiecuję, że będę grzecznym chłopcem.

- Jesteś chory, wiesz o tym? Do widzenia! - Freya okręciła się na pięcie i ruszyła ku drzwiom. Policzki paliły ją ze wstydu. Wszyscy, których mijala, patrzyli na nią ciekawie.

Za plecami usłyszała zgrzyt odsuwanego krzesła.

- Poczekaj! - beknął żałośnie Bernard, człapiąc za nią. - Bardziej przeciwko mnie zgrzeszono, niż sam zgrzeszyłem!

Jego słowom zawtórował ogłuszający grzmot. Kiedy Freya otworzyła drzwi, przed sobą zobaczyła ścianę wody, jakby w niebie olbrzym wylał na ziemię potężne wiadro. Taksówka świeciła w ciemności niczym ostatnia deska ratunku. Pobiegła po śliskim chodniku, by jakiś drań jej nie uprzedził.

- Niech pan jedzie! - zawołała, gdy tylko znalazła się w środku.

- Powie mi pani dokąd, to pojedę. - Kierowca z doprowadzającą do szału nonszalancją zwijał gazetę.

- Dokądkolwiek! Po prostu niech pan jedzie!

Rozległo się stukanie w szybę. Zmoknięty Bernard wpatrywał się w zaparowane szkło.

- Ruszać! - pisnęła.

- Kiedy znowu się spotkamy? - krzyczał Bernard za nabierającą prędkości taksówką. - Przy wtórze grzmotu, w świetle błyskawicy albo...?

Taksówka, korzystając z luki, włączyła się w ruch, a szum silnika zagłuszył ostatnie słowa wielbiciela Szekspira. Freya oparła się o siedzenie i zamknęła oczy, dziękując Bogu za ratunek. Od dziś będzie lepsza, przysięgała w duchu, stanie się miłą, tolerancyjną, wybaczącą kobietą o słodkim usposobieniu.

- Klótnia z narzeczonym? - zapytał taksówkarz. We wstecznym lusterku złapała jego ironiczny uśmiech.

- Niech pan się zamknie i skręci w następną przecnicę! - odpowiedziała.

Wycieraczki ze szczękiem chodziły po szybie, a skulona na tylnym siedzeniu Freya patrzyła na pojawiające się i znikające rozmyte światła miasta. Była mokra, zziębnięta i miała tylko jedno pragnienie: walnąć w coś mocno, z całej siły. Na razie nie mogła wrócić do domu, pora była o wiele za wczesna. I wcale nie chodziło o to, że nie chciała przeszkadzać Jackowi i Candace, po prostu nie potrafiłaby znieść myśli, iż będą jej żałować, a może nawet śmiać się za plecami. Po Bernardzie nie miała

ochoty iść do baru, gdzie naraziłaby się na ciąg dalszy podobnie finezyjnych zalotów. W kinie przynajmniej by wyszła, lecz nie lubiła samotnie oglądać filmów, poza tym za bardzo roznosiła ją wściekłość i na pewno nie wytrwałaby spokojnie na miejscu przez tak długi czas. Niewykluczone, że Cat siedzi w domu, Freya wszakże nie była w nastroju do wysłuchiwanie kolejnego wykładu o urokach samotnego życia. Tymczasem licznik nieubłaganie pokazywał coraz wyższe sumy.

- Proszę mnie zawieźć na West, numer dziesięć! - zawołała do kierowcy.

W pół godziny później, ubrana w strój do ćwiczeń, który trzymała w szafce w szatni, miała już za sobą ponad sześć męczących kilometrów na rowerze, choć nawet nie ruszyła się z miejsca. Pot spływał jej po skroniach, gdy wyładowywała gniew i furię na chromowanej maszynie. W sali poza nią były jeszcze dwie kobiety, namiętnie podziwiające albo MTV, albo własne odbicie. Co my tu robimy, zadawała sobie w duchu pytanie Freya, z tymi naszymi pozbawionymi grama tłuszczu ciałami, samotnością, fryzurami za dwieście dolarów i milczącymi telefonami komórkowymi? Boże, następne wzniesienie. Freya nacisnęła na pedały z taką siłą, że zabolowały ją ścięgna.

A teraz ruchoma ścieżka. Nastawiła prędkość i ruszyła szybkim, równym krokiem, machając zamasyżycie ramionami i próbując usunąć z pamięci obraz wilgotnych ust i głodnych oczu Bernarda. Nadepnęłyby go swym ostrym obcasem - gdyby nie to, że sprawiłaby mu przyjemność. Freya zwiększyła prędkość ścieżki. Odżywiony tlenem mózg wrzucił wyższy bieg. Z jakiego powodu Bernard przypuszczał, że ona lubi karać mężczyzn? I co to za bzdury o tym drugim e-mailu?

Nogi jej się zaplątały i o mało nie spadła z ruchomej taśmy. Cholerny Jack! Więc to dlatego jej listy nie ukazały się od razu na ekranie; sądziła, że ma za mało wprawy w obsłudze komputera, tymczasem prawdziwym powodem było to, że Jack pierwszy je przeczytał: przeczytał, zanalizował i napisał odpowiedzi. To nie Bernard wysłał ten śmieszny niemądry wierszyk, tylko Jack, który postanowił zabawić się jej kosztem. Freya ponownie zwiększyła szybkość, waląc piętami w gładką, uciekającą spod stóp gumę. Niech pan tylko poczeka, panie Jacku Madisonie III.

- Zamykamy, proszę pani. Czas iść do domu. - Na progu sali stał, uśmiechając się uprzejmie, mężczyzna w dresie. W ręce trzymał rurę odkurzacza.

Po prysznicu Freya stwierdziła, że nogi jej drżą z wyczerpania. Dowłókła się jakoś do kawiarni, zamówiła cappuccino, wodę mineralną i

trzy donaty cynamonowe, po czym usiadła na wysokim stołku przy oknie, wpatrując się w spływające po szybie krople deszczu. Dzisiejszy wieczór okazał się pomyłką. Była głupia, sądząc, że w ten sposób znajdzie idealnego partnera, nawet na krótki czas. Wszystko wskazywało na to, że Jack prawidłowo rozszyfrował ogłoszenie Bernarda, dalej jednak nie potrafiła pojąć, dlaczego zrobił jej tak okrutny dowcip. Ale czy to ważne?

Z głową opartą na dłoni rozejrzała się po kawiarni, podsłuchując siedzące za nią dwie kobiety, najwyraźniej matkę i córkę. Ich rozmowa była mało interesująca, dotyczyła zwykłych spraw - plotkowały o krewnych i znajomych, omawiały pyszną i zupełnie nietuczającą sałatkę z kurczaka, zastanawiały się, czy córka powinna pomalować salonik na kolor brzoskwinowy czy raczej żółty - jednakże słuchając ich, Freya poczuła przypływ tęsknoty. Przez większość swego życia snuła fantazje o prawdziwej matce, która kochałaby ją zawsze i wysłuchiwała największych nawet bzdur, która mówiłaby jej, że jest piękna i mądra, a w potrzebie udzielała schronienia. Czasami w myślach rozmawiała z matką.

„Co o nim sądzisz?” - pytała o nowego chłopaka. „Czy to jest tak jak między tobą a tatą?”. Ale Freya nie miała mamy, tylko macochę.

Skończyła trzynaście lat, gdy ojciec oznajmił jej, że poślubi Annabelle i zamieszkają razem w wielkim domu w Kornwalii. Przyjęła wiadomość ze zdziwieniem. Jak mógł pragnąć zmiany ich wyjątkowo doskonałego wspólnego życia? Przez poprzednich siedem lat byli tylko we dwoje. Ona przebywała głównie w szkole, on zaś zbierał materiały i pisał książki w wielkim, zabałaganionym londyńskim mieszkaniu, gdzie z domowego chaosu ratowała ich pani Silva, żyłasta Portugalka o niespożytej energii i niewyczerpanym dobrym humorze. Podczas wakacji wspólnie podróżowali po Europie, oglądając muzea, kościoły, biblioteki i domy przyjaciół ojca, także historyków sztuki. „Możesz ze mną jechać - powiedział ojciec, kiedy Freya błagała, by nie zostawiał jej samej - ale pod warunkiem, że nigdy nie będziesz narzekać na nudę”. I nie narzekała. Ojciec rozmawiał z nią, zabierał na kolacje, pytał o opinię na temat budowli, ludzi, jedzenia. Wprowadził ją w tajniki szachów, pokera i wista, pokazał, jak rozpoznać świeżą ostrygę, wyjaśniał znaczenie słów w rodzaju „spinaker” i „panteon”. Czasami pozwalał, by patrzyła, jak się goli; żeby ją rozśmieszyć, brzytwą rysował w pianie zabawne wzory. Freya nauczyła się pakować walizkę, prać bieliznę w umywalce i prosić o rachunek w różnych językach: *l'addition, il conto, la cuenta*.

Nauczyła się nie przeszkadzać tacie, gdy czytał gazetę, siedział w ubikacji,

pisał w notesie lub „myślał” - i pod żadnym pozorem nie pytać, czy za-
błądził albo czy ma jeszcze pieniądze. Zatrzymywali się w tanich *pensions*
z dziwnym układem łazienek i szorstkim papierem toaletowym,
w pożyczonych mieszkaniach, w których unosił się zapach obcego jedze-
nia, a czasami w wielkich hotelach. Ubierali się wówczas elegancko i
udawali, że są podróżującymi incognito członkami rodziny królewskiej.
„Księżniczko Freyskanini, czy mogę zauważyć, jak pięknie dziś pani wy-
gląda? Klamerki przy pani butach wprost oślepiają”.

Naturalnie, kobiety pojawiały się także. Ojciec był przystojnym męż-
czyzną i Freyę napawały dumą jego zdobycze, bo wiedziała, że trwać nie
będą długo. Gdziekolwiek bowiem szli, towarzyszyło im niewidzialne
towarzystwo: wspomnienie uroczej, roześmianej kobiety, która pewnego
dnia wstała wcześniej, by kupić rogaliki na śniadanie, nie spojrzała w
prawo, przechodząc na drugą stronę rue de Bac, i zginęła na miejscu pod
kołami dostawczej furgonetki.

Annabelle także była matką - trzyletniej Natashy. Ojciec tłumaczył
Frei, że Tash nie ma taty, podobnie jak ona mamy, i dlatego razem stwo-
rzą nową rodzinę. Freya, która kochała ojca nade wszystko w świecie,
przyjęła jego słowa bez zastrzeżeń. W londyńskiej magistracie stała za
nim, ściskając sztywny, wzmocniony drutem bukiet druhny, i patrzyła,
jak znajome palce o szerokich paznokciach wsuwają na dłoń innej kobie-
ty obrączkę. „A więc to jest małżeństwo”. Annabelle traktowała ją bardzo
miło, lecz była kobietą zdecydowaną i energiczną; Freyę dręczyło nie-
spokojne podejrzenie, że już wkrótce zaczną się wymagania.

Na początku było prawie dobrze, cieszyła się z własnego pokoju i no-
wego domu - niezwyklej budowli na skraju Półwyspu Kornwalijskiego,
dostatecznie wielkiej, by się w niej zgubić, z labiryntem ogrodu, który
zieloną dżunglą sięgał kamienistego brzegu morza. Były tam rośliny z
liśćmi wielkości obrusów i ukrytymi kolcami i okna z szybami intrygują-
co zniekształcającymi widok. Były stodoły, sypiące się gołębniki i mała
kaplica, w której panował zimowy chłód. Na początku Freya nie miała
nic przeciwko Tash, pulchnej trzylatce z zadartym noskiem i zuchwałym
spojrzeniem. Bez trudu ją przeganiała, bez trudu kryła się przed jej dzie-
cięcym despotyzmem; „Tash idzie! Tash ce banana! Moje!”.

Pierwszym wstrząsem była prośba Annabelle, uprzejma acz stanow-
cza, by Freya pukała, nim wejdzie do sypialni ojca, obecnie także sypial-
ni macochy, następnym decyzja, by dziewczynkę wysłać do szkoły z in-
ternatem, jako że miejscową uznano za „nieodpowiednią”. Freya nie

narzekała; nie chciała martwić ojca. Z tego samego powodu cierpliwie znosiła wścibskie pytania macochy: jak często myje włosy? Chyba za dużo czasu spędza przed telewizorem? Czy nie potrzebuje większego stanika? Teraz to Annabelle towarzyszyła ojcu w jego podróżach.

W trakcie pobytu Frei w szkole Tash niepodzielnie panowała w domu. Jako jedyne dziecko kobiety, która przeżyła już bolesną stratę, i pasierbicę mężczyzny dokładającego starań, by stworzyć nową rodzinę, małą rozpieszczano nieprawdopodobnie, spełniając każdą jej zachciankę. I nie miała ochoty oddawać swego miejsca w centrum sceny. Z początku Freya nie mogła uwierzyć, że małe dziecko może być tak rozmyślnie złośliwe. Tash bazgroliła po jej nowych książkach, zabierała rzeczy z pokoju i wszystko chowała po kątach, a kiedyś stłukła ozdobę ze szwedzkiego szkła, bezcenny prezent od matki - na oczach Frei specjalnie upuściła ją na ziemię. Kiedy dziewczyna była zła, Tash biegła do matki z krzykiem, że przyszywana siostra ją bije. Annabelle rozmawiała z mężem, a ten brał córkę na bok i zakłopotany perswadował, że powinna być miłsza dla „siostrzyczki”. Akurat w okresie, gdy Freya osiągnęła trudny wiek, w którym budzi się samoświadomość, uwagę wszystkich zaprzętał uroczy brzdąc, od niej zaś wymagano, by zachowywała się jak dorosła. Potem w czasie pewnych wakacji odkryła, że Tash mówi do ojca „tatusiu” - a on jej nie poprawiał. Jego zdrada była jak cios nożem w serce; ukryta rana jątrzyła się i powiększała. Freya pojęła, że życie, które razem wiedli - miłe koleżeństwo bez żadnych zasad i bez konieczności ich tworzenia - minęło na dobre. Instynktownie zwróciła swój wzrok w inną stronę. Uczyla się pilnie, rozwijała własne zainteresowania i zamknęła się w sobie. Po skończeniu szkoły wyjechała na lato do New Jersey jako *au pair*. Jesienią planowała wrócić i zacząć studia na uniwersytecie, odkryła jednak Nowy Jork i już tam została.

Myśli Frei rozproszyły się, w wyobraźni zamajaczyły obrazy tego, jak jej życie powinno wyglądać - jak mogło wyglądać - aż szczek naczyń w kuchni powiedział jej, że dochodzi już północ. Zapłaciła rachunek, wsadziła do ust miętówkę i złapała autobus do domu.

W mieszkaniu było ciemno. Na wszelki wypadek Freya cichutko jak złodziej wsunęła klucz w zamek, a kiedy drzwi się otworzyły, zdjęła buty i wsunęła je pod pachę. Wokół panowała cisza. Na palcach weszła do przedpokoju i poczekała, aż jej wzrok przyzwyczai się do mroku. Drzwi do salonu były otwarte. Freya dostrzegła zarysy mebli oraz zielone migające światelko włączonej wieży. Zrobiła kilka kroków, by ją wyłączyć, gdy powstrzymało ją cichutkie westchnienie. Ktoś był w pokoju.

Freya stała bez ruchu, mając napięte wszystkie nerwy. I właśnie wtedy w uliczkę wjechał samochód, a żółtawe światło reflektorów przedarło się przez zasłony. Jak w wolno toczącym się śnie ujrzała na stole wysmukłe kształty butelek po winie i stopione świece, później ciemne plamy rozrzuconych na podłodze ubrań, a wreszcie zapadającą się sofę, na której spał jakiś dziwny stwór. Samochód mijał dom, na chwilę zrobiło się jasno i cienie nabrały wyrazistości. Jack, nagi, leżał odwrócony do niej plecami. Freya dostrzegła błysk jasnych zmierzwionych włosów, gładkie ramię obejmujące niemal niewidoczną Candace, płataninę czterech nóg. Drobna, ozdobiona pierścionkami dłoń dziewczyny spoczywała poufale na sprężystym pośladku Jacka.

Światło zniknęło i powróciła ciemność, jednakże ów obraz pozostał w wyobraźni Frei żywy i wyrazisty. Serce mocno biło jej w piersi. To przez zaskoczenie, powiedziała sobie. Tak szybko, jak tylko wystarczyło jej śmiałości, poszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi.

Rozdział dwunasty

Ciii! - syknął ktoś.

Freya, która stała przy zlewie z rękami po łokcie zanurzonymi w wodzie, odwróciła głowę ku drzwiom. Z progu patrzyła na nią gniewnie Candace. W pełnym świetle dnia, bez makijażu, otulona w szlafrok Jacka, wyglądała bardzo młodo. Paznokcie u stóp miała pomalowane na ciemnośliwkowy kolor.

- On próbuje trochę się przespać! - powiedziała dziewczyna.

Freya wyjęła z wody garść sztućców, przez chwilę trzymała je w powietrzu, a później wrzuciła do stalowej suszarki.

- Kto? - zapytała, gdy brzęk ucichł.

- Jack, naturalnie! Biedaczek, głowa go boli. Chyba jest chory.

- Aha! Raczej ma kaca. Sprzątnęłam z dziesięć milionów butelek, że nie wspomnę o innych śmieciach. A poza tym jest już popołudnie. - Położyła pokrywkę na stosie garnków, który rozleciał się z hałasem.

- Słuchaj, nie musisz tego robić - odezwała się dziewczyna. - Lubię sprzątać.

Freya wzruszyła ramionami gestem męczennicy.

- Już skończyłam.

Z sypialni Jacka dobiegł jęk. Zaniepokojona Candace wyprysnęła z kuchni.

Po minucie była z powrotem.

- Masz sok pomarańczowy? - zapytała.

Freya wytarła dłonie w ścierkę, zastanawiając się nad pytaniem.

- Mam sok pomarańczowy, tak, ale Jack nie ma. Woli osobno robić zakupy. Co oznacza, że ja kupuję jedzenie, a on nie. Ach, przy okazji, gdzie moja kawa?

- Och. To była twoja...? - Głos Candace ucichł pod gniewnym spojrzeniem Frei.

- Cudownie! Wspaniale! - Machnęła wściekle ścierką. - Ach, wznoszenie się ponad banalność codziennych zakupów to cudownie cygańska cecha. Jack to prawdziwy artysta.

Candace zrobiła krok w tył. W jej szeroko otwartych oczach można było czytać jak w księżce. Wariatka, mówiły. Załamanie. Menopauza.

Freya opanowała się z wysiłkiem, podeszła do lodówki i otworzyła ją na oścież. Szybkim ruchem wyjęła sok i postawiła na stole.

- Proszę! Pozwalam ci, Candace, zrobić z tym sokiem, co tylko zechcesz.

Zmarszczyła czoło.

- Czy to oznacza, że mogę zanieść go Jackowi?

- Tak, tak, tak! Jeszcze mnie na to stać! Cholerny Jack Madison cholerny Trzeci.

- Trzeci? - Dziewczyna przerwała na moment poszukiwania szklanki.

- Śmieszne, nie? Można by pomyśleć, że jest z królewskiej rodziny. I chyba jest, na tej swojej starej plantacji, gdzie kwitną magnolie, żaby rechoczą, a na podjeździe stoi sznur cadillaców.

- Każdy mężczyzna lubi być królem we własnym domu. Uważam, że to mile.

Freya wydała stłumiony odgłos.

- Jesteś feministką? - spytała podejrzliwie Candace.

- Tak, o ile oznacza to równe prawa z mężczyznami. A ty nie?

Dziewczyna zastanawiała się nad tym, nalewając sok.

- Szanuję siebie jako kobietę. Ale kobiety i mężczyźni różnią się od siebie. Wystarczy spojrzeć na nasze ciała.

Cóż to za bzdury. Freya skrzyżowała ramiona.

- Powiedz mi, Candace, co ty właściwie robisz? Gdzie pracujesz?

- Marketing? - Intonacja pytająca sugerowała, że Freya może nie znać tego terminu. - Obecnie zajmuję się telemarketingiem, ale szef mówi, że ma zamiar dać mi awans.

- I co reklamujesz?

- Różne produkty. To naprawdę interesujące, chociaż nie chcę tego robić do końca życia. Kariera tak bardzo ogranicza.

Nie tak bardzo jak zupełny jej brak, pomyślała Freya. Głośno zaś zapiała:

- A co chciałabyś robić?

- Być bogatą i sławną - Candace uśmiechnęła się z wyższością. - Kupować, podróżować, rozwijać własną osobowość.

Freya uniosła brew.

- Ambitny plan.

- Też tak uważam. A ty?

Na takie pytanie miała ułożoną zawczasu odpowiedź: założyć własną galerię, pomagać wybranym przez siebie artystom - rozwijającym się we własnym tempie, a nie zgodnie z kapryсами rynku, bla bla. Jednakże szkoda oddechu na wyjaśnianie tego tej pustogłowej laleczce. Nadstawiła uszu.

- Oho, czy przypadkiem pan nie wołał?

Candace z falującym biustem opuściła pośpiesznie pokój, niosąc w dłoniach drogocenny sok. Zirytowana Freya poprawiła włosy. Perspektywa zabawy w chowanego z Jackiem i tą dziewczyną przez cały weekend sprawiła, że krew szumiała jej w uszach. Nie pojmowała, dlaczego nikt nie zaprosił jej do Connecticut albo na Coney Island. A ponieważ nikt tego nie zrobił, będzie musiała sama zapełnić sobie czas, ale najpierw zamieni słówko z Jackiem - o ile on w ogóle wstanie z łóżka. „Biedaczek, głowa go boli”. Może to guz mózgu? Freya postanowiła, że to doskonały moment na uporządkowanie szafek kuchennych. Pracując, śpiewała pod nosem na melodię „Chitty Bang Bang”: „Podskakuje, podskakuje, biuścik podskakuje...”. W końcu po hałasach poznała, że gołąbki opuszczają swoje przytulne gniazdko.

Wcześniej z doskonałego punktu obserwacyjnego przy zlewozmywaku zobaczyła, że ktoś postawił kilka leżaków na tylnym podwórku. Był pogodny dzień, po nocnym deszczu niebo nabrało czystej błękitnej barwy. Z podłogi przy drzwiach wejściowych podniosła gazetę i stos korespondencji i rozsiadła się wygodnie na słońcu. Przejrzała koperty, wszystkie urzędowo szare poza jedną: grubą i kremową, zaadresowaną do Jacka. Odwróciła ją i leniwie przesunęła palcem po zaklejonym brzegu, na którym widniało nazwisko nadawcy: James P. Madison jr. Ojciec Jacka. Przy odrobinie szczęścia postanowił wreszcie wydziedziczyć swego bezużytecznego syna.

Było też coś do niej, wielka koperta, pierwotnie zaadresowana do mieszkania Michaela. Została wysłana z Londynu przez firmę, której nazwę Freya rozpoznała. Poczuli, że twarz jej się ściąga. Odkąd zamieszkała w Nowym Jorku, Tash ani razu do niej nie napisała. Jeśli zrobiła to teraz, to na pewno nie z powodu siostrzanego przywiązania.

Freya otworzyła kopertę i wyjęła błyszczący magazyn. Dobry Boże, „Country Life”! Przekartkowała pobieżnie stronicę, ukazującą starannie przystrzyżone żywopłoty, nagrodzone na wystawach byki i przeładowane ozdobami wiejskie domy, a w końcu natrafiła na notatkę skreśloną wielkim, pełnym zakrętasów pismem: „Tatusz powiedział, że powinnam Ci to wysłać. Zobacz s. 51. - T.”.

Freya zacisnęła usta, szukając wskazanego miejsca. Znalazła tam całostronicowe kolorowe zdjęcie Tash. W „Country Life” zawsze zamieszczano takie portrety - angielski dobrze urodzony odpowiednik rozkładówki „Playboya” - przedstawiające urocze młode dziewczęta z klasy średniej, zwykle z okazji zaręczyn lub ślubów. Nic dziwnego, że Tash tak się cieszyła. O ile jednak Freya pamiętała, młode damy zwykle ubrane były w zapinane pod szyję bluzki i stały na tle kwitnącej wiśni albo obok ulubionych labradorów, a nie leżały półnagie na obitym czerwonym aksamitem szezlongu. „Country Life” niewątpliwie bardzo się zmienił. Freya wyglądziła stronę, kamiennym wzrokiem wpatrując się w nieskazitelną młodą cerę Tash, jej szeroko otwarte orzechowe oczy, w których malowała się niewinność, krzykliwy pierścionek, niby przypadkiem tak widoczny na doskonale wymanikiurowanej dłoni. Pod zdjęciem widniał typowy podpis: „Panna Natasha Penrose, lat 25, jedyna córka śp. pana Johna Huffingtona i pani Guyowej Penrose z Trewennack w Kornwalii, wkrótce poślubi Rolanda Swindon-Smythe'a, jedynego syna państwa Barry Swindon-Smythe'ów z posiadłości Shrubberies w Totteridge Common, Essex”.

Czytając czarno na białym tę informację, Freya wstrzymała oddech z przerażenia. Termin ślubu przypadał dokładnie za dwa tygodnie, a ona dalej nie miała partnera. Jak sobie z tym poradzi? Rzuciła otwarty magazyn na ziemię i wzięła gazetę, w nadziei że lektura pozwoli zapomnieć jej o problemie.

Usiłowała skoncentrować się na lamentach dotyczących zaniku tradycyjnych jadalni, gdy z kuchni wytoczył się Jack. Boże, tego tylko jej trzeba! Włożył szorty i olbrzymią koszulkę z napisem: „Myśl o parówce”. Freya niegdyś też taką miała, były to podarunki reklamowe z jakiejś restauracji, w której bywali przed laty - tylko że ona odznaczała się wystarczająco dobrym smakiem, by swoją wyrzucić.

Jack opadł na leżak i zakrył głowę dłońmi.

- Ojoj! - jęknął.

Freya w lodowatym milczeniu czytała gazetę.

- Chyba już umarłem. Żadnych kwiatów, proszę.

Zignorowała go - tego nędznego, okrutnego, egoistycznego, wstrętne-go drania.

Przeciągnął się i głośno ziewnął. Czas mijał, Freya czekała. W końcu swobodnym tonem zapytał:

- Jak minął ci wieczór?

- Rewelacyjnie, dziękuję.

- Naprawdę? - Wybałuszył oczy ze zdziwienia.

- Czysta poezja. Nic nie może się równać z mężczyzną wielbiącym ziemię, po której stąpasz, zwłaszcza jeśli jest nią jego ciało. Przepraszam, jego owłosione ciało. Chociaż moim zdaniem te kajdanki trzeba by na nowo obić.

Jack wpatrywał się w nią z przerażeniem.

- Żartujesz.

- Jasne, że żartuję! - Freya zerwała się na równe nogi i zaczęła walić go po głowie zwiniętą gazetą. - Jak śmiałeś umówić mnie ze zbrodźcem?

- Wcale... ojej!... cię nie umówiłem. Ty sama przecież odpowiedziałaś na ogłoszenie. To był twój wybór. Przestań natychmiast! - Z upokarzającą łatwością odsunął ją na długość ramienia i odebrał jej gazetę. - Nie rozumiem tego, Freya. Czy naprawdę nie umiesz wytrzymać bez faceta nawet jednego tygodnia?

- I kto to mówi! - Uwolniła się z jego uścisku. - Ty nawet dnia nie możesz wytrzymać bez poderwania jakiejś dziewczyny, choćby i najgłupszej.

Jack wyszczerzył zęby w ironicznym uśmiechu.

- Może to nie ich umysł mnie interesują.

- Jakie może? Nic dziwnego, że nie potrafisz pisać, Jack. Masz w życiu tyle intelektualnych wyzwań co nie przymierzając plankton.

Oczy mu błysnęły.

- Przynajmniej nie muszę szukać w ogłoszeniach samotnych serc.

Stali, mierząc się wściekłym wzrokiem.

- O mało nie zapomniałam - sięgnęła do kieszeni szortów Freya. - Czynsz za ostatni tydzień. Dzięki za przywilej mieszkania u ciebie.

Rzuciła w jego stronę zwitek banknotów, które opadły na zeschniętą trawę.

Po bogatej w treści chwili Jack zaczął je zbierać i z przesadną troską układać. Opadł z powrotem na leżak i przez zmrużone w obawie przed słońcem powieki spojrzał na Freyę.

- Nie spodobasz się sobie, kiedy przeczytasz moją powieść - oświadczył.

- Nie napiszesz o mnie. To zniesławienie.
- To kobieta podobna do ciebie.
- A co się z nią stanie na końcu? To znaczy po tym, jak zgwałci ją zbro-
czeniec.

Twarz Jacka się zachmurzyła.

- Nie wiem. A skoro mowa o zniesławieniu, odbyłem wczoraj długą pogawędkę z Michael'em. Ktoś zniszczył mu garnitury. Zastanawia się nad oddaniem sprawy do sądu.

- Nie ośmieli się tego zrobić.

- Jesteś pewna?

- Cześć! - rozległ się radosny głosik. - Zrobiłam dla wszystkich lemoniade.

Z kuchni wyszła Candace, niosąc tacę. Była już ubrana i znowu wyglądała jak z pudełka: usta pomalowane, włosy uczesane, poza tym bez wątpienia po manikiurze, woskowaniu, depilacji i higienicznym opryskaniu wszelkich kłopotliwych zakątków ciała. Freya spojrzała na swoje gołe nogi i zniszczone tenisówki. Czas się zbierać.

- Dziękuję, Candace. - Wzięła szklanke i wypila napój. - Będziesz miał coś przeciwko temu, że pożyczę Rosynanta, Jack?

- Tak.

- Rosy-co? - zapytała podejrzliwie dziewczyna.

- Rosynant to rower Jacka - wyjaśniła Freya - i po tobie, Candace, najbardziej ukochana rzecz na całym świecie. Został tak nazwany na cześć konia don Kichota.

- O tak, racja. Występował w „Waltonach”, prawda?

- No, Jack - Freya wcale nie lekko kopnęła go w nogę. - To w twoim interesie, chcę obejrzeć kilka mieszkań.

Spojrzał na nią ostro.

- Wyprowadzasz się?

- Błagasz, żeby zostawała?

- Daj mi znać, kiedy mogę otworzyć szampana.

- Czy to twoja siostra? - przerwała im Candace. Podniosła z ziemi magazyn, który Freya niemądrze zostawiła otwarty.

- Przyrodnia - uściśliła ta krótko.

- Pokaż. - Jack wyciągnął rękę i Candace posłusznie podała mu magazyn, po czym przechyłona przytuliła policzek do jego policzka, tak by mogli czytać razem.

Jack obejrzał uważnie zdjęcie i gwizdnął.

- Freya, mówiłaś chyba, że to jeszcze uczennica.

- Była, ale urosła.
- To pewne.
- Popatrz, Jack! - wykrzyknęła z podnieceniem Candace. - Tu pisze, że niedługo jej ślub! Czy to nie cudowne?
- Wydarzenie, które wstrząśnie światem. - Freya zabrała im magazyn i zamknęła go. - Masz swoją pocztę, Jack. - Schyliła się po niewielki stósik. - A może urządzimy sobie nową terapię grupową, polegającą na czytaniu cudzej korespondencji? Ojciec do ciebie napisał. Mam przeczytać na głos?
- Jack spojrział na nią z niechęcią.
- Weź rower - powiedział.
- Co?
- Weź ten przeklęty rower!
- Freya na moment się zawahała, a później rzuciła mu listy do stóp.
- Dobrze - odrzekła.

Pokonanie na rowerze czterdziestu kilku przecnic dzielących Chelsea od Central Parku w upalną sobotę samo w sobie było szaleństwem, manewrowanie pośród pędzących aut w potężnym obłoku trujących spalin na roztrzęsionym, wyposażonym jedynie w trzy przerzutki gruchocie Jacka stanowiło rodzaj samobójczej misji, z której Freya wbrew wszystkiemu zamierzała czerpać przyjemność. „Dam radę” - powtarzała sobie, pedałując przez skrzyżowania, gdy tylko włączały się światła, i waląc w dachy samochodów zagradzających jej drogę. W dawnych czasach wszędzie jeździła na rowerze, lecz powodem był brak gotówki, a nie pozowanie na „artystę”, jak w wypadku Jacka, który uważał, że podniszczony rower wzmacnia jego chłopięco-intelektualny urok, ale nieodmiennie wybierał taksówkę, jeśli zapowiadało się na deszcz. Kiedy myślała o wszystkich podłych pracach, jakie przyjmowała, by utrzymać się przy życiu w tym mieście - dostawczyni kanapek, sekstelefonistka, kelnerka na rolkach (obowiązkowo z włosami splecionymi w warkoczyki), ludzki królik doświadczalny, testujący nowe lekarstwa w klinikach, sprzątaczką zatrudnianą do usuwania cudzych rzygowin po przyjęciach, przewodniczka wycieczek w stroju „kolonialnym” (z idiotycznym czepeczkiem, nazywanym „holenderskim kapeluszem”) - ogarniała ją wściekłość na beztroskę Jacka. Uważał siebie za bohatera, bo przetrwał w Nowym Jorku cały rok, nim ojciec ustąpił i znowu zaczął wypłacać mu pensję. Nigdy tak jak ona nie musiał rezygnować z posiłku, by zapłacić czesne, nie spędził zimy, śpiąc na kawałku styropianu i okrywając się futrem z wyprzedaży

na cele dobroczynne zamiast koldry. Nawet teraz jej saldo bankowe regularnie wykazywało debet; od czasu różowej sukni i katastrofalnego pokera nie ośmieliła się otworzyć koperty z wyciągiem. A jeśli Michael istotnie zamierza ją pozwać... Jęknęła. Po południu zadzwoni do Cat i przedstawi jej sprawę.

Uniosła się nad siodelkiem, pedałując na północ po wzniesieniu niewidocznym dla oka, za to wyczuwalnym dla łydek. Przecznicą za przecznicą miejski krajobraz ulegał zmianie - kwiaty ustępowały miejsca zwierzętom, synagogi kościołom, diamenty książkom, teatry biurom, biedni bogatym i na powrót bogaci biednym. Budynki wznosiły się wysoko, zasłaniając prawie całe niebo. W powietrzu unosił się zapach budki z hot dogami, roztopionego asfaltu, olejku do opalania, od czasu do czasu o swym istnieniu dawał znać Hudson zmieszany woniami oleju i soli. Z granitu i szkła bił żar, turyści i sobotni klienci sklepów tłoczyli się na skrzyżowaniach. Młodzi kierowcy ciężarówek krzyczeli, mijając Freyę, w nadziei, że ją przestraszą i straci panowanie nad rowerem. Schyliła głowę i ponuro parła do przodu, odliczając kolejne ważne miejsca: zegar z tablicą ukazującą wysokość długu narodowego, dom towarowy Macy, ratusz; budynek RCA z uroczą strzelistą iglicą, złowrogi sześcian z czarnego szkła mieszczący telewizję CBS, usytuowany na rogu Pięćdziesiątej Trzeciej niby gigantyczny ekran telewizyjny. Minęła rzeźby Jima Dine'a ustawione na tylnym dziedzińcu Museum of Modern Art, trzy potężne Wenus z brązu o niekwestionowanych kobiecych kształtach, za to pozbawione głów i rąk. Czy tak mężczyźni widzą kobiety? Freya pomyślała o obfitych krągłościach Candace, o odsłoniętych w lubieżnym uśmiechu żółtych zębach Bernarda, i w uszach zabrzmiał jej ponownie rozbawiony głos Jacka pytający o wieczorne spotkanie. Okłamała go, mówiąc, że chce obejrzeć mieszkania. Wybierała się do parku, by w samotności i spokoju obmyślić zemstę.

Spocona i bez tchu - ale wciąż żywa - wjechała w końcu przez bramę do parku, w którym aż kłębiło się od rowerzystów, biegaczy, zakochanych, deskarzy, graczy w piłkę, opalających się leniuchów, mężczyzn z maluchami, inwalidów na wózkach, kobiet z psami, dzieci liżących lodowe rożki. Zwalniając tempo, Freya z ulgą skrzywiła na osłoniętą drzewami ścieżkę dla rowerów i jedną ręką trzymając kierownicę, ruszyła w stronę jeziora. Po drodze, odczekawszy swoje w kolejce, kupiła wodę mineralną. Wrzuciła oszronioną butelkę do koszyka i pojechała dalej, szukając wolnego miejsca pośród rzekomo dzikiej płataniny strumyków, drzew i sztucznie rozmieszczonych głazów. Zeskoczyła z wiernego

Rosynanta i poprowadziła go przez zarośla, po czym oparta o pień. Usadowiwszy się w cieniu na wydeptanej trawie, pokrzepiła się sporym łykiem wody i wyjęła z koszyka plecak. Miała tam długopis i papier. Przez długą chwilę gryzła długopis, zapatrzona w hałaśliwy chaos łodzi wiosłowych na jeziorze. Wreszcie zaczęła pisać.

Po kilku próbach stworzyła list, o jaki jej chodziło. Przełożyła długopis do lewej dłoni i zaczęła ćwiczyć charakter pisma świadczący o psychicznym niezrównoważeniu autora. Zadowolona z wysiłków, wzięła świeżą kartkę i na osłep stawiając wielkie litery, skreśliła, co następuje:

Wydaje ci się, że taki z ciebie waźniak, ale uważaj - Siły Ciemności zwierają szyki. Wiem, co dzieje się między tobą i Nią. Jeśli ona dostanie szustkę, natomiast ja nie, zostaniesz Ukarany za moralne zepsócie i SEKSUALNE faworyzowanie. Nikt nie pszeszkodzi mojemu GENIUSZOWI. Więc się pilnuj. Albo bendziesz żałował.

Przyjaciel

Freya ponownie przeczytała list i uśmiechnęła się zadowolona. Wszyscy wiedzą, że uczestnicy kursów kreatywnego pisarstwa to paranoicy i wariaci; spodobała jej się myśl o Jacku, który przechodzi tortury, próbując zidentyfikować autora w tłumie podejrzanych. Złożyła kartkę na pół, wsunęła do koperty i napisała na niej adres Jacka takim samym niekształtnym charakterem pisma. Polizała kupiony wcześniej znaczek i przykleiła krzywo. To go załatwi. Nagle wyczerpana, oparła się o pień i zamknęła oczy. W parku jednak nie było spokoju. Psy szczekały, dzieci wyły, z głośników płynęła muzyka, mężczyźni o rozbieganych oczach podchodzili i pytali o godzinę, kochankowie chichotali w krzakach. Od czasu do czasu ratownik przez megafon wygłaszał pouczenia dotyczące bezpieczeństwa w wodzie. Cierpliwie wytrzymała to wszystko, do chwili gdy z zarośli wyprysnął spocony rowerzysta i przejechał jej pp stopie. Pragnęła ciszy i wiedziała, gdzie ją znajdzie.

W sali było cicho i chłodno. Wysoko nad głową Frei wznosił się pięknie rzeźbiony sufit, wypastowaną podłogę przykrywał kwadratowy zielony dywan. Obrazy, które ją otaczały - pędzla Gainsborough, Romneya, Reynoldsa, Hogartha - emanowały osiemnastowieczną angielską pewnością siebie i spokojem. Stała w jadalni eleganckiej posiadłości, obecnie siedziby muzeum, która stanowiła oazę kultury na tej mieszczańskiej

pustyni znanej jako Upper East Side. Przejazdźka przez park okazała się przyjemna; do mijanej po drodze skrzynki pocztowej Freya wrzuciła list do Jacka. W atmosferze muzeów było coś, co dawało jej poczucie bezpieczeństwa, może dlatego, że spędziła w nich tak wiele godzin jako dziecko, trzymając ojca za rękę. Kolekcja Fricka od dawna nie uległa zmianie, aczkolwiek poszczególne obrazy czasami wieszano gdzie indziej. Malowidła były jak starzy przyjaciele. Wędrując własnym tempem przez te piękne sale, gdzie towarzystwa dotrzymywali jej El Greco, Vermeer, Holbein i Tycjan, Freya czuła, jak nastrój jej się poprawia.

Zazwyczaj omijała salę Fragonarda z jej rokokowymi ozdobami i przywodzącymi na myśl bombonierki portretami młodych kochanków o różanej cerze i zwiewnych strojach. Dzisiaj wszakże z jakiegoś powodu weszła do środka, gdzie jej uwagę zwrócił cykl zatytułowany „Dzieje miłości”. Opowiadał znajomą historię. Na początku - Zaloty: młodzieniec wręcza różę spłoszonej dziewczynie, którą zaskoczył w ogrodzie z kwiatami. Dwa amorki przyglądają się scenie ze szczytu fontanny w kształcie fallusa, skąd tryska woda. Następna scena to Spotkanie: odziany w czerwień, barwę miłości, młody mężczyzna wdrapuje się na balkon do swej wciąż wahającej się wybranki. Na trzecim obrazie dziewczyna poddała się i pozwoliła, by adorator wtulił twarz w jej szyję, a u ich stóp leży piesek, symbol wierności. I wreszcie: Kochanek Nagrodzony posiadał triumfalnie i bez reszty wybrankę - z płótna uśmiecha się szczęśliwa para otoczona symbolami płodności i powodzenia.

I to był koniec - jak w starych filmach, gdzie właśnie to słowo pojawia się na ekranie tuż po pocałunku. Freya skrzyżowała ramiona i z namysłem ściągnęła usta. Obecnie to nie takie proste. Fragonard pokazał miłość jako grę młodych i niewinnych, w której obie strony znały reguły. Lecz te zasady przestały obowiązywać. Nikt nie jest już niewinny, wszyscy są cyniczni i ostrożni, dbają o swoje interesy, pilnując, by nie wpaść w pułapkę, a jednocześnie obawiają się, że coś ich ominie.

Na czym polega tajemnica prawdziwej miłości pomiędzy kobietą a mężczyzną? - pytała siebie Freya. Bez wątplenia wielką rolę odgrywa tu seks, w idealnym układzie romantyzm, a przypuszczalnie i stabilizacja domowa. Coś jeszcze? Wzruszyła ramionami: cokolwiek to było, ona jeszcze tego nie znalazła. Skuliła się, bo nagle zrobiło jej się chłodno. Czy to możliwe, że wina leży po jej stronie, że to ona niewarta jest miłości? Zawsze w końcu ją porzucano. Serce wezbrało jej współczuciem dla samej siebie.

Do sali weszła niemiecka para, kłócąc się o to, kto zapomniał aparatu fotograficznego. Freya wróciła do rzeczywistości. Otrząsnąwszy się z melancholii, ruszyła ku drzwiom. Jej wzrok przesuwiał się po mijanych obrazach, na których rumieniły się dziewczyny o obfitym biuście. Mimo że pogardzała dokonaniem przez Fragonarda upiększeniem miłości, nie mogła powstrzymać ukłucia zazdrości na widok optymizmu i energii młodych. Jak we śnie powędrowała na dziedziniec, gdzie niewielką sadzawkę otaczały rośliny i klasyczne rzeźby, i usiadłszy na chwilę, napominała samą siebie, by stała się miłsza: bardziej otwarta, serdeczniejsza, mniej krytyczna wobec otaczających ją ludzi. W drodze powrotnej do wyjścia po raz pierwszy zauważyła rozmiary woreczka na genitalia na portrecie namalowanym przez Bronzino - przypuszczalnie był wypchany albo też stanowił przykład szesnastowiecznego odpowiednika retuszu fotograficznego - tak czy owak, robił wrażenie. Z uśmiechem na twarzy przekroczyła próg muzeum i ujrzała, że w tylnym kole Rosynanta nie ma powietrza.

Okolica zapewne nie obfitowała w warsztaty. Zaczepiwszy kilkoro przechodniów, Freya dowiedziała się, że kilka przecznic na północ jest jakiś punkt naprawy rowerów, ruszyła więc we wskazanym kierunku z nadzieją, że o ile rzeczywiście miejsce to istnieje, nie zostało jeszcze zamknięte. Miała szczęście. W uliczce odchodzącej od Drugiej Alei znalazła wielki stary garaż, w którym unosił się zapach gumy. Na podjeździe stał rząd rowerów, a w środku grupa masywnych młodzieńców szczekała narzędziami, mocowała torby i konferowała nad wirującymi kołami. Freya zajęła miejsce w kolejce przy ladzie, na chwilę puszczając kierownicę. Rosynant zachwiał się i potracił stojącego przed nią mężczyznę.

- Bardzo przepraszam - powiedziała.

- Nie ma sprawy - odrzekł młody człowiek z przyjacielskim uśmiechem. - Próbowałem właśnie przekonać sam siebie, że potrzebny mi bidon Tour de France, ale i tak mam za dużo akcesoriów. Co się stało z twoim rowerem?

- Przebity - westchnęła żałośnie Freya.

Patrzył na nią ze szczerym zdumieniem.

- Dziura w oponie - wyjaśniła.

- I to wszystko? Dlaczego sama nie naprawisz?

- No... nie mam narzędzi. To nie mój rower.

- Na pewno masz. - Pokazał jakąś okrągłą torebkę przymocowaną za siodełkiem.

- Sądziłam, że to apteczka - przyznała Freya.

Roześmiał się, jakby opowiedziała świetny dowcip, odsłaniając idealnie równe, oślepiająco białe zęby. Freya uświadomiła sobie, że chłopak jest niezwykle przystojny.

- Wiesz co, ja to zrobię - zaproponował. - Oni każą ci zapłacić fortunę. No, chodźmy.

Freya podążyła za nim na podwórko, gdzie z czułością oparł o ścianę własny wehikuł. Później odebrał jej Rosynanta. Młodzieniec był dokładnie wzrostu Frei, miał na sobie obcisłą czarną koszulkę i stalowe krótkie szorty.

- Najpierw go odwrócimy - dyrygował. - Nie, nie w przejściu. Ja to zrobię.

Patrzyła, jak swobodnie odwraca rower. Chłopak bez wątpienia był wysportowany.

- Cholera, ale to ciężkie! Nie powinnaś wlec za sobą czegoś takiego. Mój rower mogę podnieść jedną ręką. Zobacz!

Dumnie podrzucił swój smukły metalowy superrower w powietrze. Koszulka podniosła mu się, ukazując pas opalanej skóry.

- Zdziwiająca - powiedziała Freya.

- To aluminium - wyjaśnił poważnym tonem.

- Rozumiem. - Z uśmiechem spojrzała mu w oczy. Zarumienił się! Ciekawe, w jakim jest wieku.

- Tak, to prawdziwy okaz muzealny - mruczał, biorąc jakieś narzędzie. - Chciałbym wiedzieć, ile ma lat.

Przez jeden upiorny moment Freya pomyślała, że mówi o niej.

- Na pewno pochodzi sprzed 1973 roku - ciągnął chłopak. - Wtedy zaczęli stosować osłony na śruby i rozwidlone kryzy.

W każdym razie jakoś tak to brzmiało. Nie słuchała uważnie, zajęta podziwianiem mięśni nóg młodzieńca, kiedy schylał się i podnosił rower.

- 1973! - Obdarzył ją olśniewającym uśmiechem. - Jest starszy ode mnie!

Dokonała spiesżnych obliczeń. Chłopak jest pewnie o jakieś osiem lat młodszy od niej, jeśli nie więcej. Był taki okres w życiu Frei, kiedy spławiła młodzieńców w tym wieku jako napalonych smarkaczy. Teraz zadawała sobie pytanie, czemu nie korzystała z okazji, gdy same wchodziły jej w ręce.

Z garażu wysypała się grupa rowerzystów.

- Jedziesz do parku, Brett? - zawołał któryś; Chłopak zerknął na nią.

- Może później.

- Proszę, nie rób sobie kłopotu z mojego powodu - odezwała się pośpiesznie. - W warsztacie naprawią mi rower. - To straszne, gdyby czuł się zobowiązany tkwić przy niej jak przy starszej pani, której pomógł przejść przez jezdnię, a teraz dobre wychowanie nie pozwala mu jej porzucić.

- Nie, to żaden problem. Chcę to zrobić. Możemy porozmawiać.

Tak więc Freya przysiadła na hydrancie, słuchając jego opowieści i obserwując szczupłe palce zręcznie manipulujące przy rowerze. Brett był aktorem - no, szczerze mówiąc głównie kelnerem albo barmanem, aczkolwiek w następnym tygodniu rozpoczyna występy w naprawdę dobrej produkcji, rola niestety jest niema i nie dostanie za nią ani grosza, ale od czegoś trzeba zacząć, no nie? W mieście jest dopiero od dziesięciu miesięcy, wynajmuje strych w West Village do spółki z trzema innymi chłopakami, których dopiero tutaj poznał i którzy okazali się wspaniałymi kumplami. Znajdzie sobie mieszkanie, jak tylko uda mu się dostać dobrą rolę, najlepiej w sztuce Mameta albo Stopparda; wierzy, że mu się uda, bo ma kontakty w środowisku.

Freyę ogarnęła bolesna nostalgia. Czy w tamtych brooklińskich dniach oni także byli tacy pełni zapału i nadziei? Atrakcyjni i wysportowani? Wówczas „prawdziwe życie” zaczynało się w przyszłości, rozpocierało gdzieś ponad tęczę i czekało, aż będą gotowi. Teraz tonęli w nim po uszy. Brett z zaraźliwym doprawdy entuzjazmem przyjmował każdą informację o Frei. Super, że jest Angielką. Naprawdę super, że prowadzi galerię. Kiedy mu powiedziała, że chwilowo mieszka w Chelsea, to także było super. Przez cały czas obrzucał ją spojrzeniami, które najpierw kazały jej się zastanawiać, czy przypadkiem nie pobrudziła twarzy smarem albo czy nagle nie wyskoczyły jej żyłki, później jednak potwierdziły miłą prawdę, że chłopak uważa ją za atrakcyjną. Zaczęła poprawiać włosy i zmieniać ułożenie nóg. Całkiem nieoczekiwanie zapomniała o swoim wieku. Serce miała lekkie jak bańka mydlana.

W końcu Brett postawił rower na kołach i z triumfem wyprostował ramiona.

- Cudownie. - Freya podniosła się i otrzepała z kurzu szorty. - Bardzo ci dziękuję.

- Nie ma za co.

Jego dłoń gestem właściciela spoczywała na siodelku. Freya nie potrafiła oderwać wzroku od kości nadgarstka i złotych włosków pokrywających gładkie ramiona chłopaka. Łagodnie ścisnął palcami siodelko,

a ona poczuła tak gwałtowne pożądanie, że musiała wbić paznokcie w dłoń.

- Cóż... - powiedziała.

Brett Uśmiechnął się, a potem spojrział gdzieś ponad jej głowę.

- Wybieram się do parku - zaczął. - Zrobić kilka rundek, może wpaść na drinka. Pojedziesz ze mną?

Freya pomyślała o tłumach, hałasie, upale i bolących nogach. Przypomniała sobie, że ma trzydzieści pięć lat i od rana się nie czesała. Przypomniała sobie Jacka i Candace na sofie, młodego kochanka z różą na obrazie Fragonarda i zadowolony uśmiech Tash, przywodzący na myśl kota spijającego śmietankę. W oczach Bretta widziała zaproszenie, w przytupującej stopie dostrzegła energię. W wyobraźni ujrzała woreczek na genitalia na obrazie Bronzino.

- Czemu nie? - odparła.

Rozdział trzynasty

Michael wyskoczył z windy i pognął korytarzem. Spodnie niedopasowanego nowego garnituru łopotały mu wokół kostek. Był spóźniony i nie wiedział, gdzie jest sala, w której powinien się zgłosić.

- Przepraszam! - zaczepił młodą kobietę z naręczem akt sądowych.

- Może mi pani powiedzieć, jak dojdę do sali numer siedemset dziewiętnaście, sprawa Birnbaumów?

Oczy urzędniczki przesunęły się badawczo po jego sylwetce i obojętnie powróciły na twarz.

- Chodzi panu o Blumbergów?

- Apsik! - kichnął głośno Michael. - Tak jest, Blumbergów.

Kobieta udzieliła mu wskazówek, zachowując odpowiedni dystans od rozsiewanych zarazków. Michael pobiegł dalej, wycierając obolały nos. Nienawidził sytuacji, kiedy musiał przejmować sprawę nieuprzedzony i bez dokładnych informacji o biorących w niej udział stronach. Ale Fred Rinertson, jego szef, został odwieziony do szpitala z podejrzeniem zapalenia okrężnicy; niewykluczone, że przez wiele tygodni nie będzie mógł wrócić do pracy. Zażyczył sobie, by Petersen wziął tę sprawę. Michael nie był pewny, czy traktować to jako wyróżnienie, czy sprawdzian. Tak czy owak, od tego procesu może zależeć jego przyszłość w firmie.

Sprawa Blumberg przeciwko Blumberg. On reprezentował pana Lawrence'a Blumberga, lat siedemdziesiąt sześć, zamieszkałego w Queens w Nowym Jorku, występującego przeciwko żonie Jessice, lat siedemdziesiąt cztery. Nie była to głośna sprawa rozwodowa, którą zwykle zajmuje się starszy wspólnik, najwyraźniej jednak ze względu na rodzinne koneksje Fred tym razem zdecydował się zaszczycić pana Blumberga swoimi usługami. Rzeczą wydawała się dość prosta, aczkolwiek Michael

nie miał czasu spotkać się osobiście z klientem ani przejrzeć dokumentów. Nigdy dotąd nie żył w takim stresie: Freya, matka, zabawa w chowanego z garniturami oddanymi do tajemniczej pralni, nagłe zakupy. Jego rozkład dnia został zburzony. W rezultacie nabawił się przeziębienia, które - jak wskazywały złowrogie symptomy - zaczynało przechodzić w grypę. Michael przyłożył dłoń do piersi, z niepokojem nasłuchując ciężkiego oddechu. To nawet może być zapalenie płuc.

Oto i właściwa sala. Poprawił krawat, raz jeszcze wydmuchał nos i otworzył drzwi. Starszy mężczyzna z rzadkimi siwymi włosami i ponurym wyrazem twarzy siedział w małej poczekalni. Z powątpiewaniem spojrzął znad okularów w kształcie półksiężyców na wchodzącego.

- Pan jest tym młodym adwokatem od Rinertsona?

- Tak, to ja. Czy pan Birnberg... uch, Blumbaum.

- Blumberg. Spóźnił się pan.

- No tak, ale już jestem. - Michael idiotycznym gestem wysunął przed siebie aktówkę, jakby stanowiła dowód na to, że naprawdę jest adwokatem.

- Jessie już jest - Blumberg głową wskazał drzwi. - Z prawniczką, kobietą. Bardzo pewną siebie młodą damą. Wszystko w jej rękach, jeśli rozumie pan, co chcę powiedzieć.

Michael ukrył irytację za profesjonalnym uśmiechem.

- Jestem pewny, że we dwóch okażemy się godnymi przeciwnikami. - Usiadł obok starszka i wyjął dokumenty. - Czy możemy omówić parę szczegółów, nim tam wejdziemy...

Blumberg udzielił mu bardzo zdecydowanych, acz niezwykle rozwlekłych instrukcji, przez co dopiero po dobrych dziesięciu minutach mogli wejść do sali. Michael raz zapukał i otworzył drzwi. Był to zwykły kwadratowy i pozbawiony ozdób pokój z krzesłami i niewielkim stołem konferencyjnym, za którym siedziały dwie kobiety. Przed każdą stał papierowy kubek. Pani Blumberg była ładna i sprawiała wrażenie kobiety zdecydowanej; śnieżnobiałe włosy upięte miała w kok. Druga, o wiele młodsza kobieta, była najpewniej jej adwokatką; aczkolwiek Michael z dezaprobatą zauważył wyraźnie nieprawniczą szeroką spódnicę w kolorze turkusowym i burzę czarnych jak sadza włosów.

Przywołał na twarz swój najlepszy uśmiech.

- Dzień dobry. Przepraszam za...

- A co pan tu robi?

Ku zaskoczeniu Michaela młoda kobieta zerwała się na nogi, spoglądając na niego oskarżycielskim wzrokiem.

- Jestem Michael Petersen z...

- Wiem, kim pan jest - przerwała mu z wyraźną pogardą. - Pytam o powody pana obecności. - Kolanem usunęła zagradzające jej krzesło i zrobiła krok do przodu. - Proszę posłuchać, nie pozwolę, żeby przerywał pan to spotkanie jakimś kretyńskim pozwem na jedną z moich klientek.

Michael stał w progu jak sparaliżowany, otwierając i zamykając usta niczym ryba. Jaki pozew? Jaka klientka? Musiała go z kimś pomylić.

- Michael Petersen - powtórzył z uporem. - Pracuję w kancelarii Rinertsona i Klanga. Reprezentuję obecnego tu pana Blumberga. - Zrobił krok dalej, pozwalając staruszkowi wejść do pokoju. - Pan Rinertson zachorował.

- Aha. - Nie usiłując nawet go przeprosić, ta szalona kobieta założyła ręce na piersi.

- A pani - Michael poszukał w odpornej pamięci - nazywa się da Fillippo. - Dołożył starań, by jego głos zabrzmiał wesoło.

Kiwnęła głową, jakby to była rzecz oczywista.

- Powiada pan, że zastępuje pan Freda Rinertsona? - Najwyraźniej akceptacja tego faktu przychodziła jej z trudem. - Dlaczego mnie o tym nie poinformowano?

- Czy nasza kancelaria nie...?

- Nie.

- W takim razie przepraszam, ale... apsik! - Kichnięcie wstrząsnęło nim od czubka głowy do koniuszków palców, w powietrzu uniosły się kropelki śliny. - Proszę mi wybaczyć, tak mi przykro. - Po raz kolejny wyjął z kieszeni zmaltretowaną chusteczkę. Czuł się okropnie.

Błyszczące piwne oczy pani mecenas da Fillippo przez chwilę spoczęły na jego twarzy. Później opuściła powieki, okręciła się na pięcie i wróciła na krzesło obok swej klientki. Dodającym otuchy gestem ścisnęła staruszkę za rękę.

- Nie ma powodów do żartów, Jessie - powiedziała, zdaniem Michaela przedwcześnie.

Ledwo usiadł, już zaczęła stukać ołówkiem w stół.

- No dobrze, zaczynamy, skoro pan Petersen zdecydował się do nas dołączyć. Jak wiemy, celem naszego spotkania jest omówienie przyczyn rozwodu, a jeśli obie strony zdecydują się na rozwiązanie małżeństwa, zawarcie ugody, dzięki czemu unikniemy kosztownej i przygnębiającej sprawy sądowej.

- Ale ja nie chcę rozwodu - wtrącił cicho Blumberg.

- A ja chcę - odparła jego żona.

- Ona nie chce. - Staruszek trącił łokciem Michaela. - Jest tylko okropnie uparta. Czy może pan skłonić ją, żeby wróciła do domu? Jestem samotny i niczego nie umiem znaleźć.

Pani da Fillipo się zjeżyła.

- Trudno uznać to za przekonujące powody do utrzymania związku. Moja klientka wniosła poważne zażalenie. Jessie, może nam o tym opowiesz.

Teraz wszakże, gdy jej chwila nadeszła, pani Blumberg okazała dziwną niechęć do wystąpienia. Najwyraźniej niepokoiła ją obecność męża, z którym spędziła pięćdziesiąt lat.

- No, on chrapie - powiedziała.

Michael nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Pani da Fillipo rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

- I co jeszcze? - zapytała.

Pani Blumberg nie odrywała wzroku od zaciśniętych dłoni. Niskim, stłumionym głosem stwierdziła, że mąż zostawia kaptcie pod łóżkiem zamiast schować je w szafie i że czasami kłócą się o to, co mają oglądać w telewizji. Wreszcie, na koniec tego kulawego wyliczenia nagle wypaliła:

- I ma romans z panią Lemke z góry!

Blumberg z jękiem uderzył się w czoło, jakby tę sprawę wyjaśniano już tysiące razy.

- Zapytałem tylko, czy pamięta, jak się tańczy fokstrota. Zanim mogłem ją powstrzymać, złapała mnie i...

- Co za kobieta tańczy w biały dzień z obcym mężczyzną w swojej kuchni? - zapytała ponuro pani Blumberg.

- Jessie, przecież Doris ma sześćdziesiąt pięć lat - zaprotestował jej mąż.

- Aha, więc teraz to już jest Doris? No, wybacz.

- Wprowadziła się do naszej kamienicy. Jest wdową, a ja chciałem być dobrym sąsiadem.

- Dobrym sąsiadem! I dlatego wymknąłeś się na lunch z nią, gdy byłam u siostry?

- Nigdzie się nie wymykałem.

I tak to szło. Michaela zdumiewała siła ich namiętności. Jego klient wyznał mu w cztery oczy, że przez dwa tygodnie istotnie „zaszalał” z sześćdziesięcioletnią Doris, aczkolwiek owo szaleństwo nie wykroczyło poza cmoknięcie w policzek i bukiet kwiatów. Staruszek uważał

ów epizod za zamknięty i nie potrafił pojąć, dlaczego żona robi z tego taką wielką sprawę ani za co miałby przeproszać. Z drugiej zaś strony pani Blumberg czuła się zdradzona i dyszała żądzą zemsty.

- Chcę się rozwieść - oznajmiła, przerywając spór. - Tutaj nasza droga się kończy.

Pani da Fillipo spojrzała z triumfem na Michaela. Ona naprawdę nie-nawidzi mężczyzn, pomyślał.

Dyskusja teraz przeszła na majątek pana Blumberga i tę jego część, która powinna przypaść w udziale byłej żonie. Michael uważał, że żądania drugiej strony są absurdalnie wysokie, ale za każdym razem, kiedy chciał protestować, staruszek, z minuty na minutę coraz bardziej ponury, wytrącał mu broń z ręki, mówiąc, że to nieważne. Tak było do chwili, gdy pani da Fillipo zapytała:

- A co z Pookiem?

- Ha! Myślałem, że to już ustaliliśmy - zawołał pan Blumberg, nieoczekiwanie się ożywiając.

- Pookie to moje maleństwo - sprzeciwiła się jego żona.

- To prawda - kiwnęła głową pani da Fillipo.

- Ale ja ją mam i zatrzymam. - Staruszek zadarł wojowniczo brodę.

- Niedoczekanie twoje!

- Tak będzie.

Michael przypatrywał się im, zbity z tropu. Spróbował dyskretnie zajrzeć w dokumenty.

- A dokładnie o jakim... hmm... maleństwie mówimy?

Trzy pary oczu spojrzały na niego z gniewem.

- Boże wielki! - wykrzyknęła pani da Fillipo. - Zawsze wiedziałam, że wy u Rinertsona i Klanga jesteście tak opętani męską żądzą władzy, że nic was nie obchodzi ludzki aspekt tych smutnych spraw, ale sądziłam, że przynajmniej się pan przygotuje. Pookie jest pięcioletnią rasową szkocką terierką, nabytą osobiście przez moją klientkę, o czym świadczą dokumenty rodowodowe.

- Ale za moje pieniądze - zauważył pan Blumberg. - Jessie nie ma własnych środków, nigdy nie pracowała.

- Nigdy nie pracowała? Nigdy nie pracowała! - Pani da Fillipo odrzuciła głowę do tyłu i patrzyła z góry na biednego staruszka. - Ta kobieta prowadziła panu dom, gotowała obiad, urodziła i wychowała pańskie dzieci, opiekowała się panem w chorobie, w dzień pana słuchała, w nocy ogrzewała ciepłem własnego ciała, i to przez pięćdziesiąt lat! Jak pan może mówić, że nigdy nie pracowała?

Zapanowało niezręczne milczenie. Michael szukał w pamięci informacji o pani Caterinie da Fillipo: niestety, wiedział o niej tylko tyle, że pracuje w kancelarii zajmującej się prawem rodzinnym, która cieszy się opinią radykalnej. W jego umyśle zaczęło pobrzmiwać słowo „feministka”.

- Czy to nie jest typowe dla mężczyzn? - ciągnęła spokojnym, acz złowrogim tonem pani mecenas. Jej przenikliwe spojrzenie powędrowało ku twarzy Michaela. - Czy nie bierze udziału w waszym życiu kobieta, która dzieli z wami łóżko, dostosowuje się do waszych muzycznych gustów, mimo że sama nie lubi opery...

- Opery? - chórem zdziwili się Blumbergowie.

- .. pije odtłuszczone mleko z powodu waszej diety...

- ...odtłuszczone mleko!

- ...i znosi wasze seksualne braki?

- Jessie! Jak mogłaś!

Michael poczuł, że kręci mu się w głowie. To było niemal tak, jakby mówiła o nim i Frei. Ale jak to możliwe?

Osaczacie kobietę - grzmiała pani da Fillipo. - Przysyłacie jej kwiaty. Błagacie, by zechciała z wami być. A potem pewnego dnia, nagle, dochodzicie do wniosku, że nie jest wam więcej potrzebna. Więc co robicie? Zabieracie ją do restauracji i tam, w miejscu publicznym, porzucacie!

- Ale to Jessie mnie zostawiła - zaprotestował staruszek.

- Naturalnie że tak. Miałaś romans z panią Lemke.

- Po raz ostatni mówię, że nie...

- Porzucacie ją potem, bezdomną i samotną, by wyplakiwała sobie oczy jak stare... stare...

- Jak stary, bezdomny, samotny but - odpowiedział sucho Michael. - Zapłakany.

Pani da Fillipo spojrzała na niego z gniewem. Blumbergowie wyglądali na zszokowanych i urażonych. Michael podniósł się z krzesła.

- Pani da Fillipo, czy możemy na chwilę wyjść?

- Z przyjemnością - odrzekła. Policzki miała zarumienione.

Michael z przesadną grzecznością otworzył przed nią drzwi. Wychoząc, usłyszał narzekania pani Blumberg:

- Ja nic nie rozumiem...

Stanowczym ruchem zamknął drzwi i odwrócił się ku swej przeciwniczce.

- A teraz czy może mi pani powiedzieć, co tu się dzieje?

- Niech pan nie udaje niewiniątka - odparta. - Wiem wszystko. I nie zawaham się oświadczyć panu, że potraktował pan Freyę w sposób niedopuszczalny. Jeśli ośmieli się pan pozwać ją do sądu z powodu tych spodni, będę osobiście jej bronić, nawet w Sądzie Najwyższym, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Kompletnie oszołomiony Michael wybałuszał oczy na swą rozmówczynię, dodatkowo zbity z tropu jej niskim wzrostem. Nie potrafił pojąć, skąd tyle wiedziała o Frei i spodniach. W głowie mu się nie mieściło, że Freya zadała sobie trud i już wynajęła adwokata, na wypadek gdyby rzeczywiście Michael wytoczył jej proces. I skąd ów gwałtowny wybuch? Dlaczego Caterina da Fillipo tak emocjonalnie podchodzi do całej sprawy, jakby знаła Freyę? Caterina... Ołówek wypadł mu z palców.

- Pani jest Cat - rzekł.

- Naturalnie - potwierdziła, splatając ręce na okrągłym biurku. Nigdy jakoś nie wyobrażał sobie, że Cat może tak wyglądać.

- Proszę posłuchać, Ca... to znaczy, pani da Fillipo. Tak się składa, że nie mam zamiaru pozywać Frei do sądu, aczkolwiek nie uważam, że powinno to panią interesować. Co więcej, chciałbym przypomnieć, iż nie przyszedłem tu po to, by mnie osądzano. Uważam, że zachowała się pani bardzo nieprofesjonalnie, pozwalając, by uczucia mieszały się ze sprawami zawodowymi.

- Doprawdy? - Jej podbródek powędrował do góry, brwi uniosły się wysoko. Miała jedną z najbardziej wyrazistych twarzy, jakie w życiu widział. - Przykro mi, ale nie potrafię tłumić uczuć, jak robią to mężczyźni. Cieszę się, że zrezygnował pan z wytoczenia sprawy. To przynajmniej jest coś.

- Nie zrezygnowałem. Nawet nie...

- I nie mogę się zgodzić, że moje prywatne odczucia nie mają znaczenia dla sprawy sądowej. Na tym polega różnica między mężczyznami a kobietami: dla mnie rozwód dotyczy ludzi, dla pana wyłącznie pieniędzy. Nieoczekiwanie ogarnął go taki gniew, że mógłby ją uderzyć.

- Jak pani śmie wypowiadać się na temat moich uczuć? Tak się składa, że uważam rozwód za rzecz tragiczną, okrutną i bolesną. Owszem, żyję z procesów, ale pani robi to samo. Jestem dumny z tego, że dobrze wykonuję swoją pracę. Jestem dumny z tego, że umiem trzymać własne emocje pod kontrolą.

Umilkł, zaskoczony własnym wybuchem. Z nosa mu ciekło, ale nie mógł znaleźć chusteczki. Pewnie zostawił ją w sali.

- Proszę. - Podała mu chusteczkę higieniczną, którą wyjęła z kieszeni spodnicy.

- Nigdy się nie rozwiode. - Michael głośno wydmuchał nos. - Rzecz w tym, by wybrać właściwą osobę i trzymać się jej.

- Nie trzymałeś się Frei - zauważyła.

Michael potrząsnął głową z desperacją.

- Ale i nie proponowałem jej małżeństwa... Nie sędzę, by tego chciała. A ty? - dodał spokojniejszym tonem.

Cat nie odpowiedziała. Patrzyła na niego tak, jakby stanowił zagadkę, której nie umiała rozwiązać. Teraz, gdy gniew minął, Michael czuł się głupio, że tak się przed nią obnażył.

- Wróćmy do sprawy, dobrze? - powiedział. - Jak dotąd nie ma żadnych przeszkód do przeprowadzenia gładko rozwodu z wyjątkiem tego psa.

- Psa! - powtórzyła Cat. - Pookie jest jej dzieckiem. Jako mężczyzna nie potrafisz zrozumieć, co to znaczy.

- Ależ doskonale rozumiem! Pan Blumberg jest mężczyzną i też kocha... tego psa.

- Widzisz, nie umiesz nawet zdobyć się na to, by głośno powiedzieć jego imię. Według ciebie to dziecinne.

- Nieprawda.

- Więc słucham.

Michael przewrócił oczami. To jakiś absurd. Nigdy dotąd nie spotkał tak zwariowanej kobiety.

- Pookie - wykrztusił.

Płonące piwne oczy wpatrywały się weń z uwagą i nagle poczuł, że ogarnia go szaleństwo.

- Pookie, Pookie, Pookie. Kocham cię, Pookie. Chodź do mamusi, Pookie. Nie rób kupki na dywan, Pookie.

Usta Cat wygięły się uroczo. Śmiała się! Szczęknęła kłamka.

- Czy was dwoje nasza sprawa w ogóle interesuje? A może macie zamiar dalej tu stać i strzępić języki?

- Naturalnie że nas interesuje, panie Blumberg - odparł Michael spokojnie. - Prawdę mówiąc, dyskutowaliśmy nad istotnym szczegółem sprawy, dotyczącym podziału opieki nad psem.

- Hmm.

Wrócili do sali i podjęli negocjacje. Nagle przenikliwy dźwięk sprawił, że oboje skoczyli do swoich teczek w poszukiwaniu telefonów komórkowych. Dzwonił telefon Michaela. Spojrzał na Cat z wyższością.

- Słucham, Petersen.

- Mikey! Dzięki Bogu, że cię znalazłam.

Jego matka: tylko tego brakowało!

- Na czym polega problem? - zapytał oficjalnym tonem; taką przynajmniej miał nadzieję. - Prowadzę właśnie ważną sprawę w imieniu pana Rinertsona i nie mogę...

- Chcę, żebyś natychmiast do mnie przyjechał. W pokoju jest okropnie duszno, a ja nie umiem włączyć klimatyzacji. Chyba dostanę ataku.

Michael odwrócił się od stolika i pochylił nisko.

- Jesteś pewna, że przekreśliłaś gałkę we właściwą stronę? - zapytał cicho.

- Mów głośniej, Mikey. Mamrocześ.

- Dlaczego nie wezwiesz obsługi? - zapytał, boleśnie świadom sześciu obserwujących go oczu i sześciu słuchających pilnie uszu.

- Są tacy zajęci, nie chcę sprawiać im kłopotu.

- Mamo, to jest hotel. Po to są.

- A ty nie możesz przyjechać na minutkę? To drobna przysługa. A może wolisz, żeby twoja biedna stara matka umarła samotnie w obcym miejscu?

- Hotel Plaza trudno...

- Czy to spotkanie z adwokatami, czy jakiś cholerny cyrk? - zapytał ostro Blumberg, uderzając dłonią w stół.

- Uspokój się, Lawrence. Wiesz, że zdenerwowanie źle wpływa na twoje wrzody.

- I co z tego? Tych ludzi nic a nic nie obchodzimy, Jessie, zależy im tylko na pieniądzach. Fiu! Hotel Plaza. Porozmawiam o tym z Fredem. Co za podejrzany interes prowadzi? Facet nawet nie wiedział, kim jest Pookie!

Michael poczuł, jak czoło pokrywa mu pot. Przykrył mikrofon telefonu i wstał.

- Proszę wybaczyć, panie Blumberg... pani Blumberg... pani da Fillippo. To... eee... pilna sprawa. Zaraz wracam. - I po tych słowach uciekł do poczekalni przy wtórze słabego papuziego skrzeczenia:

- Mikey? Mikey? Mikey!

- Mamo, czy możesz przestać krzyczeć? Jestem w środku spotkania

i nie mogę teraz przyjechać. Wezwij obsługę, a my spotkamy się na kolarce, tak jak się umówiliśmy.

Nastąpiła długa chwila ciszy, a później smętny głos powiedział:

- Może wrócę do domu.

- Jeśli tego chcesz.

- Równie dobrze mogłoby mnie tu nie być. Przez cały tydzień mnie zaniedbujesz.

- Nie zaniedbuję cię, tylko mam pracę.

- Gdybym wiedziała, że tak to będzie, nie odmawiałabym sobie wszystkiego, byle tylko zaoszczędzić na twoje studia.

Michael z całej siły walnął się telefonem w głowę.

- Co to za hałas? Słyszałeś, co mówiłam?

- Słyszałem. A teraz się pożegnamy.

- Jesteś z kobietą, prawda? Twój głos o tym świadczy. Jesteś z piękną...

I nagle Michael nie mógł dłużej tego znieść. Przerwał rozmowę, wyłączył telefon i oparł się czołem o zimną ścianę. Z nosa mu ciekło, oczy szczypały. Ogarnęła go pokusa, by wyjść i zostawić cały ten bałagan z Blumbergami. Zawalił sprawę i możliwe, że pozbawił się szansy na awans. Później przypomniał sobie pogardliwy wzrok pani da Filippo: pomyślałaby, że jest draniem - a także męskim szowinistą bez śladu uczuć. Nie, żeby jej opinia miała jakieś znaczenie, ale Michael prychnął, wyprostował się i wrócił do sali.

Zastał tam dziwną scenę. Cała trójka siedziała sobie wygodnie po jednej stronie stołu. Cat trzymała chusteczkę przy oczach, jakby płakała, Blumbergowie zaś strzegli jej z obu stron jak aniołowie.

- Cóż, młody człowieku - pani Blumberg spojrzała na niego surowo - uważam, że winien jest pan Caterinie przeprosiny.

Michael zmarszczył brwi.

- A to co znowu?

- Nie musi pan tak się zachowywać. Trzeba umieć przechodzić do porządku nad drobiazgami. Wszyscy kochankowie czasami się kłócą, nawet takie stare wygi jak my.

Kochankowie! Michael dzikim wzrokiem spojrzał na Cat. Jej oczy nakazywały milczenie.

- Trzeba nauczyć się mówić „przepraszam” - ciągnęła pani Blumberg, uśmiechając się do męża, na którego twarzy widniała pokora. - Niech pan sobie wyobrazi, że po pięćdziesięciu jeden szczęśliwych latach zastanawialiśmy się nad rozwodem.

- No tak - potwierdził słabo Michael. Nie miał zielonego pojęcia, co tu się dzieje.
 - Więc jak - ponagliła go pani Blumberg - przeprosi pan Caterine? Nie było innego wyjścia, musiał wziąć udział w tej maskaradzie. Zwrócił się do pani da Fillipo.
 - Bardzo mi przykro.
 - Nie ma sprawy - odparła, najwyraźniej tak samo jak on zakłopotana dziwną sytuacją.
 - A teraz mocno ją przytul.
- Po chwili wahania zrobił krok do przodu, a Caterina podniosła się z miejsca. Sztywno wyciągnął ku niej ramiona, ona zaś położyła mu głowę na piersi. Automatycznie ją objął. Była ciepła i bardzo kobieca, a jej włosy pachniały ziołami. „Caterina” - usłyszał w głowie melodyjny głos.
- Już dobrze, tyle wystarczy - zażartował Blumberg.
- Michael opuścił ramiona, Caterina zaś cofnęła się ze spuszczoneym wzrokiem.
- Zostawimy was teraz samych - oznajmiła pani Blumberg. - Chodź, Lawrence.
 - Nie zapomnij torebki, Jessie. Ona zawsze zapomina o torebce.
 - I kto to mówi! A co z twoimi okularami do czytania? Lawrence nie może się ruszyć z domu, żeby nie zgubić okularów.
 - Mogę. Mam je tutaj.
 - Masz, bo ci je dałam.
- I przekomarzając się łagodnie, ramię w ramię wyszli z pokoju. Michael poczekał, aż trzasnęły zewnętrzne drzwi, po czym zwrócił się do pani da Fillipo.
- Co się stało? - zapytał. - Co im pani powiedziała?
 - Powiedziałam tylko, że zerwał pan nasze zaręczyny.
 - Co takiego?!
 - Powiedziałam też, że pańska matka mnie nie akceptuje i próbowała pana skłonić, żeby mnie pan rzucił. - Zerknęła na niego obronnie. - Musiałam coś wymyślić.
 - Ale... dlaczego?
 - Dla dobra państwa Blumbergów, to oczywiste.
 - Ale?...
 - Było zupełnie jasne, że nie chcą się rozwodzić. Pomyślałam, że możemy przerwać tę zabawę.
 - Tylko że pani naprawdę płakała!

- Ach, to taka sztuczka. - Potrząsnęła swymi gęstymi włosami. - Umiem płakać na żądanie.

- Rozumiem - odrzekł Michael. Tak naprawdę jednak nie pojmował niczego, poza tym że jeszcze kilka minut wcześniej sprawy zamotane były w straszliwy supeł, który ta zaskakująca kobieta jakimś cudem rozplatała i zmieniała w gładką jedwabną wstążkę. Obserwował, jak zręcznie składa papiery i uderza nimi o stół. - No... dzięki - odezwał się po chwili.

Spojrzała na niego z uśmiechem. Przemiana była zadziwiająca. Michael zrobił krok do przodu i otworzył usta.

- Apsik! - kichnął.

- Powinien pan coś zrobić z tym katarem - powiedziała Caterina spokojnie.

Nagle uświadomił sobie, jak mało atrakcyjnie musi wyglądać ze swym czerwonym nosem i zażawionymi oczyma, ubrany w ten okropny garnitur.

- Próbuję - odrzekł. - Coldrex, gripex, biorę wszystkie te środki.

- Phi! Problem polega na tym, że zachwiana została równowaga *jin* i *jang*. Poznają objawy. Potrzebne są panu witaminy. Lubi pan orzechy?

- Och... tak. W stosownym miejscu.

- Ha, ich miejsce jest w pana żołądku. Niedaleko stąd jest sklep ze zdrową żywnością, gdzie kupi pan odpowiednie rzeczy. Proszę, zapiszę panu adres.

I z niespożytą energią, która zdawała się cechować wszystkie jej poczynania, wyrwała żółtą kartkę z notatnika, skreśliła coś na niej i podała mu szybkim ruchem.

- Teraz muszę już bieć.

- Dziękuję, pani da Fillipo... Caterino... - Michael urwał. Pragnął, by jeszcze z nim została, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

- Tak? - Spojrzała na niego z ostrożną ciekawością, jak gdyby był okazem nieznanego i nieprzewidywalnego zwierzęcia. Michael nie pamiętał, by jakaś kobieta kiedykolwiek w taki sposób na niego patrzyła. Jej oczy nie były jednak całkiem piwne, zauważył, lecz miały ogniste żółte plamki.

- Ja... hmm - zmarszczył czoło. Czuł kompletną pustkę w głowie. I nagle doznał olśnienia. - Będę bardzo wdzięczny, jeśli wyjaśni pani to nieporozumienie dotyczące wytoczenia sprawy i porozmawia z Freyą.

- Z Freyą? - Jego prośba wyraźnie ją poruszyła.

- Będzie się pani z nią widzieć?

- Jasne. Oczywiście. - Wepchnęła papiery do aktówki i zatrzasnęła zamek. Zaraz wyjdzie!

- Proszę poczekać! Zjedziemy razem windą! - Michael niezgrabnie zaczął się pakować. Był jednak za wolny.

- Przepraszam, muszę już lecieć. Do widzenia!

Niczym mały, wirujący błękitny bąk złapała teczkę i machając mu na pożegnanie, zniknęła za drzwiami.

Michael został sam w niewielkim pokoju. Spojrzał na żółtą kartkę i rozłożył ją. Był na niej adres sklepu „Aphrodisia” oraz nazwy kilku produktów, nic więcej. Zgniół papier w dłoni, klnąc z irytacji.

- Wariactwo! - powiedział.

Rozdział czternasty

...i moim zdaniem część, w której Mack rąba na kawałki matkę, nie jest zbyt oryginalna. Same frazesy.

- To było zamierzone, Mona. Chodzi o ironiczny komentarz na temat banalności przemocy w naszym społeczeństwie.

- Ale nie musiał jej zjadać.

- Jasne, że musiał. To „żarłoczna pasja”, zasygnalizowana w pierwszym akapicie.

- Z keczupem?

- Nie rozumiesz, prawda? Keczup jest symbolem.

- Tak? A niby czego?

- Krwi, jak sobie wyobrażam - wtrącił Jack gładko. - Mam rację, Lester?

Lester rzucił mu swoje spojrzenie psychopaty, a potem kiwnął głową na potwierdzenie. Jak zawsze nosił krawat do wyprasowanej z obsesyjną perfekcją koszuli, a przez obcięte jak Bóg przykazał włosy przeświecała mu skóra czaszki. Jack zadał sobie pytanie: czy to ten facet mógł napisać list z groźbami? Zawsze jako pierwszy pojawiał się na zajęciach i zawsze zajmował to samo miejsce. Jego najnowsze opowiadanie - o synu do tego stopnia przekarmianym przez matkę, że stał się więźniem własnej otyłości, a w końcu pożarł trupa rodzicielki - było typowe dla rodzaju uprawianej przez niego twórczości. Jeśli ktokolwiek znał się na „Siłach ciemności”, to bez wątpienia był nim Lester.

- Czemu mężczyźni zawsze muszą rąbać na kawałki matki? Dlaczego nie ojców? Niech ktoś da dobrą scenę kastracji - odezwała się pięćdziesięcioletnia tłusta Rita, entuzjastyczna, choć spóźniona zwolenniczka feminizmu. Lecz Rita szczekała, ale nie gryzła, a jej nienawiść do mężczyzn była

czysto teoretyczna. Gdyby dowiedziała się o nim i Candace, tylko by się roześmiała. Ale czy na pewno?

Jack zmusił się do skupienia. Przesunął wzrokiem po twarzach zgromadzonych przy stole osób i zaproponował:

- Zajmijmy się teraz rozwojem postaci w „Big Mack”. Kto chciałby coś powiedzieć?

Jak zwykle zaczął Nathan; słowa popłynęły strumieniem z jego ust. Tymczasem Mona, wyraźnie urażona uwagą o symbolicznym znaczeniu keczupu, zajęła się czyszczeniem paznokci za pomocą spinki do włosów. Należała do tych bladych, kościstych kobiet, które pielęgnują „nieszczęśliwy” *image*, a każdemu, kto chce ich słuchać, opowiadają, jak w szkole średniej zostały wykorzystane przez nauczyciela angielskiego. Jack przyjrzał się uważnie jej ostremu profilowi; może to ona napisała list, traktując go jako pewną formę wstrętnej zemsty.

List nadszedł poprzedniego dnia. Na szczęście Freya wyszła już do pracy, tak więc nikt nie był świadkiem szoku Jacka. A istotnie poczuł się wstrząśnięty. Przyzwyczał się do powszechnej sympatii, do diabła, jest przecież facetem, którego wszyscy lubią... a może nie? Najpierw zgniótł kartkę i wyrzucił. Jednakże przez całe przedpołudnie, kiedy usiłował pisać, jego myśli nieuchronnie wędrowały ku złośliwym groźbom. W końcu wyciągnął list z kosza na śmieci, wygładził i uważnie zbadał, szukając śladów. Świadomość, że jest ktoś, kto aż tak go nienawidzi, sprawiła mu wielką przykrość. Zastanawiał się, czy podobnego listu nie wysłano do jego pracodawców. Częścią kursu przygotowującego instruktorów kreatywnego pisarstwa był wykład poświęcony „właściwemu” zachowaniu. Jack nie słuchał tego wszystkiego uważnie. Nie był przecież obleśnym staruchem, a wokół kręciło się tyle dziewcząt, że nie musiał ugaaniać się za własnymi studentkami. Aczkolwiek właśnie to zrobił. Skrzywił się, bo przyszło mu do głowy, że chyba postąpił dość idiotycznie.

W dzisiejszych czasach kursy kreatywnego pisarstwa były wielką sprawą. Tysiące przeciętnych absolwentów college'ów, których jedynym osiągnięciem było opublikowanie kilku opowiadań w czasopismach zatytułowanych „Mirage”, „Semiotext(e)” czy „The Skunksville Review”, zarabiało na życie, ucząc innych, jak pisać. Jack w porównaniu z nimi miał dość imponujące osiągnięcia: wydał książkę w powszechnie znanym wydawnictwie i regularnie współpracował z ogólnokrajowymi magazynami literackimi. Jeśli ktokolwiek mógłby zrobić karierę w tym chlampie, jakim są kursy, to właśnie on. Na wpół świadomie planował, że pewnego dnia,

gdy zmęczy go już literacki świątek Nowego Jorku, podejmie pracę wykładowcy w jakimś możliwym do przyjęcia mieście uniwersyteckim. Nie przypuszczał, by uczenie było nazbyt uciążliwe, na pewno zostanie mu mnóstwo czasu na pisarstwo.

A teraz jego nadzieje zostały zagrożone. Amerykańskie uczelnie przechodziły fazę maccartyzmu. Nauczyciele niekoniecznie musieli być dobrzy, za to bezwzględnie czyści, poza wszelkimi podejrzeniami. W obawie przed oskarżeniami o molestowanie seksualne nie ośmielali się nawet zamykać drzwi podczas konsultacji ze studentkami. Wszelkie objawy bliższych kontaktów z uczestnikami zajęć lub faworyzowania kogokolwiek mogły zostać ukarane zwolnieniem i adnotacją tak przerażającą jak czarna kropka w opinii.

Jack spojrzął na Candace, która siedziała przy drugim końcu stołu w nietypowym dla siebie milczeniu i zadumie, i ogarnęła go rozpacz na widok przesadnej reakcji dziewczyny. Przedstawiając jej sprawę listu, powiedział, że muszą być bardziej dyskretni, lecz przecież wcale nie każał, aby zachowywała się jak zakonnica. Wszyscy na pewno dostrzegli, że przez cały wieczór nic nie mówiła. Czując na sobie jego wzrok, Candace uniosła głowę, zagryzła usta i zarumieniła się gwałtownie. Chryste!

W tym czasie Nathan i Lester zbliżyli się do niebezpiecznego etapu w dyskusji o tym, czy postać jest we współczesnej literaturze tworem przestarzałym. Jack żałował, że wyznaczył im takie zadanie. Napiszcie opowiadanie o miłości, polecił, jakiegokolwiek miłości. Rezultaty okazały się rozpaczliwe. W obawie, że koledzy zarzucą im głupi sentymentalizm, uczestnicy kursu dołożyli starań, by wymyślić najbardziej perwersyjne rodzaje uczucia: miłość do narkotyków, miłość do zabijania, miłość w czasie Holocaustu, miłość, która zmienia się w gwałt, i nieuchronnie kazirodztwo, męczący znak szczególnie adeptów literatury. Jedyнным jaśniejącym wyjątkiem było opowiadanie o przyjaźni i zdradzie pomiędzy dwojgiem nastolatków nieumiejących znaleźć własnego miejsca w szkole - napisane z taką tkliwością i subtelnością, że Jacka niemal ogarnęła pokusa, by je sobie przywłaszczyć. I właściwie mógł to zrobić. Carlos, autor utworu, obsesyjnie wręcz poprawiał swoje dzieła. Nigdy nie wysłał opowiadania do żadnego czasopisma, ponieważ nigdy, jego zdaniem, nie będzie ono „skończone”.

Na tym polegał problem z uczeniem. Nawet jeśli miałeś szczęście trafić na studenta z prawdziwym talentem, taki ktoś zawsze znajdował sposoby, by swój dar zmarnować. Za wszelką cenę dążąc do „oryginalności”, pisali dreszczowce, od których nie miało się dreszczy, historie miłosne

bez miłości, kryminały, które nie wychodziły poza opis wałęsania się detektywa dręczonego *weltschmerzem* - a wszystko w stylu gorszego Raymonda Carvera. Pisarze są swoimi najgorszymi wrogami: odrzucają pomocną dłoń. „Wydaje ci się, że jesteś taki ważniak...”

Jack przyglądał włosy. Odpręż się, facet. I co z tego, jeśli nawet stracisz pracę? To tylko pieniądze. Świątek akademicki nie jest aż tak cudowny, by trzeba wchodzić do niego po trupach, wymachując dyplomami i listą opublikowanych dzieł, zwłaszcza jeśli oznaczało to dopasowywanie życia osobistego - i intelektu - do jakichś drobnomieszczańskich standardów „poprawności”. Do diabła, czemu nie miałyby się związać z wyrażającą na to zgodę dwudziestodwuletnią dorosłą kobietą?

Powrócił do dyskusji, zręcznie nią kierując, aż zebrani doszli do wniosku, że „Big Mack”, choć odznaczający się pewną siłą wyobraźni i miejscami interesującym stylem, nie całkiem robi wrażenie na czytelniku.

- Dlaczego nie? - zapytał Jack.

Odpowiedziała mu cisza.

W końcu niepewny głos przemówił:

- Wiem, że to przypuszczalnie moja wina, Lester jest lepszym pisarzem, niż ja kiedykolwiek będę, ale naprawdę niczego nie czułam.

- Odczuwanie! - prychnął Lester.

- Dziewczęce bzdury - poparł go Nathan.

Kobieta, która się odezwała - po czterdziestce, dość krzykliwie ubrana - oblała się płomiennym rumieńcem. Jack przypomniał sobie, że pracuje w ośrodku opieki dziennej i nie skończyła szkoły średniej.

- To bardzo przenikliwa uwaga, Liso - powiedział ciepło. - Trafiłaś w dziesiątkę. - Odchylił się i splótł dłonie za głowę. - Dobrze. Jaka jest najważniejsza rzecz dla pisarza?

- Znaleźć sobie pierwszorzędnego agenta - odpalił Nathan.

Wszyscy się roześmiali.

Jack uśmiechnął się także i poczekał, aż w sali zapanuje spokój.

- Pisarz przede wszystkim musi być wiarygodny. Mówię tutaj o prawdzie emocjonalnej. Oznacza to, że nie próbuje mydlić oczu czytelnikowi. Nie mówi mu, że powinien być wstrząśnięty, smutny albo szczęśliwy, ale sprawia, że czytelnik to odczuwa.

- I pan tak robi? - zapytał Nathan obraźliwym tonem.

- Staram się.

- Naprawdę nie możemy się już doczekać powieści, nad którą pan pracuje.

Jack nie dał się odwieść od tematu.

- Zapomnijmy o mnie. Wybierzcie pisarza, którego podziwiacie i lubicie, i zobaczcie, jak on to robi.

- Może być na przykład Carson McGuire? - zapytała Mona. - Jest cudowny, prawda?

- Kogo chcecie - powtórzył Jack. - Pamiętajcie, żeby skłonić czytelnika do odczuwania, sami też musicie odczuwać. Do tej pory zajmowaliśmy się techniką: obrazowaniem, dialogiem, punktem widzenia. To wszystko jest bardzo ważne, ale stanowi tylko połączoną powierzchnię, pod którą kryje się pustka. Obnażcie się, pokażcie siebie. Dzisiaj wieczorem chcę was zobaczyć nagich.

- Mnie nie - zachichotała Rita.

- Wszystkich bez wyjątku. - Jack zerknął na zegarek. Z trzygodzinnych zajęć została jeszcze godzina. - Dobra. Czas na ćwiczenia.

Zebrani jęknęli.

- Następne czterdzieści minut poświęcimy na napisanie sceny, która mnie poruszy.

Nathan skrzyżował ramiona.

- Nie jestem w nastroju.

- „Nie można czekać na natchnienie, trzeba zamierzyć się pałką”, Jack London. Ten, kto nie spróbuje wykonać zadania, dostanie odpowiednią ocenę. - Jack rozejrzał się bacznie po kręgu twarzy. - I na pewno nie będzie to szóstka.

- Nie umiem tego zrobić! - zawołał Carlos z rozpaczą. - Za mało czasu!

- Przynajmniej spróbuj. Różnica pomiędzy pisarzem potencjalnym a prawdziwym polega na skończeniu dzieła. Jeszcze jakieś pytania?

Dłoń Lestera wystrzeliła w powietrze jak w nazistowskim salucie.

- Mamy pisać na jednej stronie kartki czy na obu?

- Na jednej, na obu, jak wolicie. Możecie pisać do góry nogami albo z prawej do lewej. Możecie napisać wiersz, scenę, dialog, a nawet list. Możecie opisać, jak bardzo kochacie swojego kota. To nieważne, tylko bądźcie szczerzy. Sprawcie, abym naprawdę coś poczuł. Zajrzyjcie w swoje serca i piszcie.

Po chwili zamętu studenci zajęli się pisaniem i w sali zapadła przyjemna, skupiona cisza. Przez ogromne okna widać było uliczne lampy świecące na tle wieczornego nieba. Jack rozejrzał się po wysoko sklepionym, kwadratowym pomieszczeniu z urzędową niebieską farbą na ścianach i drobkami kredy unoszącymi się w powietrzu, a później spojrzął

na swoją grupę dwunastu uczniów, którzy zgarbieni nad kartkami, bazygrali i kreślili, znowu pisali, gryząc ołówki, a czasami zerkali na niego z nadzieją, jakby się spodziewali, że za chwilę zamieni wodę w wino. Przez głowę przeszedł mu wierszyk: „Będiesz kochał sąsiada pokreconego z głębi swego serca pomyłonego”. Jack czuł, jak w piersi rośnie mu własne pokrecone serce. Naprawdę lubił uczyć. Lubił tę kombinację czystych idei i nie zawsze mądrych ludzi. Lubił spory i żarty, i głęboką satysfakcję, kiedy umysł ucznia otwierał się jak kwiat. Nie chciał stracić tej pracy ani szansy na podobne zajęcia. Zastanawiał się, kto z tej dwunastki jest Judaszem.

Rita z szelestem odwróciła kartkę, pośpiesznie zapisując słowa. Jacka zadziwiała pewność niektórych studentów. U niego pragnienie zostania pisarzem narastało wolno i ukradkiem. Czasami czuł się jak oszust, był przekonany, że nie może zostać „prawdziwym” pisarzem, ponieważ nie pisał namiętnie od dzieciństwa. Jego rodzina nie sprzyjała takim skłonnościom. Ojciec czytywał strony poświęcone giełdzie, matka lubiła grube, błyszczące magazyny z fotografiami domów i strojów innych ludzi. Jack jednak pilnie wszystko obserwował. Podczas gdy macochy i ojczymowie zmieniali się jak w kalejdoskopie, on sam zaś wędrował z domu do domu, uczył się odczytywać temperaturę emocjonalną i notował ją w pamięci. Kiedy życie, które prowadził, wydawało się dalekie od doskonałości, w marzeniach tworzył sobie inne.

Miał dziesięć lat, gdy ojciec ponownie się ożenił. Lauren wkroczyła w ich dom, przywożąc ze sobą ciężarówkę książek i świeży, oszałamiający powiew innego świata. Jack odkrył, że czytanie może być zajęciem poważnym, wręcz godnym podziwu. Lauren kupowała książki, czytała mu na głos, tłumaczyła nieznane słowa i idee, słuchała jego opinii. Przyjaźń z nią przetrwała nieunikniony rozwód kilka lat później; to właśnie Lauren dodawała Jackowi odwagi, gdy w tajemnicy, ostrożnie zaczął przelewać swoje fantazje na papier. Jej też zadedykował „Wielkie niebo”.

Pisanie było dlań wyzwoleniem, czymś w rodzaju odkrycia dodatkowej kończyny lub nowego wymiaru. Lubił zachodzący w jego głowie proces: najpierw otwarty, instynktowny strumień słów, a później trudne, intelektualnie pobudzające poprawki. Uwielbiał tezę, że dobry pisarz potrafi stworzyć wszystko, co przyjdzie mu na myśl, i sprawić, by czytelnik w to uwierzył.

Tylko że teraz czuł się zablokowany. Utkwił w dołku. Może faktycznie jest oszustem, autorem jednej tylko książki. Powinien wrócić do domu w Oaksboro i podjąć jakąś okropną pracę w rodzinnej firmie - na przykład

prowadzić magazyn albo redagować ogłoszenia reklamowe. („Hej, Jack, podobno słowa przychodzą ci łatwo!”). Z ukłuciem niepokoju przypomniał sobie, że w ten weekend ojciec przylatuje w interesach do Nowego Jorku na spotkania, które są przewidziane na cały następny tydzień. Zawiadomił go o tym krótki na dwie linijki list, wystukany na maszynie przez sekretarkę, gdzie znalazła się także wiadomość, że w niedzielę ojciec jest wolny i może ten czas poświęcić synowi. Jacka piekielnie irytował sposób, w jaki ojciec z góry zakładał, że on także będzie wolny. Tata nie uważał pisania za „pracę”. Stoczyli wiele gorzkich sporów, począwszy od chwili, gdy Jack zrezygnował z gry w szkolnej drużynie futbolowej, by skoncentrować się na nauce. („Do diabła, synu, po co ci studia, skoro odziedziczysz Madison Paper?”). Później Jack oznajmił, że chce się uczyć dalej i zdobyć tytuł magistra humanistyki. („A cóż to niby jest?”). Wreszcie nadszedł ów dzień, gdy Jack z dumą wręczył ojcu egzemplarz swojej książki, pierwszy owoc twórczych wysiłków. Ojciec jednak tylko ją przekartkował, komentując ze śmiechem, że w tym czasie syn, pracując w Madison Paper, mógł zarobić milion. Jack był przekonany, że ojciec nigdy nie przeczytał jego dzieła. Może gdyby książka znalazła się na liście bestsellerów - albo zdobyła Pulitzera! - tata w końcu przestałby narzekać.

Na koniec zajęć Jack zebrał prace studentów i rozdał wszystkim fragment, który mieli przedyskutować w następnym tygodniu. Candace, wręczając mu swoją pracę, ukradkiem pokazała wnętrze dłoni, na której widniał napis: „Spotkajmy się w sobotę!”, ozdobiony uśmiechniętą buzią. Wracając do domu przez Washington Square, Jack uświadomił sobie, że niejaka ulgę sprawia mu brak rozświergotanej dziewczyny przy boku, mimo że przyjemnie być obiektem gorącej adoracji. Candace to laleczka, a on czasami musi się odprężyć i zastanowić nad swoimi sprawami. Na przykład dlaczego nie może pisać. Z dnia na dzień pytanie to stawało się coraz bardziej palące i bolesne. „Bądźcie szczerzy - powiedzcie studentom. - Zajrzyjcie w serca i piszcie”. Lecz sam tego nie potrafił. Miał opaskę na oczach.

Przypomniał sobie cudowne opowiadanie Carlosa i własne pragnienie, by je ukraść, i zrobiło mu się wstyd. Przysiągł sobie, że nie mówiąc nic tamtemu, wyśle je do kilku lepszych czasopism - takie, jakie jest, nieprzejrzane i „niedokończone”. Dobry wydawca - może z „Anateusa” albo „Iowa Review” - bez wątpienia rozpozna nowy talent. Jack zobaczył to oczyma duszy: entuzjastyczna odpowiedź z redakcji, wyznanie podstępny, wdzięczność Carlosa i następująca po nim błyskotliwa kariera

autora (oczywiście nieprzesadnie błyskotliwa). Uśmiechnął się, ucieszony tą wizją.

Dostrzegł idącą z naprzeciwka kobietę - z klasą, opanowaną, może czterdziestopięcioletnią. Mijając go, spojrzała z rozbawieniem, jakby chciała powiedzieć: „Tak, jestem cudowna. Dzięki, że to zauważyłeś. A teraz spadaj”. Jack uwielbiał takie kobiety. Zastanawiał się, dokąd idzie, czy jest zamężna i o czym lubi rozmawiać. Zaczął komponować scenę: letni wieczór, dwoje ludzi w restauracji, oboje przystojni i inteligentni - on (trochę szczuplejszy) i tajemnicza kobieta (trochę młodsza). Prowadzą dyskusję - na tematy intelektualne, nie o domowych drobiazgach, ale tonem świadczącym o intymności. Ona jest zamężna albo z innych przyczyn niedostępna, lecz czytelnik jeszcze o tym nie wie. Jack widział, jak kobieta nachyla ku niemu piękną twarz, gestykulując wyraziście...

Zaraz, zaraz, tu jest pizzeria. Jack pchnął drzwi, wciągając powietrze. Umierał z głodu. Kupi pizzę na wynos i zje ją na tylnym podwórku, o ile tylko komary dadzą mu spokój. Zastanawiając się nad wyborem, pomyślał nagle o Frei. Ciekawe, czy będzie już w domu. Chyba tak, jakoś ostatnio nie prowadzi nazbyt ożywionego życia towarzyskiego. Biedna stara Freya. Jej próby znalezienia idealnego partnera okazały się nieskuteczne; nigdy go nie zdobędzie. Wystarczy popatrzeć na tych nieudaczników i nudziarzy, z którymi się zadawała przez te wszystkie lata. Kobiety z pozoru są okropnie wybredne, a potem nagle decydują się na idiotę. Nic dziwnego, że przyjaciółka ma taki zły humor, to z pewnością jest frustrujące. Powinna wziąć przykład z niego i wpadać do seksualnego bufetu tylko na chwilę. Oczywiście, dla mężczyzn jest to łatwiejsze.

I nagle Jackowi przyszedł do głowy wspaniały pomysł: kupi pizzę także dla Frei. Znał jej upodobania: żadnych grzybów i pepperoni, podwójne anchois i mnóstwo czarnych oliwek. To będzie rodzaj fajki pokoju. Zrobił jej przykry dowcip, ale cała ta sprawa z Bernardem była niepoważna. Freya ma poczucie humoru, otrząśnie się z tego. Jack wyobraził sobie powrót do domu. Ona myje włosy albo ogląda telewizję; na pewno nie zadała sobie trudu, by coś ugotować, więc będzie głodna i wdzięczna. Usiądą sobie na leżakach i pogadają. Rozśmieszy Freyę, opowiadając jej o konspiratorskim wyczynie Candace. Będzie jak za dawnych czasów.

Rozdział piętnasty

Freya dłużej nie mogła tego znieść. Przesunęła ciężar ciała, by dać ulgę ścierpniętemu pośladowi, i zmieniła układ nóg. Krzesło przeraźliwie zaskrzypiało, aż siedzący przed nią mężczyzna obejrzał się z oburzeniem. Kolczyk w brwi nadawał mu szczególnie groźny wygląd.

- Przepraszam - szepnęła bezgłośnie.

Ponownie zwróciła uwagę na scenę, gdzie oświetlony pojedynczym reflektorem aktor w szacie buddyjskiego mnicha od dwudziestu minut stał bez ruchu. Wzrok miał spuszczone, dłoniełożył przed sobą. Jak dotąd nic więcej się nie zdarzyło. Freya nie była pewna, czy jest w tym głębsze znaczenie, czy też za kulisami dzieje się jakaś tragedia. W końcu to off-off Broadway.

Zaraz, zaraz, coś usłyszała: niski, rytmiczny szum, podobny do tego, jaki nocą wydaje lodówka. Powoli zza ciemnych kulis zaczęły wyłaniać się części ciała: dłoń, goła stopa, zgięty łokieć, pokornie schylona głowa. Przez następnych dziesięć minut centymetr za centymetrem aktorzy przesuwali się na środek sceny, poruszając się jak w zwolnionym *tai chi*, i w końcu oczom widzów ukazała się grupka młodych mężczyzn i kobiet, odziana w sarongi i szaty z worków. Bretta między nimi nie było. Freya powściągnęła zniecierpliwienie. Może oszczędzają go do specjalnej roli, na przykład nagiego boga. Pytała Bretta o jego udział, ale obdarzył ją tym swoim nieśmiałym uśmiechem, który działał na położone poniżej pępka partie jej ciała, i powiedział tylko tyle:

- Premiera jest we wtorek. Może przyjdiesz?

Palce Frei zacisnęły się na zwiniętym w rulon programie, podczas gdy myśli powędrowały do ostatniej soboty i widoku pleców jadącego przed nią chłopaka - szczerze mówiąc, nadawał niezłe tempo i niejakiemu wysiłku

wymagało od niej ułożenie ust w beztroski uśmiech oraz znajdowanie dość oddechu w płucach, by odpowiadać na jego pytania. Równocześnie jednak była to doskonała okazja napawania się wysportowanymi nogami młodzieńca, jego szerokimi barkami, wąskimi biodrami i gołą skórą - to odsłanianą, to znów zakrywaną. W parku Brett zwolnił i zaczął się wygłupiać: puszczał kierownicę, jeździł slalomem po ścieżce, z wdziękiem wyginając ciało, i co chwila się odwracał, by sprawdzić, czy Freya na niego patrzy. Ze śmiechem zaczęła go naśladować, wkrótce też oboje świetnie się bawili. Wyprzedzając swego towarzysza, zdjęła nogi z pedałów i wyciągnęła na boki, potem zamachała łokciami jak kura, w końcu na krótki, szalony moment uniosła ręce do góry z okrzykiem triumfu. Później znowu przyszła kolej Brett'a. Przechodnie przystawali, by się im przyjrzeć. Było zabawnie, zalotnie, wesoło. Uświadomiła sobie, że tego brakowało jej przy Michaelu, którego nie umiała wyobrazić sobie na rowerze, chyba że w kasku, wojskowych szortach i z plecakiem. Wreszcie przestali zdyszani, roześmiani i w połowie drogi do intymności.

- Chodź, wariatko, postawię ci sok pomarańczowy.
- Nie ma mowy, ja funduję.

Sprzeczali się, i to także było zabawne. Później nie mieli sobie już zbyt wiele do powiedzenia. Frei to się podobało. Siedzieli naprzeciw siebie i pijąc owocowy sok przez rurkę, uśmiechali się tylko. Brett powiedział, że urodził się w Denver i jest w jednej ósmej Irokezem, co tłumaczyło ostre rysy jego twarzy i skośne oczy pod prostymi, czarnymi brwiami. Fizycznie był odpowiednikiem steku z polędwicy; gdy nań patrzyła, czuła głód. Naturalnie był śmiesznie młody. Ale czy wiek naprawdę się liczy? Freya w głębi serca czuła się, jakby miała dwadzieścia trzy lata. Wielką ulgą było zrzucenie całego brzemienia kariery, rodziny, nieudanych związków i bycie po prostu „wariatką”.

Mrugnęła i zwróciła zamyślane spojrzenie na scenę. Naprawdę musi się skupić. Teraz pomruki postaci ożywione zostały monotonną grą na jakimś instrumencie podobnym do fletu, podczas gdy aktorzy (pielgrzymi? wieśniacy? bezimienne strzępy ludzkości?) podzielili się na grupy i podjęli powolną pantomimę - orząc ziemię, nabierając wody, rozsypując ziarno. Na środku sceny para kopulowała bez śladu radości, z jednej strony kobieta z wysiłkiem rodziła dziecko, z drugiej pulchny mężczyzna leżał na podłodze z rozrzuconymi ramionami i odwróconą głową, nieżywy: całość, jak wydedukowała Freya, obrazowała cykl życia. Oglądała już takie przedstawienia, tylko że widzowie mieli na sobie kosztowniejsze ubrania.

To akurat chyba było niezłe, pod warunkiem że człowiek znajdował się we właściwym nastroju. Widzowie patrzyli zafascynowani. Kiedy „martwy” mężczyzna nagle kichnął, uprzejmie go zignorowali. Freya próbowała ułożyć kwestię, którą wypowie po spektaklu. Przypomniała sobie, że Noel Coward rozwiązał ten problem zdaniem: „Kochanie, cudowne to nie jest właściwe słowo”, zabrakło jej jednak pewności, że wypowie je z właściwym żarem.

Rozległo się powolne walenie w bęben. Bum. Bum. Bum. Aktorzy przerwali swoje zajęcia - poza mnichem, który dalej się modlił - i z ciekawością unieśli twarze do góry. Czy będzie padać deszcz? Bębniący przyśpieszył, ostre światło złagodniało i nabrało złotego odcienia, a na scenę posypały się ziarna ryżu, prawdziwego ryżu. Ach, racja: żniwa. Aktorzy, jakby zdjęto z nich urok, zaczęli wirować i tupać w gorączkowym tańcu, podczas gdy ryż leciał niczym złoty deszcz. Sarongi i przepaski fruwały, uderzenia w bęben nabrały tempa i zmieniły się w ekstazyne crescendo. Po dobrych pięciu minutach scena opustoszała, pozostał na niej tylko mnich, nieporuszony i obojętny pod rzedniejącym deszczem ryżowych ziaren. Freya przypomniała sobie, że sztuka nosi tytuł „Ziarna prawdy”. Aha!

Nieoczekiwanie bęben umilkł. W kompletnej ciszy Freya słyszała szum własnej krwi w uszach. Widownia wstrzymała oddech. Na scenę wkroczył Brett, w szafranowej przepasce na biodrach, z długimi drewnianymi grabiami na ramieniu. Freya wychyliła się, by lepiej widzieć. Brett wolno doszedł do środka, pełnym wdzięku ruchem zdjął grabie i zaczął wolno i rytmicznie zgarniać ryż. Zza kulis ponownie dała się słyszeć melodia grana na flecie. Brett miał pochyloną głowę i skupiony wyraz twarzy. Złote światło padało na scenę pod kątem, podkreślając kształty i cienie. Ciało Brett'a pokrywał połyskliwy krem, który uwydatniał każdą kość i mięsień. No, ta część spektaklu jest naprawdę efektowna, pomyślała Freya z aprobatą. Najwyraźniej inni także podzielali jej zdanie, ponieważ ze wstrzymanym oddechem patrzyli, jak Brett okrążył scenę, tworząc w ryżu spiralny wzór. Kiedy wreszcie dotarł do rampy, wyprostował się i ponownie oparł grabie na ramieniu. Rozległo się finalne uderzenie w bęben, pozostali aktorzy wyłonili się zza kulis w pełnej godności procesji i ustawili z obu stron Brett'a. Przedstawienie dobiegło końca.

W niewielkim teatrze wybuchła burza oklasków, zaskoczeni aktorzy uśmiechnęli się, co w jednej sekundzie odjęło im dziesięć lat.

Freya upuściła program, klaszcząc entuzjastycznie i nie odrywając wzroku od Brett'a. Kiedy ją dostrzegł, stracił swe dotychczasowe opanowanie i

musiał pochylić twarz w przedwczesnym ukłonie. Freya roześmiała się z zachwytu.

Światła przygasły, widzowie wstali i przy wtórze coraz głośniejszych rozmów ruszyli do wyjścia. Nastawiła uszu, by powtórzyć Brettowi co pochlebniejsze fragmenty ocen. W tłumie przeważali ludzie młodzi, przypuszczalnie przyjaciele i rywale obsady, pomiędzy nimi wyróżniali się starsi krytycy oraz kilka nadmiernie wystrojonych par; Freya uznała, że są to rodzice aktorów w różnym stadium dumy lub rozbawienia.

- Nie dziwię się, że nie było antraktu. Wszyscy zostaliby w barze.

- I to właśnie nazywam teatrem. Czuję się duchowo oczyszczona...

- Biedny kochany Basil nigdy nie zrozumie, że mniej nie zawsze znaczy więcej...

- Nie jestem na ciebie zły, Deborah, pytam tylko, dlaczego zarezerwowałaś stolik na dziesiątą trzydzieści, skoro wiedziałaś, że przedstawienie kończy się o wpół do dziesiątej.

No cóż, musi coś wymyślić.

W foyer Freya skręciła do damskiej toalety, by przejrzeć się w lustrze: wygniecione spłowiełe dzinsy, nieskazitelnie biała koszulka i ograniczony do minimum makijaż. Zdecydowała, że lepiej, jeśli będzie wyglądać jak reszta tych smarkaczy niż piękna, acz starsza kobieta. Czy miała rację? W lustrze zobaczyła na swej twarzy głupekowaty dziewczęcy uśmiech i odwróciła się, zażenowana własnym podnieceniem. Na litość boską, przecież to tylko młody mężczyzna.

Przy drzwiach prowadzących za scenę przyłączyła się do grupy wielbicieli i podała portierowi swoje nazwisko. Zaraz też wybiegł do niej Brett, wciąż w kostiumie, błyszczący i piękny, każdym porem skóry wydzielając adrenalinę. Zanim zdążyła mu pogratulować, zarzucił jej ramiona na szyję.

- Czy to nie było wspaniałe? - zapytał.

Pachniał kosmetykami i podnieceniem, jego dłonie wydały się Frei gorące i śliskie.

- Rewelacyjne. - Głos jej zabrzmiał chrapliwie, wzięła więc głęboki oddech i spróbowała ponownie. - Absolutnie rewelacyjne.

- Nie byłem pewny, czy przyjdiesz. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, kiedy cię zobaczyłem! - mówił gorączkowo. - Posłuchaj, będę gotowy za kilka minut. Muszę pomóc pozmiatać ryż do worków, umyć się i przebrać. Poczekasz?

- Chyba tak - odrzekła z uśmiechem.

- Wybieramy się do Julia, żeby to uczcić. Postaram się uwinąć tak

szybko, jak się da. - Ruszył z powrotem za kulisy, ale z progu rzucił jej jeszcze płonące spojrzenie. - Nie odchodź.

Freya potrząsnęła głową. Jakby w ogóle była w stanie!

Bar u Julia okazał się nędznym studenckim lokalem ze wschodnimi daniami, sądząc z jowialnego powitania właściciela często odwiedzany przez zespół autorski podczas prób. W hałaśliwym zamięcie, gdy stawiano torby i zsuwano stoły, Freya precyzyjnie się do baru i zapłaciła za dwie butelki szampana. Później wróciła i usiadła koło Brett, przebranego w czarne dżinsy i miękką niebieską koszulę, z włosami wilgotnymi po prysznicu. Wszyscy gadali jednocześnie, zagłuszając muzykę flamenco. Podobno w pierwszym rzędzie siedział Hal Prince. A może był to Cameron Mackintosh? Nie, to była Cameron Diaz. Brednie, Cameron Diaz kręci film w Nevadzie, były zdjęcia w „Screen”. No, ale kilka gazet przyszła recenzentów: „Post”, „Village Voice”, „Paper”. Jakie będą recenzje? Och, Boże, to zbyt straszne, żeby o tym w ogóle myśleć!

Podano szampana, co sprowokowało falę spekulacji. Kiedy kelner wskazał fundatorkę, wszystkie oczy ze zdziwieniem spoczęły na Frei, by zaraz przenieść się na Brett.

- To jest Freya - oznajmił. - Przyszła zobaczyć przedstawienie.

Nastąpiła krótka niezręczna przerwa. Freya uświadomiła sobie, że jej gest został źle zrozumiany. Zdystansował ją od reszty: nie była jedną z nich, lecz kimś bogatszym, lepszym, innym - cukierkową mamuszką. Złapała kieliszek i uniosła.

- Byliście fantastyczni - powiedziała. - Za powodzenie... - nagle pamięć ją zawiodła, na szczęście jednak amnezja trwała tylko sekundę - za „Ziarna prawdy”.

Toast przyjęto entuzjastycznie, każdy z każdym stukał się kieliszkiem. Freya z ulgą stwierdziła, że przestała być obiektem zainteresowania.

- Wiesz, to było bardzo miłe z twojej strony - szepnął jej do ucha Brett.

Odwróciła głowę i dostrzegła, że jego oczy są tuż przy jej twarzy. Odpięty kołnierzyk przesunął się, odsłaniając gładką skórę. Chciała iść z nim do łóżka. I to natychmiast.

- Dla ciebie też coś mam - oznajmiła, sięgając do torebki.

Wiele godzin spędziła przy półkach w księgarni Gotham Book Mart, szukając idealnego prezentu, zastanawiając się nad antykwarycznymi wydaniem sławnych sztuk lub pamiątek z Broadwayu; w końcu jej wybór padł na autobiografię „Anthony’ego Hopkinsa w miękkiej oprawie.

Po długim namyśle i kilku falstartach napisała: „Dla Bretta w dniu premiery - pierwszej z wielu”. Podpisała się samym imieniem.

Brett zdjął opakowanie, a jego przystojna twarz się rozjaśniła.

- Super! - Nachylił się i cmoknął ją w policzek. - Dzięki.

Pachniał czystą męską skórą.

- Nie ma za co - odrzekła lekko, po czym odwróciła się ku siedzącemu z drugiej strony krępego młodemu człowiekowi, który opierał się na łokciu. - Nie pijesz? - zapytała, widząc jego pusty kieliszek.

- Nie jestem w stanie. - Wzruszył ramionami. - Nie po tym przedstawieniu.

- Dlaczego? Co się stało?

- Nie udawaj, że nie zauważyłaś. Wyciągnąłem kopyta.

- Co takiego?

- Umarłem. Mogę równie dobrze wyjechać z miasta albo się zastrzelić. - Był na granicy załamania. - Na każdej próbie leżałem nieruchomo jak kamień, ale na premierze musiałem kichnąć. A przecież mam być trupem, na litość boską! Wszystko zepsułem.

Freya sięgnęła po butelkę.

- Nic nie zauważyłam, a siedziałam w piątym rzędzie - skłamała, nalewając mu szampana. - Moim zdaniem bardzo realistycznie ułożyłaś ramiona - zaimprovizowała.

- Wes jest perfekcjonistką. Prawda, kochanie?

Kobieta siedząca naprzeciwko pechowego nieboszczyka szturchnęła go w ramię. Ufarbowane na czarno henną włosy miała splecione w warkoczyki, które sterczały na boki jak u Dorotki w „Czarodzieju z Oz”. Jej wzrok przesunął się na Freyę i stwardniał.

- Od jak dawna znasz Bretta?

- Od trzech dni.

Obie kobiety machinalnie spojrzały na chłopaka, który usiłował się nie śmiać, podczas gdy jedna z aktorek kołysała marynowanym szparagiem nad jego otwartymi ustami.

- Słodki, prawda? - zapytała kobieta.

Freya wzruszyła ramionami, jakby w gruncie rzeczy tego nie zauważyła.

- Wiesz, to fascynujące, co powiedziałaś o moich rękach. - Wes trącił ją muskularnym ramieniem. - Ręce są bardzo ważne. Żeby się wczuć w rolę, obejrzałem mnóstwo zdjęć trupów. Nie wiem, czy się orientujesz w metodzie Stanisławskiego, ale...

Mówił tak i mówił. Freya zauważyła, że jednak znalazł odwagę, by opróżnić kieliszek. Tymczasem stół zappełnił się małymi talerzykami z oliwkami, krewetkami, szynką i różnymi koreczkami, szampana zaś zastąpiło tanie czerwone wino, od którego drapało ją w gardle. Wokół toczyły się rozmowy o ludziach, których nie знаła, i rzeczach, o których nie chciała wiedzieć: przesłuchania, kursy, tabletki na gardło, letni repertuar, dranie dyrektorzy, co A powiedział do B na temat C. Choć mówiła, słuchała i starała się zachowywać w miarę normalnie, cały czas świadoma była bliskości Brett'a i jego magnetyzmu. Za każdym razem, kiedy przypadkowo musnął jej rękę lub nogę, czuła dreszcz pożądania. Opróżniła kieliszek za kieliszkiem.

Wes dalej gadał, gdy poczuła, że Brett delikatnie dotknął jej nogi.

- Jak się bawisz? - zapytał. Umiał spoglądać spod brwi, co uznała za niebywale uwodzicielskie.

- Dobrze. Pocałuj mnie - rozkazała cicho.

Przysunął się bliżej i przebiegł palcem po jej gołym ramieniu. Frei zakreśliło się w głowie.

- Prawie wcale z tobą nie rozmawiałem - stwierdził.

- Tyle tu ludzi - zauważyła niemądrze.

- Możemy wyjść, jeśli chcesz.

Przygryzła wargi.

- Naprawdę?

Pięć minut później stali przed barem. Była upalna noc, w powietrzu unosił się zapach hamburgerów i brudu, reflektory samochodów rozświetlały ciemność. Dobry stary Nowy Jork.

- Więc... - Uśmiechnięty Brett przestąpił z nogi na nogę. - Mieszkasz gdzieś w okolicy?

- Kilka przecznic stąd - odrzekła Freya swobodnie. Wsunęła kciuki do kieszeni dżinsów i spojrzała na swoje buty. - Chcesz odprowadzić mnie do domu?

Uśmiech Brett'a stał się jeszcze szerszy.

- Jasne.

Przez chwilę szli w milczeniu. „Masz dziewczynę? - to pytanie cisnęło się jej na usta. A ta aktorka z warkoczami? Myślisz, że jestem atrakcyjna? Miałbyś ochotę w przyszłym tygodniu pojechać ze mną do Anglii?”

- Zastanawiałem się... - zaczął Brett.

Freya głośno przełknęła ślinę.

- Tak?

- Co naprawdę myślisz o mojej grze?

I tak zaczęli rozmawiać o nim: jego talencie, ambicjach, stresach związanych z tym szczególnym przedstawieniem, które wymagało tak ogromnego wysiłku - Brett użył określenia „pieprzenie umysłu” - że mogli prowadzić próby tylko co drugi dzień. Od aktorów żądano, by nie tylko utrzymywali kondycję fizyczną w szczytowej formie, lecz także medytowali godzinę przed spektaklem, oczyszczając w ten sposób umysł. On sam zrezygnował z czerwonego mięsa, podwoił częstotliwość zajęć z jogi i poważnie zastanawiał się nad przejściem na buddyzm.

- Tylko że jestem zbyt próżny, żeby zgolić głowę - wyznał z chłopięcym uśmiechem, który dodał mu uroku. - Chciałbym też brać udział w bardziej komercyjnych przedsięwzięciach. Są teraz przesłuchania do „Kotów”.

- Wiesz, widziałam to w Londynie. Byłam na premierze.

- Ale... ale „Koty” premierę miały chyba w latach osiemdziesiątych, no nie?

Ojej. W głowie Frei zakotłowało się od liczb. Brett musiał wtedy mieć - cholera! - siedem, góra osiem lat.

- Wycieczka szkolna - wyjaśniła pogodnie. - Nie miałam więcej niż trzynaście lat, może dwanaście. Jedenaście albo dwanaście. Choć powinnam wyznać, że chyba istotnie jestem trochę od ciebie starsza... Trzydziestka na karku, niestety. - Zerknęła na niego ukradkiem, czekając na jego reakcję.

- A kogo to obchodzi? - Brett spojrzał na nią szczerze zdziwiony, że mogła uważać taki drobiazg za ważny.

To jest właśnie wspaniale u młodych mężczyzn, powiedziała sobie: nie mają problemów z męską wyższością. I są młodszy. Brett uśmiechnął się i zarzucił ramię na jej plecy.

- Lubię cię - oznajmił - i tylko to się liczy.

- To dobrze.

Po chwili Freya objęła go w pasie, co pragnęła zrobić od wielu godzin. Szli tak, blisko siebie, w milczeniu. Czowała mrowienie na szyi, gdzie jego ręka ocierała się o jej skórę. Wszystkie zmysły miała napięte, a mimo to była wspaniale spokojna. Wydawało jej się, że oboje płyną nad mrocznymi ulicami, jak lunatycy śniący ten sam sen.

„Lubię cię i tylko to się liczy”. Jakie to prawdziwe! Jakie proste i bezpretensjonalne. Co za odmiana po typowej w związkach ze starszymi mężczyznami walce o władzę.

Spojrzała na jego profil, na słodki łuk ust i ciemne rzęsy. Pod dłonią miała jego ciepłe i twarde ciało. Przypomniała sobie tors Bretta i płaski

brzuch znikający pod szafranową przepaską. O tak, to była odpowiedź: młodszy mężczyzna, niezeepsuty i chętny.

Przystanęła przed domem Jacka i powiedziała:

- Jesteśmy na miejscu.

- Naprawdę? - uśmiechnął się nieśmiało.

Freję przeszył dreszcz irytacji, że jest taki niezdecydowany. Sama pragnęła tylko zaciągnąć go do środka i żywcem pożreć.

- Jeśli masz ochotę na drinka, to zapraszam - zaproponowała. Spojrzał w jej oczy.

- Chętnie.

Z podniecenia najpierw nie umiała znaleźć klucza, później zaś próbowała włożyć go w dziurkę odwrotnie. Idąc podjazdem, dostrzegła z ulgą, że okna są ciemne - nie trzeba być geniuszem, by się domyślić, że Jack po zajęciach poszedł gdzieś z Candace. Nawet gdyby wrócił później i przyłapał ją migdalącą się w ciemności ze smarkaczem - na przykład na kanapie - to co z tego?

W końcu udało jej się otworzyć drzwi i weszła do środka. Zanim ktoś zdążyłby powiedzieć o niej „porywaczka niemowląt”, zapaliła stołową lampę - niezbyt jasną - wsunęła płytę Billie do kompaktu, kopnięciem zrzuciła buty, weszła do kuchni i już drżącymi rękoma wyjmowała lód z foremek. Muzyka, światła, akcja!

- Wspianiałe miejsce! - zawołał z salonu Brett.

Freya uniosła brwi. Jak zwykle w mieszkaniu Jacka panował bałagan, poza tym nigdy nie uważała Chelsea za najlepszą z dzielnic. Dla kogoś wszakże, kto mieszka z trzema innymi osobami, musiało tu być jak w pałacu.

- Należy do przyjaciela! - odkrzyknęła. - Szukam nowego mieszkania, więc przez kilka tygodni korzystam z jego gościnności... Dzisiaj nie ma go w domu - dodała po przerwie.

Kiedy weszła do salonu z drinkami, Brett siedział na kanapie. Przyłapała go, jak nerwowym ruchem przygładził włosy. Czy młodzi mężczyźni nie są cudowni? Podeszła do niego, bosa, kołysząc biodrami, z zaproszeniem w oczach.

- Proszę - pochyliła się, podając mu drinka. W tej samej chwili Brett niezgrabnie pociągnął ją ku sobie. Freya na wpół usiadła, na wpół padła na kanapę. Alkohol chlusnął jej na koszulkę.

- Ojej! Co ty wyprawiasz? - zachichotała, odstawiając szklanki. - Jestem przemoczona.

Strzepnęła dłonią wilgoć, dostrzegając przy tym, jak jej sutki prężą się pod mokrym materiałem.

Brett także to zobaczył i twarz mu spowaźniała. Nagle znalazł się na niej, całym ciężarem przyciskając Freyę do sofy. Jego ciepłe, nagłące usta poszukały jej ust. Poddawała się z westchnieniem, rozchyliła wargi i objęła go za szyję. Jego język szalał, chowając się i wysuwając. Kiedy Brett zaczął szarpać jej biały t-shirt, niemal się uśmiechnęła z tego pośpiechu. A dotyk jego palców na jej nagiej skórze sprawił, że Frei zabrakło tchu w piersiach. Wygięła plecy, gdy jego dłoń powędrowała w górę. Zapragnęła więcej, zapragnęła wszystkiego, od razu, głodna jego ciała. Już miała zedrzeć mu koszulkę, gdy nagle Brett się odsunął.

- Co to było? - zapytał.

- Nic! - Przyciągnęła go do siebie.

Lecz ona także to usłyszała: szcęk klucza w zamku, trzask zamykanych frontowych drzwi.

- Tu Jackie! - zawołał przeciągle okropnie znajomy głos.

Freya ledwo zdążyła się wyprostować i poprawić koszulkę, gdy drzwi salonu otworzyły się i wszedł Jack z dwoma pizzami na otwartej dłoni.

- Języki skowronka dla wielmożnej pani! - oznajmił. Zaraz jednak zobaczył Bretta i twarz mu się zmieniła. Dłoń z pizzami opadła niżej. Nastąpiła pełna napięcia cisza.

- Co ty tu robisz? - warknęła Freya.

Jack wykrzywił twarz w komicznym zdziwieniu.

- Ja... no... ja tu mieszkam. A nie?

Teraz podrapał się w głowę jak Flip. Bardzo śmieszne.

- To jest Brett - powiedziała lodowatym tonem.

- A ja jestem Jack. Współlokator Frei. Jestem gejem.

- Cześć, Jack. - Brett machnęła nerwowo dłonią. Teraz siedział na samym brzeжку sofy.

- Trochę tu ciemno. - Jack zapalił główne światło i rzucił kartony na stół. - Jesteście głodni?

- Nie! - odparła Freya.

- Nie będziecie mieć nic przeciwko temu, że sam coś zjem?

- Będziemy. Nie możesz zjeść w kuchni?

Brett poderwał się na równe nogi.

- Ja i tak już wychodzę.

Miała ochotę krzyknąć z rozpacz.

- Nie bądź niemądry, dopiero przyszedłeś.
- Noc jest jeszcze młoda - potwierdził Jack, wrzucając w usta kęs pizzy. Mimo że siedział, to on zdominował pokój. - Pokażę ci na wideo, jak łowią ryby.

- Nie, naprawdę - wyjąkał Brett. - Pracuję na pierwszej zmianie w Bagels i powinienem trochę się przespać.

Jack uniósł brew.

- Jesteś kucharzem, Brad?

- Brett! - Mało brakowało, a Freya tupnęłaby nogą.

- Nie, kelnerem, a właściwie aktorem. W każdym razie próbuję nim zostać.

- Aktor! - Jack z entuzjazmem powitał tę wiadomość. - Nie wychodź, naprawdę. Freya jest przypuszczalnie zbyt skromna, żeby ci o tym mówić, ale doskonale zna się na sztukach Szekspira.

- Zamknij się, Jack!

Co wprawiło go w taki wstrętny nastrój? Nie mogła wprost patrzeć, jak zmienia Bretta w kurczącego się ucznia.

- On żartuje. Nie zwracaj na niego uwagi. - Freya uśmiechnęła się do chłopaka, biorąc go za rękę. - Chodźmy, odprowadzę cię. - Zdecydowanym ruchem zamknęła za sobą drzwi salonu. - Jack to idiota - wyjaśniła, przekraczając próg domu. - Nie muszę dodawać, że nie jest gejem i nie ma żadnych wędkarskich wideo, tylko dziwaczne poczucie humoru. Na czym to skończyliśmy?

Oparła się o kamienną ścianę, w nadziei że być może rozpoczną w miejscu, w którym Jack im przerwał. Na próżno. Brett był urażony i zdenerwowany.

- Zadzwoń do ciebie - powiedział.

- Dzięki za cudowny wieczór - odrzekła i ucałowali się w policzki. Był to jednak pusty gest. Cały nastrój prysł.

Patrzyła, jak chłopak wychodzi na ulicę, a później wróciła biegiem do salonu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

- Jak śmiałeś? - wrzasnęła, ujmując się pod boki. Jack spojrzał na nią niewinnie.

- Co takiego zrobiłem?

- Doskonale wiesz, co zrobiłeś. Wypłoszyłeś go. Jak mogłeś?

- Przepraszam. Nie wiedziałem, że to taka ważna sprawa.

- Wcale nie mówiłam, że ważna. Po prostu go lubię i pragnęłabym znowu się z nim spotkać. Chciałam, żeby dzisiaj został dłużej.

- Och.

- Co przez to rozumiesz?
- Nic.
- Daj spokój, Jack, ty zawsze masz coś na myśli. Powiedziałeś „och”, jakbyś był zaskoczony.

Beztrzesko machnął dłonią.

- Po prostu uderzył mnie jego młody wiek. Jeśli mam powiedzieć prawdę, na początku myślałem, że może zgubił się w drodze ze szkoły i czeka, aż przyjedzie po niego mama.

- Wiedziałaś! - Freya z wściekłością uderzyła się w udo. - Spotykasz się z dziewczyną dziesięć lat od ciebie młodszą, która ledwo umie dodać dwa do dwóch, ale to w porządku, bo jesteś mężczyzną. Jeśli zaś robi tak kobieta, wszyscy mówią: jakie to niesmaczne, żenujące, co też on w niej widzi? - Freya dla równowagi złapała się oparcia krzesła. - Prawda jest taka, Jack: okropny z ciebie egoista. Sam robisz, co ci się żywnie podoba, ale nie umiesz znieść, żeby ktoś inny dobrze się bawił.

- Ha, jeśli naprawdę chcesz się pokazywać z jakimś...

- Na imię mu Brett. Nie Brad czy Brat, Skipper, Chippy, Junior ani żadne inne wesolutkie imię, które sobie wymyślasz, kiedy udajesz, że piszesz tę tak zwaną powieść. Brett. B-r-e-t-t. Lat dwadzieścia sześć, jeśli chcesz wiedzieć. - Prychnęła ze złością. - Przynajmniej nie pieprzę się z moimi studentami. Mogą cię za to wylać, wiesz przecież. Molestowanie seksualne, złe prowadzenie się... A przy okazji, gdzie jest ta twoja mała ślicznotka?

Słowa zamarły jej na ustach, gdy zobaczyła wyraz twarzy Jacka.

- To byłaś ty! - wykrzyknął oskarżycielsko.

- Co ja?

Jack z hałasem wstał z krzesła.

- Nie próbuj ze mną takich sztuczek. Kto inny użyłby zwrotu „złe prowadzenie się”? Chryste, Freya, z powodu tego listu miałem koszmary. Jak mogłaś to zrobić?

Rzucił w nią pudłem z pizzą; sos pomidorowy zachlapał jej koszulkę.

- Jak mogłam to zrobić? - Złapała pudło i rzuciła w niego. - A kto zorganizował mi randkę z tym zbrojcem Bernardem?

- Wiesz, na czym polega twój problem? - Jack wycelował w nią palec.
- Jesteś zazdrosna.

- Zazdrosna!

- Właśnie. Bo ja mogę mieć każdą kobietę, którą chcę, a ty żadnego faceta nie potrafisz zatrzymać.

- Ty nie masz kobiet, Jack, to one mają ciebie, o ile są na tyle głupie, by tego chcieć.

Twarz mu się ściągnęła. Oboje oddychali jak bokserzy na ringu.

- Nie powinnaś już się wyprowadzić? - zapytał Jack. - Powiedziałem: dwa tygodnie góra.

- Zadzwoń do Cat. Z przyjemnością się zgodzi.

- Zrób to. A na razie nie wchodźmy sobie w drogę. - Ruszył w stronę sypialni. - Kiedy będę musiał coś ci przekazać, napiszę notatkę.

- Przeczytam, jeśli będę naprawdę znudzona.

Jack odwrócił się, potrząsając z niesmakiem głową.

- Nie mogę uwierzyć, że kiedyś cię lubiłem.

- Byłeś wtedy zupełnie inny.

- Zmieniłem się. - Jack z trzaskiem zamknął za sobą drzwi.

Rozdział szesnasty

Pani da Fillipo, czy mogę już wyjść?

Cat uniosła głowę i spojrzała na swoją nową asystentkę, Becky, która stała w progu z torbą już zarzuconą na ramię.

- Dzisiaj są urodziny mojego chłopaka - wyjaśniła dziewczyna. - Będzie uroczyste przyjęcie i muszę się przebrać.

Cat zerknęła na zegarek, zdziwiła się, że już prawie szósta.

- Boże drogi, jak ten czas minął!

Becky patrzyła na nią z niepokojem. Cat zauważyła jej świeżo umyte włosy i rumieniec na młodych policzkach.

- Więc... czy mogę iść? - powtórzyła tamta.

- Naturalnie, że tak. - Cat uśmiechnęła się ciepło, próbując odegnać z myśli nieprzyjemny obraz siebie jako przerażającego starego smoka więżącego piękną księżniczkę. - Miłej zabawy.

- Dziękuję. - W głosie dziewczyny brzmiała ulga. Zanim wyszła, do dała jeszcze uprzejmie: - Pani też tego życzę.

Cat skinęła głową. Była pewna, że dla Becky nieprawdopodobieństwem jest, by taka nudziara jak jej szefowa - niezamężna kobieta dobiegająca czterdziestki, mieszkająca samotnie, poślubiona karierze - mogła mieć udany wieczór. Co jednak tylko dowodziło, jak człowiek może się mylić. Tak się akurat składało, że Cat umówiona była z bratem do kina i na pizzę - i cieszyła się z tego. Spojrzała na wiszące nisko parne chmury i postanowiła, że najpierw pójdzie do domu trochę się odświeżyć. Poza tym musiała nakarmić kota sąsiadki; sama zaproponowała, że zaopiekuje się zwierzakiem i weźmie go do siebie, by tamta mogła pojechać do córki na Florydę. Fred był tłustym wykastrowanym kocurem, który już wysiedział dziurę w jej najlepszym fotelu, ale umiał okazywać uczucia.

Dotrzymywał Cat towarzystwa.

Posortowała papiery i ułożyła w porządku pierwszeństwa: zakaz zbliżania się do żony dla męża awanturnika, sprawa o opiekę, która nagle przybrała nieprzyjemny obrót, dowody w sprawie o seksualne wykorzystanie dwuletniego dziecka. Jakkolwiek ratusz głośno przechwalał się zerową tolerancją i „nowym”, wyczyszczonym Nowym Jorkiem, w istocie wszystko pozostało po starym. Podjęte ostatnio środki wmiotły po prostu problemy pod dywan, co doprowadzało Cat do wściekłości. Wyłączyła komputer, spakowała aktówkę i sprawdziła, czy nie zapomniała czegoś na biurku. Jej wzrok na chwilę spoczął na bukietach kwiatów, które wczoraj przyniesiono z kwaciarni wraz z karteczką: „Z wyrazami głębokiej wdzięczności - i powodzenia z tym młodzieńcem! - Jessica Blumberg”. Cat odwróciła się i pomaszerowała ku windzie.

Naturalnie w ogóle nie wchodził w grę pomysł, by Michael Petersen kiedykolwiek mógł zostać jej „młodzieńcem”. Byłaby to niewybaczalna nielojalność. Michael Petersen zawiódł jej najlepszą przyjaciółkę - po prostu bez ostrzeżenia wyrzucił Freyę na ulicę. Cat z rozmachem nacisnęła guzik. Łajdak! Brutal! Nie potrafiła pojąć, co za idiotyczny impuls kazał jej wymyślić tę głupią historyjkę o zerwanych zaręczynach. Może kierowała się współczuciem dla niego, bo był przeziębiony. Już wcześniej wpadała w tę pułapkę: weźmy dla przykładu Kapryśnego Wayne'a albo Konającego Douga.

Drzwi otworzyły się z szumem, Cat wcisnęła się do zatłoczonej windy i wpatrzyła bezmyślnie w marynarkę stojącego przed nią mężczyzny. Uczciwie rzecz biorąc - a Cat dumna była ze swej uczciwości - Michael okazał się o wiele sympatyczniejszy, niż sobie wyobrażała. Nie oczekiwała po nim takiego poczucia humoru („podział opieki nad psem”!) i była zaskoczona, że tak bardzo troszczył się o matkę. Pochwalała to, mimo że ta akurat matka sprawiała wrażenie koszarnej. I okazał się całkiem przystojny. W jego miłych piwnych oczach malowały się ciepło i szczerść, a Cat zawsze lubiła u mężczyzn włosy takie jak jego: gęste, sprężyste i kręcone. Mówiąc prawdę, kiedy Blumberg kazał im się objąć, poczuła lekki pociąg do Michaela - cóż, prawdę mówiąc przeszył ją dreszcz. Co dowodziło, że nie można ufać własnym instynktom. Przecież właśnie na dobre zrezygnowała z mężczyzn. Wyobraźmy sobie, że jest zaręczona z kimś takim! Tak, wyobraźmy to sobie...

Drgnąwszy, gdy winda gwałtownie się zatrzymała, Cat energicznie przeszła przez hol. Wróć do rzeczywistości, Caterino! Poza wszystkim Michael nigdy by cię nie wybrał. Jeśli uważał, że nie jest dla niego dość dobra Freya ze swymi wspaniałymi nogami i nobliwym akcentem, to

raczej nie straci głowy dla pulchnej Włoszki ze Staten Island. Cat wygładziła na biodrach kanarkowo-żółtą sukienkę. Natychmiast wyrzucić pana Michaela Petersena z myśli! Na szczęście mało prawdopodobne, by jeszcze kiedyś go spotkała.

Pchnęła obrotowe drzwi prowadzące na ulicę i pierwszą osobą, jaką zobaczyła, był Michael. Stał trochę dalej na chodniku i z roztargnieniem wpatrywał się w niebo, jakby próbował coś zapamiętać. Serce Cat zabiło w rytm piosenki Freda Astaire'a; w sposób bardzo dla siebie nietypowy cofnęła się do budynku i ukryła za rozłożystą rośliną w doniczce. Gorączkowo złapała okulary przeciwsłoneczne i wsunęła je na nos, i ostrożnie wyjrzała. Nie miała halucynacji. To był on. Co tu robił?

Przyglądził sobie włosy; sprawiał wrażenie zdenerwowanego i smutnego. Czeka tu na kogoś - czeka na nią? Cat przez głowę zaczęły przemykać wyjaśnienia: nie zakończyli sprawy Blumbergów, chce przedyskutować z nią jakiś prawniczy problem albo pragnie, żeby Freya do niego wróciła, i potrzebuje jej pomocy. Brutal. Był tylko jeden sposób, by się dowiedzieć, o co mu chodzi.

Wyszła i stanowczym krokiem ruszyła wprost ku niemu.

- Na co tu czekasz?

Michael popatrzył na nią ze zdziwieniem, a potem lekko się uśmiechnął.

- Ja... czekam na ciebie.

- Dlaczego? - warknęła. Nie był przystojny, był olśniewający.

- Caterino... czy możemy pójść na kawę? - Wskazał kawiarnię po drugiej stronie ulicy, ale jego oczy utkwione były w twarzy Cat z hipnotyzującym napięciem.

- Dobrze. - Ze zdziwieniem usłyszała własną odpowiedź. Szybko spróbowała odzyskać panowanie nad sytuacją. - Ale nie tam. Kawa u nich ma smak kozich sików. Chodźmy za róg.

Ruszyli w denerwującym milczeniu. Jezu! Co ją skłoniło do powiedzenia na głos słowa „siki”? Już i tak wziął ją za krzykliwą i władczą feministkę - choć nie znaczy to, by jego opinia miała jakieś znaczenie.

Café Ole była zwykłą kawiarnią z białymi ścianami, jasnymi meblami, szumiącymi stalowymi ekspresami i sączącą się z głośników muzyką klasyczną. Michael uparł się, by Cat usiadła, sam zaś ustawił się w kolejce przy kontuarze. Krzesło było całkiem zwyczajne, czuła się jednak tak oszołomiona i wytrącona z równowagi, że miała wrażenie, jakby przycupnęła na skraju przepaści. Za chwilę nastąpi coś strasznego albo cudownego; nie potrafiła przewidzieć, która możliwość okaże się prawdziwa.

Dla osoby zawsze kierującej się rozumem i stojącej pewnie na ziemi dwiema nogami było to irytujące.

Do stolika podszedł Michael z filiżankami na tacy. Poruszał się zręcznie i ostrożnie. Miał ładne dłonie, z czystymi, równymi paznokciami. Kiedy usiadł naprzeciwko, jego fizyczna obecność stała się przygniatająca. Bolesnie wyostrome zmysły Cat zarejestrowały splot nitek w materiale koszuli, linię ucha, płytki rowek w kwadratowym podbródku.

- O czym chciałeś ze mną porozmawiać? - zapytała.

- No... - Michael wrzucił do kawy kostkę cukru i zamieszał chyba piętnaście razy. - Chciałem ci podziękować za wybawienie mnie z kłopotu w tej sprawie Blumbergów. - Spojrzał na nią, uśmiechając się z podziwem. - Byłaś fantastyczna.

- Byłam szalona! - zaprzeczyła Cat, nie mogła jednak poradzić nic na to, że zrobiło jej się przyjemnie. - Jessica Blumberg przysłała mi kwiaty.

- Ja dostałem butelkę wina.

Zadała sobie pytanie, czy też dostał kartkę z życzeniami powodzenia z jego „dziewczyną”, i poczerwieniała.

- Już mi podziękowałeś - stwierdziła rzeczowo.

- Chciałem też porozmawiać z tobą o Frei.

Freya. Naturalnie.

- A o czym tu rozmawiać? Jest w złym stanie, bo ją rzuciłeś. Takie są fakty. Jako jej najlepsza przyjaciółka mam wyrzuty sumienia, że siedzę tu z tobą i piję kawę.

- Nie „rzuciłem” Frei! - zaprotestował.

- A jak inaczej można nazwać sytuację, kiedy kobietę, z którą mieszkasz, zapraszasz na kolację do restauracji i tam, zamiast... - Cat umilkła. Nielojalnością byłoby, gdyby zdradziła, że przyjaciółka oczekiwała oświadczeń.

- Widzę, że rozegrałem to źle - skrzywił się smutno Michael.

- A teraz zmieniłeś zdanie.

- Ależ nie! - Na jego twarzy pojawiło się zdumienie. - W żadnym razie. - Gwałtownym ruchem szarpnął krawat.

- Jak chcesz, możesz go zdjąć - zaproponowała Cat.

Spojrzał na nią, jakby złożyła mu zbyt śmiałą propozycję, później jednak zdjął krawat i rozpiął górny guzik koszuli. Nagle wydał się o wiele młodszy.

- Chciałem porozmawiać z tobą o Frei z powodu tego, co wtedy mówiłaś. Byłaś bardzo zła, a ja... cóż, zależy mi na twojej opinii o mnie.

- Rozumiem. - Serce Cat przyśpieszyło. Nie potrafiła oderwać wzroku od Michaela.

Wolno, z wahaniem zaczął tłumaczyć, dlaczego w taki sposób zerwał z Freyą. Planowali, że razem pojedą do Anglii na ślub - Cat z pewnością o tym wie. Skinęła głową. Lecz gdy zbliżał się dzień wyjazdu, on czuł się coraz gorzej. Na dnie serca zdawał sobie sprawę, że ich związek nie ma przyszłości, i naprawdę był przekonany, że Freya także to rozumie. A chociaż ogromnie ją podziwiał i lubił, to jednocześnie wiedział, że po prostu nie są dla siebie stworzeni. To nie była niczyja wina, tak czasem się dzieje. Wyjazd z Freyą do Anglii w charakterze partnera wywołałby u jej najbliższych oczekiwania, których nie umiałby spełnić. Zamiast więc stawiać siebie i ją w fałszywym świetle, postanowił wziąć inicjatywę we własne ręce i szczerze przedyskutować sprawę z Freyą. Tylko że wszystko zepsuł; takie rozmowy nigdy dobrze mu nie wychodziły.

Kiedy Cat słuchała tej urywanej opowieści i wpatrywała się w jego twarz, ogarnęło ją przedziwne wrażenie. Ona zna tego człowieka. Tajemnicą jest, skąd i dlaczego, ale potrafi czytać w umyśle i sercu Michaela, jakby miała przed sobą mapę. Dostrzegała jego słabe punkty i dobroć, nadzieje i wątpliwości, zasady i tęsknoty. Pragnęła go dotknąć. Zamiast tego uśmiechnęła się i powtórzyła:

- Rozumiem.

Michael pochylił się nad stołem.

- Czy ona naprawdę jest w bardzo złym stanie?

- Kto? Ach, Freya. - Cat drgnęła z poczuciem winy.

Próbowała odbudować w sobie na nowo słuszne oburzenie, lecz w jej świadomości zaszła tak radykalna zmiana, że nie potrafiła. Freya była kobietą absolutnie niewłaściwą dla Michaela i odwrotnie, to fakt niezaprzeczalny. A poza tym czy nie zadzwoniła, opowiadając z przejęciem o jakimś smarkaczu na rowerze? W gruncie rzeczy Freya nie chodzi w żałobie, Cat byłaby nie w porządku, gdyby oszukała Michaela, który tak szczerze z nią rozmawiał.

- Da sobie radę - oświadczyła zdecydowanym tonem.

- To była moja wina - wyznał. - Kiedy po raz pierwszy ją zobaczyłem, wydała mi się piękna i zagubiona. I stąd chyba wzięło się to moje pragnienie, by zrobić wszystko, żeby była szczęśliwa.

- Jesteś romantyczny - zauważyła Cat i nagle sama poczuła się nieopisanie szczęśliwa.

- Naprawdę? Nikt wcześniej tak o mnie nie mówił. - Wydawał się ucieszony. - Właściwie myślę, że czasami ją nudziłem. Jest taka błyskotliwa

i spontaniczna. Wiesz, że kiedyś przegrała w pokera pięćdziesiąt dolarów?

- Nie! - Cat żartobliwie otworzyła szeroko oczy.

Michael roześmiał się z zakłopotaniem, dając tym do zrozumienia, że zdaje sobie sprawę z własnej sztywności.

- Sądzę, że wszyscy prawnicy są nieco nudni.

- Ach, wielkie dzięki!

- Oprócz ciebie, oczywiście. Ty nigdy nie potrafiłabyś być nudna.

Uśmiechnął się tak ciepło, że Cat całkiem pozbyła się rezerwy. Nie jest nielojalnością rozmowa z Michaeliem. Postanowiła, że powie o tym spotkaniu Frei - ale nic poza tym. Nic dobrego nie wyniknie z bardziej szczegółowego wyznania, które zupełnie niepotrzebnie mogłoby spowodować rozłam w ich wieloletniej przyjaźni.

Zaczęli rozmawiać o prawie: gdzie studiowali, jak bardzo lubią swoją pracę, o tym okropnym sędzi, który zawsze doprowadza ich klientki do łez. Pogawędka nabrała tempa, i zanim się spostrzegli, dyskutowali z zapalem o różnicach pomiędzy ogrodami botanicznymi w Staten Island i Minneapolis, o polityce władz miejskich Nowego Jorku, krewnych Cat z Kalabrii i właściwym wykorzystaniu oleju truflowego. Michael najwyraźniej nie miał problemu z doбором słów. Pochylony nad stołem, z błyszczącymi oczyma, elokwentny, zupełnie nie przypominał człowieka, którego poznała dwa dni temu.

- Co z twoim katarem? - zapytała Cat nieoczekiwanie.

- Minął! Poszedłem do tego sklepu, który mi poleciłaś, i dali mi jakieś niesamowite rzeczy.

- Naprawdę? Byłeś tam?

- Naturalnie.

Cat poczuła się dziwnie usatysfakcjonowana.

- Wiesz, to śmieszne, żeśmy się wcześniej nie spotkali - stwierdził Michael. - Ciągłe o tobie słyszałem: Cat to, Cat tamto.

- A ja ciągle słuchałam o tobie: Michael, Michael, Michael. Chociaż Freya zawsze była dość tajemnicza.

- Może sądziła, że między nami się nie ułoży - zasugerował.

Spojrzeli sobie w oczy. Żadne się nie odezwało, lecz oboje to wiedzieli. Między nimi wszystko doskonale się ułoży. Cat miała wrażenie, że mogłaby tak siedzieć z nim w nieskończoność.

- Mój Boże! - zawołała, spoglądając na zegarek. - Muszę już iść. Michael posmutniał.

- Tak wcześniej?

- Jestem umówiona.
- Och. - Wyglądał na kompletnie zdruzgotanego. - Jasne. Rozumiem. Nie, nie nie rozumie, ten głuptas.
- Spotykam się z moim małym braciszkiem - wyjaśniła. - No, ma już prawie trzydziestkę na karku, ale nie uwierzyłbyś, w jakie tarapaty potrafi się pakować.
- Brat - powtórzył Michael; wrócił mu dobry humor.
- Najmłodszy z piątki i rozpuszczony jak dziadowski bicz. Mam zamiar wygłosić mu dzisiaj kazanie. Gdzież to położyłam teczkę?
- Jest tutaj. - Michael schylił się po aktówkę. - Żałuję, że nie mam większej rodziny. To takie przyjemne. Ja jestem jedynakiem.

W świadomości Cat otworzyły się kolejne drzwi. Wyczuła, że Michael całe życie dobrze się zachowywał: kochający syn, świetne oceny, porządna praca, uczciwy obywatel. A przecież zdarzały mu się też inne, namiętne impulsy, które walczyły o prawo do istnienia. Świadczyło o tym chociażby uczucie do Frei, gwałtowne, choć kompletnie źle ułożone. Cat sądziła - prawdę mówiąc, miała taką nadzieję - że kolejnym przykładem ukrytej spontaniczności było to, że czekał na nią dzisiaj przed biurem. Jeśli jednak się myli? Nie zaproponował następnego spotkania, a ona musi już iść. Podniosła się z miejsca z ociąganiem.

- Muszę złapać metro.

Michael skoczył na równe nogi i uprzejmie zapytał, czy może odprowadzić ją na stację. Przepuścił Cat w drzwiach i nalegał, że weźmie jej teczkę. Jakież to niemodne! Bardzo jej się to jednak spodobało. Podobnie jak to, że zwracał się do niej pełnym imieniem. „Cat” była wojowniczą prawniczką, dobrą przyjaciółką i nowoczesną dziewczyną; „Caterina” brzmiało bardziej kobieco i tajemniczo. To drugie wcielenie dostrzegła w pełnej wyrazu twarzy Michaela, ilekroć na nią spoglądał, mimo że wciąż nic nie mówił. Machinalnie zaczęła nucić melodię, którą słyszała w kawiarni, duet z „Cyganerii”.

Michael stanął jak wryty i spojrzał na nią z namysłem.

- Lubisz operę?
- Jasne, że lubię. Jestem przecież Włoszką.
- Także... Wagnera?
- Przede wszystkim Wagnera.

Odetchnął głośno, jakby spadł mu wielki ciężar z ramion.

- To świetnie, bo tak się składa, że mam wolny bilet na „Pierścień Nibelunga”.

Rozdział siedemnasty

Jack,

zadzwoń mi dzisiaj do Cat, ale miała spotkanie i nie mogła rozmawiać. Obiecała, że oddzwoni. Proszę, wyjaśnij jej sytuację, jeśli zadzwoni pod moją nieobecność.

Wiadomości:

1. Ella prosi o telefon.

2. „Voila” twierdzi, że spóźniasz się z recenzją „Niemych bestii”.

3. Gazeciarz chce, żebyś zapłacił rachunek.

Po raz drugi w tym tygodniu wróciłam do domu i na stole w kuchni znalazłam talerzyk z roztopionym masłem. Proszę, nie zapominaj po śniadaniu odstawiać go do lodówki. (To ta wielka biała rzecz w kuchni). - F.

Freya,

a więc to jest lodówka. Nic dziwnego, że moje pranie nigdy nie jest czyste.

Ufam, że używasz wyrazu „dom” w znaczeniu tymczasowym.

Cat się nie odezwała. Licznik tyka... J.

Jack,

rozmawiałam w końcu z Cat. Nie może się doczekać, kiedy u niej zamieszka, ale jest drobny problem. Kot sąsiadki porzygał się na składane łóżko i musiała oddać materac do wyczyszczenia. Tak więc albo zostanę u Ciebie do środy, kiedy i tak się wyprowadzam, albo zamieszka w hotelu. Daj mi znać, które wyjście Ci odpowiada.

Znowu dzwoniła Ella. Chce ustalić termin spotkania. Proszę, zadzwoń do niej.

W sekretarce są wiadomości od tego świra Leona Brannigana. Co się dzieje?

A przy okazji, Michael nie pozwie mnie do sądu za te spodnie. Cat wpadła na niego w trakcie jakiejś sprawy i zapytała wprost. Więc się odpieprz. F

PS Czy ktoś dzwonił?

Freya,

czyli kot sam sobie rozłożył łóżko! Sprytna kicia - albo najmniej przekonywająca wymówka, jaką w życiu słyszałem.

Skoro tak ładnie pytasz, odpowiadam: następna środa to termin ostateczny. I możesz zapłacić rachunek za gazety.

Nie, nikt nie dzwonił. Aktorzy to zajęty ludek: chodzą na kursy jodłowania i warsztaty fryzjerskie.

Czy to Ty kupiłaś tę kompletnie niejadalną białą rzecz owiniętą w celofan? Znalazłem to w lodówce i położyłem na kanapkę. Nie pomogły nawet majonez i marynowany koper. Pewnie to jakiś angielski specjal-flaczki??? J.

Jack,

cha, cha. Mnóstwo kobiet mrozi sobie bieliznę w takie upały. Zostaw to w spokoju!

Dzwonił Twój ojciec - cóż za uroczy dżentelmen! Widzę, że geny istotnie przeskakują na co drugą generację. Chce, żebyś przyszedł do niego do hotelu na koktajl w niedzielę o 18.00 - zadzwoń do jego „zwykłego apartamentu” i potwierdź. Mnie też zaprosił, powiedział, że mój głos świadczy o tym, że jestem „uroczą młodą damą”. Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam. F.

PS Zobacz tego olbrzymiego karalucha (siedzi pod szklanką). Wiedziałam, że do tego dojdzie.

Freya,

nie podniecaj się zanadto, tata flirtowałby z pieczonym ziemniakiem, gdyby pod ręką nie było nic lepszego. Poza tym jesteś o wiele za stara dla niego. Ale dzięki za przekazanie zaproszenia, z którego oboje z Candace z przyjemnością skorzystamy.

Na sekretarce jest jakaś bełkotliwa wiadomość od Tash - chyba w sprawie druhen. Tak się śmiałem, próbując sobie wyobrazić Ciebie w różowej satynie, że większości nie zrozumiałem. Czy jest coś, o czym powinnaś mi powiedzieć?

Zabrałem karalucha z powrotem do sklepu JBJ. Sprzedawca potwierdził, że to syczący karaluch z Madagaskaru, niewystępujący na Manhattanie. Kupiła go wczoraj wysoka blondynka. Wyjaśniłem, że moja żona ma problemy z rozumem, i zdecydowaliśmy się na jamnika. Ale dowcip był dobry!

Och, o mało bym zapomniał. Dzwonił ten Twój młodzieniec.

B-R-E-T-T (aczkolwiek rozumiem, że końcowe „t” jest nieme). Zastanawiał się, co robisz w sobotę wieczorem. Powiedziałem, że chyba myjesz włosy, ale chętnie przekażę dobrą wiadomość.

A może to był Bernard?

W każdym razie imię zaczynało się na B. J.

Jack,

oto mój czynsz. Dzięki za kolejny cudowny tydzień. F.

PS Dzwonił Steven Spielberg - chce kupić prawa do „Wielkiego nieba”. Zostawił numer, ale nie miałam pod ręką kartki i zapisałam go na dłoni. A potem zaczęłam zmywać Twoje brudne naczynia... Ale jestem głupia!

PPS To był Brett.

Rozdział osiemnasty

Truskawki...? Albo maliny?

Freya nie wahała się długo, oba opakowania znalazły się na wierzchu rosnącego stosu w wózku. Westchnęła uszczęśliwiona. Był sobotni ranek. Za siedem godzin Brett przyjdzie po nią do mieszkania Jacka i spędzą razem wieczór - ich pierwsza prawdziwa randka. Jaba du! - jak mówią w Ameryce.

Obudziła się wcześniej, przepelniona oczekiwaniem. O jedenastej miała już za sobą wizytę w siłowni, śniadanie, zakup cudownej sukienki, którą wypatrzyła w oknie wystawowym butik. Kiedy wróciła, w mieszkaniu panowała cisza, a Jack najwyraźniej jeszcze spał. Wciąż tryskając energią, postanowiła wybrać się do supermarketu i uzupełnić zapasy jedzenia. W końcu nie można wykluczyć, że Brett będzie przy niej jutro, a także w następne dni (i noce). Taki zdrowy młody mężczyzna musi dobrze się odżywiać. Jack może dodawać resztki do swoich kanapek.

Pchając wózek, skręciła do działu z ciastami, zastanawiając się, czy Brett lubi rogaliki na śniadanie. A może woli drożdżówki? Albo naleśniki? Albo jajka? A może je te supermodne płatki zbożowe, które wyglądają jak żwir? Zdecydowała, że kupi wszystko i na dodatek kozi jogurt. Próbowała właśnie salami w dziale delikatesowym, gdy ktoś klepnął ją w ramię.

- Cześć, Candace - odezwała się zdziwiona. - Co u ciebie?

Dziewczyna wystawiła język.

Freya się skrzywiła.

- Ojej, co to jest?

- Kolczyk - odrzekła tamta zadowolona. - Niespodzianka dla Jacka.

- Tak... wyobrażam sobie, że się zdziwi.

- Przez cały tydzień nie pozwolił, abyśmy się spotykali z powodu relacji między nauczycielem i uczennicą. Więc pomyślałam sobie, czemu nie skorzystać z okazji? Wiesz, opuchlizna schodzi przez kilka dni.

- Czy to bardzo bolało? - Srebrny kolczyk wyglądał jak grudka tłuszczu na czerwonym języku Candace. Freya postanowiła zapomnieć o salami.

- Jack jest tego wart. Właściwie to przysłałam kupić mu kawę i bułki na śniadanie. Nigdy nie macie w domu nic do jedzenia.

- Już mamy. - Freya gestem wskazała wózek. - Bardzo się cieszę, że cię spotkałam, Candace. Kupię jeszcze ser i pomożesz mi zanieść wszystko do domu.

Mała przyjęła tę prośbę z zaskakującym entuzjazmem. Dobra z niej dziewczyna, uświadomiła sobie Freya, mimo że jej umysł nie całkiem sięga najwyższego piętra.

- A co u Jacka? - zapytała Candace, podczas gdy Freya sprawdzała dojrzałość *torta di San Gardenzio*. - Nie dzwoniłam do niego, bo przez ten kolczyk śmiesznie mówiłam.

Freya skrzywiła się ponownie.

- Nie rozmawiamy ze sobą.

- To źle. Myślałam, że jesteście dobrymi przyjaciółmi. Jack wszystko mi o tobie opowiedział: jak przyjechałaś do Nowego Jorku bez grosza przy duszy, jak skończyłaś akademię sztuk pięknych i podejmowałaś się tych wszystkich okropnych zajęć, a potem odkryłaś tego sławnego malarza. Wiem, że zawsze wynajmowaliście pokoje w tej samej kamienicy i razem chodziliście do kina.

- Dobry Boże, Candace, zamierzasz napisać moją biografię? - Freya nie wiedziała, czy na wynurzenia Jacka zareagować irytacją, czy uznać, że jej pochlebiają.

- Byłam zazdrosna - przyznała się dziewczyna. - Głupie, nie? Ale tak długo go męczyłam, aż wreszcie mi wyjaśnił, dlaczego nigdy nie mógłby myśleć o tobie w taki sposób.

- To samo ja - odparła sucho Freya.

- Powinniście się pogodzić. Wszyscy potrzebujemy przyjaciół.

- Zgadza się.

- Ja z nim pogadam. Przynajmniej powinien być ci wdzięczny, że zrobiłaś zakupy.

- No wiesz, to niezupełnie tak...

Jednakże Candace wypatrzyła stoisko z magazynami i już jej nie było. Odszukała Freyę przy kasie i dorzuciła dwadzieścia dolarów do rachunku.

Wracały do domu razem, trzymając przed sobą olbrzymie papierowe torby. Po spoconych nosach zjeżdżały im okulary przeciwsłoneczne.

- Mówią, że dzisiaj może być nawet plus czterdzieści stopni w słońcu - odezwała się Candace. - Mam wrażenie, że cała jestem wysmarowana kremem z filtrami.

- Jest wspaniale, prawda? - odparła Freya, śniąc na jawie o randce z Brettem. Nowa sukienka, krótka i obcisła, w kolorze akwamaryny, w którym było jej do twarzy, uszyta została z dziwnego elastycznego materiału, połyskującego jak rybie łuski. Freya rozważała, czy nie powinna kupić jakiegoś samoopalacza, by ożywić jasną z natury skórę. I jak go użyć, na całym ciele czy tylko na odsłoniętych fragmentach? A jeśli zrobi się pomarańczowa? Ukradkiem zerknęła na Candace w skąpej czerwonej sukience z ramiączkami zawiązanymi na kokardki i mimowolnie powiedziała: - Chyba powinnam cię uprzedzić: ojciec Jacka jest w mieście i jutro wieczorem zaprasza was na drinka do hotelu St. Regis.

- St. Regis! - pisnęła dziewczyna. - To ten cały marmurowy, z domkiem z brązu dla portiera?

- Ojciec Jacka ma tam specjalny apartament.

Freya patrzyła, jak do Candace dociera pełne znaczenie tych słów. Po chwili dziewczyna zapytała:

- Czy Madisonowie... czy to stara rodzina?

- Boże, nie! Powiedziałabym, że nuworysze z lat trzydziestych, ale obrzydliwie bogaci. Jesteś Amerykanką, wiesz, jak to się robi: Madison Street, Fundacja Madisonów, Miejskie Centrum Madisonów, Madisonowskie ogródki zabaw dla dzieci z marginesu, takie bzdury. Tylko że ojciec Jacka musiał już pewnie uszczuplić rodzinną fortunę tymi wszystkimi alimentami, bo regularnie się rozwodzi. Przy odrobinie szczęścia Jack nie odziedziczy ani grosza.

Candace milczała, chyba była zdenerwowana, biedactwo.

- Nie martw się - Freya spróbowała dodać jej otuchy. - Rozmawiałam z panem Madisonem przez telefon i wydał mi się uroczy.

- Myślę, że włożę czarną sukienkę.

- Doskonale. Jestem pewna, że cię polubi.

Dotarwszy do mieszkania, z westchnieniem ulgi postawiły zakupy na podłodze. Jack najwyraźniej jeszcze spał, drzwi jego sypialni dalej były zamknięte.

- Mówiłam mu, że będę w południe. - W głosie Candace pobrzmiwała nuta zawodu.

- Nie wątpię, że znajdziesz sposób, by go obudzić - pocieszyła ją Freya, mając na myśli koleczyk w języku.

Candace wszakże wpadła na inny pomysł. Poszła do salonu, skąd zaraz wróciła z płytą.

- Co o tym sądzisz? - zapytała. Freya uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Dobrze, na pewno poskutkuje.

Nie minęło pięć minut, a w progu pojawił się Jack w dzinsach i koszulce. Z przerażeniem stwierdził, że dom trzęsie się od muzyki rockowej, podłoga w kuchni zastawiona jest torbami z jedzeniem, a Candace i Freya czytają sobie na głos kobiecy magazyn.

- Co się dzieje? - jęknął.

- Cześć, Jack! - Candace obdarzyła go uśmiechem, a później ponownie zwróciła się do Frei: - Okay, następne pytanie: „Jesteś na randce w knajpie ze swoim partnerem. Wchodzi przystojniak i proponuje ci wyjazd do Paryża na namiętny weekend. Odpowiesz mu: (a) „spadaj”; (b) bierzesz paszport i jedziesz; (c) „wspaniale! A może wybierzemy się w trójkę?”.

- Zdecydowanie odpowiedź (c) - odrzekła Freya; była w doskonałym nastroju. - To jest quiz - wyjaśniła Jackowi. - „Czy jesteś seksowna”. Chyba wygrywam.

- Pustogłowe piękności wszystkich krajów, łączcie się! Nie macie do stracenia nic poza mózgiem - prychnął po męsku Jack. - Jak ktokolwiek może oczekiwać, że napiszę Wielką Amerykańską Powieść, skoro ciągle przeszkadza mi się takimi duperelami?

- Pisałeś? Myślałyśmy, że śpisz. - Candace złapała wzrok Frei i zachichotała, rozbawiona własnym zuchwalstwem. - Ale skoro już tu jesteś, możesz pomóc nam powkładać wszystkie te cudowne zakupy, które Freya dla ciebie zrobiła.

- Co?

Candace wstała, sięgnęła do pierwszej z brzegu torby - trafiła na paczkę ryżu - i rzuciła Jackowi.

- Jedzenie - wyjaśniła. - Dla ciebie. Musisz tylko je powkładać, gdzie trzeba.

- Ale ja nie mam pojęcia, gdzie...

- Tutaj - przerwała mu Freya, która zajęła pozycję przy szafce w drugim kącie kuchni. - No dalej, zabieraj się do roboty.

- A ja zajmę się mrożonkami - zaproponowała Candace. Otworzyła

drzwiczki lodówki i z dłonią na biodrze uśmiechnęła się wyczekująco do Jacka.

- To śmieszne - warknął, trzymając ryż z taką delikatnością, jakby to był noworodek.

W tym momencie z wieży popłynęła muzyka z „Gorączki sobotniej nocy” i nagle ogarnęło ich szaleństwo. Zaczęła Candace, kołysząc biodrami i wabiąc Jacka niczym syrena. Zarazona rytmem, Freya poszła w jej ślady. W quizie zdobyła czterdzieści sześć punktów na pięćdziesiąt, dzięki czemu znalazła się w kategorii „rozgrzanych do czerwoności”. Myśląc o Bretcie, wieczorze i tym, jak będzie wyglądać w akwamarynowej sukience, roześmiała się w twarz oburzonemu przedstawicielowi brzydkiej płci i wprawiła swe długie ciało w falujący ruch.

Zupełnie nieoczekiwanie Jack skapitulował, przywołując na twarz wyraz, który mówił: niech Bóg mi wybaczy. Błyskawicznie rzucił ryżem w stronę Frei, schylił się nad zakupami, skąd wyciągnął banan i ogórek i tak uzbrojony zaczął dźgać nimi powietrze wzorem Johna Travolty. Candace krzyknęła z radości. Zachęcony tym Jack okręcił się na pięcie. Po tym wyczynie nic już nie mogło go powstrzymać. Wykonał taniec z truskawką, a później rozgryzł ją na pół, potrząsał opakowaniami z makaronem jak marakasami, stukał puszkami, zonglował grejpfrutami, kręcił na jednym palcu mrożone pizze, tańczył tango z naleśnikami w proszku. Candace śmiała się tak bardzo, że upuściła jajka. Jack uderzył się gołą stopą w nogę stołu. Freya, uśmiechnięta od ucha do ucha, przerwała układanie produktów na półkach. Prawie zapomniała, że Jack potrafi być taki. I że ma świetny tyłek.

Kiedy muzyka umilkła, wszyscy troje bez tchu padli na stół, śmiejąc się do łez. Dwa jajka się rozbiły, kilka pomidorów pogniotło, chleb, którym Jack jak kółkiem rzucił przez kuchnię, rozpadł się na kawałki, mimo to byli w doskonałych nastrojach. Candace zaparzyła kawę, Jack zrobił sok ze świeżych pomarańczy, Freya poświęciła przeznaczone dla Bretta drożdżówki. Zjedli śniadanie, prowadząc przyjacielską rozmowę o niczym w szczególności.

- Więc co robimy wieczorem? - zapytała Candace.

- Co tylko chcesz - odrzekł Jack. - Pójdziemy do kina, potem coś przekąsimy. Czemu pytasz, masz na myśli coś specjalnego?

- Tak, mam. - Candace wyprostowała się na krześle, dumna jak paw.

- Moim zdaniem byłoby świetnie, gdybyśmy zaprosili też Freyę.

- Co? - zapytali jednym głosem tamci dwoje.

- Popatrzcie tylko, jacy mili jesteście dla siebie, jeśli tylko trochę się postaracie. Wspólne wyjścia dobrze wpływają na związki, to ogólnie znany fakt.

- Dziękuję, ale mam już plany na wieczór - odrzekła Freya zimno.

- A co robisz?

Freya zazgrzytała zębami.

- Wychodzę, Candace. Z mężczyzną.

- O tak, to prawda! - potwierdził Jack z serdeczną dobroduszością, której Freya nauczyła się nie dowierzać. - Freya ma nowego chłopaka - poinformował Candace scenicznym szeptem.

Freya poczuła, że zaczyna się rumienić, i aby ukryć zakłopotanie, rzuciła szybko:

- Prawdę mówiąc, wybieramy się pociągami na Coney Island. To okropnie nudne. Nie w twoim stylu, Candace.

- Ale ja uwielbiam Coney Island! - zaprotestował Jack. - Nie byłem tam od... chyba ostatni raz byłem tam z tobą, Freya. Czy to wtedy Larry stracił hot doga na diabelskim młynie?

- Zawsze chciałam pojechać na Coney Island - oznajmiła Candace, klaszcząc w pulchne rączki. - Zapowiada się wspaniała zabawa.

- Nie - odrzekła Freya. Miała wrażenie, że znalazła się w pułapce.

- Podwójna randka! - entuzjasmował się Jack. - Bardzo retro. Bardzo w typie Travolty. Cholera, gdzie podziałem mój biały garnitur?

- Nie - powtórzyła.

- Uważam, że to może być naprawdę wiążące doświadczenie.

- Powiedziałam: nie! I to moje ostatnie słowo.

Rozdział dziewiętnasty

To był mańkut, wysoki i zręczny jak akrobata. Uderzył piłkę tak mocno, że poleciała nad światłami w prawym polu. Szkoda, żeś tego nie widział, Brett.

- Gra musiała być świetna. Leworęczni mają w sobie coś, co daje im przewagę. Pamiętasz, jak Tygrysy z Detroit...

Szli obok siebie chodnikiem, z puszkami piwa w dłoniach, z rękawami koszuli łopoczącymi w podmuchach wiatru, obojętni na ostatnie okruchy fioletowego światła na niebie i coraz jaśniejsze gwiazdy, ślepi na rozrywki wesołego miasteczka i kompletnie nie przejmowali się podążającymi ich śladem kobietami - jak małżeństwa z przedmieścia, pomyślała ze złością Freya. Przykazała Jackowi, żeby był miły dla Bretta, a nie żeby zamienił wieczór w sympozjum poświęcone cholernemu baseballowi.

- Skórki są bardzo ważne - świergotała Candace. - Moja manikiurzystka przysięga, że...

- Jak możecie nazywać to mistrzostwami świata, skoro żaden inny naród nie gra w baseball? - zawołała Freya w plecy obu mężczyzn.

Na dźwięk jej głosu Brett i Jack odwrócili się uprzejmię, kończąc swoje wypowiedzi, i obdarzyli ją takimi samymi roztargnionymi uśmiechami.

- Tak?...

- O co chodzi, Freya?

Opanowała swój gniew.

- Zastanawiałam się tylko, robimy coś czy nie?

Mężczyźni wymienili króciutkie porozumiewawcze spojrzenia. Brett podszedł do Frei i ujął jej dłoń.

- Jasne, że robimy. A co byś chciała?
- Sama nie wiem - mruknęła, kołysząc jego ręką.

Chciała, by jej powiedział, że pięknie wygląda. Chciała przytulić usta do tego chłopięcego wgłębienia na jego karku, gdzie miękkie czarne włosy stykały się z opaloną skórą. Chciała śmiać się i zachowywać nierozsądnie. Chciała się zakochać. Albo coś w tym rodzaju.

Tak więc poszli na strzelnicę. Candace pozwoliła, by Jack pokazał jej, jak celować, i tak kręciła się i chichotała w jego ramionach, że nie trafiła ani razu. Tymczasem Freya wzięła strzelbę dla siebie i zestrzeliła trzy fanty trzema strzałami.

- Dziesięć trafień z rzędu i będzie nagroda. Dalej, Brett, twoja kolej.

Zachęcony sukcesem Frei zdobył następne trzy punkty, a później przekazał strzelbę Jackowi, który zdobył jeszcze trzy. W sumie mieli dziewięć, brakowało jeszcze tylko jednego.

- No, Brett, strzelaj ostatni - zaproponował Jack dwornie. - Ja się zgadzam.

- Nie, naprawdę...
- A co ze mną? - wtrąciła Freya.
- To robota dla Bretta - upierał się Jack.

Biedny wyróżniony, w którego wpatrzyły się trzy pary oczu, chybił.

- Niedobrze! - Jack serdecznie walnął go w ramię.

Freya splotła swoje palce z palcami chłopaka.

- Nie przejmuj się. Co będziemy teraz robić?

Brett rozejrzał się nieprzytomnie.

- Co chcesz.
- Wiesz, nie musimy iść z nimi.
- Nie ma sprawy. Są naprawdę mili.
- Tak? No to dobrze. Ale dość gadania o sporcie.
- Tak jest, szefie.

Całą czwórka ruszyli więc na spacer po wesołym miasteczku, wypełnionym głównie Murzynami: udręczonymi tatusiami w bezustannej pogoni za uciekającymi trzylatkami, potężnymi kobietami w szortach, dziećmi przyklejonymi do waty cukrowej, nastoletnimi dziewczynami praktycznie rozebranymi do naga, towarzyszącymi im chłopcami w strojach swych o wiele roślejszych braci. Kolorowe światła błyskały, karuzele kręciły się i kołysały, muzyka dudniła. Z głośników płynęły obietnice nagród i fantów, zapowiadane nosowym brooklińskim akcentem. W wilgotnym powietrzu unosiła się sól i osiadała na skórze. Freya zaproponowała Brettowi wypad na Coney Island, ponieważ było tam tanio

i inaczej, a także ponieważ sama tam właśnie szukała rozrywki, gdy miała dwadzieścia sześć lat. Jednakże dni chwały tego miejsca jako „największego wesołego miasteczka świata” dla mieszkańców Nowego Jorku należały już do przeszłości; w dzień był to śmietnik z nieczynnymi urządzeniami i budkami z hot dogami, który z jednej strony graniczył z ponurymi blokami, a z drugiej z wąskim pasem brzydkiej plaży, zapakowanej do granic możliwości błyszczącymi od olejku ciałami i plażowymi parasolami. Za to nocą, gdy ciemność okryła odłóżką farbę i brud, połączenie jaskrawych świateł i wolnego rytmicznego szumu oceanu stwarzało pewien rodzaj magii. Freya pokazała Brettowi swoje ulubione miejsce: starą drewnianą kolejkę górską w kształcie morskiego węża, sławne stoisisko, gdzie niemal od stulecia sprzedawano frankfurterki i bajecznie tłuste chipsy oraz światła Rockaway Point na drugim brzegu zatoki, skąd czarny ocean toczył fale ku Europie.

- W głowie mi się nie mieści, że nie byłeś w Europie - odezwała się Freya, gdy oboje stali oparci łokciami o barierkę i wpatrywali się w morze. - Teatr jest tam po prostu cudowny. Spodobałby ci się na pewno.

- Moja ciotka pojechała w zeszłym roku. Mówiła, że codziennie padał deszcz.

- Wiesz, mamy dachy. I parasolki. Pojechałbyś, gdybyś... hmm... wygrał bilet?

- Jasne, o ile pozwoli mi praca.

- Co? Zrezygnowałbyś z darmowego wyjazdu do Anglii tylko po to, żeby harować w tej knajpie?

Brett zmarszczył czoło.

- Miałem na myśli aktorstwo.

- Och. No tak, naturalnie. - Zarumieniła się z powodu swojego *faux pas*. - Ale „Ziarna prawdy” schodzą z afisza w środę, prawda?

- Dzięki, że mi przypomniałaś.

Mimo entuzjastycznej reakcji widowni na premierze recenzje były takie sobie. Rozeszły się pogłoski o wyjeździe do Bostonu, lecz nic nie zostało ustalone.

- Jestem pewna, że wkrótce dostaniesz nową rolę - pocieszyła Brett Freya.

„Ale nie za szybko” - dodała w myślach. Drugi bilet lotniczy, początkowo kupiony dla Michaela, wciąż spoczywał w jej portfelu. Oczywiście wyobraźni zobaczyła siebie na ślubie Tash z Brettem u boku, atrakcyjnym i niewątpliwie godnym pożądanym, o lepszym partnerze nie mogła nawet marzyć. „Ma dwadzieścia sześć lat” - odpowiadałaby na ewentualne

pytania. Nie byłoby potrzeby tłumaczenia się ze stanu wolnego, bo jego walory same rzucałyby się w oczy. Freya zerknęła na rzeźbiony profil Brett. Był przystojny, zabawny, seksowny - i lubił ją. Z radością skorzysta z okazji.

Od tej chwili stała się duszą towarzystwa, szczególną uwagą darząc swego towarzysza. Powlokła ich do gabinetu krzywych luster i namówiła groteskowo niskiego, tłustego Brett, by zadeklamował jedną ze swych ról. Potem jeździli elektrycznymi samochodzikami, wirującymi po gumowej nawierzchni w rytm techno. Freya pozwoliła, by prowadził Brett, i przytulona do jego ramienia namawiała do zderzeń z autkiem Jacka i Candace. Gdzieś po drodze Jack wygrał złotą rybkę, którą oddał małej dziewczynce, szlochającej z żalu za upuszczonym lodem. Brett zdobył czapkę baseballową i uparł się, że włoży ją daszkiem do tyłu, chociaż Freya uznała, że wyglądał głupio ze sterzczącymi nad czołem kosmykiem włosów. W końcu zawędrowali ku krzyżującym się cieniom pod potężnymi słupami podtrzymującymi kolejkę górską. Ponad głowami słyszeli pędzące z grzechotem pod górę wagoniki i przeraźliwe krzyki, gdy kolejka zjeżdżała w dół.

- Cyklon! - Jack z uciechą zatarł dłonie. - Trzymajcie się za brzuchy.

- Czy to bezpieczne? - zapytał Brett z wyraźnym powątpiewaniem.

- Jasne, że tak - odrzekła Freya. - Jeździłam tym setki razy. Proszę cztery bilety - zwróciła się do biletera.

W tym jednak momencie Candy tupnęła swymi małymi, obutymi w sandałki stopami z paznokciami pomalowanymi na kolor jaskrawej czerwieni. Nic nie zdoła jej przekonać, by wsiadła do tej maszyny śmierci.

- Ja w każdym razie jadę - oznajmił Jack.

- My też - zdecydowanym tonem dodała Freya, spoglądając na Brett.

Pochylił głowę.

- W porządku, wy idźcie. Ja zostanę i dotrzymam towarzystwa Candace.

- Nic jej nie będzie. - Freya machnęła dłonią, jakby odganiała muchę.

- Dziękuję, Brett - uśmiechnęła się dziewczyna olśniewająco. - To bardzo uprzejme z twojej strony.

Zanim Freya zdążyła zaprotestować, Jack kupił dwa bilety i poprowadził ją ku czekającym wagonikom. Freya nie kryła irytacji. Nie tak to sobie planowała. Zajęła miejsce obok Jacka i obejrzała się na Candace i Brett, pogrążonych w ożywionej rozmowie.

Jack podążył za jej wzrokiem.

- Jak Candace może w ogóle myśleć o innym mężczyźnie, skoro ma mnie? - rzucił kpiącym tonem.

Freya wzruszyła ramionami.

- Choć muszę przyznać, że z Bretta istotnie łakomy kąsek.

- Cóż za wstrząsające określenie. Brett jest miłym, inteligentnym, czarującym młodym człowiekiem, a nie modnym dodatkiem.

- Skoro tak twierdzisz. Ale wyżyny jakoś go nie pociągają.

- Zachował się jak dżentelmen, ty tego nie zrozumiesz.

W milczeniu zapięli pasy, czekając, aż kolejka się zapełni. Powietrze było ciepłe i wilgotne, niemal namacalne, jakby skórę otulał aksamit. Przy każdym ruchu Frei sukienka błyszczała srebrem. To śmieszne, że nikt dotąd jej nie skomplementował. Była za krótka, zbyt obcisła, zbyt młodzieżowa? Mimowolnie naciągnęła dół, próbując mocniej zakryć uda.

- Wiesz, po raz pierwszy byłem na Coney Island z tobą - odezwał się Jack.

- Tak? Nie pamiętam.

- Przyjechaliśmy tu z Larrym, tą Hiszpanką z dołu, która doprowadzała nas do szaleństwa grą na gitarze, i jakimś stukniętym wegetarianinem z przepaską na głowie.

- Ash. - Freya uśmiechnęła się do wspomnień. - Ashley Franks, rzeźbiarz i maniak na punkcie roślin strączkowych. Uważał, że problemy geopolityczne świata zostałyby rozwiązane, gdybyśmy tylko jedli więcej fasoli. A ja uważałam, że on jest cudowny. Szybko mi to przeszło.

- Byliście wszyscy tacy egzotyczni. Czulem się jak Guliwer.

Freya z namysłem skinęła głową, wpatrzona w swoje kolana.

- Miałaś wtedy długie włosy. Kiedy jeździliśmy na Cyklonie, wiatr zwiewał mi je na twarz i nie wiedziałem, czy jesteśmy na dole, czy na górze.

- Dzisiaj nie ma takiego niebezpieczeństwa. - Freya przesunęła dłonią po swej chłopięcej fryzurze. - A przy okazji, zadzwoniłeś do Elli?

- Spotykamy się w poniedziałek. Nie zrzędź.

Kolejka ruszyła chybotliwie do pierwszego wzniesienia, niosąc ich ku zupełnie ciemnemu teraz niebu z księżycem srebrzyście odbijającym się w oceanie. Na szczycie przez kilka sekund kołysała się niebezpiecznie.

- Zaraz zginiemy - stwierdził rzeczowo Jack.

Freya poczuła, jak mięśnie napinają jej się ze strachu i podniecenia. Wzięła głęboki oddech, gdy wagonik zjechał niemal pionowo.

- Eeeee! - wrzasnęła.

- Aaaaaach! - zawtórował jej Jack.

Z zamkniętymi kurczowo oczyma złapała się poręczy i poddała gwałtownemu pędowi pojazdu. W uszach jej dudniło, wiatr wpadał w otwarte usta. Jechali w dół, w górę, w kółko, a później znowu przyszła kolej na ten podniecający skok w niebo. W każdej chwili mogli spaść z torów w przepaść, ale nie dbała o to. Miała wrażenie, że mogłaby polecieć prosto ku gwiazdom.

W końcu wagoniki zwolniły i wolno wróciły na miejsce startu. Freya odetchnęła niepewnie i otworzyła oczy.

- Wymyśliłem scenę do powieści. - Połaskotał ją w ucho oddech Jacka. - Oświadczyły na Cyklonie. Wspaniale, nie?

- Hmm. Coś w rodzaju połączenia „Nieznanym z pociągu” i „Północy, północnego zachodu”?

- Właśnie. Widzisz, jak cię wyedukowałem? Kiedy się poznaliśmy, znałaś tylko jeden film Hitchcocka: „Psychozę”.

- Tylko że na Cyklonie jest strasznie głośno. Ona nie usłyszy jego pytania, a w takim razie nie udzieli też odpowiedzi.

- To będzie częścią intrygi: komplikacje psychologiczne.

Freya odwróciła się ku Jackowi. Włosy stanęły mu do góry, jakby podłączono go do prądu.

- Wiesz, na czym polega twój problem, prawda?

- Jestem zbyt doskonały? Zbyt błyskotliwy?

- Jesteś fantastą.

- Jestem pisarzem.

„Pisarze piszą” - cisnęło się jej na usta. Była jednak w doskonałym nastroju i nie chciała psuć go kłótnią.

- A ja umieram z głodu - oznajmiła, wysiadając z wagonika.

- Ja też. Może pójdziemy do Brighton Beach na wódkę i owoce morza?

Freya jęknęła głośno, usiłując zwalczyć pokusę.

- Bretta na to nie stać, a ja nie chcę wprawiać go w zakłopotanie i płacić za niego. Będziemy musieli zadowolić się hot dogiem albo jakimiś małżami.

- Kiedy ostatnio zjadłem małże na ulicy, spędziłem następny dzień, trzymając w objęciach klozet. Może w takim razie ja funduję?

- Doskonale! - odrzekła, z wdzięcznością przyjmując tę szczodłą propozycję.

- Potem mi oddasz.

Kiedy zeszli na dół, po Candace i Bretcie nie było śladu.

- Może uciekli - zasugerował Jack.

- Tam są. - Freya wskazała chodnik. Grupka czarnych nastolatków tańczyła do płynącej nie wiadomo skąd muzyki, która dudniła urywanym rytmem. Dwie białe twarze podskakujące w ciasnym kręgu od razu rzuciły się w oczy.

- Gdzie? - Jack wytrzeszczył oczy, szukając w kieszeni okularów.

- No dalej, chodźmy - ponagliła go Freya.

Kiedy wszakże znalazła się przy nich, zabrakło jej odwagi. Poczula się jak intruz, widząc powagę i skupienie tancerzy. Patrzyła na Brett, który z rękoma wyciągniętymi w górę okręcał się wokół własnej osi, na Candace kołyszącą biodrami. Kiedy muzyka umilkła, chłopak przecisnął się przez tłum. Oczy mu błyszczały, biło od niego ciepło.

- To było świetne - odezwał się zadyszany.

- Czas na kolację! - ogłosił Jack, przejmując dowodzenie. - Ja stawię.

I ruszył chodnikiem, swobodnie obejmując Candace gestem posiadacza, który Freya nieskończenie wiele razy widziała w amerykańskich filmach. Po raz pierwszy od lat zapragnęła być słodka i przymilna jak kotek, tak by Brett także zarzucił jej rękę na plecy, jakby do niego należała, zamiast objąć się o nią z dłońmi w kieszeniach i rozprawiać o klubach, o których w życiu nie słyszała.

Światła i hałaśliwa muzyka oddalały się, aż wreszcie widzieli z tyłu na tle czarnego nieba jedynie różową poświatę diabelskiego młyna - maleńkie krzeselka błyszczały niczym kamiki bransolety. Nagle wszyscy wokół byli biali i mówili po rosyjsku: starsze małżeństwa wyprowadzające psy na spacer, młode dziewczęta plotkujące w grupkach, kobiety w średnim wieku w obcisłych bluzeczkach i minispódniczkach, z czarnymi odrostami w tlenionych włosach, wyczekujące uciech sobotniej nocy.

- To niewiarygodne! - wykrzyknął Brett.

Freya uśmiechnęła się do niego.

- Rosyjscy emigranci zaczęli się tu osiedlać w latach pięćdziesiątych. Nazywają to miejsce Małą Odessą. Byłam pewna, że ci się tutaj spodoba.

Doszli już do rzędu zatłoczonych restauracji ze stolikami ustawionymi na zewnątrz, tuż koło plaży. Śliczne kelnerki w krótkich fartuszkach wybiegały z tacami z zaparowanych kuchni, śledzone baczным wzrokiem przez szefów, którym ciemne okulary i miękkie białe buty nadawały

ponury wygląd. Nad piaskiem płynęły skoczne melodie grane przez jakiś zespół. Atmosfera była tu europejska: żadnych hamburgerów ani byle jakiej muzyki z taśmy, żadnych urzędników z Manhattanu i gwiazd wygłodzonych do perfekcji - jedynie gwar rozmów prowadzonych przez zwykłych ludzi, którzy dobrze się bawią. Freya zawsze wyobrażała sobie, że tak musi być latem nad Morzem Czarnym.

Udało jej się wypatrzeć wolny stolik. Kiedy usiedli, Jack zajął się zamówieniem: naturalnie wódka, kawior, sałatka ziemniaczana, wędzony węgorz...

- I śledzie - przypomniała mu Freya. - Te tłuste, marynowane.

- Doskonały pomysł.

- I barszcz z kwaśną śmietaną.

- Dobra, dobra. Kto w końcu zamawia?

Freya zostawiła go i w towarzystwie Candace poszła do toalety.

- Uwielbiam Bretta - wyznała z sąsiedniego boksu dziewczyna. - Nie-samowity z niego kumpel.

- To dobrze. - Freya wykrzywiła twarz w grymasie. Dotąd nie miała okazji widzieć Bretta tak rozbrykanego. Jakoś nie pojął, że to miała być poważna randka, a nie wesołe towarzyskie wyjście.

Myjąc ręce, krytycznie przyjrzała się własnemu odbiciu.

- Powiedz mi, Candace, co myślisz o tej sukience? Ale szczerze. Wyglądam głupio?

Candace oderwała wzrok od własnej postaci i uważnie przyjrzała się Freii.

- Może być - uznała łaskawie po głębokim namyśle. - Jesteś bardzo dobrze zakonserwowana.

Kiedy wróciły do stolika, Jack opowiadał Brettowi stary kawał o Polaku i karcie do badania wzroku.

- ...i wtedy Polak zapytał optyka: „Mogę to przeczytać? On jest moim kuzynem!”.

- To nie tak - zaprotestowała Freya, siadając naprzeciw Jacka. - On powiedział: „To mój wujek”.

- A co to za różnica?

- Chodzi mi tylko o to, jak powinien brzmieć ten żart.

- To bez znaczenia, o ile jest śmieszny. A Brett się śmiał. Prawda, Brett?

- Jasne. Bardzo dobry dowcip, Jack. Jack zadarł podbródek:

- *Quod erat demonstrandum.*

- Ach. - Candace westchnęła głośno. - „Qued”. Zawsze chciałam popłynąć transatlantykiem.

- Ja też - zgodził się Brett.

Freya spojrzała na Jacka. Nie mogła nic na to poradzić: oparła głowę na rękach i wybuchnęła śmiechem.

- Co tak cię rozśmieszyło?

Ale ona słyszała tylko głęboki i zaraźliwy rechot Jacka; śmiała się tak, że z oczu popłynęły jej łzy.

W końcu Brett - miły słodki chłopiec - powiedział:

- Domyślam się, że to jakiś prywatny żart. Należy wam wódki.

Na stole pojawiły się talerze z zamówionymi potrawami. Freya objaśniała każdą Brettowi i wsuwała mu kęsy do ust. Rozmowa dotyczyła najróżniejszych tematów: przekuwania różnych części ciała, czynszów, horrorów związanych z otwartymi przesłuchaniami, sztucznie tworzonych list bestsellerów.

Brett był pod wrażeniem, gdy się dowiedział, że Jack wydał książkę.

- Pod jakim nazwiskiem piszesz? - zapytał.

- Pod własnym, naturalnie - wtrąciła pośpiesznie Freya. Wiedziała, że dla Jacka to był numer jeden na liście bezdennie głupich pytań, jakie można zadać autorowi.

- Jasne - skinął głową Brett. - Poszukam jej w bibliotece.

A to był numer dwa.

Freya skierowała więc rozmowę na Rosję i Rosjan, aczkolwiek doprowadziło to do kolejnego trudnego momentu, bo Jack i Brett skrzyżowali szpady w kwestii drugiej wojny światowej.

- Ale Rosjanie byli naszymi wrogami - upierał się młodzieniec.

- Nie byli - łagodnie zaprotestował Jack. - Pomyśl o Jalcie.

Brett sprawiał wrażenie zagubionego.

- We wszystkich filmach, które widziałem, Rosjanie są czarnymi charakterami.

- Masz rację, Brett. - Freya kopnęła Jacka pod stołem. - W czasie zimnej wojny i tak dalej.

Jack otworzył usta, Freya jednak rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie. Brett może nie jest Einsteinem, ale nie chciała, by Jack go zmiażdżył. Nie wybrała chłopaka z powodu jego walorów intelektualnych. Na szczęście w tej samej chwili Candace zaczęła opowiadać o telewizyjnym filmie, w którym występowała niezwykle zła postać mówiąca z rosyjskim akcentem. Brett także go widział i wdali się w ożywioną dyskusję. Freya nie miała pojęcia, o czym rozmawiają, poddała się więc i zwróciła do Jacka,

gawędząc z nim dość przyjaźnie. Przyszła jej do głowy niespokojna myśl, że nieznamy obserwujący stolik mógłby podzielić ich na pary niezgodnie z rzeczywistością.

Tymczasem hałas wyraźnie się wzmacniał. Około północy rozpoczęły się śpiewy - wesole, rytmiczne piosenki z refrenami i klaskaniem w dłonie. A później wszyscy poderwali się do tańca pośród błyskających świateł i dziewczęta w nylonowych dyskotekowych sukienkach wciągały każdego z gości do wijącego się węża, który podskakiwał, kołysał się i śpiewał. Freya objęła Brettta w pasie. Koszulę miał luźną, pod palcami czuła jego gładką, ciepłą skórę. Zamknęła oczy i przycisnęła policzek do pleców chłopaka. W głowie jej się kręciło. Czas wracać do domu.

Pociąg jadący do miasta nie bez kozery nosił nazwę Ekspresu Transsyberyjskiego. Widok za oknem był monotony, a pasażerowie weseli jak transport więźniów - z wyjątkiem Candace, wciąż szalejącej na pełnych obrotach. Okręcała się wokół metalowego słupka, śpiewała „Jestem rozpalona jak Kansas w sierpniu” i pokazywała ozdobiony kolczykiem język Jackowi. Dzięki Bogu, my nie jesteśmy tacy trywialni, pomyślała Freya, trzymając za rękę Brettta. Na głowie miała jego baseballową czapkę i mówiła do niego „Brettski”.

- Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli Brett zostanie na noc? - zapytała Jacka w czasie kolacji, gdy pozostała dwójka nie słyszała.

- A on chce?

Freya spojrzała na niego z gniewem. Jasne, że chce! Jack zachowuje się tak, jakby był jedyną osobą w całym wszechświecie mającą prawo do seksu.

- Zostawił w mieszkaniu rower - odrzekła wymijająco. - I nie jestem pewna, czy po tej ilości wódki uda mu się dojechać do domu.

- Założę się, że nic by cię nie obchodziło, gdybym to ja musiał jechać na rowerze przez całe miasto.

- Ty? Nie bądź śmieszny.

- Wiesz, Candace też idzie. Nie będzie szans na prywatność.

- Jack, po co ta pruderia?

Kiedy jednak w końcu dotarli do mieszkania, Freya odczuła wyraźnie niezręczność całej sytuacji. Stali w czwórce, przyglądając się sobie w nadmiernie jasno oświetlonym salonie. Za dużo alkoholu i długa jazda do domu odebrały wieczorowi urok. Jack wcześniej o tym wspomniał - rzeczywiście rozkład mieszkania nie sprzyjał intymności. Oba pokoje - gabinet i sypialnia - wychodziły na salon i miały wspólną ścianę, częściowo tylko

wygluszoną przez szafy. Z obu też szło się do łazienki przez otwartą przestrzeń salonu.

- Kto ma ochotę na drinka? - zapytała Freya; pragnęła, by nastrój przyjęcia trwał dalej i doprowadził ją do stanu romantycznego zapomnienia.

Candace jednak złapała już Jacka za pasek od spodni i pociągnęła za sobą ku sypialni.

- Ty idziesz ze mną, mały.

Jack bezradnie rozłożył ręce.

- Jak trzeba iść, to trzeba. - Jego zadowolenie zdawało się wisieć w powietrzu na wzór uśmiechu Kota z Cheshire, nawet gdy zamknęły się już za nimi drzwi. Freya przyjęła to jako wyzwanie.

Podeszła do Bretta, który siedział na oparciu chwiejnego fotela i machał nogą. Zapomniała o tym: młodzi mężczyźni to pewnie sam testosteron. Z sypialni Jacka dobiegł piskliwy chichot i jęk sprężyn.

- No, Brettskowicz - zmierzwiła mu włosy. - Wreszcie sami.

Z pokoju wyszedł Jack, luźno owinięty w szlafrok, z paskiem ciągnącym się po podłodze.

- Jeszcze tu jesteś, Brett? - rzucił, kierując się do łazienki.

Brett wstał.

- Myślę, że...

- Ja też. - Freya złapała go za rękę i poprowadziła do swojego pokoju.

- Tu nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Całym ciężarem oparła się o zamknięte drzwi. Z ulicy wpadał ukośny promień światła, pogrążając twarz Bretta w cieniu. Oczy mu błyszczały, kiedy spojrzał na Freyę.

- Dobrze się dzisiaj bawiłeś? - zapytała.

- Jasne. Było wspaniale.

Z uśmiechem zrobił krok w jej stronę i wyciągnął rękę. Wreszcie!

- Masz moją czapkę - powiedział, zdejmując ją z głowy Frei.

Miała wrażenie, że słyhać, jak serce jej wali, później jednak uzmysłowiła sobie, że ktoś puka do drzwi. Uchyliła je i do pokoju wepchnęła się Candace, różowa i bujna, owinięta w prześcieradło.

- Och, to dobrze, że jesteście jeszcze ubrani. Wiem, że to naprawdę kłopotliwe, ale czy któreś z was ma... zabezpieczenie? My z Jackiem kompletnie wykończyliśmy cały zapas. - Uśmiechnęła się do nich wesołutko; takiej swobody i braku zażenowania Freya jeszcze u nikogo nie widziała. - To sprawa niezwykle pilna.

Freya na próżno czekała, aż Brett coś powie. Dlaczego mężczyźni zawsze zakładają, że za tego rodzaju sprawy odpowiedzialne są kobiety? Szybko podeszła do walizki, pełniącej funkcję stolika nocnego, i wyjęła prezerwatywy. Próbowała ukryć je w dłoni, zła, że musi pokazać nienaruszone opakowanie, jakby kupiła je specjalnie na tę noc. Co też i zrobiła.

- Proszę. - Rzuciła kondomy Candace.

- Dzięki - odetchnęła z ulgą dziewczyna. - Uratowałaś mi życie. Dosłownie. Bawcie się dobrze! - zawołała i wybiegła, ciągnąc za sobą tren prześcieradła.

- Czekaj, Candace! - Freya rzuciła się w pogoń; udało jej się złapać dziewczynę tuż pod drzwiami sypialni Jacka. - Ja też kilku potrzebuję - szepnęła ze złością.

- Och, przepraszam. - Candace szkarłatnymi paznokciami przecięła celofan. - Ile chcesz?

- Na litość boską, lepiej powiedz, ile ty chcesz?

Rozległ się szum wody splukującej toaletę i w ciemności zamajaczyła postać Jacka.

- Co się dzieje?

- Nic - warknęła Freya.

Na jego twarz powrócił wyraz zadowolenia, gdy zobaczył, że dalej jest ubrana.

- Brett poszedł do domu?

- Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć prezerwatyw - odliczyła Freya. - To powinno wystarczyć do rana. Dzięki, Candace. Słodkich snów, Jack.

- Och!... ach... mm...

Jack leżał na plecach, w nie całkiem wygodnej pozycji, podczas gdy Candace podrygiwała na nim energicznie. Aj, trafiła go w żołądek! Nie powinien był tak się obżerać.

Sześć kondomów. Sześć! Udawała tylko czy też on zaczyna się starzeć? A może nigdy nie był aż taki dobry? Gwoli ścisłości, w tej dziedzinie nie zgłaszano mu żadnych skarg - w każdym razie nie dotyczyły one kategorii „za mało”. Częściej kobiety narzekają na „za dużo seksu” - aczkolwiek w tym sformułowaniu jest wewnętrzna sprzeczność, jak w wypadku „wiarygodnego polityka” albo „słodkiego dobermana”.

Chryste, co się dzieje? Kobietom powinno się zakazać takiego wywijania włosami. Mogą kogoś oślepić. Jack poprawił głowę na poduszce i znowu zamknął oczy.

„To powinno wystarczyć do rana”. Zakładając, że „rano” oznacza, powiedzmy, dziesiątą, to daje sześć razy w mniej niż osiem godzin, czyli co godzinę i dwadzieścia minut. Albo, jeśli odjąć cztery godziny na sen, co czterdzieści minut sześć razy z rzędu. Cholera!

Jack wstrzymał oddech, próbując usłyszeć, czy z sąsiedniego pokoju dobiegają jakieś dźwięki, ale Candace robiła za dużo hałasu. Zwykle lubił jej płynące strumieniem komentarze, dziś wieczorem jednak nie potrafił się skupić. Zastanawiał się, czy Brett i Freya także ją słyszą - a może są zbyt zajęci? Zajęci czym? Na pewno nie dyskusją o Platonie. Zazwyczaj Freya z pogardą traktowała mężczyzn mniej inteligentnych i nie tak dowcipnych jak ona, Jack przekonał się o tym na własnej skórze. Wobec niego nigdy nie zachowywała się z taką kobiecą kokieteryą jak dzisiaj, nigdy też nie ubierała się w równie kuse sukienki. Prychnął. Cóż ona właściwie widzi w tym „sześć razy w ciągu jednej nocy” Bretcie?

A może wymknąć się na chwilę i sprawdzić, co tam się dzieje? W końcu to jego mieszkanie. I jest mu okropnie gorąco, nie bez przyczyny zresztą. Musi napić się wody.

W tej samej jednak chwili Candace zrobiła coś naprawdę zadziwiającego. Jack zapadł się w otchłań, a jego umysł pierwszeństwo oddał zupełnie innej części ciała.

- No, Arthur Miller to dobry dramatopisarz, ale tak samo dobry jest Andrew Lloyd-Weber. Mój agent mówi, że jestem idealnym kandydatem na odtwórcę ról młodzieżowych w musicalach, tylko że nie chcę, by mnie zaszufładowano. A ty co myślisz?

- Myślę, że w obu rodzajach byłbyś wspaniały. - Freya przesunęła się na łóżku i wyciągając długą nogę, zachęcająco położyła gołą stopę na udzie Bretta. Hmm. Twarde mięśnie. Szkoda, że jeszcze nie zdjął spodni.

- Ktoś z twoim wyglądem i talentem jest skazany na sukces.

- Tak tylko mówisz. - Poglądził ją machinalnie i poczuła w sobie wulkan żądy.

Z sypialni Jacka dobiegało gardłowe pojękiwanie, wydawane zdaniem Frei przez Candace w szale namiętności. Na początku bardzo ją to irytowało, teraz liczyła, że Brett zrozumie aluzję. Jak na razie, wydawał się całkiem zadowolony, siedząc po turecku na jednym końcu łóżka, podczas gdy ona opierała się o poduszkę na drugim - każdy mógłby ich wziąć za licealistów w internacie. Słyszała wcześniej o grze wstępnej, ale ten rodzaj był doprawdy dziwaczny. Tylko że biedny Brett ma dopiero dwadzieścia sześć lat. Nie ulega wątpliwości, że z podziwem będzie

odnosił się do jej większego doświadczenia oraz, spójrzmy prawdzie w twarz, o wiele bardziej błyskotliwego intelektu. Cała ta gadanina jest tylko przykrywką dla jego absolutnie zrozumiałej nieśmiałości. Musi jakoś zasygnalizować Brettowi swoją przystępność.

Przeciągnęła się i głośno westchnęła. Chłopak spojrział na nią. Freya się uśmiechnęła.

- Chcesz się położyć? - zapytał.

Eureka!

- A ty nie? Dlaczego się nie zbliżysz, żebym mogła dokładnie cię zbadać?

Roześmiał się niepewnie, jakby opowiedziała słony żart.

Skoro góra nie chce przyjść do Mahometa... Na czworakach, niczym pantera, ruszyła ku niemu. Kiedy znalazła się blisko, cichutko mruknęła, usiadła na piętach i wsunęła dłoń za jego koszulę, na płaski twardy brzuch. Brett zeszytniał cały.

- Odpreż się - szepnęła.

Jej palce powędrowały śladem jedwabistych włosów prowadzących w dół, natrafiły na pępek i delikatnie go pogładziły. Za ścianą jęki ustąpiły miejsca głębszym odgłosom, przerywanym okrzykami podniecenia. Frei wydało się, że złapała wyraz „ogier”.

Brett zaśmiał się nerwowo.

- Nie jestem pewny...

- Zapomnij o nich - powiedziała łagodnie Freya. - Oni się nie liczą.

- No, nie wiem...

- Nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze. - Ponownie zaczęła go pieścić. Był taki ciepły, taki gładki, taki...

Z gwałtownością, która ją zaszokowała, Brett zerwał się na nogi.

- Chyba pójde już do domu.

- Co?

- Jest późno. Muszę wracać - oświadczył, chowając koszulę w spodnie.

- Ale... dlaczego?

- Czuję się niezręcznie.

Freya uklękła na łóżku, przyciskając ręce do brzucha i próbując uciśnić pożądanie i rozczarowanie.

- Dlaczego? - zapytała ponownie.

Brett przechylił głowę w sposób, który teraz był już słodko znajomy

- Nie pasuję tutaj. Dziwaczne wibracje i w ogóle. Nie mam ochoty zaplątać się w jakieś poważne sprawy, rozumiesz?

Freya z wysiłkiem starała się zrozumieć jego słowa. Czy obraziła go czymś? Uznał, że Jack traktuje go protekcyjnie? Przeszkadza mu to, co dzieje się za ścianą? Nie lubi seksu?

- Nie jesteś gejem, prawda?

- Nie! - zadarł brodę do góry. - I nie jestem zabawką.

- Co takiego?!

- No, chodzi mi o to, że to ty zdecydowałaś, gdzie dzisiaj pójdziemy, jakbyś była szefem. Rozmawiasz o rzeczach, o których nie mam pojęcia, i klepiesz mnie po głowie jak sześciolatka, a teraz chcesz... - Urwał, wzruszając z zakłopotaniem ramionami.

Wpatrywała się w niego przerażona. To doskonale potrafiła rozszyfrować. Mówi jej, że jest za stara. Do jej świadomości dotarło rytmiczne dudnienie w pokoju Jacka, jakby ktoś wbijał w ścianę gwóźdź.

- Dobra. - Jednym szybkim zręcznym ruchem wstała i spojrzała Brettowi w oczy. - Sprawa jest całkiem oczywista.

- Czekaj. - Położył jej dłoń na ramieniu. - Chciałem powiedzieć, że cię lubię. Lubię z tobą rozmawiać. I jesteś bardzo atrakcyjna. Może będziemy mogli być, no wiesz, przyjaciółmi.

- Jasne. - Freya zdobyła się na wzruszenie ramion. - I tak w przyszłym tygodniu wyjeżdżam. Po powrocie zadzwonię do ciebie.

- Wspaniale.

Otworzyła drzwi i pierwsza ruszyła przez salon do holu, gdzie zostawił swój rower. Dostrzegła pośpiech i ulgę Brettta w jego ruchach, gdy zdjął kask z ramy i położył dłonie na ukochanym pojeździe. Cała płonęła z upokorzenia. Przekręciła klucz w drzwiach wyjściowych i przytrzymała je.

- No to do widzenia - odezwał się z zakłopotaniem, kiedy ją mijał.

Widziała wyraźnie, że zastanawia się, czy powinien cmoknąć ją w policzek. To było straszne.

- Zaraz, nie zapomnij swojej czapki. - Przyniosła ją z pokoju i wsunęła mu na głowę, tym razem we właściwym kierunku, po czym skrzywiła daszek w dół, jak ciotunia. Skrzyżowała ramiona na piersiach i cofnęła się do holu.

- Do zobaczenia, Brettski.

- Cześć. - Za furtką skręcił i zniknął w ciemności.

Przez kilka minut Freya stała w progu, oddychając mocno przez nos. Miała ochotę krzyknąć za nim: „Wiesz, to tylko seks. Nie planowałam ślubu z tobą!”

Nie potrafiła jednak otrząsnąć się z dokuczliwego wstydu i niesmaku

do samej siebie. Jak mogła narazić się na takie poniżenie? Zaczęła krążyć po podwórku, torturując się wspomnieniami niedawnych wydarzeń. Nie była godna pożądania, choć leżała w półmroku na łóżku z podciągniętą spódnicą. Brett, mimo że pijany i zmęczony, wolał wracać do domu. I było jeszcze to bogate w konsekwencje „ale”: „Jesteś wspaniała, ale... Naprawdę cię lubię, ale... Jesteś bardzo atrakcyjna, ale...”. Dokładnie tak samo było z Michaeliem. Dlaczego mężczyźni chcą się z nią „tylko przyjaźnić”? Kopnęła pojemnik na śmieci. Nawet jej przyjaciele nie chcą się już z nią przyjaźnić! Weźmy Cat, która splawiła ją najmniej wiarygodną wymówką w dziejach i nie odpowiada na telefony. A co do Jacka...

Jakiś pijak, przeklinając donośnie, zbliżał się ku niej. Czas najwyższy wrócić do domu. Freya cicho zamknęła frontowe drzwi i przystanęła w salonie, nasłuchując. Panowała cisza. Wyobraziła sobie Jacka i Candace, jak zasypiają zadowoleni, i tupnęła. Czuli się obrażona, odrzucona, zdruzgotana i - cholera jasna! - sfrustrowana. Gorszy jednak od wszystkiego będzie triumf Jacka, gdy odkryje, że Brett uciekł. Ależ się będzie puszył. Ależ będzie rechotał wraz z Candace, największą seksbombą na świecie.

Chyba że... Freya ruszyła wokół salonu, wprawiając się w odpowiedni nastrój.

- Mmm - zaczęła ostrożnie. - Aach... ooch... - Rzuciła się na sofę i zaczęła na niej podskakiwać. - Och, Brett - jęknęła gardłowo w kierunku sypialni Jacka. - To takie doobre.

Odkryła w sofie złamaną sprężynę, która wydawała głęboko satysfakcjonujący odgłos. Freya wprawiała ją w ruch, opadając całym ciężarem i dla lepszego efektu rozkładając ramiona.

- Ach... ach... aaach! - Miotła się po oparciu sofy, od czasu do czasu rzucając się na siedzenie z niepohamowanym krzykiem. - O tak!... och, Brett!... och...

Kącikiem oka dostrzegła jakiś ruch. Zastygła. Była to jakaś postać ze szklanką wody w ręce.

- Dobrze się bawisz? - zapytał Jack.

Rozdział dwudziesty

Ojciec Jacka zawsze przywiązywał niebywałą wagę do dobrych manier. Prawdziwy dżentelmen z Południa, lubił powtarzać, jest skrupulatnie punktualny, uprzejmy dla dam i dba o ubiór - rozumiał przez to marynarkę, krawat i sznurowane buty z prawdziwej skóry. (Wsuwane nadawały się dla kobiet, obcokrajowców i Jankesów). Dlatego też Jack pojawił się w barze King Cole hotelu St. Regis rozmyślnie spóźniony o dwadzieścia minut i ubrany w otwartą pod szyję koszulę i płócienne pantofle. Za nim dreptała Candace.

Ponieważ był dość wczesny niedzielny wieczór, w wykładanej boazerią sali znajdowało się niewiele osób, lecz nawet gdyby zatłoczona była po brzegi, Jack natychmiast odnalazłby ojca - wystarczyło poszukać schylonego uprzejmie nad stołem kelnera. Ojciec zawsze zaprzyjaźniał się z kimś z obsługi i przedstawiał go jako „starego przyjaciela Alphonse'a” albo „Eddiego, najlepszego barmana po tej stronie linii Dixon-Mason”, a zaraz potem prosił o coś, co nie wchodziło w zakres obowiązków rzeczonoego „kumpla”. I teraz także w odległym kącie sali Madison senior siedział sobie przy najlepszym stoliku w restauracji, gawędząc z facetem w białych rękawiczkach. Jack z niemal stuprocentową pewnością odgadywał temat tej dość jednostronnej konwersacji: „Burbony, jakie już znam” albo „Nowy Jork: piekielna dziura uniwersum”.

Candace złapała go za rękę.

- Czy to on? - szepnęła.

- Taa. - Przez cały dzień męczyła go pytaniami, aż w końcu wypalił: - To tylko mój tata. Zobaczysz.

Teraz mruknęła z aprobatą:

- Ale przystojniak. Podobny do ciebie.

- Nieprawda.

Zbliżając się do stolika, Jack doświadczył mieszanych synowskich uczuć: pretensji, odruchów obronnych, poczucia winy i pewnej bliskości graniczącej z przywiązaniem, aczkolwiek w duchu mówił sobie, że przypuszczalnie jest to zwykły, prymitywny zew genów. W obecnej chwili odruchy obronne były najważniejsze. Nie wróci do domu, by pracować w rodzinnej firmie, nawet gdyby ojciec błagał go na kolanach. Zamierza za to poprosić o podwyżkę skromnej pensji - nie za dużo, tyle, by odpowiadało to jego wiekowi i stylowi życia.

Ojciec uniósł się z krzesła, wysoki i barczysty jak syn. Wydawał się zadowolony z ich widoku. Wąsy miał świeżo przystrzyżone, gęste białe włosy starannie uczesane; istotnie był przystojnym mężczyzną, chociaż skończył już sześćdziesiąt pięć lat.

- Jack, mój chłopcze. Miło cię widzieć. - Jedną ręką ciepło uściśnął dłoń Jacka, drugą klepnął go w ramię w geście na poły będącym szturchaćcem, na poły męskim powitaniem.

- Ciebie też. - W samą porę Jack ugryzł się w język, na który już cisnęło mu się wpajane od wczesnego dzieciństwa „sir”. - To jest Candace - przedstawił ją tak, jakby była trofeum - albo tarczą.

Na twarzy ojca pojawiło się zainteresowanie. Lubił kobiety - i to z wzajemnością. Wcześniej Jack był przeciwny temu, by Candace wystroiła się na spotkanie z jego tatą, teraz wszakże nie potrafił opanować zadowolenia, że tak oszalamiająco wygląda w subtelnie seksownej czarnej sukience.

Po chwili zamieszania usiedli i wybrali napoje. Ojciec Jacka zaproponował dziewczynie kieliszek różowego szampana; oboje wpadli w autentyczne podniecenie, gdy się okazało, że nigdy wcześniej takiego nie piła - ona cieszyła się, że spróbuje, dla niego zaszczytem było, że jej to umożliwi, i inne takie bzdury. Jack przekornie zamówił piwo. W trakcie tej sceny jak z taniej farsy jemu i Candace przedstawiono „mojego dobrego przyjaciela George'a”, nieoddalającego się na krok kelnera.

- Jeśli któreś z was będzie miało ochotę tu wpaść, George zaopiekuje się wami. Prawda, George?

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie Madison.

- Dziękuję, George. - Candace zaczęła nagle zachowywać się jak królowa Anglii. - Jakie to miłe, prawda, Jack?

Tylko wzruszył ramionami.

- Rzadko bywam w tej części miasta.

Wiedział, że zachowuje się jak niewdzięcznik, ale nie potrafił nic na to poradzić. Gdy był nastolatkiem, czerpał wielką przyjemność z tego, że

jest „chłopcem Madisona”. Gdziekolwiek się znalazł, zawsze czekał nań specjalny komplet kijów do golfa, najlepszy fryzjer, nawet przyjacielski policjant, który usuwał przeszkody z drogi lub przyrywał oko na jego drobne występki. Senior z satysfakcją wprowadzał syna w rytuały bycia mężczyzną - a mówiąc dokładniej, w tajniki bycia Madisonem. Od chwili gdy Jack został zwrócony ojcu przez matkę jak wybrakowany produkt, zwyczajem obu stały się wizyty w papierni, stanowiącej źródło rodzinnej fortuny. Jack pamiętał podniecenie, a równocześnie uczucie przytłoczenia na widok ciężarówek zwożących stare szmaty, wielkiego urządzenia dostarczającego olej do sklepionych wysoko jak katedra pomieszczeń fabryki, pamiętał upał, hałas i odór rozkładającej się padliny, który unosił się nad okolicą i sprawiał, że Minnie, gospodyni, natychmiast po powrocie do domu kazała mu się rozbierać i nieść rzeczy do pralni. Mimo że tata nigdy nie wypowiedział słów: „Synu, pewnego dnia to wszystko będzie twoje”, ich sens jasno wynikał z dumy, z jaką przyjmował kolejne osiągnięcia Jacka: przyjęcie go do drużyny futbolowej, randkę z królową balu maturalnego, złapanie pierwszej ryby - a nawet spicie się do nieprzytomności i wymiotowanie na frontowej werandzie. On był „Małym Jackiem”, który dorośnie i stanie się „Wielkim Jackiem”, tak samo jak w przeszłości jego ojciec został „Wielkim Tatą Jackiem”. Tylko że Jack nie chciał, nie chce i nigdy nie będzie tego pragnął.

Ojciec opowiadał Candace o hotelu, zbudowanym na przełomie wieków z kryształu z Waterford i francuskich marmurów na polecenie Johna Jacoba Astora, który pragnął mieć najpiękniejszy hotel w świecie.

- I moim zdaniem dalej taki jest - dodał - mimo tych wszystkich gadżetów, które wprowadzili podczas remontu. Poproszę George'a, żeby cię oprowadził, a ja porozmawiam w tym czasie z Jackiem. Zgadzasz się?

Candace odrzekła, że z przyjemnością przyjmuje propozycję.

- Czy jest tu z panem pani Madison? - zapytała.

Ojciec Jacka sprawiał wrażenie zaskoczonego, później jego twarz zmarszczyła się w uśmiechu, a dłonie groteskowo poklepały się po kieszeniach.

- Nie, chyba dzisiaj jej nie wziąłem. - Mrugnął do Candace, przyglądając wąsik. - Mam już cztery żony rozrzucone po całym kraju, a to o cztery za dużo. Kosztują więcej niż przyzwoita łódź do łowienia ryb.

Dziewczyna spojrzała na niego wzrokiem, który Jack mógł określić tylko jako „szelmowski”.

- Chyba nie chce mi pan powiedzieć, że woli pan ryby od kobiet, panie Madison?

Z uciechą poklepał ją po kolanie.

- Ha, to zależy, jak bardzo się opierają.

Jack z kamiennym wyrazem twarzy okręcał w dłoni szklanekę z piwem. Dawno już zdążył się przyzwyczać do zachowania ojca, ale to, że Candace z nim flirtowała, odebrał jako zdradę. Zastanawiał się, czemu właściwie zadaje się z tą małą - poza oczywistymi przyczynami. Na Południu istniało wyraźne rozróżnienie pomiędzy dziewczętami „porządnymi” i „niegrzecznymi”, aczkolwiek porządne mogły okazać się bardzo niegrzeczne, a niegrzeczne bardzo porządne, lecz z tymi drugimi nikt się nie żeni. Do której kategorii należą Candace?

Słuchał, jak szczebiocze o sobie, rozradowana okazywaną jej uwagą.

- Nie mam pojęcia, jak wy to znosicie - dziwił się ojciec - cały ten brud i hałas, i te komórki, które nazywacie mieszkaniami.

- Wiem, co pan ma na myśli - westchnęła dziewczyna znacząco, jakby jej prawdziwym duchowym domem była wiejska posiadłość z tłumem służby.

- Każdy tutaj wygląda na wyczerpanego i zmiętego, z wyjątkiem ciebie, moja droga. Praca, praca, praca, tylko o tym myślą ci Jankesi, nawet w niedzielę. - Wskazał grupkę mężczyzn w garniturach, którzy w drugim kącie sali siedzieli nad dokumentami.

- Tato, to są japońscy biznesmeni.

- Skoro tak mówisz... Według mnie dzisiaj każdy może być Janke-sem. Nawet nie trzeba mówić po angielsku.

- Bardzo chciałabym kiedyś pojechać na Południe - Candace pochyliła się nad stołem. - Macie tam taką bogatą historię i te cudowne drzewa!

- Musisz poprosić Jacka, żeby cię zabrał.

- Och, Jack, zgodziłbyś się? - Dziewczyna odwróciła się ku niemu, rozsiewając zapach perfum. - To taki piękny stan.

Jack łyknął piwa.

- Zobaczymy.

Karolina Północna istotnie była pięknym stanem, z jednej strony graniczącym z Atlantykiem, z drugiej z Blue Ridge Mountains, ze wzgórzami pośrodku. Miał to miejsce we krwi, kochał je, lecz nie potrafił tam mieszkać. Nawet teraz, kiedy przyjeżdżał z wizytą, buntował się przeciwko zwalającej z nóg historii i przytłaczającemu brzemieniu rodziny. Żyć w mieście, gdzie każdy cię zna, gdzie nazwisko w paszporcie z góry nadaje ci przywileje lub świadczy przeciwko tobie, gdzie zawsze istnieje groźba, że wpadniesz na kogoś, kto trzymał cię na kolanach, tańczył kotyliona

z swoją matką, znał swoją zwariowaną ciotkę Millie, która słyszała głosy, albo kto jest praprawnikiem towarzysza broni twojego prapradziadka w jakiejś tam bitwie: dla Jacka, gdy dorósł, było to jak przebywanie w luksusowej celi z wyobraźnią skrępowaną kaftanem bezpieczeństwa. Nie czuł się tam jak w realnym świecie.

Prowadzili niezobowiązującą pogawędkę, a Candace popijała szampana. Kiedy jej kieliszek stał się pusty, ojciec Jacka wezwał gorliwego George'a, by oprowadził dziewczynę po hotelu.

- Męskie sprawy - wyjaśnił ze znaczącym mrugnięciem. - Rozumiesz, prawda?

- Naturalnie.

- Dobra dziewczynka. Zaopiekuj się nią, słyszysz, George? - Z niejakim trudem oderwał wzrok od jej oddalającej się sylwetki. - Śliczna dziewczyna.

Jack skinął głową.

- Nie należy do tych kobiet, które robią karierę po trupach.

- Nie.

- Wydaje mi się, że to nie z nią rozmawiałem, kiedy w zeszłym tygodniu do ciebie dzwoniłem. Tamta miała chyba brytyjski akcent? - Rzucił synowi chytre spojrzenie.

- To była Freya. Mieszka u mnie.

- Ho, ho.

- My się tylko przyjaźnimy, tato.

- Hmm. - Ojciec mrugnął i potrząsnął szklaneczką, w której zagrzechotały kostki lodu. - Powiedz mi, synu, jak ci się wiedzie?

- Całkiem nieźle.

- Skończyłeś książkę?

- Prawie, ale ostatnio sporo czasu zajmuje mi dziennikarstwo. Tylko z tego są pieniądze.

- Panna Holly wciąż wypatruje twoich artykułów. - Była to dawna nauczycielka Jacka, obecnie na emeryturze, która dorabiała sobie pracą w bibliotece w Oaksboro. - Podobno zebrała niezłą kolekcję. Choć oczywiście ma sklerozę.

Jack jęknął i machnął dłonią, jak gdyby nic go nie obchodziły poczynania panny Holly. Doskonale orientował się, jak zareagowali tamtejsi ludzie na wieść, że „wyjechał na północ”, żeby zostać - słuchajcie tylko - pisarzem! Nowy Jork to jaskinia rozpusty, gdzie każdy „stacza się na dno”, a pisarstwo jest w najlepszym razie zajęciem ekscentrycznym, w najgorszym zaś - dziecinny. Stan, który poniósł tak dotkliwą klęskę w

czasie wojny - a dla południowców wojna secesyjna pozostała wciąż otwartą raną - nie może sobie pozwolić na karmienie lekkoduchów. Jack miał wrażenie, że wszyscy tam czekają, by wrócił do domu z podkulonym ogonem, oznajmił, że całkiem zrezygnował z literatury, i zaczął prowadzić normalne życie. Nikt nawet nie podejrzewa, jak trudno jest napisać powieść.

Ojciec gestem dłoni wezwał jednego z kelnerów. Tym razem Jack zamówił burbona. W myślach powtórzył swoją przemowę: koszty życia w Nowym Jorku, niemożność pogodzenia pracy dziennikarza z pisaniem powieści, przekonanie, że od sukcesu dzieli go krok, jeśli tylko będzie miał trochę więcej czasu. Zanim wszakże zdążył otworzyć usta, ojciec oparł się wygodnie, położył wypielegnowane dłonie na blacie i uprzedził go:

- Cieszę się, że możemy porozmawiać, synu. W Madison Paper nastąpiły pewne zmiany, a ja uważam, że powinieneś wiedzieć, co się dzieje w firmie, choć nigdy zbytnio cię to nie interesowało.

- Tato, nie o to chodzi, że się tym nie interesuję, tylko...

- Wiem. Wybrałeś inne życie. Dlatego też chcę z tobą porozmawiać, żebyś wiedział o wszystkim na bieżąco.

I ojciec zaczął się rozwodzić nad zagraniczną konkurencją i nowymi rynkami, prawem pracy i ulgami podatkowymi, wprowadzonymi w firmie nowymi i kosztownymi technologiami, pomyślnie unikniętymi groźbami przejścia. Jeden z członków rady nadzorczej umarł, drugi przeszedł na emeryturę... Jack przestał słuchać. Wydawało mu się, że doskonale wie, dokąd zmierza tata. Na pewno zaraz rozwlekle opowie o tym, jak to szukają nowego członka rady, kogoś związanego z firmą, godnego zaufania...

- Tato, nie mów nic więcej. - Jack uniósł dłoń. Uśmiechnął się, by pokazać ojcu, że to, co zaraz powie, nie jest w intencjach obraźliwe. - Wiem, jestem najstarszym synem, a ty masz na względzie moje dobro, ale muszę ci powiedzieć, że w żadnym razie nie wrócę do domu, aby pomagać w prowadzeniu firmy.

Ojciec sprawiał wrażenie tak zaszokowanego, że Jack pośpiesznie dodał:

- Przykro mi, tato.

W odpowiedzi usłyszał jednak wybuch śmiechu.

- Ty! - wykrzyknął Madison senior. - Prowadzić firmę!

Teraz z kolei Jack przeżył szok.

- Więc... nie o tym chciałeś mówić?

Tata spoważniał.

- Synu, jesteś w Nowym Jorku od dziesięciu lat. Co możesz wiedzieć o prowadzeniu papierni?

Jack wytrzeszczył na niego oczy; czuł się jak kompletny głupiec. Świadom był zmieszania malującego się na własnej twarzy i ciężaru dłoni spoczywających na kolanach.

- Naturalnie, gdybyś chciał wrócić do domu, znalazłbym ci jakieś zajęcie. - Ojciec skrzywił się z powątpiewaniem. - Ale na pewno niezbyt dobrze płatne. Nie masz żadnego doświadczenia.

- No, chyba nie, ale... - Jack zawiesił głos, nic nie pojmując. - Dlaczego w takim razie opowiadasz mi to wszystko o firmie? - zapytał wojowniczym tonem.

- Ponieważ chcę, żebyś wiedział, że w przyszłym miesiącu złożymy propozycję członkostwa w radzie twojemu bratu Lane'owi.

- Lane'owi? - Z jakichś przyczyn Jack wyobraził sobie brata w stroju zawodnika licealnej drużyny futbolowej, z wypchanymi ramionami i maską na twarzy.

- Wiem, że nie dostawał takich dobrych ocen jak ty, ale rozumie się na papierze.

Lane? O ile Jack pamiętał. Lane nigdy niczego nie rozumiał.

- Był taki okres, kiedy miałem nadzieję i modliłem się, byś to ty zarządzał Madison Paper. Tak się jednak nie stało, a teraz jest za późno. Interes to interes. Mam obowiązki wobec pracowników i społeczeństwa. Potrzebuję kogoś zaangażowanego w sprawy firmy.

Jack skinął głową, w której panował straszny zamęt. Lane powiesił na ścianie łeb dzika. Abonował magazyny o samochodach. Kiedy miał osiemnaście lat, jedna z dziewcząt Danforthów zaszła z nim w ciążę i wysłano ją na cichy zabieg.

- Aż do teraz obu wam płaciłem stałą pensję, żebyście mogli stanąć na nogi. Lane uczył się papiernictwa, a ty, jak przypuszczam, też się uczyłeś swojego interesu. - Ojciec zaśmiał się cicho. - Lane naturalnie jest od ciebie młodszy, ale teraz będzie dostawał stypendium z rady, tak więc wszystko się zbilansuje.

- Co przez to rozumiesz? - Jack znowu się pogubił. - Co się zbilansuje?

- Chodzi mi o to, że przestanę wypłacać mu pensję w tym samym czasie, kiedy przestanę wypłacać ją tobie.

„Przestanę wypłacać!” - Jack wpatrywał się w ojca, niezdolny wykrztusić słowo.

- Zawsze będziesz moim najstarszym synem i po mojej śmierci czeka cię stosowny spadek, ale najwyższa już pora, żebyś sam zaczął się utrzymywać. Do diabła, w twoim wieku miałem już żonę i spleacony dom!

Jack z wielkim trudem postarał się opanować.

- Kiedy zamierzasz...?

- W przyszłym miesiącu dostaniesz ostatnią wpłatę.

- W przyszłym miesiącu?

Ojciec wyszczerzył zęby w rekinim uśmiechu, który Jack znał i którego nie lubił.

- Po co zwlekać? Mówisz mi, że pisanie daje ci dochód, a ja w to wierzę. Madison Paper to firma, a nie pociąg. Nie wozimy pasażerów.

Jack pociągnął spory łyk burbona. W uszach brzmiały mu wciąż od nowa słowa o zaprzestaniu wypłacania pensji. Czuł, jak budzi się w nim piekąca uraza. Ojciec więcej wydaje na polowania na przepiórki niż na Jacka. Więc Lane ma dostawać tak zwane stypendium - i to tylko dlatego, że okazał się zbyt mało pomysłowy, by poszukać własnej drogi? Przesunął wzrokiem po nieskazitelnym kremowym garniturze ojca, jego dandysowskim krawacie, potężnych ramionach i rozkazująco uniesionej brodzie. Nie będzie już go o nic błagał!

Wyraz jego twarzy musiał jednak zdradzić coś z tej szalejącej w sercu burzy, bo ojciec zmarszczył czoło.

- Masz jakieś kłopoty, synu?

Jack spojrział mu w oczy.

- Nie.

Ojciec uśmiechnął się kpiarsko.

- I zawsze tak się ubierasz? To chyba nazywają teraz „modą”. Ja tego nie pojmuję. Ludzie w Nowym Jorku mieli dawniej styl... Jak ona - dodał i oczy mu zabłyśły.

Jack odwrócił się i zobaczył Candace, zmierzającą ku nim swym nowym, królewskim krokiem. Natychmiast się podniósł, trącając stół.

- Musimy już iść.

- Ach, tak szybko? - Ojciec wstał dwornie i ujął dziewczynę za rękę. - Może oboje zjecie jutro ze mną kolację?

- Nie sądzę... - zaczął Jack.

- Byłoby cudownie. - Wpadła mu w słowo Candace.

Jack złapał ją za łokieć i popchnął ku drzwiom. Pragnął już wyjść z tego klaustrofobicznego półmroku panującego w barze. Pośpiesznie przeszli przez hol z palmami, marmurami, odświeżniami ubranymi parami

i szklanymi gablotami, w których wystawiano ręcznie szyte na zamówienie koszule i artystyczne krawaty. Jack miał ochotę rozbić jedną szybę gołymi pięściami. Zmusił się do patrzenia prosto przed siebie, na portret w złożonych ramach, który wisiał na końcu westybulu. Przedstawiał mężczyznę niewiele starszego od Jacka, eleganckiego, wąsatego, pewnego siebie, otoczonego symbolami sukcesu. Zbliżywszy się, odczytał podpis: „John Jacob Astor III (1822-90)”. A tu był on, Jack Madison III - bez grosza, wyzuty z praw, odepchnięty.

Candace rozpływała się nad elektronicznie rozsuwanymi draperiami i gigantycznymi wannami. Jack spojrział w obojętne, brązowe oczy Johna Jacoba. Pomocy! Ja tonę...

Rozdział dwudziesty pierwszy

Freya szła na przystanek autobusowy, zostawiając na chodniku krwiste ślady. W trakcie podnoszącej morale wizyty u jednego z malarzy w atelier w Alphabetic City weszła w kadmową czerwień. Zwykle tę część swojej pracy lubiła najbardziej. Uwielbiała zapach terpentyny i oleju lnianego, widok zagruntowanych płócien, puszek z farbą, sprayów i starych szmat z barwnymi plamami, które świadczyły o postępującej naprzód pracy. Lubiała tę szczególną intymność własnych relacji z poszczególnymi artystami: pomagała im wychodzić z dołka, współczuła, gdy zmagali się z oporną materią, wskazywała nowe możliwości, sprawiała, że darzyli ją zaufaniem. Tworzenie to wielka tajemnica. Przypomina rozniecenie ognia bez użycia zapalek. Czasami, tylko czasami udawało się tak rozdmuchać ową drobną iskierkę, że wybuchała w wielki płomień. Nic nie dało się porównać z chwilą, gdy autor zdierał osłonę z rzeźby lub odwracał od ściany płótno, ukazując uprzywilejowanym oczom Frei świeże, surowe jeszcze owoce swej ciężkiej pracy.

Dzisiaj jednak była roztargniona. Matt Scardino należał do tych młodych artystów, w których pokładała szczególne nadzieje; jego pierwszą samodzielną wystawę wyznaczono na jesień. Zadzwoił do niej rano przerażony i powiedział, że utknął, jest zablokowany, wyprany z pomysłów. Nie ma mowy, żeby zdążył, Freya musi odwołać wernisaż. Natychmiast poszła do niego i pół dnia wysłuchiwała problemów malarza i próbowała znaleźć ich rozwiązanie, ale nie zdołała rozproszyć ponurego nastroju Matta. Czowała, że go zawiodła, była zła na siebie i rozczarowana.

Oczy dosłownie zalewał jej pot, gdy patrzyła na autobus z trudem przedzierający się przez zatłoczoną ulicę. W takie dni jak ten w głowie

wprost się nie mieściło, że ktokolwiek mógł uważać Nowy Jork za wspaniałe miasto. Znowu było duszno i parno, drobinki kurzu przywierały do wilgotnej skóry i zapychały płuca. Przechodnie wyglądali na zmęczonych i złych. Miasto przybrało barwę wyschniętego strupa, spowitego wstrętnym bandażem smogu.

Autobus był zatłoczony. Łokcie sąsiadów dźgały Freyę w żebra, w nozdrza drażnił odór rozgrzanej gumy i cudzego potu, sztywna sukienka kleiła jej się do pleców. Znalazłszy jakimś cudem miejsce na obie stopy, chwyciła za uchwyt nad głową. Przed sobą widziała ogłoszenia, namawiające do ubezpieczeń zdrowotnych i kosmetycznych zabiegów dentystrycznych. Zmęczyły już ją ciągle żądania stawiane przez to miasto. Ubieraj się w to. Nie jedz tamtego. Błyszcz. Targuj się. Pchaj. Wygrywaj. Naprzód, naprzód, naprzód! Niekiedy miała ochotę zatkać uszy i wrzasnąć: „Poczekajcie! Wolniej! Chcę pomyśleć”. Nigdy wszakże nie było na to czasu.

Ogarnęło ją poczucie klęski i beznadziei. Od zera mozolnie budowała swoje życie w Nowym Jorku - dolar za dolarem, praca za pracą, przyjaciel za przyjacielem - a teraz wszystko rozpadało się w proch. Od epizodu z Michaeliem spadało na nią jedno upokorzenie za drugim i w dodatku miała to straszne poczucie, że sama sobie jest winna. Zrobiła z siebie wielką idiotkę z Bernardem i jeszcze większą z Brettem. Kiedy akurat potrzebuje przyjaciółki, Cat jest zbyt „zajęta”, żeby się z nią spotkać - czym, Freya nie potrafiła sobie wyobrazić. Miała już serdecznie dość obozowania kątem w cudzym gabinecie. Mieszkanie z Jackiem, z którym zawsze - zawsze! - dobrze jej się układało, okazało się koszmarem. Najgorszą jednak rzeczą, przerażającą obsesją, myślą, przy której przechodziły ją dreszcze i traciła panowanie nad sobą, a wszystkie inne emocje zniknęły, była świadomość, że za dwa dni jedzie do domu na ślub Tash.

W mieszkaniu było cicho i niemal tak duszno jak na zewnątrz. Jack nie zareagował na złowrogię trzaski w urządzeniu klimatyzacyjnym, które teraz najwyraźniej całkiem już się zepsuło. Szkoda, że tego drania nie ma, mogłaby się wyładować, urządzając mu awanturę. Z westchnieniem zrzuciła buty, odstawiła torbę i ruszyła prosto do kuchni, by wyjąć z lodówki piwo. Otworzyła je i napiła się prosto z butelki. Niemal warto pojechać do Anglii tylko po to, by w środku lata poczuć chłód. Niemal...

Gwałtownym ruchem odstawiła butelkę i weszła do łazienki, po drodze odpinając sukienkę. Stała pod strumieniem zimnej wody, zmuszając się do skupienia nad sprawami, które powinna załatwić przed wyjazdem:

owinąć w piankę prezent ślubny dla Tash, kupić kartę, zdecydować, jakie zabrać ubrania, oddać w kasie zbędny bilet lotniczy. Bo teraz udawanie, że ktoś będzie jej towarzyszył, straciło wszelki sens. Dzisiaj jest poniedziałek, w środę wsiada do samolotu; nie ma już czasu. Sama - słowo to tkwiło jej w sercu niczym zadra.

Zapowiedziała - pochwaliła się, jeśli ma być szczerą - że przyjedzie z „przyjacielem”. Wszyscy wiedzą, że oznacza to: kochanka, a być może nawet długoletniego partnera. Wyobrażała sobie swój przyjazd ze Stanów z Michaeliem u boku, którego sama obecność chroniłaby ją przed domysłami czy potrzebą tłumaczenia się. Michael jednak ją zawiódł, a wszelkie wysiłki, by znaleźć kogoś na jego miejsce, zakończyły się klęską. I oto jedzie sama.

Wiedziała dobrze, jak to będzie: dom pełen obcych ludzi, ojciec zajęty, macocha w organizacyjnym szale traktująca Freyę jako dodatkową parę rąk do pracy i Tash, rozpieszczona księżniczka Tash, protekcyjnalna w każdym ruchu. Biedna stara Freya, nie potrafi utrzymać mężczyzny, robiąca karierę samotna kobieta, której czas już się kończy. Kiedy Freya mówiła znajomym o zbliżających się „wakacjach”, w odpowiedzi wybuchali żarliwym amerykańskim entuzjazmem.

- Jedziesz do domu? Na ślub siostry? Musisz się bardzo cieszyć!

Nikt nie rozumiał, że to nie jej dom i nie jej siostra.

Wyszła spod prysznic i owinięła się w ręcznik. Teraz jest twardą mieszkanką Nowego Jorku. Naturalnie, że poradzi sobie sama na ślubie Tash. W uszach zabrzmiał jej głos Cat: „Nie potrzebuję mężczyzny”. Racja. Freya pozbiierała ubrania i ruszyła do siebie. Kiedy mijala drzwi Jacka, do jej uszu dobiegł dźwięk tak znajomy, że w środku przyjęcia rozpoznałaby go z zawiązanymi oczyma. „Hmm” - Jack zawsze tak chrząkał.

Przystanąła i przez zamknięte drzwi zawołała:

- To ty, Jack?

- Tak.

- Co robisz?

- Nic.

- Brzmi zabawnie.

Odpowiedziało jej milczenie. Freya ujęła się pod boki.

- Cudownie poradziłeś sobie z tym klimatyzatorem.

Cisza. Wrócił do mieszkania, kiedy brała prysznic, czy może tkwił u siebie przez cały czas? Wzruszyła ramionami i weszła do swego pokoju.

Kiedy ubrała się w szorty i spłowiła bawełnianą bluzeczkę, znowu było jej gorąco. Postanowiła dokończyć piwo. W kuchni zastała Jacka siedzącego na krześle przed otwartą lodówką, z gołymi stopami opartymi na dolnej półce. Nawet na nią nie spojrział.

- Mogę się przyłączyć? - zapytała.

- Jasne.

Przyciągnęła sobie krzesło, a Jack przesunął stopy, robiąc dla niej miejsce w lodówce. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, gapiąc się na rzędy słoików z majonezem, marynatami i galaretką.

- Gorąco - odezwała się wreszcie Freya.

- Tak. - Jack przetarł twarz dłonią. Wyglądał na wyczerpanego.

- Mylę się, czy faktycznie ty i Candace mieliście dzisiaj jeść kolację z twoim ojcem?

- Faktycznie.

- Więc co się stało?

- Nie poszedłem.

- Dlaczego?

- To było ponad moje siły.

- Aha.

Freya zerknęła na Jacka. Co się z nim dzieje? Powiedziałyby, że się dąsa, gdyby nie to, że nigdy tego nie robił.

- A gdzie jest Candace? - zaryzykowała.

- Poszła sama. Tata chce jej pokazać swoje stare łowiska.

- Szczęściara z niej.

Jack wzruszył ramionami, jakby poczynania dziewczyny nic go nie obchodziły.

Freya spróbowała z innej beczki.

- A jak się udał lunch z Ellą?

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Och.

Tak więc siedzieli w milczeniu w dusznej kuchni, aż wreszcie lodówka zaczęła buczeć z wysiłku. Ponury nastrój emanował z Jacka jak trujący gaz. Ale jeśli naprawdę stało się coś złego? Frei nie podobało się, że jest taki załamany.

- Hej - szturchnęła go w nogę. - Ja nie mam żadnych planów na wieczór, ty nie masz żadnych planów na wieczór. Chodźmy razem do kina. Przynajmniej będzie tam porządna klimatyzacja.

- Nie mam ochoty. Idź sama.

- Nie bądź taki nudziarz.

- Lubię być nudziarzem.
 - Dajże spokój. - Freya wstała. - Żadna zabawa iść w pojedynkę. Uniósł głowę i spojrzał na nią z rozpaczą.
 - Na pewno chcesz obejrzeć jakieś głupie romansidło.
 - Nieprawda. - Przekrzywiła głowę. - A przy okazji, jaki jest męski odpowiednik romansidła? Kutasidło? „Hej, Buzz, rzuć mi tę broń na kosmitów, będę ćwiczył małą krok i usuwał sobie szare komórki” - powiedziała niskim głosem.
 - Kutasidło... - mruknął Jack, ale na jego twarzy pojawił się ślad uśmiechu.
 - Kupię popcorn - zaproponowała.
 - Założę się, że masło będzie zjełczałe.
 - To nie zjemy! - Freya z hałasem odstawiła krzesło. - Wstawaj, le-niuchu. Sprawdźmy, co leci. Poprawisz mi humor swoją żywą inteligencją i błyskotliwymi ripostami.
 - Uch - jęknął Jack, poruszając gołymi palcami u stóp. - Będę musiał włożyć jakieś buty. - W jego ustach zabrzmiało to jak wyczyn równy zdobyciu Everestu.
 - Więc włóż! No, ruszaj się już!
- Jack kopnięciem zamknął drzwi lodówki i z wysiłkiem podniósł się z krzesła.
- Nikt by nie powiedział, że lubisz się rządzić.
 - Właściwe określenie brzmi: jestem zdecydowana.
 - Oszalałbym, gdybym był twoim mężem.
 - Gdybym była twoją żoną, już dawno wylądowałabym w klinice psychiatrycznej.

Freya poszła po pantofle i torebkę, a później czekała przed domem, aż Jack zamknie drzwi na klucz. Ruszyli chodnikiem, starając się trzymać w cieniu rzucanym przez korony drzew. W połowie ulicy jak zwykle na ganku siedział stary Włoch w obwisłym szarym podkoszulku i pił piwo; kiedy go mijali, przyjacielsko kiwnął głową. Freya zaczynała lubić Chelsea, te ciche uliczki z eleganckimi kamienicami z czerwonej cegły, z których wiele nie zostało jeszcze zajętych przez yuppies i dalej mieszkwały w nich liczne rodziny, płacące ustalony przez miasto czynsz. Podobaly jej się małe placzki zabaw i ukryte ogrody porośnięte bluszczem, zardzewiałe żeliwne ogrodzenia i balustrady zdobione ananasami i liśćmi akantu, a także to, że każdy tutejszy mieszkaniec był najwyraźniej posiadaczem wielkiego, kudłatego i ukochanego psa. Pięć minut drogi dzieli to miejsce od Filene's Basement, gdzie można pogrzebać w przecenionych

butach od najlepszych szewców albo od molo, z którego rozciąga się widok na Hudson aż do samej Statui Wolności. Nowe tereny sportowe nad rzeką były już na ukończeniu: ludzie w każdym wieku i wszystkich możliwych kolorów skóry przyjeżdżali tam grać w golfa albo w hokeja na rolkach. Pewnego dnia Freya ze zdziwieniem zerknęła za ogrodzenie i zobaczyła młodą kobietę w bryczesach i wysokich butach trenującą konia. To był Nowy Jork - miejsce, gdzie ludzie łapią przyjemności za kark i wyciskają jak cytrynę.

Najpierw wstąpili do wielkiej księgarni przy Siódmej Alei, gdzie na szczęście była klimatyzacja. Jack poszedł szukać gazety z repertuarem kin, Freya zajęła się wyborem odpowiedniej karty dla Tash. Być może nie łączyło ich głębokie siostrzane uczucie, ale postawiła sobie za punkt honoru, by nikt w jej zachowaniu nie znalazł śladu uchybienia. Zapłaciła i rozejrzała się za Jackiem. W końcu dostrzegła go przy długiej ladzie, gdzie najwyraźniej zmieniał układ wystawionych tytułów. Uderzyła ją pewna ukradkowość jego gestów, przystanęła więc i patrzyła, jak przegląda stos identycznie wyglądających egzemplarzy. Na litość boską, co on właściwie wyprawia? Brał książkę za grzbiet i pośpiesznie kartkował - o wiele za szybko, by cokolwiek przeczytać, raczej już, by sprawdzić, czy nie ma w niej czegoś ukrytego. Później ją odkładał, ale nie z powrotem na stos, tylko na spód pod inne tytuły. Pełną minutę obserwowała, jak Jack powtarza całą procedurę, później cicho do niego podeszła.

- Co ty robisz, Jack?

- Nic.

Z trzaskiem zamknął książkę. Zobaczyła, że to „Kciuk Vanderbilta” Carsona McGuire'a, po czym spojrzała na ladę. Zauważyła, że każdy stos innego tytułu zawiera jeden egzemplarz książki McGuire'a, zwykle gdzieś na spodzie, natomiast nie ma osobnego zbioru „Kciuka Vanderbilta”.

- Chodźmy - polecił, wyprowadzając ją na zewnątrz.

Freya pomyślała o wszystkich tych okazjach, gdy odwiedzała księgarnie wyłącznie po to, by położyć „Wielkie niebo” na górze stosów z bestsellerami.

- To trochę nieuczciwe, prawda? - odezwała się, gdy byli już na ulicy.

- Co złego zrobił ci Carson McGuire, że chowasz jego książki?

Jack potrząsnął głową.

- Sprawdzam tylko, czy naprawdę się sprzedaje, czy to tylko reklamy humbug. Zawsze, kiedy widzę taki wielki stos, biorę wierzchni egzemplarz i leciutko zaginam róg jednej strony, dokładnie mówiąc 313.

A potem sprawdzam, czy książka została sprzedana, czy to ten sam stary układ.

- I strona 313 była zagięta?
 - Nie - wyznał Jack.
 - Ale mimo to schowałeś książki.
 - Ludzie mogą poprosić o egzemplarz, jeśli naprawdę im zależy.
- Freya śmiechem skomentowała te żalose sztuczki.

- Jesteś zazdrosny!

Jack machnął potężnymi rękoma.

- Przestań mi mówić, jaki jestem! - warknął. - Nie znasz mnie. Nikt mnie nie zna.

Freya cofnęła się zaszokowana. Już otworzyła usta, by na niego wrzasnąć, ale zobaczyła, że naprawdę jest zdenerwowany. Zamiast tego więc delikatnie pociągnęła za gazetę, którą trzymał pod pachą, i neutralnym głosem zapytała:

- Może sprawdzimy repertuar?

Przystanęli pod sklepową markizą i schylili głowy nad gazetą. Nagle Freya zawołała:

- Patrz! Grają „Wyższe sfery”!

- Sentymentalne - sprzeciwił się Jack.

- Romantyczne - poprawiła go Freya.

- Bing Crosby? - Jack z niedowierzaniem uniósł brwi.

- Frank Sinatra - przypomniała mu. - Cole Porter. Grace Kelly... w kostiumie kąpielowym.

- Okay, wygrałaś.

Był to doskonały wybór. Siedzieli w ostatnim rzędzie pustawej sali, trzymając nogi na siedzeniach przed sobą, i machinalnie skubali popcorn, który ulokowali pomiędzy łokciami w sposób wymyślony przed laty. Ich zły nastrój prysnął, gdy zaczął się film i z ekranu spłynęła magia, otulając ich słoneczną, szaloną atmosferą ślubu w wyższych sferach lat pięćdziesiątych. Crosby śpiewał o eleganckim przyjęciu. Sinatra mówił Grace Kelly, że nic go nie obchodzi, czy nazywają ją „jasną panną z lodu”, bo jest po prostu olśniewająca. Sama Kelly, nieprawdopodobnie zachwycająca, płynęła przez ekran i usiłowała się zdecydować, czy powinna wyjść za zarozumiałego głupca, z którym jest zaręczona, dziennikarza, który bez owijania w bawełnę mówi jej prawdę o życiu, czy też za mężczyznę, którego cały czas kochała, lecz nie mogła się do tego przyznać. Było to klasyczne romansidło, wciągające widza od pierwszej minuty. Kiedy skończyły się napisy, Jack i Freya wygramolili się z foteli z

głupawymi uśmiechami na twarzach. Wyszli przed kino i czekali, aż ich ciała na nowo przyzwyczają się do miejskiego upału i pośpiechu.

Jack zdjął okulary i schował do kieszeni.

- Głodna? - zapytał wesoło.

Zmysłowo, jak Grace Kelly, wzruszyła ramionami.

- Co powiesz o lodach w tej włoskiej knajpce na Broome Street?

- Café Pisa? Jest przy Mulberry, a nie Broome.

- Mylisz się.

- Ty się mylisz.

W końcu znaleźli wąskie drzwi wejściowe, przy których stała doniczka z brązowiejącym iglakiem. W oknie widniała plastikowa replika Krzywej Wieży.

- Ha! Broome Street - skomentował Jack.

Freya lekceważąco machnęła ręką.

- Musieli się przenieść.

Minęli bar, przy którym na wysokich stołkach siedzieli staruszkowie, pijąc grappe, i z hałaśliwej i zatłoczonej sali jadalnej wyszli na patio oświetlone kolorowymi lampami. Autentyczności dodawały wznoszące się w kątach betonowe kolumny, o mgliście jońskim charakterze. Z głośnika wyregulowanego na niebezpieczną moc płynęły sentymentalne piosenki o *l'amore*. Jack i Freya zamówili lody i kawę, a potem siedzieli w przyjacielskim milczeniu pod parasolem reklamującym martini. Jack obracał w kółko popielniczką, Freya oparła głowę na jednej ręce, drugą kreśląc wzory na zakurzonej blacie. Czekala, aż Jack wreszcie jej powie, co go gryzie.

W końcu spojrzał na nią.

- Wydawnictwo zerwało umowę na moją powieść.

- Co takiego? - Freya wyprostowała się gwałtownie.

- Dlatego Ella chciała się ze mną widzieć. W firmie pojawiła się nowa miotła, która za swą misję dziejową uważa usunięcie wszelkich zaszłości, do których najwyraźniej mnie także zalicza.

- Boże wielki, Jack, mogą tak zrobić?

Wszystko wskazywało na to, że mogą, pomimo protestów i błagań jego lojalnej redaktorki. Jack nie dotrzymał terminu. Nowe szefostwo nie tylko unieważniło kontrakt z powodu „braku postępów”, ale także zażądało zwrotu zaliczki, którą Jack otrzymał - i już wydał.

- Prawdziwą bombą - ciągnął Jack - jest to, że akurat teraz tata postanowił odciąć mi dopływ gotówki. Koniec z pensją.

- Nieprawda.
- Więc nie mogę oddać pieniędzy. Ani skończyć książki, bo nie mam z czego żyć. Jestem załatwiony na czysto.
- To straszne, Jack, tak mi przykro. - Osobiście Freya uważała, że gdyby nie marnował tyle czasu na przyjęcia z okazji promocji książek i pustogłowe laleczki, już dawno skończyłby swoją powieść, ale był tak przygnębiony, że nie miała serca mówić tego głośno. - I co zrobisz?
- Nie wiem.
- A co o tym myśli Candace?
- Jeszcze nic jej nie mówiłem.
- Rozumiem.
- Będę musiał zrezygnować z mieszkania, a może nawet na dobre wyprowadzić się z Nowego Jorku. I poszukać sobie jakiejś roboty. - Przeszedł palcami gęste, zmierzwiłone włosy. Po raz pierwszy Freya zauważyła dwie słabe linie przecinające jego czoło. - Sam nie wiem.
- Przynajmniej o mnie nie musisz się martwić - powiedziała. - Znalazłam sobie lokal na podnajem.
- Wyprowadzasz się? - W jego głosie zabrzmiało zdziwienie.
- Tak. W środę przed wyjazdem do Anglii przenoszę moje rzeczy do nowego mieszkania.
- A tak... Anglia - Jack zmarszczył czoło. - Wyszło mi to z głowy. - Wyskrobał resztkę lodów, a później z brząkami wrzucił łyżeczkę do pucharka. - Ha, moje życie spłynęło ze ściekami. A jakie ty masz usprawiedliwienie?
- Na co niby?
- Na swoje dziwaczne zachowanie przez kilka ostatnich tygodni. Czymś się martwisz, widzę to wyraźnie.
- Nieprawda - Freya wojowniczo wysunęła podbródek. - A w moim zachowaniu nie było nic dziwnego.
- Poza tym, przyznała w duchu, że odpowiadała na ogłoszenia samotnych serc, podrywała młodych mężczyzn, pisała anonimowe listy, symulowała akt płciowy i udawała meksykańską służącą.
- Jack spojrział na nią uważnie.
- Mnie nie oszukasz - oznajmił.
- I w końcu Freya złapała się na tym, że próbuje wyjaśnić mu problem samotnej kobiety w określonym wieku, która bez partnera jedzie na ślub o wiele młodszej siostry, co gorsza przyrodniej. Było to zajęcie syzyfowe.
- Ale w czym rzecz? - pytał zdezorientowany Jack. - Poderwiesz sobie

kogoś na miejscu. Wesela zawsze były dla mnie świetną okazją do udanych łowów.

- Bo jesteś mężczyzną.

- I co z tego?

Freya wytrzeszczyła na niego oczy.

- A według ciebie kto mnie poderwie?

- Ja bym cię poderwał.

- Na pewno nie, zwłaszcza kiedy wokół pełno będzie uroczych dwudziestopięciolatek.

- A, rozumiem twój punkt widzenia. Mimo to poderwałbym ciebie - uśmiechnął się z triumfem. - A skoro mowa o uroczych dwudziestopięciolatkach, to dlaczego nie zabierzesz ze sobą Małego Lorda Fauntleroy?

- To już skończone, jeśli na myśli masz Bretta. - Freya zdecydowanie spłotła ręce. - Nie, pojedę sama. Przynajmniej nikt mi nie będzie przeszkadzał, kiedy spotkam mój Ideał. Poprawka: to będzie lord Ideał.

Jack się skrzywił.

- Nie możesz tego zrobić.

- Dlaczego nie? Przed chwilą powiedziałaś, że śluby to bogate tereny łowieckie.

- Jeszcze zostaniesz w Anglii i zaczniesz nosić szale na głowie. I nigdy więcej cię nie zobaczę.

- No i co z tego? Sam przecież mówiłeś, że wyjedziesz z Nowego Jorku.

- Tak, ale...

- Popatrz, niewykluczone, że za kilka miesięcy ani ciebie, ani mnie tu nie będzie.

Jack wydawał się zszokowany tą ewentualnością, zaraz jednak bezradnie wzruszył ramionami.

- Masz rację.

- Ale pamiętaj, niezależnie od tego, gdzie będziemy, stawiasz mi urodzinową kolację. Zakład to zakład.

- Ósmego o ósmej - skinął głową Jack. - Możesz na mnie liczyć.

- No, chyba że zostanę lady Ideał.

- A ja będę dziękował za Pulitzera - roześmiał się cynicznie. - Widziałś ostatnio latające świnie?

Nagle Freya poczuła się kompletnie pokonana. Rozpostarła ramiona i odchyliła się do tyłu, zapatrzona w rdzawo-czarne niebo, z którego niemal zniknęły blade gwiazdy, stłumione miejską elektryczną poświatą.

Dawno temu miała długie jasne włosy, szaloną energię, przebierała w ofertach pracy, mężczyznach i zaproszeniach na przyjęcia, otaczali ją przyjaciele, a przed nią rozciągała się kusząca i tajemnicza przyszłość. Dawno temu Jack był najprzystojniejszym mężczyzną w mieście, miał wielkie szczęście i jeszcze większy talent. A teraz co? Jest załamany, a jego kariera wisi na włosku, ona zaś stała się żalostną trzydziestoparolatką, która nie chce jechać do domu na ślub bez męskiego towarzystwa. Dotarli do końca torów, do ostatniego przystanku.

Wyprostowała się, wzdychając głęboko, i popatrzyła Jackowi w oczy.

- Kto chce być milionerem? - zanucił cicho.

- Ja - odparła Freya.

Uśmiechnęli się do siebie przyjacielsko.

Koło nich przeszła kelnerka. Jack ją zatrzymał.

- Proszę dwie grappy.

- Nie chcę alkoholu - zaprotestowała Freya.

- Ależ tak.

- Nie.

Kelnerka wodziła po ich twarzach zaskoczonym wzrokiem. Jack uśmiechnął się do niej konspiracyjnie.

- *Due grappa, per favore.*

Freya z niesmakiem patrzyła, jak kelnerka, która na pewno przekroczyła już pięćdziesiątkę, rozplynęła się cała w kokieteryjnych uśmiechach i kołyszac biodrami, poszła po drinki. Wróciła po minucie, a stawiając szklanki na stole, nachyliła się nisko i obdarzyła Jacka śmiałym spojrzeniem. Ależ niektóre kobiety się narzucają! Freya podparła brodę na dłoni i ponuro zapatrzyła się w przestrzeń.

Nagle poczuła, że Jack dźga ją boleśnie palcem w ramię.

- Wpadłem na rewelacyjny pomysł! - oznajmił.

- Przestań natychmiast! - Freya odepchnęła jego dłoń.

- Posłuchaj. - Przyniósł krzesło bliżej stołu. - Chcesz, żeby ktoś pojechał z tobą na ten ślub, prawda?

Przewróciła oczyma.

- Dziesięć punktów na dziesięć.

- Ktoś godny szacunku?

- Tak.

- Przystojny?

- Oczywiście.

- Kogo lubisz?

- O ile to możliwe.

- I mężczyzna.
- Cha, cha.
- No właśnie. - Usiadł prosto i skrzyżował ramiona na piersi.
- Co: „no właśnie”?

Jack uniósł brwi, jakby odpowiedź na to pytanie była oczywista. Freya uniosła brwi, by pokazać mu, że wcale tak nie jest. Rozpostarł ręce.

- Ja z tobą pojadę.
- Freya gapiała się na niego chwilę, a później wybuchnęła śmiechem.
- Nie bądź niemądry.

Zrobiło mu się przykro.

- Nie znoszę sposobu, w jaki zawsze to mówisz. A co w tym niemądrego?

Westchnęła z rozpaczą.

- Nic nie rozumiesz. Mam tam pojechać ze swoim chłopakiem.
- No to co? Nie mogę poudawać, że jestem twoim chłopakiem? To tylko kilka dni.

- Cztery. Od czwartku do niedzieli. Będziemy mieszkać w jednym pokoju. Musisz trzymać mnie za rękę, spoglądać mi w oczy i udawać, że jestem cudowna.

- I właśnie to najlepiej mi wychodzi!
- Tylko że nie będziesz mógł latać za druhnami, upijać się i sprzeciwiać mi przez cały czas.
- Czy ktoś ośmieliłby ci się sprzeciwić?
- I musisz być czarujący.
- Ja jestem czarujący! „Proszę wybaczyć, lady Basset, ale wydaje mi się, że to pani lorgnon”.

- Och, Jack... - roześmiała się Freya wbrew sobie.

- No czemu nie? - zapytał. - To będzie świetna zabawa.

- Popatrz na swoje ubrania.

- Mam prawdziwe ubrania, tylko ich nie noszę.

- I włosy.

- Zawsze miałem taką fryzurę!

- Właśnie.

- A jeśli się ostrzyżę... dla ciebie? Trach, trach...

Włączył ten swój południowy wdzięk na maksimum. Freya próbowała zachować poważną minę.

- Chcesz mieć pretekst, żeby uciec od swoich problemów - powiedziała surowo.

- Chcę ci pomóc.

- Naprawdę?

Drgnęła, gdy wziął ją za rękę.

- Możemy pomóc sobie wzajemnie - poprawił się szybko.

Jego usta objął znajomy, kpiący uśmiech, lecz niebieskie oczy były poważne. Freya czuła w swojej dłoni jego dłoń, suchą i ciepłą, czuła mocny uścisk jego palców. Jack, pomyślała. Jack?...

Uwolniła rękę i podniosła szklaneczkę z grappa, wpatrując się w wirujący płyn. Ogarnęło ją przemożne pragnienie, jak gdyby znajdowała się na chybottliwym najwyższym punkcie Cyklonu i czekała na podniecający, przerażający zjazd prosto w przepaść. Podniosła szklaneczkę do ust i opróżniła jednym piekącym haustem, a potem odstawiła głośno na stół. Jej oczy, zamglone od alkoholu, spojrzały na Jacka.

- Zgoda, dostałeś tę robotę.

Rozdział dwudziesty drugi

Fajny materac.

Jack skakał na łóżku, a przy każdym ruchu z narzuty sypały się drobinki kurzu. Uniósł kapę i zerknął w półmrok. Nie zdziwiłby się, gdyby cała rodzina myszy tam mieszkała - i to od wielu pokoleń, od czasów królowej Elżbiety I. Lord Mysz i lady Myszowa z gromadką arystokratycznych myszątek. Wyobraził sobie ich herb: gryzoń stojący na kawałku cheddara i łacińskie motto: „In loźnicum non cotum”. Położył się na plecach, chichocząc pod nosem. Ten różowy alkohol, którym poczęstował go ojciec Frei, miał niezłą moc.

- Cieszę się, że ci się podoba. - Freya otwierała walizkę. - Będziesz mógł lepiej podziwiać go stąd - wskazała ręką kierunek - z tego szezlonga.

Jack uniósł się na łokciu, by dokładniej obejrzeć podłużny mebel, który wyglądał jak skrzyżowanie pryczy więziennej ze staromodnym fotелеm dentystycznym.

- Dajże spokój, jestem na to za wysoki. Chcesz, żebym pojawił się na ślubie z garbem dzwonnika z Notre Dame?

- Nie mów „noder dejm”. Jesteś w Europie. Preferowana wymowa brzmi: „notrrre dahm”. I przestań robić takie straszne miny.

- Qui, madame. Ale ja na tym nie śpię.

- Jedno z nas musi. My tylko udajemy, że jesteśmy parą.

- Cóż za ulga. Nie wiem, jak długo jeszcze dam radę znościć tę ciepłą bliskość. Ha! Chybiłaś!

Przechylił się przez krawędź łóżka i podniósł pocisk, którym rzuciła w niego Freya: jeden z jej butów. (Przywiozła ze sobą osiem par - osiem! - o czym przekonał się, kiedy na lotnisku zaproponował, że poniesie jej

walizkę i o mało nie wyrwał sobie ramienia ze stawu). Odwrócił but w dłoniach, dziwiąc się kruchości cienkiego obcasa i wąziutkim paseczkom, które jakimś cudem trzymały całość na stopie. Odrzucił jej pantofelek ze słowami:

- Masz, Kopciuszku.

Bez komentarza wstawiła go do wielkiej rzeźbionej komody, która pod niebezpiecznym kątem pochylała się na nierównej podłodze, i dalej rozpakowywała ubrania. Jack postanowił zająć się tym samym.

Była napięta jak sprężyna, odkąd przylecieli do Anglii. Przez pierwszą mniej więcej godzinę długiej jazdy do Kornwalii Jack prawie w ogóle nie patrzył na mijany krajobraz; ciągle zerkał na szybkościomierz, którego wskazówka tkwiła jak przyklejona w okolicach dziewięćdziesiątki. Freya prowadziła samochód tak, jak robiła wszystko inne: szybko, agresywnie, na granicy ryzyka.

- Wiltshire - mówiła, gdy pędzili trójpasmową autostradą. - Somerset... Devon.

Nie wyglądała na zmęczoną. Kiedy cicho się poskarżył na bezsenność, spędzoną w niewygodnym fotelu klasy turystycznej, odparła zdecydowanym tonem, że nie wierzy w złe skutki zmiany czasu. Nie ośmielił się wspomnieć nawet o lunchu i w końcu znalazł ratunek we śnie.

Kiedy się obudził wczesnym popołudniem, za oknem ujrzał zadziwiający widok: na szczytach wzgórz obracały skrzydłami nowoczesne wiatraki, które przywodziły na myśl żelazne potwory prosto z kart powieści G. H. Wellsa. Freya wyjaśniła, że są już w Kornwalii. Jack włożył okulary i rozejrzał się z ciekawością. Był w Anglii kilka razy, ale nie wyjeżdżał poza Londyn i typowe turystyczne trasy; nigdy też nie odwiedzał prawdziwych Anglików w ich prawdziwych domach. Na pierwszy rzut oka Kornwalia wydawała się cokolwiek upiorna, stanowiła mieszaninę strasznych trzęsawisk i ponurych granitowych miasteczek. Drogowskazy kierowały podróżnych do miejscowości noszących takie nazwy jak Ventongimps, Zelah i Goonhaver. Jack zauważył wysoki komin fabryczny, wznoszący się tajemniczo z porośniętego krzakami pola; Freya powiedziała, że to pozostałość po starej kopalni cyny. Jechali po gładkiej szarej wstążce drogi, raz prowadzącej w dół, raz w górę. Stopniowo krajobraz tracił szorstkie kontury i coraz więcej miejsca zajmowały rozległe łąki, na których pasły się łaciate krowy. Mijali małe, ciche wioski - w każdej z nich obowiązkowo znajdowały się pub i kwadratowa kościelna wieża. Ręcznie wykonane szyldy reklamowały pola kempingowe, trasy turystyczne, truskawki prosto z krzaka, wiejskie festyny, świeże makrele,

a w jednym intrygującym wypadku: „Suki - w dobre ręce za darmo”. Drzewa, coraz rzadsze i bardziej karłowate, przycięte były w dziwaczne kształty, przypominające odwrócone przez wiatr parasole. Kolczaste, podobne do palm rośliny wyrastały nieoczekiwanie na frontowych trawnikach - bardziej jak na Florydzie, a nie w Anglii. Krajobraz stawał się bardziej płaski i wszystko ginęło w srebrzystej mgłę. Jack poczuł podniecenie; zbliżali się do morza.

- Za następnym wzgórzem - odezwała się Freya, czytając mu w myślach.

I rzeczywiście, kiedy znowu wjechali na wzniesienie, ich oczom ukazał się radujący serce widok połyskliwej wody, przy horyzoncie nabierającej barwy ciemnego błękitu. Freya spojrzała na Jacka z takim uśmiechem, jakby sama to wyczarowała.

Wkrótce też skręcili z głównej drogi i znaleźli się w labiryncie ścieżek prowadzących do zalesionych, poprzecinanych strumykami dolinek. Gęsty żywopłot i białe kwiatki wskazywały im drogę. Nowy Jork wydawał się nieprawdopodobnie daleki. Jack otworzył okno i wciągnął w płuca słodkie angielskie powietrze. Na czystym niebie świeciło piękne słońce. Jack wziął to za dobry znak.

Na końcu drogi Freya wjechała w bramę wyznaczoną zwietrzałymi kamiennymi słupami.

- To tutaj - oznajmiła, dodając gazu na wąskim podjeździe, z obu stron porośniętym gęsto drzewami, z których jedno, sękaty i pokrzywiony, gięły się pod ciężarem wieku, inne zaś wznosiły się prosto do nieba, gładkie i szare jak skóra słonia. Przedzierające się przez korony promienie słońca znaczyły zielonymi plamami wyboistą drogę. Jechali tak prawie kilometr i Jack zaczął w myślach korygować swoje wyobrażenie o „wielkim starym domu”, jak Freya czasem go nazywała. Nigdy nie opowiadała za wiele o swoich krewnych, aczkolwiek w samolocie pokrótce zaznajomiła Jacka z najważniejszymi faktami dotyczącymi jej „upiernej” przyrodniej rodziny. Drzewiasta alejka się skończyła i opony z grzechotem uderzyły o żwir. Z jednej strony na zboczu rozciągały się pastwiska dla owiec, graniczące z mrocznym lasem. Morza nie było stąd widać, choć Jack wyczuwał jego obecność w świetlistym niebie. Na wprost, ocieniony ładnie rozplanowanymi kępami drzew, wznosił się obszerny dwór z szarego kamienia. Wyglądał na bardzo stary - miał ze czterysta lat? A może sześćset? Jack otworzył szeroko oczy. Domostwo zdobiły szczyty romantycznie porośnięte bluszczem; ogromne centralne okno, wysokie na dwa piętra, podzielone było na małe szybki błyszczące

niczym brylanty. Z dachu pokrytego starym łupkiem wyrastał rząd ceglanych kominów. Dalej rozrzucone były inne zabudowania: wieża z zegarem i kopuła czegoś, co wyglądało jak kaplica.

- Nie mówiłaś, że mieszkasz w takim miejscu.

- Bo to nieprawda. Mieszkam w Nowym Jorku. To dom mojej macochy.

Całość sprawiała wrażenie miejsca, gdzie wierni dzierżawcy gromadzą się przy głównym wejściu, by powitać wysiadającą z powozu jej księżącą wysokość - ale najwidoczniej Jack oglądał za dużo filmów kostiumowych. W prawdziwym życiu Freya okrążyła dom i przez kamienną arkadę wjechała na dziedziniec, gdzie stały byle jak zaparkowane zakurzone auta, na sznurze schły ścierki do naczyń, tu i tam wznosiły się stosy cegieł, w krzywej donicy rosło geranium i biegały kury. Trzask zamykanych drzwiczek nie zwabił żadnej ważnej osobistości, poza machającym ogonem labradorem, którego Freya przedstawiła jako Bedivere'a.

Poprowadziła Jacka ciemnym korytarzem, gdzie stały zabłocone buty i wały się puste butelki po winie, a na mosiężnych hakach wisiały płaszcze i kapelusze, sieci rybackie, zwinięte sznury, reklamówki i psie smycze. Weszli do wielkiego pomieszczenia z belkowanym sufitem, kamienną podłogą i oknami na przestrzał. Jack zamrugał gwałtownie, tak jaskrawe wydało mu się słoneczne światło. Uznał, że jest to kuchnia, choć w typie całkiem mu nieznanym: nie było tu wiszących szafek i błyszczących urządzeń, a nawet lodówki, chyba że za ów sprzęt należało uznać tę miniaturową skrzynkę pokrytą magnesami w kształcie lejących kaczek. Przy jednej ścianie ustawiono wielki kredens zapchany kubkami i talerzami. Na blacie wznosiły się nieporządnie stosy gazet i listów, plastikowe doniczki, klamerki do bielizny, paczki z nasionami i szczotka do włosów. Obok znajdował się głęboki kwadratowy zlewozmywak z matornymi mosiężnymi kranami i żółtą plamą znaczącą miejsce, gdzie kapłała woda. Na środku pomieszczenia stał długi dębowy stół nakryty na pięć osób. Coś bulgotało na śmiesznie wyglądającej staroświeckiej kuchni, której palniki ochraniały okrągłe metalowe pokrywy, przypominające luki wentylacyjne na łodzi podwodnej. W powietrzu unosił się smakowity zapach, doprawiony dodatkowo aromatem groszku z kamionkowego naczynia i szczyptą odoru psiego posłania.

- Chyba są na zewnątrz - krótko zawyrokowała Freya.

Podeszła do otwartego okna i - tak jakby było to najzupełniej normalne - wdrapała się na parapet po solidnym pniu, ustawionym do tego

właśnie celu, po czym zeskoczyła na drugą stronę. Jack wygramolił się za nią, ogarnięty uczuciem, że przechodzi przez lustro do zachwycającego czarodziejskiego świata. Znalazł się w małym ogrodzie, otoczonym wysokim żywopłotem i podzielonym na cztery części kamiennymi ścieżkami. Nad grządkami, na których rosły żółte i czerwone kwiaty, unosiły się aromatyczne wonie i brzęczały pszczoły.

Freya ruszyła ku półokrągłemu przejściu w żywopłocie, zaraz jednak przystanęła, by zaczekać na Jacka. Gdzieś z bliska dobiegały kobiece głosy.

- Ale, mamó, to jest mój ślub - sprzeciwiał się jeden z uporem.

- Wiem, kochanie, tylko że po prostu nie możesz poprosić wielobnego Thwackera, by w kościele odczytał fragmenty „Pieśni nad pieśniami”. Co o tym sądzisz, Guy?

Rozległ się odgłos drewna uderzanego o drewno, a później cichszy stuk, i męski głos z triumfem zawołał:

- Mam cię!

Jack poczuł, że ramię ściska mu stalowa dłoń.

- Pamiętaj - rozkazała Freya - chłopak. Szaleńczo zakochany. Jestem cudowna.

Ogarnęła go irytacja. Odegra tę rolę na własny sposób. Był zupełnie pewny, że oczaruje całą rodzinę - łącznie z Freyą. Wziął jej rękę i włożył sobie pod ramię; jego przyjaciółka była wyraźnie spięta.

- Mów do mnie „kochanie”, to wystarczy - powiedział, po czym ramię w ramię przeszli na drugą stronę.

Ich oczom ukazała się archetypiczna angielska scena. Na wprost ciągnął się długi, równy trawiasty chodnik, oznaczony stokrotkami i otoczony wysokim żywopłotem, za którym widać było zielone zbocza wzgórz. Jedno z tych eleganckich iglastych drzew - cyprys? cedr? - rzucało cień na pasiaste leżaki i żeliwny stolik z napojami. Na początku nikt nie zwrócił na nich uwagi. Dwie kobiety stały plecami do nich, oparte na kijach do krokietu, i obserwowały mężczyznę w kapeluszu panama, przymierzającego się do piłki. Uderzył, wyprostował się, osłonił oczy i wykrzyknął z radością:

- Freya!

Ona zaś pociągnęła Jacka kilka kroków do przodu, a później niepewnie przystanęła.

Mężczyzna pośpieszył w ich stronę. Był wysoki i szczupły, i tak podobny do córki, że Jack z trudem powstrzymał głośny śmiech: ten sam owal twarzy, ten sam długi nos i ukośny uśmiech, nawet ten sam układ

ramion i głowy. Różnili się tylko kolorystyką: oczy i włosy Freya musiały odziedziczyć po matce.

- Jesteś wreszcie. - Ojciec zamknął córkę w żywiołowym, ciepłym uścisku. - Cudownie! - Poglądził ją po głowie z czułością.

- Witaj, Freyo. Miło cię widzieć.

To pewnie Annabelle, ładna starsza kobieta w kwiecistej spódnicy do połowy łydki i białej bluzce. Ciemne włosy, poznaczone pasemkami siwizny, szesane były z szerokiego czoła i przytrzymane opaską. Twarz miała zmęczoną, ale miłą i wcale nie wyglądała na złośliwą macochę. Freya pozwoliła jej pocałować się w oba policzki.

Z tyłu stała młodsza z kobiet, wymachując kijem. Była to śliczna brunetka z ciemną cerą, pełnymi ustami i skośnymi oczyma, które znacząco spoglądały na Jacka. Miała na sobie białe spodnie obcięte tuż pod kolanami i bluzkę bez rękawów, która odsłaniała gładkie krągłe ramiona.

- Cześć, Freyo.

- Cześć, Tash.

Trzymały się na dystans, mierząc jedna drugą badawczym wzrokiem i uśmiechając się z wysiłkiem. Oho! - pomyślał Jack.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy. Później Annabelle zwróciła się do Jacka z serdecznym uśmiechem.

- A ty pewnie jesteś Michael - odezwała się, wyciągając rękę.

Jack znowu poczuł, że stalowa dłoń łapie go za ramię.

- To jest Jack - oznajmiła Freya wojowniczo. - Mój... przyjaciel, Jack Madison.

- Tak mi przykro... - zarumieniła się Annabelle.

- Przecież ci mówiłam - mruknęła Freya z irytacją.

- Do licha, Freya, ale masz przerób. - Tash rzuciła Jackowi dwuznaczny uśmieszek.

- Z przyjemnością cię gościmy, Jack - odezwał się ojciec Frei. - Jestem Guy Penrose, a to moja żona Annabelle. A teraz pozwól, że zapoznam cię z tajemnicą pimmsa. To dziwny angielski napój, ale jestem pewny, że będzie ci smakował.

Z niejaką ulgą Jack podążył za nim do stolika, z dala od pola bitwy emocjonalnej pomiędzy trzema kobietami. Starszy pan miał cygaro za tknięte za postrzępioną wstążkę panamy. Jack już go polubił. Stali, rozmawiając swobodnie, podczas gdy cienie zaczynały się wydłużać, a błękitne niebo niczym strzały przesywały ptaki. Napój smakował trochę jak poncz, bardzo owocowy, z gałązkami mięty, i Jack wypił go łakomie. Zmęczenie podróży gdzieś zniknęło, a on świetnie się bawił.

- Nie jesteś prawnikiem, prawda? - Tash spoglądała na niego spod swych długich rzęs.

- Nie, prawnikiem był Michael - odparł sucho. Gdyby istotnie łączył go z Freyą romans, poważnie by się już zirytował.

- Od razu tak sobie pomyślałam. Prawnicy są okropnie nuuudni.

- Ha, dzięki - roześmiał się Jack.

- Co was tak rozbawiło? - Nagle przy jego boku znalazła się Freya.

- Och, to ty. - Twarz Natashy stwardniała. - Chciałam ci o czymś powiedzieć. Nie masz pretensji o to, że nie będziesz druhną, prawda?

- Jasne, że nie - odrzekła Freya sztywno.

- Super. Tatuś mówił, że powinnam cię zapytać.

- Nie ma sprawy. Jack nie widzi mnie w różowej satynie.

Przypomniał sobie tamtą wiadomość na sekretarce. To było niewiele ponad tydzień temu - trochę jakby późno, zważywszy, że ślub ma się odbyć za dwa dni.

Tash zatrzepotała palcami przed twarzą siostry.

- Nie chcesz zobaczyć mojego pierścionka?

- O tak. - Freya pochyliła się, by lepiej widzieć. - Naprawdę ładny.

Jej głos nie brzmiał nazbyt ciepło, ale Jack widział, że bardzo się starała.

- Wiesz, to rubiny. Kosztują fortunę. Na szczęście Rolls śpi na pieniądzach. Nie będę musiała po ślubie pracować, w przeciwieństwie do ciebie, biedaczko, która musisz tak harować.

Freya uniosła brew. Oho, pomyślał znowu Jack.

- Śmieszne - powiedziała - sądziłam, że cena wartościowej kobiety sięga ponad rubiny.

- Ktoś chce jeszcze pimmsa? - Jack złapał dzbanek i bez dalszych dociekań rozlał musujący płyn do szklanek.

- Guy, kochanie, czy mógłbyś pomóc im przy bagażu, a ja zajmę się obiadem, dobrze? - odezwała się Annabelle. - Domyślam się, że wy dwoje chcecie się przebrać po tak długiej podróży.

- Świetny pomysł - zgodził się Jack. - Szybki prysznic i będę gotowy na wszystko.

Ku jego zaskoczeniu pozostała czwórka wymieniła porozumiewawcze uśmiechy.

- On jest Amerykaninem - wyjaśniła Freya.

Naturalnie nie było żadnego prysznica. Nawet tak zwana łazienka mało przypominała te, które znał Jack. Mimo iż niezwykle obszerna, z oknem z piękną kamienną futryną, przez Freyę nazywanym „słupkowym”,

wyposażona była w urządzenia, które wiekiem zdawały się dorównywać samemu domowi. Ubikację stanowił wielki mahoniowy tron na podwyższeniu, z czarnym metalowym zbiornikiem nad głową i łańcuchem wprost z sali tortur. Sądząc po usytuowanej tuż obok półki z humorystycznymi magazynami, do zwyczajów Brytyjczyków należało spędzanie mnóstwa czasu w tym miejscu i śmianie się do rozpuku. Na środku królowała gigantyczna wanna na nogach w kształcie łap, z kranem z zimną wodą oznaczonym „gorąca” i z kranem z gorącą wodą oznaczonym „zimna”, o czym Jack boleśnie przekonał się na własnej skórze. Mógł jedynie zakładać, że był to chytry podstęp, mający na celu oszukanie niemieckich najeźdźców w czasie drugiej wojny światowej.

Całe to miejsce było intrygującym połączeniem Domu Horroru i tradycyjnego dworu, w którym straszy. Był tu wielki jak stodoła hol z pięknym belkowanym sufitem. Była Komnata Bessie i Czerwona Komnata, i Komnata Lustrzana, i coś, co ze stoickim spokojem nazywano Kryptą. A także „nowe” skrzydło, dobudowane w osiemnastym wieku. Były też popiersia z brązu, interesujące zegary, byle jak połatane perskie dywany, brzydkie stare kanapy przykryte hinduskimi kapami i malowana chińska szafka, na której leżał sennie mrugający żywy kot. Wszędzie dostrzegało się ślady upływu czasu: kruszejące tynki, popękane boazerie, grzyb na suficie, wystrzępione adamaszkowe kotary. Jack nie potrafił się zdecydować, czy Penrose'owie są bardzo bogaci, czy też bardzo biedni. Freya przez labirynt korytarzy i tylnych klatek schodowych przyprowadziła go do tej wielkiej sypialni z ponurymi sprzętami i wyświechtanym dywanem, nic mu nie tłumacząc, jakby wszystko było zupełnie normalne. Nie szkodzi, jakoś to sobie poskłada. Może nawet napisze o nich powieść. Na razie niebywale interesującym zajęciem było obserwowanie Frei w jej naturalnym środowisku.

Jack nigdy dotąd nie widział jej tak napiętej. Nie wiedział, czy powodem jest rodzina, czy może on. Musiał przyznać, że sam też czuje się dziwnie na myśl o wspólnej sypialni. Potężne łóżko zdawało się rzucać sugestywne aluzje, Freya uciekła się więc do lodowatych manier, a Jack do idiotycznych dowcipów. Ale to jej tak rozpaczliwie zależało na chłopaku, a on zgodził się tę rolę odegrać. W sumie może być niezła zabawa.

Zaczęła się rozpakowywać, poszedł więc w jej ślady. Położył swoją piżamę - przyzwoitą, specjalnie kupioną na tę okazję - na jednej stronie łóżka. Po chwili wahania Freya umieściła swoją - jasnoróżową w czarne kropki - na drugiej. Jack czuł się dość podniecony, aż do momentu kiedy ona wzięła jego piżamę i znacząco przeniosła na szezlong. Przebrać się

poszedł do łazienki, później zniknęła w niej Freya. Wróciła w obcisłych białych spodniach i bluzeczce koloru bzu, w której było jej do twarzy. Podczas gdy ona zajmowała się fryzurą, Jack stał w oknie i podziwiał magiczny widok ogrodu, łąk z pasącymi się owcami, srebrzącego się w oddali morza. Nigdzie nie było śladu dróg, żadnych drutów elektrycznych ani samochodów, niczego, co przypominałoby o dwudziestym wieku. W ogóle by się nie zdziwił, gdyby jutro rano za oknem zobaczył rycerzy potykających się w szrankach albo wieśniaków pływających wokół przyozdobionego majowym kwieciami słupa. W takim miejscu wszystko jest możliwe. Ta myśl bardzo ucieszyła Jacka.

Wreszcie Freya była gotowa; zaszła w niej jakaś subtelna zmiana. Jack otworzył przed nią drzwi i zamasyście się skłonił.

- Ty pierwsza, najdroższa.

Freya odwróciła się ku niemu gwałtownie. Wyglądała na tak urażoną, że musiał się roześmiać.

- Daj spokój, Freyo. Przyjechaliśmy do Anglii. Nie pada. I jesteśmy w sobie szaleńczo zakochani. Wyciśnijmy z tego, ile się da. - Podał jej ramię.

Skapitulowała z nieoczekiwanym uśmiechem.

- Dobrze, kochanie.

I ramię w ramię zeszli po wspaniałych schodach na obiad.

Freya po raz milionowy zmieniła pozycję. Wypróbowała każde możliwe ułożenie na tym idiotycznym szezlongu, i każde było torturą. Kiedy opierała się o wygiętą poręcz, bolała ją szyja. Kiedy leżała płasko, musiała wystawić nogi poza sztywny podłokietnik, przez co krew nie dopływała jej do stóp. Kiedy zwijała się w kłębek, cierpło jej biodro, a podkulone łydki chwytaly skurcze. Przy każdym poruszeniu kołdra zsuwała się, wystawiając jakąś część ciała na chłodne wilgotne powietrze. Dochodziła już druga w nocy, o czym informował ten upiorny zegar przy schodach, który wybijał każdy cholerny kwadrans.

Na zewnątrz sówka robiła to, co sówkom wychodzi najlepiej - pohukiwała. W pokoju rytmicznie pochrapywał Jack, śpiący smacznie w łóżku. Freya płonęła żądzą, by podejść i go obudzić. Jak śmie tak sobie leżeć, zupełnie obojętny na jej cierpienia? Zirytowana usiadła i z gniewem spojrzała w kierunku łoża. Księżyc w pełni bez kłopotu przedzierał się przez przetarte zasłony. Widziała głowę Jacka, rozkosznie wtuloną w puchowe poduszki, i kontury jego ciała. Jak to się stało, że on jest tam, a ona tu?

Opadła na swoje łoże tortur. Sama sobie jest winna. Jack mówił, że na tak obszernym łóżku oboje aż za dobrze się pomieszczą, ale jej nie spodobał się swawolny ton, z jakim to wygłosił. Zaproponowała więc, by prawo do wygodnego posłania rozstrzygnąć za pomocą rzutu monetą. Teraz przeklinała siebie za tę nadmierną uczciwość i przeklinała Jacka, że przyjął wygraną bez skrupułów. Prawdziwy dżentelmen protestowałby, prawdziwy dżentelmen raczej sam spałby na podłodze, niż skazał damę na niewygody.

Tylko że Jack nie jest prawdziwym dżentelmenem, on tylko udaje. Freya ponuro wspominała jego zachowanie przy kolacji, kiedy bezwstydnie czarował całą rodzinę. „Pozwoli pani, że to zaniosę, pani Penrose... Wspaniałe cygaro, panie Penrose”. Nawet Tash powstrzymała się od zwykłych obłudnych komentarzy. Siedział przy stole, z obciętymi włosami, w ciemnoniebieskiej koszuli i wyprasowanych spodniach, których Freya dotąd nie widziała, zabawiając zebranych anegdotkami o swym rodzinnym mieście i zabawnym południowym akcencie. Ojciec przyniósł z piwniczki butelkę porto utrzymaną na specjalne okazje, jak gdyby Jack był sympatycznym i porządnym facetem, a nie wrednym, egoistycznym, wyzutym z uczuć, kochającym wygodę draniem.

Hu, hu, hu - pohukiwała sówka. Bum, bum, bum - bił zegar. Chrr, chrr, chrr - chrapał Jack. Zgrzyt, zgrzyt, zgrzyt - skrobało coś, o czym Freya wolała nawet nie myśleć.

Odrzuciła kołdrę i wstała. Miała już dość. Jeśli tak dalej pójdzie, rano będzie szara z wyczerpania. To i tak fatalnie, że jest starszą siostrą Tash, ale nie życzy sobie, żeby ktoś wziął ją za jej matkę. Podeszła do łóżka i spojrzała na Jacka. Leżał na plecach na samym środku łóżka, a na jego twarzy malował się szlachetny wyraz powalonego wołu.

- Jack - szepnęła na próbę.

Żadnej reakcji.

Freya się zawahała. Była taka zmęczona - i zziębnięta. Tłumaczyła sobie, że nieznajomi tulą się i ogrzewają wzajemnie, kiedy zgubią drogę w zaśnieżonych górach. Kowboje śpią nawet ze swymi wierzchowcami. Czy to ważne, jeśli tylko na kilka godzin położy się na brzegu łóżka? Jack o niczym nie będzie wiedział, o ile ona obudzi się wcześniej i wróci na ten nieszczęsny szeszlonek. To po prostu praktyczne rozwiązanie. Delikatnie postawiła stopę na ramieniu Jacka i pchnęła go. Posłusznie się odwrócił, zostawiając sporo miejsca.

Och... bosko! Freya wtuliła głowę w poduszkę i z rozkoszą wyprostowała nogi. Pościel była cudownie ciepła, nagrzana przez Jacka, i wydawała

słaby męski zapach, słodki i przyjemny jak świeżo upieczony chleb. Mało brakowało, a jęknęłaby głośno z ulgi i zadowolenia. Jej napięte mięśnie zaczęły się już rozluźniać, kiedy nagle chrapanął donośnie, odwrócił się i zarzucił ciężkie ramię na jej talię. Zmarszczyła czoło. To chyba automatyczna reakcja na obecność kobiety w łóżku, skoro się nie obudził. Uniosła jego rękę i położyła na koldrze. Po kilku sekundach mruknął coś sennie i znowu ją objął. Powtórzyli to kilka razy, aż Freya się poddała. Było jej wygodnie i ciepło, chciała spać. Naprawdę, czuła się całkiem... cudoownie. Powieki jej opadły, myśli zaczęły odpływać.

Pamiętała, że było to jesienią. Ulice pokrywały liście tak żółte jak rozwiane wiatrem włosy Jacka, który z okna krzyczał, że sprzedał swoje pierwsze opowiadanie. Wbiegła po schodach, przeskakując po kilka stopni naraz, okręcając się wokół balustrady na półpiętrach, by powiedzieć mu, że ona także ma wspaniałą wiadomość. W końcu dostała zieloną kartę, cenny dokument upoważniający do normalnej pracy w Ameryce za odpowiednim wynagrodzeniem, zamiast dotychczasowej niewolniczej harówki za psie grosze. Ze względu na starą przyjaźń, nowe bogactwo i bliską sławę postanowili uczcić to kolacją w modnej restauracji. Jack wytrzasnął skądś frak, ona wystroiła się w elegancką suknię i wysokie obcasy, po czym wsiedli do taksówki jak para modnisiów i pojechali. Zamawiali bez umiaru, stukając się kieliszkami w triumfalnych toastach i częstując się wzajemnie potrawami. Jack palił cygaro, ona też, by dotrzymać mu kroku. Rozmawiali, sprzeczały się, śmiali do rozpuku, aż przyszła pora, by zapłacić niebotyczny rachunek i wrócić do domu. Oboje byli pod dobrą datą. Jack odprowadził ją do samych drzwi, powiedzieli sobie dobranoc - i wtedy wszystko popsuł, rzucając się na nią z nienacką i mówiąc, że chce pójść z nią do łóżka. Ot tak, po prostu! Bez żadnych romantycznych wstępów, bez próby zalotów, chciał ją ordynarnie podebrać, jak robią to po pijanemu niedojrzali mężczyźni. Był napalony, Freya była pod ręką - więc, czemu nie? Naturalnie odmówiła. Za kogo on się uważał? To, że jest przystojny, wcale jeszcze nie oznacza, że każda kobieta w Nowym Jorku padnie na kolana przed jego urokiem. Freya nie miała ochoty zostać kolejnym nacięciem na ramie jego łóżka. Poza tym był wtedy absurdalnie wręcz młody. Jacka jej odmowa najpierw zaskoczyła, później zaś rozgniewała. Nie wspominali nigdy o tym epizodzie, aczkolwiek stanowił drobny cień w ich przyjaźni. Jack prawdopodobnie o wszystkim zapomniał. Nie powtórzył propozycji, z czego Freya bardzo, bardzo się cieszyła. Przypuszczalnie uważa ją za siostrę... starszą siostrę.

Zaśmiała się cichutko. Oto po wszystkich tych latach znalazła się w jednym łóżku z Jackiem Madisonem. Nie jest tak źle. Oczywiście on śpi. Ułożyła się wygodniej i przytuliła plecami do Jacka. Powiedziała sobie, że to instynktowny odruch, zwierzęca reakcja. Ziewnęła szeroko. Miała o czymś pamiętać: ach tak, żeby wcześniej się obudzić. Jasne. Żaden problem.

Słyszała spokojny i cichy oddech Jacka. Jego głowa leżała tuż przy jej głowie. Co się w niej dzieje? - pomyślała. Jakies sny o kobietach, sławie, mrocznych wędrownkach, pościgach? Znowu ziewnęła i zamknęła oczy, a potem zasnęła.

Rozdział dwudziesty trzeci

Jack obudził się w doskonałym nastroju. Każdy mięsień miał rozluźniony, każdy członek przyjemnie ociążały, każdą kość wypoczętą. Przez chwilę leżał nieruchomo w ciepłym kokonie kołdry i czekał, aż świadomość powróci, niezdolny do tak drobnego nawet wysiłku jak uniesienie powiek.

Z wolna zaczął rejestrować otoczenie: zza okna nie dobiegał warkot samochodów ani klaksonów czy pośpiesznych kroków przechodniów, tylko miły świergot ptaków i odległy szum kosiarki. Czuł słodki zapach świeżej trawy i smażonego bekonu. Pod zamkniętymi powiekami tańczyły ogniki złotego światła, obiecując słoneczny poranek. Jack niedbale podrapał się w genitalia, a potem ziewnął szeroko. Och, być w Anglii teraz, w czerwcu! Z zadowolonym uśmiechem otworzył oczy, odwrócił głowę na poduszce i o mało nie umarł na zawał serca. Ktoś był w łóżku! - jakaś kobieta, z krótkimi, zmierzwionymi jasnymi włosami, których kolor wydawał się mu niezwykle znajomy.

Wyskoczył z łóżka na postrzępiony chodnik i gorączkowo przyglądził włosy. Co?... Jak?... Kiedy?... Rozejrzał się bacznie po pokoju, szukając jakichś wskazówek. Szezlong był pusty, a obok na podłodze leżała kołdra, w którą wieczorem owinęła się Freya. Ich ubrania, starannie poskładane, znajdowały się na osobnych krzesłach. Nie dostrzegął żadnych oznak... niewłaściwego zachowania. Uderzony nagłą myślą, dziko spojrział na własne ciało: dalej miał na sobie piżamę, obie jej części. Na palcach obszedł łóżko, krzywiąc się przy każdym skrzygnięciu starożytnej podłogi, i zerknął na Freyę. Spała smacznie, przykryta prawie pod samą brodę; nie potrafił dostrzec, w co jest ubrana. Ale przecież na pewno by pamiętał, gdyby...? Nie powinien był pić tyle porto.

Jak spokojnie śpi. Półksiężycy jej rzęs były nieruchome, oddychała cicho przez leciutko rozchylone usta. Leżała na boku, z jednym policzkiem zanurzonym w poduszce, a drugim zaróżowionym od snu. Jack nie umiał powstrzymać uśmiechu; wydawała się taka spokojna i bezbronna. Jakby uświadamiając sobie jego wzrok, nagle głęboko odetchnęła. Jack odskoczył, zmieniła jednak tylko pozycję. Mimo to w każdej chwili może się obudzić i unieruchomić go jak wąż królika tym swoim błękitnym spojrzeniem. Postanowił skryć się w łazience i tam przemyśleć sytuację.

Podczas gdy gorąca woda napełniała wannę wolnym, hałaśliwym strumykiem, Jack zdjął piżamę i namydlił twarz pędzlem. Z lustra spojrzęły na niego zatroskane oczy. Nie po raz pierwszy budził się i zaskoczony stwierdzał, że w jego łóżku jest kobieta. To nieprzyjemne, kiedy człowiek nie potrafi sobie dokładnie przypomnieć, skąd się tam wzięła - czy nawet kim jest - aczkolwiek nie zdarzyło mu się to już od długiego czasu. Ale Freya! To gorzej niż nieprzyjemne - to po prostu nie do pomyślenia.

Jack skrzywił się na wspomnienie błędu, który popełnił wiele lat temu, gdy poszli uczyć sprzedaż jego pierwszego opowiadania. Frei pierwszej o tym powiedział, tak bardzo chciał zrobić na niej wrażenie. Nigdy wcześniej nie spotkał takiej kobiety jak ona - pięknej, inteligentnej, bystrej, z aroganckim angielskim akcentem i aurą wyrafinowania. („Kiedy byłam w Wenecji...” - mówiła - albo w Toledo, Oslo czy Salzburgu). W tamtych czasach miał te nieopierzone dwadzieścia dwa, trzy lata i był bardzo podekscytowany randką z Freją. Jasne, że miał mnóstwo dziewczyn, ale wszystkie były głupie. A teraz siedział w eleganckiej restauracji w Nowym Jorku z blondynką jak od Hitchcocka, która się wystroiła - dla niego. F. Scott Fitzgerald z zawiści by zzieleniał. Rozmawiali, śmiali się, a on wypił chyba o jeden armagnac za dużo (armagnac! - póki Freya go nie zaproponowała, nie słyszał nawet o takim alkoholu!). Po tem odprowadził ją do pokoju wynajmowanego w obskurnej kamienicy, oddalonej od jego miejsca zamieszkania o kilka przecznic, i powiedzieli sobie dobranoc: całus w pachnący perfumami policzek, machnięcie dłonią, trzask zamykanych drzwi. Zszedł dwa piętra w dół, zawrócił, zapukał głośno, a kiedy otworzyła, bez uprzedzenia wypalił: „Chcę iść z tobą do łóżka. Wpuść mnie”.

Oj! Zaciął się w podbródek. Szybko odkręcił zimną wodę i obmył ranek. Woda w wannie sięgała już kreski oznaczającej wojenną normę. Zdjął spodnie, wszedł do wanny i zsunął się po dziwnie ziarnistym dnie.

„Chcę iść z tobą do łóżka”; Jack zamknął oczy. Jakże to było prostackie, jak nagle, jak rekordowo wręcz niesmaczne. Po chwili chłodnego milczenia Freya uśmiechnęła się ironicznie i uniosła swoje piękne brwi: „Nie bądź śmieszny, Jack. Jestem dla ciebie o wiele za stara”.

Wspomnienie sprawiło, że usiadł z chlupotem i sięgnął po mydło; po prostu musiał czymś się zająć. Podejrzliwie przyjrzał się brązowemu żywicznemu kawałkowi, po czym z wigorem natarł nim skórę. Lodowa panienka, oto, kim jest Freya - tak przynajmniej przekonywał siebie, kiedy rozwścieczony wracał wtedy do siebie, aczkolwiek jej liczne kolejne romanse świadczyły dobitnie, że to nieprawda, tylko on nie przypadł jej do gustu. Na szczęście nigdy o tym nie mówiła i Jack miał nadzieję, że już dawno zapomniała. On jednak nie zapomniał. Przysiągł sobie, że nigdy, przenigdy nie popełni takiego błędu ponownie.

Więc co się stało ostatniej nocy? Czyżby on?... Ona?... Jack dostrzegł wielkiego czarnego pająka czającego się złowrogo pod sufitem i zdecydował, że lepiej będzie, jak wyjdzie i się przekona. Wyciągnął mosiężną zatyczkę, okręcił łańcuszek na kranie i wygramolił się z wanny na coś w rodzaju drewnianego chodnika z czasów pierwszej wojny światowej, który najwyraźniej służył jako mata. Straszna prawda brzmiała następująco: nie pamięta zupełnie nic z wczorajszego wieczoru. Będzie musiał wydedukować z zachowania Frei, co się stało.

Wysuszył się, sprawdził, czy ranka przestała krwawić, a później owiła wokół bioder kusy ręcznik, zarzucił piżamę na ramię i otworzył drzwi. Zaraz: w dół po tych śmiesznych schodkach i w prawo - a może w lewo? Kompletnie nie miał pojęcia. Nagle zalotny głos za jego plecami powiedział:

- Dzień dobry, Tarzanie. Dobrze spałeś?

Odwrócił się i zobaczył Tash, która przyglądała mu się z uznaniem, odziana niedbale w jakąś śmieszna różową szmatkę.

- Tak, dzięki.

Jej koci uśmiech sugerował, że ona doskonale wie, czym się zajmował całą noc. Położył dłoń na ręczniku, by się upewnić, że dobrze trzyma.

- Twoja sypialnia jest tam. - Machnęła dłonią. - Tutaj jest rodzinne skrzydło. - Cofnęła się i pogroziła mu palcem. - Do zobaczenia później.

Jack odprowadził wzrokiem jej oddalającą się postać. Przelotnie zainteresował się, czemu Freya nie mieszka w „rodzinnym skrzydle”, zaraz jednak odpędził tę myśl i ruszył we wskazanym przez Tash kierunku. Napiął mięśnie. Tarzan, co?

Kiedy wreszcie znalazł drzwi swojej sypialni - ich sypialni - chwilę stał, nasłuchując. W środku panowała cisza. Może Freya dalej śpi albo już je śniadanie na dole. Ta druga myśl poprawiła mu nastrój: czułby się o wiele lepiej, gdyby ich pierwsze spotkanie odbyło się w miejscu publicznym. Położył dłoń na gałce i cicho przekreślił. Drzwi się uchyliły. Jack zerknął do pokoju.

Freya leżała, wsparta o białe poduszki, całkiem rozbudzona. Patrzyła prosto na niego, jej twarz rozjaśniał senny, zadowolony uśmiech.

- Cześć - powitał ją ostrożnie.

- Cześć. - Schrypnięty głos i spojrzenie, jakim przesunęła po jego gołym torsie, zdawały się dodawać: „wielkoludzie”.

Grając na zwłokę, Jack zamknął drzwi i ruszył na środek pokoju, by z tego neutralnego terytorium przyjrzeć się jej dokładnie. Wyglądała seksownie z tymi zmierzwionymi, rozrzuconymi na poduszce włosami, ponieważ jednak przykryta była pod szyję, nie wiedział, czy ma coś na sobie.

- Spałaś dobrze? - zapytał.

- Och, cudownie... - Przymknęła powieki. - Tylko że nie cały czas spałam.

Jack rozważnie skinął głową, zastanawiając się przy tym, co, u diabła, Freya przez to rozumie. Czuł się głupio, mając na sobie tylko ręcznik, a przecież nie mógł się na jej oczach ubierać. Aby sobie to zrekompensować, zaczął zachowywać się jak John Wayne. Poprawił piżamę na ramieniu, wciągnął brzuch i kciukiem wskazał szezlong.

- Jak było?

- Okropnie. - Zadrżała lekko.

Jack ponownie skinął głową, zagryzając wargę. Gdyby żuł tytoń, splunąłby na podłogę.

- Wiesz, miałeś rację. Łóżko faktycznie było o niebo lepszym pomysłem.

Przełknął ślinę. Dłonie zwisały mu swobodnie, szeroko, jakby zaraz miał wyciągnąć rewolwer zza pasa.

Poprawiła się i westchnęła rozkosznie.

- Och, Jack, to była niezapomniana noc, nie uważasz?

Wybałuszył na nią oczy.

- Jasne - zgodził się chętnie.

Milczenie po tych słowach przedłużało się, a jego zaczęło ogarniać coraz bardziej nieprzyjemne wrażenie, że nie była to właściwa odpowiedź. Uśmiech Frei zniknął.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że nic nie pamiętasz?
- No cóż... czuję się wspaniale. - Walnął się w piersi jak Tarzan. - Ale szczegóły jakoś mi umknęły.

- Och, Jack, jak mogłeś zapomnieć? - W jej głosie brzmiała nagana. - Mistrzostwo, z jakim ściągnąłeś na swoją stronę całą kołdrę... Potężne chrapanie, jakby rżał dziki ogier... Seksowny sposób, w jaki rozwaląłeś się na łóżku, jak rozpasany hipotota... hitopopa...

Teraz już tak serdecznie się śmiała, że musiała uklęknąć, by złapać oddech. Parskała, pohukiwała i krztusiła się, a wreszcie opadła na plecy, trzymając się za brzuch. Kołdra zsunęła się i Jack zobaczył, że Freya ma na sobie dżinsy i podkoszulek.

- Bardzo śmieszne - oświadczył chłodnym tonem.

Powinien był wiedzieć. Prawdę mówiąc, wiedział. Z godnością podszedł do szafy i wyjął koszulę, gorączkowo zastanawiając się nad szybkim odwetem.

Freya otarła oczy.

- Naprawdę, Jack, szkoda, że nie widziałeś siebie, jak chrapiesz z otwartymi ustami. To by było jak kochanie się z uśpionym wielorybem. - Wstała i zaczęła przechadzać się po obwisłym materacu. - Czuję się świetnie - powtarzała, bijąc się pięściami w piersi.

Tak zadowolonej z siebie Jack nie widział jej od lat.

Spokojnie zapinał guziki koszuli.

- Przynajmniej nie gadam przez sen - stwierdził swobodnym tonem.

- Co takiego? - Freya znieruchomiała. - Powiadasz, że co robię? - Zmarszczyła czoło. - Brednie.

Wzruszył ramionami.

- Jak nie chcesz, żebym ci powtórzył, co mówiłaś, to nie.

- Nigdy nie mówię przez sen.

- Skoro tak twierdzisz...

- No to co mówiłam?

- Nie jestem pewny, czy powinienem ci powiedzieć.

- Dalej, mów.

- Poproś.

Freya tupnęła.

- Mów natychmiast!

- Dobrze. - Złożył dłonie jak skromna panienka, zatrzepotał zalotnie rękami i śpiewnie przemówił falsetem: - Och Jack, jaki ty jesteś przystöjny i genialny. Och Jack, Jack, bądź delikatny. Oooch!

Poduszka uderzyła go w twarz. Odrzucił ją, zaraz jednak dostał następną i wkrótce toczyli bitwę. Jack lepiej celował, ale Freya oszukiwała, chowając się za łóżkiem. Musiała jednak się wychylać, żeby zdobyć pociski, i w trakcie jednej z takich wypraw Jack trafił ją tak celnie, że straciła równowagę. Wyrzucił ramiona w górę w geście triumfu, zapominając o swym prowizorycznym okryciu. Ręcznik rozwiązał się i opadł na ziemię. W tym samym momencie Freya złapała za baldachim, który nieoczekiwanie oberwał się i przydusił ją. Wyzwolili się spod fałd zasłon z kurzem na rzesach i smugą na nosie, akurat w chwili gdy Jack na nowo umocował ręcznik na biodrach. Wokół nich unosiły się tumany kurzu i piór i wolno opadały na podłogę.

Spojrzeli na siebie, zawierając zawieszenie broni.

- Rozejm na śniadanie - zaproponował Jack.

Rozdział dwudziesty czwarty

W kuchni zastali Annabelle z okularami na nosie i plikiem notatek w dłoni. Podczas gdy Freya smażyła jajecznicę i robiła grzanki dla siebie i Jacka, ona wydawała rozkazy dotyczące namiotu, kwiatów, potraw, samochodów i pościeli, procesji młodych mężczyzn z kolczykami i miejscowych kobiet w fartuchach. Tę noc w domu spędzić miało kilkanaście osób, w tym dwie druhny i rodzice Rolanda („strasznie bogaci - musimy zrobić na nich dobre wrażenie”); Roland i jego przyjaciele zostali umieszczeni w miejscowym pubie. Większość „młodzieży” przyjeżdżała pociągiem z Londynu i trzeba było odebrać ich ze stacji. Ojciec Frei wybrał się do Truro po zamówioną książkę („Akurat dzisiaj! Doprawdy, Freyo, twój ojciec jest niemożliwy”). Tash, najwyraźniej cierpiąca na przedślubną treść, położyła się do łóżka, „kochane małe biedactwo”. W stosunkach pomiędzy pasierbicą a macochą zawsze obowiązywał ten sam schemat: Annabelle wyznaczała jej jakieś domowe zajęcie, począwszy od zebrania róż na stół w jadalni, skończywszy na odrobaczaniu psów, a Freya nie potrafiła odmówić. Jadła śniadanie, z napięciem oczekując, kiedy topór spadnie na jej głowę.

Nie doczekała się jednak. Jack namówił Annabelle, by przestała krążyć po kuchni i usiadła koło nich z filiżanką kawy. Przystudiował listę, słuchając cierpliwie wyjaśnień dotyczących ogromu spraw do załatwienia i powodów, dla których nigdy nie zostaną załatwione. Następnie wziął ołówek i jakimś cudem zredukował wszystko do pięciu zestawów na pojedynczej kartce. Jeden z zestawów skreślił, napisał obok „F i J” i wręczył kartkę oszołomionej Annabelle.

- Wrócimy koło szóstej - oznajmił.

Do prac wybranych przez Jacka należały między innymi: wizyta w

pubie, odebranie zamówionych świeżych ryb z wioski, którą Freya i tak zamierzała mu pokazać, oraz wyjazd późnym popołudniem na stację po Rolanda i kilku jego przyjaciół. Innymi słowy, mieli dzień dla siebie.

- Jak to zrobiłeś? - zapytała Freya, kiedy szli do samochodu.

- W Oaksboro aż się roi od takich kobiet: najszczęśliwsze są wtedy, kiedy mają zajęcie, ale uwielbiają narzekać. Annabelle jest w porządku, tylko trochę się ciebie boi.

- Ona boi się mnie? - Freya stanęła jak wryta. Mogła przytoczyć tysiące przykładów sytuacji, kiedy przeżywała urazę i grzecznie zgadzała się wykonać polecenie, byle tylko macocha nie miała powodów do skarg. - Dlaczego? A co we mnie takiego przerażającego?

- Jesteś bystrą wysoką blondynką z wielkiego miasta, którą uwielbia jej mąż. A ona tylko gospodynią domową w średnim wieku, próbującą utrzymać cały ten cyrk. - Zatoczył ramieniem łuk, włączając w to kury i ogród, i wielki walący się dom, i nawet może ojca Frei. - Kiedy prosi, żebyś coś zrobiła, to na swój sposób okazuje ci, że należysz do rodziny i że to twój dom, chociaż rzadko się tu pokazujesz, a jak już wpadasz, mrozisz ją swym sposobem bycia. Wiesz, nie zaboli cię, jeśli okażesz jej trochę sympatii. No i kto prowadzi?

Freya tak zaskoczył ten seans domorosłej psychoanalizy, że ledwo usłyszała pytanie. Annabelle była złą macochą, która wdarła się w jej życie i ukradła ojca. Annabelle narzuciła mu drugą córkę, choć doskonale wystarczała mu własna. Pomysł, że macocha może być także normalną ludzką istotą, z przeciętną mieszaniną siły i słabości, wydał jej się rewolucyjny.. Uświadomiła sobie, że Jack obserwuje ją ciekawie z dłonią wyciągniętą po kluczyki. Ukryła oczy za ciemnymi okularami.

- Ja prowadzę.

Pojechali wyboistą drogą do białego pubu z widokiem na rzekę, gdzie Roland i spółka mieli spędzić noc, i sprawdzili, czy pokoje zarezerwowano zgodnie z instrukcjami Annabelle. Stamtąd Freya skreśliła na zachód, w kierunku morza, i pojechała płataniną drózek porośniętych żywopłotem, z którego kaskadami spływały kapryfolum i dzikie róże. Słońce świeciło wysoko na bezchmurnym niebie, przez otwarte okno do samochodu wpadały okrzyki mew i metaliczny zapach morza. Po raz pierwszy od przyjazdu do Anglii Freya zaczęła się odprężyć. Poza tym, że rano zasnęła - na szczęście bardzo zmyślnie wybrnęła z tej kłopotliwej sytuacji - wszystko szło dobrze, a dzień zapowiadał się interesująco. Nadłożyła drogi, by pokazać Jackowi swój ulubiony kościół stojący niemal na samej plaży, tak blisko morza, że w czasie sztormu wiatry hulały po nawie,

choć budowla przetrwała pięć stuleci i zapewne przetrwa następnych pięć. Później zawrócili do wioski, gdzie na brukowanym nabrzeżu był sklep rybny. Łodzie kołysały się w malutkim porcie otoczonym domami z szarego kamienia; Freya widziała, że nadchodzi odpływ. Przekazała zamówienie Annabelle, po czym dodała własne: dwa chrupiące krokiety ze świeżymi krabami. Spakowała je do plecaka, w którym już znajdowała się butelka wody, torebka soczystych śliwek i stroje kąpielowe. Jej plan, zatwierdzony przy śniadaniu przez Jacka, polegał na spacerze nadmorską ścieżką na plażę, gdzie urządzą sobie piknik i popływają.

Freya nigdy nie była na wycieczce z Jackiem, nie wiedziała więc, jak będzie się zachowywał. Może okazać się jednym z tych żalonych facetów, co nie chcą wysiąść z samochodu i trzeba ich wychwalać pod niebiosą, jeśli dokonają wyczynu wykraczającego poza spacer po płaskim terenie. Tymczasem Jack szedł dobrym tempem i wyglądało na to, że przyjemność sprawia mu wszystko, począwszy od obejrzenia pomysłowej konstrukcji z kamieni czy też komicznych owiec, które pasły się na łąkach, skończywszy na informacji, że czerwone kwiaty na łądogach z liśćmi w kształcie mieczy przez miejscowych nazywane są „gwizdzącymi Jackami”. Wąska ścieżka wiała się to w górę, to w dół poprzez sięgające do pasa orlice i jeżyny, po wymiecionych wiatrem klifach, wzdłuż nieczynnych kopalni miedzi, żwirowych zatoczek i pól namiotowych, aż wreszcie znaleźli się wysoko nad pasem czystego piasku, o który biło niebieskie morze. Zsunęli się po kamienistym zboczu i w końcu, spoceni i zakurzeni, opadli na wybranym miejscu niemal pustej plaży. Płytką nisza w klifie zapewniała cień na piknik i schronienie dla Frei, kiedy przebierała się w bikini.

- Ostatni w morzu jest zgniła makrelą - zawołała dziecinnie, po czym wskoczyła w fale. - Cudownie! - krzyknęła do Jacka, choć zęby jej szczękały od lodowatej wody.

Rzucił się za nią; wybuchnęła śmiechem, kiedy natychmiast wycofał się z wrzaskiem protestu. Sama została wystarczająco długo, by udowodnić, jaka jest twarda, a później gonili się po plaży, aż się rozgrzali i spacerem wrócili do swoich rzeczy, badając muszle oraz ślady ptaków i płosząc malutkie kraby, które uciekały do swoich jamek. Lunch zjedli na rozłożonych ręcznikach, oglądając płynące ku zamglonemu horyzontowi kutry rybackie, potem wyciągnęli się na brzuchach, rozkoszując się słońcem i na piasku grali w kółko i krzyżyk. Rozmawiali leniwie o wakacjach w dzieciństwie, wspólnych przyjaciółach, obejrzanych filmach oraz

zaletach i wadach mieszkania na wsi i w wielkim mieście. Promienie słoneczne i szum fal ukołysały ich, zamilkli więc zadowoleni. Dopiero kiedy Freya poczuła na sobie chłód cienia i usłyszała głos Jacka mówiącego jej, która jest godzina, uświadomiła sobie, że zasnęła. W drodze powrotnej pozwoliła mu iść przodem i hipnotycznym wzrokiem wpatrywała się w jego opalone łydki i zniszczone tenisówki. Miała wrażenie, że upiła się słońcem. Skóra piekła ją przyjemnie od piasku i soli.

W wiosce zapakowali do bagażnika styropianowe pudła z rybami umieszczonymi w kruszonym lodzie, po czym pojechali na stację. Freya nie знаła Rolanda, aczkolwiek jego imię połączone z imieniem Tash słyszała już od jakiegoś czasu. Wiedziała jedynie, że ma dwadzieścia dziewięć lat i doskonale płątną pracę w budownictwie. Tash przechwalała się jego nowoczesnym mieszkaniem - gdzie spędzała już większość nocy - w przerobionym na kamienicę magazynie na południowym brzegu Tamizy z bajkowym widokiem na Tower. Roland wszedł w jego posiadanie za grosze dzięki jakiemuś wewnątrz firmowemu przekrętowi. Kiedy wszakże pociąg zatrzymał się na stacji, nie można było nie dostrzec trzech młodych mężczyzn, hałaśliwie wyskakujących na peron, w krzykliwych koszulach i szerokich spodniach. Podróż z Londynu trwała pięć godzin i wszystko wskazywało na to, że podróżnicy cały ten czas wykorzystali na picie. Załadowali wózek walizkami, po czym dwóch chwiejnie pobiegło z nim, śpiewając: „Oto nadchodzi pan młody”, podczas gdy trzeci, przypuszczalnie Roland, przysiadł na wierzchu. Ciemnowłosa, z jasną cerą i ciężkimi powiekami, był przystojny w pewien bezczelny sposób. Kiedy Freya mu się przedstawiła, zmierzył wzrokiem jej gołe nogi i oświadczył, że może go brać w każdej chwili, hmm, hmm. Jego przyjaciele nazywali się Jamie („głupek”, powiedziała do siebie Freya) i Sponge (blond loki, szkoła prywatna, snob). Wszyscy trzej byli w tak idiotycznie sztubackim nastroju, że bez Jacka bagaż nigdy nie znalazłby się w samochodzie, a ściśnięci i protestujący młodzieńcy na tylnym siedzeniu.

- I jak się miewa moja olśniewająca Tish Tash? - zapytał Roland, gdy Freya, wyjechawszy z parkingu, dodała gazu. - Chyba nie zmieniła zdania, co?

- Jasne, że nie - odparła.

- Masz pecha, Rolls - zakpił Jamie. - Jesteś już napiętnowany. - Zanucił pierwsze nuty marsza pogrzebowego.

- Przestań! - jęknął Roland.

- On ma rację, wiesz - rzekł Sponge. - „Póki śmierć nas nie rozłączy” i tak dalej.

- Zamknij się!

- Albo rozwód - dodał Sponge.

- Zamknij się!

Z tylnego siedzenia doszły odgłosy przepychanki.

- Ale pamiętaj, zawsze jeszcze masz dzisiejszą noc. - Jamie znacząco zniżył głos. - Jeszcze możesz zamoczyć swoje wiosło.

- Jak powiedziała aktorka do...

- Cicho!

Cała trójka wybuchnęła głośnym śmiechem, samochód wypełnił kwaśny odór piwa i papierosów. Roland kazał im się uspokoić, bo musi odbyć ważną rozmowę w interesach z telefonu komórkowego.

- To może być umowa stulecia - oznajmił - na dwadzieścia baniek.

Freya przycisnęła pedał gazu. Przechwałki narzeczonego siostry nie zrobiły na niej wrażenia, przypuszczalnie jednak Tash go kocha, a przynajmniej chce z nim być. Pod pewnymi względami ten związek wydawał jej się sensowny. Roland ma pieniądze, a Tash wiejską posiadłość. Oboje są zachłanni i ambitni. On będzie podpisywać umowy, a ona robić zakupy, umawiać się na lunchy i oliwić koła jego kariery. Będą mieć klasę i sukcesy. Taki styl życia nie pociągał Frei, ale przypuszczalnie Roland i Tash będą szczęśliwi. Zerknęła na Jacka i z rozbawieniem zobaczyła, że z uniesioną brwią spogląda na tylne siedzenie, po czym przewraca oczyma.

Naprawdę, pomyślała, Jack sprawuje się nad podziw dobrze. Chciała przyjechać tutaj z kimś, kto zrobi wrażenie na rodzinie, i jak na razie Jack świetnie sobie poradził. Freya pogratulowała sobie, że zabrała właśnie jego. O wiele łatwiejsze było przebywanie z przyjacielem niż z kochankiem. Na przyjaciółkach można polegać i nie trzeba nieustannie się zamartwiać, czy człowiek wygląda atrakcyjnie i zachwycająco. Nawet wspólne łóżko okazało się nie tak złe. Nagle przed oczyma zamajaczyła jej twarz Cat, która pochylona nad stolikiem w chińskiej restauracji ostrzegała, że Jack potrafiłby zaatakować. Dziwaczne podejrzenie. Ciekawe, jakie ma plany Cat na dzisiejszy wieczór. Zaraz... piątek. Prawdopodobnie chłodzi się z kolacją na kolanach i serialem „Przyjaciele” w telewizji. Freya poczuła przypływ sympatii do przyjaciółki. Dobra stara Cat.

Po powrocie do domu zdrzemnęła się, podczas gdy Jack się kąpał. Po tem się zamienili. Freya spędziła w łazience najwyżej pół minuty. Wysoko

nad sedesem był pająk - wielki, czarny, z milionem nóg, który zaraz by skoczył na jej goły kark i wsunął się pod szlafrok. Lepiej poczeka, aż ten okropny zwierz sobie pójdzie.

- Och, na litość boską!

Jack pomaszerował z nią z powrotem. Freya zerkała zza drzwi, jak zamyka pająka w dłoniach. Ten gest przypomniał jej Michaela trzymającego pierścionek: śmieszne, że teraz o tym pomyślała. Jack wyrzucił pająka na zewnątrz, obrzucił ją wzrokiem, w którym malowała się męska wyższość, i wyszedł.

Kiedy Freya skończyła kąpiel, w sypialni go nie było - usunął się taktownie, by mogła spokojnie się przebrać na wieczorne przyjęcie. Stała przy oknie z ręcznym lustrem w dłoni i usiłowała złapać promienie słoneczne, wciąż silnie przeświecające przez różowe chmurki. Policzki miała lekko opalone, ale nic złego się nie stało. Postanowiła tak je zostawić. Dziś wieczorem miała zamiar wyglądać naturalnie, aczkolwiek bez przesady; sięgnęła po niezawodny tusz do rzęs. Umalowana i uczesana, ostrożnie włożyła sukienkę, tę turkusową rybią łuskę, którą miała na sobie na Coney Island, i usiadła przy toaletce, by sprawdzić rezultat. Całkiem dobrze.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

Freya złapała szczotkę.

- Tak? - zawołała.

- To ja. - W drzwiach pojawił się Jack. - Gotowa? - Przystanął, zobaczył jej kreację. - Och... strój syreny.

- Fatalnie, jeśli ci się nie podoba - odpowiedziała Freya obronnym tonem. - Nie mam tyle pieniędzy, żeby ciągle kupować nowe suknie.

- Kto powiedział, że mi się nie podoba?

Miał na sobie nieskazitelnie białe dżinsy, niebieską lnianą koszulę i czarne płócienne buty z białymi sznurowadłami. Ciemnoblond włosy były umyte i szesane z szerokiej opalonej twarzy do tyłu. Wyglądał jak Mister America.

Podszedł i pochylił się nad nią, uważnie patrząc w lustro. Dla Frei ta poza była niepokojąco intymna.

- Idealna z nas para - oznajmił Jack z uśmiechem.

Uznała, że sobie kpi, więc szybko wstała.

- Chciałam tylko dać to Tash, a potem pójdziemy na przyjęcie. - Wzięła z łóżka wielki, ładnie zapakowany przedmiot.

- Daj, ja to poniosę - odezwał się Jack.

- Dlaczego? - zapytała podejrzliwie.

- A dlaczego nie? - Łagodnie odebrał jej pakunek.

Znaleźli narzeczonych w bibliotece na parterze, gdzie królowali, brodząc po kolana w ozdobnych papierach. Wokół piętrzyły się przedmioty, tak niezbędne dla każdego małżeństwa: ręczniki kąpielowe z monogramami, kryształowe słoje na marmoladę, ozdoby z chromu, japońskie misy, włoskie filiżanki do kawy, egipskie prześcieradła z bawełny oraz niezliczone inne drobiazgi, bez których nie da się żyć. Tash klęczała na podłodze, zarumieniona z podniecenia, i pod pełnym podziwu wzrokiem przyjaciółek zrywała papier z kolejnych prezentów. Scena ta przywiodła Frei na myśl urodzinowe przyjęcia siostry, w których brała udział jako ktoś w rodzaju opiekunki. Roland siedział na sofie, leniwie paląc papierośa, podczas gdy jego przyszła żona ochami i achami witała każdą nową rzecz.

- Maszynka do makaronu! Cudownie. Och Roll-doll, popatrz tylko!

Miała na sobie przezroczystą, lejącą się jaskraworóżową sukienkę z turkusowym stanikiem, która równie dobrze mogła być halką, jak i nocną koszulą.

Freya wzięła od Jacka paczkę i gdy tylko w ceremonii nastąpiła chwila przerwy, ze swym najlepszym uśmiechem wręczyła ją Tash. Ta zignorowała kompletnie kartę, której ofiarodawczyni poświęciła tyle czasu, i zerwała papier.

- Ojej, a to co? - Ponad głową podała prezent siedzącemu z tyłu narzeczonemu. - A przy okazji, to jest córka tatusia z pierwszego małżeństwa. A ten przystojniak to jej chłopak, Jack. Więc trzymać się z daleka, dziewczęta!

- Obraz - odrzekła Freya swobodnym tonem. - Autor to młody artysta z mojej galerii. Jestem przekonana, że pewnego dnia będzie bardzo sławny.

Roland patrzył na płótno, przekrzywiając głowę raz na jedną, raz na drugą stronę. Z nosa sączyły mu się strużki dymu.

- A gdzie tu jest góra?

Tash zachichotała, zerkając na Freyę. Oczy jej płonęły jak węgle. Freya uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Wrzućcie ten obraz na strych, jeśli wam się nie podoba, ale radziłabym go nie sprzedawać. Któregoś dnia może okazać się wartościowy.

- Dobra, dobra - mruknął Roland. Podniósł się z sofy i obdarzył Freyę nadmiernie gorącym pocałunkiem w policzek. - Dziękuję, Freyo, bardzo dziękuję. Przynajmniej to jakaś odmiana po tych wszystkich tosterach, prawda, kochanie?

- Co? Och, popatrz, co Lulu nam dała: dzbanek w kształcie świnki. Zachwycający!

Freya stała sztywno z lekkim uśmiechem na twarzy i patrzyła na morze barwnego papieru i wieczorowe suknie. Czuła się jak bocian pomiędzy gruchającymi gołębiami. Gdy tylko uwaga zebranych zwróciła się ku innemu przedmiotowi, złapała wzrok Jacka i wyszli przez drzwi balkonowe. Stukot jej wysokich obcasów na kamiennym tarasie wypłoszył kosa z krzaka bukszpanu.

- Wiesz, mnie się podobał - odezwał się Jack. - To portret, prawda?

- Jasne! Nawet ty to dostrzegłeś. - Freya objęła się ciasno rękami. - Dlaczego ona zawsze musi być taka złośliwa?

- Jest młoda i jutro wychodzi za mąż. To jej wielka chwila.

- „To córka tatusia z pierwszego małżeństwa” - powtórzyła z grymasem Freya. - Nie umie nawet się zmusić, aby głośno wymówić moje imię. Do jasnej cholery, a ja tak się starałam, żeby podarować jej coś wyjątkowego.

- Daj temu spokój - odrzekł Jack. - Ona chyba jest o ciebie trochę zazdrosna. Jej tatuś naprawdę jest twoim tatusiem i ona dobrze o tym wie. Jesteś od niej wyższa, mądrzejsza i masz przy sobie takiego przystojniaka jak ja. Kto by nie był zazdrosny? No, chodźmy, sprawdźmy, co się dzieje na przyjęciu - zaproponował, obejmując ją w pól.

- Co ty wyprawiasz? - uwolniła się spod jego ręki Freya.

Niebieskie oczy spojrzały na nią niewinnie.

- Przecież udaję - oznajmił spokojnie Jack. - Idziemy na przyjęcie, a ty jesteś moją dziewczyną, pamiętasz? A tak właśnie zachowuje się normalna para.

- Jasne, w porządku.

Odprężyła się i wtuliła w ciepłe zagłębienie jego ramienia. Tyle dobrze, że Jack przewyższał ją wzrostem, więc mogła nosić buty na wysokim obcasie.

Od jakiegoś już czasu do świadomości Frei docierały dźwięki muzyki oraz gwar nabierającego rozmachu przyjęcia i teraz rozejrzała się wokół. Długim podjazdem jechał sznur samochodów, płosząc owce, które kryły się w coraz dłuższych cieniach dębów skalnych i głogów. Niebo ciemniało o zmierzchu, gdzieniegdzie pozostały jeszcze na nim pasma pomarańczowych i śliwkowych obłoków, a złote rozproszone światło nadawało trawie barwę ziołowego likieru. Ze wszystkich stron nadchodzili goście i przez trawnik podążali ku szerokiej ścieżce, która prowadziła na dziedziniec - tam odbywało się przyjęcie.

Pomocy! Freya rozpoznała córkę miejscowego mistrza polowań na lisy; kiedy przenieśli się do Konwalii, przyprowadzono ją, by Freya miała się z kim „bawić”, a później spędzały razem wakacje. Na imię miała Vicky. Dobry Boże, ależ ona przytyła! Ich spojrzenia spotkały się i twarz tamtej pojaśniała. Podeszła, by przywitać się z Freyą, trzymając pod ramię męża, Toby'ego (łysiejący, z brzuszkiem, miejscowy adwokat). Z przyjemnym uczuciem niejakiej wyższości Freya przedstawiła Jacka (młody, Amerykanin, pisarz). We czworo włączyli się w tłum, gawędząc przyjaźnie. Freya poczuła się lepiej. Wszystko pójdzie dobrze.

Przy wejściu na dziedziniec rząd usługujących młodych dziewcząt i chłopców ze wsi trzymał tace z napojami. Freya wzięła dla siebie szklaneczkę pimmsa i leniwie rozglądała się wokół, podczas gdy Vicky i Toby rozmawiali z Jackiem. Rozległy dziedziniec, zwykle zasypany drewnem do kominka, różnorakimi urządzeniami domowymi i rdzewiejącym sprzętem, został dokładnie uporządkowany. Na przystrzyżonym kwadracie trawy jazz-band grał „Just One of Those Things”, a wzdłuż jednej ze ścian żarzyły się ruszty na węgiel drzewny, gotowe do pieczenia ryb, które Freya i Jack przywieźli ze sklepu. Obok stoły uginały się od koszyków z pieczywem, mis sałaty i tac z serami, a pomiędzy nimi w zwykłych ogrodowych wiaderkach pyszniły się wiązanki polnych kwiatów - proste, acz nad wyraz dekoracyjne. Freya dostrzegła Annabelle rozmawiającą z jednym z kucharzy i kierowana impulsem przeprosiła swych towarzyszy, po czym ruszyła w jej stronę.

- Gratulacje, Annabelle. Wszystko wygląda wspaniale. Pewnie kosztowało cię to tygodnie ciężkiej pracy.

- Och... no cóż... - Macocha sprawiała wrażenie zakłopotanej tym komplementem. Wygładziła suknię na biodrach. - To bardzo miło z twojej strony, że przyjechałaś - powiedziała. - Bardzo bym chciała, żebyś odwiedzała nas częściej. Mówię szczerze.

Spojrzały sobie w oczy.

- Postaram się - odrzekła Freya.

- I przywieź ze sobą Jacka. Bardzo go wszyscy polubiliśmy.

- Naprawdę? - Odwróciła się, szukając przyjaciela, bo chciała mu powtórzyć ten świetny dowcip, i zobaczyła, że Toby zanudził go już na śmierć. Jack wykrzywił się do niej błagalnie, prosząc o ratunek.

Freya na migi pokazała mu, żeby przyniósł drinka dla Annabelle. Nie minęła nawet minuta, a już był przy nich ze szklaneczką w dłoni.

- Proszę, to dla pani, pani Penrose.

- Och, mów do mnie Annabelle. I bez tego czuję się wystarczająco

starożytnie. - Upiła długi łyk i odetchnęła z wdzięcznością. - Tego mi było trzeba. Dziękuję wam, moi drodzy, obojgu wam bardzo dziękuję. A teraz, czy wyświadczylibyście mi przysługę i sprawdzili, co robią ci ludzie w Wielkiej Oficynie? - Dłonią wskazała zniszczony budynek, który tworzył jeden bok dziedzińca. - Tash bardzo zależało na tym całym karawaki, więc oczywiście nie mogłam jej odmówić, ale nie podoba mi się pomysł, że jacyś dziwni ludzie bawią się elektrycznością. Byłaby szkoda, gdyby po pięciu wiekach ten budynek spłonął, nie sądzicie?

Jakimś cudem Frei i Jackowi udało się zachować powagę, kiedy jednak weszli do oficyny, wybuchnęli śmiechem.

- Typowe brytyjskie niedomówienie, uwielbiam to! - wykrzyknął Jack. - Pięćsetletni budynek płonie i to jest „szkoda”.

- Karawaki! - chichotała Freya. - To brzmi jak marka japońskiego samochodu.

Rozejrzała się po wysokim holu z pięknym kasetonowym sufitem, kamienną podłogą, wysokimi oknami o popękanych szybach i wyraźnym zapachem pleśni. Wystawiano tu pantomimy na Boże Narodzenie dla całej wsi, dopóki dach nie zaczął przeciekać za bardzo. To tutaj ćwiczyła jazdę na rollkach, potykając się na nierównych kamieniach, tutaj grała w ping ponga z Vicky w deszczowe popołudnia. Tutaj także Annabelle dokonała cudu. Stoły przykryte różowymi papierowymi obrusami i ozdobione kwiatami zaczęli już okupować goście, stawiając na nich talerze pełne jedzenia. Spory fragment podłogi zamieniony został na parkiet do tańca, a w górze na belkach pod sufitem zawieszono różowe i srebrne balony z napisami „Natasha” i „Roland”. W odległym kącie znajdowała się scena, na której dwóch mężczyzn montowało mikrofony i urządzenie do karaoke.

Freya podążyła za Jackiem w stronę sceny, gdzie on wdał się w rozmowę z elektrykami o amperach i bezpiecznikach, ona zaś ciekawie przyglądała się całej aparaturze. Podszedł do niej młody mężczyzna w błyszczącej marynarce, bardzo z siebie zadowolony, który przedstawił się jako Rocky i zapytał, co chce zaśpiewać.

- Wszystko, co pani wybierze, oprócz „Stand by Your Man”. Ten numer już mam zajęty.

Freya wyprowadziła go z błędu co do jej ambicji, by publicznie robić z siebie idiotkę. Według Rocky'ego konkurs karaoke miał wkrótce się zacząć, później zaś on wystąpi w charakterze didżeja i poprowadzi tańce.

- Ale tylko do północy. Mam wyraźne dyspozycje od pani P. Nie chce, żeby jutro na ślubie ktoś miał kaca.

Hol coraz bardziej się zappełniał. Musiało już w nim być koło setki ludzi, głównie dwudziestoparolatków z Londynu, których rozmieszczono w całej okolicy w domach, hotelach, pubach, wolnych pokojach, materacach na podłodze, a nawet w namiotach. Ponad gwarem unosiły się piski podniecenia, jazz-band ustąpił miejsca funk rockowi z głośników, a przez okno wpadał oszałamiający zapach pieczonej na ruszcie ryby. Jack dał znak Frei, że najwyższy czas, by pójść coś zjeść, a ją ogarnęło niecodzienne uczucie: była szczęśliwa.

Rozdział dwudziesty piąty

Dziewczyna w stroju hipiski zakończyła rozlewnie piosenkę z „Titanica”, a widownia okrzykami i oklaskami objawiła swoje uznanie. Freya trąciła Jacka w bok, by podał jej białe wino, którym splukała ostatnią łyżkę jeżyn ze śmietaną. Była najedzona i w dobrotliwym nastroju, wygodnie ulokowana pomiędzy ciepłym ciałem Jacka z jednej strony a Sponge'em z drugiej. Naprzeciwko siedziały dwie śliczne druhny, Polly i Lulu, obie w czarnych sukienkach bez rękawów, miłe na swój dziewczęcy, rozchichotany sposób. Sponge, co było dość dziwne, wytrzeźwiał; pełnił funkcję drużby Rolanda i związane z tym obowiązki wprawiały go w zdenerwowanie. Przy kolacji wszyscy pomagali mu układać mowę. W istocie Jack napisał praktycznie całość na papierowej serwetce. Sponge oznajmił, że jest „przeróżająco tępy”; wielkie wrażenie zrobiła na nim informacja, że Jack opublikował książkę.

Karaoke okazało się dobrym pomysłem. Rocky nie należał do najbardziej wyrafinowanych wodzirejów, ale dzięki brawurowej swobodzie i pomysłowej wymowie nieznanym sobie imion w rodzaju Hamish i Letitia zdobył sympatię widowni i zburzył bariery pomiędzy młodymi a nie- zbyt młodymi, miejscowymi a londyńczykami, przyjaciółkami Tash a kumplami Rolanda. Nawet Toby, mąż Vicky, zarumieniony i cokolwiek fałszujący, odważnie przedarł się przez „Tie a Yellow Ribbon Round the Old Oak Tree”.

- Uwielbiam angielskie wesela - oznajmił Jack z zapalem, nie zwracając się do nikogo w szczególności. - Takie przyjęcie jest o niebo zabawniejsze niż kolacje próbne, które mamy w Stanach.

- A co to są kolacje próbne? - zapytała Polly (a może Lulu).

- To coś w rodzaju spotkania kwaków, tylko nudniejsze.

I Jack zaczął opisywać mrożące krew w żyłach rytualne spotkanie bliskich krewnych panny młodej i pana młodego w jakimś ponurym pomieszczeniu w wigilię ślubu. Od każdego wymaga się, by wstał i spontanicznie wychwalał parę, która wkrótce już wzniesie się na szczyty rozkoszy. Tego wieczoru jest w doskonałej formie, pomyślała Freya, opierając głowę na dłoni i przyglądając się przyjacielowi z leniwym uśmiechem. I do twarzy mu w tej nowej fryzurze; Freya wyświadczyła mu przysługę, wysyłając go do fryzjera.

- Zwykle obie rodziny wcześniej się nie spotkały i w głowie im się nie mieści, dlaczego ukochany syn, córka, brat czy siostra dokonali tak fatalnego wyboru. Ale oczywiście udają, że bardzo się wzajemnie polubili. - W głosie Jacka brzmiała afektacja: - „Chciałem powiedzieć, że Earl jest najlepszym bratem, jakiego człowiek może mieć, i serce mówi mi, że Nancy Mae uczyni go szczęśliwym, chociaż przypadkiem wiem, że w szkole średniej nazywano ją «Małą Nancy bez majątek»„

Siedzący obok Frei Sponge zakrztusił się ze śmiechu. Ostrożnie wyjął z kieszeni papierową serwetkę i zrobił jakąś notatkę.

- A szczytem fałszu w obecnych czasach są ci wszyscy przyszywani rodzice z odzysku - ciągnął Jack. - Mamy więc ojca panny młodej, matkę panny młodej, drugą żonę ojca panny młodej, drugiego męża panny młodej, obecnego męża drugiej żony ojca panny młodej i tak dalej, a całość dobitnie świadczy o tym, jakim cudem jest stan małżeński. Gdybym ja kiedykolwiek się zenił, bez problemu mógłbym zapełnić całą pierwszą ławkę w kościele.

- A masz zamiar kiedykolwiek się ożenić? - zapytała Lulu (a może Polly) kokieteryjnie.

Freya sardonicznie uniosła brew. Bardzo chciałaby usłyszeć odpowiedź na to pytanie.

W tej samej jednak chwili ich uwagę przykuł wesoły głos Rocky'ego:

- ...który przyjechał do nas z amerykańskiego Południa, gdzie noce są upalne, a dziewczyny łatwe: Jack Madison. Jack zaśpiewa - a ja mam nadzieję, że nie jest to komentarz do jutrzejszego ślubu - piosenkę „I Say a Little Prayer for You”!

Freya zaskoczona odwróciła się w stronę Jacka i zobaczyła, że patrzy na nią z wściekłością.

- To twoja sprawka! - rzucił.

- Nieprawda.

- Widziałem, jak namawiałaś się z Rockym.

Polly i Lulu klaskały zachwycone.

- No, Jack, zaczynaj.

Dobrze podchmielona już widownia, wyczuwając jakieś napięcie w wahaniu Jacka, zaczęła skandować:

- Jack, Jack, Jack, Jack...

Jack wstał, szturchając Freyę w ramię.

- Później mi za to zapłacisz.

Odprowadziła go wzrokiem, mając nadzieję, że nie zrobi z siebie głupca.

- Mógłbyś podać mi wino? - poprosiła Sponge'a.

Jack był już na scenie, w dłoni trzymał mikrofon. Rozległy się pierwsze nuty w szybkim, nieprawdopodobnym tempie. Na ekranie pojawiły się słowa piosenki.

„Rano, zanim jeszcze nałożę makijaż,
odmawiam za ciebie modlitwę...”.

Zaczął się całkiem niezłe, wers o makijażu przyjęty został wybuchem śmiechu. Zaraz jednak stało się coś złego. Muzyka grała dalej, ale Jack nie śpiewał. Freya wyciągnęła szyję, by zobaczyć, co się dzieje. Jack, mrużąc powieki, wpatrywał się w ekran w sposób, który był dla niej aż nadto znajomy. O Boże... Ten idiota nie wziął okularów! Nie jest w stanie przeczytać ani słowa. Widownia pomrukiwała, Rocky gorączkowo przeczynał stos papierów w poszukiwaniu wersji pisanej na maszynie. Freya skurczyła się z zażenowania.

Och, nie! Jack znowu przyłożył mikrofon do ust. Na pewno zaraz przeprosi i opuści scenę w połowie piosenki. Nie mogła na to patrzeć. Nawet Toby lepiej sobie poradził. Pochyliła głowę, zamknęła oczy, zakryła uszy dłońmi.

Jack jednak nie przeproszał, tylko zaczął śpiewać:

- „Nie znam słów, kochanie,
Bo nie wziąłem tu ze sobą okularów,
Więc odmów za mnie modlitwę...”.

Rozległ się śmiech. Kolejne wersy wywoływały coraz większą wesołość.

- „Cokolwiek, cokolwiek, cokolwiek każesz mi zaśpiewać,
Ja już to śpiewałem,
Jakkolwiek, jakkolwiek źle o mnie myślisz,
Ja już to myślałem”...

Freya wolno uniosła głowę i zdecydowała się zerknąć na scenę. Był tam, w białych dzinsach błyszczących w świetle reflektorów, z szerokim uśmiechem na twarzy, i dawał przedstawienie, żartując z samego siebie. Widownia go uwielbiała, wszyscy uważali, że jest wspaniały i strasznie

śmieszny. Ogarnęła ją ulga. Wyglądał całkiem, całkiem przystojnie. Prawdę mówiąc, wyglądał bardzo przystojnie. Serce jej zmiękło. Mój bohater!

Na koniec piosenki spojrzął prosto na nią.

- „Moja kochana, wybacz mi.

Wiem, że nie możesz uwierzyć,

Że aż tak źle śpiewam...”

Jack opuścił scenę żegnany burzą oklasków. Kiedy szedł między stolikami, dłonie wyciągały się, by z aprobatą poklepać go po ramieniu - jedna nawet po tyłku, co Freya zauważyła z nagłym niepokojem. Ręce przy sobie! Wrócił na miejsce przy wtórze świergotów Polly i Lulu, a jej przyszło do głowy, że sensownym wyjściem będzie przypomnieć wszystkim, kto jest z kim. Przyciągnęła ku sobie Jacka za rękaw koszuli i pocałowała go w policzek.

- Kochany, „cudownie” to nie jest to słowo - mruknęła.

Odwrócił głowę. Jego roześmiane niebieskie oczy, niepokojąco bliiskie, na moment spojrzały w jej oczy. Było w nich zaskoczenie i coś jeszcze, czego nie potrafiła rozszyfrować. Uderzył w stolik.

- Potrzebuję drinka!

Wkrótce potem karaoke dobiegło końca i goście tłumnie ruszyli na parkiet, by dać upust swojej radości w tańcu. Sponge uprzejmie poprosił Freyę, a ona się zgodziła, zadowolona, że może udowodnić światu, iż trzydziestoparolatka też potrafi się bawić. Nieznajomi ludzie wokół uśmiechali się do niej, a niekiedy wykrzykiwali pochwały na temat występu Jacka. Czuła ciepły, anonimowy nacisk ciał, widziała, jak jej suknia połyskuje w migających światłach. Naprzeciw kołysał się Toby, bez marynarki, z plamami potu pod pachami, pohukując jak kolejowa syrena. Dostrzegła Jacka tańczącego z Vicky - jakże rozsądnie! - a potem z jedną z tych drухen. Hmm...

Kiedy wróciła na swoje miejsce, by odpocząć, nikogo tam nie było. Nalała sobie kolejny kieliszek wina i z grymasem przypatrywała się stolikowi, zarzuconemu papierowymi serwetkami, kieliszkami, butelkami i okruszkami. Nikt nie podszedł, by z nią porozmawiać, nikt nie prosił jej do tańca. Zaczynała już odczuwać dotkliwą niezręczność sytuacji, kiedy ktoś zarzucił jej ramię na plecy i opadł na sąsiednie krzesło.

- Cześć, lalczko - wybełkotał Roland, oddychając Frei prosto w twarz.

Cofnęła się przed trującym oparami. Roland przysunął krzesło bliżej. Koszulę miał rozpiętą, pot błyszczał mu na skórze.

- Tak. Ten obraz. Ile według ciebie jest wart?

By utrzymać przyszłego szwagra na dystans, Freya zaczęła rozprawić o skaczących cenach sztuki współczesnej. Roland wpatrywał się w nią z tym głupekowatym, krzywym uśmiezkiem bardzo pijanego faceta.

- Może koło tysiąca dolarów, gdybyś go kupił w galerii - zakończyła.

Poklepał ją po udzie.

- Wspaniała jesteś - powiedział. - Fantastyczne nogi. Chodźmy zatańczyć.

Złapał ją za rękę i z wysiłkiem podniósł się z krzesła. Freya zazgrzytała zębami. Gdyby to był ktokolwiek inny, powiedziała mu, żeby spadał, ale odmowa narzeczonemu przybranej siostry mogłaby zostać uznana za zawieszanie starej panny. Pozwoliła więc, by poprowadził ją w tłum, i zaczęła wykonywać stosowne ruchy, z głową wysoko uniesioną i roztargnionym wzrokiem, podczas gdy Roland wymachiwał rękami i rzucał się wokół niej. Niemal natychmiast muzyka zmieniła się na powolną i Roland objął Freyę, przyciskając każdy centymetr swego spoconego ciała do niej. Wilgotne włosy przykleił do jej policzka, złapał jedną ręką mocno za pośladek i znacząco ścisnął. Dla niego była samotną kobietą w pewnym wieku, a więc łatwą zdobyczą. Nie potrafiła tego znieść.

Zupełnie nieoczekiwanie stwierdziła, że jest wolna, a obok stoi Jack z szerokim uśmiechem na twarzy i dłonią spoczywającą lekko na kołnierzu Rolanda. Zęby błyskały mu w świetle, kiedy mówił coś jej partnerowi do ucha. Zanim się zorientowała, Jack już położył jej ręce na ramionach i poprowadził z dala od zaskoczzonego podrywacza.

Uśmiechnęła się do niego z ulgą.

- Co mu powiedziałaś?

- Że grają naszą piosenkę.

- Oj, to takie sentymentalne.

- Brak ci za grosz romantyzmu.

- A tak w ogóle to gdzie się podziewałaś?

- Szukałem ciebie. - I z tymi słowami ją objął.

Freya oplotła go dłońmi w pasie. Był taki solidny, przyjemny i znajomy. Ciepły oddech Jacka łaskotał ją w szyję, kiedy nucił przy jej uchu do wtóru granej melodii. Chyba uważał się za wschodzącą gwiazdę piosenki po niedawnym wielkim sukcesie. Freya oparła policzek na jego ramieniu i przez na wpół przymknięte powieki przypatrywała się tańczącemu. Jego koszula przyjemnie pachniała.

Kiedy tempo zmieniło się na szybki, nieodparty rytm znajomej starej melodii, oboje zupełnie spontanicznie zrobili krok do tyłu i dalej tańczyli. To było tak jak w dawnych czasach. Freya wykonywała falujące ruchy dłońmi i wiła się jak wąż, Jack okręcał się na pięcie i przytupywał. Zbliźali się i oddalali, powtarzając za sobą gesty i śmiejąc się z czystej bezmyślności tego, co robią. Gdy wrócili do stolika, by nabrać paliwa, Freya była zarumieniona i miała wrażenie, że aż kipi z niej energia. Patrzyła na mięśnie ręki Jacka, który otwierał butelkę wina.

- To taka świetna... zabawa!
- Bo nie jesteś zła.
- Zła?
- Sztywna. Spięta. Kłapiąca zębami jak mały złośliwy krokodyl.
- Więc tak mnie odbierasz? - Freya poczuła się dotknięta.
- Dziś wieczorem nie. - Jack opróżnił szklanekę i oblizwał wargi. - Dziś wieczorem jesteś boginią. Freya, bogini miłości i piękna. Chodźmy tańczyć.

I znowu wchłonął ich gorący tłum wirujących ciał. Freya zobaczyła Tash i Rolanda splecionych ciasno w namiętym uścisku, a także Sponge'a szalejącego z Polly (a może Lulu). Jamie zdjął koszulkę i podskakiwał niczym wojowniczy Masaj; sprawiał wrażenie, jakby kompletnie stracił głowę. Jack opuścił Freyę na chwilę, by pojawić się w towarzystwie protestującej Annabelle, którą namówił na rodzaj wolnego rock and rolla, podczas gdy oparta o ścianę Freya przyglądała im się z uśmiechem. Łatwo pojąć, dlaczego kobiety uważały go za atrakcyjnego. Był wysoki, atletyczny, męski - wszystkie cenne walory. I te jego błyszczące niebieskie oczy, które wyglądają tak, jakby właśnie wpadł na wspaniały pomysł albo zamierzał zrobić komuś dowcip. Nie ma zabawniejszego kompana niż Jack, kiedy jest w dobrym nastroju. Spójrzcie na niego, jak ze zmierzwionymi już trochę gęstymi włosami obraca wokół siebie Annabelle. On nigdy nie wyłysieje, pomyślała Freya bez związku. Ale to ważne, by pamiętać, że Jack woli młode dziewczyny, a ona jest od niego o trzy lata starsza; że flirtowanie jest dla niego równie naturalne jak oddychanie; że zjawił się tutaj, by udawać szaloną miłość do niej. W żadnym razie nie może zrobić z siebie idiotki.

Kiedy zarumieniona Annabelle opuściła parkiet, bezskutecznie próbując wsunąć potargane włosy w kok, Jack złapał Freyę i nie puścił do końca wieczora. Szybkie melodie, wolne numery, niemądre piosenki, przy których wyrzucali ramiona w powietrze, stare ulubione piosenki, których teksty głośno wykrzykiwali: tańczyli i pili, pili i tańczyli, aż

niespodziewanie muzyka ucichła, światła przestały migotać, a Rocky ogłosił, że minęła północ. Przyjęcie dobiegło końca.

Freya wyszła na dziedziniec z Jackiem. Oszłomiły ją nagle ciemność i zimne powietrze. Na drzewach błyskały lampiony, drogę rozjaśniał podwójny rząd migotliwych światel reflektorów. Na stalowym niebie, pokrytym pajęczyną chmur, wisiał jasny i dobroduszny księżyc. Freya usłyszała swoją przyjaciółkę sówkę; jej umysł uchylił się przed rozważaniem nierozwiązanego dotąd problemu, kto dzisiaj ma spać na szezlonku. Jack lekko trzymał ją za rękę, kiedy szli ścieżką w tłumie gości. Wokół życzono sobie dobrej nocy, kłócono się o kluczyki samochodowe i o to, kto jest dość trzeźwy, by prowadzić. Freya zobaczyła Annabelle, która próbowała zapędzić Rolanda i jego kumpli do oczekującego minibusu. Hałasy umilkły, kiedy Jack i Freya skręcili w stronę domu i po kamiennych stopniach weszli na taras. Trawnik był srebrzysty, chwiały się nad nim mroczne kształty przyciętych krzewów.

- U-uuu! - zawył Jack do księżyca.

Freya trąciła go w bok.

- Jesteś pijany.

- I co z tego? - Rozpostarł ramiona i wziął głęboki, ekstatyczny oddech. - Kocham Kornwalię.

- Tutaj wymawia się to trochę inaczej.

- Naprawdę? - Złapał ją nagle wpół i w rytm walca ruszył z uśmiechem przez taras. - Och, nic mnie to nie obchodzi, że nazywają cię jasną panną z lodu... Bo ja jestem wspaniały! - śpiewał, skacząc po kamieniach.

- Stań! - Nagle osunęła się na niego, kiedy kostka jej się wykręciła, a but spadł z nogi. Pochyliła się po niego. - Cholera. Obcas mi odpadł.

- Ho, ho! Wszystko wskazuje na to, że będę musiał nieść cię na rękach.

Freya parsknęła śmiechem. Nikt nie nosił jej na rękach, odkąd skończyła osiem lat.

- Nie bądź śmie...

- Przestań tak mówić!

Chciał ją złapać, ale mu się wymknęła i utykając, pobiegła na taras. Jack ruszył za nią w pogoń. Wpadła przez oszklone drzwi do biblioteki, a stamtąd do holu. Na schodach stopą w pończosze pośliznęła się na drewnianym stopniu. Chwyciła za słupek, zadyszana i oszłomiona, po czym odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Jackiem.

Jednym ruchem wziął ją na rękę.

- Lekka jak piórko - oznajmił, szalonym pędem okrążając hol.

Freya wierzgnęła nogami.

- Postaw mnie!

Z piętra obcy kobiecy głos zawołał:

- Wszystko w porządku?

Freya i Jack spojrzeli na siebie i zachichotali. Objęła go za szyję.

- Dobra, nieś mnie, ty *macho*. Zobaczymy, jak daleko dojdiesz.

Poprawił ją sobie w ramionach, po czym ruszył po schodach. Przez wielkie okno na półpiętrze wpadał strumień księżycowej poświaty. Freya marzycielsko wpatrywała się w twarz Jacka. Jakie ładne miał uszy. Figlarnie dmuchnęła we włosy porastające mu kark. Na podeście stanął.

- Już brak ci tchu? - zażartowała.

Pochylił się i pocałował ją. Poczowała nagły dreszcz. Zamknęła oczy, ale zaraz je otworzyła.

- Freya... - szepnął. Jego głos przepelniało pragnienie.

- Jack...

Położyła palce na jego twarzy. Była miękka i twarda, łagodna i szorstka, znajoma, a zarazem tak nowa i podniecająca jak dzikie pogranicze. Nagle zapragnęła dotykać go całego - uszu i karku, brwi i tego kącika ust, który unosił się do góry tylko troszeczkę - nie na tyle, by inni prócz niej to zauważyli - kiedy coś go w duchu rozbawiło. Postawiła stopy na podłodze, dalej pozostając w ciasnym uścisku ramion Jacka i czując, jak jego ciało wysyła ku niej iskry. Później objęła go za szyję i oddała pocałunek.

Miała wrażenie, że cała jej istota rozpada się na pół, tak że umysł uniósł się wolno, dryfując we mgle zdziwienia i oczekiwania, podczas gdy pulsujące pragnienie gnało ich ciała w górę po schodach. Czowała obok dodającą otuchy masywną sylwetkę Jacka, jego udo napierające na jej udo, jego oddech na swoich włosach. Sypialnia skąpana była w księżycowej poświacie. Bez żadnej świadomej myśli czy wysiłku Freya stwierdziła, że leży z zamkniętymi oczyma na łóżku, które się pod nią kołysze. Potem poczuła na sobie ciężar Jacka. Uśmiechnęła się i przesunęła dłońmi po jego plecach, kciukami dotykając kolejno żeber. Zsunął ramiączka jej sukni i podniósł się lekko. Otworzyła oczy. Klęczał obok niej, rozpinając koszulę.

Zaraz... Rozpina koszulę? Czy to właściwe? Nie... Tak! Jednakże ostrzegawczy głos przybrał na sile. To Jack - jej stary przyjaciel, jej młodszy przyjaciel, kochanek Candace i tysiąca innych, w przeszłości i przyszłości. Ona sama zaś brnie w ślepy zaułek i spotka ją krzywda. Położyła dłonie na piersiach.

- Nie wydaje mi się, że to dobry pomysł. - Głos jednak miała słaby i mało przekonujący.

Jack ujął jej dłonie i zaczął całować.

- Ależ to doskonały pomysł - mruknął. Oczy miał na wpół przymknięte, twarz ostrą i napiętą z pożądania.

- Nie. - Freya wysunęła się spod niego i usiadła. Wyciągnęła rękę przed siebie. - Nie - powtórzyła. Z najwyższym wysiłkiem udało jej się przetrząsnąć nogi przez krawędź łóżka i wstać. Nie mogła opanować drżenia. To było żenujące. Złapała się słupka od zasłon. - Chyba jestem trochę pijana, tak samo jak ty. Nie róbnymy niczego, czego byśmy potem żalowali.

- Ja nie będę żalował - odpowiedział Jack gwałtownie. Zsunął się z łóżka i położył dłonie na jej ramionach. On również drżał. - Daj spokój, Freya, nie broń się. Oboje chcemy to zrobić od dziesięciu lat.

- Ja nie.

To było kłamstwo. Chciała i to jak bardzo! Jej ciało było dojrzałe i gotowe niczym soczysta figa. To tylko seks - powiedziała sobie. Ale nie założyła jej tylko na seksie - w każdym razie nie z Jackiem.

Bo tak by się to skończyło. On powróci w niedzielę do domu, do Candace, a Freya będzie tylko kolejnym imieniem na jego liście. Z wysiłkiem tak wielkim jak zatrzaśnięcie stalowego wieka zmusiła się do powiedzenia:

- Zabawnie było udawać, Jack, ale moim zdaniem ta zabawa posunęła się za daleko.

- Ja wcale nie udaję! Ani ty - zaprotestował, przyciskając kciuki do jej ramion.

- Nie zapominajmy o Candace.

Jack zachnął się na tę uwagę.

- Freya...

- Jesteśmy przyjaciółmi, Jack. To wszystko.

- To wcale nie wszystko!

- Na litość boską, puszczaj! - Była już na skraju łez.

Jego palce zacisnęły się boleśnie, a potem mocno ją odepchnął. Wpatrywali się w siebie nawzajem z nieufnością.

Oczy Jacka zwięzły się do połyskujących szparek, usta wykrzywiły.

- Ha, ale z ciebie prowokatorka.

Freya drgnęła, jak gdyby ją uderzył. Nos szczypał ją od łez, na które sobie nie pozwoliła. Bezbronność sprawiła, że w jej głosie pojawił się sarkazm.

- Ty i twój ptaszek. Tylko o tym myślisz. Chcesz mnie wyłącznie dlatego, że tu jestem.

- To nieprawda.

- W gruncie rzeczy nie chcesz wcale takiej kobiety jak ja. Takiej, która ma własne zdanie i nie uważa, że absolutnie wszystko, co robisz, to cud. A ja nie chcę faceta, który pieprzy się ze wszystkimi chętnymi dookoła. Więc nie zaczynajmy, dobrze? - Słyszała własny oddech, poszarpany i ostry, dołożyła więc starań, by jej głos zabrzmiał spokojnie. - Będę spała na szezlongu - oznajmiła.

Jack z furią boksował powietrze.

- Chyba nie sądzisz, że tu zostanę, co? Że wejdę do łóżka jak grzeczny chłopiec, a ty, świętoszka, będziesz sobie leżała w drugim kącie tego cholernego pokoju? Chryste, Freya! Ty naprawdę masz lód w żyłach.

Cofnął się od niej, zapinając koszulę, a palce mu się trzęsły i plątały. Przez potężne ciało przetoczył się strumień gniewu. Jack gwałtownie otworzył drzwi. Usta wykrzywiła mu parodia uśmiechu, który Freya tak lubiła. Kpiącym ruchem przeciął powietrze dłonią.

- Masz łóżko tylko dla siebie.

Rozdział dwudziesty szósty

Już dawno powinien mu się urwać film. Czemu tak się nie stało? Jack dolał whisky do szklanki i podniósł ją do ust. Od zapachu zrobiło mu się niedobrze. Odstawił szklankę i zaczął krążyć po bibliotece, kopnięciami usuwając z drogi kawałki srebrnej wstążki i szeleszczącego papieru. Był taki... wściekły!

Pierwszy impuls kazał mu wyjechać - wskoczyć do samochodu i pojechać prosto na lotnisko. Do diabła z nią, jej rodziną i tym idiotycznym weselem! Ale kluczyki znajdowały się w torebce Frei, a powrót do sypialni był zbyt wielkim upokorzeniem, by w ogóle brać coś takiego pod uwagę. Tak więc prawie przez godzinę miotał się po pokrytym rosą ogrodzie, gdzie ku jego irytacji nie odstępował go ciekawski Bedivere, który najwyraźniej oczekiwał, że Jack przedstawi mu szczegóły swego układu kostnego. Jednakże wysiłki mające na celu uspokojenie umysłu i ostateczne wyczerpanie ciała okazały się bezskuteczne. Jack zyskał tylko tyle, że przemoczył nogi. I widział jedynie ponure pozostałości po przyjęciu - wygaszone światła, zmięte serwetki, a także mnóstwo niedopałków i pękniętych balonów. Usłyszał parę kopulującą w stodole, a ich jęki tylko pogłębiły jego rozdrażnienie.

Nienawidził jej, a mimo to nie umiał wyrzucić z myśli. Freya biegnąca plażą w bikini, długie nogi błyszczą od morskiej wody. Freya tańcząca w syreniej sukience. Jej ciało w jego objęciach, wyraz jej oczu, kiedy poradził sobie w karaoke, uniesienie podbródka, gdy go pocałowała. I sam pocałunek. Ten pocałunek!...

Jack jęknął głośno i powłókł się z powrotem ku szklaneczce z whisky. Dzięki Bogu za alkohol. Kiedy w końcu wrócił do domu, przypomniał sobie sofę, na której wcześniej królował Roland, i tacę z drinkami na

podorędziu, więc przyszedł tutaj. Teraz opadł na zniszczone poduchy i schował głowę w dłoniach. Potrzebował snu, ale nie zdołał zasnąć. Cały aż się gotował ze złości i urazy. Jak ona mogła mu to zrobić? I to nie raz, dwa razy. Czego ta kobieta chce? „Chodź tu, Jack. Odejdź, Jack. Czy to nie zabawne, Jack? Nie, nie bądź śmieszny”. Przyciąga, odpycha, przyciąga, odpycha, aż jemu kręci się w głowie i jest wyczerpany, sfrustrowany, wściekły. Kiedy pomyślał, że rzucił dla niej wszystko, zostawił pracę i wsiadł do samolotu, by przelecieć taki szmat drogi i wziąć udział w tej kretyńskiej maskaradzie, a ona nawet...! Szarpnął się za włosy. I dlaczego akurat w tym momencie wspomniała o Candace? On sam nie pomyślał o tej małej ani razu, odkąd tu jest - ani razu!

Zerwał się z kanapy i znowu zaczął krążyć po pokoju, szukając czegoś, co odwróciłoby jego uwagę. Pełno tu było książek - oprawnych w płótno, w skórę lub w obwolutach; opieczętowanych, poplamionych, opatrzonych notatkami, wystrzępionych. Niechaj literatura da mu ukojenie, weźmie w posiadanie jego umysł i zaprowadzi na nowe pastwiska - albo przynajmniej ukołyszże do snu. Zerknął na wspaniałe tomy - Horacy, Byron, Pepys, Boswell - i z ukłuciem niepokoju przypomniał sobie własną powieść. Ruszył wzdłuż półek, szukając pozycji, której lektura wymagałaby pełnej koncentracji. Ach, Henry James, „Złota czara”. To powinno okazać się skuteczne. Położył książkę obok sofy, po czym zebrał wszystkie poduszki, by na nich oprzeć obolałą głowę. Z jękiem pochylił się i rozwiązał sznurowadła wilgotnych butów. Brzegi nogawek także miał mokre. Jeśli je zdejmie i powiesi na krześle, żeby wyschły, to może w charakterze przykrycia wykorzystać te potężne ręczniki kąpielowe, które dostała w prezencie ślubnym młoda para. Zaczął już odpinać rozporek, kiedy wrażenie, że jest obserwowany, kazało mu się odwrócić.

W otwartych drzwiach stała kobieta. W pierwszej chwili pomyślał, że to Freya przyszła błagać o przebaczenie, i o mało nie rzucił w nią Henrym Jamesem. Postać wyszła z cienia.

- Ty też nie możesz spać? - zapytała Tash.

Jack mruknął coś w odpowiedzi. Kiedy się do niego zbliżyła, zobaczył, że jest bosa, a ciemne włosy ma rozpuszczone i potargane. Owinięta była w tę różową rzecz, którą nosiła rano.

- Och, wspaniale, znalazłeś alkohol! - Tash uśmiechnęła się do niego konspiracyjnie.

- No tak. - Jack uświadomił sobie, że musi stanowić nieco dziwny widok: sam pośród ślubnych prezentów, bez butów, ze stosem poduszek

i do połowy opróżnioną butelką whisky, własnością Penrose'ów. - Pozwoliłem sobie się poczęstować. Mam nadzieję, że to w porządku.

- Jasne, Jack! Praktycznie rzecz biorąc, jesteś jednym z nas. Co nasze, to twoje.

- Dzięki. - Jej przyjazne nastawienie poprawiło mu nastrój. Przy najmniej ktoś go lubi. - Tobie też naleję.

Wręczył jej szklaneczkę i usiadł. Tash usadowiła się na drugim końcu sofy, z cichutkim westchnieniem podwijając nogi. Uniosła szklanekę w kpiarskim toaście.

- Za kilka ostatnich godzin mojej wolności.

- Wolności - powtórzył Jack. Taa, za to na pewno wypije.

- Tylko pomyśl, jutro wieczorem będę panią Swindon-Smythe - zachichotała. - To brzmi strasznie dorośle.

- Tak. Odważna z ciebie dziewczyna.

- Nie mów tak! Cała się trzęsę ze zdenerwowania! Ale uważam, że Roley ma wszystko, co trzeba, więc czym się przejmować, do diabła? - zaśmiała się figlarnie.

- A czym są owe niezbędne w małżeństwie rzeczy, tak bym mógł ich unikać?

- Mnóstwo floty, na początek.

- Floty?

- Naprawdę, Jack, nazywasz siebie pisarzem i nie znasz takiego prostego określenia? Szmal, kasa, pieniądze. Ojciec Roleya właściwie ma na własność całą kolej.

- A tak, pieniądze. Stara sprawa. I co jeszcze?

- No, Rolls mnie uwielbia, to oczywiste.

- Jasne.

- I... i jest bardzo dobry w łóżku.

Jej wielkie oczy wpatrywały się w niego zuchwale. Niezły z niej numer. Jack nie wątpił, że pod różową szmatką niczego nie ma. Szczęściarz z tego Rolanda.

- Powiedz mi, Jack, co tu robisz na dole zupełnie sam? Czy ona wyrzuciła cię z powodu jakiegoś straszego wybryku?

- Kto, Freya? Nie - Jack nonszalancko machnął ręką. - Ja tylko...

- Tylko co? - zapytała kpiąco. - Zapomniałeś prezerwatyw.

- Nie.

- Nie stanął?

- Nie!

- Nie mów: chciałeś spróbować czegoś bardziej egzotycznego niż pozycja misjonarza, a ona się wystraszyła.

Jej bezpośredniość wprawiała Jacka w zakłopotanie, irytowała, ale i podniecała. Jego wzrok padł na granatowy tom leżący obok.

- Przyszedłem tu po książkę.

- Książkę! A niech to, cóż za ekscytujące życie seksualne musicie prowadzić. Zawsze zdejmujesz buty, zanim zaczynasz jej głośno czytać, ty zboczeńcu?

- Zamknij się, Tash - jęknął.

- Och, przepraszam. - Zwinęła się w kłębek jak kotka. - Czyżbym wyczuwała sprzeczkę kochanków?

- Nie, wcale nie! - Jack walnął pięścią w oparcie sofy. - Nie jesteśmy kochankami!

Zapadła długa chwila milczenia.

- Naprawdę? - W głosie dziewczyny zabrzmiało żywe zainteresowanie.

Jack przetarł dłonią po bolącej głowie. Nie miał siły dłużej udawać.

- Równie dobrze mogę ci powiedzieć. - Odstawił szklankę z whisky. - Freya i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi. Jesteśmy przyjaciółmi od lat. Chciała tu z kimś przyjechać, a ja się zgodziłem. Koniec opowieści. My nigdy... - urwał.

- Naprawdę, nigdy? - Tash uśmiechnęła się z niedowierzaniem. Jack potrząsnął głową.

- A dzisiaj wieczorem próbowałeś i ona cię wyrzuciła, tak?

Jack bez słowa odwrócił wzrok. Upokarzająca była świadomość, jak bardzo się poniżył: fryzura, modne ubrania, uprzejmość wobec bliskich Frei, nieodstępowanie jej na krok i stwarzanie pozorów, że chodzą razem do łóżka, a potem spanie osobno. Ujawnienie tego wszystkiego tej gorącej, pozbawionej zahamowań dziewczynie sprawiło, że poczuł się jak stary i głupi impotent.

- Biedny Jack. - Jej głos był niczym melasa. - Chyba potrzebujesz trochę... pociechy.

Jack odwrócił ku niej głowę. Tash spoglądała na niego znad szklanki. Była naprawdę bardzo ładna z tymi lśniąco czarnymi włosami wijącymi się wokół twarzy i skórą gładką jak dojrzały owoc. Widział krągłości jej piersi w rozcięciu szlafroka i sutki, które wypychały cienki materiał.

Tash wysunęła różowy koniuszek języka i wolno oblizwała brzeg szklanki. Otoczyła krawędź tam i z powrotem, przyglądając się Jackowi ciemnymi, marzącymi oczyma. Nagle uświadomił sobie, że spodnie ma

wciąż do połowy rozpięte pod luźną koszulą. Głupio by było, gdyby teraz je zapiął. Szczerze mówiąc, nie był pewny, czy potrafiłby.

- Nie prowokuj - powiedział.

- Dlaczego nie? - Wydeła pełne usta. Wyciągnęła gładką gołą nogę i powolutku przesunęła ją po sofie na jego kolana. Szlafrok opadł, odsłaniając kremowe udo.

- Bo jestem zmęczony waszymi gierkami. - Jack złapał ją za stopę.

- Uwielbiam gierki - odparła gardłowo Tash. - To ja wpisałam cię na karaoke, żeby zobaczyć, jak... sobie poradzisz. Byłeś doskonały, Jack.

Czuł, jak dotknęła go palcami stopy, coraz bardziej rozsuwając zamki. Jego ciało zaczęło reagować.

- Czemu to robisz, Tash? Jutro wychodzisz za męża.

- Właśnie dlatego. Ostatni uroczy łyk wolności. Z uroczym Jackiem.

- Odstawiła szklanekę i nie odrywając od niego wzroku, zsunęła szlafrok z ramion. Jej piersi skoczyły ku niemu jak ciepłe malutkie szczeniaczki z różowymi języczkami, dopraszające się o pieśczętę. Wygięła się do tyłu i uśmiechnęła. - O czym myślisz?

Niewiele już myślał.

- Sądzę... że jesteś bardzo niegrzeczna.

- Najpierw trzeba się poznać. - Zniżyła głos do gardłowego szeptu. - No, Jack, nikt się nie dowie. To będzie nasza tajemnica.

Malutki zakątek mózgu, który wciąż jeszcze funkcjonował, powiedział Jackowi, że to niezwykle zachowanie jak na przyszlą pannę młodą. Mimo to, jeśli ona chce, to kimże jest on, by się sprzeciwiać? To tylko seks. A on lubi seks. Puścił jej stopę i pozwolił, by dziewczyna robiła, co chce. Kiedy dotknął miękkiej, nieprawdopodobnie jedwabistej skóry uda Tash, rozchyliła kolana i położyła się na poduszkach. Jack całkiem zsunął z niej szlafrok. Teraz mógł zobaczyć wszystko. Mógł czuć jej zapach. Serce zaczęło bić mu szybciej. Żle go potraktowano. Należy mu się jakaś nagroda.

Tash wyciągnęła dłoń i zanurzyła środkowy palec w whisky. Kiedy go wyjęła, płyn spływał w dół ciężkimi złotymi kroplami.

- Mam nadzieję, że lubisz whisky - powiedziała.

Doprowadzony do szaleństwa tą prowokacją, Jack rzucił się na nią.

Usłyszał, jak cicho krzyczy z zadowolenia, i poczuł jej małe gorące dłonie wsuwające się w jego rozporek. Rozpięły do reszty spodnie i zamknęły się na nim - uciskając, gładząc, laskocząc. Głowę odchyliła na oparcie sofy, włosy opadły na dywan.

Jack rozpostarł palce na jej krągłej piersi. Kopnięciami próbował zrzucić spodnie, później oboje stoczyli się na dywan. Tash upadła plecami na pogniecione papiery od prezentów, tak mocno, że jęknęła z bólu. Jej oczy jednak płonęły z pożądania. Jednym ruchem rozerwała Jackowi koszulę. Uniosła się i pchnęła go, żeby położył się na plecach. Włosy zasłoniły jej twarz, gdy usiadła na nim, z rozchyłonymi ustami i podskakującymi piersiami. Przesunęła chciwie dłońmi po jego brzuchu, klatce piersiowej, wzdłuż twardych mięśni na ramionach. Na jej kociej twarzy malowała się rozkosz.

- Jesteś o wiele za dobry dla mojej wielkiej siostry - mruknęła i położyła się na nim.

Znała mnóstwo sztuczek. Jej zwinne ciało wiło się i uciskało, aż wreszcie Jack złapał ją i przewrócił na plecy. Nogą kopnął w coś, usłyszał trzask drewna i ostry brzęk porcelany. Tash wygięła się ku niemu; przygwoździł jej ręce nad głową i mocno do siebie przyciągnął. Myśli ustąpiły doznaniom. Później usłyszał jej przyśpieszony oddech, coraz głośniejszy. Spojrzał na nią: głowę miała przechyloną, usta szeroko otwarte. Instynkt kazał mu wepchnąć dłoń pomiędzy jej zęby, by stłumić krzyki, gdy pulsowała i wila się pod nim. Ukąszenia w dłoń sprawiły, że wbijał się w nią szybciej, głębiej. Raz, dwa, trzy, cztery...

Było po wszystkim. Jack leżał z zamkniętymi oczyma, pustym umysłem, walącym sercem, skórą rozpaloną. Stopniowo jego mięśnie rozluźniły się, oddech zwolnił. Z jękiem stoczył się w bok.

Usłyszał delikatne bicie zegara. Powróciła świadomość, nagła i wstrząsająca, jak pociąg wyjeżdżający z ciemnego tunelu, i Jack uniósł głowę. Koło jego stopy leżała do góry dnem filiżanka do kawy z odłamanym uszkiem. Białe spodnie zwiślały z oparcia sofy, jedna nogawka była wywrócona na lewą stronę. „Złota czara” spadła na podłogę i otworzyła się, stronicie były pogniecione. Jack niezgrabnie stanął na czworakach. Spojrzał na różowo-białe ciało dziewczyny, leżącej bezwładnie jak kukielka. Zobaczył błysk jej na wpół przymkniętych oczu, pełne usta, których nawet ani razu nie pocałował. Srebrna wstążka z wytłoczonymi wesełnymi dzwonkami zaplątała się jej we włosy. Ozdobione monogramami ręczniki leżały pogniecione na dywanie.

Rozdział dwudziesty siódmy

Freya naląła wody do czajnika i postawiła go na kuchence. Do diabła, gdzie się podziewa Jack?

Przypuszczalnie gdzieś się włóczy. Cholerni faceci. Rozum między nogami, ego jak bombowiec. Odmawiasz, a oni nazywają cię prowokatką i odchodzą. Typowe. Prawdziwa hipokryzja tkwi w udawaniu, że zraniłaś ich uczucia. A rozumieją przez to tylko tyle, że chcieli seksu, i to natychmiast.

No dobrze, może faktycznie ostatniej nocy zachowała się trochę prowokująco. Ale mieli przecież udawać, taki był cel przyjazdu Jacka tutaj. Okay, okay: rzeczywiście ją poniosło. Sporo wypiła, a Jack jest atrakcyjnym mężczyzną, Freya nigdy temu nie zaprzeczała. Seks sam w sobie bywa bardzo dobry. Sama miała mnóstwo erotycznych przygód, tak samo szybkich i niezobowiązujących jak mężczyźni. Tylko że nie wybrała się w tak daleką podróż, żeby spędzić noc z Jackiem Madisonem!

Tak.

Właśnie.

Freya załaziła wrzątkiem torebkę z herbatą Earl Grey. Gdzie jego zasady, na litość boską? Do ślubu pozostało tylko kilka godzin. Chyba znacznie krzycheć, jeśli będzie musiała sama stać w tym cholernym namiocie, dziobiąc nadziewane śliwki i słuchając matki dawnej koleżanki, protekcyjnie rozwodzącej się o mężu Vicky, dzieciach Vicky, tapecie Vicky, pergoli Vicky - nie wspominając już o delikatnych dłoniach Vicky po zmywaniu naczyń, cudownej jeździe do szkoły w volvo Vicky i niebywale podniecającym upodobaniu Toby'ego do golfa.

Poza tym chciała poznać jego opinię o kapeluszu. Był w odcieniu jasnej zieleni, ekstrawagancko przyozdobiony i przypuszczalnie widoczny

na pięć hrabstw. Tak, jestem starszą siostrą, oznajmiał - tą olśniewającą z olśniewającego Nowego Jorku z olśniewającym mężczyzną u boku - która znalazła czas mimo nawału zajęć, by wziąć udział w cokolwiek staroświeckim rytuale małżeńskim osoby, niebędącej nawet jej krewną. Cholera jasna: rozlała mleko.

Freya nie spała dobrze. Z jakiegoś powodu łóżko wydawało się o wiele mniej wygodne niż poprzedniej nocy, nierówne i zimne. Sowa ciągle hałasowała. Światło księżycy było tak jasne, że Freya mogła policzyć czerwone paski na piżamie Jacka wiszącej na drzwiach. Przy każdym skrzypnięciu podłogi zastanawiała się, czy to nie on wraca, by błagać ją o wybaczenie.

W korytarzu rozległy się pośpieszne kroki. Do kuchni wpadła Annabelle z wałkami na włosach i oczyma szklistymi od gorączkowego skupienia.

- Woda zagotowana? Freya, jesteś święta. Gdzie to ja położyłam tacę do herbaty dla Swindon-Smythe'ów? Powinam była zerwać trochę kwiatów z ogrodu. No trudno. Spójrzcie tylko na zegar! O mój Boże, mój Boże...

I znowu wybiegła.

Freya oparła się o barierkę przy piecu i łyknęła herbaty. Zaczęło się. Oczyma wyobraźni doskonale widziała cały ten zwariowany dzień aż do błogosławionego momentu, kiedy Tash rzuci bukiet w tłum i odjedzie. Już słyszała piski znajomych z okolicy: „Ależ ona ślicznie wygląda! Ma śliczną suknię! Jaka z nich piękna para! A kiedy twoja kolej, Freyo?”. I o ile Jack się nie pojawi, będzie musiała znosić to samotnie. Dokąd go poniosło? Rzuciła gniewne spojrzenie w kąt pokoju, gdzie znajdował się koszyk Bedivere'a z nim samym wygodnie zwiniętym w kłębek. Dostrzegł jej spojrzenie i wygramolił się z posłania, podszedł do niej i uniośł nos.

Freya tupnęła.

- Idź sobie, ty stary wachaczu tyłków! Boże, nawet psom tylko o to chodzi. Przekłęte samce! Wszyscy są tacy sami.

- Dzień dobry, kochanie. Dobrze spałaś?

Do kuchni wkroczył sprężyste ojciec, świeżo ogolony i uśmiechnięty, z włosami wijącymi się po kąpiel. Freya uniosła brwi.

- Wyszukowany na ślub córki, jak widzę.

Chwilę jej się przyglądał.

- Naleśniki czy grzanki? - zapytał spokojnie.

- Nic. Nie jestem głodna.
- Bzdury. Usiądź i zjedz śniadanie ze starym ojcem. Opowiedz, co u ciebie.

- Teraz? Przecież jesteś zbyt zajęty.

- Mamy jeszcze mnóstwo czasu. Od przyjazdu prawie cię nie widziałem.

Usłyszeli pośpieszny tupot i przez kuchnię do spiżarni przemknęła jakaś postać, jakby gnał ją sztorm.

- Kochanie, mamy mleczko sojowe? Dlaczego Barry nie powiedział mi, że jest na specjalnej diecie? Marylin przysięga, że widziała w sypialni mysz. To okropne. Mówiłam, że potrzebujemy więcej pułapek na myszy...

Ojciec mrugnął do Frei porozumiewawczo.

- Zastanawiam się, czy odtłuszczone mleko będzie dobre? Mam nadzieję, że nie spodziewają się gotowanego śniadania. Te dziewczęta nawet się jeszcze nie obudziły. A fryzjerka będzie tu w każdej chwili. Na litość boską, Guy! Zapomniałeś, że Tash dzisiaj wychodzi za męża? Nie możesz tak tu sobie stać!

- A czemu nie?

Zdesperowana Annabelle wzruszyła ramionami, po czym wybiegła.

- Widzisz, o co mi chodzi? - zapytała Freya.

- Najlepiej będzie, jeśli gdzieś się ukryjemy. Wiesz co, chodźmy do mojego gabinetu. Tam nikt nas nie będzie niepokoił. - Zawahał się, a potem dodał: - Chyba że wolałabyś wrócić do Jacka?

- Nie - odrzekła Freya, nagle pobudzona do działania. Podeszła do kredensu. - Marmolada czy miód?

- Zaszalejmy i weźmy to i to.

Gabinet był przepiękny: wysoki, a mimo to przytulny, miał kształt idealnego kwadratu. Ściany pokrywała boazeria, z jednej strony znajdował się kominek, z drugiej wysokie okno, z którego rozciągał się widok na trawniki i pastwiska dla owiec. Freya trzymała tacę, podczas gdy ojciec robił miejsce na blacie potężnego mahoniowego biurka, wypełnionego książkami, papierami, dziennikami, wycinkami, pudełkami z mazakami oraz listami. Brązowy przycisk do papierów, w kształcie ślimaka, stał na biurku, odkąd Freya pamiętała.

- Miło widzieć, że nic nie sporządzałeś - zauważyła. - Pamiętasz, jak pani Silva nazywała twój gabinet „chlewem”?

Ojciec zachichotał i zamknął drzwi. Usiadł w fotelu i patrzył na Freyę, gdy podała mu talerz i kubek.

- Jak przyjemnie, kiedy córka cię obsługuje! Siadaj.
- Co to za korekta? - zapytała, przeglądając papiery, między którymi znalazła spięty stos kartek. - Wydajesz następną książkę?
- Nie, to tylko artykuł do jednej z tych strasznych akademickich publikacji. Sam nie rozumiem, czemu się tym zajmuję. Płacą żałośnie. - Westchnął głęboko. - Nie wiem, czy będzie jakaś następna książka. Starzej się, wiesz.

Freya gwałtownie odwróciła się ku niemu.

- Nie bądź niemądry - powiedziała.
- Przestań tam grzebać i opowiedz mi o sobie. Jak twoja praca? Czy świat sztuki faktycznie jest taki zbzikowany, jak się wydaje? Jesteś szczęśliwa?

Usadowiła się w starym skórzanym fotelu, obok postawiła kubek i zaczęła odpowiadać na pytania - przynajmniej na dwa pierwsze. Zdawała sobie sprawę, że nie jest zbyt wylewna, ale dlaczego właściwie miałyby zdradzać ojcu każdy szczegół swojego życia? Przecież i tak go to nie interesuje. Ma Annabelle, Tash, dom i psa. Mówiąc, przyglądała się oprawionym w ramki fotografiom, które stały na półkach za jego głową; ten sam zestaw od lat. Jedna przedstawiała jego i Annabelle w dniu ślubu, z obu ich stron stały Freya i Tash. Wszyscy się uśmiechali - oprócz Frei. Jakże wyraźnie pamiętała to uczucie nierealności, jakby ślub ojca i towarzyszące mu uroczystości były snem, z którego obudzi się w londyńskim mieszkaniu, gdzie będą tylko we dwoje, jak zawsze. Pamiętała, że nie potrafiła pojąć, po co ojcu Annabelle. Czy Freya mu nie wystarcza? Teraz o mało nie roześmiała się na głos z tego pytania. Z jednej strony niezgrabna uczennica spoglądająca czujnie spod tej okropnej grzywki, z drugiej kobieta w najlepszym okresie życia seksualnego z dzieckiem, które to potwierdzało. W końcu wszystko sprowadza się do seksu. W uszach zabrzmiał jej głos Jacka: „Ale z ciebie prowokatorka”. Nienawidzi go.

Ojciec, wyczuwając jej rozkojarzenie, odwrócił się ku fotografiom. Twarz mu złagodniała. Wziął jedną z półki.

- Ach, popatrz na siebie. - Pokazał jej zdjęcie. - To ty, w dniu kiedy przyszedłeś na świat.

- Wiem, mówiłeś mi. - Freya z gniewem spojrzała na własną małą twarzyczkę. Żałowała, że w ogóle się urodziła.

- Byłaś taka mała, a mimo to miałaś kompletnie ukształtowaną osobowość, tak silną jak pole magnetyczne. Niezwykle! Nie masz pojęcia, co czułem, kiedy po raz pierwszy wziąłem cię na ręce. Chciałem cię

chronić przed wszystkim. Śmieszne, ale wyobrażałem sobie, że jak będziesz dorosła i piękna, przyjadą po ciebie ci długowłosi, obrzydliwi motocykliści i uwiozą Bóg wie gdzie, a ja będę stał i zgrzytał zębami, ale pozwolę ci odejść. Już wtedy obawiałem się dnia, kiedy będę musiał oddać ci mężowi, który w żadnym razie nie może na ciebie zasługiwać. Freya poczuła dreszcz irytacji.

- Tak się jednak składa, że to Tash oddajesz mężowi - zauważyła.

Uśmiech zniknął z twarzy ojca i niespodziewanie pojawiło się na niej znużenie. Freya zrozumiała, że go zraniła. Z westchnieniem położył zdjęcie na kolanach. Dostrzegła, że jego dłonie znaczą brunatne plamki. Kiedy się pojawiły?

- Tash to Tash, a ty to ty - odrzekł. - Zrobiłem, co w mojej mocy, by być dla niej ojcem, ale ty jesteś moja. I wyjątkowa. Zawsze cię kochałem i zawsze będę kochał. Nie powinnaś mieć pretensji o całe to ślubne zamieszanie. To nie ma nic wspólnego z tobą i mną.

Freya uśmiechnęła się z wysiłkiem. Była zmieszana ciepłymi słowami ojca i nie wiedziała, jak zareagować.

- Wiem, że jestem nietaktownym starym idiotą - ciągnął ojciec. - To bez znaczenia, czy ktoś zawiera małżeństwo, czy nie. Ale... no cóż, chyba przyszła pora, kiedy chciałbym, żebyś znalazła kogoś wyjątkowego, o kogo mogłabyś się troszczyć i kto zatroszczyłby się o ciebie. Nie chodzi o to, żebyś zyskała status mężatki, tylko żebyś mogła doświadczyć ważnych spraw w życiu. Przyjaźń. Przywiązanie. Dzielenie się. Dzieci. To... wzbogaca życie człowieka.

Freya zagryzła wargi. Czy on sądzi, że sama o tym nie myślała? Że boleśnie wręcz nie pragnęła takich przeżyć - do tego stopnia, że sama przed sobą udawała, iż pragnie wyjść za Michaela, którego przecież nie kochała.

- Chyba nie jestem typem kury domowej - odparła nonszalancko. - A poza tym nie znalazłam właściwego człowieka.

Ojciec spojrział na nią.

- Wygląda na to, że z Jackiem układa się wam bardzo dobrze. Lubię go.

- Jack jest w porządku. - Freya wzruszyła ramionami. - To tylko... - urwała. Mało brakowało, a powiedziałyby, że to tylko przyjaciel. Całe to udawanie stawało się coraz bardziej skomplikowane.

- A co z tym facetem, którego się spodziewaliśmy, z Michaelem?

- Och, to już skończone - rzuciła lekko.

- I teraz spotkałaś Jacka.

- Tak.
- I lubisz go - naciskał ojciec.
- Tak. - Freya czuła się jak na torturach.
- Przypuszczam, że go lubisz, skoro z nim mieszkasz. To prawda, tak?
- No... tak.
- Nie wydajesz się zbyt przekonana.
- Cóż... Jack to trochę lekkoduch.
- Hmm. Może potrzebuje kogoś zdecydowanego i rozsądnego, żeby go sprowadził na dobrą drogę.

Freya zignorowała uwagę ojca.

- Przynajmniej Jack nigdy mnie nie nudzi.
- Co, nigdy? Kochanie, musisz od razu go złapać!
- Na litość boską, tato, to nie jest wielka sprawa. Nie taka jak między tobą a mamą. Cały czas się kłócimy.

Ojciec uniósł brwi.

- Więc sądzisz, że ja i Karina nigdy się nie kłóciliśmy? Dobry Boże, byliśmy małżeństwem niecały miesiąc, kiedy wybiegłem z domu, krzyżując, że popełniliśmy straszny błąd i powinniśmy od razu się rozwieść.

Freya była wstrząśnięta.

- Dlaczego? Co się stało?
- Na Boga, nie pamiętam. - Ojciec roześmiał się z tamtego pomysłu. - Ludzie muszą wyrażać na głos swoje frustracje.

- Ale... ale ją kochałeś, prawda? - zapytała niepewnie.

- Oczywiście, że ją kochałem. A ona kochała mnie. Kochanie kogoś nie oznacza, że ta osoba to ideał. Rzecz w tym, że widzisz wyraźnie czyjeś wady i braki, a mimo to go kochasz. Karina była gwałtowna, porywcza i uparta jak ktoś inny, kogo znam. Kochałem ją za to, że jest taka, jaka jest, choć czasami cierpiałem z tego powodu.

Freya przypomniała sobie twarz Jacka, kiedy mu powiedziała, że tylko udaje, i jej pewność siebie zachwiała się na chwilę. A jeśli popełniła błąd? A jeśli on całą noc tak samo się męczył jak ona? Spojrzała na talerz i przesunęła okruchy grzanki.

- A kiedy naprawdę się pokłóciliście, no wiesz, poważnie, co potem robiliście?

- Przepraszaliśmy. Wybaczyliśmy sobie wzajemnie. Godziliśmy się. - Ojciec uśmiechnął się nieoczekiwanie. - To były najlepsze chwile.

Freya odpowiedziała uśmiechem. Z takim samym wyrazem twarzy ojciec mówił kiedyś, że wykradał się do kasyna, żeby spróbować szczęścia,

albo że tym razem z lotniska w Wenecji pojadą łodzią prosto przez lagunę zamiast tym okropnym starym autobusem.

Teraz pochylił się ku niej, opierając łokcie na kościstych kolanach.

- Tak miło mi się z tobą rozmawia, kochanie. Żałuję, że nie widuję cię częściej. Zastanawiałem się nad przyjazdem jesienią do Nowego Jorku. Sądzę, że uda mi się zdobyć pieniądze na przelot z jednej z tych cudownych amerykańskich fundacji. Bardzo bym chciał spędzić z tobą trochę czasu.

Freya zmarszczyła czoło.

- To sezon aukcyjny.

- Nie przyjadę na całą jesień.

- Przypuszczam, że Annabelle zechce zrobić bożonarodzeniowe zakupy.

- Prawdę mówiąc, myślałem raczej o samotnej podróży. To ciebie chcę odwiedzić, o ile uda ci się wykroić dla mnie trochę czasu.

Jego pokora sprawiła, że Freya poczuła lekki wstyd. Część jej osoby pragnęła być z ojcem, ale to nie było takie proste. Nie pozwoli, żeby to stało się proste. Spojrzała na fotografię ślubną ojca. On wybrał swoje życie, ona ma swoje. I tak to jest.

- Dobrze, zastanów się nad tym. - Ojciec energicznie podniósł się z miejsca i spojrzał na zegarek, odsuwając go od siebie, jak robią to dalekowiedze. - O, pora, by zabrać Bedivere'a na spacer.

Freję ogarnęła panika. Ślub jest za dwie godziny. Gdzie się podziewa Jack?

Rozdział dwudziesty ósmy

Zaczynał się odpływ i każda fala niosła na grzbiecie garść kamyków, które rozrzuciła po plaży nierówną linią. Jack nie miał pojęcia, jak długo tu siedzi: wystarczająco jednak długo, by morze z szumem spłynęło ze skał, pozostawiając ogromne czarne makarony wodorostów, których amoniakowy odór go dusił; dosyć długo, by słońce weszło nad rozlewiskiem i uderzyło gę jaskrawymi promieniami w oczy; tak długo, by podjąć decyzję.

Wyjeżdża. Gdy tylko zacznie się ślub, on wkradnie się do domu, pozbiera swoje rzeczy i wyjedzie. Freya na pewno wymyśli jakąś historyjkę, jest dobra w oszukiwaniu.

Nie chciał myśleć o ostatniej nocy. Nie czuł się szczególnie dumny z figlów z Tash w bibliotece. Ale wiele wypił, a ona postawiła sprawę jasno. A poza tym, czy to ważne? Za kilka godzin będzie mężatką. Co do Frei... Skoro go nie chce - a ostatniej nocy nie pozostawiła co do tego cienia wątpliwości - poradzi sobie bez niego. Cała ta absurdalna maskarada stawała się męcząca, zwłaszcza podczas radosnej ceremonii ślubu. Czuł się wykorzystany, skacowany, odepchnięty i miał wszystkiego po uszy. Wraca do domu.

Przepuścił swój zbiór kamyczków przez palce i podniósł się niepewnie. Nawet ten drobny wysiłek sprawił, że czoło pokryły mu kropelki potu. Nogi były jak z ołowiu, żołądek sprawiał wrażenie, jakby go wypompowano, a później zalano octem. „Człowiek nie powinien bawić się gorzałą, póki nie skończy pięćdziesięciu lat”; wielkie dzięki, panie Faulkner. Jack rozejrzał się za jakimś ustronnym miejscem, w którym mógłby się ukryć i dojść do siebie. Za nim wznosiła się gęsta zieleń ogrodu, przez który przeszedł krętą i stromą dróżką, by uciec przed budzącymi

się domownikami. Samego domu nie było stąd widać i Jack nie pamiętał dokładnie, co znajduje się na końcu ścieżki.

Wąska droga prowadziła pod górę. Jack widział, że kiedyś była o wiele szersza, ze stopniami wyrzeźbionymi w ziemi i umocnionymi belkami. Jednakże drewno się pokruszyło, roślinność rozplenila i ścieżkę ledwo było widać. Ogromne liście były go po twarzy, jeżyny czepiały się spodni. Co chwila unosiły się nad zaroślami chmary małych owadów i siadały mu na skórze. Zastanawiał się, czy nie powinien zawrócić, kiedy usłyszał odgłosy jakiegoś ciężkiego zwierzęcia. Przystanął. Hałas się zbliżał. Czy w Anglii są dziki? Jack przyśpieszył kroku. Trzaski stały się coraz głośniejsze, towarzyszyło im gwałtowne dyszenie. Ścieżka nagle się urwała i Jack dostrzegł, że znajduje się na krawędzi dość stromej pochyłości, prowadzącej do jakiejś dziury. Potem z zarośli wypadł czarny labrador i podbiegł ku niemu, machając ogonem, a czyjś głos zawołał:

- Doskonała robota. Znalazłeś Przełom Lety.

Jack odwrócił się i zobaczył ojca Frei machającego laską. Nachyleniem głowy oraz rozbawionym półśmiechem tak bardzo przypominał córkę, że Jacka przeszedł dreszcz.

- Nazwa pochodzi oczywiście od rzeki zapomnienia w greckim świecie umarłych - ciągnął Guy. - Człowiek skakał do niej i zapominał o wszystkich swoich obowiązkach i zasadach przyzwoitego zachowania. Tam, gdzie stoisz, była w gruncie rzeczy deska do skakania.

Jack spojrział na nierówny prostokąt zarośnięty zielskami i wyznaczony połamanymi kamiennymi płytkami. Rozjaśniło mu się w głowie.

- To jest basen!

- „Był” to właściwe słowo. Nie sądzę, by używano go od lat pięćdziesiątych. Na pewno Freya opowiedziała ci barwną historię o spadku Anabelle?

Jack się skrzywił.

- Freya nic mi nie mówi.

- Znam to - westchnął znacząco Guy. - Nie szkodzi, opowiem ci, jak będziemy wracać. - Przerwał i dodał uprzejmie: - Chyba że masz inne plany?

Jack nieoczekiwanie uświadomił sobie własny niechlujny wygląd oraz dziwaczny fakt swej obecności w tym miejscu.

- Nie, ja tylko...

- Wspaniale.

Ojciec Frei energicznym krokiem ruszył krętą ścieżką, która poprowadziła ich z ogrodu w bardziej dziki las. Jack podążył za swym przewodnikiem, jednym tylko uchem słuchając opowieści Guya o historii

dworu i rodziny Ashleighów, do której należała przez wieki posiadłość. Gorączkowo rozmyślał, jak uniknąć zapędzenia do domu i wynikającej z tego konfrontacji z Freyą. Stopniowo jednak historia przykuła jego uwagę.

W latach dwudziestych dwudziestego wieku właścicielem domu stał się Frederick „Fruity” Ashleigh, „zagorzały kawaler” ze skłonnością do gibkich młodzieńców, których przywoził łodziami na legendarne orgie.

- To on zbudował basen - mówił Guy - przypuszczalnie jako pretekst, by skłonić swych młodych przyjaciół do zdjęcia ubrań. Miejscowi twierdzili, że dźwięki muzyki z gramofonu i strzelających korków od szampa na można było usłyszeć na drugim końcu rozlewiska. Szczególnym przyjacielem „Fruity'ego” był mężczyzna młodszy od niego o dwadzieścia lat, znany jako Bunny... jeden z tych ekscentryków, którzy lubili malować gołębie tęczowymi kolorami i przyjmować konia na herbatce w salonie, tego typu sprawy. - Z tonu starszego pana wynikało jasno, że każda angielska rodzina ma przynajmniej jednego takiego osobnika na składzie i jest to sprawa najzupełniej naturalna. - Ci dwaj zamieszkali razem, pół roku spędzając w Londynie, a pół w Kornwalii. Pomimo widowiskowych kłótni i ciągłych zdrad ze strony Bunny'ego stanowili oddaną sobie parę, a kiedy Fruity zmarł bezpotomnie, dom dostał się jego partnerowi. Bedivere, przestań natychmiast! - Jack drgnął, gdy Guy krzyknął na psa, który z zapalem grzebał w miękkiej kupce pokrytej piórami. Żołądek stanął mu dęba, kiedy pies jak gdyby przeprasząc przyczołgał się do nich w obłoku intensywnego odoru. Ojciec Frei kontynuował opowieść: - Po śmierci Fruity'ego Bunny natychmiast przeprowadził się do Londynu, gdzie bardzo źle się prowadził, co zgodnie potwierdzają wszyscy świadkowie, i pozwolił, by dom popadł w ruinę. W odpowiednim czasie zmarł, wyciągnął kopyta w pubie. A ponieważ nie był najbardziej praktycznym z ludzi, oczywiście nie sporządził testamentu. Po bardzo wielu miesiącach i żmudnym procesie okazało się, że najbliższą żyjącą krewną jest Annabelle.

- Rozumiem. - Jackowi dudniło w głowie i pragnął gdzieś się położyć. Nic a nic go nie obchodziły dzieje rodu Ashleighów, ale grzeczność nakażywała, by wziął udział w rozmowie. - Więc... hmm... Annabelle nie jest krewną Ashleighów?

- Broń Boże. Jest córką oficera z Suffolku, a ja synem pastora z Berks-hire: żadne z nas nie ma w żyłach kropli błękitnej krwi. Poznaliśmy się wkrótce potem, gdy odziedziczyła posiadłość. Była wdową z małym dzieckiem na utrzymaniu i z trudem wiązała koniec z końcem. Chciała

sprzedać dom, ale nie znalazł się kupiec. Tak więc zdecydowaliśmy, że razem się nim zajmujemy.

Doszli teraz do przełazu prowadzącego na łąkę, która leżała na stromym zboczu. Guy wspinał się trochę chwiejnym krokiem, tak więc Jack trzymał się blisko niego, w obawie że starszy pan może upaść. Wydawało się jednak, że jak na swój wiek jest w doskonałej kondycji i może jednocześnie wchodzić pod górę i mówić. Jack, oblewając się potem, podążał za nim, pomrukując z zainteresowaniem, podczas gdy gospodarz opisywał wysiłki, mające na celu odnowienie dworu. Większość sukcesów, twierdził, była zasługą Annabelle, praca bowiem zatrzymywała go w Londynie oraz za granicą przez większą część roku. To żona walczyła o dotacje, naprzykrzała się miejscowym rzemieślnikom, czytała o zaprawie murarskiej i dachówkach, poznawała historię ogrodów i tak długo pracowała nad przywróceniem im pierwotnej świetności, aż wreszcie mogła otworzyć je dla płacącej za wstęp publiczności. Mieli tu teraz jeszcze sklep z sadzonkami i małą kawiarnię, dzięki czemu uzyskiwali drobny, lecz stały dochód. Prowadzili też pole namiotowe dla turystów oraz wynajmowali jedno skrzydło domu buddystom i stowarzyszeniom pisarzy. W kaplicy za opłatą można urządzać śluby, a w innych zabudowaniach przyjęcia.

- Obawiam się, że straszne z nas chytrusy, ale nie mamy wyjścia. Dom dalej jest w złym stanie, co jak przypuszczam, zdążyłeś zauważyć.

- Nie, wcale nie. Jest bardzo... - Jackowi słowa zamarły na ustach, gdy Guy sceptycznie uniósł brwi niezwykle znajomym ruchem. Jack uśmiechnął się nieśmiało. Polubił tego mężczyznę. - Dom jest uroczy - oznajmił zdecydowanie.

W końcu dotarli na szczyt wzgórza i przystanęli, by złapać oddech. Przed nimi we wszystkich kierunkach rozciągał się wspaniały widok. Z tyłu mieli teraz morze, połyskliwy pas za drzewami. Po drugiej stronie doliny wznosił się spokojnie dom w zielonym otoczeniu przystrzyżonych trawników. Tuż za nimi, ukryta w kępie drzew, stała mała kamienna kaplica, otoczona żelaznym płotem. Jack dostrzegł krzątające się tam postacie, wnoszące kwiaty i kartonowe pudła. Przypomniał sobie o ślubie i odwrócił się ku morzu, by wciągnąć w nozdrza rześką bryzę.

- Tak odezwał się z namysłem Guy - ten dom powinien nas pożegnać... Bóg jeden wie, co moja pasierbica z nim zrobi.

Wzmianka o Tash zwróciła uwagę Jacka. Zadał sobie pytanie, czy bezładna gadanina Guya nie maskuje przypadkiem subtelnego śledztwa. Miał wrażenie, że ktoś ciągnie go na niewidzialnym sznurku.

- Tak więc wszystko dostanie Tash - odezwał się wolno - nie Freya.

- Właśnie. I to jest drobny problem.

Jack kopnął w darninę. Dlaczego niby ma to być problem? Czy Guy podejrzewał, że Jack jest łowcą posagów - że zależy mu na spadku Frei - i dlatego próbował go odstraszyć? Ta myśl obudziła w nim gniew. Duma Madisonów buntowała się przeciwko podejrzaniu, że mógłby zapragnąć czyichś pieniędzy. A może pan Penrose sugeruje, że to Freya jest zazdrośna o Tash? Jack poczuł się oburzony. Guy powinien znać lepiej własną córkę.

- Nie sądzę, by Freya była zainteresowana tym domem - oświadczył chłodno.

- Wielki Boże! Ja też nie. Chodzi mi tylko o to, że nie chciałbym, by uważała się za wykluczoną z rodziny. Bo nie jest, naturalnie. W istocie rzecz się ma całkiem odwrotnie. - Guy westchnął. - Nie wiem, czy zauważyłeś, ale Freya jest raczej osobą niezależną. - Jack zacisnął zęby. Owszem, zauważył to. - Nie lubi, kiedy jej się pomaga. Nie chciała wziąć od nas ani grosza na wyjazd do Nowego Jorku i uparła się, że sama da sobie radę. Jest bardzo twarda. To tak, jakby się obawiała, że rzeczy zostaną jej odebrane, jeśli straci nad nimi kontrolę.

- Hmm. - Jack zaczynał czuć się niezręcznie. Występował tutaj w fałszywej roli i nie zasługiwał na zaufanie starszego pana.

- Na nieszczęście pewne rzeczy istotnie są nam odbierane. Utrata matki to straszne przeżycie dla młodej dziewczyny. Człowiek próbuje to zrekompensować, ale... - Guy dźgnął łaską w ziemię. - Chyba nigdy mi nie wybaczy, że ożeniłem się z Annabelle. Nie potrafi jakoś zrozumieć, że Annabelle nie może zająć jej miejsca, ani też ona nie zajmie miejsca Annabelle. - Spojrzał na Jacka. - Czasami myślę, że dlatego nie potrafi zawrzeć żadnego stałego związku.

Jack umknął wzrokiem w bok. Nie bawi się w tę grę.

- Sądzę, że chyba nie spotkała jeszcze właściwego mężczyzny - odrzekł beztrąsko.

- Całkiem prawdopodobne. Potrzeba kogoś naprawdę wyjątkowego, żeby mógł uszczęśliwić Freyę. Zejdziemy?

Jack poszedł za nim, zirytowany i zły. Freya to nie jego sprawa. Nie chciała stać się jego sprawą. Tak naprawdę nie byli nawet parą, tak więc to zupełnie bez znaczenia, czy on odznacza się jakimiś wyjątkowymi zaletami. Wpatrując się w buty Guya, starał się nie myśleć o tym, na ile rozmaitych sposobów nadużył gościnności tego człowieka. Nie powinien był pozwolić Frei, by namówiła go do przyjazdu tutaj.

- Bardzo się cieszę, że Freya cię tu przywiozła - zwrócił się do niego starszy pan z przyjacielskim uśmiechem. - Nieczęsto poznajemy jej - przyjaciół mężczyzn. Woli trzymać swoje życie w sekrecie. Domyślam się jednak, że znasz ją aż za dobrze, skoro mieszkacie razem.

Co? Jack szarpnął głową, potknął się o darń i o mało się nie przewrócił.

- Mówiła mi o tym dzisiaj rano.

Dzisiaj rano?

- Powiedziała, że jej nie nudzisz. Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem.

- Ale...

- Och, nie martw się. Nie moją rzeczą jest pochwalać lub ganić. Cieszę się, że ma kogoś, komu na niej zależy.

- Tak... - Jack oczyma wyobraźni ujrzał twarz Frei, gdy ostatniej nocy na nią krzyczał.

- Kogoś, kto powstrzyma ją od popełniania gwałtów.

- Jasne... - W rodzaju chodzenia na randki z profesorem Parkenridem i tym małym dupkiem Brettem. W rodzaju tracenia setek dolarów na pokera i skracania ludziom spodni.

- Przypomina mi te koty, które wspinają się na czubek drzewa, a potem nie potrafią zejść. Widzisz, nie ma mnie tam, żeby ją uratować. - Twarz Guya wyrażała taki smutek i czułość, że Jacka ogarnęło wzruszenie. Aby zmienić temat, wskazał na niewielki ogrodzony teren koło kaplicy i zapytał:

- Co tam jest?

- Chodźmy, pokażę ci.

Przeszli przez zardzewiałą furtkę. Wśród traw i zielska wznosiły się kamienie nagrobne, niektóre normalnej wielkości, leżące poziomo na ziemi, w większości jednak pionowe i bardzo niskie, poniżej pół metra.

- Czy to... groby dzieci? - spytał wstrząśnięty Jack. Nie miał pojęcia, że w Anglii umieralność niemowląt była aż tak tragicznie wielka.

Guy zachichotał.

- Ukochane zwierzęta - wyjaśnił. - Zwierzęta i służący, prawdopodobnie w tej kolejności.

Jack poczuł, że kręci mu się w głowie, kiedy pochylił się nad niewyraźnymi inskrypcjami. Xeno, żółw. Echo, papuga. „Mabel Cruttwell 1820-1910, piastunka rodziny Ashleighów. W podzięce za długie lata wiernej służby”. Harold, kot. Swithun, kamerdyner. Cały rząd zawierał

groby psów: Artur, Ginevra, Gawain, Lancelot, Morgana, Kay, Merlin, Galahad, Iseult.

- Myślmy, żeby kontynuować tradycję Ashleighów po jego śmierci - Guy machnął laską na Bedivere'a, który przygalopował i podniósł nogę nad biednym sir Kayem.

Jack opadł na jeden z kamieni, gdyż nagle zrobiło mu się trochę słabo. I coś śmiesznego przydarzyło się jego ręce. Kiedy wcześniej przedzierał się przez zarośla, poczuł ukłucie, a teraz z przerażeniem zobaczył, że na skórze pojawiły się czerwone bąble. Miał nadzieję, że nie jest to angielska odmiana trującego bluszczu.

- Nie przejmuj się, to tylko pokrzywa - Guy wskazał mu kępę ciemnozielonych roślin z pokrytymi meszkiem liśćmi. - Sztuka polega na tym, by ich nie dotknąć. Jeśli złapiesz liść mocno - zademonstrował to palcem wskazującym i kciukiem - w ogóle nic nie poczujesz. Przypomina niektóre kobiety - dodał z uśmiechem.

- Dzięki - odrzekł Jack chłodno, pocierając ramię. Wyobraził sobie samotną Freyę na ślubie, stojącą z zadartym podbródkiem i czujnymi oczyma, które wypatrywały oznak lekceważenia. Och, Freya... Jest taka uparta, taka nieufna.

Jak mogła pomyśleć, że wczoraj w nocy udawał?

- Na mnie już pora - odezwał się Guy. - Annabelle będzie zrzędzić. Rzeczą mężczyzny jest nie wchodzić im w drogę aż do ostatniej chwili, a potem użyć swej kojącej obecności, nie uważasz?

Jack nie odpowiedział. Siedział na grobie niani Cruttwell, obserwując w oddali samochód zmierzający w stronę domu. Będzie mnóstwo aut przywożących ludzi i zaraz odjeżdżających; bez problemu znajdzie kogoś, kto podrzuci go na stację.

- Do zobaczenia w domu. Chodź, Bedivere. A przy okazji - Guy laską przywołał jeżyny do porządku - nie chciałbym się wtrącać, ale tak się składa, że znam doskonale lekarstwo na kaca!

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Kaplica się zappełniała. Ponad upartym zawodzeniem organów dominowały szelesty sukien, rozmowy i wszelkie odgłosy towarzyszące gromadzeniu się gości: majestatycznych ciotek z broszami wielkimi jak odznaka szeryfa; wesołych wujaszków opiętych ciasno kamizelkami z chudszych czasów, poprawiających włosy młodych dziewczyn w skąpych kreacjach i zsuniętych z ramion etolach, dzieciaków ćwiczących struny głosowe. Przejęty swymi obowiązkami Jamie stał przy drzwiach, rozdając kartki ze spisem psalmów wybranych na tę ceremonię; wyglądał oszałamiająco w spodniach w paski i fraku. Koło ołtarza krzątał się wielbny Thwacker, starszawy rumiany gnom, sprawdzając, czy wszystko w porządku, i wzrokiem krótkowidza popatrywał na wiernych. Roland i Sponge siedzieli blisko siebie na drewnianych krzesłach przyniesionych ze szkółki niedzielnej i obserwowali każdy ruch pastora, jakby był on Wielkim Inkwizytorem przygotowującym narzędzia tortur. Przeciętnie co trzydzieści sekund dłoń Sponge'a niespokojnie wędrowała do kieszeni kamizelki, by się upewnić, że obrączka nadal tam jest.

Freya zerknęła na zegarek: zostały dokładnie trzy minuty. Przez cały czas była w gruncie rzeczy przekonana, że Jack jej nie zawiedzie. A jednak się pomyliła. Oto jest tutaj, siedzi w pierwszej ławce, mając idealny widok na wydarzenie, którego obawiała się od miesięcy. Z prawej strony znajdowała się Annabelle, zjawisko w brzoskwiniowym jedwabiu, po lewej zaś widniało wolne miejsce. Puste, zjedzone przez korniki wiązowe siedzenie głośno wołało o jej stanie wolnym i izolowało od Huffingtonów, krewnych Tash - żadnego z nich Freya dotąd nie widziała na oczy. Ojciec był przed kościołem, zajmował się Tash. Poza rodziną Vicky i kilkoma starymi przyjaciółmi taty Freya nikogo nie знаła.

Na plecach czuła ciekawskie spojrzenia. Kim jest ta kobieta w dziwnym kapeluszu? To jej przybrana siostra. Zupełnie sama, biedactwo.

Freya wydeła nozdrza i utkwiała wzrok przed sobą, jakby stała przed plutonem egzekucyjnym. „Ziemia nadziei i chwały...”. Jakże to wszystko przygnębiające: woń wilgotnego tynku i zapleśniałe śpiewniki, chłód biegnący jej po nogach od kamiennej podłogi, bukiety jaskrawych mieczyków wokół ołtarza, jagniątko, krzyże i promieniste słoneczka z poświęceniem wyszyte na obrusach przez dobre chrześcijanki z parafii. Organista grał teraz melodię, którą jak przez mgłę pamiętała z telewizyjnej reklamówki Renault Revenge. Freya pochyliła głowę nad planem uroczystości. „Jerusalem” to nie najlepszy wybór na ślub, ale każdy przynajmniej zna melodię. Rzadko kto obecnie w Anglii odwiedzał kościół w celach czysto religijnych. Śluby, pogrzeby, chrzty, Boże Narodzenie - oto okazje, które jak na proszony obiad gromadziły gości w domu Boga, by łyknęli trochę duchowej strawy. Lepiej nie układać nazbyt wyszukanego menu.

Garnitur Jacka wisiał w szafie, przybory do golenia i szczoteczka do zębów były w łazience - Freya to sprawdziła. Jednakże on sam zniknął. Gdzie jest? A jeśli wyjechał? Zacisnęła szczęki. Nieważne, do czego doszło lub nie doszło ostatniej nocy, czystym egoizmem z jego strony są dąsy, kiedy potrzebowała męskiego wsparcia.

Organy zamilkły. W ciszy na chwilę rozległ się gwar głosów, zaraz jednak ustąpił wyczekującym szeptom. Roland wstał, na jego twarzy malowała się brawura. Sponge raz jeszcze wsunął dłoń do kieszeni. Wielbny Thwacker zajął miejsce u szczytu nawy; jego okulary błyskały, odbijając promienie słońca. Annabelle wyjęła z rękawa chusteczkę, gotowa do okazania macierzyńskiej radości. Organy pisnęły astmatycznie, zbierając siły do otwierającego ceremonię marsza. Freya odwróciła głowę i dostrzegła Tash, zwodniczo dziewczycą w sukni bez rękawów barwy kości słoniowej, poprawiającą ozdobiony kwiatami welon przy pomocy Polly (a może Lulu). Do jej świadomości doszedł jakiś ruch w pobliżu - ludzie podnosili się z miejsc, coś mruczeli, czyjś głos powtarzał: „Przepraszam panią... Dziękuję panu”. Spojrzała w tamtą stronę. To był Jack.

Przez chwilę zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć. Wyglądał wspańiale. Jego garnitur był idealny. Koszuła szeleściła. Krawat olśniewał. Włosy połyskiwały jak stare złoto. Ogarnęła ją ulga, nastrój się poprawił.

- Co cię zatrzymało? - zapytała.

Zanim zdążył odpowiedzieć, organy obwieściły triumfalne wejście panny młodej. Wszyscy z hałasem się podnieśli i odwrócili, by podziwiać Tash. Freya także wstała, ramię w ramię z Jackiem, wdychając męski zapach jego mydła, płynu po goleniu i wykrochmalonej koszuli. Spojrzała mu w twarz. Uśmiechnęła się swobodnie.

- Wspaniały kapelusz.

- Pisarz, co?

Barry Swindon-Smythe, ojciec pana młodego, który wygłosił Amerykaninowi wykład o brytyjskim prywatnym kolejnictwie i swej własnej kluczowej roli w tej sferze, nie wydawał się pod wrażeniem. Łyknął szampana. Chciwym wzrokiem obrzucił zebrany w namiocie tłum, jak gdyby oceniał finansową wartość wszystkich i wszystkiego, po czym wrócił do Jacka.

- Powiniennem pana znać? Pod jakim nazwiskiem pan pisze?

- Pod własnym.

Tamten potrząsnął głową.

- Przepraszam, nie mam czasu na czytanie. W naszej rodzinie intelektualistką jest żona. Ciągłe trzyma nos w jakiejś żalosznej książce. Prawdę mówiąc, właśnie teraz czyta powieść jednego z pańskich rodaków. Ma takie śmieszne amerykańskie imię. Clint, Carter czy jakoś tam.

Jack zmrużył oczy.

- Carson McGuire?

- Tak jest. Zna go pan?

- Jasne. Niedawno jadłem z nim lunch w moim klubie w Nowym Jorku - oznajmił Jack. Zaraz też sumienie dało mu lekkiego kopniaka.

- Marylin będzie pod wrażeniem. Pozwoli pan, że jej poszukam.

Jack patrzył, jak pan Swindon-Smythe przepycha się przez tłum, ulizany i pewny swej ważności w opiętym na brzuchu ubraniu, i postanowił nie czekać. Nie miał najmniejszej ochoty na omawianie geniuszu Carsona McGuire'a. Postanowiwszy, że spełni obietnicę daną Frei, pomimo tego, jak potraktowała go ostatniej nocy, zamierzał dobrze się bawić. Kac jakimś cudem ustąpił. Słońce, szampan i miła świadomość własnego wspaniałomyślnego zachowania przywróciły mu dobry humor. Uciekł od oblepiającego ciepła i zapachu woskowych świec w namiocie i ruszył przez trawnik, przystając tylko po to, by śliczna kelnerka dołała mu drinka.

Więc tak wygląda angielskie wesele. Musi zrobić trochę notatek. Przed nim wznosił się dwór, zawile linie spadzistych dachów rysowały

się ostro na błękanie nieba. Goście zbierali się przy łukowym wejściu, by przemaszerować przez hol do biblioteki, gdzie wystawiono hojne prezenty, i pojawiali się znów w oszklonych drzwiach prowadzących na taras. Wszędzie pyszniły się kwiaty, w wazach przy wejściu, w donicach koło lin przytrzymałych namiot i na przykrytych adamaszkim stołach, na których najwyraźniej niedługo miano podać lunch. W rodzinnych stonach Jacka wesela przypominały raczej przyjęcia koktajlowe -posiłki spożywane na siedząco uważano za barbarzyński północny obyczaj, kiedy wszakże zobaczył tace z łososiem wnoszone do namiotu, stwierdził, że nie będzie traktował nazbyt ortodoksyjnie tej kwestii.

Ruszył wokół namiotu w różowo-białe paski, przypominającego przeorośnięty pawilon turniejowy, podsłuchując rozmowy i próbując wyczuć społeczne niuanse odróżniające poszczególne grupki. Byli więc uniwersyteccy koledzy Guya, których charakteryzowały wygniecione lniane marynarki i niemodne fryzury; miejscowi goście w pozieleniałych ze starości oficjalnych garniturach lub w sukniach drukowanych w róże wielkości kapusty; elegancka paczka Swindon-Smythe'ów, obnosząca złotą biżuterię i telefony komórkowe; dwudziestoparoletni przyjaciele Tash i Rolanda z papierosami w dłoniach i rozluźnionymi krawatami. Wszyscy wydawali się w doskonałych nastrojach i mówili pełnym głosem.

- Suche korzenie kompletnie to podziurawiły...
- ...odsetki w zeszłym roku wynosiły siedem i pół.
- St. Ethelburg może i jest lepszą szkołą pod względem naukowym, ale Nigel i ja sądzimy, że nie poświęcają tam dostatecznej uwagi całej osobowości ucznia. Orson jest takim wrażliwym dzieckiem.
- Właściwie Prada.
- ...nie rozróżnia Canaletta od *caneloni*.
- Nie, nie, naprawdę wcale się nie zmieniłaś. Tylko że w kapeluszu zupełnie inaczej się wygląda.

Ach, kapelusze. Każdy, kto uważa, że Brytyjki są pełne umiaru i rezerwy, powinien wziąć udział w tradycyjnym weselu, by w pełni docenić bogactwo, które kryje się pod ich oszlą powierzchownością. Słomiane ze wstążkami, srebrne z klamrami, tiulowe z kwiatami, czerwone jak wozy strażackie, żółte jak żonkile; kapelusze w kształcie dzwonów, cylindrów, fontann, muchomorów i latających spodków podskakiwały i trzepotały nad tłumem jak egzotyczne wędrowne ptaki, które zboczyły z kursu.

Jack rozpoznał pochyloną postać, wyglądającą papierową serwetkę na postumencie, z którego dawno temu spadł jakiś posąg albo waza.

- Hej, Sponge! Jak tam mowa?
- Jack! Dzięki Bogu. Atrament się rozmazał. Nie umiem tego przeczytać.

Jack odcyfrował tekst najlepiej jak potrafił, a potem klepnął tamtego w ramię.

- Mów krótko, zdecydowanie. Nie mamroc. Będą cię uwielbiać.
- Naprawdę tak myślisz?
- Ja to wiem. A teraz może łykniesz sobie szampana i pogadasz z tą śliczną dziewczyną w niebieskiej sukni? Patrzy na ciebie co najmniej od pięciu minut.

Poprawiając krawat, Sponge ruszył we wskazanym kierunku. Jack rozejrzał się, szukając w tłumie Frei. Po ceremonii została, by pozować do fotografii, i od tamtej chwili jej nie widział. Nie mieli okazji porozmawiać, aczkolwiek wyczuwał łączące ich ciche porozumienie, gdy siedzieli obok siebie w ciszy i słuchali słów przysięgi: „na dobre i na złe, w bogactwie i nędzy, w zdrowiu i chorobie, kochać się i pomagać sobie...”. Cieszył się, że jednak jej nie zostawił.

Tani sentymentalizm, powiedział sobie.

Tymczasem robił, co do niego należało. Rozmawiał z pastorem, gawędził z Annabelle. Skomplementował suknie Polly i Lulu - różowe, obcisłe do kolan, a dalej suto marszczone; prawdę mówiąc, druhny wyglądały jak para gotowanych krewetek. Kiedy Vicky do niego machnęła, podszedł, by przedstawiono go jej matce, pulchnej kobiecie z uśmiechem na twarzy i ostrym, badawczym wzrokiem, która mocno stała na ziemi na swych grubych nogach.

- A więc pan jest tym jej nowym chłopakiem? - Przyjrzała mu się tak, jakby oceniała „najlepszego psa” na miejscowej wystawie. Cicho westchnęła. - Kochana Freya... Pamiętam, kiedy po raz pierwszy tu przyjechała, snuła się po okolicy jak mały bezpański szczeniak. Powiedziałam wtedy do Annabelle: „Szkoła z internatem, oto jedyne wyjście. Dziewczęta w jej wieku, mnóstwo świeżego powietrza i pożywnych dań, żeby nabrała ciała”. Niech pan patrzy, dalej wygląda, jakby głodowała. Przypuszczam, że to skutki mieszkania w Nowym Jorku. Człowiek czyta o tych wszystkich samotnych kobietach dobiegających wieku średniego, co to rozpaczliwie pragną wyjść za mąż, robią wszystko, żeby wyglądać jak nastoletnie modelki, i poświęcają się dla „kariery”. Trudno wtedy nie czuć wdzięczności, że ma się córkę, która...

- Rozpaczliwie pragną wyjść za mąż? - Jack, coraz bardziej rozgniewany tym sączącym się bez końca jadem, odrzucił głowę do tyłu i

serdecznie się roześmiał. - Ależ, droga pani Carp, Frei nawet przez myśl nie przejdzie, by związać się z jakimś nudziarzem. O wiele za dobrze się bawi. Nawet gdyby ktoś namawiał ją do małżeństwa, nie wiem, czy dałaby się przekonać. Jest na to za dobra. Słyszała pani, jak sprzedała obraz jednego ze swoich artystów Tomowi Cruise'owi?

Oczy Hildy Carp otworzyły się szeroko.

- Temu aktorowi?

- A może to był Dustin Hoffman? Poważni kolekcjonerzy obserwują ją jak sępy.

- Naprawdę?

Jack niemal widział, jak jego towarzyszka nadyma się od tej porcji wchłoniętych plotek. W tej samej chwili z domu wyszła Freya. Wyglądała rewelacyjnie w sukni, która była wycięta nisko u góry i wysoko u dołu - jego ulubiony rodzaj. Cudownie dziwaczny kapelusz należał do tych, co to zaczepnie mówią: „I co się tak patrzysz, facet?”, a to zdaniem Jacka stanowiło kwintesencję jej charakteru. Podobał mu się sposób, w jaki kapelusz podkreślał smukłą szyję i rzucał intrygujący cień na twarz Frei. Uniósł rękę, by zwrócić jej uwagę. Uśmiechnęła się z ulgą, zaraz jednak na jej twarzy pojawiła się czujność, gdy zobaczyła, z kim rozmawia. W Jacku obudziły się instynkty opiekuńcze.

- Kochanie, gdzie byłaś? - zawołał, kiedy znalazła się już blisko.

- Pomagałam Annabelle przy torcie.

- To miło z twojej strony. - Objął ją w pasie i z uznaniem ścisnął. Wyczuł opór Frei i mocniej ją przytulił. Niezwykłą satysfakcję sprawiała mu świadomość, że skoro przywiozła go tu właśnie po to, by odegrał taką rolę, nie może teraz w miejscu publicznym mu się sprzeciwiać. Poza tym cudownie pachniała. - Wybaczysz nam pani, pani Carp? - powiedział. - Muszę tę kobietę napić szampanem.

- Och, tak, naturalnie. - Matka Vicky z szacunkiem usunęła im się z drogi, jakby miała przed sobą członków rodziny królewskiej. - Wyglądasz ślicznie, Freyo - zawołała za nimi słodko.

- Do licha, co też nagadałeś tej starej kocicy? - zapytała Freya, kiedy znaleźli się poza zasięgiem słuchu pani Carp. - Ona dosłownie mruczy.

- Mówiłem, jaka jesteś cudowna.

- Och.

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

Pod jego dłonią wznosiły się i opadały jej zębra.

- Dziękuję, Jack. Jesteś wspaniały. Teraz lepiej?

- To dopiero początek.

Puścił ją i z tacy, z którą obok przechodził kelner, porwał kieliszek. Podał go Frei, po czym z uśmiechem stuknął w jej kieliszek swoim. Goście weselni gromadnie zdążali w kierunku namiotu, gotowi na lunch; kilkoro obrzuciło ich życzliwym spojrzeniem.

Freya upiła wielki łyk szampana, spoglądając na Jacka spod ronda kapelusza.

- Nie trzeba przesadzać - odrzekła. Uśmiechała się jednak.

Freya odłożyła deserową łyżeczkę, wzdychając z zadowoleniem. Lunch był smaczny, wina mnóstwo, towarzystwo zabawne. Uspokajał ją gwar głosów, ciepłe powietrze wewnątrz namiotu mile usypiało. Jack był w szczytowej formie - dowcipny, uważny, równie biegły w omawianiu amerykańskiej polityki z Tobym, jak w zachęcaniu jednej z przyjaciółek Tash, by nie rezygnowała z zamiaru napisania powieści. Odprężyła się, słuchając znajomego brzmienia jego głosu i czując dotyk męskiego ramienia, swobodnie spoczywającego na oparciu jej krzesła.

Źle go oceniła, sądząc, że ją zawiódł. Jego zniknięcie było całkiem zrozumiałe: zraniona została męska duma i musiał minąć jakiś czas, by poszkodowany doszedł do siebie. Przypomniała sobie to, co rankiem mówił jej ojciec o wybaczeniu i współczuciu, i postanowiła, że będzie dla Jacka szczególnie miła. Ostatnio spotkały go dwa wielkie ciosy: najpierw ojciec odmówił mu dalszego finansowego wsparcia, potem unieważnił kontrakt na powieść. I w końcu wystąpił z tą propozycją - przypuszczalnie z jakiejś psychicznej potrzeby, by poprawić własną samoocenę - a Freya go odrzuciła. Całkiem słusznie, oczywiście, ale nie w tym rzecz. A w czym rzecz...? Przez ułamek sekundy zobaczyła twarz Jacka w świetle księżyca, kiedy ją całował... kiedy ona go całowała. Wyprostowała się na krześle i założyła nogę na nogę. Trudno obwiniać kobietę za to, jak zachowuje się jej ciało, zwłaszcza pod wpływem alkoholu. Przypuszczalnie wciąż jeszcze cierpiała na czysto fizyczną frustrację po rozczarowaniu z Brettem - czy to naprawdę było zaledwie przed tygodniem? Rzecz w tym... Freya spojrzała na profil Jacka, opowiadającego o agentach, wydawcach i honorariach. Obcięcie włosów okazało się świetnym pomysłem. Nowa fryzura podkreślała regularny kształt jego głowy i silne męskie rysy. Naprawdę wyglądał całkiem... Rzecz w tym, przypomniała sobie, że ona i Jack znowu są przyjaciółmi. Tak, o to chodziło.

W jej myśli wdarł się szcęk sztućca uderzającego o szkło, prośba o milczenie.

Jack odwrócił się ku niej.

- Co się dzieje?

- Mowy - odparła krótko.

Tej chwili najbardziej się obawiała. Przeszawiła krzesło, tak by widzieć stół z parą młodą, i przełykając zazdrość patrzyła na ojca, który podnosi się z miejsca, by wygłosić pochwałę panny młodej.

Wyglądał bardzo przystojnie w gołęmbim fraku i jaskrawym różowym krawacie, wysoki i wyprostowany.

- Panie i panowie - rozpoczął, przyglądając się gościom dobrotliwie. - Jestem szczęśliwym człowiekiem. - Rozległ się szmer uznania. - Moim udziałem stała się radość obserwowania, jak Natasha wyrasta z niewinnej trzylatki na piękną, czarującą kobietę, którą tu dzisiaj widzicie. Pamiętam...

Freya splotła dłonie na kolanach i utkwiała wzrok w kokosowej macie. To była dobra mowa - pełna uczucia i uprzejma, zabarwiona auto-krytycznym dowcipem, który tak uwielbiała. Przywitał w rodzinie Rolanda. Oddał hołd Annabelle. Oddał hołd ojcu Tash, który umarł tak młodo i którego krewnych z przyjemnością dzisiaj gości. Był uprzejmy i pełen wdzięku. Freya nie mogła nie odczuwać dumy.

- ...i na jeszcze jeden sposób jestem szczęśliwy, ponieważ oczywiście mam dwie córki.

Freya spojrzała na ojca.

- Jestem szczególnie uradowany, że moja córka Freya może być dzisiaj z nami, razem ze swym przyjacielem Jackiem. Tym, którzy nie wiedzą, chciałbym powiedzieć, że Freya prowadzi pełne sukcesów i udane życie w Nowym Jorku. Prawdę mówiąc, wierzę, że zaopiekuje się mną na starość. Jest wspaniałą towarzyszką i piękną młodą kobietą, dzięki swej matce, trzeba to przyznać. Kocham ją i jestem z niej dumny. To wydarzenie nie byłoby kompletne bez jej udziału. Dziękuję za przyjazd, kochanie.

Freya pochyliła się, by ukryć twarz. Serce wezbrało jej po brzegi miłością. Nie zapomniał o niej. Dalej był jej tatusiem!

Ojciec skończył, teraz wstał Roland i rozpoczął długą listę podziękowań. Freya zauważyła, że ojciec, siadając, źle ocenił ustawienie krzesła i lekko się zachwiał. To była drobnostka - nikt poza nią chyba tego nawet nie dostrzegł - lecz Freya z uczuciem paniki zobaczyła, że tata istotnie się postarzał. „Pewnego dnia, i to niezbyt odległego, utraci go na zawsze. Instynktownie odwróciła się ku Jackowi; patrzył na nią. Uśmiechnął się zachęcająco, jak gdyby czytał w jej myślach.

Teraz widownia głośno się śmiała. Roland już siedział. Niebiosa, to dobry stary Sponge!

- Małżeństwo jest polem bitwy - mówił - a nie łóżem usłanym różami.

Jakie to dziwne. Właśnie to ojciec próbował powiedzieć rano o swoim małżeństwie z jej matką. Być może przez wszystkie te lata żyła z zupełnie fałszywą koncepcją związku, oczekiwała ideału, a kiedy rzeczywistość nie dorastała do jej wyobrażeń, niszczyła wszystko w zarodku. Kiedy teraz o tym myślała, „łóżo usłane różami” brzmiało dość nudno. Przelotnie ujrzała inną wizję kobiet i mężczyzn - jako partnerów sparringowych, nieustannie sprawdzających swe mocne strony i odkrywające własne słabości, walecznych, lecz nie destruktywnych, dokładających w miarę możliwości wysiłków, by wzajemnie się uformować. To wydawało się o wiele ciekawsze niż leżenie na starych cuchnących kwiatach. To było podniecające - było przygodą.

- ...za Rolanda i Tash!

Cholera, przegapiła mowę Sponge'a, a jego szeroki uśmiech dowodził, że okazała się świetna. Freya uniosła kieliszek w toaście i napiła się szampana, z przyjemnością czując musujący alkohol na języku. Impulsywnie zwróciła się do Jacka i stuknęła kieliszkiem w jego.

- Dzięki, że przyjechałeś, Jack. To wszystko zmieniło.

Te słowa zaskoczyły ich oboje.

Nastrój zelżał, zapalono papierosy, znowu rozległ się gwar. Ludzie zaczęli wstawać z miejsc i wychodzić na świeże powietrze. Freya już miała zrobić to samo, kiedy Hilda Carp nachyliła się do jej ucha.

- Freyo, najdroższa, możesz poświęcić mi chwilkę? Chciałam cię prosić o przysługę. Jak sądzisz, czy mogłabyś zdobyć dla mnie autograf Toma Cruise'a?

- Moglibyśmy pokazać mu nasze stare knajpki na Brooklynie, zaprowadzić do Ambrosia, żeby się przywitał - namawiał Jack.

- Sama nie wiem...

- I do tej japońskiej knajpki z żywymi krewetkami.

- Hmm...

- A co powiesz o meczu futbolowym?

- Rzecz w tym, że nie będzie mógł się u mnie zatrzymać.

- Jemu wszystko jedno, gdzie będzie mieszkał. Zależy mu na tym, żeby z tobą się zobaczyć. Jest twoim ojcem i kocha cię.

Freya pochyliła głowę.

- Wiem.

- Więc to zrób. Właściwie czemu nie miałabyś pójść na całość i nie postarać się o porządne, prawdziwe mieszkanie? Mogłabyś wtedy urządzić przyjęcie na jego cześć.

- Przyjęcie? - To był przerażający pomysł.

- Jasne. Ja bym ci pomógł.

- Naprawdę?

Jack i Freya siedzieli na starej zniszczonej huśtawce, na poły ukrytej wśród cisów, i leniwie obserwowali gości krążących po trawniku. Tort został pokrojony, Roland i Tash poszli się przebrać. Słońce wciąż stało wysoko, rzucając łagodne światło na ceremonię. Po mowach Freya wspomniała Jackowi o tym, że zastanawia się nad zaproszeniem ojca do Nowego Jorku, i zaskoczył ją entuzjazm starego przyjaciela.

- Bardzo by się ucieszył!

Wciąż nie była do końca przekonana, ale zabawnie było planować z Jackiem rozrywki dla ojca. Było jej miło, czuła się odprężona.

- Cóż za szczęśliwy dzień! - Zona pastora przystanęła, odkrywszy ich kryjówkę.

- Tak, wspaniały - uśmiechnęła się Freya.

- Uroczą z nich para, prawda?

- Tak - powtórzyła łagodnie.

- Kto wie, może następna będziesz ty? - Starsza kobieta badawczo popatrzyła na Jacka.

- Kto wie? - W jego głosie Freya wyczuwała rozbawienie. - Uwielbiam stare damy - powiedział, kiedy pastorowa się oddaliła. - Są takie subtelne.

Freya z westchnieniem oparła się o poręcz.

- Dzisiaj - oznajmiła - kocham wszystkich.

- Hej, Jack, znasz się na samochodach?

To był Sponge, trzymający za rękę śliczną dziewczynę w niebieskiej sukni. Wyglądał na zmartwionego. Razem z Jamiem ozdabiali samochód odjeżdżającej pary młodą zwykłymi w takich razach akcesoriami. Było to nowe japońskie sportowe cacko, prezent ślubny od rodziców Rolanda. Jamie włączył jakąś blokadę i nikt nie wiedział, co z tym zrobić. Jack powiedział, że zobaczy, czy da sobie radę, a Freya pożegnała go machnięciem dłoni.

Siedziała samotnie, leniwie kołysząc się na spłowiałych poduszkach. Zamknęła oczy. Już prawie po wszystkim i wyszła z tego cało. Więcej, naprawdę dobrze się bawiła. Wszystko dzięki temu, że miała towarzysza.

Zastanawiała się, czy ona i Jack nie będą mogli wymknąć się wieczorem na spacer i cichą kolację do pubu. Wyobraziła sobie, jak siedzą w drewnianym boksie, w zaduchu piwa i chipsów, albo na zewnątrz, gdzie ciemności rozprasza migotanie świecy na stoliku, a w uszach brzmi łagodny szum morza. Porozmawiają o weselu i wymieniają się myślami w ten swobodny sposób, w jaki zawsze to robią. Później wrócą w promieniach księżyca i...

Ławka skrzypnęła protestująco, kiedy Freya wyprostowała się, uderzona szokującą myślą. Jakże była ślepa. Problem, czy będzie miała z kim przyjechać na to wesele - problem, który dręczył ją od tak dawna - okazał się, nagle ujrzała to wyraźnie, groteskowo trywialny. Nie chodziło wcale o to, żeby był to ktokolwiek. Nie czułaby się tak, gdyby towarzyszył jej Michael, Brett czy też jeszcze ktoś inny. Cała różnica tkwiła w tym szczególnym mężczyźnie, który się nią zajmował, który ją rozśmieszał, a którego знаła na wylot dzięki długiej przyjaźni; to mężczyzna, którego lubiła - może nawet więcej niż lubiła?...

W jej myśli wdarł się zgiełk. Zobaczyła, że goście kierują się na podjazd koło domu, gdzie opływowy samochód Rolanda lśnił jak świeżo zabita barakuda. Freya uśmiechnęła się do siebie. Na pewno Jack gratuluje sobie mechanicznego geniuszu, dzięki któremu uruchomił auto, nawet jeśli wykonał coś równie mało skomplikowanego jak przekręcenie kluczyka. Cóż za zarozumialec! Szła wolno, rozglądając się za nim, choć nie było powodów do pośpiechu. Będzie mnóstwo czasu po powrocie do Nowego Jorku na zbadanie tej nowej ekscytującej myśli, która zajmowała coraz więcej miejsca w jej głowie.

Tash przebrała się w letnią sukienkę w maki; wyglądała ślicznie i była wyraźnie rozradowana. Objęła Annabelle i wsiadła do kabrioletu. Przy kierownicy siedział z ważną miną ten dupek Roland. Ktoś rozdawał koszyki z płatkami róż, goście, którzy przynieśli własne konfetti, pośpiesznie rozrywali opakowania.

Roland nacisnął klakson, Tash stanęła na siedzeniu pasażera, wysoko w górze trzymając bukiet. Tłum zaszemrał podniecony. Panna młoda, wolno obracając głowę, przyglądała się twarzom w tłumie. Jej słowa popłynęły w powietrzu:

- Gdzie jest Freya? Gdzie moja wielka siostra?

Freję ogarnęło zakłopotanie pomieszane z gniewem na Tash, że w taki sposób zwraca uwagę wszystkich na jej osobę: starsza siostra, niezamężna. Zastanawiała się, czy nie był to przypadkiem pomysł ojca - źle obliczony „miły” gest wymuszony na ociągającej się przybranej córce.

Splotła ramiona na piersi w nadziei, że nikt jej nie zobaczy. Nie miała najmniejszej ochoty łapać bukietu, nawet gdyby rzucono go prosto w jej ręce. Jednakże była za wysoka, żeby się ukryć, a kapelusz zdradzał ją niczym wielkie zielone światło uliczne. Panna młoda już ją dostrzegła. Wskoczyła z samochodu i z uśmiechem ruszyła ku Frei. Tłum rozstępował się przed nią. Freya słyszała słowa gości:

- Ach, jak miło.
- Co za wielkoduszna dziewczyna.

To ją otrzeźwiło. Bez względu na to, co obie myślały w głębi duszy, była to gałązka oliwna w wydaniu Tash: Freya może przynajmniej z wdziękiem ją przyjąć. Uniosła głowę i ruszyła na spotkanie. Panna młoda wciśnęła jej bukiet w dłonie i przytuliła w siostrzanym uścisku. Freya pochyliła się, by także ją objąć. Tash zarzuciła jej rękę na szyję i szepnęła do ucha:

- Jack to wielki chłopiec, prawda?

Freya odsunęła się wstrząśnięta. Jednakże tamta trzymała ją mocno, wbijając paznokcie w skórę.

- Szkoda, że nie jest twoim prawdziwym chłopakiem - dodała złośliwie.

Zwolniła uścisk. Błysnęły zęby, w zmrużonych oczach pojawił się triumf i już jej nie było.

Freya zachwiała się na obcasach. W uszach dudniła jej krew, zagłuszając radosne okrzyki.

- Do widzenia! - wołali goście. - Wszystkiego dobrego!

Widziała niewyraźne kontury machających na pożegnanie dłoni.

Powietrze eksplodowało kolorami. Rozległ się warkot silnika, zgrzyt tryskającego spod kół żwiru, grzechot metalowych puszek. Było jej zimno. Obawiała się, że jeśli wykona najdrobniejszy ruch, przewróci się i rozpadnie na kawałki. Coś wbijało jej się w dłonie: ścisnęła sztywny uchwyt bukietu, owinięty drutem.

Tłum rozszedł się, zostawiając ją samą na trawniku zasypanym płatkami róż. W pewnej odległości zobaczyła Jacka idącego w jej stronę. Uśmiechał się beztrzesko.

Ach, tutaj jest.

Ostatnie kawałki konfetti opadły wirowym ruchem na trawę. Ludzie się rozeszli. Jack zobaczył Freyę, wpatrującą się prosto w niego. Kapelusz nadał jej twarzy wygląd kubistycznego portretu złożonego ze światła i geometrycznych cieni. Ze zdziwieniem i ciepłem pomyślał o wszystkich

wcieleniach kryjących się pod tą kombinacją rysów: pogardliwa bogini, zuchwała pokerzystka, urażona mała dziewczynka, inteligentna kobieta, która utrzymuje język i umysł w gotowości, cudowna istota biegnąca plażą. Uświadomił sobie, że chce ją pocałować.

- Freya! - zawołał.

Odwróciła się i ruszyła jak na zwolnionym filmie, jak osoba pogrążona we śnie, która nie usłyszy najgłośniejszego nawet wołania.

- Freya! - Skoczył za nią.

- Proszę mi wybaczyć. - Usłyszał tuż obok piskliwy kobiecy głos. - Czy pan jest Jackiem Madisonem? - Zadźwięczała biżuteria, gdy wymanikiurowana dłoń złapała go za łokieć. - Mąż mówił mi, że zna pan Carsona McGuire'a. Nasze małe kółko czytelnicze w Totteridge, Totteridge Common, mówiąc ściślej, będzie zachwycone, mogąc usłyszeć, jaki on jest naprawdę.

- Przepraszam bardzo. - Poczul piżmowy zapach i dostrzegł sztuczność farbowanych włosów. - Mam ważną sprawę do załatwienia. Porozmawiam z panią później. - I pobiegł, ignorując zaskoczone westchnienie Marilyn Swindon-Smythe.

Freya jednak zniknęła. Zgubił ją. Sądził, że poszła w kierunku domu, wpadł więc do środka. Było tam chłodno i cicho. Zajrzał do pustej biblioteki, później ruszył do kuchni. Z kranu wolno kapala woda. Bedivere leżał przyciśnięty do kuchenki. Na widok Jacka machnęła życzliwie ogonem.

- Gdzie ona jest? - zapytał Jack.

Wydało mu się, że usłyszał jakiś cichy dźwięk z dalszych pomieszczeń, poszedł więc zastawionym meblami korytarzem, zaglądając w każde drzwi. Zobaczył ją w czymś w rodzaju spiżarki; stała i robiła coś przy zlewie.

Uśmiechnął się z ulgą.

- Freya, chciałem...

- Wynoś się!

Odwróciła się na pięcie i rzuciła czymś w jego brzuch. Jack złapał to instynktownie, było wilgotne i miękkie, ale nie odrywał wzroku od Frey. Nie miała na głowie kapelusza. Jej twarz była popielata, oczy zaciśnięte w szparki.

- Co ci jest, kochanie? - zapytał przerażony. - O co chodzi?

- Jak mogłeś? - zawołała. - Po tym wszystkim, co ci opowiedziałam. Wiedziałeś przecież, co czuję. Jak mogłeś tak po prostu pieprzyć się z tą małą suką, moją przybraną siostrą?

Jack przelknął! głośno ślinę. Fatalnie. Czemu Tash nie trzymała buzi na kłódkę?

- Po prostu się zdarzyło - powiedział. - To nie był mój pomysł. Próbowalem przespać się w bibliotece, a ona weszła i rozebrała się. - Machnął ręką bezradnie. - Przepraszam, byłem na ciebie wściekły. Ona... ona praktycznie mnie do tego zmusiła.

- Jasne, że cię zmusiła! Boże, Jack, jesteś wprost niesamowity. Myślisz zapewne, że tak nieodparcie działasz na kobiety, że każda, nawet ta, co ma jutro wyjść za mąż, po prostu musi cię uwieść?

- No... - Zaczął go ogarniać wstyd. Otworzył usta, by się bronić, ale Freya na to nie pozwoliła.

- Nie dociera to do ciebie? Zdjęła przed tobą majtki nie dlatego, że miała na ciebie ochotę, zrobiła to, żeby mnie zranić. Żeby mogła się przechwalać. Żeby udowodnić, że nikt nie lubi mnie na tyle, by okazać mi nawet cię lojalności, że moje uczucia nie są nic warte, że ja nie jestem nic warta. A okropne w tym wszystkim jest to, że miała rację.

- To nieprawda!

- Powiedziałeś jej nawet, że nie jesteśmy prawdziwą parą, że udajesz mojego chłopaka. Wyobraź sobie, jak cudownie się czuję z tego powodu. Wyobraź sobie, ile ona mieć będzie zabawy, wymachując tym nożem przez następne lata. Ale co tam, kogo to obchodzi? Jack Madison się zabawił i tylko to jest istotne, prawda?

- To nie tak. - Miał wrażenie, jakby złapał go gwałtowny wir i miotał nim wkoło, a on, nagle oślepiiony, walczył o twarde gruntu pod nogami. - To nic nie znaczyło.

- Dla mnie znaczy! - Freya walnęła się tak mocno dłonią w piersi, że usłyszał głuchy odgłos kłyki uderzających w mostek. Nagły przypływ czułości sprawił, że Jack zapragnął ją objąć. Lecz zacisnęła zęby, oczy jej płonęły. - Co z ciebie za przyjaciel? Proszę cię tylko o jedno, żebyś przez cztery parszywe dni udawał, że jesteśmy parą. Ale ty nie potrafisz, bo pojawia się pokusa i nie umiesz się oprzeć. Jesteś żaloszny, Jack!

- Poczekaj chwilkę. To ty mnie odepchnęłaś. Nigdy by do tego nie doszło, gdyby...

- Och, na litość boską, dorośnij wreszcie! „To nic nie znaczyło. Ona mnie do tego zmusiła”. - Jej parodia była okrutna. - Gównu mnie obchodzi, z kim uprawiasz seks. To nie dotyczy Tash, tylko ciebie. Jesteś człowiekiem bezużytecznym. - Słowa Frei spadały na niego, piekące, niepowstrzymane. - Wszystko jest zawsze czyjaś winą: twojego taty, wydawcy,

Tash, moja. Ty zawsze wybierasz najłatwiejsze wyjście. Domagasz się ciąglego podziwu, ale palcem nie ruszysz, by na niego zasłużyć. Dano ci wszelkie możliwe ułatwienia i korzyści, jakie są na tym świecie, i każdą po kolei zmarnowałeś. Brak ci kręgosłupa, aby prawdziwie przywiązać się do czegokolwiek, bez względu na to, czy to kobieta, przyjaciel, czy nawet twoje własne pisarstwo.

- To nie w porządku!

- Czyżby? - Freya wykrzywiła się z pogardą. - Pozwól, że powiem ci prawdę, Jack. Nie jesteś pisarzem. Jesteś rozpuszczonym dyletantem, który żyje z pieniędzy tatusia i marnuje czas z ludźmi pokroju Candace Twink i Leona Brannigana. Nigdy nie skończysz swojej powieści, bo jesteś na to za leniwy! Nigdy nie staniesz się prawdziwym pisarzem, bo nie masz ani krztyny szacunku dla ludzkiego serca.

Freya wypuściła powietrze z płuc. Nastąpiła długa chwila ciszy. Coś go zabolalo. Jack spojrzał w dół na przedmiot, którym wcześniej w niego rzuciła. Był to bukiet róż. Kolec wbił mu się w skórę, po której płynął teraz strumyczek krwi.

Kiedy znowu się odezwała, w jej głosie brzmiała cicha beznadzieja, bardziej przerażająca od gniewu.

- Ujawniłam przed tobą całe moje życie, Jack. Wprowadziłam cię do domu, przedstawiłam ojcu, macosze, opowiedziałam o swoich uczuciach. Myślałam, że mogę na tobie polegać. Że mogę ci zaufać, szanować cię. Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi...

Przy tym słowie głos jej się załamał, głowa opadła. Jack zobaczył, że Freya płacze. W jego piersi otworzyła się głęboka rana, jakby wyleciał z niej ogromny kamień.

Spojrzała mu w twarz; oczy miała pełne łez.

- Próbuję dalej cię lubić, Jack, ale nie potrafię...

Zrobił krok w jej kierunku.

- Freya...

- Odejdź ode mnie! - Gwałtownie machnęła ręką i o mało nie straciła równowagi. Złapała się krawędzi zlewozmywaka. - Wynoś się! Wynoś się z tego domu i z mojego życia. Nie chcę cię więcej widzieć.

Rozdział trzydziesty

Ponieważ był to weekend rozpoczynający sezon letni, wszystkie loty do Nowego Jorku zostały wykupione. Skończyło się na tym, że Jack musiał spędzić noc na lotnisku Heathrow, pomiędzy szarymi ze zmęczenia podróżnymi skulonymi na swoich bagażach i sprzątaczkami bezszelestnie przesuwanymi miotły po posadzkach. Godziny mijały we mgle niespokojnych snów, odbijających się echem zapowiedzi oraz upartych wewnętrznych głosów, które nie chciały zamilknąć.

W końcu, w niedzielne przedpołudnie, zaproponowano mu miejsce w jakichś liniach lotniczych ze Środkowego Wschodu. Podał kartę kredytową, nawet nie pytając o cenę. Pragnął uciec do domu. Pragnął wyostać się z lotniska, zanim przyjedzie tu Freya na swój lot - ten, który mieli odbyć wspólnie, gdyby wszystko tak się nie poplątało.

Teraz Jack znajdował się na tej dziwnej ziemi niczyjej wysoko w niebie, ogłuszony rykiem silników, dusząc się z powodu złej wentylacji, oszołomiony migającymi obrazami na ekranie, na którym wyświetlano jakiś arabski dramat. Miał środkowy fotel w rzędzie składającym się z pięciu miejsc, z obu stron jego sąsiadkami były korpulentne kuwejskie panie owinięte w szale. Wszyscy poza nim byli Arabami lub Hindusami i wszystkie zapowiedzi ogłaszano po arabsku. Zgodnie z prawem islamu w czasie lotu nie podawano alkoholu. Wspaniale.

Czuł się zmęczony i miał ściśnięte serce. Mimo że pragnął zapomnienia, sen nie przychodził. W głowie Jacka wciąż od nowa powtarzały się luźne sceny z ostatnich pięciu dni. Widział Freyę, jak skakała po łóżku, rzucając w niego poduszkami; słyszał cichy głos Guya mówiącego: „Ciesz się, że ma kogoś, komu na niej zależy”. I najbardziej dotkliwie

powracały ostatnie słowa Frei, zjadliwe i kłujące. Może zasługiwał na jej krytykę: istotnie popełnił wielki błąd. Lecz czy naprawdę zasłużył sobie na taką wszechogarniającą, ostrą pogardę?

Nie dała mu szansy na wytłumaczenie się. Wstrząśnięty, spakował rzeczy, zostawił w kuchni na stole krótki list z podziękowaniami do Guya i Annabelle, a potem wymknął się z domu jak złodziej. Teraz wszakże odpowiedzi i wyjaśnienia kłębiły mu się w głowie, żądając wyrażenia. Jack wiercił się w fotelu, zirytowany i zrozpaczony. W końcu sięgnął po plecak upchnięty pod siedzeniem, by wyjąć pióro i notatnik. Otworzył plastikowy stoliczek przed fotelem i zaczął pisać.

Droga Freyo,

wiem, że będziesz chciała wyrzucić ten list, kiedy zobaczysz nazwisko nadawcy, ale nie rób tego. Ten jeden raz wysłuchaj, co ktoś inny ma do powiedzenia.

Tak, spałem z Tash. Było to niewiarygodnie głupie i żaluję, że to zrobiłem. Może istotnie nie usprawiedliwia mnie tłumaczenie, że byłem zły i pijany albo że ona z rozmysłem postanowiła mnie uwieść, ale tak było naprawdę. Nie jestem z siebie dumny. Nie uważam Tash za „zdobycz”. Przykro mi, że tak się stało.

Bądźmy jednak szczerzy, Freya. Czy możesz mi podać choć jeden dobry powód, dla którego nie miałbym spać z Twoją siostrą czy z jakąkolwiek inną kobietą? Ty mnie nie chcesz: to jasne jak słońce. Wyrzuciłaś mnie z sypialni, pamiętasz? Skąd więc ten potężny melodramat?

Jack przerwał i z namysłem przyjrzał się słowom, które właśnie napisał. Sumienie podpowiadało mu, że coś tu nie jest w porządku. Lecz słowa Frei napływały wielką kłującą falą, potęgując jego wściekłość. Przez kilka ostatnich dni skakał przez każdą idiotyczną obręcz, jaką mu podstawiła, chętny i posłuszny jak tresowany piesek, a ona umiała tylko nazywać go bezużytecznym człowiekiem.

Prawda jest taka, że została zraniona Twoja duma. Nie chcesz mnie, ale zależało Ci na tym, żeby wszyscy na tym weselu myśleli, że ja chcę Ciebie. Czy nie uważasz, że to trochę nie w porządku? A nawet, ośmielam się rzec, niedojrzałe? Masz kompleks wieku, Freya. Jesteś piękną kobietą, która odniosła sukces, ale w tym akurat momencie nikogo nie masz. Koniec opowieści. Pomysł, że wszyscy w Kornwalii będą się z Ciebie wyśmiewać, dowodzi, jak wielką masz obsesję na własnym punkcie.

Dlaczego dla odmiany nie pomyślisz o innych ludziach? Na przykład o Twoim biednym ojcu, który wyraźnie Cię uwielbia, ale dostaje tylko chłodną, zdawkową Freyę, jak my wszyscy. Czy po dwudziestu latach wciąż obwiniasz go o to, że ożenił się z inną kobietą? A co miał biedak zrobić - czekać, aż jego ukochana córka pozwoli mu żyć?

Śmierć matki była dla Ciebie tragedią, ale dla niego też. Razem z Annabelle próbowali stworzyć Ci dom - dom, którego większość ludzi by Ci zazdrościła. Ale nie, to nie jest Twój dom, więc się nim nie cieszysz. Odkąd Cię znam, mieszkasz w obskurnych mieszkaniach. Co to znaczy? Nie jesteś bezdomna, lecz sama siebie uczyniłaś bezdomną: chcesz być bezdomna, by móc dalej żałować siebie i wyglądać na tragiczną ofiarę w oczach innych.

I znowu przerwał. Freya nie była ofiarą; była najodważniejszą kobietą, jaką znał. Ale nie zamierzał teraz się nad tym zastanawiać. Śluzę puściły i musiał wyrazić całą swoją urazę i gniew.

A co ze mną? - napisał z gwałtownym, słyszalnym skrzypieniem pióra na papierze. Od tak dawna jesteście przyjaciółmi. Zgodziłem się, żebyś u mnie zamieszkała. Wyświadczyłem Ci przysługę i pojechałem z Tobą do Anglii, ponieważ tak Ci na tym zależało. Myślałem, że dobrze się bawimy. Okazało się, że nie mam racji. Twoja dzika i przesadna reakcja na epizod z Tash pokazuje, że tylko czekałaś na okazję, by powiedzieć mi, co o mnie myślisz.

Wiem, że nie jestem ideałem. Ale przynajmniej jestem ludzką istotą i przynajmniej kontaktuję się z innymi ludźmi - na swój leniwy, egoistyczny, dyletancki sposób. Podczas gdy Ty, dostrzegając w każdym najmniejszy ślad niedoskonałości, odrzucasz tych wszystkich, którzy najbardziej Cię kochają. Włączając w to mnie.

Okay, zniosę odrzucenie. Postaw krzyżyk na dziesięciu latach przyjaźni, jeśli chcesz. Ja mam inne sprawy na głowie.

Na przykład co? - zapytał siebie Jack, stawiając wielką kropkę na końcu zdania. Pióro na chwilę zawisło nad kartką, zaraz jednak od nowa zaczęło po niej biegać.

Przykro mi, że tak źle o mnie myślisz jako o pisarzu. Dobrze poznać prawdę po tylu latach. Twoja opinia będzie mi pociechą, kiedy spróbuję skończyć powieść bez żadnych środków do życia, bez wydawcy i dachu nad głową. Na szczęście wierzę w siebie.

Przygryzł koniec pióra. Wyobraził sobie leżący na biurku brulion z oślimi uszami, zawierający mało satysfakcjonujący, niedokończony brudnopis powieści. Czy kiedykolwiek ją skończy? Może gdyby jego agentem został Leo, udałoby mu się otrzymać nową - i większą - zaliczkę od innego wydawcy. Tak, imponująca umowa z mnóstwem zer: wtedy Freya by zobaczyła. „Dyletant”, co? Nie „prawdziwy” pisarz. Cóż ona wie o twórczych zmaganiach?

Nie rozumiesz, jak trudno napisać książkę - sięgnąć głęboko we własne wnętrze i...

I w tej właśnie chwili Jack sięgnął głęboko we własne wnętrze. Sekundy mijały, a on wciąż trwał z dłonią zawieszoną bez ruchu w powietrzu. Później zamknął pióro, tak głośno, że obie Kuwejtki podskoczyły przerażone i spojrzały na niego. A niech sobie patrzą. Zamknął oczy i oparł głowę o podglówek.

Widział tylko jedno: ściągniętą twarz Frei i łzy w jej oczach. Zranił ją. Przez niego płakała. Freya nigdy nie płakała. Mógłby w nieskończoność mnożyć usprawiedliwienia, a nawet mieć rację w każdym punkcie. Ale nic nie może zmasać widoku bólu na jej twarzy i świadomości, że to Jack jej go zadał. Próby precyzyjnego podziału winy były równie okrutne i bezsensowne jak propozycja Salomona, by przeciąć dziecko na dwie części.

Podniósł notatnik i przeczytał to, co przed chwilą napisał. Usta wykrzywił mu niesmak do samego siebie. Na stronicy widniały same półprawdy. Cała prawda rozdzierała mu serce.

Freya miała rację. Nie liczyło się to, że spał z Tash, tylko to, że zdradził przyjaciółkę. Zaufała mu, a on wydał ją w ręce najgorszego wroga.

I miała rację w sprawie książki. Nie skończył jej wyłącznie z własnej winy - nie z winy ojca, agenta czy braku pieniędzy.

Może nawet miała rację w kwestii jego talentu. Kiedy poważnie usiłował zajrzeć w swoje wnętrze - cokolwiek to znaczy? Chyba zabrakło mu odwagi. Może nawet nic tam nie ma.

Jack wyrwał kartkę z notatnika i zmiął w kulkę. Ścisnął ją mocniej i mocniej.

„Próbuję dalej cię lubić, Jack, ale nie potrafię...”

Nie obwiniał jej. Jest nieudacznikiem. Draniem. Przez niego płakała.

„Nie chcę cię więcej widzieć”

Cóż, doskonale. Nie zobaczy.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Po powrocie do Nowego Jorku Freya opętana była tylko jedną myślą: musi zobaczyć się z Cat. Przyjaciółka ją zrozumie, otworzy butelkę i będzie cierpliwie słuchać o nieszczęściach Frei. Cat pomoże rozdrzeć Jacka na strzępy. Razem ogłoszą Tash dziwką i węzem w ludzkiej skórze. W końcu Freya da upust całej złości i rozpaczy, które zmuszona była tać w sobie, i przygaśnie ten żarzący się, pryskający iskrami, trzaskający ogień w jej wnętrzu.

Rodzinie powiedziała, że ojciec Jacka poważnie zachorował - atak serca - i Jack musiał natychmiast wracać do domu. Była prawie przekonana, że ojciec jej nie uwierzył, w tej historii było zbyt wiele dziur. (Dlaczego nie pojechała z Jackiem, by pomóc mu w takiej chwili? Dlaczego przynajmniej nie odwiozła go na stację? Dlaczego sama jest taka roztrzęsiona?). Freya widziała, że jej powściągliwość zraniła Guya, lecz nie mogła na to poradzić. Wprawdzie bardzo pragnęła czyjejś pociechy i płonęła z chęci ujawnienia wszystkim, jaką dziwką jest Tash, równocześnie jednak nazbyt zaplątała się we własne kłamstwa, by teraz wyjawić całą prawdę. Pod pretekstem bólu głowy poszła do swojego pokoju i leżała zwinięta w kłębek na wielkim łóżku, wciąż na nowo przeżywając chwilę, w której siostra triumfalnie i mściwie ogłosiła jej swoją rewelację. Chciała zasnąć, ale oczy miała szeroko otwarte. W pośpiechu Jack zapomniał piżamy, która wciąż wisiała na drzwiach. Ten widok tak ją udręczył, że Freya w końcu wyskoczyła z łóżka i wepchnęła nocny strój do kosza na śmieci. Piżama pachniała Jackiem.

Całą drogę powrotną płakała - nienawidziła siebie za tę słabość, w zaskopotanie wprawiały ją ciekawskie spojrzenia innych pasażerów, była jednak zbyt zmęczona i zrozpaczona by przestać. Oszołomiona, pojechała

taksówką do swego nowego domu. Było to małe, pozbawione uroku mieszkanie w niemodnej części Village: dwa pokoiki, z okien których nie rozciągał się żaden widok, przytłaczająco puste i ciche. Rzeczy, które w ubiegłym tygodniu przywiozła tu od Jacka, piętrzyły się ponurym stosem w sypialni. W lodówce nie było żadnego jedzenia. Na zewnątrz padał deszcz.

Spędziła tu tylko tyle czasu, by wziąć szybki prysznic i przebrać się w czyste dżinsy i sweter. W ostatniej chwili zadzwoniła do Cat, chcąc się upewnić, czy tamta jest w domu - choć gdzie indziej mogła być przyjaciółka o dziewiątej wieczorem w deszczowy niedzielny wieczór? Numer okazał się zajęty, a Freya była zbyt zniecierpliwiona, by czekać. Poza tym jeśli Cat rozmawia przez telefon, to na pewno jest w mieszkaniu. Freya narzuciła płaszcz przeciwdeszczowy i wyskoczyła na ulicę z pochyloną głową i rękoma głęboko schowanymi w kieszeniach. Mieszkanie Cat oddalone było o kilka przecznic i całą tę drogę przebyła biegiem. W końcu pchnęła drzwi do kamienicy, machnięciem dłoni powitała swego starego przyjaciela portiera i wpadła do windy. Wreszcie znalazła schronienie! Do jej oczu napłynęły łzy, kiedy zaczęła powtarzać historię, którą miała opowiedzieć Cat. Pragnęła usłyszeć, jak tamta z pasją krytykuje mężczyzn. Czuła, że jeśli tylko zdoła podtrzymać w sobie gniew, nie będzie taka smutna.

Stała przed drzwiami z palcem na dzwonku. Szybciej, Cat! Nic się jednak nie działo. Oparła policzek o drzwi i nasłuchiwała kroków, odgłosów włączonego telewizora. Nic. Pociągnęła nosem raz, drugi. Czyżby to był bogaty aromat legendarnego *spaghetti à la putanesca*, chluby kuchni Cat? Znowu nacisnęła dzwonek, a potem zaczęła stukać.

- To ja! - zawołała. - Wpuść mnie!

Niemal natychmiast usłyszała jakiś ruch, później zaś szczełk zamka. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Cat - bliska, cudowna Cat. Freya wbiegła do środka i zarzuciła jej ramiona na szyję.

- Dzięki Bogu, że jesteś.

Przyjaciółka zachwiała się pod jej ciężarem.

- Co się stało? - Złapała się ramion Frei, by zachować równowagę. Szeroko otwartymi oczyma przesunęła po twarzy i zmierzwionych włosach przybyłej. - Chyba nikt cię nie napadł?

- O wiele gorzej. - Freya zaczęła ściągać płaszcz. - Nie uwierzysz, co mi się przydarzyło w Anglii.

- Ale nie jesteś zraniona? To znaczy fizycznie.

- No nie. - Freya spojrzała na Cat, czując, że nie otrzymuje dostatecznej porcji współczucia. - Ale to był straszny okres. - Rzuciła płaszcz na krzesło i przyglądała dłonią mokre włosy.

- Freya... - zaczęła Cat dziwnym tonem.

- Nienawidzę mężczyzn, Cat. A ty?

- No cóż, to...

- Napijmy się czegoś, a ja opowiem ci o wszystkim.

Wyminęła wysoki regał z książkami, który odgradzał drzwi wejściowe od salonu.

- Freya, poczekaj!

Później uprzytomniła sobie, że w jednej sekundzie jej świadomość zarejestrowała wiele złożonych wrażeń: nietypowo przytłumione romantyczne światło, mały stół nakryty na dwie osoby i oświetlony migotliwą świecą, ciepły zapach gotowanych potraw, odgłos za jej plecami, który po części był westchnieniem, po części pełnym winy jękiem, to, że Cat jest za elegancko ubrana na domowy wieczór i że świadomie nie odpowiedziała na pierwszy dzwonek. Wówczas jednak czuła wyłącznie zdziwienie. W mieszkaniu Cat znajdował się mężczyzna. A tym mężczyzną był Michael.

Stał sztywno pomiędzy nią a stołem, od którego najwidoczniej właśnie się podniósł, bo wciąż ścisnął lnianą serwetkę. Tak, to też zauważyła: drogocenne serwetki, scheda Cat.

Oboje wpatrywali się w siebie w milczeniu, oboje wstrząśnięci. Freya nie potrafiła pojąć powodów obecności Michaela tutaj. Przyjaciółka wspomniała, że spotkała go przy którejś ze swych spraw, ale na pewno nie zaprosiłaby kolegi z pracy do domu. Nie ulega wątpliwości, że rozmawiali o niej - jakież to upokarzające! Później wzrok Michaela przesunął się gdzieś dalej i wyraz jego twarzy uległ subtelnej przemianie. Freya określiła się na pięcie i zdążyła ten sam wyraz dojrzeć na twarzy Cat. Był to wyraz bliskości - wyraźnej, czystej intymności. Freya wodziła wzrokiem od jednej twarzy do drugiej. Zrozumiała wszystko tak szybko i przejmująco, jakby ktoś przeciął ostrym nożem zasłonę kryjącą tajemnicę. Cat i Michael. Michael i Cat. Jej najlepsza przyjaciółka oraz były partner: razem.

- Ojej - powiedziała, próbując się roześmiać, lecz zabrzmiało to bardziej jak płacz.

Cat podeszła i ujęła ją za rękę.

- Kochanie, nie denerwuj się. Pozwól, że wszystko ci wytłumaczę.

- Chcieliśmy ci powiedzieć, jak tylko wrócisz z Anglii - dodał Michael, stając obok Cat.

- Rzecz w tym, że nie było nic do mówienia, przynajmniej na początku.

- Poznałem Caterine dopiero kilka tygodni temu. Caterina?

- Wszystko odbyło się tak szybko.

- Nawet nas to zaskoczyło.

Słowo „nas” sprawiło, że Freya poczuła się wyłączona, wyrzucona poza nawias. Nie może im jednak tego okazać.

- Takie rzeczy się zdarzają. - Cat pociągnęła Freyę za rękę, próbując ją przytulić. - Nie umiem znieść, kiedy jesteś taka nieszczęśliwa.

Freya wyprostowała się z godnością.

- A czemu miałabym być nieszczęśliwa? - zapytała, uwalniając się z uścisku. - Oboje jesteście wolni. To nie ma nic wspólnego ze mną.

Cat zerknęła niespokojnie na Michaela, a później znowu spojrzała na Freyę.

- Ale ty jesteś moją przyjaciółką. Kocham cię. Naturalnie, że to ma związek z tobą. Proszę, nie zachowuj się tak.

- To znaczy jak? - Freya usiłowała się uśmiechnąć, mimo że usta miała jak z lodu. - Posłuchajcie, mam za sobą długi lot i jestem wykończona. A wasza kolacja stygnie.

- Pieprzyć kolację. Wybacz, Michael. Zostań i porozmawiaj z nami - błagała Cat.

- Może innym razem, dobrze?

Freya sztywno machnęła ręką i wycofała się za regał. Słyszała, jak Cat ją woła, ale teraz nie mogłaby odpowiedzieć, nawet gdyby chciała. Złapała płaszcz z krzesła, otworzyła drzwi i pobiegła do windy, dłonią przyciskając usta. Drzwi mieszkania Cat wolno się zamknęły.

Z holu na dole wyszła na mroczną ulicę. Tam stanęła jak sparaliżowana na środku mokrego chodnika, nie wiedząc, co zrobić ani dokąd się udać. W głowie kipiało jej od pytań: jak często i gdzie Cat i Michael się spotykają, czy Michael porównuje je obie i co mówiła mu o niej przyjaciółka. Wyobraziła ich sobie, jak rozmawiają o niej teraz, niczym zatroskani rodzice o nastolatce w trudnym wieku. Wyobraziła sobie wszystko to, co będą przed nią trzymać w tajemnicy. „Oj, tylko nie mów Frei”.

Gdy tak stała w deszczu, ludzie mijali ją, potrącali parasolami i popychali. Mruczelili i wołali, by odsunęła się z drogi. Freya popatrzyła wokół: samochody, światła, budynki, które wznoszą się coraz wyżej w górę. To wielkie miasto i pełno w nim ludzi. Jeśli Cat ją porzuciła, znajdzie sobie inną przyjaciółkę.

A mimo to nie ruszała się z miejsca. Nagle oczyma wyobraźni ujrzała przerażającą wizję całego ogromnego morza ludzkości, które cofa się dalej i dalej, aż w końcu ona zostaje sama, uwięziona na bezludnej wyspie, którą zbudowała własnymi rękoma. Pojęła, że to właśnie jest punkt zwrotny. Albo pójdzie do cichego mieszkania, by tam się zamknąć w samotności, albo też wróci do Cat i Michaela, rozproszy cień, który rzuciła na ich szczęście, i na powrót wkroczy w ich życie. Deszcz padał i Freya mocniej ściągnęła poły płaszcza. Co zrobić?

Rozdział trzydziesty drugi

Jack zwolnił na pełnej wybojów drodze, zahamował i sięgnął po kartkę, na której wcześniej napisał sobie, jak dojechać do chatki. Był to trzeci przystanek w ciągu ostatniej godziny: za pierwszym razem musiał naprawić przebitą oponę, za drugim usunąć z drogi opalającego się żółwia, a teraz sprawdzić, czy słuszne jest wrażenie, że się zgubił.

Naturalnie bywał wcześniej w tych górach. Madisonowie mieli domek niedaleko Asheville, letniego kurortu dla majątnych mieszkańców Karoliny, gdzie Jack spędzał wakacje, kąpiąc się i urządzając spływy kajakowe ze swym bratem Lane'em, podczas gdy tata grał w golfa i wydawał przyjęcia. W studenckich czasach przyjeżdżał tu zimą z przyjaciółmi na narty, a latem na wędrowniki, w trakcie których słuchali zespołów bluegrass i country. Nigdy jednak nie wypuścił się tak daleko na północ, skąd rzut kamieniem dzielił go od Wirginii i Tennessee. I nigdy nie był tu sam. Ta część jego rodzinnego stanu znana była jako Wysoki Kraj, Zagubione Ziemie albo po prostu „gdzieś tam”. Zaczynał rozumieć, dlaczego.

Jack rozejrzał się wokół, ogarnięty złymi przecuciami. Na stromych, porośniętych lasami zboczach leżały niebieskie popołudniowe cienie. W dolinach trawa wydawała się gładka i miękka jak plusz na stole bilardowym. Bieg New River znaczyła węzowa linia sosen i dereni, w oddali Jack dostrzegł zielone refleksy płynącej wody. Okolica była piękna, lecz dzika i samotna. Wygodne, przytulne miejscowości wczasowe zostawił za sobą. Przez ostatnich dwadzieścia kilometrów wspinał się nieustannie po krętych polnych drogach, mijając sady z jabłoniąmi i plantacje choinek bożonarodzeniowych, maleńkie kościółki kryte dachówkami i samotne farmy z wielkimi czerwonymi stodołami i pasącym się bydłem.

Nie widać tu było zbyt wiele letnich domków, tak jak Jack rozumiał to wyrażenie. Spalił jednak za sobą mosty. Jego mieszkanie wróciło do pośrednika, rzeczy znajdowały się w przechowalni - poza tymi, które załadował do bagażnika samochodu, wynajętego na lotnisku w Charlotte. Miał go oddać w najbliższym oddziale firmy, gdy tylko kupi sobie jakiegoś starego grata. Przystudiowawszy mapę, Jack doszedł do wniosku, że nie zgubił drogi, jakkolwiek mało zachęcająco wyglądała. Naciągnął zniszczony kapelusz rybacki na oczy dla ochrony przed słońcem i ruszył dalej.

Wystarczyło dwanaście godzin pobytu w Nowym Jorku po powrocie z Anglii, by uświadomił sobie, że musi wyjechać z miasta. Po Kornwalii drażnił go gorączkowy rytm Manhattanu, gdzie wyglądało na to, że wszyscy wokół mają jakiś cel - prócz niego. Podwójne nieszczęście utraty pieniędzy od ojca i umowy na książkę oznaczało, że i tak nie mógłby tu pozostać. Najbardziej dręcząca była świadomość, że Freya mieszka na tej samej wyspie, oddalona o kilka kilometrów, i pogardza nim. Niemal wyczuwał jej żrący wstręt w zadymionym powietrzu. „Leniwy... rozpuszczony... dyletant”.

Doszedł do wniosku, że potrzeba mu schronienia - nie wyszukanego, tylko jakiegoś spokojnego miejsca, w którym mógłby zamknąć się z komputerem i skupić na powieści, wolny od miejskich atrakcji i nudnych domowych zajęć. Jego macocha Lauren mieszkała obecnie w Wirginii, w bardzo przyjemnym, wygodnym domu i codziennie wychodziła do pracy w charakterze kierowniczkii ośrodka dla dzieci trudnych i zaniedbanych; Jackowi przyszło do głowy, że jej pokój gościnny mógłby okazać się dla niego idealny, zadzwonił więc, by o to zapytać. Ku jego irytacji Lauren nie przyjęła tego planu z entuzjazmem. Co więcej, jej pytania o powody nagłego wyjazdu Jacka z Nowego Jorku i decyzji, by poświęcić się pisaniu, były nieprzyjemnie wnikliwie. Na tym polega problem z inteligentnymi kobietami: nie potrafią zaakceptować prostego zdania, żeby nie szukać podtekstów i nie odczytywać po swojemu najdrobniejszych niuansów.

- Nie mów, że ktoś wreszcie załaził ci za skórę - powiedziała, przeciągając zgłoski, gdy jego wyjaśnienia stawały się coraz bardziej wymęczone. - Nie mogę się doczekać, żeby ją poznać.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - odparł szorstko.

Mimo to rozmowa z Lauren przyniosła korzystne rezultaty. Już następnego dnia była macocha zadzwoniła do Jacka z propozycją, którą gorąco radziła mu przyjąć. Jeden z jej znajomych miał stary domek

letniskowy w górach, który należał do rodziny od pokoleń. Poprzedniego roku włamali się do niego ortodoksyjni ekolodzy uciekający przed policją i nikt jeszcze go nie wyremontował. Nie było tam elektryczności i znajomy nie orientował się dokładnie, w jakim stanie jest chatka, ale Jack mógłby w niej mieszkać, jak długo zechce, nie płacąc czynszu, pod warunkiem że usunie szkody i naprawi zamki. Jack zgodził się chętnie i już widział siebie w roli współczesnego Thoreau, odmiana południowa: w jedności z naturą, wolny, dzięki czemu jego wyobraźnia może szaleć bez przeszkód, uosobienie pierwotnego amerykańskiego indywidualizmu. Słowa będą płynąć strumieniem, ukończy powieść w szybkim tempie i jednym gestem zyska wolność.

Na lewo zobaczył ręcznie wymalowany znak. Poprawił okulary i przysunął twarz do szyby, by lepiej widzieć. „Sklep z żywnością” -przeczytał. Dobrze. Zgodnie ze wskazówkami miał jechać dalej, by później przy dwóch sosnach skręcić w prawo. Stamtąd droga prowadziła prosto do domku. Poczul przypływ podniecenia: jego przygoda właśnie się zaczęła. Wreszcie miał przed sobą prywatną ścieżkę, tak zarośniętą, że o mało jej nie przegapił. Usłyszał szept długich traw i trzask pękających pod kołami sosnowych igieł. Korony drzew łączyły się, przepuszczając światło barwy starego złota. Dodał gazu, by pokonać wzniesienie, później nagle się zatrzymał, ponieważ noga sama zsunęła mu się z pedału. Przed sobą zobaczył miniaturowy las sięgającego na wysokość ramienia barszczu, ponad którym zdołał dostrzec ukośny metalowy dach porośnięty pnączami, górną część ścian z prostych belek oraz zabite na krzyż okno. Jack gapił się na ten widok zaszokowany. To nie było miejsce, w którym człowiek chciałby spędzić wakacje. Trudno nawet nazwać to chatką. To ruina.

Wyłączył silnik, otworzył drzwiczki i wysiadł. Cisza otuliła go niby całun i przez ułamek sekundy doświadczył uczucia zbliżonego do paniki. Zaraz jednak pozbierał się, z bagażnika samochodu wyjął lewarek i za jego pomocą oczyścił sobie przejście do wąskiego ganku, a następnie poluzował deski zabezpieczające drzwi. Same skrzydła wisiały na złamanych zawiasach. Jack zrobił krok do przodu, kuląc się przerażony, gdy jakiś ptak wypadł z mrocznego wnętrza i przeleciał mu tuż nad głową. Stał w większym z pomieszczeń, o wymiarach może około pięciu metrów na sześć, ze ścianami i podłogą z surowego drewna. W jednym kącie znajdował się kwadratowy sosnowy stolik i chwiejąca się kuchenka gazowa, w drugim, tuż koło kamiennego kominka, były dwa fotele i sofa z do połowy wybebeszoną tapicerką. Albo ekstremalni ekolodzy pobili się,

albo też małe zwierzątka znalazły przytulne miejsce na swoje legowiska. Wszędzie wały się mysie odchody i zeschnięte liście, całość pokrywała dusząca warstwa kurzu. Jack odkrył dwa niewielkie okna z prowizorycznymi okiennicami oraz drzwi prowadzące do małego tylnego pokoju, zawierającego łóżko bez materaca, wiejski zydeł i obłazący z farby drzątek, na którym pewnie wieszano ubrania. I to wszystko.

Wyszedł na zewnątrz i usiadł na stopniach, walcząc z przygnębieniem. Zastanawiał się, czy nie poszukać zajazdu lub hotelu, tylko na tę jedną noc, ale za godzinę pewnie zrobi się ciemno, a prawdopodobieństwo, że się zgubi, poważnie wzrośnie. W ten sposób jedynie odsunąłby problem w czasie, a co więcej, nie miał pieniędzy na takie szaleństwa. Zasadnicze pytanie brzmiało: zamierza tu zostać czy od razu wyjechać? Szelest w zaroślach sprawił, że Jack podniósł głowę. Niedaleko na tylnych nogach przysiadł świstak; przednie łapy oparł luźno na wydatnym brzuchu, nadającym mu wygląd majestatycznego starca. Wpatrywał się w Jacka, który odpowiedział mu tym samym. W uszach zabrzmiał mu własny głos: „Wiesz, chciałem skończyć książkę, ale na nieszczęście w domku nie dało się mieszkać. Zawsze pragnąłem być pisarzem, ale na nieszczęście zabrakło mi czasu. Chciałem robić coś innego niż mój ojciec, ale mi nie wyszło. I była kobieta, którą zawsze lubiłem, ale...”.

Długo siedział i rozmyślał do wtóru leśnych odgłosów. W końcu przyjacielsko skinął głową świstakowi.

- Ty i ja, kolego - powiedział, energicznie podnosząc się z miejsca.

Resztę dziennego światła wykorzystał na zebranie drewna, znalezienie źródła oraz pozamiatanie domku miotłą w zaskakująco dobrym stanie, którą znalazł w przyległej szopie. Kiedy komary zaczęły ciąć, a nietoperze latać, Jack zamienił szorty na dżinsy, wciągnął stary sweter, po czym wniósł do domku część swoich rzeczy. A gdy wreszcie udało mu się zamknąć drzwi, niebo było czarne jak smoła. Chmury, gnane wieczornym wiatrem, przesuwały się po gwiazdach i wąskim półksiężycu. Jack zapalił ogień w kominku, bardziej po to, by mieć światło i jakąś pociechę niż dla ciepła, a potem usiadł na śpiworze i zjadł po kolei potężną kanapkę, dwa jabłka i opakowanie donatów. W myślach sporządził listę rzeczy, które powinien następnego dnia kupić. Na zewnątrz temperatura spadła i zerwał się wiatr. Nieznane zwierzę z trzaskiem krążyło wokół (jelen? opos? skunks? czarny niedźwiedź?!). Około dziesiątej zaczęła padać deszcz. Krople bębniły o metalowy dach i wpadały do środka przez niezliczone dziury, a kominek zaczął okropnie dymić.

Jack zdjął buty i w ubraniu wsunął się do śpiwora. Z głową opartą na zwiniętej marynarce zapatrzył się w migoczące płomienie. Przypomnił sobie, że Arthur Miller zbudował chatę własnymi rękoma, nim zaczął pisać „Śmierć komiwojażera”, wkrótce jednak doszedł do wniosku, że on nie jest Arthurem Millerem, choćby dlatego, że nigdy nie ożeniłby się z Marilyn Monroe. Lecz jego duma Madisonów zaczęła powracać. Nie da się pokonać!

Pięć dni zajęło mu doprowadzenie chaty do stanu używalności. Naprawił drzwi i mały generator, który pompował wodę ze źródła na wzniesieniu, ściał barszcz i wyniósł do lasu, załatał dach. Oczyszczył komin z ptasich gniazd i kupił nowe moskitiery. W małym sennym miasteczku zapatrzył się w używany piecyk i takąż lodówkę oraz butle z gazem, by utrzymać oba urządzenia na chodzie, zainwestował także w trzy nowiućne lampy naftowe. Wystarał się o kartę wędkarską i stos map z zaznaczonymi szlakami turystycznymi. Rozwiązał problem łóżka, zawieszając w rogu pokoju hamak - niemal się już do niego przyzwyczaił. Tylną izdebkę zamienił w gabinet. Biurko zrobił ze starych drzwi porządnie przybitych do dwóch pniaków. Przed chatą parkował jego nowy pojazd; świetny pikap kupiony tanio, ponieważ poprzednie właścicielki, hipiski, pomalowały go na krzyczący róż i dodatkowo ozdobiły kwiatami. Farmerzy na traktorach rykiem klaksonów dawali wyraz swej pogardzie, gdy go mijali. Jack odpowiadał uśmiechem, po czym podkręcał radio, z którego płynęła wesoła muzyka.

I wreszcie był gotów do pisania. Na prowizorycznym biurku czekała przenośna maszyna do pisania, obok wznosił się stos dziewiczych kart papieru i kilka teczek zawierających notatki i rozpoczęty maszynopis. Pierwszy dzień prawdziwej pracy Jack rozpoczął od rytuału. Wstał wcześnie, ogolił się przed lusterkiem, które zawiesił na drzewie przed domem, zaparzył kawę i usmażył jajka na bekonie, później zaś w szortach i czystym podkoszulku zasiadł w swej drewnianej celi. Kipiąc nadzieją i zdeterminowaniem, sięgnął po teczkę i wyjął znajomy maszynopis. „Statek wtoczył się do portu...”.

Pięć godzin później sfrustrowany walnął dłońmi w biurko, po czym wyszedł na ganek i gniewnym wzrokiem obrzucił majestatyczny widok wokół. Blokada nie ustąpiła. Ta historia była w nim, lecz nie umiał przełać jej na papier, nie potrafił tchnąć w nią życia. Przez resztę tego i następne dwa dni Jack zmagął się z problemem, notując zwroty, pisząc na maszynie całe akapity, wkręcał papier i wyrwał go, by zmięty w kulkę

wyrzucić do kosza. Zastanawiał się, czy powinien zmienić początek, czy raczej zakończenie, a może napisać całość w pierwszej osobie. Pot lał się z niego strumieniem, bo lipcowe słońce nagrzało metalowy dach do czerwoności i zmieniło pokoić w rozżarzony piec. Jack przeklinał siebie za wszystkie te godziny, które zmarnował w Nowym Jorku, gdzie miał do dyspozycji klimatyzację i komputer. Tak bardzo pragnął odmiany, że musiał praktycznie przywiązać się do krzesła, by nie wskoczyć do pikapa i nie pojechać do miasta, aby napić się piwa i pogadać z ludźmi. Czas mijał. Jeśli ograniczy się do wydawania pięćdziesięciu dolarów tygodniowo, pieniędzy wystarczy mu na trzy miesiące. Tego terminu nie da się już odwlec.

Czwartego dnia wstał o pierwszym brzasku, wciągnął turystyczne buty, na ramiona zarzucił plecak i ruszył w las. Poranne chmury wisiały nad drzewami. W pachnącym sosnami powietrzu ćwierkały ptaki i szmerowały chłodne czyste strumienie. Jack zaskoczył stado jeleni, które zerwały się do ucieczki, błyskając białymi zadami. Jego wzrok chłonał krajobraz, rozświetlony mocnymi już promieniami słońca, zmieniającego barwę z przymglonej sepii na intensywną żółć, lecz umysł skupiony był na powieści. Cała historia unosiła się przed jego oczyma jak hologram: mógł ją zobaczyć, ale nie umiał jej poczuć. Później jednak, gdy ścieżka coraz bardziej pięła się w górę, jego uwaga zaczęła się rozpraszać i w myśli wplatały się wspomnienia z dzieciństwa, sceny z filmów, pytanie, czy wystarczy mu do końca tygodnia chleba. I nagle, bez ostrzeżenia, przed jego oczyma pojawiła się Freya. Próbował odsunąć jej obraz, lecz była boleśnie blisko. Niemal czuł w dłoniach bukiet róż, ukłucia koleców, widział jej pochyloną przy zlewie postać. „Nie masz ani krztyny szacunku dla ludzkiego serca”. Te słowa obudziły w nim wstyd i czułość, żal i po wątpiewanie, a wszystko to kręciło się w potężnym wirze.

Mechanicznie wspinał się na nagi granitowy szczyt. Wreszcie, lekko zdyszany, dotarł do celu, i podziwiał rozciągający się aż po horyzont krajobraz. Uderzyła go uporządkowana doskonałość widoku. Oglądana z tego punktu okolica, która z ziemi wydawała się chaotyczną płataniną elementów, teraz zyskała nieodpartą logikę. Strumienie łączyły się z rzekami, zrozumiałe stały się powody, dla których farmerzy nadali swym polom określone kształty, łańcuchy wzgórz stanowiły lustrzane odbicia dolin, a labirynt polnych dróg, gdzie Jack tak często się gubił, był po prostu wykonaną ręką człowieka kopią naturalnych konturów krajobrazu. Żałował, że nie może tak wyraźnie zobaczyć struktury swojej powieści. Autor powinien mieć taką władzę.

W tej samej chwili refleksje Jacka o pisarstwie oraz myśli związane z Freyą połączyły się, rozpalając wizję, która oświetliła całą jego powieść. Pojął, że martwiąc się o strukturę i temat, zapomniał o ludzkim sensie opowieści - zapomniał, ponieważ od bardzo dawna nie chciał zagłębiać w głąb własnego serca. Żaden pisarz nie może napisać stu słów, nie ujawniając przy tym niczego o sobie - nie wyrażając jakichś emocji, i Jack zrozumiał, że to właśnie upór w tej kwestii tak go blokował. Usiadł na gołej skale, ogarnięty uczuciem wolności, podniecony. To jego książka, wyłącznie jego; nie będzie się martwił, co powiedzą krytycy, co pomyśli ojciec, nie posłucha pełnego zwątpienia głosu, który szepcze mu w sercu słowa pełne pesymizmu. Pomysły, sceny, dialogi zaczęły kłębić się w jego umyśle jak wędkę z rybami wreszcie złapanymi na haczyk.

Było późne popołudnie, gdy Jack wrócił do chaty. Zrzucił ubranie i pośpiesznie się umył, wylewając na głowę wiadro źródlanej wody. Później się ubrał i pobiegł do biurka; po drodze złapał kromkę chleba i kawałek sera. Mięśnie miał obolałe, za to umysł jasny. Po obu stronach maszyny do pisania postawił lampy, przygotowany na rozrzutne korzystanie z nafty, jeśli zajdzie taka potrzeba. Widział wyraźny obraz tego, co przeleje na papier. Przelotnie zastanowił się, gdzie teraz jest Freya i co robi, zaraz jednak świadome myśli o niej ustąpiły oszłamiającej lawinie słów. Ułożył podrapane dłonie na klawiszach i zaczął pisać.

Freya była w Chelsea, całe popołudnie spędziła na oglądaniu nieużywanych garaży i zrujnowanych magazynów. Dwa tygodnie wcześniej Lola Preiss ogłosiła zamiar przeniesienia galerii z So-Ho, które gwałtownie zamieniało się w raj ze znakiem jakości projektantów, czemu naturalnie odpowiadała wysokość czynszów. Kilkoro sprytniejszych marszandów wyniosło się do Chelsea, a Lola nie chciała, by ktoś ją wyprzedził, i poleciła Frei przygotować wstępną listę odpowiadających wymaganiami lokali.

Minęła już piąta i nie było sensu wracać do pracy. Freya stała niepewnie na rogu ulicy, zastanawiając się, czy do miniaturowego mieszkania wrócić taksówką. Ale słońce świeciło, a temperatura spadła do miłych plus dwudziestu ośmiu stopni. Freya nie chciała wracać jeszcze do domu. Zamiast tego postanowiła trochę się pokręcić bez żadnego określonego celu - ot, tak się powalać.

Doszła do końca jednego ze starych portowych nabrzeży i chwilę przyglądała się rzece, później zawróciła i ruszyła labiryntem uliczek, kierując się mniej więcej ku stacji metra. Wokół wszystko wyglądało

znajomo: dekoracyjne żeliwne płotki wokół drzew, dziurawe chodniki, na których zawsze się potykała, mężczyzna trenujący z synem rzuty piłką baseballową, pełne zachwyty piski dzieci biegających pod zraszaczem na placu zabaw. Prawdę mówiąc, Freya była na ulicy, gdzie mieszkał Jack. Miała tylko nadzieję, że nie patrzył w okno. Wcale nie chciała się z nim spotykać, głupio jednak byłoby teraz wracać. Dopóki będzie się trzymać przeciwległej strony ulicy, jest bezpieczna.

Zerknęła w kierunku jego mieszkania i zobaczyła ekipę budowlaną; chodnik tarasowały zwykle w takich razach betoniarki, worki z piaskiem i deski. Zrobiło jej się żal, że kolejny dom poddany zostaje renowacji. Wkrótce w całej dzielnicy pełno będzie bankierów, a jej charakter ulegnie zmianie. Kiedy wszakże podeszła bliżej, żal ustąpił zaskoczeniu. To w domu Jacka trwały prace budowlane, ściślej rzecz biorąc, to jego mieszkanie remontowano. Co tu się dzieje?

Bez namysłu przebiegła przez ulicę i zapytała robotników, czy pracują dla pana Madisona. Nie wiedzieli, w tej sprawie orientował się jedynie brygadzysta, który poszedł wcześniej do domu - jak zwykle. Byli jednak przekonani, że do mieszkania mają się wprowadzić nowi lokatorzy, jedna z tych robiących błyskawiczne kariery par, sądząc po wymyślnych urządzeniach, jakie zamówili.

Freya złapała się barierki, utkwivszy wzrok w mieszkaniu, które tak dobrze знаła. Kiedy minął pierwszy wstrząs, uświadomiła sobie, że w wyprowadzce Jacka nie ma niczego szczególnego. Sam przecież powiedział, że nie stać go na pozostanie tutaj. Zdziwiło ją tylko, że tak się pośpieszył. Ciekawe, gdzie teraz jest.

Ruszyła przed siebie, zatopiona w myślach, aż wreszcie coś pośredniego pomiędzy chrząknięciem a powitaniem kazało jej unieść głowę. Był to ubrany w nieśmiertelny podkoszulek stary Włoch, który ze schodków uniósł w jej kierunku butelkę piwa.

Odpowiedziała na powitanie machnięciem dłoni i podeszła ku niemu, zasłaniając oczy przed słońcem.

- Pamięta pan mojego przyjaciela Jacka? - zapytała. - Wysoki blondyn, po trzydziestce, mieszkał tam, gdzie teraz pracuje ekipa?

- Jasne.

- Wie pan, co się z nim stało?

- Wyjechał - odrzekł mężczyzna, popijając piwo. - Wyprowadził się stąd.

- Kiedy?

- Przed jakimiś trzema, czterema tygodniami.

- A czy przypadkiem nie wie pan, dokąd się przeprowadził? Rozmawiał pan z nim?

- Zapytałem go: „Wyprowadzamy się?”, a on mi powiedział: „Wyjeżdżam z miasta”.

- Wyjechał z miasta? - Freya była zdumiona. - Ale dlaczego? Dokąd? Stary spojrział na nią zirytowany.

- A co ja, jasnowidz jestem? Ludzie przyjeżdżają i wyjeżdżają. To jest Nowy Jork.

Freya podziękowała mu grzecznie i odeszła. Mówiła sobie, że to uczucie niepokoju jest niemądre. Nie interesuje jej miejsce pobytu dawnego przyjaciela. Jack to drań i nigdy mu nie wybaczy. Nie chce go nigdy więcej widzieć, już mu to powiedziała.

Nigdy. Słowo to zdawało się odbijać echem w jej piersi. Zobaczyła długie miesiące ciągnące się w przyszłość: lipiec, sierpień, wrzesień... We wrześniu na pewno wróci, zaczynają się przecież kursy pisarstwa.

A jeśli nie? Jeśli wypędziła go na zawsze? Nagle sobie uprzytomniła, że nawet nie pamięta nazwy jego rodzinnego miasta. Oakville? Oakland?

Och, czy to ważne? Na Dziesiątej zesłała z chodnika i omal nie zderzyła się z rowerzystą, który gwałtownie ją wyminął i ordynarnie wystawił palec. Ciekawe, co Jack zrobił z Rosynantem. Gdzie jesteś? - zawołała gniewnie w duchu. Ale odpowiedzi nie było.

Jack miał ustalony plan dnia. Wstawał z ptakami o brzasku, mył się, ubierał i wykonywał niezbędne w domu czynności. Później siadał przy biurku i pisał do piątej po południu. Po pracy szedł na długi spacer albo pływał w strumieniu, a czasem nawet łapał pstrąga na kolację. Wieczorami zapalał ogień w kominku i poprawiał to, co napisał w ciągu dnia, oraz robił notatki na następny ranek. Kładł się w hamaku i o dziesiątej zwykle już smacznie spał. Było to cokolwiek nudne, ale czuł się zdrowo i kipiał energią, a stały rozkład zajęć sprawiał, że nic go nie rozpraszało. Powoli na biurku rósł stos zapisanych kartek.

Wyjątkiem były sobotnie popołudnia, kiedy to odświeżony wskakiwał do pikapa i na krótko wracał do cywilizacji. Tak się przyzwyczał do samotności, że atmosfera małego miasteczka wydawała mu się równie podniecająca jak spacer Piątą Aleją. (Hej, pizzeria! Kobiety! Telewizja!). Wszystko tutaj trwało długo, ponieważ ludzie lubili sobie pogadać i niegrzecznie byłoby im nie odpowiedzieć. Wizytę w miasteczku Jack zaczął od poczty, by sprawdzić, czy nie ma dla niego żadnej korespondencji,

aczkolwiek zwykle nic nie było, bo mało kto wiedział, że tu się zaszył. Później kupował jedzenie i inne niezbędne przedmioty. W małym sklepie typu „ryż, mydło i powidło” rozmyślnie omijał regały z winem i piwem (mocne alkohole zakazane były prawem), tak samo jak ignorował znaczące spojrzenie, którym obrzuciła go kasjerka, gdy pytała, czy przeprowadził się tu, czy też jest tylko przejazdem. (Nie podniecaj się, chłopie!). Raz czy dwa, gdy mijał widokówki, naszła go myśl, by wysłać jakąś Frei - jedną linijkę, znak, że żyje. Cóż jednak owa linijka miałaby zawierać? „Piszę tu książkę” - zbyt chełpliwe. „Myślę o tobie” - od razu podrze kartkę na strzępy. Po zakupach, o niezwykle wczesnej porze, czyli szóstej po południu, szedł do restauracji, gdzie zjadał górę jedzenia złożoną z kurczaka, żeberka, wołowiny i wieprzowiny z dodatkiem kukurydzy ze śmietaną, herbatników i sosu, a wszystko to na drewnianym półmisku w kształcie prosiaka. Później ociężałe wsiadał do samochodu i wracał do domu, by przy kominku oddawać się lekturze „W poszukiwaniu straconego czasu”. Dotarł już do tomu piątego i prawie zaczynał rozumieć Prousta.

Tego dnia panował upał, mimo że brązowy woal przykrywający szczyty gór zapowiadał rychłe nadejście jesieni. Jack zaparkował swój pojazd przy głównej ulicy i pośpiesznie schronił się w cienistym wnętrzu poczty, gdzie pod sufitem wirował wentylator. Na ciekawskie spojrzenia obecnych odpowiedział szczerym uśmiechem. Nawet nie podejrzewał, co za chwilę stanie się jego udziałem.

- Wygląda na to, że dzisiaj ma pan powodzenie - powiedział mężczyzna za kontuarem, gdy Jack wreszcie dotarł do okienka, i wręczył mu trzy listy. Jack poczuł ciekawość zmieszana z niepokojem, gdy zauważył, że ojciec, Lauren i Candace zdecydowali się napisać do niego jednocześnie. Postanowił, że najpierw przeczyta list od Candace (jasnoliliowa papeteria, adres nadawcy wypisany z tyłu koperty pełnym zakrętasów charakterem pisma). Otworzył kopertę i wyjął najwyraźniej długi i ważny tekst.

Drogi Jacku - przeczytał. - Obawiam się, że wiadomość, którą mam do przekazania, będzie dla Ciebie strasznym szokiem...

Rozdział trzydziesty trzeci

Trzy miesiące później

- Nie denerwuj się.
- Nie jestem zdenerwowana!... Jak wyglądam?
- Mówiłam ci już wcześniej: wyglądasz dobrze.
- Dobrze? Jak pytałam ostatnim razem, powiedziałaś, że pięknie.
- Wyglądasz pięknie.
- A przedostatnim razem, że wspaniale.
- Wyglądasz wspaniale i pięknie, i olśniewająco, i cudownie, i jak tylko panna młoda powinna wyglądać.
- A moja fryzura? Nienawidzę listopada, w Nowym Jorku zawsze wtedy wieją wiatry.
- Twoja fryzura jest doskonała. Jedziemy taksówką, pamiętasz?
- A jeśli on nie przyjdzie?
- Na pewno przyjdzie. Przestań bawić się bukietem.
- Ale tak źle go potraktowałam!
- A on ciebie potraktował strasznie. Potem zaś wybaczyliście sobie.

Na tym polega miłość.

- Chyba zemdleję.
- Nie zemdlejesz.
- Ja go naprawdę kocham, wiesz.
- Wiem.
- Boże, jesteśmy na miejscu! Masz przy sobie valium?

* * *

W kościele było duszno, a panna młoda się spóźniała. Organista po raz trzeci odegrał „Jezu, radości człowieka”. Jack bawił się spinką od

rękawa i zerknął ukradkiem na rzędy wystrojonych gości, na wszystkie te znajome twarze z dzieciństwa. Drogie perfumy walczyły o palmę pierwszeństwa z dusznym zapachem lilii. Było mu gorąco i czuł się uwięziony w dziwnym stroju. Miał wrażenie, że kołnierzyk podnosi mu zaważdiacko brodę, jakby za chwilę miał poprowadzić ostatnią szarżę konfederatów przeciwko tym przeklętym Jankesom.

Obiecał jednak Candace i obiecał ojcu. Jakoś przez to przejdzie.

* * *

- Okay, zrób głęboki oddech. Jesteś gotowa?
- Ty idź pierwsza.
- Nie bądź śmieszna.
- Zerknij przynajmniej, proszę cię. Zrobisz to dla mnie?

Drzwi kościoła były uchylone. Skromna nawa wyłożona kolorowymi płytkami prowadziła pomiędzy rzędami ławek, w których tłoczyli się goście. Na samym końcu czekał młody mężczyzna, aż sztywny z niepokoju, wpatrując się w szczególnie barwne przedstawienie sceny Ukrzyżowania. Freya się uśmiechnęła. Michael odwrócił głowę, a jego twarz wyrażała taką ulgę i radość, że pod powiekami poczuła ukłucia łez.

* * *

- ...zebraliśmy się tu, by połączyć tego mężczyznę i tę kobietę świętym węzłem małżeńskim...

Jack złapał spojrzenie macochy. Mrugnęła, a on natychmiast się odprężył. Lauren była trzecią od końca żoną - ojciec nigdy nie traktował małżeństwa zbyt poważnie. Jack często się zastanawiał, czy on będzie taki sam.

A mimo to atmosfera ceremonii sprawiała, że trudno było nie brać małżeństwa poważnie. Miłość. Wierność. Trwanie. Odwaga. Przy ołtarzu wszystko to brzmiało zupełnie inaczej niż wówczas, gdy człowiek słuchał tego, siedząc pośród wiernych.

- Czy ty, Candace Marie Twink, bierzesz sobie tego mężczyznę za męża...

Jack skupił uwagę. Nadchodziła jego wielka chwila. Gdzie jest obrączka?!

* * *

- Czy ty, Michaelu Josiahu Petersen, bierzesz sobie tę kobietę za żonę i przysięgasz, że jej nie opuścisz aż do śmierci?...

- Tak.

Freya spojrzała w jego twarz, dumną i podekscytowaną. Nigdy nie widziała, by piwne oczy Michaela tak błyszczały, by usta uśmiechały się tak łagodnie. Miłość jest doprawdy przedziwną rzeczą: potężną, nieodpartą i nieprzewidywalną. Kto by przypuścił, że ze wszystkich kobiet na świecie tą właściwą dla Michaela - tą jedyną - okaże się jej przyjaciółka Cat, której twarz promieniała taką samą szczęśliwą pewnością, gdy powtarzała słowa małżeńskiej przysięgi?

Jak mało wiem o ludzkiej naturze, pomyślała Freya z pokorą. Dałaby sobie uciąć głowę, że tych dwoje ludzi zniełubi się od pierwszego wejrzenia, a tymczasem dopasowali się niczym klucz do zamka w drzwiach prowadzących ku nowej wspólnej przyszłości. Na pozór wydawało się to takie łatwe. Gdyby tylko...

- Ogłaszam was mężem i żoną.

Za jej plecami rozległy się niepohamowane szloch. To pewnie matka Cat i inne kobiety z rodziny da Fillipo. Włosi są tacy uczuciowi. Z chóru płynęła wspaniała muzyka organów. Freya pochyliła głowę i spojrzała na noski swych nowych eleganckich szpilek. Przez chwilę sama czuła się jak Włoszka.

* * *

- Gratulacje, pani Madison. - Jack pochylił się, by pocałować pannę młodą.

Candace uśmiechnęła się do niego z triumfem. Dosłownie unosiła się w powietrzu w sukni z białego tiulu, ozdobionej welonem, trenem i innymi rzeczami, których nie umiał nazwać. Na języku nie miała już kolczyka, zniknął bez śladu.

Po drugiej stronie ulicy połowa Oaksboro - ta połowa, która nie została zaproszona na ślub - zebrała się na chodniku zasypanym czerwonymi i żółtymi liśćmi albo wychylała z okien. Było późne sobotnie popołudnie, mecz futbolowy już się skończył, a jeszcze za wcześnie na wieczorne hulanki. Cóż ciekawszego znajdą sobie tutejsi ludzie niż grzanie się w ostatnich promieniach listopadowego słońca i oglądanie szczegółów wyglądu najnowszej pani Madison? Jack zastanawiał się, co oni o tym sądzą.

- Chodźmy. - Drgnął na dźwięk rozkazującego głosu ojca. - Wracajmy do domu i uczcijmy tę okazję!

- Słoneczko, jak ci się za to odwdzięczę? - Cat zarzuciła Frei ręce na szyję, wspinając się na palce. - Byłaś cudowna.

- Nie bądź niemądra. Ja tylko...

- Ona ma rację. - Michael ścisnął ją za łokieć. - Nigdy byśmy tego nie zorganizowali bez ciebie. - Gestem wskazał pokój pełen ludzi, już atakujących talerze z jedzeniem. - Odwaliłaś niezłą robotę.

- Fantastyczną! - potwierdziła Cat.

- Naprawdę niewiarygodną - dodał Michael.

- Bzdury. Dziękuję, żeście dali mi szansę. Z przyjemnością się tym zajęłam - uśmiechnęła się Freya. Od miesięcy tak często się nie uśmiechała i już zaczynały ją boleć policzki.

Stali, patrząc na siebie z sympatią, aż wreszcie udało, że przypomniała sobie o czymś niezwykle ważnym, i zmusiła Michaela i Cat, by przyłączyli się do gości. Patrzyła za nimi z mieszaniną ulgi i miłości. Nie, naprawdę nie miała nic przeciwko temu, że Cat i Michael zakochali się w sobie. Nie miała nic przeciwko temu, że przyjaciółka wprowadziła się do Michaela i spała w łóżku, które ona tak niedawno opuściła. Chętnie pomogła jej też wybrać suknię i przygotować listę prezentów, zamówiła kwiaty, urządziła przyjęcie. Zgodziła się nawet zostać druhną, i to bez żadnych wewnętrznych oporów; przynajmniej nie kazali jej wkładać na głowę tego idiotycznego wianka. Tylko że to wszystko jest troszeczkę... bolesne. Stosunki pomiędzy ich trojgiem wciąż cechowała pewna niezręczność, aczkolwiek starali się ją usunąć. Historia skróconych spodni stała się obecnie najlepszym z żartów. Cha, cha! Rewelacje sypialniane Frei zostały wymazane z pamięci. Wszyscy zgadzali się, że było coś cudownie opatrnościowego w tym, że Cat mogła skorzystać z wolnego biletu na cykl wagnerowski.

Freya cieszyła się teraz, że owej strasznej deszczowej nocy wróciła do mieszkania przyjaciółki, choć musiała zebrać całą odwagę, by odsunąć na bok własne nieszczęście i rozgrzeszyć z winy Michaela i Cat. Czuła się dumna ze swego zachowania. I nie był to wcale wyjątek. W gruncie rzeczy zachowywała się cholernie wspaniale od kilku miesięcy. Spędzała wiele godzin po pracy z Mattem Scardino, dodając mu odwagi, strasząc i przekonując, by myślał o swej pracy, a nie o aksamitnej mafii krytyków sztuki, i w rezultacie jego wystawa okazała się kolosalnym sukcesem, zarówno finansowym, jak i artystycznym, a Lola Preiss przestała w końcu kwestionować każdą decyzję Frei. Zmieniła też mieszkanie - podpisała

długoterminową umowę na wynajem lokalu w Tiberca i sama go urządziła. W poprzednim miesiącu zaprosiła na wystawną parapełowę Cat, Michaela i ich przyjaciół, aczkolwiek gotowanie o mało nie skończyło się dla niej załamaniem nerwowym - nie wspominając już o spotkaniu tych znajomych Michaela, którzy pamiętali ją jako jego dziewczynę. Mieszkanie, w porządnej kamienicy z portierem, było urocze, przestronne i słoneczne; znalazł się w nim nawet wolny pokój dla ojca, którego wizyty Freya spodziewała się w grudniu. Co do spraw osobistych: wprawdzie opowiedziała Cat o Jacku i Tash - a przyjaciółka satysfakcjonująco i rubasznie go oceniła - ale nie wracały do tego. Egoizmem z jej strony byłoby pograżać się we własnym nieszczęściu, kiedy Cat była taka szczęśliwa. Freya sporo się napracowała, żeby skierować energię raczej na okazywanie radości z powodzenia przyjaciółki.

I rzeczywiście się cieszyła. Z przyjemnością dała się wciągnąć do rodziny da Fillipo, która nie kryła radości, że Cat wreszcie wychodzi za mąż. Zabawnie było znaleźć się tutaj, w samym środku przyjęcia, wśród gości okazujących głośno swój dobry nastrój. Włosi rzeczywiście wiedzą, jak się bawić. W kącie grał mały zespół. Gdziekolwiek Freya spojrzeła, widziała ciastka ze śmietaną i kremem, obsypane cukrem, nasączone rumem, nadziewane migdałami i suszonymi owocami oraz skrzynie *asti spumante*, opróżniane w zastraszającym tempie. Sala znajdowała się nad restauracją w Małej Italii, właścicielem był syn szwagra kuzynki Cat, a teraz wypełniali ją wujkowie o wyglądzie starych wilków i tlenione ciotki, chłopcy w aksamitnych garniturkach oraz dziewczynki w falbaniastych sukienkach - był nawet piesek, który wyglądał jak mop do podłogi i nazywał się Pookie. I zjawili się oczywiście legendarni już teraz państwo Blumbergowie, cały czas trzymający się za ręce - żywa reklama małżeństwa. Fred Rinertson, szef Michaela, także został zaproszony. Biedny Fred spędził kilka kosztownych tygodni w szpitalu, gdzie doznał do siebie po operacji jelit, a po powrocie do domu zastał ogołoczone z mebli mieszkanie i pozew na rozprawę rozwodową; aczkolwiek spojrzenie, którym obrzucał teraz obfity biust jednej z nastoletnich siostrzenic Cat, mówiło wyraźnie, że nie jest nieutulony w żalu.

Ojej! Oto i pani Petersen w granatowej sukni. Freya zręcznie zmieniała kierunek. Zdecydowano się pominąć milczeniem wszelkie związki pomiędzy porzuconą byłą dziewczyną, która udawała mówiącą po hiszpańsku sprzątaczkę, a Angielką występującą w roli druhny panny młodej. I tak pani Petersen dostała jednego z najgorszych ataków na wieść, że jej

ukochany Mikey żeni się z kobietą, której nawet nie poznała, nie mówiąc już o wyrażeniu aprobaty; kobietą pracującą (feministka!), z Nowego Jorku (twarda), po trzydziestce (chodzi jej tylko o spermę Mikeya), Włoszkę z pochodzenia (katoliczka!). A choć Cat traktowała ją jak cesarzową, błagała o pozwolenie, by nazywać „mamą”, i obsypywała pochwałami jej syna, z twarzy pani Petersen nie zniknął wyraz szlachetnego męczeństwa - tylko na moment ustępował zdziwieniu, gdy patrzyła na najlepszą przyjaciółkę swej synowej. Jak dotąd Freya oparła się pokusie, by strzelić palcami i zawołać: „Ole!”.

Zgubiła się w tłumie, pijąc, gawędząc i usiłując stłumić wspomnienia poprzedniego wesela, w którym brała udział. To był dzień Cat i Michaela, więc pragnęła, by wszystko udało się doskonale. W pewnej chwili dostrzegła młodą parę: Cat rozprawiała o czymś z ożywieniem, gestykulując obficie, a Michael patrzył na nią zahipnotyzowany, jakby bogini spłynęła tuż przed nim na chmurze. Cat trzymała swego bratanka Tonito na biodrze, a tłuste nóżki malca owinięte były wygodnie wokół jej talii. Promieniała szczęściem. Freya gotowa była założyć się o sporą sumę, że nie minie rok, a jej przyjaciółka zajdzie w ciążę. Przypomniała sobie, jak kilka zaledwie miesięcy temu w chińskiej restauracji Cat wyjaśniała butnie, że nie potrzebuje mężczyzny, i uśmiechnęła się - życie płata nam niesamowite sztuczki!

Freya ciągle się krzątała: sprawdzała, czy jest dość jedzenia i picia na stołach, czy wystarczy krzeseł dla starszych wiekiem gości, pomagała napępiać kieliszki do toastów. Później wszyscy stanęli w ciasnym kręgu, ktoś stuknął w stół, prosząc o ciszę, i wystąpił z tłumu ojciec Cat. Jego ciemne oczy spojrzwały po zebranych.

- Mam tylko jedno pytanie - zaczął. - Dlaczego zabrało jej to aż tyle czasu?

Freya słuchała z sympatią, jak opowiadał o charakterze i sukcesach Cat - jej wielkim sercu, walecznym duchu, wybaczalnych drobnych błędach - a potem, ze staroświecką powagą, która ją wzruszyła, wziął dłoń córki i umieścił w dłoni jej męża. Teraz przyszła kolej na Michaela. Freya przygryzła kciuk, zastanawiając się, jak też sobie poradzi, czy nie będzie zbyt patetyczny albo sentymentalny. Kiedy Cat wyznała jej, że do Michaela przyciągnęło ją przede wszystkim jego wspaniałe poczucie humoru, Freya w ostatniej chwili powstrzymała się od pytania: „Jego co?”. Ale teraz, słuchając opowieści o spotkaniu Cat jako strony przeciwnej w sprawie rozwodowej Blumbergów, przekonała się, że przyjaciółka miała rację. Ludzie się śmiali. Był zabawny! Miłość dodała mu pewności siebie.

Nawet inaczej wyglądał: włosy bardziej mu lśniły, a oczy błyszczały. Freya cieszyła się z tego, choć szczęście Michaela było też dla niej pewnego rodzaju delikatną przyganą. Ona uważała swego partnera za godnego zaufania i „miłego”, ale nieskończenie nudnego; trzeba było dopiero Cat, by rozpałić w nim ogień.

Cat była wspaniała. Regularnie przerywała Michaelowi, poprawiała szczegóły w jego historyjkach, wtrącała aluzje, raz nawet przyglądała mu włosy. Wszystko to przyjmował z dobroduszną cierpliwością, żartując i uspokajając ją. Naturalnie Cat także wygłosiła własną mowę; oświadczyła, że jest to małżeństwo równych szans.

Po mowach czas zdawał się gnać z szybkością błyskawicy. Zamówiono samochód, który miał zawieźć młodą parę na lotnisko - wyjeżdżali na Karaiby, by spędzić tydzień w słońcu. Trzeba było znieść walizki na dół. Ktoś musiał zapłacić orkiestrze. Doszło do dyplomatycznego incydentu pomniejszej wagi, kiedy to bez żadnych widocznych przyczyn Pookie ugryzł panią Petersen w kostkę. Cat i Michael poszli się przebrać. Czekając na nich, Freya zauważyła, że babcia przyjaciółki siedzi sama, wyraźnie zmęczona hałasem. Biedactwo, musi być dobrze po osiemdziesiątce. Freya podeszła do niej i nisko się pochylała.

- Czy mogę pani coś przynieść?

Staruszka z wdzięcznością wzięła ją za rękę i posadziła na sąsiednim krześle, zadowolona, że ma z kim porozmawiać. W swej dziwacznej angielszczyźnie powiedziała Frei, że przyjęcie było wspaniałe, że uważa Michaela za bardzo przystojnego mężczyznę, a Cat wyglądała cudownie w ślubnej sukni. Freya uśmiechała się i uśmiechała. Raz jeszcze opowiedziała historię skręconej kostki Cat na kursie stepowania, na którym się poznały. Przyznała też, że istotnie wszystko było po prostu wspaniałe.

Pani da Fillipo gładziła ją po ręce w czasie całej rozmowy. Dłonie miała małe i niewiarygodnie kruche, a skórę miękką jak znoszony aksamit.

- Nie jesteś zameźna? - zapytała.

To pytanie zaskoczyło Freyę. Spojrzała na swe pozbawione pierścionków palce, nagle wytracona z wygodnej atmosfery pogawędki o niczym.

- Nie - odparła krótko.

- Masz kogoś?

- Nie.

- A czemu? Jesteś taka ładna.

Freya potrząsnęła głową.

- Na mężczyznach świat się nie kończy.

- To zależy od mężczyzny. - Wyblakłe oczy spojrzały na nią chytrze. - Nie byłaś nigdy zakochana?

Freya poczuła, że wargi jej drżą. „Proszę przestać!” - chciała zawołać.

- Och, miłość! - Wzruszyła ramionami. - To takie niemądre słowo. Chodzi mi o to, że skąd można mieć pewność?

Staruszka uśmiechnęła się i delikatnie poklepała ją po dłoni, jak gdyby obie dobrze wiedziały, że młoda kobieta gada bzdury.

- Po raz pierwszy zobaczyłam mojego męża na jego przyjęciu zaręczynowym z inną dziewczyną. Ale to mnie nie powstrzymało - zachichotała. - Kobieta zawsze wie. A kiedy wie, musi działać.

- Tylko że... nie zawsze od razu wiemy, co robić. - Freya porzuciła swój nonszalancki ton i spojrzała szczerze w oczy staruszki.

Pani da Fillipo mocniej chwyciła jej dłoń.

- Musisz podążać za swoim sercem. Po prostu musisz. Ja i Gianni byliśmy małżeństwem przez pięćdziesiąt sześć lat. Tęsknię za nim codziennie. - Jej miła, pomarszczona twarz zrobiła się smutna. Freya głośno przełknęła ślinę.

- Och, proszę spojrzeć! - zawołała wesoło, wskazując Cat i Michaela, którzy wrócili ubrani w wakacyjne stroje i żegnali się z obecnymi. Cat podeszła do babci i Freya wstała, zostawiając je same. Kręciła się bez celu w tłumie, próbując odzyskać równowagę, i w pewnej chwili dostrzegła, że stoi twarzą w twarz z Michaeliem.

- Wspaniała mowa - uśmiechnęła się do niego z uznaniem. Objął ją po przyjacielsku.

- Przysięgnij, że zaprosisz mnie na swój ślub.

- Naturalnie - odrzekła dość sztywno. Wiedziała, że miał dobre intencje, ale ta uwaga nie należała do najcelniejszych. - Ale jeszcze nie wstrzymuj oddechu - dodała, próbując zamienić ją w żart.

Przyszedł czas, by pożegnać się z Cat i Freyę nieoczekiwanie ogarnęło przemożne poczucie smutku i samotności. Trudno zastąpić starych przyjaciół, którzy przejechali cię na wylot, znają twoje wady i zalety, a mimo to cię kochają. Obawiała się, że ich przyjaźń nigdy nie będzie taka jak dawniej. Objęła ją mocno.

- Baw się dobrze - powiedziała.

- Słoneczko, będę za tobą tęsknić!

- Bzdury! Masz teraz Michaela. A on ma ciebie - dodała z uśmiechem. - Jestem taka szczęśliwa.

I wreszcie państwo młodzi gotowi byli do odjazdu. Stali oboje w drzwiach, a goście zebrali się kręgiem, by życzyć im wszystkiego najlepszego.

- Do widzenia, kochani! - zawołała Cat. Teatralnym gestem uniosła rękę i rzuciła coś w powietrze.

Bukiet pozegłował wysoko nad głową Frei i przez długą chwilę zawisł w powietrzu, a potem zaczął spadać wirującą wielobarwną plamą. Freya widziała, jak płatki odbijają światło i zamieniają się w deszcz iskier. Lecił coraz szybciej. Och nie! Prosto na nią. Jak to będzie wyglądało, jeśli pozwoli, by bukiet przyjaciółki rozwalił się o podłogę? Na pewno ktoś inny go złapie. Proszę! Lecz nikogo nie było. W ostatniej chwili wyciągnęła rękę i złapała bukiet.

- Aaaach - westchnął tłum. - Brawo!

Spojrzała na otwarte serca kwiatów. Były takie piękne. Jej palce zaciśnęły się na łodygach. A potem wybuchnęła płaczem.

Rozległ się szmer. Freya zakryła twarz dłonią. Proszę... nie! Nie rób tego, Freya. Nie mogła jednak zapanować nad szlochem, który wstrząsał jej ramionami i rozrywał piersi.

- Słoneczko, co się stało? - Nagle znalazła się w objęciach Cat.

- Nic - wykrztusiła. Wszyscy, po prostu wszyscy, na nią patrzyli. Zepsuła wesele Cat. Jak mogła!

- Powiedz mi - spytała Cat łagodnie. - O co chodzi?

- Nie wiem - lamentowała Freya. - Jedź, proszę. - Machnęła ręką.

- Nie zostawię cię w takim stanie. - Głos przyjaciółki był cichy, lecz stanowczy. - Chodź, znajdziemy jakiś cichy kąt i porozmawiamy.

- Spóźnicie się na samolot, Mikey. - Ciszę przerwał melodyjny głos pani Petersen.

Jej synowa poderwała głowę.

- Samolot może poczekać! - rzuciła w odpowiedzi.

Objęła Freyę opiekuńczym ramieniem i poprowadziła ku wyjściu, gdzie niespokojnie kręcił się Michael. Kiedy go mijaly, kierując się ku drzwiom z napisem: „Panie”, Freya zobaczyła, że nowożeńcy wymieniają spojrzenia. Michael kiwnął głową. Poczeka.

Później znalazły się w małym, wyłożonym kafelkami pomieszczeniu, w którym unosił się zapach odświeżacza powietrza. Cat posadziła Freyę na odwróconym do góry dnem koszu na śmieci, sama kucnęła przed nią.

- O co chodzi? - zapytała. - Kto cię zdenerwował?

- Nikt. - Freya wytarła nos wierzchem dłoni.

- Proszę, weź chusteczkę. - Cat odwróciła się i zaczęła grzebać w swojej pojemnej torbie, wyrzucając kolejno jej zawartość na podłogę, aż znalazła paczkę chusteczek. Otworzyła ją i jedną podała Frei. Poczekala, aż przyjaciółka wytrze nos, a później ujęła ją mocno za ręce. - Och, kochanie, myślałam, że nie masz nic przeciwko temu.

- Bo nie mam.

- Może powinniśmy byli trochę poczekać?

- Nie, nie. - Freya potrząsnęła głową. - To nie ma nic wspólnego z tobą i Michaeliem.

- Jesteś pewna?

Freya potwierdziła.

- Więc o co chodzi?

Fala uczuć, która narastała w niej przez cały dzień, przez wiele tygodni i miesięcy, wreszcie znalazła ujście.

- O... o Jacka! - wyrzuciła z siebie.

- Jacka? - Przyjaciółka aż zachwiała się z wrażenia. Oczy miała szeroko otwarte, włosy wręcz uniosły się jej na głowie. - Tego „drania Jacka”?

- On nie jest draniem! - jęknęła przez łzy Freya.

- Tego, co spał z twoją siostrą?

- Nie miał takiego zamiaru. - Freya głośno wytarła nos.

- Tego zepsutego, leniwego nicponia, który żyje z pieniędzy tatusia?

- Nie jego wina, że ma bogatego ojca. A poza tym ojciec nic mu już nie daje.

- Marnego pisarza?

- Jest wspaniałym pisarzem!

- Nic nie rozumiem. - Cat zmarszczyła brwi. - Myślałam, że nie chcesz go więcej widzieć i sama mu to powiedziałaś.

- Wiem... - lamentowała Freya. - Ale myślę, że on jest tym Jedynym.

- Och, kochanie...

- A teraz się ożenił!

- Co takiego?

Freya przycisnęła dłonie do czoła.

- Nigdy więcej go nie zobaczę. To wszystko moja wina.

Od owego dnia w Chelsea jej wściekłość i poczucie upokorzenia zaczęły ustępować miejsca ciekawości. Gdzie on jest? Co robi? O czym myśli? Ciągłe przypominała sobie na nowo wydarzenia w Kornwalii. Nie wszystko było złe. Niektóre momenty okazały się dobre. Prawdę mówiąc, niektóre nawet były wspaniałe. Po bolesnym namyśle musiała przyznać, że Jack mógł mówić prawdę, kiedy twierdził, iż Tash go uwiodła. Nie

obchodził jej, chciała jedynie zranić Freyę - i udało jej się doskonale. Freyę dręczyła myśl, że Tash spała z Jackiem, podczas gdy ona odrzuciła taką możliwość - i teraz na pewno nie będzie miała następnej. Własne pożądanie ją zawstydzalo. Jack to nic dobrego. Nie można na nim polegać. Nie ma serca. A mimo to nie potrafiła przestać o nim myśleć. We wrześniu jej rozpacz osiągnęła takie stadium, że zadzwoniła do domu Madisonów w Oaksboro (Oaksboro! tak to brzmiało) - nie żeby z nim porozmawiać, to oczywiście, tylko się przekonać, czy tam mieszka, może nawet usłyszeć jego głos mówiący „halo”. Telefon jednakże odebrała gospodyni. Freya zapytała ostrożnie, czy Jack jest w domu. „Nie w tej chwili - usłyszała. - Wyszedł na obiad z narzeczoną... panną Twink”. Freya nie mogła w to uwierzyć. Nie chciała uwierzyć. Żałośnie przeglądała lokalne gazety w internecie, aż znalazła właściwe ogłoszenie.

Rozległo się nagłace pukanie do drzwi.

- Caterina!... *aeroporto!*... *subito!*... Cat gniewnie poderwała się na nogi.

- Za minutę! - wrzasnęła.

Freya także zmusiła się, by wstać. W lustrze nad umywalką dostrzegła odbicie własnej zapłakanej twarzy, i dołożyła starań, by się opanować.

- Musisz już iść, Cat - powiedziała. - To twoje wesele.

- Pieprzyć wesele! Moja najlepsza przyjaciółka mnie potrzebuje. - Mocno przytuliła Freyę, która próbowała się roześmiać. Położyła głowę na ramieniu Cat i pozwoliła, by ta przyglądała jej włosy.

- Och, Cat... Co ja bez ciebie zrobię?

Przyjaciółka spojrzała jej w oczy.

- Złotko, zapomnij o nim. Jest mnóstwo mężczyzn, po prostu mnóstwo. Jak wrócę, znajdę ci miłego faceta, tak jak ty znalazłaś mi Michaela.

- Przecież wcale nie znalazłam ci Michaela - odrzekła Freya, śmiejąc się przez łzy. Uścisnęły sobie dłonie.

I znowu rozległo się pukanie, tym razem cichsze. Drzwi lekko się uchylily.

- Kochanie, samochód czeka. Jak będziesz gotowa, jedziemy.

- Już idę. - Cat spojrzała z dumą na Freyę. - Czyż on nie jest cudowny? A teraz umyj twarz. Wyglądasz okropnie.

Podczas gdy Freya posłusznie spryskała wodą oczy i policzki, przyjaciółka na nowo spakowała torbę: paszport, książki, woda mineralna, witaminy.

- Popatrz - powiedziała nagle. - Dostałam to w księgarni.

- Co to?

Cat stała już z torbą przewieszoną przez ramię i czytała jakąś kartkę, wyglądającą na zaproszenie.

- Hmm... - mruknęła Cat. - Piąta Aleja... bardzo dobrze... ósmego listopada... to pojutrze. Doskonale!

- Ale co? - Freya nachyliła się, by lepiej widzieć, i zaprotestowała głośno: - W żadnym razie!

- Ależ tak! Nie rozumiesz? To Znak.

- To moje urodziny! Nie chcę iść na żaden cholerny wieczór samotnych w moje urodziny.

- A co chcesz robić?

Freya otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Wiedziała, gdzie chciałyby być, ale to było teraz niemożliwe.

- Posłuchaj, plan jest taki. Przyrzeknij mi albo nigdzie nie pojedę. - Cat wyglądała tak władczo, że Freya musiała się uśmiechnąć.

- Przyrzekam.

- W poniedziałek wieczorem masz się wystroić. Kup sobie nową sukienkę, zrób coś z włosami. Myśl, że jesteś wspaniała.

Freya jęknęła żałośnie.

- Pójdiesz na ten wieczór samotnych. - Cat wepchnęła jej zaproszenie do ręki. - I poznasz miłego mężczyznę.

- Naprawdę? - Pociągnęła nosem.

- Och, złotko. - Twarz Cat złagodniała. Mocno objęła Freyę. - Nigdy nic nie wiadomo. Popatrz na Michaela i mnie. Wszystko może się zdarzyć.

Rozdział trzydziesty czwarty

Jack wyszedł z biurowca i przystanął, by podnieść kołnierz płaszcza. Zapomniał, jak ostry wieje tutaj wiatr. Kiedy był w budynku, niebo pociemniało, z ołowianego zmieniając się w czarne. Wokół mrużyły oślepiająco żółte światła, warczały silniki, ryczały klaksony. Mijały go niewyraźne postaci. Jack wdychał skażone miejskie powietrze, zastanawiając się, co dalej robić. Zerknął na zegarek, chociaż i bez tego czas mógł podać z dokładnością niemal do minuty. Wewnętrzny zegar tykał w jego głowie od dni, a nawet miesięcy, coraz głośniej i bardziej nagłąco, aż wreszcie Jack nie potrafił myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, co może - może! - zdarzyć się dzisiaj wieczorem.

Wciąż miał jeszcze godzinę do przeczekania. Gdyby pojechał metrem, dotarłby na miejsce przeznaczenia w dwadzieścia minut - ale co potem? W żadnym razie nie zdecyduje się na samotne siedzenie w kawiarni, zdany na łaskę szalejących w sercu uczuć. Postanowił się przejść. Wsunął gołe dłonie do kieszeni i włączył się w strumień przechodniów, ruszając na południe typowym nowojorskim krokiem. Dobrze być znowu w mieście. Energii dodawał mu widok śpieszących się ludzi w ten zwykły poniedziałkowy wieczór: młodych i starych, modnie odchudzonych i groteskowo otyłych, czarnych, białych, brunatnych, w oszałamiających futrach i poplamionych ubraniach roboczych. Bawiła go absurdalna ekstrawagancja okien wystawowych - torby z krokodylej skóry, kaszmirowe bambosze, misie za tysiąc dolarów, srebrne wykałaczki - ozdobionych motywami związanymi z Dniem Dziękczynienia, indykami i kolbami kukurydzy. Lubił to poczucie przynależności; świadomość, że należy do elitarnej grupy tych, którym się udało.

Bo z tego, co powiedziała mu Ella dziś po południu, w jednej przynajmniej dziedzinie odniósł sukces. Popatrzyła mu prosto w oczy, z szacunkiem trzymając dłoń na maszynopisie, który dwa tygodnie wcześniej wysłał do niej z małej poczty gdzieś tam na prowincji, i oznajmiła, że powieść jest „cudowna”. Najlepsza, jaką w tym roku czytała. Dramatyczna, poruszająca, zapadająca w pamięć i oryginalna. Już wysłała fragmenty do kilku wydawnictw; jedno z nich chciało kupić prawa, lecz Ella sądziła, że targowanie się może być niezłą zabawą. Facet od Knopfa, który nigdy nie przyznał, że coś mu się podoba, zadzwonił specjalnie po to, by ziewając oznajmić, że nie miałby nic przeciwko przejrzeniu całej powieści. Nawet wydawca, który wcześniej zerwał umowę z Jackiem, teraz wrócił, bo kolejna nowa miotła robiła porządki. Ella nie ustaliła jeszcze wysokości zaliczki, była jednak przekonana, że będzie to znaczna suma.

Jack spędził kilka wspaniałych godzin, pytając ciągle od nowa, co przede wszystkim Elli się podobało: która scena, jakie zdanie, a może ten żart na stronie dwieście jedenastej (światny, prawda?). Skoro teraz o tym myślał, to czy przypadkiem nie powiedziała: „arcydzieło”? No cóż, nie powiedziała. Jack uśmiechnął się z własnego egocentryzmu. Książka jest dobra, doprowadził swoje dzieło do końca i nikt nie będzie mógł nazwać go dyletantem. W ostatnich dniach pracował praktycznie dzień i noc. Musiał, żeby zdążyć na wesele.

Zwolnił, dochodząc do księgarni, jednego z tych nowych pałaców literatury i kofeiny, gdzie można się zgubić w drodze od działu Nowe Literatury Pięknej do Podróży, by po wielu godzinach wyjść wreszcie z szeleszczącymi książkami o teorii chaosu albo rewolucji rosyjskiej i brzuchem pełnym cynamonowych ciasteczek. Witryny były jasne oświetlone i zręcznie udekorowane ładnie opakowanymi książkami na każdy możliwy temat. Jack nie widział takiej księgarni od wielu miesięcy, przystanął więc, by nacieszyć wzrok. Jedno okno poświęcone było pojedynczemu tytułowi, debiutanckiej powieści, która doczekała się bardzo pochlebnych recenzji i zajęła wiele miejsca w środkach masowej komunikacji. Egzemplarze książki wznosiły się w stosach, otoczone cytatami pełnymi typowych superlatyw. Lista bestsellerów „Timesa”, powiększona do wielkości plakatu, ukazywała zakreślone kółkiem czwarte miejsce. Pośród książek umieszczono wielkie fotografie autora, młodego mężczyzny o wyglądzie gwiazdora filmowego. Jad patrzył na pewną siebie twarz, czekając na ukłucie zazdrości, poczuł jednak tylko przypływ sympatii. Wspaniały początek, mały: zrób wszystko, żeby na tym się nie skończyło.

- Hej, człowieku, uważaj! - usłyszał czyjś okrzyk i towarzyszący mu szczepek butelek.

Dostawca pchający wózek tuż za jego plecami skręcił ku szklanym drzwiom. W księgarni pewnie szykują się do imprezy - czytania fragmentów książki, a może ktoś będzie podpisywał swoje dzieło? Jack podciągnął spodnie, rozważając, czy powinien wejść. (Coś śmiesznego stało się z jego ubraniami. Marynarki piły go pod pachami, za to spodnie zlatywały, jeśli nie zapinał paska na pierwszą dziurkę. Niesamowite!).

Ponownie spojrzął na zegarek, czując, jak żebra ściskają mu płuca. Długie odliczanie dobiegało końca. Księgarnia to niezły sposób na spędzenie tych ostatnich dwudziestu minut. A jeśli ona już czeka? Nie, to przesadny optymizm. Jack przestępował z nogi na nogę, próbując podjąć decyzję, a w mroźnym powietrzu jego oddech zamieniał się w miniaturowe obłoczki.

Rozdział trzydziesty piąty

Zakupy to moje życie - mówił pan Niebieski Garnitur.

- Och, moje też! - zgodziła się pani Szara Garsonka.
- Może powinniśmy kiedyś się spotkać i podyskutować o tym?
- Z przyjemnością. Proszę, moja wizytówka. Może pan dzwonić do pracy.

Pan Niebieski Garnitur schował kartonik do kieszeni i odwrócił się w tłumie. Tę misję zakończył, teraz ruszał na poszukiwanie kolejnego celu. Jego badawcze spojrzenie przesunęło się po zebranych, omijając Freyę, jakby była niewidzialna. Nic dziwnego, nie pasowała tutaj. Ubrała się, by nieomylnie dać wszystkim do zrozumienia, że nie jest zdesperowaną trzydziestoparolatką. „Myśl, że jesteś piękna” - powiedziała jej Cat. Posłuchała tej rady. Włożyła suknię bez rękawów, dość krótką, z mięciutkiej skóry, zapinaną na plecach na rząd guziczków, oraz buty na wysokich obcasach, tak niesamowitego czerwonego koloru, że grzechem byłoby ich nie kupić. Popęłniła błąd. Wszystkie pozostałe kobiety miały na sobie kostiumy rozsądnej długości i miłe białe bluzki. Były takie pewne siebie, uśmiechnięte, tak cholernie skuteczne! Pogawędka, wizytówka, następny; pogawędka, wizytówka, następny - jak gdyby zbierały je do kolekcji, jakby w ten sposób pracowały. Czy umówią się z którymś na randkę, czy też zbierają wizytówki jako rodzaj iluzorycznej polisy ubezpieczeniowej przeciwko samotności?

Freya łyknęła ciepłego białego wina i uśmiechnięta lekko utkwiała wzrok w przestrzeni, jakby w gruncie rzeczy nie stanowiła części tego żalostnego tłumku samotnych - po prostu przyszła popatrzeć albo zbierała materiał do zabawnego artykułu. Całość zaczynała zamieniać się w jeden z najgorszych wieczorów w jej życiu. Pomyślała o Cat, która pod szumiącymi

palniami popija koktajle z ukochanym, i miała ochotę ją udusić.

Przyjęcie, jeśli tak można by to określić, odbywało się na pierwszym piętrze księgarni, w dziale biologii (jak zmyślnie!). Światła były jaskrawe, powietrze duszne. Freya nie miała nastroju do takich rozrywek. Nie miała sił, by zaczynać od początku. Wyglądało na to, że w sprawach miłości niczego nie można się nauczyć. Wiedziała tylko, że każdy jej związek okazał się nieudany.

Przyrzekła jednak Cat, że tu przyjdzie. Musi zdobyć się na jakiś wysiłek. Wyprostowała się i odważnie wmieszała w tłum. Szybko też stwierdziła, że rozmawia z dobrze wyglądającym facetem we właściwym wieku. Był uprzejmy i miły, ale nie umiała powiedzieć mu nic, co nie brzmiałoby głupio lub nudno. Wszystko jest takie banalne! Widziała, jak mężczyzna traci zainteresowanie, a jego wzrok zaczyna błądzić gdzieś ponad jej ramieniem. W końcu pod pretekstem, że ma pusty kieliszek, odszedł; po kilku chwilach zobaczyła, że z zapalem rozmawia z panią Szarą Garsonką i bierze od niej wizytówkę. Freya uświadomiła sobie, że w tej dziwacznej grze w randki nie zdobyła nawet pierwszej bazy. Okrążyła salę, zbierając na nowo odwagę. Docierały do niej strzępy rozmów:

- Uwielbiam powieści, zwłaszcza te fikcyjne.
- ...nie, ale widziałem film.
- Powiedział, że jego ulubionym pisarzem jest Tom Clancy. O, witaj.
- Nie uważa pan, że Szekspir w bardzo dosłownym sensie jest tutaj z

nami?

Gdyby tylko zjawił się tutaj Jack. Gdyby tylko nie powiedziała mu tych wszystkich okropnych rzeczy. Gdyby tylko się nie ożenił. Freya nie potrafiła wskazać żadnego wytłumaczenia dla jego małżeństwa z Candace Twink. Czy to możliwe, że ta dziewczyna była w ciąży? Czy to ojciec zmusił Jacka, by się z nią ożenił, bo losy schedy Madisonów zależały od tego małżeństwa? Czy Jack po prostu poddał się i stwierdził, że równie dobrze może ożenić się z tą, zamiast z inną kobietą? Wszystko to wydawało się bez sensu.

Podskoczyła, gdy ktoś ujął ją za łokieć.

- No, no - odezwał się znajomy głos - ależ to ta sama kobieta, która pomyliła kalkulator z telefonem komórkowym.

Agent literacki Leo Brannigan uśmiechał się w ten sam irytujący, pełen wyższości sposób. Miał na sobie swobodny uniform ludzi z mediów - marynarkę i nieskazitelny t-shirt.

- Jak leci? - zapytał oblesnie. - Słyszałem, że takie wieczory to idealne miejsce na podryw.

- Och, nie jestem tu z nimi. - Freya wybuchnęła perlistym śmiechem.

- Przyszłam... kupić książkę i... no, postanowiłam wpaść na lampkę wina. Dzisiaj są moje urodziny - dodała, jakby to coś wyjaśniało.

- Naprawdę? - Leo sprawiał wrażenie nieprzekonanego.

- A co u ciebie? - zaatakowała Freya. - Poznałeś jakieś miłe dziewczyny?

- Ja? - Ciemne brwi Leona zmarszczyły się nagle. - Jezu Chryste! Raczaj bym umarł, niż pokazał się z którąś z tych ponurych bab. - Jego twarz idealnie nadaje się do sarkastycznych uśmiechów, pomyślała Freya. - Nie, jeden z moich pisarzy podpisuje tutaj na dole książki. Czekam, aż skończy.

- Ale to nie... Jack?

- Kto? A, Jack. Nie. Żałuję, że to nie on. Postanowił zostać z Ellą Fogarty.

Freya skinęła głową. Doskonale, Jack, pomyślała.

- Straciłem świetną okazję. - Leo spojrział na Freyę, jakby to była jej wina. Mam tylko nadzieję, że Ella wie, jak uzyskać odpowiednią zaliczkę. Wydawcy to okropne skapiradła.

- Hmm. - O czym, na Boga, on mówi?

- Podobno książka jest świetna. Lepsza od „Wielkiego nieba”. Może nawet materiał na bestseller.

Freya powstrzymała się od radosnego okrzyku. Jack skończył książkę! By ukryć zaskoczenie, łyknęła wina i o mało się nie zakrzuszyła. Leo poklepał ją w plecy.

- Zawsze wiedziałam, że mu się uda - wychrypiała.

- A jeszcze latem nic na to nie wskazywało - zauważył. - Chociaż próbowałem go do siebie ściągnąć, nie byłem pewny, czy sobie poradzi. Wyglądało, jakby nie miał przed sobą celu. A potem coś z nim się stało, nie wiem co.

Ja wiem, pomyślała Freya. Serce skakało jej z radości.

- Może to małżeństwo? - zasugerował Leo.

- Bzdury! - wykrzyknęła. Candace Twink w równym stopniu mogła zainspirować Jacka do napisania powieści, jak sama polecieć na Księżyc. Nie dostrzegała nawet własnych stóp! Widząc zaintrygowane spojrzenie Leona, dodała: - Nie rozumiem, dlaczego miałyby wyrzucić jakiś szczególny wpływ na jego twórczość.

- A ja tak. Powiedziałbym, że to był solidny cios w jaja.

- Naprawdę? - Freya uśmiechnęła się promiennie.

Co niby było ciosem w jaja? Według niego Candace tak się zachowała? Tego wieczora jakoś niezbyt dobrze wychodziły jej rozmowy.

- To znaczy ze strony staruszka - ciągnął Leo.

Zmarszczyła czoło.

- Czy masz na myśli to, że przestał mu dawać pieniądze?

- Ależ i tak długo dawał! Chryste, ci rozpuszczeni bogaci chłopcy. Nie, chodzi mi o tę sprawę z dziewczyną...

- Jaką dziewczyną?

- No tą, z którą się ożenił. - Ton głosu Leona mówił wyraźnie, że uważa ją za niespełna rozumu. - To wspaniała historia. Temat na powieść.

- Tak sądzisz? - Freya inteligentnie przekrzywiła głowę. Zupełnie nic nie pojmowała.

- Jasne! Przedstawiasz ojcu dziewczynę, a chwilę potem dowiadujesz się, że się pobierają. Przecież to najgorszy pieprzony koszmar. - Roześmiał się złośliwie.

Freya gapiała się na niego z otwartymi ustami. W jej głowie rozlegały się dziwne dźwięki, jakie wydają owe trójwymiarowe puzzle, trafiając na swoje miejsce. W tym samym tygodniu, kiedy ona z Jackiem wyjeżdżali do Anglii, Candace umówiła się z jego ojcem. Ojciec Jacka lubi kobiety, a Candace lubi pieniądze. Ta dziewczyna pragnęła stać się „kimś”. Leo powiedział: „ojciec”! Freya głośno westchnęła, bo oto nagle wspaniała, cudowna, oczywista prawda uderzyła ją jak obuchem. Candace wyszła za Jacka Madisonsa - ojca! Co oznacza... co oznacza, że Jack wcale się nie ożenił!!! Roześmiała się histerycznie.

Leo patrzył na nią, jakby w końcu jednak straciła rozum.

- Wiesz, to strasznie zabawne - wyjaśniła, unosząc dłoń do ust, by ukryć zadowolenie. Jack nie jest żonaty!

- Wy, kobiety, jesteście strasznie gruboskórne - Leo z niesmakiem potrząsnął głową. - Pomyśl tylko, w jakim stanie musi być ten biedny facet.

- Kto? Co? - Freya nie potrafiła się skupić, w głowie tak jej huczało. Jack nie jest żonaty! Jest wolny! Skończył książkę! Jest po prostu cudowny.

Leo przewrócił oczyma.

- Jack jest w złym stanie, bo jego, to jest Jacka, ojciec ożenił się z jego, to jest Jacka, dziewczyną. Ty tak nie uważasz?

- Nie bądź głupi! - prychnęła Freya. - Jacka nie obchodzi, kto się z nią ożenił. Ona jest laleczką, na litość boską! A jej szare komórki można policzyć na palcach jednej ręki. Jack był dla niej o niebo za dobry. No wiesz, taki... utalentowany i taki... zabawny... i miły, i dowcipny, i... - Ojej! Chyba mówi za dużo. - W każdym razie są ludzie, co tak o nim myśla - zakończyła niezręcznie.

- A, już łapię... - Leo spojrział na nią chytrze. - Słyszałem, że się do niego wprowadziłaś, ale nie mogłaś położyć na nim ręki, bo była ta druga, tak? A teraz teren się oczyścił, więc zaczynasz za nim gonić.

Freya się wyprostowała.

- Nigdy za nim nie goniłam - oświadczyła z godnością. - Byliśmy po prostu przyjaciółmi.

- Jasne - odparł sceptycznie.

- I dalej jesteście! - upierała się urażona.

- Doprawdy? - spytał Leo. - Więc czemu polujesz na biednych samotnych mężczyzn zamiast być z nim?

- Co? - Znowu udało mu się zbić ją z tropu. Westchnął ciężko, widząc jej głupotę.

- Przecież powiedziałaś, że dzisiaj są twoje urodziny?

- No i co?

- No i wiesz, ty i Jack...

- Co? - Freya zarumieniła się po korzonki włosów.

Przed oczyma stanął jej oświetlony księżycową poświatą pokój w Konwalii i Jack z uśmiechem zsuwający ramiączka jej sukni. Naturalnie, że nie zapomniała. Skąd jednak dowiedział się o tym Leo?

- Wasz zakład - powiedział wyraźnie, jakby miał przed sobą osobę niedorozwiniętą. - Zakład. Tylko mi nie mów, że zapomniałaś.

Freya nie odrywała od niego wzroku. Serce zaczęło jej walić. Nie zapomniała. Pamiętała tamten upalny wieczór w Café Pisa - chyba to już wieki temu - i Jacka mówiącego: „Będę tam”, i swój głupi żart o poślubieniu lorda. Tylko że to Jack się ożenił. Ale przecież się nie ożenił...

- Wtedy przy pokerze, jakieś pół roku temu. W mieszkaniu Jacka. Masz problemy ze słuchem?

- Zakład! - wykrzyknęła Freya tak głośno, że w sali zapadła cisza, a wszyscy spojrzeli na nich. Myśli jej wirowały. Ósmego o ósmej. O mój Boże, niewykлучzone, że on tam teraz jest!

Złapała Leona za rękę, żeby zobaczyć, która godzina, zupełnie zapominając, że sama też ma dobry zegarek. Dziewiąta piętnaście. Pomyślał, że na pewno już nie przyjdzie, że w ogóle jej nie obchodzi, że nie żartowała mówiąc, iż nie chce go więcej oglądać na oczy. Och, Jack, poczekaj!

Boże, Boże. Ruszyła biegiem ku schodom, zaraz jednak odwróciła się, by zarzucić Leonowi ręce na szyję.

- Chodź tu, ty draniu. - I pocałowała go w policzek.

Jego twarz wyrażała zaskoczenie pomieszane ze zrozumieniem.

- Ty go kochasz! - zawołał za nią, lecz Frei już nie było.

Rozdział trzydziesty szósty

Kelner zerknął na pustą szklankę Jacka, po czym obrzucił jego samego nieprzyjemnym spojrzeniem. Jack prawie godzinę spędził nad dwiema Krwawymi Mary; na zewnątrz zaś czekała kolejka na wolne stoliki. Mimo to po raz kolejny zapytał, czy powinien już otworzyć szampa, a Jack znowu odpowiedział, że jeszcze nie.

Tylko jak długo jeszcze ma tu siedzieć? Wiele godzin w swoim życiu spędził, czekając na kobiety. Wciąż nie do końca rozumiał, co one wtedy robiły, wiedział tylko, że cokolwiek to było, zabierało im dwa razy więcej czasu, niż człowiek mógłby sobie wyobrazić. Prawdę mówiąc, według kobiecych standardów Freya w ogóle się nie spóźniła. Candace na przykład kazała jego biednemu ojcu czekać w kościele w Oaksboro czterdzieści pięć minut - a to był jej ślub. W końcu jednak się pojawiła. Obecnie młoda para spędzała miesiąc miodowy w wymarzonym przez dziewczynę miejscu - Las Vegas. Candace Twink na swój sposób była kobietą niezwykłą.

Jej list leżał na podłodze przy drzwiach, kiedy Jack wrócił z Kornwalii.

Ty draniu! Harry z góry powiedział mi, dokąd i z kim pojechałeś. Zawsze uważałam, że jest coś między Wami. No cóż, chacun a son goo, jak mówią Francuzi. Mam zbyt wiele szacunku dla siebie jako kobiety, by grać „drugie skrzypce”. Czas, żebym skupiła się na własnych celach życiowych i zrealizowała jako istota ludzka. NIE DZWOŃ do mnie.

Nie od razu Jackowi przyszło do głowy, że „celem życiowym” tej dziewczyny może być małżeństwo z jego ojcem. Kiedy otworzył listy od

Candace, Lauren i ojca, wszystkie dotyczące tej samej sprawy (aczkolwiek list Lauren był bez dwóch zdań najzabawniejszy), o mało nie przezwyciężył abstynencji. Otrząsnąwszy się z zaskoczenia, uznał, że wiadomość o ślubie jest jak najbardziej stosowna, chociaż energia i brak skrupułów, z jakimi Candace przyjęła swoje osiągnięcie, zrobiły na nim wrażenie. W ciągu jednej nocy ta mała przeistoczyła się w Scarlett O'Hare. Z bezwzględnością, która budziła podziw, o ile nie uwielbienie, wyparła się własnego pochodzenia, przyjaciół, a niemalże rodziny, chętnie zgodziła się na ślub w posiadłości Madisonów i zaprosiła tylko niewielką grupkę przerażonych Twinków, którzy stali przed kościołem w swych najlepszych świątecznych ubraniach, odsunięci przez resztę gości. Jack podejrzewał teraz, że już wówczas gdy pisała ów list do niego, oczy miała utkwione w nieskończenie cenniejszym trofeum niż jego skromna osoba. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Candace zrobi wszystko, co w jej mocy, by uszczknąć dla siebie jak największą część fortuny Madisonów; pośpieszne wydanie na świat dziecka, dowodu jurności „Starego Jacka”, doda temu procesowi rozpędu. Brat Jacka, Lane, zbojkotował ślub i próbował przekonać Jacka, by wspólnie weszli na drogę sądową i w ten sposób zabezpieczyli własne interesy w rodzinnej firmie. Jack odmówił. Zamiast tego zgodził się zostać świadkiem, „by wszystkim pokazać, że dalej jesteśmy przyjaciółmi”, jak to ujął ojciec. „Wszystkim” - czyli całemu Oaksboro i praktycznie każdej znanej Jackowi osobie. Był przekonany, że wszyscy doskonale wiedzą, w jaki sposób poznała się szczęśliwa para. Anegdota o tym, jak mężczyzna dobiegający siedemdziesiątki ukradł dziewczynę własnemu synowi, była zbyt dobra, by nie opowiadać jej w każdym barze i salonie fryzjerskim hrabstwa.

To dziwne, ale upokorzenie tkwiące potencjalnie w tej sytuacji przyniosło całkiem przeciwny skutek. Przyglądając się Candace w ślubnej kreacji, z lewą dłonią wsuniętą pod łokieć małżonka i prezentującą pierścionek z brylantem wartości kilku tysięcy dolarów, Jack wcale nie czuł zazdrości, tylko lekki smutek, że jej definicja szczęścia jest taka ograniczona. Było mu żal ojca, gdy niczym trofeum prezentował światu tę absurdalnie młodą żonę, która nie uczyni go jednak szczęśliwszym niż poprzednie cztery. Kumple taty mogą opowiadać dowcipy o starych wygach, lecz prawdą jest to, że ojciec nie umiał sobie poradzić z wyzwaniem stawianymi przez kobietę inteligentną, jak Lauren. Jack wiedział, że nie chce tak żyć.

Była to radykalna, dająca wolność myśl. Jego ojciec - pan całego stworzenia, król Madison Paper, uosobienie wszystkich męskich cech,

którego szacunku Jack pragnął, z wysiłkiem podążając odmienną drogą - nagle był tylko jego ojcem. Jack winien był mu przywiązanie i wsparcie, ale przestał być zależny, zarówno w kwestiach finansowych, jak i w kwestii aprobaty. Pojął, że może zdobyć sto Pulitzerów, a tata ani na jotę nie zmieni swego zdania o nim.

Mimo to, czasu wymagało przyzwyczajenie się do Candace w roli ma-cochy. Jack pragnął opowiedzieć Frei całą tę historię. Wiedział, że uznalaby ją za świetną. Lecz jej tu nie było.

Spojrzał na zegarek: kwadrans po dziewiątej. Musi przyjść. Musi! Gnał do restauracji z takim podnieceniem i tyloma oczekiwaniami, choć przestrzegał się w duchu, by niczego nie oczekiwać. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi, podnosił głowę w nadziei, że to ona. Zamówił najlepszy stolik w cichym kąciku, romantycznie oświetlony. Przyjemność sprawiał mu wybór szampana (wytrawny? półslodki? różowy?!) i natychmiast go zamówił, tak by czekał na Freyę w kubelku z lodem. Chciał opowiedzieć jej o książce. Bolesnie pragnął ją zobaczyć - jej uśmiech, oczy, usta.

Dziś wieczorem był jego prawdziwy termin ostateczny. Noc Walhalli, ósmego o ósmej. Całe lato i sporą część jesieni, jeżdżąc pikapem i słuchając piosenek o miłości, bólu i tęsknocie - o kobietach, które skrzywdzili mężczyźni, o mężczyznach, od których odeszły jedyne liczące się w ich życiu kobiety - marzył, by mieć szansę powiedzenia Frei, jak bardzo mu przykro, i pokazania jej, że się zmienił. Czasami myślał o tych grobach zwierząt tam, w Kornwalii, i psach noszących imiona rycerzy króla Artura, i wyobrażał sobie własną inskrypcję: „sir Jack, rycerz niezbyt rycerski”. Freya go wyгнаła i tylko Freya może z powrotem go wezwać. Jeśli zechce.

Jack złapał się krawędzi stolika, tak mocno, że paznokcie mu zbieleły. Pragnął, by była tutaj - teraz. Brakowało mu jej towarzystwa i śmiechu, brakowało jej inteligencji i walecznego ducha, brakowało nawet ich sprzeczek. Od czasu Kornwalii nie potrafił myśleć o żadnej innej kobiecie: wciąż na nowo budził się z bardzo realistycznych erotycznych snów, a głowę miał pełną jej oczu, piersi, nóg... Przypominał sobie, jak wyglądała, leżąc wtedy na łóżku. Powiedziała: „Nie chcesz takiej kobiety jak ja”, lecz się myliła. Jest dokładnie taką kobietą, jakiej on pragnie. Jediną kobietą.

I znowu ten kelner. Jack odprawił go gestem dłoni i sprawdził czas: dziewiąta trzydzieści. Raz jeszcze powtórzył w myślach powody, które

mogłyby usprawiedliwić jej spóźnienie. Oszukiwał się jednak. Nie spóźniła się, tylko w ogóle nie miała zamiaru przyjść. Nie była chora, nie utkwiała na żadnym spotkaniu, nie szukała bezskutecznie taksówki; nie było jej tu, bo nie chciała być. Mimo woli przypomniał sobie finałową scenę z „Trzeciego człowieka”, w której Joseph Cotton czeka na dziewczynę, idącą ku niemu długą aleją wśród gołych zimowych drzew; zdąża ku niemu i mija go, nie patrząc nań. Nadzieja, która płonęła w sercu Jacka, po raz ostatni zamigotała i zgasła. Ha, trudno. Nie będzie więcej jej niepokoił.

Czy to możliwe, żeby zapomniała? Nie, znał ją zbyt dobrze, by liczyć na taką ewentualność. Jack spojrział na szampana w kubelku i bukiet kwiatów leżący na jej krześle. Później dał znak kelnerowi, by przyniósł rachunek.

Rozdział trzydziesty siódmy

Gdzie wszystkie nagle się podziały? Freya nie potrafiła w to uwierzyć. Samochody pędziły ulicą, reflektory oślepiały, karoserie rzucały błyski, lecz nigdzie nie było ani jednej taksówki. Zaraz! Jest. Cholera, z wyłączonym kogutem. Freya wyteżyła wzrok. Chyba jakaś stoi w sznurze aut na światłach. Zapaliło się zielone. Tak! Zeszła z krawężnika i gorączkowo zamachała ręką. Mrugnął kogut. Dzięki Bogu! Potem jednak, ku jej wściekłości, taksówka zatrzymała się i wsiadł ktoś inny. Pogroziła kierowcy pięścią. Wyobraziała sobie Jacka w restauracji, jak czeka, spoglądając na zegarek, i zastanawia się, czy ona przyjdzie. Zniecierpliwiona do granic możliwości, odwróciła się i poszła pieszo.

A może sama siebie oszukuje? Czy on naprawdę po tylu miesiącach pamięta o tamtym zakładzie? A jeśli nawet, to czy przyjdzie - po tych wszystkich strasznych słowach, które rzuciła mu w twarz? Jacka przypuszczalnie nie ma teraz nawet w Nowym Jorku. Wiedziała, że nie ożenił się z Candace, ale przecież może migdalić się z jakąś ślicznotką pod starymi magnoliami.

Dalej nie było żadnych taksówek. Przed sobą Freya widziała skrzyżowanie Trzydziestej Czwartej, a było już po wpół do dziesiątej. To beznaście. Powinna zrezygnować? Przystanęła w miejscu, próbując na coś się zdecydować. W uszach zabrzmiał jej donośny głos, tłumiący uliczny hałas, i tak wyraźnie, jakby stara pani da Fillipo stała tuż obok, usłyszała jej słowa: „Kobieta zawsze wie. A kiedy wie, musi działać”.

Freya ruszyła biegiem. Długi płaszcz krępował jej ruchy, wysokie obcasy stuknęły o chodnik. Przypomniała sobie, jak wtedy, na zalanym księżycową poświatą tarasie, zgubiła obcas, a Jack wziął ją na ręce. Poczwała dreszcz pożądania. Już wówczas wiedziała, lecz nie chciała ufać

własnemu sercu. Pozwoliła, by górę wzięły strach przed odrzuceniem i głupia duma. Teraz to pojęła. I nagle była przekonana, że wbrew wszystkiemu, wbrew rozsądkowi czy prawdopodobieństwu, Jack na nią czeka. Ona bez tchu wbiegła do restauracji - wyobraziła sobie jego pełen niedowierzania uśmiech. Sama też się uśmiechnie. Podejdzie do niego i powie... Co mu powie? Jakies słowa zaczęły formować się w jej umyśle - słowa, których nigdy nie pozwoliła sobie wypowiedzieć na głos - niczym rozwijający się pączek. „Kocham cię”.

Taksówka! Rozpaczliwie machnęła ręką i samochód się zatrzymał. Dzięki, dzięki, dzięki.

Freya opadła na tylne siedzenie, zdumiona myślą, która zabłysła w jej głowie. Ona go kocha! Naturalnie, że tak. Czy nie nosiła jego obrazu w sercu od wielu miesięcy? Tęskniła za jego śmiechem. Marzyła o jego obecności. Były takie noce, że nie mogła zasnąć, tak bardzo pragnęła poczuć dotyk jego rąk.

Nareszcie! Oto i szklany fronton restauracji. Na zewnątrz stała kolejka ludzi, skulonych z zimna i przytupujących. Freya rzuciła taksówkarzowi banknot dziesięciodolarowy i pobiegła ku drzwiom.

- Hej, niech pani stanie w kolejce! - wrzasnął ktoś zirytowany.

- Jestem umówiona! - zawołała Freya.

Przepchnęła się do drzwi i w końcu znalazła w zatłoczonym lokalu. Sporo ludzi cisnęło się przy długim barze z chromu: w powietrzu wisiał zapach perfum, błyszczały lustra, grzechotały shakery do koktajli. Freya ruszyła prosto ku stolikom i zaczęła się rozglądać. Serce waliło jej mocno. Gdzie on jest?

- Przepraszam panią, czy pani ma rezerwację? - zapytał uprzejmie męski głos.

- Spotykam się z kimś - odparła z irytacją Freya, nie spoglądając nawet na rozmówcę. - Jestem umówiona - dodała, idąc między stolikami. Zaczynała ogarniać ją panika. On musi tu być.

- Czy może mi pani powiedzieć, z kim?

Odwróciła się wreszcie z ociąganiem. Jednym spojrzeniem ogarnęła białą koszulę, czarne spodnie, profesjonalny uśmiech.

- Z panem Madisonem - odrzekła, czując lekki dreszcz, gdy głośno wymawiała jego nazwisko.

- Pozwoli pani ze mną...

Freya podążyła za kierownikiem sali do stolika nakrytego obrusem bez jednej zmarszczki i ze wstrzymanym oddechem patrzyła, jak palec wskazujący mężczyzny przesuwa się po nazwiskach widniejących na

otwartych stronach książki rezerwacji. Doszedł do końca i wolno wracał w górę.

- On tu jest, wiem, że tu jest - upierała się Freya, uciszając głos wewnętrzny, który szeptał, że w ogóle go tu nie było, że się wygłupiła.

- Madison! Proszę - potwierdził mężczyzna i miała ochotę go pocałować. Tak! - Stolik zarezerwowano na ósmą. - Przesadnym gestem uniósł rękę, by spojrzeć na zegarek. - Myślę, że już poszedł.

Nie! Głośno zapytała:

- Jest pan pewny? Który stolik zarezerwował?

Kierownik zatrzymał przechodzącą młodą kobietę w czarnej sukience.

- Suzie, ta pani miała się spotkać z panem Madisonem przy stoliku dwunastym. Nie wiesz, czy już wyszedł? Suzie jest szatniarką - wyjaśnił.

Tamta ciekawie przyglądała się Frei.

- Doskonale go pamiętam. Dał mi kwiaty, prześliczne. Powiedział, że już ich nie potrzebuje. Potem wyszedł.

Freya wpatrywała się w nią pustym wzrokiem. Nie chciała w to uwierzyć.

- Wysoki blondyn - dodała Suzie. - Przystojny.

- A widziała pani, w którą stronę odszedł? - zapytała Freya. - Mówił coś? Kiedy wyszedł? Jak wyglądał?

- Wyszedł jakieś dwadzieścia minut temu - odrzekła szatniarka. - Wyglądał na przynębionego.

Freya westchnęła, wreszcie pokonana.

- Dobrze. Dziękuję - powiedziała i odwróciła się powoli.

Minęła bar i wyszła na ulicę. Kolejka stała dalej. Freya pragnęła jak najszybciej uciec od śmiechu i świateł. Ze schyloną głową i dłońmi wciśniętymi głęboko w kieszenie szła mroczną ulicą.

Jack stawiał się na spotkanie, a ona się spóźniła. Jakie znajdzie dla siebie usprawiedliwienie? „Przepraszam, Jack, zapomniałam. Byłam na wieczorze dla samotnych”. Już wcześniej go odepchnęła. Pewnie pomyślał, że zrobiła to ponownie, tym razem z pełną świadomością - bo on nic dla niej nie znaczy. Jack jest dumny. Dał jej ostatnią szansę, z której nie skorzystała.

Dreźczyły ją własne okrutne słowa. Powiedziała Jackowi, że jest żałosny, bezużyteczny, że brak mu siły woli, by naprawdę coś osiągnąć. Lecz on dotrzymał słowa. Czekał prawie dwie godziny w modnej restauracji, wystawiając się na podejrzliwe spojrzenia gości. Przyniósł Frei kwiaty.

To ona zwątpiła. Tym razem sprawiła mu równie gorzkie rozczarowanie, jak on jej kiedyś.

Czy to się da naprawić? Czy przynajmniej mogą jak dawniej być znowu przyjaciółmi? Freya zacisnęła oczy na myśl o tym, co tak beztrzesko odrzuciła. Tylko przyjaciółmi? Co w tym było „tylko”? Nic nie może przecież się równać z przebywaniem z kimś, kto zna twoje myśli, zanim sama je pomyślisz, kto w lot łapie twoje żarty i natychmiast odpowiada własnymi, kto wie, co lubisz, a czego nie, kto zajrzał w bardziej mroczne zakątki twego serca, a mimo to dalej cię lubi - i kto na dodatek jeszcze jest tak niesamowicie pociągający. Jack zawsze podobał się Frei - teraz mogła to przyznać - lecz najwspanialszą sprawą była właśnie ich przyjaźń.

Westchnęła z rozpaczą. Nawet nie ma pojęcia, jak się z nim skontaktować. Może być gdziekolwiek - po prostu gdziekolwiek! - w tym pełnym ludzi mieście. Straciła go, być może na zawsze.

Freya mrugnęła, bo kącikiem oka dostrzegła coś migoczącego, jakieś pobłyskiwanie. Odwróciła głowę. Po drugiej stronie ulicy neon ogłaszał: „Północ, północny zachód”. Drugie „ó” osunęło się i wisiało na kablu. Napis umieszczony był nad wejściem do kina. „Północ, północny zachód” należał do ulubionych filmów Jacka.

Zanim się spostrzegła, już przechodziła przez ulicę. Kino wyglądało jak schronisko dla pcheł, przypuszczalnie dożywało ostatnich dni przed rozbiórką. Bileterka - Chinka, a może Koreanka - siedziała w szklanej budce, oglądając coś na przenośnym telewizorku i zjadając popcorn.

Freya pochyliła się do wąskiego okienka.

- Przepraszam, czy ktoś kupował bilet w ciągu ostatnich trzydziestu minut? Mężczyzna?

Tamta spojrzała na nią ze znudzeniem.

- Chce pani bilet?

- Proszę. - Wyjęła portfel i podała pieniądze. Co ona robi?

- Film już się kończy - zauważyła kobieta, przekreślając tacę z biletami.

Freya zignorowała ją i przeszła przez mroczny hol, przyciągana muzyką - przerażonymi skrzypcami i głuchymi uderzeniami w bęben.

Pchnęła drzwi i przystanęła, oślepiąca nagłą ciemnością. Na ekranie Cary Grant jedną ręką trzymał się krawędzi skały, a drugą zacisnął na dłoni blondynki, która wisiała nad przepaścią, nad rosnącymi daleko w dole sosnami.

Kiedy oczy Frei przywykły do mroku, przyjrzała się widzom. Dostrzegła kilkanaście postaci, rozrzuconych po dalszych rzędach. Żaden z widzów nie był jednak Jackiem.

Przerażona twarz blondynki wypełniła ekran.

- Nie dam rady! - krzyknęła, unosząc zrozpaczone oczy ku Cary'emu Grantowi.

- Dasz. No, dalej...

- Jestem taka zmęczona...

Freya odwróciła się, by wyjść. Czuła dotkliwą samotność. Była głupia, uważając, że potrafi odnaleźć Jacka, ponieważ go kocha.

Zaraz, zaraz! Po przeciwległej stronie siedział samotnie mężczyzna z nogami opartymi o rząd przed nim. To był Jack. Na nosie miał te słodkie okulary studenta college'u. Freya miała wrażenie, że serce jej wyskoczy z piersi. Ruszyła biegiem w tamtym kierunku.

Na ekranie para obejmowała się na górnym posłaniu w przedziale sypialnym. Kobieta miała na sobie białą piżamę.

- To takie niemądre - śmiała się do partnera.

- Wiem, jestem sentymentalny.

Znalazła się już koło Jacka. Zajmował przedostatni fotel w rzędzie. Jeszcze jej nie zauważył. Twarz miał smutną. Serce Frei wypełniała ogromna czułość. Zaczęła drżeć.

Kiedy cię jednak odezwała, głos miała lekki, niemal kpiący.

- Czy to miejsce jest zajęte?

Jack uniósł głowę i widać było, jak ogarniają go zdziwienie i zachwyt. Ujął dłoń Frei tak mocno, jakby nigdy nie zamierzał jej puścić, po czym opuścił siedzenie.

- Trzymałem je dla ciebie - odrzekł z uśmiechem.